

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Eugeniusz Sue

Tajemnice Paryża

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Tom I

I

Wstęp

Wieczorem 13 grudnia 1834 roku atletyczny mężczyzna, odziany w podartą bluzę, przeszedł most Pont-au-change w Paryżu i zagłębił się w labiryncie wąskich, krętych i ciemnych uliczek dzielnicy Cité. Porywisty wiatr hulał w ponurych zaułkach, chwiejne światło ulicznych latarni odbijało się w strumyku czarnej wody płynącej środkiem chodnika. Domy miały kolor błota, potłuczone szyby w nielicznych oknach, ciemne sienie i strome schody. Parter tych ruder zajmowały sklepiki węglarzy i garkuchnie.

Dziesiąta biła na zegarze. Pod sklepieniami przysionkami, ciemnymi jak jaskinie, przysiadło kilka kobiet. Niektóre śpiewały półgłosem. Mężczyzna musiał znać jedną nich, bo nagle schwycił ją za rękę. Cofnęła się z przestachem:

– Dobry wieczór, Szurynerze.

– Gualezo! – rzekł mężczyzna. – Idź, kup mi wódki albo zobaczysz, jak z tobą potańczę.

– Nie mam pieniędzy – odpowiedziała kobieta drżąc cała.

– Szynkarka ci skredytuje!

– Nie zechce, i tak jestem jej sporo winna...

– Śmiesz jeszcze gadać?! – zawołał Szuryner i wściekły rzucił się w pogoń za dziewczyną.

– Nie zbliżaj się do mnie – powiedziała śmiało – bo ci oczy wyłupię. Nic ci nie zrobiłam, czemu mnie chcesz bić?

– Zaraz ci powiem! – zawołał bandyta. – A! Mam cię! Teraz potańczysz!

– Ty sam potańczysz! – odezwał się jakiś męski głos.

– Kto tam? To ty, Czerwony Janku?

– Nie jestem Czerwonym Jankiem – rzekł nieznajomy.

– Dobrze, nie jesteś z naszych, spróbujmy się! – zawołał Szuryner; w tejże chwili miętka, wypieszczona dłoń schwyciła go za gardło tak silnie, iż zdawało się, że cienka skóra okrywa mięsne muskuły stalowe.

Dziewczyna, uciekły w głąb sieni, rzekła do nieznajomego obrońcy:

– Dziękuję panu, żeś ujął się za mną... Szuryner chciał mnie zbić. Teraz mnie już nie dostanie; strzeż się go... To znany nożowiec!

– I ja także chwyt, z którym niełatwa sprawa – odpowiedział nieznajomy.

Wszystko umilkło; przez kilka sekund wśród wycia wiatru i plusku deszczu słychać było tylko gwałtowne szamotanie się walczących. Nieznajomy wyciągnął Szurynera aż na ulicę; podstawił mu nogę i przewrócił go, a gdy tamten znowu się porwał, obrońca Gualezy zaczął mu bębnić pięściami po głowie; uderzenia spadały gęsto jak grad. Nareszcie Szuryner, ogłuszony, padł na bruk.

– Nie dobijaj go, miej litość – rzekła Gualeza, która podczas tej bitki wyszła na próg domu.

– Lecz kim pan jesteś? Prócz Bakalarza nikt nie jest silniejszy od Szurynera...

Nieznajomy zamiast odpowiedzieć słuchał uważnie głosu mówiącej; nigdy tony srebrzyste nie głąskały mu ucha; chciał dojrzeć rysy twarzy, ale noc była zbyt ciemna, a światło latarni zbyt słabe.

Tymczasem Szuryner, poleżawszy kilka minut bez ruchu, wyciągnął rękę, przygiął nogi, aż wreszcie usiadł.

– Strzeż się! – zawołała Gualeza, uciekając znowu do sieni i ciągnąc nieznanego za sobą.

– Bądź spokojna, jeśli mu mało, posłużę czymś więcej.

Bandyta dosłyszał.

– Zbiłeś mnie na kwaśne jabłko, na dziś mam dosyć; kiedy indziej, to nie mówię...

– Co! Czyś niezadowolony? – zawołał groźnie nieznanomy.

– Nie! Jesteś chwat – rzekł bandyta ponuro. – Dałeś mi dobrą lekcję, a wyjąwszy Bakałarza, nikt dotąd nie pochwalił się, że mnie zważył z nóg...

– Dobrze, cóż z tego?

– Co z tego? Znalazłem mistrza. A i ty swego znajdziesz prędzej czy później. To tylko pewne, że teraz, kiedyś zwyciężył Szurynera, możesz robić w Cité, co ci się spodoba; wszystkie dziewczki będą twoimi niewolnicami; szynkarze nie poważą się odmówić ci kredytu... kto ty jesteś?

– Chodź ze mną na kieliszek – rzekł nieznanomy – a poznasz mnie.

– Dobrze!... Uznaję w tobie mistrza... tęgo wywijasz pięściami... jak mi to leciało na łeb!... To wcale nowa sztuka... musisz mnie jej nauczyć...

– Zaczę na nowo, skoro zechcesz...

– Nie! Jeszcze odurzony... ale czy ty znasz Czerwonego Janka, żeś stał w sieni jego domu?

– Czerwonego Janka? – zdziwił się nieznanomy. – Mieszka w tym domu?

– Nie inaczej, człowieku, Janek ma swoje powody, żeby nie lubić sąsiadów.

– Tym lepiej dla niego – odpowiedział nieznanomy. – Nie znam żadnego Czerwonego Janka! Deszcz padał, więc wszedłem na chwilę do sieni, żeby nie zmoknąć... tyś chciał zbić dziewczynę, tymczasem ja cię wybiłem... i tyle tego.

– Ano dobrze; zresztą twoje sprawy mnie nie obchodzą; nie wszyscy, co mają interes do Czerwonego Janka, trąbią o tym... – A zwracając się do Gualezy, dodał: – Daję słowo, dobra z ciebie dziewczyna! Nie chciałem ci zrobić nic złego, ale to ładnie, żeś tego szaleńca nie podszczywała na mnie, kiedy mu ustąpiłem... Pójdiesz pić z nami! On płaci! A gdybyśmy tak, mój panie – rzekł znowu do nieznanego – zamiast iść na wódkę poszli co zjeść?

– Zgoda. Idziesz z nami, Gualazo? – rzekł nieznanomy.

– Dziękuję, po tej waszej bójce mdło mi się robi. Nie chcę już jeść...

– Zachce ci się „Pod Białym Królikiem” kuchnia wyśmienita.

I wszyscy troje w najlepszej zgodzie poszli do garkuchni.

Podczas gdy nieznanomy walczył z Szurynierem, jakiś węglarz olbrzymiego wzrostu, ukryty w innej sieni, przypatrywał się niespokojnie kolejom bitwy. Bandyta i Gualeza już przestąpili próg garkuchni, a nieznanomy miał właśnie wchodzić, gdy węglarz zbliżył się i szepnął:

– Książę... błagam, miej się na ostrożności!...

Nieznanomy wzruszył ramionami i wszedł. Węglarz stanął pod drzwiami garkuchni, nadstawił pilnie ucha i zaglądał niekiedy przez mały otwór, znajdujący się w grubej powłoce wapna i kredy, którą szyby jaskiń łotrowskich zawsze są zamalowane.

II *Garkuchnia*

Dom, w którym mieści się garkuchnia „Pod Białym Królikiem”, ma dwa okna z frontu; garkuchnia znajduje się na dole. Jest to zadymiona, brudna izba; po obu jej stronach sześć stołów i tyleż ławek przymocowanych do muru. Gospodyni ma trzy rzemiosła: wynajmuje mieszkania na noc, trzyma szynk i wypożycza suknie nierządnicom. Gospodyni ta, lat czterdziestu, otyła, czerwona, siedzi za długim stołem, na którym pełno kwaterek z cyny, a za nią na półkach stoją flaszki z wódką.

Dwaj ludzie ponurego wejrzenia, odziani prawie w łachmany, ledwie tykali wina, co przed nimi stało, i rozmawiali z widocznym niepokojem. Jeden – blady, szpakowaty – nasuwał często na oczy starą czapkę, a lewą rękę ciągle trzymał ukrytą. Przy innym stole siedział chłopak szesnastoletni, o twarzy zapadłej i przygasłym wzroku; długie, czarne włosy spadały mu na szyję; palił tytoń z glinianej fajki, wyciągnął nogi na ławę i to buchał dymem, to popijał sporą miarkę wódki. Reszta gości niczym się nie wyróżniała: twarze dzikie albo rozbastwione, wesołość grubiańska albo rozpustna, milczenie ponure albo głupkowate.

Weszli Szuryner i Gualeza wraz z nieznajomym.

Szuryner – wysokiego wzrostu, atletycznej budowy – miał twarz spaloną słońcem i ognistorude bokobrody. Rysy jego wyrażały zwierzęcą zuchwałość. Za całą odzież nosił wyszarzałą niebieską bluzę i spodnie, których pierwotną barwę zaledwie można było rozeznąć pod grubą warstwą błota.

Gualeza miała lat szesnaście. Jej czyste czoło wznosiło się nad owalną twarzą, rozjaśnioną niebieskimi oczami o długich rzęsach. Purpurowe usta, zgrabny nos i cudne, jasne włosy nadawały jej rysom wyraz niemal anielski. Na głowie miała bawełnianą chustkę, na szyi sznur koralii. Głos Gualezy, słodki, harmonijny, był tak zachwycający, że motłoch zbrodnia-rzy i nierządnic prosił ją często, żeby śpiewała, i dał jej przydomek Gualezy śpiewaczki.

Nieznany obrońca dziewczyny (nazwiemy go Rudolfem) miał lat około trzydziestu. Jego postać, zwinna, proporcjonalna, nie zapowiadała nadzwyczajnej siły, jaką okazał w walce. Błada cera, oczy jakby rozdartowane, ironiczny uśmiech zdradzały człowieka przesyconego rozkoszami życia. A jednak swą wypieszczoną ręką Rudolf przed chwilą powalił na ziemię najsilniejszego bandytę Cité. Zmarszczki na czole Rudolfa znamionowały człowieka głęboko myślącego. W zadumanym oku niekiedy przeblyskiwała słodycz, litość, innym razem surowość, złośliwość, wzgarda i okrucieństwo. Z taką łatwością zaś naśladował zachowanie bywalców garkuchni, że z pozoru nic – prócz rąk, białych i miękkich – nie odróżniało go od reszty gości.

Wszedłszy do garkuchni, Szuryner, kładąc dłoń, szeroką i włochatą, na ramieniu Rudolfa, zawołał:

– Cześć zwycięzcy Szurynera!... Tak jest, przyjaciele, ten chłopak mnie pokonał... Mówię to dla amatorów, którzy życzą sobie mieć połamane żebra albo rozbity łeb, nie wyłączając Bakalarza, który tym razem znajdzie swego mistrza...

Na te słowa gospodyni i wszyscy obecni spojrzeli na Rudolfa z uszanowaniem i obawą. Gospodyni, uśmiechając się do niego, wstała, by zapytać, co rozkaże podać.

Jeden z dwóch gości, o których wspomnieliśmy, schylił się do gospodyni i zapytał ochrypłym głosem:

– Czy byt tu Bakalarz?

- Nie – odpowiedziała.
 - A wczoraj?
 - Był. Czemu pytasz o niego?
 - Bo dziś wieczór mieliśmy się zejść. Mamy interesy.
 - Śliczne to muszą być interesy, zbójce!...
 - Zbójce! – powtórzył bandyta rozjątrzony. – Z nich żyjesz!
 - Ejże! Będziesz ty cicho? – zawołała gospodyni podnosząc butelkę, którą trzymała w ręku, a mężczyzna mruczając siadł znowu na miejscu. – Czym każecie sobie służyć? – spytała uprzejmie Rudolfa.
 - Spytajcie Szurynera, matko; on zaprasza, ja płacę... No, cóż chcesz na wieczerzę, hultaju?
 - Dwie butelki wina, trzy kromki chleba i porcję mięsa – rzekł Szuryner. – A ty. Gualezo, będziesz jeść?
 - Nie... nie jestem głodna
 - Ależ, dziewczyno, spojrzysz w oczy memu zwycięzcy – zawołał Szuryner, śmiejąc się na całe gardło. – Boisz się patrzeć na niego?
- Gualeza w milczeniu spuściła oczy. Gospodyni przyniosła wieczerzę, która wprawiła w zachwyt Szurynera; jadł zawzięcie. Tak upłynęło kilka chwil, gdy wszedł nowy gość, raczej stary niż młody, żwawy, silny. Spojrzano tylko na niego i nikt już nań nie zważał. Wszyscy wiedzieli, kto to jest. Bandyci wnet poznali swego. Nowo przybyły siadł tak, żeby sam nie widziany, mógł śledzić ruchy dwóch mężczyzn, z których jeden dowiadywał się był o Bakalarza.
- Rozmowy ciągnęły się dalej. Szuryner z szacunkiem odnosił się do Rudolfa.
- Słowo daję – rzekł – choć mnie tego przetrzepałeś, rad jednak jestem, że cię spotkał. Chciałbym widzieć, jak weźmiesz się za łeb z Bakalarzem. On mnie zawsze bił.
 - Myślisz, że dla twojej zabawy rzucę się na niego jak brytan?
 - Bynajmniej, ale on skoczy do ciebie, gdy mu powiedzą, żeś silniejszy od niego.
 - Mam dość drobnych, aby i jemu jeszcze zapłacić – rzekł Rudolf niedbale; potem dodał: – Ależ pogoda, psa szkoda wygnąć z domu! Trzeba by kazać dać wódki, pilibyśmy, a Gualeza może by nam zaśpiewała.
 - Zgoda – rzekł Szuryner.
 - I powiemy sobie, kim jesteśmy – dodał Rudolf. Szuryner wstał, przyłożył lewą rękę do czapki i powiedział:
 - Albinos, inaczej zwany Szurynerem, niegdyś więzien na galerach za morderstwo, dziś uwolniony, zimą marznie w wodzie, latem piecze się na słońcu; oto moje życie. A ty – dodał – mój panie? Pierwszy raz widzimy cię tutaj... Musisz mieć jakieś rzemiosło?
 - Robię malowidła na wachlarzach i nazywam się Rudolf.
 - Malarz! – zawołał Szuryner. – A więc dlatego masz takie białe ręce. Ale czemu chodzisz do takiej nory jak ta, gdzie bywają złodzieje, zbójce i galernicy?
 - Przychodzę tu, bo lubię się bawić.
 - Hm! Hm! – bąknął Szuryner. – Wiesz co, zdaje się, że mi nie ufasz, i nie mam ci tego za złe. Żebyś mnie poznał, opowiem ci moje życie. Ale ty zacznij naprzód, mój panie.
 - Malarz to ładne rzemiosło – rzekła Gualeza.
 - Wiele też na dzień zarabiacie? – spytał Szuryner.
 - Kiedy się postaram – odparł Rudolf – mogę zarobić cztery franki, czasem pięć, ale to latem, bo dni dłuższe.
 - A często wałęsasz się, paniczu?
 - Hm! Dopóki mam grosz w kieszeni. Za nocleg płacę sześć sous, tytoń kosztuje mnie na dzień cztery sous, to dziesięć, śniadanie cztery, to czternaście, obiad piętnaście sous, więc co

dzień wydaję około półtora franka. Nie potrzebuję pracować cały tydzień, resztę czasu bawię się.

– A twoi rodzice? – rzekła Gualeza.

– Umarli na cholere.

– U kogóż pracujesz, kim jest twój majster?

– Nazywa się Borel, głupi gbur, złodziej i skapiec, wolałby dać sobie oko wybić niż człowiekowi płacić za robotę. Niechaj przepadnie! Byłem u niego na nauce od piętnastego roku. Od spisu wojskowego jestem wolny; mieszkam przy ulicy Juiverie na czwartym piętrze od frontu, nazywam się Rudolf. Oto i moja historia.

III

Historia Gualazy

- Teraz ty gadaj, Gualezo – rzekł Szuryner.
- Kim są twoi rodzice? – spytał Rudolf.
- Nie znam ich; urodziłam się, jak to mówią, pod kapuścianym liściem.
- W takim razie, Gualezo – zawołał Szuryner – jesteście krewnymi, bo i ja nie wiem, skąd się wziąłem.
- A kto cię wychował? – przerwał Rudolf.
- Nie wiem... Odkąd pamiętam, byłam przy starej, jednookiej babie; nazywali ją Puchaczką; miała nos zakrzywiony jak hak, oko zielone, okrągłe. Wieczorem sprzedawałam cukier, a prawdę mówiąc, zebrałam... Kiedy, wracając, nie przyniosłam najmniej dziesięciu sous, dostawałam szturchańce zamiast wieczerzy.
- A pewna jesteś, że to nie twoja matka? – spytał Rudolf.
- Najpewniejsza, bo mi Puchaczką dość często wymawiała, żem sierota bez ojca i matki.
- I tak – rzekł Szuryner – zawsze byłaś bita?
- Zawsze dostawałam szklanek wody, kawałek suchego chleba i kładłam się na całą noc marznąć w stary siennik, w którym Puchaczka zrobiła dziurę, żebym weń mogła wleźć. Najjutrz dostawałam takie samo śniadanie i szłam za miasto do Montfaucon zbierać robaki do wędek bo Puchaczka sprzedawała na moście wędki.
- Mimo to urosłaś prosta jak trzcina, dziewczyno; nie masz się co skarżyć. Od tej chudej strawy jesteś taka cienka i zgrabna – przerwał Szuryner, buchając dymem z fajki. – Ale cóż ci to, bracie... panie Rudolfie? Czegoś posępny?... Czy dlatego, że ta dziewczyna użyła biedy?... Nam wszystkim nie lepiej było.
- O! Ręczę, że nie wycierpiałeś tyle co ja, Szurynerze.
- Ależ, dziewczyno, w porównaniu ze mną miałeś się jak hrabia. Przynajmniej gdyś była mała, spałaś na słomie i jadłaś chleb... Ja, kiedy mi szczęście służyło, sypiałem w piecach w Clichy, gdzie wypalają wapno; jadłem liście kapusty, a głód mnie ścinał z nóg.
- Mężczyzna ma więcej siły – odparła Gualeza – ale biedna dziewczyna... Stałam na moście z moim cukrem i płakałam z, głodu i zimna. Litowali się przechodzący wyzebrałam czasem piętnaście sous, ale i to mi na dobre nie szło, bo Puchaczka widząc, że im więcej płaczę, tym więcej zbiorę, umyśliła bić mnie zawsze, nim postawi na moście.
- Niezły koncept!
- A pewnie, Szurynerze. Ale ja wreszcie przyzwyczaiałam się do bicia. Więc się śmiałam zamiast płakać, śpiewałam... chociaż mi się nie chciało śpiewać. Jednego dnia ulicznicy zabrali mi mój koszyk. Stara wybiła mnie i nie dała chleba. Wieczorem zaczęła mi wrywać włosy na skroni – tam najwięcej boli...
- Bodaj ją piorun trzasł! To za wiele! – krzyknął bandyta, uderzając pięścią w stół.
- Rudolf spojrział zdziwiony na Szurynera; zastanowił go ślad uczucia w takim człowieku. Dziewczyna mówiła dalej:
- Powiedziałam wam tedy, że Puchaczka dręczyła mnie, żebym płakała; to mnie rozjątrzyło: na złość jej śmiałam się idąc na most z koszykiem cukru. Od pół roku nosiłam ten cukier i nigdy nie skosztowała, ale tego wieczora, z głodu i żeby dokuczyć babie, wzięłam laskę cukru i zjadłam.
- Świetnie! – zawołał Szuryner.

– Puchaczka widząc, co się dzieje, grozi mi pięścią z daleka, bo nie mogła odejść od straganu. Ja myślę sobie: więcej mnie nie wybiję za trzy laski cukru niż za jedną... pokazuję jej cukier i w jej oczach go zjadam.

– Wybornie! – wołał Szuryner. – Lecz Puchaczka musiała z ciebie żywcem złupić skórę.

– Zgarnawszy stragan, przyszła do mnie: myślałam, że padnę na miejscu, tak się bałam. Przyszędłszy do domu, Puchaczka zamknęła drzwi na klucz; padłam przed nią na kolana, błagając o przebaczenie, a ona nic nie odpowiada. Wtem chwyciła obcęgi...

– Obcęgi? – zawołał Szuryner. – Na co?

– Żeby mi wyrwać ząb.

Szuryner zaklął.

– Co ci jest? – spytała Gualeza.

– Co mi jest? ...Toćbym tę jednooką wiedźmę zabił, gdyby mi wpadła w ręce. – I oko bandyty nabiegło krwią.

– I wyrwała ci ząb, biedna dziewczyno, ta niegodziwa baba? – zapytał Rudolf.

– A jakże!... I to nie od pierwszego razu! Mój Boże, jakże mnie męczyła! Dobyła mi ten ząb, mówiąc przy tym: „Odtąd co dzień wyrwę ci po jednym, a kiedy już zostaniesz bez zębów, wrzucę cię do wody”.

– O, przeklęta baba! – zawołał Szuryner.

– A czy dzisiaj znać co jeszcze? – odparła Gualeza i uśmiechając się, ukazała dwa rzędy zębów, równych i białych jak perły.

– Co potem zrobiłaś? – spytał Szuryner.

– Prawdę mówiąc, przebrała się miarka. Nazajutrz uciekłam. Szłam cały dzień, błakając się po ulicach. Nocą wlałam do składu drzewa, pod stos kory. Głód mi dokuczał, próbowałam jeść trociny, ale nie mogłam. Tam mnie następnego dnia znaleźli i odprowadzili na policję. Badali mnie, sądzili i jako włóczęgę skazali na siedzenie w domu poprawczym do lat szesnastu. Podziękowałam sędziom za ich łaskę, bo przecież w więzieniu dawali mi jeść. Nadto w więzieniu nauczyłam się szyć. Ale wołałam śpiewać niż pracować; kiedy śpiewałam, zdawało mi się, że jestem wolna.

– To prawdziwie urodziłaś się słowikiem – zauważył Rudolf.

– Gdy skończyłam szesnaście lat, wypuszczono mnie z więzienia. Ledwie wyszła na ulicę, zaczęła mnie gospodyni tego szynku i jeszcze kilka staruch. „Mój aniołku”, mówią do mnie, „czy chcesz mieszkać u nas? Damy ci piękne suknie, a nic nie będziesz robić, tylko się bawić”. Kto osiem lat wysiedział, ten wie, jak to ma rozumieć, Anim ich chciała słuchać. Myślę sobie: „Mam zarobionych trzysta franków, umiem szyć, robota się znajdzie, gdy nie stanie pieniędzy”. Chętka do zabaw mnie zgubiła... ale nie było nikogo, kto by mi dał dobrą radę... Nakupiłam kwiatów na cały pokój; tak lubię; kwiaty! Potem ładną suknię, jeździłam na spacer...

– Z kochankiem? – spytał Szuryner.

– Gdzie tam! Chciałam być panią siebie. Za towarzyszkę do zabaw brałam dziewczynę, co była razem ze mną w więzieniu; to dobra dziewczyna, nazywa się Rigoletta.

– Rigoletta? – przerwał Szuryner. – Nie znam jej.

– O, wierzę, to uczciwa szwaczka, zarabia dwadzieścia pięć sous dziennie, ma własne małe gospodarstwo... Cóż powiem? Tak długo marnowałam pieniądze, aż mi zostało tylko pięćdziesiąt franków. I wtedy właśnie dowiedziałam się, że moja praczka nie ma nawet czym zapłacić za łóżko, że zległa w piwnicy i leży na słomie, nie mając czym okryć ani siebie, ani swojej kruszyny. Pobiegłam do domu, zabrałam wszystką bieliznę, jaką miałam, zaniosiłam jej i czuwałam przy niej, aż znowu mogła się podnieść. Pomagałam jej pieniędzmi, wyzdrowiała. Teraz ma z czego żyć, ale nigdy nie chce mi powiedzieć, com jej winna za pranie. Widzę, że chce mi się w ten sposób uiścić z długu. Jeśli tak dalej będzie, muszę sobie znaleźć inną praczkę.

– A gdy ci zabrakło pieniędzy?... – spytał Rudolf.

– Ha, wtedy szukałam roboty. Umieję bardzo dobrze szyć, szczerze chciałam pracować, poszłam śmiało do magazynu bielizny. Powiedziałam, że przed dwoma miesiącami wyszłam z więzienia i że chciałabym dostać pracę. Za całą odpowiedź pokazano mi drzwi. Wracałam do domu smutna, spotkałam tutejszą gospodynię... wzięła mnie ze sobą... opła wódką... i tak rzeczy poszły!

– Rozumiem – rzekł Szuryner. – To się nazywa zupełna spowiedź.

– Zdaje się, że żałujesz, iż opowiedziałas swoje życie? – zapytał Rudolf.

– Bądź co bądź miło jest być uczciwą – odparła Gualeza z westchnieniem.

– Uczciwą!... – zawołał bandyta, śmiejąc się. – A po co? Żeby czcić ojca i matkę, których nie znałaś nigdy?

Na twarzy dziewczyny malowało się głębokie zadumanie.

– Słuchaj – rzekła – że ojciec albo matka rzucili mnie na ulicy jak szczenię, nie mam im tego za złe; pewnie sami nie mieli z czego żyć. Ale są ludzie szczęśliwsi ode mnie.

– Od ciebie? Jesteś śliczna, nie masz siedemnastu lat, śpiewasz jak słowik, wszyscy cię lubią – i uzalasz się. A cóż dopiero, gdy będziesz stara jak ta szynkarka?

– O, ja tak długo nie pożyję, umrę młodo; już kaszlę.

– Czy często przychodzą ci takie myśli, Gualezo? – spytał Rudolf.

– Czasem, może pan to lepiej zrozumie od niego. Kiedy widzę, jak mleczarka z wózkiem wraca na wieś, jakże jej zazdroszczę! Ja idę sama do ciemnej izby, gdzie nawet słońce nie zajrzy.

– A więc bądź uczciwa!

– Uczciwa, mój Boże! A jakim sposobem? Za co? Suknie, które mam na sobie, należą do gospodyni, winnam jej za mieszkanie i za stół...nie mogę ruszyć się z miejsca. Kazałaby mnie przytrzymać. Daj pić, Szurynerze – wtrąciła żywo, podsuwając szklanekę – nie, nie wina, daj wódki, to mocniejsze. – A wypiwszy z widocznym obrzydzeniem, dodała: – Szkoda, że wódka ma tak paskudny smak.

Rudolf słuchał tej przerażającej opowieści ze wzrastającym zajęciem. Nędza, brak opieki i doświadczenia zgubiły nieszczęsną dziewczynę, którą w szesnastym roku życia los rzucił samotnie w ogrom Paryża. Mimo woli Rudolf pomyślał o ukochanym dziecku, które stracił... córeczka... umarła mając sześć lat... teraz miałyby szesnaście jak Gualeza. Wspomnienie to pogłębiało jeszcze jego współczucie dla skrzywdzonej sieroty.

IV

Historia Szurynera

Czytelnik nie zapomniał dwóch gości, których bacznie obserwował trzeci, później przybyły. (Jeden z nich ciągle chował lewą rękę i kilkakrotnie dopytywał się, czy Bakalarza nie było dziś w garkuchni). Podczas opowiadania Gualezy, którego słyszeć nie mogli, niepokój ich wzrastał. Człowiek, co ich śledził, porównawszy ich wygląd ze wskazówkami, jakie miał zapisane na małej karteczce, wstał i rzekł do gospodyni:

– Słuchajcie, matko, zaraz wrócę; pilnujcie mojej butelki i talerza.

– Bądź spokojny, jeśli butelka próżna, a na talerzu nic nie ma, nikt ich nie dotknie.

Gdy człowiek ten wychodził, Rudolf spostrzegł na ulicy węglarza o olbrzymim wzroście. Nim drzwi się zamknęły, Rudolf miał czas okazać gestem, jak dalece jest mu przykry ten rodzaj opiekuńczego dozoru; węglarz jednak, nie zważając na to, nie oddalił się od gospody.

Gualeza, chociaż nieco odurzona wódką, nie odzyskała wesołości; oparta o ścianę, ze spuszczoną głową, pogrążyła się w czarnych myślach.

Szuryner, przeciwnie, był w najlepszym humorze. Sam spożył całą wieczerzę; wino i wódka rozwiązały mu język. Dzika otwartość, z którą się przyznał, że zabił człowieka i poniósł słuszną karę, duma, z jaką zapewniał, że nigdy nic nie ukradł, zdawały się dowodzić, że mimo popełnionych zbrodni nie jest to zatwardziały bandyta. To też Rudolf z ciekawością czekał na jego biografię. Szuryner wychylił szklanekę i zaczął:

– Ciebie, moja biedna Gualezo, przytuliła choć Puchaczka, która bodajby się smażyła w piekle!... Ja nie pamiętam, żebym kiedy spał na posłaniu, aż do lat dziewiętnastu, kiedym wstąpił do wojska.

– Służyłeś więc? – zapytał Rudolf.

– Trzy lata. Ale o tym później. Schody pałaców, piece, w których palono wapno w Clichy, kamieniołomy w Montrouge – oto miejsca, gdzie spędziłem młodość. Mogłem mieć dwanaście lat, kiedym się dostał do Montfaucon, gdzie biją stare konie i zdejmują z nich skórę. Z początku zabijanie biednych zwierząt robiło na mnie wrażenie, ale wkrótce polubiłem moje zajęcia.

– A jak cię nazywano? – spytał Rudolf.

– Miałem włosy jeszcze podobniejsze do lnu niż teraz i często oczy krwią mi zachodziły, dlatego zwali mnie Albinosem. Albinosy między ludźmi to, to samo co białe króliki między zwierzętami – dodał poważnie.

– A twoi rodzice? Krewni?

– Rodzice? Nieznani. Miejsce urodzenia: pierwszy lepszy róg jakiej bądź ulicy; niewielką mi przysługę zrobili, że mnie na świat wydali. Wielem użył biedy.

– Byłeś głodny, ziębleś, a nie kradłeś?

– Nigdy.

– Bałeś się pójść do więzienia?

– Gdzież znowu! Nie kradnąc, puchłem z głodu; złodzieja karmiliby w więzieniu! Nie, nie kradłem, bo... bo... kraść – to nie dla mnie robota.

Rudolfa rozczuliła ta odpowiedź.

– To dobrze – rzekł – masz jeszcze serce i honor.

Bandyta zmieszał się; spojrzął na Rudolf a z szacunkiem. Pojmował, jaka przepaść ich dzieli.

– Nie wiem, czy tak – rzekł. – Ale to, co mi pan powiedział...nikt jeszcze do mnie tak nie mówił... Dosyć... nigdy panu tego nie zapomnę!

– Długo byłeś w Montfaucon? – spytał Rudolf.

– Kilka lat; z początku mdło mi się robiło, kiedym zarzywał biedne szkapy. Ale gdy skończyłem siedemnaście lat, jakiś szal mnie ogarnął. Czasem ze dwadzieścia koni czekało na swą kolej. Ja, bez koszuli, z wielkim ostrym nożem, uwijałem się między nimi... oczy krwią napływały, ciąłem nożem bez pamięci, póki mi z rąk nie wypadał. A że przy takiej robocie kaleczyłem skóry, wymówiono mi. Chciałem pójść do rzeźników. Ale gdzież tam! Gardzili mną. Więc przystałem do wojska. Miałem wzrost dobry, siły dosyć, przyjęli. Szkoda tylko, że nie mieliśmy wojny. A z karnością wojskową nie ma co żartować. Jednego dnia sierżant wyłajał mnie; i słusznie, bo się leniłem; to mnie rozgniewało, nie usłuchałem go, on mnie popchnął, ja jego pięścią w pierś. Rzucają się na mnie inni; wściekłość mnie ogarnia, czerwieni mi się w oczach... Miałem nóż w ręku, jak szalony uderzam; zabiłem sierżanta, zraniłem dwóch żołnierzy.

Bandyta spuścił głowę i chwilę siedział zasępiony.

– O czym myślisz, Szurynerze? – zapytał Rudolf.

– Krótko mówiąc, zakuli mnie w kajdany, zasądzi i skazali na śmierć – mówił dalej Szuryner, nie odpowiadając Rudolfowi.

– Więc uciekłeś z więzienia?

– Nie; zmienili mi karę śmierci na piętnaście lat ciężkich robót na galerach. Zapomniałem powiedzieć, że w czasie służby uratowałem dwóch kolegów tonących i kiedyś podczas pożaru wyniosłem z ognia starą, chorą babę!... Koniec końcem, mój obrońca tyle gadał, że nie miałem być rozstrzelany... Kiedy przyszedł powiedzieć mi o tym, chciałem go zadławić...

– Żałowałeś, że ci zmienili karę?

– A pewnie... krew za krew, to słuszne; kto kradł, niech dźwiga kajdany. Ale zmusić człowieka, żeby żył po zabójstwie...

– Sumienie cię gryzło?

– Nie; przecież odsiedziałem swoje lata – odparł Szuryner – ale dawniej co noc prawie śniło mi się, że widzę sierżanta i tych żołnierzy. A za nimi ze stu i więcej, stoją rzędem; czekają, żebym ich pozarzywał jak niegdyś konie... Rzucam się na nich we śnie, zabijam jednego po drugim, a coraz więcej ich przybywało... Mało tego... nigdy nie miałem brata, a zdawało mi się, że to wszystko moi bracia, za których chętnie życie bym oddał. Złany zimnym potem, budziłem się...

– To straszny sen, Szurynerze.

– O, tak! Myślałem, że zwariuję, chciałem sobie życie odebrać; ale mi się nie udało. W końcu przemogło nawyknięcie do życia.

– Byłeś w dobrej szkole, żeby się nauczyć kraść.

– Prawda, ale zbywało na chęci. Inni więźniowie dlatego właśnie drwili ze mnie; wytłukłem ich i dali mi spokój. Poznałem tam i Bakalarza... Dostałem od niego tak samo, jakem dostał dziś wieczór od ciebie.

– Więc to zwolniony galernik?

– Był skazany na dożywocie, ale sam się uwolnił.

– Uciekł? I nie wydadzą go?

– Ja go nie wydam.

– Policja go nie wyśledzi?

– Dzisiaj sam Lucyper by go nie poznał... Miał nos długi – oberznął go sobie i nadto jeszcze umył twarz witriolem; od sześciu miesięcy, jak zbiegł z galer, policjanci sto razy go spotkali, a żaden nie poznał.

– Za cóż siedział?

- Za fałszerstwo, kradzież i zabójstwo. Nazywają go Bakalarzem, bo ślicznie pisze i jest bardzo uczony.
 - Złowią go prędzej czy później.
 - Żywcem go nie wezmą. Zawsze nosi pod bluzą dwa nabite pistolety i sztylet.
 - A od czasu uwolnienia z czego żyjesz?
 - Ładuję drzewo. Z tego mam chleb.
 - Ale skoro nie jesteś złodziejem, czemu mieszkasz tu, w tej złodziejskiej norze?
 - I gdzie będę mieszkał? Kto zechce przestawać z kryminalistą? Sam się nudzę; lubię towarzystwo; tu żyję z równymi sobie; Szuryner zamilkł i wytrząsnął fajkę.
- Wtem nowe zdarzenie przypomniało wszystkim trojgu, w jakim miejscu się znajdują.

V *Uwięzienie*

Człowiek, który wyszedł, poleciwszy opiece szynkarki swoją butelkę, wrócił z drugim mężczyzną, barczystym, śmiałego wejrzenia.

– Co za szczęście, że się spotykamy, Borelu! Wejdz, wypijemy szklanek!

Szuryner szepnął Rudolfowi i Gualezie:

– Będzie awantura. To policjanci. Baczność!

Dwaj bandyci, z których jeden zapytywał o Bakalarza, znacząco spojrzeli na siebie, wstali i podeszli ku drzwiom. Policjanci rzucili się na nich. Walka była zawzięta; wpadło jeszcze kilku policjantów, a za otwartymi drzwiami błysnęły strzelby żandarmów. Bandyta, który ciągle chował rękę, szamocąc się z napastnikami, ryczał jak dziki zwierzę; trzech ludzi ledwie mogło go utrzymać. Drugi zaś, zsiniały, z twarzą konwulsyjnie drgającą, nie bronił się wcale i sam podał ręce, na które mu założono kajdanki. Gdy wszystko się skończyło, gospodyni zapytała obojętnie jednego ze znajomych żandarmów:

– Cóż to ci ludzie zrobili, mój dobry panie Borel?

– Zabili wczoraj starą kobietę przy ulicy Świętego Krzysztofa. Nieszczęśliwa zeznała przed śmiercią, że jednego z nich ugryzła w rękę. Mój towarzysz przyszedł przekonać się, czy to oni. Teraz ich złowiliśmy.

Po wyjściu policjantów zapadło milczenie. Gospodyni wreszcie przerwała je mówiąc:

– Szczęście dla Bakalarza, że go tu nie było; ten w czerwonej czapce dwa razy o niego pytał, bo mają jakieś interesy... Ale o wilku mowa, a wilk tu: otóż i Bakalarz ze swoją nową żoną.

Mężczyzna i kobieta weszli do gospody. Wszystkich ogarnął lęk na ich widok. Nawet na Rudolfie zrobił wrażenie ten straszny zbójca. Spoglądał nań z ciekawością i przekonał się, że Szuryner nie przesadził w opisie. Bakalarz okropnie zeszpecił sobie twarz. Wszędzie głębokie blizny, sine, wygryzione wiotkością; wargi nabrzmiałe, dwie nieforemne dziury zamiast nozdrzy. Oczy – jasne, małe, okrągłe – błyszczały dzikością; czoło – spłaszczone jak u tygrysa – ginęło pod wielką futrzaną czapką. Bakalarz był średniego wzrostu; głowę miał wielką, szerokie, silne, mięsiste barki rysowały się pod fałdami płóciennej bluzy; długie, muskularne ręce świadczyły o niezwykłej sile. Kobieta, która z nim przysłała, była stara, dosyć przyzwyczajona ubrana. Ujrawszy ją Gualeza pobladała i drżąc schwyciła Rudolfa za rękę.

– Boże! Boże! To ona... to Puchaczka...

Bakalarz podszedł wolno do stołu, gdzie siedzieli Rudolf, Gualeza i Szuryner, i rzekł chrapliwym głosem:

– Słuchaj no, ślicznotko, rzucisz tych dwóch bałwanów i pójdziesz ze mną...

Dziewczyna drżąc trzymała się Rudolfa.

– A ja... nie będę zazdrosna – zawołała Puchaczka, śmiejąc się do rozpuku. Nie poznała w Gualezie dziecka, nad którym się pastwiła.

– Co to? Nie rozumiesz mnie, dziewczko! – wrzasnął Bakalarz. – Jak zaraz nie pójdziesz, to wybiję ci oko, żebyś była do pary z Puchaczka; hej, ty, z wąsami – mówił do Rudolfa – jeśli mi jej w tej chwili nie oddasz, duszę ci wytrzęsę.

– Boże! Ratuj mnie! – zawołała Gualeza, załamując ręce, a wspomniawszy, że może narażać Rudolfa na niebezpieczeństwo, dodała: – Panie, nie ruszaj się z miejsca; jeśli on się zbliży, krzyknę, a gospodyni z obawy przed policją ujmie się za mną.

– Bądź spokojna, moje dziecko – odparł Rudolf patrząc śmiało na Bakalarza. – Skoro przykro ci patrzeć na to szkaradne bydło, wypchnę go na ulicę.

– Ty?!... – krzyknął Bakalarz.

– Ja!... – odparł Rudolf.

I mimo błagania Gualezy wstał od stołu.

Bakalarz cofnął się o krok na widok fizjonomii Rudolfa; Gualeza i Szuryner poznać nie mogli towarzysza, tak piekielny gniew wykrzywił w jednej chwili jego szlachetną twarz. W walce z Szurynerem wydawał się wesoły, teraz ogarnęła go zajadła nienawiść, źrenice błyskały dziwnym ogniem. Są ludzie mający w spojrzeniu magnetyczną siłę. Rudolf ją posiadał. Bakalarz zadrżał, cofnął się, nie dowierzając już swojej sile, sięgnął pod bluzę po nóż. Może by doszło do zabójstwa, lecz Puchaczka zawołała:

– Poczekaj no, poznaję tę dziewczynę. Toć to Maryśka, co mi kradła cukier. Bądź spokojna, choć ci już zęba nie wyrwę, to wszystkie łyzy z ciebie wycisnę. Czy wiesz, że znam twoich rodziców? Bakalarz widział na galerach człowieka, co mi cię oddał jako małe dziecko... Masz bogatych rodziców...

– Mam rodziców!... Znasz ich?... – krzyknęła Gualeza.

– Znam czy nie, tobie nic do tego. Prócz mnie tylko mój wie, jak się nazywa twoja matka, ale wyrwałabym mu raczej język, niżby ci to miał powiedzieć... Co to, płaczesz?!

– Wolę, żeby rodzice myśleli, że mnie już nie ma na świecie – rzekła Gualeza z goryczą.

Rudolf, zapomniawszy o Bakalarzu, słuchał uważnie, bandyta zaś, nie będąc już pod wpływem wzroku przeciwnika, odzyskał odwagę. Ufny więc w swą herkulesową siłę, zbliżył się do obrońcy Gualezy.

– Dość gawęd... Muszę fircykowi dać, co mu się należy...

Jednym skokiem Rudolf przesadził stół; Bakalarz stanął w pozycji. Nagle drzwi się otworzyły, wpadł węglarz, odepchnął Bakalarza, zbliżył się do Rudolfa i po angielsku szepnął mu do ucha:

– Książę! Tom i Sara są na rogu ulicy.

Na te słowa Rudolf wzdrygnął się z gniewu, rzucił luidora na stół i skoczył ku drzwiom. Bakalarz chciał mu przeciąć drogę, ale Rudolf uderzył go w twarz tak mocno, że bandyta zachwiał się.

– Wiwat! – zawołał Szuryner – poznaję to uderzenie, i ja się takich nauczę...

Bakalarz skoczył w ślad za Rudolfem, ale ten z węglarzem znikł już wśród labiryntu uliczek. Bandyta zaprzestał daremnej pogoni i wrócił do szynku. Jednocześnie z nim weszły dwie osoby, zdyszane od szybkiego biegu.

– Do czorta! – rzekła jedna z nich – znowu nam znikł!

Goście ci rozmawiali po angielsku.

Gualeza, przerażona spotkaniem z Puchaczką i groźbami Bakalarza, skorzystała z zamieszania wywołanego przybyciem nowych gości i wymknęła się z szynku.

VI

Tom i Sara

Nowo przybyli pochodzili z lepszej klasy. Mężczyzna słusznego wzrostu, wysmukły, o rysach surowych, miał włosy prawie białe, a faworyty czarne, krepę na kapeluszu, angielski surdut, szaraczkowe spodnie i długie buty. Druga osoba, szczupła, blada, piękna, była również w żałobie; czarne włosy i oczy odbijały od bladej cery. Chód i drobne rysy zdradzały kobietę.

– Tom, każ coś dać i wypytaj tych ludzi o niego – odezwała się Sara po angielsku. Usiedli przy stole. Tom zawołał o wino.

Przybycie tych dwóch osób obudziło zainteresowanie. Ubiór ich i obejście dowodziły, że nie zwykli uczęszczać do takich garkuchni. Szuryner, Bakalarz i Puchaczka przyglądali się im z uwagą.

Tom zawołał powtórnie z niecierpliwością:

– Prosiłem o wino, moja pani.

Gospodyni, zdziwiona taką grzecznością, sama wdzięcząc się podała wino. Tom rzucił jej pięć franków.

– Schowaj to pani dla siebie i wypij z nami szklaneczkę. Ale – dodał – mieliśmy się zejść z kolegą w szynku na tej ulicy, możeśmy się omylili.

– To jest szynk „Pod Białym Królikiem”.

Tom rzucił znaczące spojrzenie na Sarę i rzekł:

– Właśnie „Pod Białym Królikiem”.

– A jak wygląda pański znajomy?

– Wysoki, szczupły, szatyn, ciemne wąsy...

– Zaraz, zaraz... tylko co tu był... lecz jakiś węglarz przyszedł po niego i razem wyszli.

– To oni! – zawołał Tom.

– Byli sami? – spytała Sara.

– Węglarz wszedł na chwilę, ten drugi jadł tutaj z Gualezą i Szurynerem – rzekła gospodyni, wskazując tego ostatniego.

Tom i Sara zwrócili uwagę na Szurynera. Sara spytała towarzysza po angielsku:

– Znasz tego człowieka?

– Nie. Karol zgubił ślad Rudolfa w tych ciemnych uliczkach, lecz widzę, że Murf, przebrany za węglarza, kręci się tutaj i zagląda do okna, przyszedł nas powiadomić...

Bakalarz, obserwując Toma i Sarę, szepnął do Puchaczki:

– Ten wysoki rzucił pięć franków gospodyni. Już niedługo północ, deszcz pada; ruszmy za nimi i zabierzmy pieniądze.

– Gdyby ten mały chciał krzyżeć, obleję mu twarz witriolem – rzekła Puchaczka, a po chwili dodała: – Jak jeszcze raz spotkamy Maryśkę, jej też wymyję twarz witriolem, żeby się nie pyszniła urodą.

– Niech mnie diabli wezmą – zawołał Bakalarz – muszę się z tobą ożenić! Któraż kobieta ma takie koncepty?...

Po chwili namysłu Sara powiedziała do Toma:

– Wypytajmy tego człowieka o Rudolfa.

– Ha, spróbujmy – odparł Tom, a obracając się do Szurynera, dodał: – Przyjacielu, mieliśmy się zejść w tym szynku z naszym przyjacielem, który tu z tobą wieczerzał; czy nie mógłbyś nam powiedzieć, dokąd poszedł? Dawno go znasz?

– Znam go, bo pobił mnie, broniąc Gualezy. Pierwszy raz go spotkałem przed domem Czerwonego Janka.

– Gospodyni, proszę jeszcze o butelkę najlepszego wina – zawołał Tom, siadając z Sarą obok Szurynera. – Szczególne imię... Czerwony Janek! Kto to taki?

– Przemysłnik – odpowiedział niedbale Szuryner. – Doskonałe wino, moja gosposiu.

Tom nalał mu wina.

– Pańskie zdrowie i jego przyjaciela!

Sara zarumieniła się lekko, a Tom znowu zagadnął:

– Mówiłeś, że Czerwony Janek trudni się...

– Kontrabandą; chlubi się swoim rzemiosłem przed celnikami... niechaj go złapią, jeżeli potrafią... ho! Czerwony Janek zna wybiegi!

– A dlaczegoż to Rudolf pobił pana? – zapytała Sara.

– A bo ja chciałem wybić Gualezę; niesprawiedliwie, bo to dobra dziewczyna; uciekła do domu Czerwonego Janka, ja za nią... wpadam na Rudolfa, który mi za to tego zapłacił... Do pioruna, oto mi bicie! No, ale obiecał i mnie nauczyć tego sposobu.

– Co on za handel prowadzi, ten Czerwony Janek?

– Hm! Sprzedaje wszystko, czego nie wolno sprzedawać, i robi wszystko, czego nie wolno robić.

– Pod którym numerem mieszka?

– Numer 13, ulica Grochowa.

Tom zapisał ulicę i numer domu przemysłnika.

– Możecie się szczyścić takim przyjacielem jak Rudolf – dodał Szuryner... – Gdyby nie węglarz, byłby nauczył tego Bakałarza, co tam w kącie coś szepcze z Puchaczką...

– Rudolf cię pobił, musisz go nienawidzić? – zapytała Sara.

– Ja? Nienawidzić takiego chwata? Szczególna rzecz... Bakałarz mnie pobił, cieszyłbym się, gdyby go kto także wytuzował!... Pan Rudolf lepiej mnie wybił... a mimo to dobrze mu życzę. W ogień poszedłbym dla niego.

– Mówisz to dlatego, że jest naszym przyjacielem...

– Nie, do pioruna!... Właśnie lubię go dlatego, że mnie wybił, a nie pyszni się tym! Aż serce rośnie, kiedy spojrzę... ma coś takiego w oczach...

Tom i Sara spojrzeli na siebie w milczeniu.

– Czy zawsze i wszędzie będzie wywierał ten niepojęty wpływ? – rzekła gorzko Sara.

– Zawsze... póki go nie odczarujemy... – odrzekł Tom.

Północ wybiła na ratuszu; szynkowa lampa rzucała słabe światło. Oprócz Szurynera, dwóch nieznanym, Bakałarza i Puchaczki, goście pomału rozeszli się do domów.

Bakałarz rzekł cicho do Puchaczki:

– Schowajmy się naprzeciwko, do sieni. Jak ci ichmościowie wyjdą, ruszymy za nimi.

– Cóż to, nic dziś nie pijecie? – zapytała gospodyni.

– Nie; przyszliśmy tylko schronić się przed deszczem – odpowiedział Bakałarz i wyszedł z Puchaczką.

VII

Pieniądze albo życie

Bakałarz i Puchaczka, mimo gwałtownego wiatru i ulewnego deszczu, zaczajeni w sieni naprzeciwko szynku, usłyszeli, jak Szuryner wyszedł i ruszył w stronę na pół rozwalonej rudery, lecz wkrótce wiatr i deszcz zagłuszył odgłos jego ciężkich kroków. Tom i Sara również wyszli i udali się w przeciwną stronę.

– Dobrze – szepnął Bakałarz do Puchaczki – przygotuj witriol i baczność!

– Pozdejmujemy trzewiki, żeby nie usłyszeli naszych kroków – odezwała się Puchaczka.

Obmierzła para zdjęła obuwie. Chociaż więc szli tuż za Tomem i Sara, stapania ich nie było słychać.

– Szczęściem fiakr na nas czeka – rzekł Tom.

Nagle się zatrzymał.

– Omyliłem się, trzeba było iść na lewo; musimy minąć rozwalony dom, nim dojdziemy do fiakra.

Bakałarz i Puchaczka rzucili się do bramy.

– Tym lepiej, niech idą koło rudery – rzekł Bakałarz.

Tom i Sara zbliżyli się do rozwalonego domu, którego piwnice tworzyły przepaść wzdłuż ulicy. Bakałarz rzucił się jak tygrys, pochwycił Toma za gardło i zawołał:

– Oddaj pieniądze albo cię strącę do tej jamy! – I popchnąwszy go w tył, zatrzymał nad piwnicą, drugą ręką ścisnął jak w kleszczach ręce Sary. Nim się obrócił, Puchaczka obdarła go. Sara powiedziała spokojnie do Toma:

– Oddaj im pieniądze. – A zwracając się do Bakałarza, dodała: – Nie wołamy pomocy, nie róbcie nam nic złego.

Puchaczka, przetrząsnąwszy kieszenie swych ofiar, rzekła do Sary: – Pokaż ręce, może masz pierścionki. Ani jednego... co za nędza!

Tom z zimną krwią, która go ani na chwilę nie odstępiała, rzekł do Bakałarza:

– Mam w pugilaresie ważne papiery, nic ci z nich nie przyjdzie; odnieś je jutro, a dam ci 25 luidorów.

– Aha! Żebyś mnie przytrzymał. Gadaj zdrów...

– Zaraz, zaraz – zawołała Puchaczka. – Jak będziesz grzeczny, można się ułożyć. Wiesz, gdzie jest Saint-Denis i Saint-Ouen?

– Wiem.

– Otóż przyjdź jutro rano sam jeden z pieniędzmi na pole przed Saint-Ouen; ja tam będę z pugilaresem.

– Ale on cię każe schwytać.

– Nie bój się; mam jedno oko, ale dobre, jeżeli kogokolwiek z nim zobaczę, zje diabła, nim mnie złapie.

Sara, jakby uderzona nagłą myślą, zapytała bandyty:

– Chcesz zarobić dużo pieniędzy?

– Zapewne.

– Widziałeś w szynku, gdzieśmy byli, człowieka, po którego przyszedł węglarz?

– Byłbym go uczęstował, ale mnie przewrócił na stół i uciekł. Dajcie mi tysiąc franków, a zabiję go.

– Saro!... – zawołał Tom ze strachem.

– Nie idzie tu o zabicie, nędzniku! – rzekła Sara. – Przyjdź jutro do Saint-Denis, będzie tam mój towarzysz sam jeden i powie ci, co trzeba zrobić, a jeśli ci się uda, dostaniesz nie tysiąc, ale dwa tysiące franków.

– Moja żona tam będzie; powiecie jej, co zrobić.

– A więc jutro o pierwszej.

Bakałarz z Puchaczką szybko się oddalili.

– Piekło nam nastreczyło tego bandytę, może nam usłużyć – rzekła Sara.

– Ja się boję – rzekł Tom.

– A ja mam nadzieję...

Pospieszyli ku kościołowi Najświętszej Marii Panny.

Szuryner, ukryty w ruderach, był świadkiem tej sceny. Dowiedziawszy się o zamiarach Sary i Bakałarza względem Rudolfa, zapragnął go ostrzec... Ale jak? Rozmyślając, machinalnie poszedł za Tomem i Sara, a widząc, że wsiadają do fiakra, siadł z tyłu. O godzinie pierwszej fiakr zatrzymał się na bulwarze Obserwatorium. Tom i Sara zniknęli w nie oświetlonej uliczce.

Noc była nadzwyczaj ciemna, Szuryner nie mógł rozpoznać miejsca; z przebiegłością więc dzikiego Indianina dobył noża, szeroko zaciął drzewo, przy którym zatrzymał się powóz, i wrócił do siebie.

VIII

Przejażdżka

Nazajutrz, po nocnej burzy, zajaśniało piękne jesienne słońce. Około jedenastej Rudolf poszedł na ulicę Grochową do szynku „Pod Białym Królikiem”. Ubrany był jak robotnik, ale z pewną starannością: miał nową bluzę, czarną jedwabną chustkę niedbale związaną, a na niej wywinęty kołnierz od koszuli. Strój ten harmonizował z miłym obejściem Rudolfa, w którym swoboda łączyła się z siłą i zręcznością.

Gospodyni siedziała przed domem.

– Do usług pańskich... chcesz pan zapewne reszty z dwudziestu franków? – zapytała z uszanowaniem. – Należy ci się siedemnaście liwrow i dziesięć sous... Ale, ale... pytano tu wczoraj o pana; jakiś wysoki jegomość z kobietą przebraną za mężczyznę... Pili z Szurynerem.

– Z Szurynerem? I o czymże z nim mówili?

– O różnych rzeczach: o Czerwonym Janku, o pogodzie. Chcesz reszty?

– Tak, i wezmę z sobą Gualezę na cały dzień na wieś.

– Nie można, mój chłopcze. Boby nie wróciła. W moich sukniach chodzi i winna mi dwieście dwadzieścia franków za stół i mieszkanie.

– Masz tu pieniądze – rzekł Rudolf, rzucając na stół jedenaście luidorów. – A ile kosztują wypożyczone suknie?

Szynkarka, zdziwiona, z niedowierzaniem oglądała luidory.

– Myślisz, że fałszywe? To poślij zmienić i basta...

– Jej suknie kosztują przynajmniej sto franków.

– Takie łachmany? Masz, do wczorajszej zapłaty dodam ci jeszcze luidora i koniec.

– To nie dam sukien i Gualeza stąd nie wyjdzie.

– A niech cię! Masz pieniądze i zawołaj mi Gualezę. Powiedz, że pojedzie ze mną na wieś... nic więcej... A zwłaszcza niech nie wie, żem zapłacił jej długi.

– Mnie wszystko jedno, nawet lepiej. Niech myśli, że jest jeszcze w moim ręku. – I wyszła, a po chwili wróciwszy, zawołała: – Gualeza nie chciała mi wierzyć i cała stanęła w płomieniach, jak się dowiedziała, żeś przyszedł. Ale kiedyś powiedziała, że jej wolno na cały dzień jechać na wieś... pierwszy raz w życiu chciała mi się rzucić na szyję.

– Z radości, że się ciebie pozbędzie.

W tej chwili weszła Gualeza. Na widok Rudolfa zarumieniła się i spuściła oczy.

– Czy chciałabyś, moje dziecko, pojechać ze mną na cały dzień na wieś? – spytał Rudolf.

– Bardzo chętnie, jeżeli gospodyni pozwoli.

– Pozwalam ci, moja koteczko, za twoje przykładne postępowanie...

Gdy wyszli, Rudolf zapytał:

– Powiedz mi, w którą stronę pojechać?

– Wszystko mi jedno, byle na wieś... Już sześć tygodni nie byłam dalej jak na rynku z kwiatami.

– Kupowałaś kwiaty?

– O, nie, chodzę tylko popatrzeć na nie... Na kupno nie mam pieniędzy...

– Gdybyś miała kwiaty u siebie, byłabyś wesola...

– Niezawodnie.... Raz, w dzień imienin, gospodyni podarowała mi doniczkę róż... Patrzyłam ciągle na nie, liczyłam ich płatki; ale... w parę dni róże zaczęły więdnąć. Ubłagałam go-

spodnię, żeby mi pozwoliła pielęgnować moje kwiatki na świeżym powietrzu... Dokazałam tyle, że o dziesięć dni przedłużyła ich życie. W końcu uschły, umarły... Płakałam... Prawda, panie, że można kochać kwiaty?

– Biedna! Z takim sercem i w tak okropnym położeniu...

– Nieraz chciałam już skończyć! Patrzyłam z okna w Sekwanę... Lecz słońce, kwiaty powstrzymywały mnie; mówiłam sobie: Sekwana mi nie ucieknie, mam dopiero szesnaście lat. Kto wie, co mnie czeka?

– Miałaś więc nadzieję? Czegóż się spodziewałaś?

– Czy ja wiem?... Myślałam, że znajdę jakąś pracę i ucieknę od szynkarki. Mówiłam sobie: żyję w nędzy, ale przynajmniej nikogo dotąd nie skrzywdziłam. To mnie trochę pocieszało, zwłaszcza wtedy, kiedy mi róże poschły.

Dobyła kilka gałązek, starannie związanych różową wstążką.

– Chowasz je?

– A pewnie. To cały mój majątek.

– I nie masz nic poza tym? A te korale?

– Należą do gospodyni. Nic, nic, tylko te zeschłe róże... dlatego ich tak pilnuję. Za każdym słowem Gualezy zdumienie Rudolfa wzrastało. Nie mógł pojąć, jak można poświęcić siebie za nędzny przytułek, kilka łachmanów i szkaradne pożywienie. Na rynku z kwiatami wsiadł z dziewczyną do fiakra i kazał jechać do Saint-Denis.

– Co to jest? Salopa damska? – zawołała Gualeza, spostrzegłszy salopę, leżącą na siedzeniu.

– To dla ciebie, okryj się, żebyś się nie zaziębiła.

Nienawykła do takiej grzeczności, biedna dziewczyna ze zdziwieniem spojrzała na Rudolfa.

– Już pewnie, Gualezo, zapomniałaś, co ci Puchaczka mówiła wczoraj o twoich rodzicach...

– O, nie zapomniałam... myślałam o tym przez całą noc i płakałam... Ale to musi być nieprawda...

– Dlaczego? Cieszyłabyś się, gdybyś znalazła matkę?

– Ach, mój Boże! Jeżeli mnie matka nie kochała... cóż by mi z tego przyszło... A jeżeli mnie kocha, to lepiej, aby myślała, iż nie żyję. Byłabym dla niej zmartwieniem i hańbą...

– Mylisz się; jeżeli cię matka kocha, to ci teraz przebaczy i przywiązanie wróci. Jeżeli cię sama porzuciła, to zobaczy, jak okropny los ci zgotowała...

W tej chwili powóz zbliżył się do Saint-Ouen, gdzie droga skręca ku Saint-Denis. Gualeza wychyliła się przez drzwiczki i klaszcząc w ręce, wołała:

– Co za szczęście! Pola! Trawa! Niech mi pan pozwoli wysiąść... tu tak pięknie... Pobiegam po łące.

– Ależ dobrze, moje dziecko...

Powóz stanął.

Rudolf i Gualeza, wzięwszy się za ręce, biegali po skoszonej tace. Niepodobna opisać płasów, okrzyków radości i uniesień Gualezy; biedna, więziona przez tyle lat, chciwie połykała świeże powietrze. Lecz ruch prędko ją zmęczył; usiadła bez tchu na wywróconym pniu.

Cera jej przezroczyta, blada okryła się żywym rumieńcem; podała Rudolfowi pęczek kwiatów i z wdzięcznością zawołała:

– Jaki Bóg dobry, że dał nam taki piękny dzień!

Rudolfowi łza stanęła w oku.

IX

Niespodziewany wypadek

Nagle z rowu, niedaleko którego siedziała Gualeza, podniósł się człowiek. Dziewczyna krzyknęła ze strachu – poznała Szurynera.

– Nie bój się, dziecko!... – rzekł Szuryner. – Co za dziwne spotkanie! Panie Rudolfie... Są na świecie rzeczy niepojęte...

– Co tu robisz? – zapytał zdziwiony Rudolf.

– Pilnuję twego dobra, panie. Zaraz się dowiesz, o co idzie, tylko coś zobaczę – Szuryner pobiegnął do fiakra, wlażł na pudło i rzuciwszy okiem dokoła, wrócił.

– Która godzina?

– Wpół do pierwszej – odpowiedział Rudolf.

– Dobrze, mamy jeszcze czas... Trzeba ci, panie, wiedzieć, że po twoim wyjściu z szynkowni przyszedł...

– Człowiek słusznego wzrostu z kobietą w męskim ubiorze i pytali o mnie; wiem o tym.

– Potem częstowali mnie winem i chcieli się czegoś dowiedzieć o tobie, ale ja nic im nie powiedziałem. Choćbym i wiedział co... nic by się nie dowiedzieli... Jam twój przyjaciel na zawsze, panie Rudolfie!

– Dziękuję ci, mój kochany, ale cóż dalej?

– Piłem już z tobą, panie Rudolfie, potem z tym wysokim drabem i przebraną kobietą... głowa mi trochę ciążyła, a przy tym deszcz zwykle mnie usypia... Poszedłem do piwnic tej rudery obok garkuchni i zacząłem drzemać, gdy wtem przebudził mnie jakiś hałas... Usłyszałem głosy tych państwa...

– Rozmawiali z Bakalarzem i Puchaczką?

– Tak jest; ułożyli między sobą, że się zejdą nazajutrz... o pierwszej, przy zakręcie drogi do Saint-Denis, tu właśnie.

– Jak ten człowiek mógł się wdać z takimi nędznikami?! – zawołał Rudolf.

– Dalibóg, nie wiem... Zresztą ja się już pod koniec rozmowy obudziłem, kiedy wysoki mówił o pugilaresie, co mu Puchaczka wyjęła z kieszeni i ma oddać za pięćset franków. Wysoki i ta mała – mówił dalej Szuryner – obiecali Bakalarzowi dwa tysiące franków... żeby ci co zrobił... A któż pan jesteś, u diabła, żeby tak drogo za ciebie płacić?

– Wynałazłem sekret wyrabiania wachlarzy z kości słoniowej, ale odkryłem go nie sam, tylko z kimś jeszcze; chcą zapewne dostać w ręce model tej maszyny, którą można zarobić dużo pieniędzy.

– Więc ten wysoki i ta mała?...

– To fabrykanci, u których pracowałem... a nie chciałem im się zwierzyć z mego sekretu.

– Zatem to taki interes. Ale jacyż tchórze!... Nie mogli sami poradzić i innych na ciebie podmawiają... postanowiłem tu przyjść i jestem...

– Ale co myślisz dalej robić?

– Czekać na Puchaczkę, podsłuchać, wpaść, zapłacić jej za ząb Gualazy, wydusić z niej nazwisko rodziców dziewczyny...

– Proszę cię, nie narażaj się dla mnie, Szurynerze – odezwała się Gualeza.

– Słuchaj, ja się lepiej zemszczę za Gualezę... Później ci powiem jak, a teraz – dodał Rudolf, odprowadzając na bok Szurynera – chcesz mi zrobić prawdziwą przysługę? Schowaj się tu, a jak Puchaczka nadejdzie, wysuniesz się z kryjówki...

- I zaduszę ją...
 - Nie... dziś tylko nie daj jej rozmawiać z tym wysokim... nie odstępuj ich... przy tobie nie będą się mogli układać. A jeżeliby się umówili gdzie indziej, dowiesz się o tym.
 - A co potem?
 - Jak wysoki odejdzie... umizgniesz się do Puchaczki.
 - Ja? Do tej starej czarownicy? Wolałbym ją zaraz za łeb złapać.
 - W takim razie wszystko na nic...
 - Lecz cóż mam robić?
 - Puchaczka będzie się wściekać, że przez ciebie straciła taką gratkę; ułagodzisz ją, powiesz, że masz dobry interes i że jeżeli Bakałarz chciałby do tego należeć... można by dużo pieniędzy zarobić... i umówisz się z Puchaczką i Bakałarzem na jutro rano... rozumiesz?
 - Doskonale.
 - A dziś o dziesiątej wieczór przyjdź na róg Pól Elizejskich i Wdowiej Alei; ja tam będę i umówimy się, co dalej robić...
 - Do pioruna! Robisz ze mną, co sam chcesz...
 - Bakałarz i Puchaczka są w zмовie z moimi nieprzyjaciółmi... trzeba im zapłacić... a we dwóch damy im radę...
 - O! Niezawodnie... to łotry... godni siebie... jestem gotów.'
 - A jeżeli nam się uda – dodał Rudolf uroczystym tonem – to możesz być z tego tak dumny, jak wtedy, kiedyś uratował życie tonącej kobiecie i człowiekowi w czasie pożaru.
- Po czym Rudolf z Gualezą wsiedli do fiakra.

X

Folwark

Przez jakiś czas Gualeza nie śmiała przerywać milczenia.

– O czymże myślisz? Zasmuciło cię spotkanie z Szurynerem? – rzekł Rudolf z uśmiechem.

– Nie wiem... nie znam go prawie.

– Precz ze smutkiem, moje dziecię! Mieliśmy ten dzień spędzić wesoło.

– O! Jestem tak szczęśliwa! Już dawno nie wyjeżdżałam z Paryża! Co za piękne słońce!... Liście jeszcze na drzewach w listopadzie... to szczególne... w Paryżu tak prędko opadają... A tam gołębie... siadają na młynie.

W miarę jak miłe, sielskie obrazy rozwijały się przed dziewczyną, twarz jej się rozjaśniała.

– Gdybym była mężczyzną, chciałabym być rolnikiem... Na cichej równinie iść za pługiem... patrzeć na dalekie lasy... zaśpiewać jaką smutną piosenkę, na przykład o Genowefie Brabanckiej.

– Zaśpiewasz mi ją potem.

– Ach, panie Rudolfie, nie mogę sobie jeszcze wierzyć. Co za dzień! – zawołała dziewczyna z radością. Lecz ciągle widocznie coś sobie przypominając, zalała się rzewnymi łzami.

– Co ci jest? Czemu płaczesz?

– Nic, nic. – Otarła łzy i dodała: – Niech pan nie zważa na mój smutek...

– Założyłbym się, że myślałaś o twoich różach?

Powóz zbliżał się do Saint-Denis.

– Co za piękna dzwonnica!

– To dzwonnica kościoła Świętego Dionizego. Może chcesz go zobaczyć? Każę stanąć.

– Od czasu, jak mieszkam u szynkarki, nie śmiałam wejść do kościoła.

– Bóg jest litościwy! Dlaczego boisz się modlić?

– O! Nie... dosyć już obrażam Pana Boga.

Po chwili milczenia Rudolf zapytał Gualezę:

– Czy kochałaś już kiedy?

– Nigdy! Żeby kochać, trzeba być uczciwą... Ale nie, nie mówmy o tym.

– Dobrze, mówmy o czym innym... Sprawilem ci przykrość?

– Pan jest tak dobry dla mnie, że mi się chce płakać... Wziął mnie pan na wieś dla mojej przyjemności... Nieprędko zapomnę tak wielkie szczęście.

– Szczęście rzadko się zdarza! Ja, jeżeli nie jestem szczęśliwy, przynajmniej często marzę o szczęściu. Chciałbym być bardzo bogaty; mieć powozy... żyć w wielkim świecie, co dzień chodzić do teatru. A ty?

– Ja nie żądam tak wiele. Bylebym miała czym zapłacić mojej gospodyni... trochę pieniędzy, schludny pokój.

– I dużo kwiatów w oknie?

– O, koniecznie!...

– Lecz skoro marzyć, to można sobie na coś więcej pozwolić... Piękne suknie?...

– Niekoniecznie... Chcę tylko być wolna, mieszkać na wsi, a nade wszystko... umierać nie w szpitalu... To okropna myśl!... My, biedni ludzie... Moja znajoma umarła w szpitalu... a jej ciało... oddano chirurgom! – szepnęła ze strachem Gualeza.

– Ach! To okropne!...

- Daruj pan... Jedziemy na wieś, żeby się rozweselić, a ja ciągle mówię o tak smutnych rzeczach, mój Boże, mimo mej woli. Nigdy nie byłam tak szczęśliwa jak dzisiaj, a jednak ciągle mam łzy w oczach... Pewno się za to gniewasz? Chcę być wesoła...
- Nie zmuszaj się dla mnie, bądź wesoła albo smutna, jak ci się podoba...
- I pan czasem jest smutny?
- Bez wątpienia! Moja przyszłość także jest niepewna... Nie mam ojca ani matki... Co za-robuję, to wydaję.
- Źle pan robi, bardzo źle – rzekła Gualeza z powagą – trzeba oszczędzać... Nędza najczęściej przywodzi do złego.
- Prawda, prawda!
- Trzeba zawsze pracować. Alboż to twoja praca tak ciężka, panie Rudolfie?... To rozrywka... malować wachlarze... Z trzech franków można dostatnio żyć; oszczędzić więc dwa franki na dzień, sześćdziesiąt franków przez miesiąc... toć to ogromna suma!
- Lecz tak miło włóczyć się, nic nie robić!
- Fe! Pan mówi jak dziecko!
- Dobrze, poprawię się, moja ty nauczycielko... dajesz mi dobre rady...
- Doprawdy? – zawołała dziewczyna, klaszcząc w ręce z radości. – Ale to nie wszystko... powiedziałałabym panu... lecz nie śmiem.
- Nie bój się, wszystko możesz powiedzieć.
- Otóż... jak możesz chodzić do tak brudnych szynków?
- Gdybym tam nie wszedł, nie wyjechałbym dziś z tobą za miasto. Jakkolwiek bądź, dobrze na tym wyszedłem, boś mi dała tak pożyteczne rady!

XI

Marzenia

Właśnie fiakr mijał wioskę Sarcelles. Rudolf kazał zawrócić na prawo i za Villiers-le-Bel wziąć się na lewo.

– A teraz, kiedy już obiecałem poprawę, możemy stawiać zamki na lodzie. To nic nie kosztuje, więc pozwolisz mi być rozrzutnym. Dajmy na to, że ta droga prowadzi do wioski, zupełnie oddalonej od traktu... Wioska stoi wśród ślicznych drzew na pochyłości niewielkiego wzgórza.

– A opodal rzeka.

– Tak właśnie... mała rzeczka... Na końcu wioski piękny folwark, otoczony ogrodem owocowym i klombami kwiatów.

– A na folwarku będzie można dostać mleka?

– Mleka?... Najlepszej śmietanki i świeżych jaj.

– Obejrzymy krowy w oborze... Nieprawdaż?

– Pójdziemy wszędzie.

– A dom będzie miał zielone okiennice...

– Zgoda... nie ma nic piękniejszego nad zielone okiennice. Pani tego folwarku byłaby twoją ciotką.

– Jak ja bym ją kochała! – zawołała Gualeza składając ręce i podnosząc oczy do nieba z wyrazem najwyższego szczęścia. – Będę ją kochać, będę jej pomagać w gospodarstwie, szyć, prać, chować owoce na zimę... Słucham dalej.

– Na pierwszym piętrze twój pokój.

– Mój pokój! Co za szczęście! I jakiz jest mój pokój?

– Ma dwa okna, z których widać ogród, łąkę, wieżę kościoła. Na łące pasie się kilka krów.

– Ach! Ślicznie! A między nimi jedna będzie moją ulubienicą; przywiążę jej na szyi dzwonek na pięknej wstążce.

– Tak, to biała krówka i będzie się nazywać Białoszka.

– O, jak ładnie!

– Ale skończmy twój pokój. Obicie w kwiaty. Róże i powój pną się po ścianach domu. Tylko rękę wyciągniesz, masz bukiet gotowy.

– Jak pięknie umiesz malować, panie Rudolfie!

– A teraz, co będziesz robiła przez cały dzień, Naprzód ciotka obudzi cię pocałunkiem i poda ci szklankę ciepłego mleka, bo masz słabe piersi. Wstaniesz, obejdiesz folwark, odwiedzisz Białoszkę, kury, gołębie, kwiaty... O dziesiątej przyjdzie nauczyciel kaligrafii.

– Do mnie?

– A tak, musisz przecież umieć czytać, pisać, rachować, żeby pomagać cioci w gospodarstwie. Po lekcji będziesz szyć. Około drugiej weźmiesz się do pisania, potem pójdziesz z ciotką, w lecie do żniwiarzy, na jesieni zobaczyć, jak orzą. Wracasz znużona koło siódmej. W kuchni pali się wielki ogień, ogrzejesz się tam i pomówisz z poczciwymi rolnikami. Potem pójdziesz na obiad, na który czasem zaprosicie i poczciwego staruszka proboszcza. Potem będziesz czytać, a o dziesiątej powiesz cioci dobranoc i wrócisz do siebie. Nazajutrz znowu to samo...

– O, sto lat można tak żyć i nie nudzić się!

– To jeszcze nic; a niedziela! A święta! Wtedy ubierzesz się pięknie, w ładną suknią, w czepeczek, i z ciotką i służącym Jakubem pojedziecie małym powozikiem wysłuchać mszy. Potem pójdziesz na zabawę. Wszyscy chłopcy dobijają się o taniec tobą, boś ładna, zgrabna, rozsądna, skromna... Na koniec i tobie jeden bardziej się spodoba... i...

Rudolf, zdziwiony milczeniem Gualezy, spojrział na nią... Biedaczka z trudem stłumiła łkania.

– Co ci jest?

– Ach! Niechący zadał mi pan straszny ból. Już zaczynałam wierzyć w ten raj...

– Ależ, moje dziecko, ten raj istnieje... Patrz, widzisz go przed sobą!... Hej tam, stanąć!

Powóz się zatrzymał. Gualeza podniosła oczy i oniemiała. Wioska na zboczu wzgórza, folwark, łąka, krowy, rzeczka, w dali kościół wśród kasztanów; wszystko tam było, nawet biała krówka, przysła ulubienica Gualezy.

– A co, umiem malować? – spytał Rudolf z uśmiechem.

– Cóż to? Ale, mój Boże, to sen!...

– I cóż dziwnego?... Gospodyni jest moją mamką... dziś rano dałem jej znać, że ją odwiedzimy... rysowałem z natury...

– Ach... tak – odpowiedziała Gualeza z głębokim westchnieniem.

XII

W Bouqueval

Folwark, do którego Rudolf wiozł Gualezę, znajdował się na samym końcu wioski Bouqueval, nieznannej, leżącej w cichym ustroniu o dwie mile od miasteczka Ecoeu. Powóz przebył aleję drzew wiśniowych i jabłoni i zatrzymał się przy małych wrotach, na pół ukrytych pod gęstą latoroślą winną.

– Jużeśmy stanęli na miejscu – rzekł Rudolf.

W folwarku oczekiwano zapewne Rudolfa, bo zaledwie woźnica otworzył drzwiczki po pojazdu, wnet ukazała się na progu kobieta pięćdziesięcioletnia, w stroju, jaki zwykle noszą zamożne gospodynie wiejskie z okolic Paryża, i zbliżyła się z uszanowaniem do Rudolfa. Gualeza, zarumieniona, nie bez wahania wysiadła z powozu.

– Jak się masz, moja dobra pani George? – rzekł Rudolf. – Widzisz, jak dotrzymuję słowa?

I zapłaciwszy woźnicy, odprawił go do Paryża. Woźnica był to niski, barczysty mężczyzna, a naciśnięty na oczy kapelusz i podniesiony kołnierz od płaszcza zupełnie mu zakrywały twarz; zaciął konie i szybko odjechał.

„Po tak długiej drodze... odjeżdża nie zatrzymując się?... Co to ma znaczyć?... Widać bardzo mu pilno...” – pomyślał Rudolf.

Gualeza, niespokojna, prawie przestraszona, zbliżyła się do niego i szepnęła:

– Odesłał pan powóz... a moja gospodyni?... Muszę dziś wieczór do niej wrócić, inaczej posądziłaby mnie o kradzież...

– Daruj mi, moje dziecko, żem ci wcześniej nie powiedział: już nic nikomu nie jesteś winna; zrzuc te brudne suknie... Dobra pani George da ci inne...

– Jak to, już nie wrócę do Paryża?... Pani mi pozwoli zostać?... Nie... to za wiele szczęścia!

– Szczęścia nigdy nie może być za wiele.

– Ach! Nie zwódź mnie, panie Rudolfie!

– Wierz mi, moje dziecko – odpowiedział Rudolf z tkliwością i powagą – tak jest... jeżeli chcesz, od dziś możesz przy pani George prowadzić to spokojne życie, o którym marzyłaś.

Gualeza załamała ręce; zdziwienie, radość, wdzięczność malowały się na jej twarzy.

– Kim pan jesteś, panie Rudolfie? Musisz być chyba aniołem – zawołała ze łzami.

– Moje dziecko – odpowiedział Rudolf ze smutnym uśmiechem – dużo cierpiałem i dlatego cierpiący mają we mnie opiekuna... Mario! Tak, zachowaj to imię... idź teraz z panią George. Przed odjazdem pomówię jeszcze z tobą, a potem odjadę, szczęśliwy twoim szczęściem.

Maria nic nie odpowiedziała. Zbliżyła się do Rudolfa i z wdziękiem przycisnąwszy do ust jego rękę, odeszła z panią George.

XIII

Murf i Rudolf

Wyszedłszy na dziedziniec, Rudolf spotkał człowieka, który wczoraj, przebrany za węglarza, uwiadomił go o przybyciu Toma i Sary. Nazywał się on Murf, mógł mieć lat pięćdziesiąt, był prawie zupełnie łysy, tylko na skroniach bieliło mu się trochę włosów; wyraz twarzy pozwalał domyślać się człowieka powolnego, dobrego, a zarazem energicznego. Ubrany był w białą kamizelkę, długi, czarny surdut z szerokimi połami, a na szyi miał białą chustkę. Z ubioru i postawy wyglądał na angielskiego szlachcica. Właśnie wkładał pistolet do bocznej kieszeni podróżnego płaszcza.

– Na co ta broń? – spytał Rudolf.

– To moja rzecz... Wasza Księżęca Mość powinien zajmować się nie moimi sprawami, ale swoimi własnymi.

– Na kiedy zamówiłeś konie?

– Przyjdą o zmroku, jak mi rozkazano.

– Cóż to, jesteś w złym humorze?...

– Bynajmniej... co mi do tego?... ale czy Księżę nie możesz żyć bez niebezpieczeństw?...

– Mój kochany Murfie, źle się wybrałeś z kazaniem. Bo dziś jestem tak szczęśliwy, tak dumny... Czy można być szczęśliwszym niż ja dzisiaj, kiedy ta biedaczka, otrzymawszy tu schronienie, z wdzięcznością pocałowała mnie w rękę?... Ale to nie dość; szczęście to potrwa długo...

– O! Pani George to szlachetna, cnotliwa kobieta; nikt nie jest od niej bardziej godny dobrodziejstwa... Lecz ta nowa wychowanka... Zresztą nie mówmy o tym...

– Murf! – zawołał Rudolf z coraz większym gniewem. – Wiesz, że lubię otwartość. Jeżeli pozwalam ci na poufałość, to jedynie pod warunkiem zupełnej szczerości. Mów, coś chciał powiedzieć. Mów mi w tej chwili!

– Mości Księżę! Mam pięćdziesiąt lat i jestem szlachcicem; nie wypadałoby tak do mnie mówić.

– Mile!

– Księżę! Zmuszasz mnie do przypomnienia zasług!

– Twoje zasługi! Alboż ci nie płacę za nie?

Murf zaczerwienił się ze wstydu; lecz nagle, spojrzawszy z wyrazem bóleści i oburzenia na pełną pogardy twarz Rudolfa, stłumił westchnienie, popatrzył na niego prawie z litością i rzekł:

– Księżę, przyjdź do siebie! Straciłeś panowanie nad sobą!...

– Jak śmiesz!...

Murf cofnął się i rzekł żywo, jakby mimo woli:

– Księżę! Przypomnij sobie dzień 13 stycznia.

Słowa te cudowny skutek wywarły na Rudolfie, spojrzął w oczy Murfowi, schylił głowę i po chwili milczenia powiedział zmienionym głosem:

– O! Jesteś okrutny!... Sądziłem jednak, że mój żal, wyrzuty sumienia... lecz ty jeszcze pamiętasz...

Nie mógł dokończyć, głos zamarł mu w piersiach, upadł na kamienną ławkę i zakrył twarz, rękoma.

– Panie – zawołał Murf w rozpacz – mój dobry panie, daruj mi, daruj twemu staremu Murfowi. Ale doprowadziłeś mnie do ostateczności... Przez litość, daruj mi, żem ci przypomniał ten nieszczęsny dzień.

– Dość, dość, stary przyjacielu; dziękuję ci; jednym słowem położyłeś granicę moim zapędom. Lecz cicho!... Nadchodzi pani George z Marią...

XIV

Pożegnanie

Dzięki staraniom pani George Maria zmieniła się nie do poznania. Rudolf nie powiedział jej, jak pięknie wygląda w nowym stroju; czuł całą wagę tej chwili w życiu Marii.

– Moja córka przychodzi panu podziękować – rzekła pani George przedstawiając Marię Rudolfowi.

– Dziękuję pani w jej imieniu; godna jest tkliwych pani względów i zawsze będzie na nie zasługiwać.

– Panie Rudolfie – odrzekła Maria drżącym głosem – pojmujesz dobrze, że nie umiem ci wyrazić, co czuję...

– Twoje wzruszenie dosyć mi mówi...

– Wie ona dobrze, że jej terazniejsze szczęście pochodzi od Boga – rzekła pani George. – Skoro weszła do mego pokoju, padła na kolana przed krzyżem.

– Bo teraz dzięki panu Rudolfowi będę mogła się modlić – odpowiedziała Maria, spojrzawszy na swojego dobroczyńcę.

Murf odwrócił się; jako prawdziwy Anglik, nie chciał dać poznać, jak go rozrzewniły te proste słowa Marii.

– Mój przyjaciel Murf oprowadzi cię po folwarku. Za chwilę i my przyjdziemy do was. Murf! Cóż to, nie słyszysz? – rzekł Rudolf.

Pocciwy Anglik stał obrócony do ściany i niby z hałasem nos ucierał. Oddalił się tak szybko, że Maria prawie biec za nim musiała.

– Cóż pani myśli o Marii? – zapytał Rudolf.

– Bardzo mi się podoba i już ją serdecznie polubiłam. Kiedy zapytałam, czy nie chciałaby wiedzieć, kim jest jej tajemniczy opiekun, odpowiedziała mi z uroczą prostotą: „Wiem, to mój dobroczyńca!”

– Będzie ją więc pani kochać?

– O, tak, zajmę się nią, jakbym się nim zajmowała – odpowiedziała pani George rozdzierającym głosem.

Rudolf wziął ją za rękę i rzekł:

– Dotąd nic nie odkryliśmy, ale miejmy nadzieję... Pani George smutnie potrząsnęła głową:

– Mój syn miałby dziś dwadzieścia lat.

– Chodziłem wczoraj szukać człowieka zwanego Czerwonym Jankiem! Podobno on coś wie o synu pani; nie zastałem go w domu. Wychodząc od niego, spotkałem Marię. Od dawna już wybierałem się do tej dzielnicy, pewny, że potrafię wyrwać kilka dusz ze szponów szatana... Lubię wydzierać mu smaczne kąski. A nie miała pani żadnej wiadomości z Tulonu?

– Żadnej.

– Tym lepiej!... Zapewne utonął w czasie ucieczki. Bo inaczej... zbyt jest znany, żeby zdołał się ukrywać od sześciu miesięcy, jak uszedł z... – urwał, lecz pani George zawołała z rozpaczą:

– Dokończ pan: „z galer!”... Ojciec mego syna! Ach! Jeżeli syn mój żyje i nie zmienił nazwiska, co za hańba! Czasem strach mnie ogarnia. Wyobrażam sobie, że memu mężowi udało się zbiec z Rochefort, że mnie szuka, że mnie chce zabić, jak zabił może naszego syna.

– Nie rozumiem, po co brał z sobą syna, kiedy przed piętnastu laty zamierzał uciec za granicę. Dziecko mogło mu być tylko przeszkodą.

– Alboż nie powiedział mi w więzieniu: „Wziąłem syna, bo go kochasz, bo będziesz mi dla niego przysyłać pieniądze, a ode mnie zależeć będzie, czy mu je dać, czy nie. Jest w dobrych rękach; na ciebie spadnie hańba syna, jak już spadła hańba męża”. W miesiąc potem skazano go na galery. I darmo błagałam, nie chciał mi wskazać, gdzie jest dziecko.

– Czy nic miał żadnych szczególnych znaków, po których można by go poznać?

– Włożyłam mu na szyję niebieski krzyżyk na srebrnym łańcuszku; matka moja nosiła go i kazała mi nie rozstawać się z nim nigdy...

– Co za szkoda, żem wcześniej pani nie poznał. Może potrafiłbym oszczędzić ci cierpień.

– Czyż i tak nie obsypałeś mnie dobrodziejstwami?

– Jakimi? Kupiłem ten folwark i dzięki twoim staraniom i skrzętności przynosi mi rocznie...

– Przynosi panu? – przerwała pani George. – Przecież dzierżawę oddaję księdzu Laporte, a on ją podług pańskiej woli rozdaje na jałmużny.

– Wszakże i to piękny dochód... Czy zawiadomiła pani księdza Laporte o moim przybyciu? Odebrał mój list?

W tej chwili służący oznajmił, że ksiądz proboszcz Laporte czeka w sali.

Przed domem Rudolf i pani George spotkali się z powracającymi Murfem i Marią, Poczciwy Anglik prawie ze wstydem zbliżył się do Rudolfa i szepnął mu:

– Oczarowała mnie ta dziewczyna...

Rudolf uśmiechnął się. Murf odszedł, aby przyspieszyć przygotowania do wyjazdu, a Rudolf, Maria i pani George weszli do małej salki. Podłoga zasłana była dywanem, suty ogień palił się na kominku.

Przy kominku siedział ksiądz Laporte, osiemdziesięcioletni starzec. Na twarzy szanownego starca, od czterdziestu lat proboszcza tej ubogiej parafii, wryte były ślady cierpienia. Ręce mu drżały ze starości. Kiedy je podniósł, zdawało się, że błogosławi.

– Księżę proboszczu – rzekł Rudolf z uszanowaniem – pani George podjęła się opiekować tą młodą dziewczyną, a ja polecam ją łasce księdza.

– Ma do niej zupełne prawo! Staraj się zasłużyć dobrym postępowaniem na łaskę boską, moje dziecko; ja będę cię wspierał na dobrej drodze... – mówił, trzymając Marię za rękę – W pani George znajdziesz przykład... we mnie doradcę, a Bóg dokończy wszystkiego...

Maria łkając rzuciła się na kolana przed starcem.

– Wstań, dziecko, zasłużysz na odpuszczenie błędów, których byłeś raczej ofiarą niżeli sprawczynią.

– Bądź zdrowa, Mario! – rzekł Rudolf. – Przyjmij ten złoty krzyżyk. Schowaj go na pamiętkę. Kazałem na nim wyryć datę twego wybawienia...

Maria podniosła krzyżyk do ust. W tej chwili Murf otworzył drzwi salonu.

– Konie czekają – powiedział.

– Do widzenia, księżę proboszczu... do widzenia, pani George... Jeszcze raz bądź zdrowa, Mario!...

Szanowny starzec, oparty na pani George i Marii, wyszedł za Rudolfem. Ostatnie promienie zachodzącego słońca rzucały blask na tę grupę. Staruszek ksiądz – symbol miłosierdzia; kobieta, która przeżyła otchłań bólu nieszczęśliwej małżonki i matki; młoda dziewczyna, le-dwie wyrosła z dzieciństwa, którą nędza i złość ludzka strąciły w przepaść występku.

Rudolf wsiadł do pojazdu z Murfem i konie puściły się galopem.

XV

Schadzka

Nazajutrz w południe Rudolf w ubiorze rzemieślnika stał przed traktiernią „Pod Koszem Kwiatów”, mieszczącą się na rogatkach Berey. Poprzedniego wieczora Szuryner stawiał się na umówione miejsce. Z dalszego ciągu powieści dowiemy się o rezultatach tego spotkania.

Było więc południe, deszcz lał strumieniami; Sekwana przybrała i wystąpiła aż na przybrzeżne ulice. Rudolf niecierpliwie spoglądał ku rogatkom. Na koniec spostrzegł z daleka dwoje ludzi idących pod parasolem; byli to Bakalarz i Puchaczka.

Gdy Rudolf się zbliżył, tamci ukłonili mu się grzecznie.

– Sługa pański – rzekł bandyta... – bardzo mi przyjemnie poznać pana, a raczej odnowić znajomość... bo przedwczoraj uraczyłeś mnie pan dwoma kułakami, które wołu z nóg by zwały... Ale zapomnijmy o tym, to był żart... A więc, panie Rudolfie, może by tak wstąpić do traktierni? Pogadamy przy śniadaniu.

– Doskonale.

– I pan, i Szuryner winniście wynagrodzenie mnie i mojej żonie: straciliśmy przez was dwa tysiące franków. Szuryner mówił mi już, o co chodzi. Słuchaj no, Puchaczko, idź naprzód, zamów dla nas osobny pokój i śniadanie: pieczeń wołową i dwie butelki burgunda, my tam zaraz przyjdziemy.

Puchaczka, rzuciwszy znaczące spojrzenie na Bakalarza, poszła naprzód; bandyta mówił dalej:

– Szuryner spotkał wczoraj rano Puchaczkę w Saint-Ouen i ani na chwilę jej nie odstąpił, tak że ten wysoki w żałobie nie śmiał zbliżyć się do niej. Winienes więc dać nam sposobność odzyskania dwóch tysięcy za pugilares, któryśmy mieli oddać.

– Czy tam były pieniądze?

– Nie, ale papiery, bardzo ciekawe, chociaż po większej części pisane po angielsku; zatrzymałem je więc.

Wiadomość ta mocno ucieszyła Rudolfa. Wczoraj wystąpił Szurynera, aby przeszkodził rozmowie Toma z Puchaczką, chciał bowiem, by papiery zostały przy niej; miał nadzieję je zdobyć.

– Schowałem je więc – rzekł znowu bandyta – tak czy inaczej przydadzą mi się, bo znalazłem w pugilaresie adres tego wysokiego jegomościa i muszę się z nim zobaczyć.

– Może bym kupił te papiery; znam ich właściciela... Zobaczymy... lecz teraz wróćmy do rzeczy. Proponowałem Szurynerowi wyborny interes; z początku przystał, lecz potem cofnął się i radził mi udać się do pana. Dom, do którego mamy się dostać, znajduje się przy Alei Wdowiej, moja siostra cioteczna służy tam za kucharkę. Powiedziała mi, że państwo wyjechali na wieś i zabawią do pojutra.

– I korzystna to rzecz?

– Siostra mówiła mi, że w gabinecie jej pana jest sześćdziesiąt tysięcy franków w złocie.

– A znasz ten dom?

– Jak własną kieszeń... siostra służy w nim od roku. Stąd przyszła mi myśl... Mówiłem Szurynerowi, że odzwierny jest to silny chłop... naprzód przystawał, potem zrejterował... No, ale chyba on nie wyda przyjaciela?

– Nie, to dobry chłopiec...

Puchaczka stanęła w drzwiach traktierni.

– Tutaj, tutaj! Już zamówiłam śniadanie.

Nim siedli do stołu. Bakalarz opukał ściany i rzekł:

– Nie będziemy potrzebowali cicho mówić, ściany grube.

Służąca przyniosła śniadanie, a nim zamknęła drzwi, Rudolf spostrzegł w drugim pokoju przy stole Murfa, przebranego za węglarza. Pokój, w którym się znajdowali, był długi, miał jedno okno na ulicę, na wprost drzwi. Puchaczka siedziała tyłem do okna, Rudolf z jednej, a Bakalarz z drugiej strony stołu. Lecz skoro służąca wyszła, bandyta odwrócił się, siadł obok Rudolfa mówiąc:

– Tak będzie nam lepiej rozmawiać.

– Siadasz od drzwi, żeby nie mógł wyjść – zauważył zimno Rudolf.

Bakalarz potakująco kiwnął głową, a potem z bocznej kieszeni surduta wyjął długi sztylet.

– A jak wyostrzony! – dodała Puchaczka, komentując wymowny gest Bakalarza.

Rudolf, bynajmniej nie zmieszany, najspokojniej wyjął spod bluzy podwójną króciwą, pokazał ją Bakalarzowi i schował z powrotem.

– A zatem rozumiemy się doskonale – rzekł bandyta. – Lecz ja jestem przewidujący... gdyby mnie przyszli aresztować... bez względu na to, czy to ty na mnie zastawiłeś pułapkę, czy nie ty... zginiesz!

Rudolf nic nie odpowiedział; nalał sobie szklanek wina i wypił. Tak zimna krew zaimponowała Bakalarzowi.

– A zatem – rzekł – mówmy o interesach.

– Dobrze, lecz czy to prawda – zapytał Rudolf Puchaczkę – że znasz rodziców Gualazy?

– Mój włożył dwa listy o tym do pugilarasu tego wysokiego... Ale ona ich nie zobaczy... wprzód bym jej oczy wydarła...

Puchaczka zdjęła szal. Rudolf mimo zimnej krwi nie mógł ukryć zdziwienia, spostrzegłszy u niej na szyi krzyżyk z lapis lazuli, zupełnie taki jak ten, o którym wspominała mu pani George. Uderzyła go nowa myśl: Bakalarz przed sześcioma miesiącami uciekł z galer. Mąż pani George również uciekł przed sześcioma miesiącami. Stąd prawdopodobieństwo, że Bakalarz jest mężem pani George, że musi coś wiedzieć o losie syna nieszczęśliwej kobiety. A nadto posiada papiery dotyczące pochodzenia Marii. Rzekł do Puchaczki:

– Jakież to piękny łańcuszek!

– Piękny i niedrogi. To imitacja złota.

– A co to wisi na tym łańcuszku, to niebieskie?

– To mi mój darował.

Bakalarz dodał:

– To talizman... przynosi szczęście.

– Talizman? – zapytał niedbale Rudolf, – A gdzie można kupić taki talizman?

– Takich rzeczy nic sprzedają; dostał mi się od mojej rodziny i dałem go Puchaczce, żeby i ona miała szczęście... O! Zobaczysz, jak ona się spisuje przy robocie... Mówiłeś zatem, że w Alei Wdowiej...

– Pod numerem 17 mieszka bogacz... nazywa się...

– Nie jestem ciekawy jego nazwiska... Dość, że u niego w gabinecie jest sześćdziesiąt tysięcy franków w złocie! Trudno wejść?

– Bardzo łatwo; przeleźć przez mur i otworzyć drzwi albo wyłamać okiennice.

– A jeżeli odźwierny się obudzi? – zapytał Bakalarz.

– Tym gorzej dla niego... – odpowiedział Rudolf.

– Jeżeli to prawda, coś mi mówił, to najlepiej załatwić tę rzecz... jeszcze dziś wieczór.

I Bakalarz utkwiał badawczy wzrok w Rudolfie.

– W tym bieda, że ja nie mogę dzisiaj...

– A ja nie mogę jutro!

Rudolf rzekł po chwili namysłu:

- Niech i tak będzie!... Więc dziś wieczór. Gdzie się zjedziemy?
- Gdzie? Nie będziemy się rozstawać – odpowiedział Bakalarz. – Jeżeli deszcz ustanie, przejdziemy się do Wdowiej Alei, aby obejrzeć miejsce, a potem wrócimy coś przekąsić. O dziewiątej możemy się wziąć do roboty.
- W takim razie spotkamy się o dziewiątej.
- A, nie! Zostajesz z nami do wieczora. Inaczej pomyślę, że chcesz na mnie zastawić pułapkę...
- Gdybym chciał zastawić na ciebie pułapkę, dlaczegoż bym nie mógł tego zrobić dziś wieczór? Nie ufasz mi?...
- Niezupełnie... Ale może i mówisz prawdę, a dla trzydziestu tysięcy franków warto spróbować... albo dziś wieczór, albo nigdy... A jak nie zechcesz dziś, to będę wiedział, z kim mam do czynienia, i jeszcze ci kiedy zapłacę...
- Rudolf był w okropnym położeniu. Spuszczając się na los, ufny w swą zręczność i odwagę, rzekł:
 - Zgoda, zostanemy razem cały dzień.
 - A zatem jestem na twoje usługi. Płacimy za śniadanie i bierzemy fiakra.
 - Tylko wprzód wypalę cygaro.
 - Doskonale. Finetta nie lęka się dymu tytoniowego...
 - Pójdę więc po cygaro – rzekł Rudolf wstając.
 - Nie fatyguj się, Finetta ci przyniesie.
- Rudolf usiadł. Bakalarz przeniknął jego zamiary. Puchaczka wyszła.
 - Co za kobieta! W ogień by się dla mnie rzuciła!
 - A przydałby się tu ogień, bo diabelnie zimno! – rzekł Rudolf i schował ręce pod bluzę; nie przerywając rozmowy z Bakalarzem, wyjął ołówek z kamizelki i nieznacznie napisał kilka słów na świstku papieru. Bakalarz nie dostrzegł bileciku; szło tylko o oddanie go podług adresu.
- Rudolf zbliżył się niedbale do okna i nucąc pod nosem, bębnił palcami na oknie. Bakalarz zbliżył się i spytał:
 - Co za arię wyśpiewujesz?
 - E, to znana piosenka: „Nie dostaniesz mojej róży”.
 - Śliczna piosenka. Chciałem tylko wiedzieć, czy zwraca uwagę przechodniów.
 - Anim myślał o tym...

XVI

Przygotowania

Puchuczka wróciła z cygarami.

– Zdaje się, że już nie pada – rzekł Rudolf, – zapalając cygaro – chodźmy wziąć fiakra.

– Jak to nie pada? Ślepyś? – odpowiedział Bakalarz. – Nie pozwolę, żeby Finetta zamoczyła nogi. Jak służąca przyjdzie z rachunkiem, każemy jej zawołać fiakra. Służąca weszła. Rudolf dał jej pięć franków.

– O! Panie... niechże pan nie płaci za wszystkich... – zawołał Bakalarz.

– Innym razem ty za mnie zapłacisz.

– Chyba że pozwolisz, iż ugoszczę cię na Polach Elizejskich...

Przez grzeczność Rudolf chciał wyjść ostatni, ale Bakalarz puścił go przed sobą, bacznie śledząc jego ruchy. Kiedy weszli do głównej sali, przy bufecie właśnie płacił za wino wysoki węglarz z oczernioną twarzą, w kapeluszu nasuniętym na oczy. Rudolf stanął przy otwartych drzwiczkach fiakra, chcąc wsiąść ostatni. Węglarz gwizdząc wyszedł aż na próg.

– Dokąd jechać? – zapytał woźnica. Rudolf odpowiedział głośno: – Do Alei...

– Do Lasku Bulońskiego – przerwał Bakalarz. – Jedź żwawo, dostaniesz na piwo. – Gdy pojazd ruszył z miejsca. Bakalarz zawołał: – Jak mogłeś tak głośno mówić, gdzie jedziemy? Chcesz nas zgubić? Młodzieńcze, jesteś nierozważny.

– Prawda, nie myślałem o tym. Ale ja tu was uwędze w tym dymie. – Z tymi słowy Rudolf spuścił szybę i wyrzucił zwinięty bilecik, który napisał ukradkiem.

Bakalarz mimo obojętności Rudolfa dostrzegł bez wątpienia przenikliwym wzrokiem wyraz triumfu na jego twarzy, bo wyjrawszy przez okno, zawołał na furmana: – Biczem go, biczem!... Ktoś jest z tyłu powozu.

Woźnica zatrzymał konie.

Bakalarz wyskoczył z powozu. Lecz nic nie postrzegł, bo od wyrzucenia bileciku ujechali już spory kawał.

– Będziecie się ze mnie śmieli – rzekł – ale nie wiem, dlaczego zdawało mi się, że ktoś nas śledzi.

Fiakr ruszył dalej. Póki nie zniknął, Murf nie spuszczał go z oka; widząc, co zrobił Rudolf, podbiegł i podniósł kartkę leżącą na bruku.

Po kwadransie jazdy Bakalarz zawołał do furmana:

– Słuchaj no, zmieniliśmy zamiar; jedź na plac Świętej Magdaleny.

Rudolf spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Przyznasz, kawalerze, że stamtąd można obrócić się w różne strony. Gdyby wpadli na nasz ślad, zeznanie woźnicy nic nam nie zaszkodzi.

Kiedy fiakr zbliżył się do rogatek, jakiś wysoki człowiek w jasnym surducie, w kapeluszu nasuniętym na oczy, szybko przemknął na pięknym angielskim koniu.

Rudolf zdołał ukryć swą radość. Murf widać odczytał hieroglificzną kartkę. Bakalarz, pewny już, że nikogo nie ma za fiakrem, i widząc, że Puchaczka drzemie czy też udaje, że drzemie, chciał udać śpiącego. Rudolf domyślił się podstępu i powiedział:

– Rano dziś wstałem i mnie także się chce spać.

I zamknął oczy. Wkrótce głośne chrapanie Bakalarza i Puchaczki tak go zwiódło, że myślał, iż śpią istotnie, i otworzył oczy. Bakalarz z Puchaczką chrapali, ale oczy mieli otwarte i

porozumiewali się za pomocą palców. Nagle ta rozmowa rąk ustała. Bandyta dostrzegł, że Rudolf nie śpi, i śmiejąc się, zawołał:

– Aha! Kochanku!... Chciałeś nas wypróbować?

– To nie powinno dziwić ciebie, co śpisz z otwartymi oczami.

Fiaker zatrzymał się na placu Świętej Magdaleny. Deszcz już nie padał, ale czarne chmury tak kryły niebo, że było prawie ciemno.

– Chciałbym się przekonać – rzekł Bakalarz – czy to prawda, coś nam mówił o tym domu...

– To by obudziło podejrzenia. Przecież dopiero czwarta.

Puchaczka dumnie podniosła głowę.

– Mam tylko jedno oko – rzekła – ale dobre. Za pół godziny wrócę i zobaczysz, jak gracko się uwinę.

– Zaraz, zaraz, wprzód wejdziemy pod „Krwawe Serce”... Jeżeli tam zastaniemy Kulasa, weźmiesz go i postawisz na czatach przed domem.

– Masz rację... Kulas jest sprytny jak lis, choć nie ma dziesięciu lat.

– Co to za miejsce „Krwawe Serce”? Szczególna nazwa – rzekł Rudolf.

– Powiedz to szynkarzowi. Nazywaj go, jak chcesz: Piotr, Tomasz, Krzysztof, Barnaba, na każde imię się odezwie. Ale oto i jesteśmy...

– Nie widzę żadnego domu.

– Nie zobaczysz, jeżeli będziesz szukał wkoło siebie.

– A gdzie mam szukać?

– Pod nogami.

– Gdzie?

– Ot tu... Widzisz dach?

Istotnie Rudolf nie dostrzegł podziemnego szynku, jakich przed kilku laty wiele było na Polach Elizejskich. Schody, wykopane w mokrej i wilgotnej ziemi, prowadziły do obszernego dołu; dach z cegieł, mchem zarosły, ledwie wznosił się nad chodnikiem.

Na zardzewiałych zawiasach wisiała blacha; znać było jeszcze na niej czerwone serce przebite strzałą...

– Muszę wprzód zobaczyć, czy gospodarz jest w domu – rzekł Bakalarz i przyciskając język do podniebienia, krzyknął w szczególny sposób. Podobny krzyk ozwał się z dołu.

– Jest... Uszanowanie dla dam... idź naprzód, Puchaczko... a potem pan... Uważaj, bo śli-sko; mógłbyś upaść.

XVII „Krwawe Serce”

Gospodarz „Krwawego Serca” wyszedł aż na próg, aby powitać gości. Był to ów Czerwony Janek, którego Rudolf szukał, ale jeszcze nie znał. Mały, szczupły, nędzny, mógł mieć około pięćdziesięciu lat. Miał w sobie coś z kuny i szczura, a wystające kości policzkowe i żywe oczy nadawały mu wyraz przebiegłości. Ledwie zeszli ze schodów, przybiegł dziesięcioletni, słabowity, kulawy i nieco garbaty chłopak – podobny do Czerwonego Janka. Można było zgadnąć, że to jego syn. Ten sam przenikliwy i chytry wzrok, także czoło, obrosłe szorstkimi jak szczecina, rudymi włosami. Kulas zatrzymał się, stojąc na zdrowej nodze jak żuraw nad bagnem.

– Jak się masz, stary? – odezwał się cienkim głosem Czerwony Janek. – Co rozkażesz?

– Daj mojej żonie na kwadrans twego chłopca, pomoże jej czegoś szukać... to niedaleko... coś tam zgubiła...

Czerwony Janek zrozumiał; powiedział:

– Kulas, idź z tą panią.

Szkaradny chłopiec, kulejąc, podbiegł do Puchaczki.

– To mi kochane dziecię – rzekła – zaraz idzie... Nie tak jak żebraczka Maryśka, co to się zawsze krzywiła, kiedy podchodziła do mnie. I Puchaczka z Kulasem zniknęli we mgle.

– Wchodźmy więc – rzekł Rudolf.

Przy wejściu musiał się schylić we drzwiach, tak były niskie. Szynk składał się z dwóch pokojów. W pierwszym stał bufet i stary bilard. Dwa okna, wąskie i brudne, ledwie oświetlały te wilgotne izby. Przez chwilę tylko Rudolf był sam w drugim pokoju, ale to wystarczyło: Bakałarz i Czerwony Janek zdołali rozmówić się w kilku słowach tajemniczymi znakami.

– Napijesz się piwa czy wódki? – spytał Bakałarz Rudolfa.

– Dziękuję... nie chce mi się pić.

Usiadł przy małym stoliku w drugim pokoju.

Było już tak ciemno, że nie dostrzegało się otworu w kącie podłogi, prowadzącego do piwnicy. Bakałarz usiadł przy stole, tyłem do piwnicy, żeby ją zakryć przed Rudolfem.

Rudolf, chcąc ukryć niepokój, wyglądał oknem. Choć widział Murfa zmierzającego w stronę Wdowiej Alei, nie był pewny, czy poczciwy Anglik dobrze zrozumiał lakoniczny bilecik. Chociaż silny, odważny i dobrze uzbrojony, mógł jednak nie dać sobie rady w walce ze zbrodniarzem gotowym na wszystko. Mimo to energiczna, niezwykła, chciwa gwałtownych wrzuseń natura Rudolfa znajdowała jakiś urok w tej niepewności i w przeszkodach, które zniszczyły plan ułożony poprzedniego dnia z wiernym Murfem i Szurynerem.

Czerwony Janek po kilku słowach usłyszanych od Bakałarza przyglądał się Rudolfowi z szyderstwem i nieufnością.

– Uważam – odezwał się Bakałarz – że jeżeli moja żona zostanie w domu osoby, które mamy odwiedzić, moglibyśmy do nich pójść o ósmej.

– To o dwie godziny za wcześnie! Dopiero o dwunastej zamykam sklep – przerwał Czerwony Janek piskliwym głosem. – O północy przychodzą moi najlepsi goście.

– Z tobą trzeba przystać na wszystko. Więc nie przedzej jak o dziesiątej pójdziemy z wizytą.

– Otóż i Puchaczka! – rzekł Czerwony Janek, słysząc ten sam gwizd, jaki wydał Bakałarz przed zejściem do podziemia.

Woda spływała po łachmanach Puchaczki; usiadła naprzeciw Rudolfa i Bakalarza i rzekła:

– Powiedział prawdę.

– A widzisz! – zawołał Rudolf z triumfem.

– Pozwólże jej skończyć.

– Zostawiwszy Kulasa na czatach, poszłam pod numer 17. Przychodzę do niskich drzwi... Dzwonię, otwiera odźwierny, otyły, pięćdziesięcioletni, łysy, z ryżymi faworytami, na pół zaspany... Powiadam z płaczem, że mi wyleciała za okno moja papuga, że mieszkam przy ulicy Marbeuf, że szukam papugi po wszystkich ogrodach...

– A nie mówiłem? Co za kobieta! – rzekł Bakalarz z dumą.

– Odźwierny wpuścił mnie do ogrodu i wszystko przejrzałam... Naokoło muru wszędzie drewniane kratki, jak schody. Parterowy dom o sześciu oknach. Okiennice zamknięte na zasuwki, łatwo otworzyć... Drzwi wejściowe szklane, z żaluzjami zewnątrz... Wchodząc do domu...

– Patrz! Weszła do domu! – zawołał z dumą Bakalarz.

– A pewnie. Nie znalazłszy papugi, tak zaczęłam jęczeć i płakać, że odźwierny zaprosił mnie do pokoju i poczęstował szklanką wody z winem. W przedpokoju dywan... nie słychać kroków i w razie potrzeby można stłuc okno bez hałasu. Na prawo i lewo drzwi z delikatnymi zamkami, ale w głębi drzwi mocne, zamknięte na klucz... coś do kasy podobne... trąci pieniędzmi... Miałam przy sobie wosk... Ażeby zbliżyć się do tych drzwi, zaczęłam kaszleć mocno. Odźwierny rzekł: „Trzeba pani osłodzić wodę” i wyszedł po łyżeczkę do cukru. Słyszałam, jak brzękał srebrem. Srebro w pokoju na prawo. A ja zbliżyłam się do drzwi w głębi z woskiem w ręku i oparłam się na zamku. Mam odcisk, przyda się. Na własne oczy widziałam przez okno w pokoju na lewo na biurku przynajmniej ze dwanaście worków z pieniędzmi.

Zaledwie wymówiła te słowa. Bakalarz pochwycił Rudolfa za gardło i strącił go w otwartą piwnicę, i to z taką szybkością, że Rudolf nie miał czasu się bronić.

Bakalarz ostrożnie zszedł do piwnicy. Dało się słyszeć skrzypienie zardzewiałych zawiasów i znowu wszystko ucichło. Puchaczka dobyła zapałkę i zapaliła cienki stoczek. Ohydna twarz Bakalarza wyjrzała z otworu piwnicy.

Puchaczka mimo woli krzyknęła na widok tej twarzy, bladej, zeszpeconej, ze świecącymi oczami.

– Musisz być straszliwie brzydki, kiedym ja się ciebie zlekła.

– Ruszajmy – zawołał bandyta zasuważąc drzwi piwnicy żelaznym drągiem. – Za godzinę będzie za późno!

XVIII

Piwnica

Rudolf ogłuszony upadkiem zemdłał. Bakałarz przeniósł zemdlonego do drugiej głębszej piwnicy i zamknął za nim grube, okute żelazem drzwi; potem wyszedł wraz z Puchaczką.

Po godzinie Rudolf odzyskał przytomność. Leżał na ziemi w ciemnym lochu; wyciągnął ręce i namacał kamienne schodki, a równocześnie poczuł pod stopami chłód wody. Z najwyższym wysiłkiem zdołał usiąść na ostatnim schodku. Nasłuchiwał, lecz nic nie słyszał, nic, tylko jakieś głuche, słabe, ale ciągle pluskanie. Teraz domyślił się przyczyny: woda zalewała jego więzienie. Sekwana bardzo przybrała, a piwnica leżała niżej od rzeki. Niebezpieczeństwo wróciło mu przytomność umysłu, wbiegł szybko na schody. Na górze natrafił na drzwi, wstrząsnął nimi, lecz daremnie – ani się ruszyły.

„Jeżeli Murf nie zachowa ostrożności, zamordują go... a ja będę przyczyną jego śmierci...” Ta okrutna myśl podwoiła siły Rudolfa; chciał wyważyć drzwi, lecz na próżno... Zszedł do piwnicy, myśląc, że znajdzie tam jakiś drąg; nic nie znalazł. W niemej rozpaczycy policzył schody; trzynaście, a trzy już zalała woda! Trzynaście! Fatalna liczba... Najsilniejsze umysły nie mogą się czasem oprzeć przesądom. Zaczął krzyczeć w nadziei, że go ktoś usłyszy; potem nadstawiał ucha... Lecz nic, tylko głuche, słabe i ciągle pluskanie. Usiadł i płakał nad losem przyjaciela, który teraz może padał pod morderczym nożem. Woda przybierała, zostało już tylko pięć schodków. Rudolf stanął przy drzwiach, głową dotykał sklepienia: mógł obliczyć, jak długo będzie trwało to powolne konanie, nieme i okropne. Przypomniał sobie, że ma pistolet, i chciał wystrzałem wysadzić zamek, lecz nie znalazł broni. Pistolet musiał wypaść mu z kieszeni albo Bakałarz go zabrał. Nowa męka! Szczury, wyparte z nory, wchodziły coraz wyżej po schodach, szukały wyjścia, a nie mogąc się pięć po drzwiach i prostopadłym murze, czepiały się ubrania Rudolfa. Z niewypowiedzianym obrzydzeniem chciał je spędzić, pokaleczyły mu ręce; w czasie upadku podarła się na nim bluza i kamizelka, czuł na nagich pierśsiach zimne szczurze łapy. Zrywał je i rzucał od siebie, lecz wracały znowu. Znow krzyczał; nikt nie odpowiadał... Wkrótce nie będzie już mógł krzyczeć, woda sięga mu do szyi, niezadługo dojdzie do ust. Pokazały się pierwsze symptomy uduszenia, krew uderzyła do skroni, żyły nabrzmiały, dostał zawrotu głowy... śmierć niedaleka. Wspomniał jeszcze Murfa; westchnął gorąco do Boga, błagając nie o życie, lecz o skrócenie cierpień. Woda już prawie lała mu się do uszu; tracił przytomność; gasł ostatni promyk nadziei, gdy wtem u drzwi piwnicy dały się słyszeć szybkie stapania i zmieszane głosy. Nadzieja dodała mu siły; słuchając z największą uwagą, pochwycił i zrozumiał słowa:

– Widzisz przecież, że tu nikogo nie ma.

– O Boże, prawda... nie ma nikogo – odpowiedział smutny głos Szurynera. I kroki oddaliły się.

Rudolf stracił przytomność.

Nagle otworzono gwałtownie drzwi piwnicy; woda buchnęła z lochu. Szuryner schwycił za ręce tonącego Rudolfa, który konwulsyjnie jeszcze trzymał się progu.

XIX

Nowy sługa

Wyrwany niechybnej śmierci i przyniesiony do opisanego przez Puchaczkę domu przy Wdowiej Alei, Rudolf śpi w pięknie umeblowanym pokoju; ogień pali się na kominku; lampa jasno oświetla pokój, tylko łóżko Rudolfa, zasłonięte adamaszkowymi firankami, pozostaje w ciemności. Murzyn o siwych włosach i brwiach, starannie ubrany, z wstążeczką od orderów w butonierce, ze złotym zegarkiem w ręku, trzyma dłoń Rudolfa i liczy uderzenia pulsu. Patrzy na uśpionego z wyrazem najczulszej troskliwości. Szuryner, z mokrymi włosami, w łachmanach, zabłocony, stoi w nogach łóżka z założonymi na piersi rękoma. Patrzy na Rudolfa i zapuszcza się w filozoficzne dumania.

– Widząc go tak słabym, kto by powiedział, że mnie tak mistrzowsko pobili!... Wkrótce wróci do sił... nieprawdaż, panie doktorze?...

Murzyn tylko kiwnął głową. Szuryner umilkł.

– Podaj lekarstwo – rzekł Murzyn po chwili.

Szuryner boso – zdjął obuwie, aby nie robić hałasu – podszedł na palcach do komody. Usiłując stapać jak najlżej, krzywił się i przeginał. Na nieszczęście, bojąc się upuścić flaszczykę, tak mocno ścisnął szyjkę w ogromnej dłoni, że ją zgniół; flaszczyka upadła.

– A to gbur niezgrabny! – rzekł doktor niecierpliwie. – Na szczęście omyliłeś się, chciałem tę drugą flaszczykę.

– Tę różową? – zapytał po cichu Szuryner.

– Tak, przecież tam nie ma innej.

Szuryner po wojskowemu wykręcił się na pięcie i zgniół resztki buteleczki.

– Co robisz? Skaleczysz się – szepnął doktor.

Szuryner, zajęty jedynie nowym poleceniem, tak delikatnie i lekko ujął cienki flakonik, że doktor drżał, żeby go nie stłukł przez nadmiar ostrożności. Zbliżając się do łóżka, znowu nastąpił na rozbitą flaszczykę.

– Koniecznie chcesz się skaleczyć? Już drugi raz stanąłeś na szkle.

– To nic, ja mam podeszwy z drzewa.

Po kilku łyżeczkach lekarstwa Rudolf poruszył się.

– Wraca do przytomności – rzekł doktor. – Puszczanie krwi ulżyło mu.

– Zdrow! Brawo! – zawołał Szuryner z radością.

– Cicho bądź – rzekł doktor surowo – i siadaj...

– Panie doktorze, jestem cały zabłocony jak kloc tylko co wyciągnięty z wody; zawałam krzesło.

Wtem Rudolf przebudził się, usiadł, spojrzał wokoło, zebrał myśli i zawołał:

– Murf! Gdzie Murf?

– Uspokój się. Mości Książę – rzekł doktor z uszanowaniem – mam nadzieję, że niebezpieczeństwo minie!

– Więc raniony?

– Tak, niestety!

– Zwodzisz mnie; on umarł, zamordowany!... I to z mojej winy! – zawołał Rudolf, wznosząc ręce do nieba.

– Wiadomo Księżciu, że nie umiem kłamać... Honorem ręczę, że Murf żyje... niebezpieczeństwa nie ma. Chciałem wezwać jeszcze kilku lekarzy, ale pomny na wczorajsze rozkazy Księcia, wolałem nie wprowadzać obcych do domu.

– Jak się to wszystko stało? – zapytał Rudolf. – Kto mnie wyratował? Wydawało mi się, że słyszałem głos Szurynera... Gdzie on?

Doktor szukał oczami Szurynera, ukrytego za firanką.

– Jest tu – odpowiedział – tylko wstydy się podejść.

XX

Opowiadanie Szurynera

Szuryner zmieszał się do reszty.

– Zbliźże się... daj mi rękę – rzekł Rudolf.

– Wybacz, panie... chciałem powiedzieć. Mości Książę...

– Nazywaj mnie zawsze Rudolfem... jak dawniej.

– Daruj, Książę, ale nie śmiem... – i bojaźliwie wyciągnął czarną rękę. Rudolf serdecznie ją uściśkał.

– Siadaj i opowiedz mi wszystko. Gdzie Bakalarz?

– Jest tu, związany! – rzekł doktor.

– Puchaczka także – dodał Szuryner.

– A mój biedny Murf... gdzie raniony?

– W prawy bok; szczęście, że pod ostatnim zębem.

– Muszę się zemścić! Liczę na ciebie, Dawidzie!

– Wasza Książęca Mość wie, że jestem mu oddany duszą i ciałem – odpowiedział chłodno doktor.

– Jak to się stało, że przybyłeś na czas? – spytał Rudolf Szurynera.

– Zacznę od początku.

– Słucham tedy.

– Wczoraj po powrocie ze wsi powiedział mi pan: „Postaraj się zobaczyć z Bakalarzem; powiedz mu, że jest dobry interes do zrobienia”. Zaraz więc pobiegłem do Cité. Szukam Bakalarza. Nareszcie złapałem jego i Puchaczkę na placu koło kościoła Panny Marii; kupowali u tandeciarza kradzione rzeczy za pieniądze tego wysokiego jegomościa w żałobie. Ta stara wiedźma Puchaczka wybierała sobie czerwony szal... Powiedziałem Bakalarzowi, o co idzie; zgodził się natychmiast. Przychodzę więc dziś rano zawiadomić pana o tym, a pan mi znowu powiada: „Przyjdź tu jutro z samego rana, zostaniesz u mnie przez cały dzień i noc i zobaczysz coś ciekawego”. Powiedziałem sobie: to pewnie jaki przysmak dla Bakalarza. Odgadłem, że mu pan chce sztukę wyplatać i zwabić na tę kradzież... Jednakże powiedziałem sobie: rzecz ułożona na jutro; lecz że mi pan Rudolf zapłacił za cztery dni, zatem i dzisiejszy do niego należy... Bakalarz niegłupi... będzie się bał podstępny... nie ufa Rudolfowi, więc może się umówić na jutro, a tymczasem dziś włamie się tu sam lub z kim innym.

– Zgadłeś... właśnie tak było...

– Postanowiwszy, umyśliłem gdzieś wleźć, skąd widać mur i drzwi ogrodu; idę więc... znajduję szynk stąd o dziesięć kroków. Wchodzę, siadam przy oknie... Deszcz padał... noc już nadchodziła. Aż tu patrzę, idzie Puchaczka z Kulasem Czerwonego Janka...

– Więc to Czerwony Janek trzyma ten podziemny szynk na Polach Elizejskich? – zapytał Rudolf. – Myślałem, że mieszka w Cité.

– On mieszka wszędzie! Drugiego takiego filuta trudno znaleźć na świecie. No, kiedy tylko zobaczył Puchaczkę razem z Kulasem, domyśliłem się, że robota wnet się zacznie. I rzeczywiście: Kulas chowa się naprzeciw pańskich drzwi i staje na czatach, a Puchaczka dzwoni. Biedny pan Murf otwiera, a ona plecie mu różne duby i uwija się po ogrodzie. On został, a ona poszła. Tu zacząłem kalkulować: Kulas przyszedł z Puchaczką, więc Bakalarz z panem Rudolfem czekają u Czerwonego Janka.

– Znakomicie! Cóż dalej?

– Poszedłbym do Czerwonego Janka i wszystkiego się dowiedział, ale tymczasem Bakałarz może przyjść i rzecz skończyć. Wypadałoby uprzedzić pana Murfa, ale Kulas mnie zobaczy i powie Puchaczce... Do licha, co tu robić? Nic nie mogę wymyślić. Na koniec wpadam na koncept. Zdejmuję bluzę i chwytam Kulasa za kark, kładę do bluzy jak do worka; z jednego końca zawiązuję rękawami bluzy, z drugiego chustką; całe zawiniątko wrzucam przez mur do ogrodu. Kulas spadł jak prosię. Wracam, włożę na drzewo naprzeciw pańskich drzwi. Za jakie dziesięć minut ktoś idzie, ale ciemno, nic nie widać, słyszę tylko, jak Puchaczka woła po cichu: „Kulas! Kulas!” „Deszcz pada, pewnie mu się sprzykrzyło czekać”, mówi Bakałarz. „Niech no go złapię, dostanie za swoje! Dawaj dużo i wytrych”. W moment drzwi były otwarte. Puchaczka została na straży, a Bakałarz wszedł, powiesiwszy sztylet na guziku od surduta. Pomyślałem sobie: źle, ten drań może zamordować pana Murfa, zeskakuję więc z drzewa i pięścią w łeb Puchaczkę... upadła bez zmysłów... wbiegam do ogrodu... Za późno.

– Biedny mój Murf!

– Zastałem go szamocącego się na schodach z Bakałarzem... był już ranny... ale nie krzyczał... nie wołał pomocy. Rzucam się na Bakałarza... chwytam go za łeb... „A tyś tu się skąd wziął, zbój!” woła. „Później się dowiesz”, odpowiedziałem i złapałem go za rękę, w której trzymał sztylet. Chciał mnie przebić sztyletem, ale tak mu rękę przycisnąłem, że nie mógł nią ruszyć. Zwaliłem się na niego całym ciałem... Nic nie mówił, tylko dyszał jak wół. Ale do pioruna, co za siła... Prosiłem pana Murfa, żeby poszedł po ludzi. Zostałem sam na sam z Bakałarzem... Leżeliśmy pół na ziemi, pół na ostatnim schodku. Rękami ścisnąłem mu szyję, mając twarz na jego twarzy... słyszałem, jak zgrzytał zębami... Chciał mnie ugryźć, ale nie mógł. Nigdy nie czułem w sobie tyle siły... Zdawało mi się, że trzymam wściekłego psa. „Puść mnie, a nic ci nie zrobię”, rzekł do mnie. „Nie puszczę”, odpowiedziałem. Nogi miał wolne, to mu pomagało, już mnie prawie przewrócił. Żeby nie przyciskał ręki ze sztyletem, byłoby po mnie... Wtem patrzę... tu Puchaczka stoi na schodach, z jednym okiem, w czerwonym szalu... Do pioruna! Myślałem, że to mara. „Finetto”, woła Bakałarz, „upuściłem nóż... podnieś i uderz go dobrze...” Wiedźma uwijała się koło nas, na koniec zobaczyła sztylet... chce go podnieść... Lecz tak ją pchnąłem nogą w piersi, że upadła daleko od nas. Już mi sił zaczynało braknąć... traciłem przytomność... Wtem nadeszli uzbrojeni ludzie... a za nimi pan Murf, błydy, podtrzymywany przez doktora!... Chwytają i wiążą Bakałarza i Puchaczkę... Ale to nie dość... trzeba mi pana Rudolfa... Dalej ja do Puchaczki... Przypomniałem sobie ząb Gualazy... no to za rękę starą i zaczynam ją wykręcać. „Gdzie pan Rudolf?!” Ona nic... Ja drugi raz, aż ona woła: „U Czerwonego Janka, w piwnicy »Pod Krwawym Sercem«”. Biegnę tam; chciałem wziąć Kulasa po drodze, ale już go nie było, przegryzł blużę i uciekł. Wpadam „Pod Krwawe Serce”, chwytam Czerwonego Janka za gardło... „Gdzie młodzieniec, co tu był z Bakałarzem?” „Nie duś mnie, zaraz ci powiem. Przez figiel zamknęli go w piwnicy, zaraz otworzymy”. Wchodzimy do piwnicy, nie ma nikogo. Już chciałem odejść, kiedy zobaczyłem drugie drzwi. Otworzyłem... woda plusnęła na mnie... spostrzegłem pańskie ręce...

– Winieniem ci życie... bądź pewny, że ci się odwdzięczę... Dawidzie, dowiedz się o zdrowie Murfa i wracaj zaraz.

Murzyn wyszedł.

– Gdzie jest Bakałarz? – spytał Rudolf Szurynera.

– W sali, razem z Puchaczką. Czy mam posłać po wartę?

– Nie trzeba.

– Pan go chce wypuścić?... Ach! Książę, nie bądź tak wspaniałomyślny... Ja zawsze powiadam, to wściekły pies...

– Nie bój się... Już nikogo nie ukąsi!

– Więc każe go pan zamknąć?

– Nie... za pół godziny stąd wyjdzie...

– Bez żandarmów?

- Tak.
 - I sam?
 - Tak, sam.. i będzie mógł iść, gdzie mu się podoba – odpowiedział Rudolf ze złowrogim uśmiechem.
 - Doktor wrócił.
 - I cóż, Dawidzie... Jakże Murf?
 - Śpi teraz, Mości Książę... ale niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło.
 - O! Murf!... Zemsty!... Zemsty!... – zawołał Rudolf z zimnym i nieubłagany gniewem.
- Potem dodał:
- Dawidzie... mam ci coś powiedzieć. – I szepnął mu kilka słów na ucho. Murzyn zadrżał.
 - Wahasz się? – spytał Rudolf.
 - Nie waham się. Książę... ten pomysł to początek reformy prawa karnego, godny uwagi prawników... kara twoja jest zarazem... straszna... i przykładowa... W naszym wypadku można ją wymierzyć...
 - A będzie miał przed sobą nieograniczone pole skruchy i żalu – dodał Rudolf.
 - Wyjdź do drugiego pokoju – rzekł Rudolf do osłupiałego Szurynera – w biurku leży czerwony pugilares, przynieś mi pięć biletów tysiącfrankowych...
 - Dla kogóż to?
 - Dla Bakałarza... i każ go przyprowadzić.

XXI

Kara

W sali, wybitej czerwonym jedwabiem, rzeźbionej oświetlonej, Rudolf w czerwonym, ak-samitnym szlafroku, który podnosił jeszcze bladość jego twarzy, siedzi przy dużym, suknom pokrytym stole. Z jednej strony stołu doktor, z drugiej Szuryner. Na środku sali, w wielkim fotelu na kółkach, siedzi Bakalarz, związany tak mocno, że nie może się ruszyć. Ludzie, którzy go przynieśli, natychmiast wyszli. Rudolf, doktor, Szuryner i morderca zostali sami. Gniew Rudolfa już minął; siedzi zimny, smutny i poważny. Doktor jest zamyślony, Szuryner z niepojętą bojaźnią patrzy w oczy Rudolfa, Bakalarz zsiniał ze strachu.

– Skazany dożywotnio na galery za zbrodnie, fałszerstwa, kradzieże i zabójstwa... zbiegłeś z więzienia w Rochefort... jesteś Anzelmem Duresnel... – rzekł Rudolf do Bakalarza.

– Nieprawda! Niech mi dowiodą!

– Jak to! – zawołał Szuryner – albo żeśmy nie siedzieli razem w Rochefort?

Rudolf mówił dalej:

– Jesteś Anzelmem Duresnel; później sam się przyznasz... Na drodze do Poissy zamordowałeś i obrabowałeś wolarza...

– Kłamstwo!

– Później się przyznasz... Dzisiejszej nocy włamałeś się do tego domu i sztyletem uderzyłeś gospodarza...

– Pan sam namówiłeś mnie do tej kradzieży; napadnięto mnie... a ja się tylko broniłem.

– Człowiek, którego uderzyłeś sztyletem, nie miał broni. Namówiłem cię do tej kradzieży...prawda... i nawet powiem, jaki cel w tym miałem. Wczoraj obdarłeś w Cité mężczyznę i kobietę, a zabrawszy im ten oto pugilares, obiecywałeś zabić mnie za tysiąc franków!...

– Sam to słyszałem – zawołał Szuryner.

Bakalarz spojrzał na niego z dziką nienawiścią.

– Teraz powiem ci, dlaczego cię namawiał do kradzieży – mówił dalej Rudolf. – Wiedziałem, żeś zbiegł z więzienia, że wiesz, kim są rodzice biednej dziewczyny, której wszystkich nieszczęść przyczyną jest twoja współniczka Puchaczka... Chciałem cię tu zwabić na tę kradzież... nie ma lepszej przynęty dla ciebie...dostawszy cię, dałbym ci do wyboru: albo cię oddam w ręce sprawiedliwości i położysz głowę za zabójstwo wolarza... albo opuścisz na zawsze Francję i będziesz żyć na wygnaniu, pod warunkiem, że mi dasz żądane wyjaśnienia. Taki miałem zamiar... może niezupełnie zgodny z prawem, ale ty za ucieczkę z więzienia i nowe zbrodnie jesteś wyjęty spod prawa. Wczoraj przypadkiem dowiedziałem się twego prawdziwego nazwiska.

– Nieprawda, nie nazywam się Duresnel!

Rudolf wziął ze stołu łańcuszek Puchaczki:

– Świątokradztwo! Zhańbiłeś ten skarb, oddając go nikczemnej kobiecie; syn twój otrzymał ten dar po matce i babce! Przed piętnastu laty odebrałeś żonie syna i sam tylko wiesz, gdzie się teraz znajduje... To także był jeden z powodów, dla których chciałem cię ująć. Nie mszczę się za siebie... lecz tej nocy znowu przelałeś krew niewinnego. Twoje zbrodnie wymagają kary. Z bronią w ręku wdarłeś się do tego ogrodu z zamiarem rabunku, uderzyłeś człowieka żelazem. Popeliłeś jeszcze jedno morderstwo... Umrzesz... przez wzgląd na żonę i syna ocalę cię od szafotu. Rozgłosimy, że zostałeś zabity w obronie własnego życia... Przygotuj się... broń nabita.

Bakałarz w mniemaniu, że godzina ostatnia wybiła, drżał konwulsyjnie, usta mu zbieleły; ledwie zdołał wyjąkać:

- Łaski!
- Dla ciebie nie ma łaski. Jeżeli nie umrzesz tutaj, czeka cię szafot.
- Wolę zginąć na rusztowaniu... przynajmniej jeszcze ze dwa miesiące pożyję... Cóż to panu szkodzi, skoro mnie kara nie minie?!
- Ale twoja żona i syn noszą twoje nazwisko.
- Moje nazwisko już jest i tak zhańbione... A prawo nie pozwala nikomu być sędzią we własnej sprawie.
- Prawo!... Śmiesz odwoływać się do prawa, ty! Ty, co od dwudziestu lat prowadzisz otwartą wojnę ze społeczeństwem?
- Przynajmniej daruj mi życie! Przez litość!
- A powiesz, gdzie jest twój syn?
- Powiem... powiem wszystko, co wiem.
- Wyjawisz rodziców biednej dziewczyny?
- Papiery w moim pugilaresie wskażą, gdzie można ich odnaleźć. Zdaje się, że matka jej jest wielką damą...
- Gdzie jest twój syn?
- Oddałem go jednemu z moich towarzyszy, który zdołał uciec, kiedy mnie przytrzyma-no... Ten wychował go, kazał nauczyć buchalterii i umieścić przy bankierze. Miał pozostawać w porozumieniu z nami... i zyskawszy zaufanie bankiera... podpisywać papiery za niego.
- Mój Boże! Tak poprowadziłeś syna... syna! Ten człowiek mnie przeraża! – wykrzyknął Rudolf ze zgrozą.
- Ależ tu szło tylko o fałszerstwo! – mówił dalej bandyta. – Zresztą kiedy powiedziałem memu synowi, czego od niego żądamy, oburzył się i zniknął... od osiemnastu miesięcy nic o nim nie wiem. Ostatnio mieszkał przy ulicy Temple pod przybranym nazwiskiem Franciszka Germain. Powiedziałem wszystko... Dotrzymaj teraz obietnicy i oddaj mnie w ręce sprawiedliwości.
- Ja cię osądzę i ukarzę – rzekł Rudolf grzmiącym głosem. – Nie wydaję cię w ręce sprawiedliwości, bo poszedłbyś do więzienia lub na szafot, a tego nie chcę... Do więzienia? nie, nie; można rozbić kajdany, wyłamać mury. Uciekłbyś znowu i rzucił się na społeczeństwo jak wściekłe zwierzę... Oddać cię na szafot?... Umarłbyś nie żałując za zbrodnie... Tego nie chcę... Bez skruchy nie ma dla ciebie nadziei.
- Co ja zrobiłem temu człowiekowi? – krzyknął Bakałarz, odchodząc od zmysłów. – Kto to jest? Czego chce ode mnie?
- Rudolf mówił dalej głosem donośnym i nieubłaganym jak miecz katowski:
- Anzelmie Duresnel, nie pójdziesz do więzienia... nie umrzesz.
- Więc czego chcesz? Piekło chyba cię zesłało!
- Słuchaj, zbrodniarzu! – rzekł Rudolf uroczyście i groźnie. – Nadużywałeś swej siły, ja ją zniszczę. Najsilniejsi drżeli przed tobą – teraz ty będziesz drżał przed najslabszymi. Morderco, niejedno stworzenie boskie pogrzyłeś w wiecznej nocy. Ciemność więc nocna zacznie się i dla ciebie w tym życiu... dziś... zaraz... Kara dorówna ogromowi zbrodni. Lecz – dodał Rudolf z litością – straszna ta kara zostawi ci pole do żalu bez granic; nie zgubi cię na wieki, lecz może cię wybawić. Zostaniesz sam na sam ze wspomnieniem twych zbrodni, żebyś ciągle rozpamiętywał ich ogrom. Będziesz musiał patrzeć w siebie... Dotąd każde twoje słowo było przekleństwem, od dziś będzie modlitwą... Jesteś śmiały i okrutny, bo jesteś silny... Od dziś będziesz łagodny i pokorny, bo będziesz słaby... Dziś serce masz zamknięte dla skruchy; kiedyś będziesz płakał nad twoimi ofiarami. Z człowieka zrobiłeś się dzikim zwierzem; kiedyś ostatnia twoja prośba do Boga będzie o to, abys umarł przy żonie i synu.

Rudolf mówił te słowa smutnym głosem. Bakalarz nabrał znowu odwagi, sądząc, że Rudolf chce go tylko nastraszyć. Ośmielony, rzekł doń z bezczelnym śmiechem:

– A, rozumiem, prawimy kazania i gramy w szarady?

Rudolf tylko smutnie potrząsnął głową i rzekł:

– Dawidzie, weź się do dzieła! Mnie jednego niech Bóg ukarze, jeżeli się mylę. Doktor zadzwonił; weszli dwaj słudzy. Murzyn pokazał im drzwi bocznego gabinetu. Słudzy wtoczyli tam fotel z Bakalarzem i na rozkaz doktora przywiązali głowę zbrodniarza do poręczy.

– Chcecie mnie udusić! – wołał Bakalarz.

Słudzy na znak doktora zatkali mu usta chustką.

– Panie Rudolfie, strach mnie bierze – rzekł Szuryner – powiedz choć słowo... Co tam robią Bakalarzowi? Nic nie słyhać...

Dawid wrócił do sali, usta mu zbieleły. Zadzwonił. Słudzy weszli, niosąc krzesło, na którym siedział Bakalarz.

– Odwiążcie go, niech wstanie – rzekł Rudolf.

Przez chwilę panowała straszne milczenie.

Słudzy zdjęli więzy. Bakalarz podniósł się gwałtownie, z twarzą wykrzywioną wściekłością i strachem. Zrobił jeden krok i upadł z powrotem na fotel. Potem, wznosząc ręce, krzyknął:

– Oślepiłem!

– Dawidzie, daj mu ten pugilares – rozkazał Rudolf. Murzyn włożył pugilares w drżące ręce Bakalarza.

– Masz tu dosyć pieniędzy – mówił dalej Rudolf – dosyć na całe życie... możesz sobie nimi zapewnić schronienie i chleb do końca twoich dni... Teraz jesteś wolny, idź i żałuj...

– Ślepy!... Ślepy!... Ślepy ... – powtarzał bandyta.

– Jesteś wolny, masz pieniądze. Idź...

– Nie mogę odejść! Gdzie pójde... nic nie widzę... O! Śmierci! Wolałbym śmierć – krzyknął w rozpacz Bakalarz. – Być na łasce wszystkich! Bać się wszystkiego... Teraz lada dziecko mnie pokona! Okradną mnie!

– Okradną! Jak się boisz kradzieży, ty, coś sam kradł! Idź!

– Na miłość Boga! – błagał Bakalarz. – Niech mnie kto odprowadzi!... Cóż pocznę na ulicy? O! Przez litość, zabijcie mnie!

– Nie... jeszcze pożałujesz za zbrodnie...

– Nigdy! Nigdy! – wykrzyknął Bakalarz z wściekłością. – O! Zemszczę się... zemszczę się jeszcze! I rzucił się naprzód, grożąc pięściami. Lecz zaledwie zrobił jeden krok, potknął się i zadrzał.

Szuryner zbliżył się do Rudolfa i rzekł po cichu:

– Panie Rudolfie... Pewnie, że zasłużył na to ten rozbójnik!... I mnie także chciał zabić. Ale teraz jest ślepy, nie wie, gdzie iść... Przejadą go na ulicy... Pozwól, zaprowadzę go w jakie miejsce, gdzie znajdzie spokojny kątek.

– Dobrze – odparł Rudolf wzruszony. – Idź.

Szuryner zbliżył się do Bakalarza. Bandyta zadrzał.

– Kto mnie dotyka? – spytał głucho.

– To ja, Szuryner.

– I ty chcesz się zemścić, prawda?

– Nie, chcę cię wyprowadzić. Chodź.

– To pułapka!

– Bądź spokojny. Dalej, chodźmy. Już dzień.

– Dzień! Ach, ja już nigdy nie zobaczę dnia!...

Rudolf nie mógł dłużej znieść tego widoku... wyszedł szybko z Dawidem. Szuryner został sam z Bakalarzem.

- Czy to prawda, że w tym pugilaresie są pieniądze? – zapytał Bakałarz.
- Tak, sam włożyłem pięć tysięcy franków... Za to możesz znaleźć mieszkanie gdzieś na wsi... albo może wolisz, żebym cię zaprowadził „Pod Białego Królika”?
- Nie chcę, gospodyni by mnie okradła.
- Może do Czerwonego Janka?
- Otrułby mnie i zabrał pieniądze.
- No to gdzie chcesz iść?
- Sam nie wiem... Ty nie kradniesz, Szurynerze... Schowaj mi pugilares do kieszeni kamizelki, żeby Puchaczka nie zobaczyła, bo go zabierze. Lecz cóż ja pocznę? Mój Boże! Zawsze ta czarna zasłona przed oczami... a jeżeli na niej pokażą się blade postacie tych, którzy... Czy umarł ten człowiek, com go ranił dzisiejszej nocy?
- Nie.
- Tym lepiej!... Ale gdzie pójdziemy?... Boję się wracać do siebie...
- Słuchaj, niedaleko mieszka mój znajomy, ma matkę, godną kobietę, ale nieszczęśliwą... Może zechciałaby wziąć cię do siebie.
- Tobie można zaufać, Szurynerze... Tyś nigdy nie kradł. Jesteś lepszy ode mnie.
- A pewnie, do pioruna! Pan Rudolf też mi powiedział, że mam serce. Bakałarz, wsparty na Szurynerze, wyszedł na ulicę.

XXII

Rzeźnik Francoeur

Upłynął miesiąc. Przeniesiemy się teraz do małego miasteczka l'Islo-Adam, położonego uroczo nad rzeką Oazą, u stóp lasu.

Wszyscy w miasteczku suszyli sobie głowy, komu też wdowa Dumont sprzedała najpiękniejsze jatki rzeźnicze. Nabywca musiał być bogaty, bo kazał sklep świeżo odmalować i ozdobić. Brązowa, wyłaczana krata otaczała cały front sklepu; na jatce zawieszono szyld, gdzie wypisane było złotymi literami: *Francoeur, rzeźnik*. Ale to jeszcze nie zaspokoilo ciekawości próżniaków; radzi byli wiedzieć, kto to taki ten Francoeur? Lecz nikt nie mógł dać wyjaśnień. Wreszcie przez tylną bramę domu wjechała bryczka. Wsiedli z niej i weszli do sklepu: Murf, już wyleczony, i Szuryner. Szuryner był nie do poznania w swoim nowym, porządnym ubraniu.

– Taki jestem uradowany, radość mnie rozgrzewa... – odezwał się Szuryner. – Wszelako mówię, żem rad, a jednak...

– Co „jednak”?

– Wczoraj przyszedł pan do mnie; powiedział pan, że pan Rudolf wyjechał gdzieś daleko i o mnie zapomniał... Zmartwiłem się.

– Chciałem tylko powiedzieć, że zapomniał cię nagrodzić.

– A, to co innego. Ucieszyłeś mnie, panie Murfie. Ja go nigdy nie zapomnę. Powiedział mi, że mam serce i honor.

– Na nieszczęście Księżę wyjechał i nie dał mi żadnych poleceń co do ciebie. Ja sam nie mam, nie jestem w stanie odwdziżyć się, jak bym chciał, za to, coś dla mnie uczynił.

– Eh! Żartuje pan chyba!

– I dlaczego po tej okropnej nocy nie zjawileś się u nas? Księżę nie wyjechałby, nie pomyślawszy o tobie.

– Hm!... Myślałem sobie: kiedy mnie pan Rudolf nie woła, to widać mnie nie potrzebuje.

– Powinieneś być domyślić się, że pragnie ci okazać swoją wdzięczność...

– Powiedział mi pan wczoraj, panie Murfie, że pan znajdziesz służbę, gdzie zarobię cztery franki dziennie. Cztery franki to pieniądz! Cóż to? Tu mieszka rzeźnik? – zapytał nagle, widząc przez firanki rozłożone ćwierci wołowiny.

– Tak, mój kochany... rzeźnik, mój przyjaciel... Możemy obejrzyć cały dom.

– Chętnie to mi przypomni młode lata; z tą różnicą, że wtedy biłem tylko stare konie. Dziwna rzecz, gdybym mógł, chciałbym być rzeźnikiem. Jak bym ja pracował! Tak bym się zawziął w pracy jak Gualaza, kiedy zjadała cukier starej! Ale że jej teraz nie widuję! Pewnie ją pan Rudolf wywiózł gdzieś z szynku. Biedna dziewczyna! Takie to młode, samo nie wiedziało, co robi.

– I ja tak myślę; ale chodźmy obejrzyć sklep.

Poszli do sklepu, potem do obory, gdzie stały trzy tłuste woły i ze dwadzieścia baranów; obejrzeliby stajnię, szlachtuz i inne budynki, starannie i czysto utrzymane.

– Przyznaj – rzekł Murf – że mój przyjaciel jest szczęśliwym człowiekiem. Ten dom i sklep należą do niego; ma jeszcze kilka tysięcy franków w zapasie; mocny jak wół, zdrowie ma żelazne, lubi swoje rzemiosło. Czeladnik, któregoś tam widział, zastępuje go, kiedy jedzie za kupnem bydła. A co, czy nie jest szczęśliwy? Ale chodźmy na górę, zobaczymy, jak tam wygląda; zapoznam cię z majstrem.

– Zaraz – rzekł Szuryner, smutny i nieco zmieszany, zatrzymując Murfa za rękę – mam panu coś powiedzieć... Może pan Rudolf panu nie powiedział, ale ja muszę uprzedzić o tym mojego majstra. Lepiej, że zaraz się dowie niż później.

– Czego ma się dowiedzieć?

– Że byłem skazany... na galery... – mówił Szuryner cichym, ledwie dosłyszalnym głosem.

– Ale nie za kradzież! Nigdy nie kradłem, wolałbym umrzeć z głodu... O! Gorzej zrobiłem – dodał spuszczać głowę – zabiłem człowieka... w gniewie. I temu majstrowi także wszystko powiem. Pan go zna, niech mi pan powie, jeżeli ma odmówić, to lepiej zaraz wrócę.

– Chodź! – odparł Murf.

Weszli na górę; drzwi się otworzyły i powitał ich... Rudolf.

– Mój kochany Murfie – rzekł – zostaw nas samych.

XXIII

Nagroda

– Do pioruna! Co za szczęście, że zastaję tu Waszą Księżęcą Mość... – zawołał Szuryner. – Figlarz Murf powiedział, że pan wyjechał, Mości Księżę...

– Nazywam się zawsze Rudolfem.

– Więc dobrze, panie Rudolfie, przepraszam, że nie przyszedł więcej po owej nocy z Bakalarzem.

– Przebaczam ci – rzekł ze śmiechem Rudolf, a potem zapytał: – Murf pokazał ci cały dom?

– Pokazał; śliczny dom, piękny sklep, a takie tu wszystko dostatnie, bogate. Ale i ja teraz się wzbogacę; pan Murf daje mi miejsce, gdzie będę brał cztery franki na dzień... cztery franki!

– A ja ci zaproponuję coś lepszego; otóż ten dom, wszystko, co w nim jest, ten sklep i trzy tysiące franków w tym pugilaresie – wszystko to twoje.

Szuryner roześmiał się głupkowato, konwulsyjnie ściskając kapelusz między kolanami; nie rozumiał słów Rudolfa. Przepaść dzieliła nędzę i poniżenie, w których żył dotąd, od bytu, jaki mu zapewniał Rudolf.

– Mości Księżę – rzekł chłopak, wstając nagle – dajesz mi ten dom i dużo pieniędzy, żeby mnie skusić; ale nie mogę... może chcesz, żebym kogoś zabił...

– O! Nieszczęśliwi – zawołał Rudolf z goryczą – czyliż tak rzadko podają wam pomocną rękę, że szczerego daru nie umiecie sobie inaczej wytłumaczyć tylko jako zapłatę za zbrodnię?! Nie znasz mnie... Niczego od ciebie nie żądam, tylko żebyś był zawsze uczciwy! A daję ci to wszystko, boś na to zasłużył.

– Ja? – zawołał Szuryner odurzony. – Zasłużyłem?

– Nie wiedziałeś, co złe a co dobre, zostawiony zwierzęcym popędowi; przez piętnaście lat obcowaleś na galerach z zatwardziałymi zbrodniarzami, uciśniony nędzą, głodem, wzdargą, a mimo to nie kradłeś i pokutą zgładziłeś swój występki.

Te proste i szlachetne słowa jeszcze bardziej zdziwiły Szurynera. Patrzył na Rudolfa z lekkim uszanowaniem i wdzięcznością.

– Jak to? Dlatego żeś mnie pan wybił... żeś potem pana wyratował... za to mam teraz dostać dom, kupę pieniędzy? Nie, to być nie może... jest tylu ludzi, co całe życie uczciwie pracują, a jednak...

– Wiem, lecz człowiek, co jak ty pozostał uczciwy wśród najostatniejszych zbrodniarzy, zasługuje na pomoc. Nie dość tego, ocaliłeś życie memu najlepszemu przyjacielowi Murfowi... – Tu Rudolf uściśnął rękę Szurynera i dodał: – Okazałeś się miłosierny dla człowieka, który cię chciał zabić, dałeś mu schronienie we własnym mieszkaniu przy ulicy Notre-Dame pod numerem 9.

– To pan wie, gdzie ja mieszkam?

– Ty zapominasz o usługach, któreś wyświadczył, lecz ja o nich nie zapominam. Dowiedziałem się, żeś zaprowadził Bakalarza do twego mieszkania. Chciałem cię jeszcze doświadczyć, chciałem wiedzieć, czy jesteś bezinteresowny... wróciłeś do uciążliwej pracy, nic nie żądałeś, niczego nie oczekiwałeś, nawet słowa nie powiedziałeś na mą pozorną niewdzięczność.

– Tak, tak, panie Rudolfie – dodał Szuryner smutnie. – Bo od czasu, jak pana znam i jak mi pan powiedział: „Ty masz serce i honor...” Trudno uwierzyć, że dwa słowa mogą sprawić taki skutek. Ale posiej dwa drobne ziarenka zboża, a wyrosną z nich wielkie kłosa.

To porównanie, proste a pełne poezji, uderzyło Rudolfa.

– To ty umieściłeś Bakalarza w Saint-Mandé? – podjął po chwili.

– Tak... kazał mi zmienić papiery na złoto i zaszyć sobie w pas. Jest teraz u poczciwych ludzi, płaci im trzydzieści sous na dzień, więc i dla nich jest to niejaka pomoc.

– Dobrze, mój chłopcze, a teraz rozejrzyj się po swoim domu.

– Mości Książę – rzekł Szuryner, dobierając z trudnością słów. – Nie umiem się pięknie wysławiać... Ale jeszcze raz bardzo panu dziękuję. Powiem tylko, że nigdy nie odmówię pomocy nieszczęśliwemu.

– Nie mogłeś mi lepiej podziękować... Znajdziesz w biurku dowody własności na imię pana Francoeur. Nie masz nazwiska... dałem ci nowe... Jestem pewny, że go nie splamisz... Chodźmy.

Gdy wyszli na podwórze, czeladnik rzekł do Szurynera:

– Skoro pan tu jest, majstrze, muszę panu powiedzieć, że zabrakło mięsa na pieczeń, trzeba by zaraz zabić z parę baranów.

– Dobrze. Przyniesź nóż, tylko ostry i mocny. Do pioruna! Panie Rudolfie – zawołał Szuryner, zdejmując spieszenie surduta i zawijając rękawy od koszuli – to mi przypomina młode lata. Zobacz pan, jak umiem pracować... Chciałbym już być przy robocie... Z takim nożem nie zląkłbym się najdzikszego wołu! – Szuryner w zapale wywijał nożem w powietrzu. Oczy mu krwią nabiegły, zwierzęce popędy odezwały się w nim z całą mocą.

Szlachtuz był w kącie podwórza; ciemny, sklepiony, z kamienną posadzką. Czładnik przyprowadził barana.

– Majster każe go przywiązać? – zapytał.

– A to na co? Od czego mam kolana! Ścisnę go... Daj no mi go; a sam idź do sklepu.

Czeladnik oddalił się. Rudolf został sam z Szurynerem; patrzył na niego uważnie, prawie z trwogą.

– O! To niedługo będzie, do pioruna! Chodź tu, kochanku, od razu cię zabiję. – Zapomniał zupełnie o Rudolfie, z dziką radością wniósł barana do szlachtuza – jak wilk zdobycy do jamy.

W szlachtuzie było ciemno, tylko z okna padało światło na grube rysy, jasne włosy i rude faworyty Szurynera. Czując nóż na gardle, zwierzę jęknęło żałośnie, podniosło gasnący wzrok na Szurynera i dwie strugi krwi przysnęły na twarz rzeźnika. Ten jęk, to spojrzenie, ta krew, do której miał odrazę, okropnie podziały na Szurynera: nóż mu wypadł z rąk; zsiniał, obryzgana krwią twarz wykrzywiła się, oczy stanęły kołem, włosy podniosły się na głowie; nagle zawołał stłumionym głosem:

– Sierżant, sierżant!

Rudolf podbiegł ku niemu.

– O! Tam... tam... sierżant!... – powtarzał Szuryner, ciągle się cofając i z dzikim, osłupiałym wzrokiem pokazywał palcem niewidzialną marę. Rzucił się w głąb szlachtuza w najciemniejsze miejsce, jakby chciał uciec przed strasznym widziadłem...

XXIV Wyjazd

Murf i Rudolf z trudem uspokoili Szurynera. Skoro przyszedł do siebie, udał się z Rudolfem do pokoju na pierwszym piętrze.

– Mości Książę – rzekł wtedy – okazałeś mi wiele łaski, ale wolałbym żyć w nędzy tysiąc razy gorszej niż dotąd niż być rzeźnikiem.

– Namyśl się jednak.

– Ach, nie, panie. Kiedym usłyszał jęk bezbronnego zwierzęcia...kiedy jego krew obryzgała mi twarz... krew ciepła... jakby jeszcze żywa... o! Co się wtedy ze mną działo! Przebac mi, Mości Książę, ale widzę teraz, że nie mogę znieść widoku krwi, noża... Mieć zawsze ręce i nogi zbrzyzgane krwią, zarzynać biedne, bezbronne zwierzęta... nie, nie mogę! Wolałbym być ślepy jak Bakalarz niż zostać rzeźnikiem. Przebac mi, Mości Książę, źle się odwdzięczam za wyświadczoną łaskę, ale...

– Wcale nie, przewyższasz moje oczekiwania. Wyznaję jednak, że nie był pewny, czy znajdzie w tobie tak mocne wyrzuty sumienia.

– Jak to, Mości Książę?

– Posłuchaj, jaki miałem zamiar. Wybrałem ci rzemiosło rzeźnika, boś miał do tego ochotę, bo zgadzało się z twoim charakterem.

– Niestety, to prawda, że ten zawód zgadzał się z moim charakterem!

– Tak, skoro jednak widzę, że to nie dla ciebie zajęcie, dam ci co innego. Pewien właściciel obszernych dóbr w Algierze może mi dla ciebie odstąpić grunty bardzo dogodnie dla hodowli bydła. Ziemia jest żyzna i już uprawna. Muszę cię jednak uprzedzić, że grunty te leżą na granicy Atlasu, a tym samym wystawione są na częste napaści Arabów. Trzeba tam być nie tylko rolnikiem, ale i żołnierzem; jest to zarazem folwark i forteca. Rządca zawiadujący nim obezna cię ze wszystkim; jest uczciwy i wierny, możesz go trzymać, póki zechcesz. Powtarzam ci, mój chłopcze, że wybrałem to dla ciebie, bo chciałem, żeby wrodzona ci waleczność nie została bezowocna; twoja pokuta byłaby zatem pełniejsza, szlachetniejsza wśród niebezpieczeństw dzikiego kraju. Ale zastanów się. Jeżeli ci się to nie podoba, powiedz mi szczerze, pomyślimy o czym innym, jeżeli zaś przystajesz, jutro podpiszemy kontrakt; oddam ci tytuł własności i pojedziesz do Algieru. Choć rozdzieli nas morze, nie stracę cię z oczu. Nigdy nie zapomnę, żeś ocalił życie mnie i memu przyjacielowi. A w dowód wdzięczności i przywiązania wymagam od ciebie, żebyś się prędko nauczył czytać i pisać i co tydzień donosił mi o sobie, a w razie gdybyś potrzebował rady lub wsparcia, zawsze zwracaj się do mnie.

Radość Szurynera nie miała granic. Następnego dnia wyjechał do Algieru.

XXV

Poszukiwania

Rudolf nie mieszkał na co dzień w domu przy Wdowiej Alei. Miał wielki pałac na przedmieściu Saint-Germain. Dla uniknięcia ceremoniału Rudolf od przyjazdu do Paryża zachowywał zupełne incognito. Jego pełnomocnik przy dworze francuskim oznajmił, że Księżę odda konieczne urzędowe wizyty pod nazwiskiem hrabiego Duren. Mimo swego incognito Rudolf prowadził dom na wielką skalę.

Wybiła godzina dziesiąta rano. Na dole, w dużym pokoju, siedzi przy biurku Murf i pieczętuje depesze. Sługa w srebrnym łańcuchu na szyi oznajmił: – Jaśnie Wielmożny Baron Graun.

Murf, nie odrywając się od pracy, pozdrowił przybyłego serdecznym i poufałym gestem i rzekł:

– W tej chwili ci służę.

– Sir Walterze Murf, tajny sekretarzu Jego Księżęcej Mości, oczekuję na pańskie rozkazy – odparł żartobliwie gość.

Baron, mężczyzna lat pięćdziesięciu, miał włosy siwe i lekko upudrowane. Twarz miał pełną przebiegłości, a spojrzenie bystre i przenikliwe. Ubrany był we frak z różnokolorową wstążeczką w butonierce.

– Księżę musiał późno w noc pracować, kochany Murfie, rozsyłasz tyle depesz!

– Położył się dopiero o szóstej z rana.

– Czy mam czekać na audiencję?

– Nie trzeba, kochany baronie, możesz mi wszystko powiedzieć, a ja później powtórzę Księżciu. Cóż tam więc nowego, baronie? Czy nikt nie wie o naszych potajemnych wycieczkach?

– Nikt. Wszyscy myślą, że Księżę szuka samotności i jedynie zwiedza okolice Paryża. Prócz hrabiny Sary Mac-Gregor, brata jej Toma i ich przekłętą sługę Karola nikt nie wie, że Księżę tak często się przebiera, a oni go nie zdradzą: to nie leży w ich interesie.

– Ach, baronie, co za nieszczęście, że ta niezdolna hrabina owdowiała!

– Wszak wyszła za męża w 1827 czy 1828 roku?

– W 1827, wkrótce po śmierci biednej córeczki, która by teraz miała szesnaście czy siedemnaście lat, a którą Księżę ciągle jeszcze oplakuje, choć nigdy o niej nie wspomina.

– Nic dziwnego. Księżę nie miał dzieci z małżeństwa.

– Toteż tak żywo opiekuje się tą biedną Gualezą: oplakiwana córka byłaby dziś w jej wieku.

– To prawdziwe nieszczęście, że hrabina owdowiała właśnie w półtora roku po tak wczesnej śmierci czcigodnej małżonki Księcia. Błogosławi los za to wdowieństwo.

– Jej nierozsądne nadzieje rosną coraz bardziej, chociaż wie dobrze, że Księżę jej nienawidzi i że ma po temu powody. Ach, okropna kobieta!

– Byłaby szalona, gdyby się jeszcze czegoś spodziewała. Z chwilą śmierci córeczki został zerwany ostatni węzeł, jaki ich łączył. A wszystkimu winien ten niegodziwiec Polidori.

– Wiesz, baronie, że on podobno jest w Paryżu?

– Oby się tylko nie spotkał z hrabiną!

– Dajmy im spokój. Czy dowiedział się pan czegoś z papierów Bakalarza i zeznań Puchaczki, wyleczonej w szpitalu?

- Dowiedziałem się wiele – odpowiedział Graun, wyjmując zwój papierów z kieszeni – o urodzeniu Gualezy i o miejscu zamieszkania Franciszka Germain, syna Bakalarza.
 - Radź pan łaskaw przeczytać mi... Ale, ale, czy jesteś zadowolony ze swego agenta?
 - O, bardzo... Jest zręczny i umie trzymać język za zębami. Ma jawne albo tajemne związki ze wszystkimi klasami społeczeństwa; duszą oddany temu, kto go płaci. Nic ma powodów nas zdradzać, zresztą każę go potajemnie śledzić.
 - Na co? Dotąd jego doniesienia były dokładne.
 - To nic nie znaczy; pan Badinot jest uczciwy po swojemu.
 - Może trzeba mu powiększyć pensję?
 - I tak bierze pięćset franków na miesiąc, a prawie drugie tyle na koszt; zdaje się, że ma dosyć: zresztą zobaczymy.
 - I nie wstydzi się tego zajęcia?
 - Bynajmniej, nawet się nim szyci; składając mi raporty, udaje, że jest przekonany, iż idzie o interesy stanu. Nieraz powiada mi bezczelnie: „Ileż to trzeba wiadomości niepojętych dla prostaka, aby kierować wielkimi sprawami! Kto by na przykład powiedział, że moje raporty wywierają może wpływ na losy Europy!”
 - Zadziwiająco! Nikczemni radzi oszukują samych siebie. Ale czytamy.
- Graun zaczął czytać:

Wiadomość o Gualezie.

Na początku 1827 r. Piotr Tournemine, obecnie osadzony za fałszerstwo na galerach w Rochefort, dowiadywał się u niejkiej Gervais, przezywanej Puchaczka, czy nie wzięłaby do siebie sześćioletniej dziewczynki za jednorazowym wynagrodzeniem tysiąca franków. Puchaczka zgodziła się na podane warunki. Dziewczynka była u niej dwa lata, a potem, ponieważ źle się z nią obchodziła, uciekła. Od tego czasu Puchaczka nic o niej nie wiedziała i dopiero przed sześcioma tygodniami spotkała ją w szynku w Cité. Dziewczynę nazywają Gualeza. Na kilka dni przedtem Tournemine przesłał Czerwonemu Jankowi (który zwykle ułatwia stosunki między galernikami) list ze szczegółami o dziewczynce, którą niegdyś wzięła Puchaczka. Z tego listu i zeznań Puchaczki wynika, że w roku 1827 pani Seraphin, gospodyni notariusza Jakuba Ferrand, poleciła Tournemine'owi wyszukać jaką kobietę, która by za tysiąc franków wzięła do siebie sześćioletnią dziewczynkę. Puchaczka podjęła się tego. Tournemine udzielił tych wiadomości Czerwonemu Jankowi, chciał bowiem wyłudzić od pani Seraphin znaczną sumę i szantażował ją, że wyda jej tajemnicę. Tournemine zapewnia, że pani Seraphin działała z upoważnienia obcych, nie znanych jej osób. Czerwony Janek wręczył list Tournemine'a Puchaczce, współniczce wszystkich zbrodni Bakalarza; dlatego list ten był przy Bakalarzu i dlatego Puchaczka w garkuchni „Pod Białym Królikiem” powiedziała, chcąc dokuczyć Gualezie: „Wiem, kim są twoi rodzice, ale ty ich nie poznasz”. Poszukiwania udowodniły, że pani Seraphin i notariusz mieszkają przy ulicy Sentier pod nr 41. Notariusz uchodzi za człowieka pobożnego, uczęszcza do kościołów, w interesach jest uczciwy aż do grubiaństwa, a oszczędny jest aż do sknerstwa. Gospodynią u niego jest jeszcze dotąd pani Seraphin. Jakub Ferrand, będąc jeszcze ubogim, kupił miejsce notariusza za 350 000 franków, które pożyczył mu Karol Robert, oficer sztabu Paryskiej Gwardii Narodowej; ma on udział w zyskach notarialnych wynoszących, jak powiadają, pięćdziesiąt tysięcy franków rocznie. Nie ma wątpliwości, że pani Seraphin będzie mogła udzielić dokładnych wiadomości o rodzicach Gualezy.

- Znakomicie, kochany baronie! A jakie masz wiadomości o synu Bakalarza?
- Baron czytał dalej:

Przed osiemnastu miesiącami młody człowiek nazwiskiem Germain przybył do Paryża z Nantes, gdzie był buchalterem u bankiera Noël. Z wyznań Bakalarza z listów, które przy nim znaleziono, wynika, że galernik, któremu powierzył swego syna, żeby go przygotować do zbrodni, odkrył młodzieńcowi swój plan i żądał jego pomocy do popełnienia kradzieży u bankiera. Młodzieniec z oburzeniem odrzucił to żądanie i potajemnie wyjechał z Nantes, anonimowym listem uprzedziwszy bankiera, że grozi mu włamanie. Niegodziwy opiekun przybył do Paryża, porozumiał się z Czerwonym Jankiem i zaczął szukać syna Bakalarza, z pewnością nie w najlepszych zamiarach. Po długich poszukiwaniach odkrył jego adres, lecz za późno, bo Germain, spotkawszy go i domyślając się, dlaczego przyjechał do Paryża, zmienił nagle mieszkanie. Ten jednak po sześciu tygodniach dowiedział się, że Franciszek Germain mieszka przy ulicy Temple pod numerem 17. Germain, wracając wieczorem do domu, o mało nie padł ofiarą niewiadomego dotąd zabójcy. Młodzieniec domyślił się, czyja ręka go ściga, i wyprowadził się z ulicy Temple; nim zdołano go znaleźć. Bakalarz poniósł karę za swoje zbrodnie. Dalsze poszukiwania wykryły, co następuje: Franciszek Germain mieszkał około trzech miesięcy przy ulicy Temple pod numerem 17, w domu nadzwyczaj ciekawym z powodu obyczajów i dziwnych zawodów mieszkańców. Lubiano tam Germaina, bo był wesoły, usłużny i otwarty. Chociaż miał szczupłe dochody, wspomagał biedną rodzinę, mieszkającą na poddaszu. Nie można się było dowiedzieć na ulicy Temple ani gdzie teraz mieszka, ani czym się trudni; zwykle wychodził rano, a wracał koło dziesiątej wieczorem. Jedną tylko osobą zna zapewne obecny adres Germaina; jest to ładna gryzетка, imieniem Rigoletta; zajmuje pokój obok dawnego mieszkania Franciszka Germain przy ulicy Temple. Pokój po Germainie jest dotąd do wynajęcia.

– Rigoletta? – zawołał nagle Murf. – Rigoletta? Znam to imię!

– Jak to – spytał baron ze śmiechem. – Sir Walter Murf, czcigodny ojciec rodziny, spotyka się z gryzetcami?

– Ach, baronie, z łaski Księcia porobiłem tak dziwaczne znajomości. Ale zaczekaj... aha!... Już wiem... Książę, opowiadając historię Gualezy, nie mógł się wstrzymać od śmiechu na to dziwaczne imię Rigoletty; tak się nazywała przyjaciółka Gualezy, towarzyska jej w więzieniu.

– A, wobec tego Rigoletta może nam oddać duże usługi – rzekł baron. – Ale skończmy raport.

Warto by może wynająć mieszkanie po Germainie na ulicy Temple. Poza tym Jego Książęca Mość będzie tam miał okazję poznać zwyczaje, a nade wszystko nędzę, o jakich nigdy nie miał wyobrażenia.

XXVI

Markiz d'Harville

- Widzisz więc, kochany panie, że osiągnęliśmy już wiele, skoro wiemy, gdzie szukać.
- I ja tak myślę. Powiedzże mi teraz, baronie, czy dowiedziałeś się, jak się ma rzecz z markizem d'Harville?
- Książę niepotrzebnie się obawiał, że markiz jest w trudnym położeniu. Badinot zapewnia, że jego majątek jest w dobrym stanie.
- Nie mogąc się domyślić powodu zgryzoty markiza. Książę mniemał, że pochodzi ona z braku pieniędzy i z właściwą sobie delikatnością chciał mu w sekrecie przyjść z pomocą... bardzo kocha pana d'Harville.
- Nic dziwnego, Książę nie zapomina, co jego ojciec winien był ojcu markiza. Czy wiesz, kochany Murfie, że w roku 1815 Książę straciłby wszystko, gdyby nieboszczyk d'Harville nie pomógł mu przez swoje znajomości i wpływy?
- Wszakże w roku 1815 zawiązała się przyjaźń między naszym Księciem a młodym markizem? Książę tak bardzo kocha wszystkich d'Harville'ów. I pani George nie tylko swym cnotom i nieszczęściom, ale więcej może jeszcze związkowi z rodziną d'Harville zawdzięcza dobrodziejstwa, jakich doznaje od Księcia.
- Pani George! Żona Duresnela? Zbrodniarza... galernika... tego Bakalarza! – zawołał baron.
- Tak... matka Franciszka Germain, którego szukamy...
- To krewna markiza?
- Była krewną i przyjaciółką jego matki. Starego markiza łączyła wielka przyjaźń z panią George.
- Ale jakże rodzina d'Harville'ów mogła zezwolić na jej małżeństwo z tym nędznikiem Duresnelem?
- Jej ojciec, pan de Lagny, przed rewolucją posiadał ogromne dobra; zachował je, a gdy nastały spokojniejsze czasy, umyślił wydać za mąż córkę. Wtedy poznał Duresnela; ten potrafił ukryć złe skłonności pod płaszczykiem hipokryzji i uzyskał rękę panny de Lagny. Rozrutnik, szuler, pijak, unieszczęśliwił żonę; ona kryła swoje zmartwienia, a po śmierci ojca osiadła w jego dobrach. Wkrótce mąż jej roztrwonił cały majątek; dobra zabrano za długi. Duresnel, straciwszy majątek żony i własny, szukał ratunku w zbrodni; za fałszerstwo, kradzież i morderstwo skazany został na dożywotnie galery, wydarł matce syna i oddał go w ręce podobnego sobie niegodziwca... Gdy Duresnela skazano na galery; żona jego, doprowadzona do ostatniej nędzy przybrała nazwisko George...
- Czemuż wtedy nie udała się do swej przyjaciółki?
- Markiza d'Harville już nie żyła, pani George ze wstydu nie śmiała prosić o pomoc innych krewnych; raz tylko odważyła się iść do markiza d'Harville... I wtedy spotkał ją Książę. Szedł właśnie do markiza; spostrzegł jakąś kobietę, nędznie ubraną, prawie omdlałą, która, stanawszy u bramy pałacu, długo wahała się i w końcu cofnęła. Wyraz cierpienia, wryty na jej twarzy, obudził ciekawość Księcia. Poszedł za nią i widział, jak weszła do nędznego domu; tam wywiedziało się, że dotąd utrzymywała się z pracy rąk, ale teraz nie może pracować i żyje w najokropniejszej nędzy. Nazajutrz Książę odwiedził ją ze mną... w sam czas, bo inaczej umarłaby z głodu. Staraniem Księcia wyleczona z ciężkiej choroby, przez wdzięczność opowiedziała mu całe swoje życie; Książę dowiedział się, że jest krewną d'Harville'ów. Poznawszy

jej szlachetny charakter, osadził ją w Bouqueval, gdzie teraz mieszka z Gualezą. Znalazła w tym schronieniu przynajmniej spokój i zajęta gospodarstwem, nie myśli tak często o swoich zgryzotach... Książę, nie chcąc urazić uczuć pani George, nie wspominał wcale markizowi o tym zdarzeniu. Widzisz więc, kochany baronie, jak dalece Książę jest przywiązany do całej rodziny i jak cierpi, widząc, że młody markiz jest zawsze smutny.

– A powinien by być szczęśliwy, bo czegoż mu brakuje? Ma wszystko: urodzenie. majątek, rozum, młodość... piękną, rozsądną żonę...

– Prawda. Może to jaki dramat miłosny...

– Mówią jednak, że namiętnie kocha żonę i że ona mu nie daje powodów do zazdrości.

– Tak, było jedynie między nimi jakieś małe nieporozumienie z powodu hrabiny Sary.

– To markiza zna hrabinę?

– Na nieszczęście stary markiz poznał Sarę i Toma, kiedy przed siedemnastu czy osiemnastu laty znajdowali się w Paryżu, i dał im list polecający do ojca naszego Księcia. Iluż to nieszczęść ten jeden list był powodem. Gdyby nie to pismo. Książę nigdy nie poznałby Sary... Po powrocie do Paryża hrabina, dowiedziawszy się o zażyłej przyjaźni Księcia z d'Harville'em, zawarła znajomość z markizą, w nadziei, że w domu jej będzie widywać Księcia; ściga go z taką wytrwałością, z jaką on jej unika. Markiz powiadomiony przez Księcia o postępowaniu Sary, radził żonie, żeby nie widywała się z tą kobietą; ale pani d'Harville, uwiedziona pozorami cnoty, jakie przybiera hrabina nie usłuchała go, stąd nieporozumienia.

– O! Kobiety!... Przyjaźnić się z takim szatanem!...

– Wspomniałeś, baronie, o szatanie. To mi przypomina tę oto depezę, dotyczącą niegodnej małżonki czcigodnego Dawida, Kreolki Cecylii.

– Ach, to diaboliczna, tak pod względem wdzięków, jak i niegodziwości. Spodziewam się, że Książę cofnął swoje ostatnie rozkazy względem niej?

– Przeciwnie...

– Nic nie rozumiem... Książę dawniej nie mógł znieść jej widoku...

– Tak jest, baronie, a teraz kazał jej przybyć. A gdybyś widział, co się działo z Dawidem, w chwili gdy usłyszał, że Cecylia ma tu przyjechać!... Nie uspokoił się, póki Książę nie przyrzekł mu, że nigdy nie będzie jej widzieć.

– Biedny Murzyn!... Jeszcze ją kocha. Podobno ciągle jeszcze jest piękna... Jak to się stało, że Dawid ją poślubił?

– Byłem przy Księciu w Ameryce, kiedy zajął się Dawidem i Cecylią – opowiadał Murf. – Pan Willis, bogaty osadnik na Florydzie, miał w liczbie swoich niewolników Murzynów jednego, Dawida. Młody ten chłopiec ze szczególną troskliwością pielęgnował chorych; okazywał upodobanie do nauk, zwłaszcza do botaniki; bez żadnego przewodnika ułożył zielnik z roślin, jakie mógł zebrać w posiadłości swego pana. Willis mieszkał nad morzem, o dwadzieścia mil od najbliższego miasta; lekarze, z powodu znacznej odległości i złych dróg, niechętnie odwiedzali jego chorych. A że często panowały u niego epidemie, postanowił mieć u siebie stałego doktora i w tym celu wysłał Dawida na swój koszt do Paryża na naukę medycyny. Młody Murzyn, po ośmiu latach usilnej pracy zostawszy doktorem medycyny, wrócił do swego pana.

– Czemuż nie pozostał we Francji?

– Jest to człowiek nieposzlakowanej uczciwości: obiecał wrócić do Ameryki i wrócił. Nabytą naukę poczytywał nie za swoją własność, ale za własność pana, bo jego kosztem ją posiadał. Prócz tego spodziewał się, że zdoła polepszyć i moralny, i fizyczny stan Murzynów... Chciał być nie tylko ich lekarzem, ale opiekunem, obrońcą.

– Każdy inny na jego miejscu zostałby w Paryżu!

– Osądź teraz sam, baronie, jaki to człowiek. Po powrocie na Florydę Willis przyjął go bardzo dobrze, sadzał przy swoim stole i wyznaczył mu sześćset franków rocznej pensji. Murzyni słuchali go, a życie ich stało się znacznie lepsze dzięki opiece doktora. Tak przeszedł

rok. Między ładnymi niewolnicami Willisa słynęła z wdzięków Cecylia, piętnastoletnia Krolka. Willis miał na nią chętkę, ale pierwszy raz w życiu znalazł niewolnicę, która oparła się stanowczo jego woli. Cecylia kochała... kochała Dawida, który ją leczył z największym poświęceniem w czasie zarazy; winna mu była życie. Dawid nie rozgłaszał swego szczęścia, czekał, aż Cecylia ukończy szesnaście lat i będzie mogła wyjść za mąż. Lecz kiedy mu z płaczem wyznała żądania pana Willisa, Dawid udał się do niego, prosząc o pozwolenie zaślubienia Cecylii.

– Zgaduję: Willis odmówił.

– Tak jest: oświadczył, że odmawia, bo nie może ścierpieć oporu ze strony niewolnicy. Dawid mówił o wzajemnej miłości. Właściciel plantacji odpowiedział mu, że dałby zły przykład, gdyby ustępował niewolnicy dla kaprysu Dawida. Dawid błagał, nie szczędził gorzkich, gwałtownych wyrzutów. W dwie godziny później, uwiązany do słupa, odbierał chłostę, a Cecylię w jego oczach zawleczono do mieszkania osadnika.

– Okrucieństwo i głupota zarazem!

– Istotnie! Tegoż dnia zachorował ciężko skutkiem gniewu i pijaństwa. Posłano po doktora, do miasta lecz ten obiecał przybyć nie wcześniej niż za parę dni. Przeznaczenie samo wymierzyło karę Willisowi. Coraz silniejsze cierpienie przemogło wahania; postanowił szukać ratunku we wspaniałomyślności Murzyna.

– I Dawid ocalił mu życie?

– Przez pięć dni i pięć nocy czuwał przy łóżku chorego, pielęgnując go jak własnego ojca. Willis wyzdrowiał!

– I jak nagroził swego zbawcę?

– Nie chcąc codziennie rumienić się przed szlachetnym Murzynem, osadził Dawida w więzieniu.

– Okropne!

– Wkrótce po tych wypadkach przybyliśmy do Ameryki; na Wyspie św. Tomasza Książę najął dla siebie bryg pod duńską banderą i incognito zwiedzał nadbrzeżne osady. Willis przyjął nas wspaniale. Nazajutrz, na pół pijany, z cynicznymi przechwałkami opowiedział nam historię Dawida i Cecylii, którą też wtrącono do więzienia. Książę powątpiewał o prawdziwość słów Willisa. Pijany osadnik, chcąc pokazać, że mówi prawdę, wziął latarnię i zaprowadził nas do więzienia. Okropny to był widok! Dawid i Cecylia, wyschli, wynędzniali, na pół nadzy, okryci ranami, przykuci do ścian, wyglądali jak trupy... Gdy weszliśmy, Dawid utopił w nas straszne, osłupiałe spojrzenie. Osadnik spytał go z okrutną ironią: „A co, doktorze, jakże się masz!” Murzyn z wolna wznosił rękę ku niebu i wymówił uroczystym głosem: „Bóg!” „Bóg?”, zawołał osadnik z gniewnym śmiechem, „nikt nie wydobędzie cię z moich rąk, póki nie umrzesz”. Oburzenie nasze nie miało granic. Zaraz wróciliśmy na okręt. W nocy Książę z ośmiu dobrze uzbrojonymi majtkami wysiadł na ląd i udał się prosto do więzienia; wyłamał drzwi i tajemnie wprowadził Dawida z Cecylią. Kiedy już byli na okręcie, Książę poszedł ze mną do pokojów osadnika. Weszliśmy do sypialni Willisa. Obudzony, podniósł ociężałą od pijaństwa głowę. „Powiedziałeś, że nikt nie zdoła ci żywcem wydrzeć twoich ofiar. Już są uratowane. Zostawiam ci tu dwadzieścia pięć tysięcy franków w złocie... za tę cenę kupuję od ciebie dwoje Murzynów”.

– Zbyt szczerze Książę nagroził nędznika!

– Liczyliśmy koszt studiów Dawida we Francji i dodaliśmy do tego podwójną cenę, jaką zwykle płacą za parę Murzynów. Książę postąpił samowolnie, lecz gdybyś widział okropny stan tych nieszczęśliwych...

– Więc Dawid ożenił się z Cecylią dopiero w Europie?

– Ślub odbył się u nas, w kaplicy zamkowej. Zdawało się, że małżeństwo będzie szczęśliwe; tymczasem Cecylia, zapomniawszy, co oboje wycierpieli i co winna mężowi, wstydziała

się Dawida i dała się uwieść zepsutemu człowiekowi. Zaślepiiony miłością Dawid dopiero po dwóch latach małżeństwa poznał całą jej wartość. Odkrycie to zabiło na zawsze jego spokój.

– Mówiono mi, że chciał ją zabić?

– Tak jest, i tylko na prośbę Księcia zezwolił na zamknięcie jej na całe życie w fortecy. A teraz, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu. Księżę uwalnia ją z więzienia. Ale już późno, a Księżę życzy sobie, żeby jak najprędzej wyprawić kuriera.

– Za dwie godziny będzie w drodze. A więc do widzenia, spotkamy się dziś wieczór na balu...

– Tak, ale przyjedziemy dość późno, kochany baronie, bo jestem pewien, że Księżę dziś jeszcze zechce obejrzeć ów tajemniczy dom przy ulicy Temple.

XXVII

Dom przy ulicy Temple

Wynajmując izdebkę po Franciszku Germain, Rudolf mógł ułatwić sobie poszukiwania i dowiedzieć się wielu ciekawych rzeczy od mieszkańców owego domu. Tegoż samego dnia o trzeciej po południu poszedł na ulicę Temple.

Dom, o którym mowa, niczym się nie wyróżniał. Był wysoki, czteropiętrowy. Ciemna i wąska sień prowadziła na podwóreczko, zupełnie pozbawione powietrza i światła, dokąd ze wszystkich pięter spływały nieczystości. Przy mrocznych i wilgotnych schodach czerwone światło latarni wskazywało mieszkanie odźwiernego. Tam wszedł Rudolf, chcąc dowiedzieć się o mieszkanie do wynajęcia. Pokój odźwiernego oświetlała lampa paląca się za szklaną bańką z wodą; w głębi łóżko, zasłonięte kolorową firanką; para malutkich węgierskich butów z czerwonego safianu, jakby dla lalki, wyszytych prawdziwie po mistrzowsku, i nieznośny zapach skóry dowodziły, że odźwierny, pan Pipelet, trudni się szewstwem. W tej chwili nie było go w domu, a zastępowała go żona, siedząca przy żelaznym piecyku. Pani Pipelet, brzydka, w brudnych łachmanach, z twarzą pomarszczoną i pełną pryszczycy, na widok Rudolfa zawołała ochryple:

– Gdzie pan idziesz?...

– Łaskawa pani, podobno w tym domu jest pokój do wynajęcia?

– Tak, jest, na czwartym piętrze... ale teraz nie można go obejrzeć. Alfred wyszedł.

– Pani syn zapewne?

– Nie, panie, to nie mój syn, to mąż! To już Pipelet nie może mieć na imię Alfred?!

– Jeśli pani pozwoli, zaczekam na niego, bo rad bym wynająć ten pokój; miło by mi było mieszkać w domu tak porządnie utrzymanym. Czyby pani nie chciała zająć się sprzątnieniem mego mieszkania?

Tak grzecznie wyrażone żądanie spotkało się z aprobatą pani Pipelet.

– Z największą chęcią. Za sześć franków na miesiąc będziesz pan obsłużony jak jaki książę – rzekła.

– Zgoda na sześć franków, pani...?

– Pomona Fortuna Anastazja Pipelet.

– A jaka jest cena pokoju, pani Pipelet?

– Sto pięćdziesiąt franków, ani grosza mniej... bo dzierżawca domu istny pies, nikomu nie ustąpi.

– Jak się nazywa?

– Czerwony Janek.

– A gdzie mieszka?

– Ulica Grochowa, numer 13.

– A kto jest właścicielem domu?

– Pan Bourdon, ale tu rządzi wyłącznie Czerwony Janek.

– Kochana pani Pipelet – rzekł Rudolf – zziębłem; bądź pani tak dobra i przynieś butelkę ratafii i dwa kieliszki, albo lepiej trzy, bo mąż zapewne niedługo wróci. – I dał jej pięć franków.

– Ach, panie, pan się każeś uwielbiać! – zawołała uradowana. – Ale przyniosę tylko dwa kieliszki; my z Alfredem zawsze pijemy z jednego.

Stara wyszła, po chwili zaś rozległo się pukanie listonosza, który oddał dwa listy i zawołał:

– Trzy sous za jeden list, drugi opłacony.

Rudolf, zapłaciwszy, wziął listy i obejrzał ciekawie. Jeden, adresowany do pani Pipelet, był mocno uperfumowany; na pieczęcie pod herbem świeciły litery C. R., a pod nimi krzyż Legii Honorowej. Męskie pismo na kopercie dowodziło, że list nie pochodził od kobiety. Druga koperta ze zwykłego szarego papieru, zapieczętowana nakłutym opłatkiem, nosiła adres: *Dla pana Cezara Bradamanti, dentysty i operatora*. Litery wyglądały na umyślnie zmienione i powykrzywiane. Ten drugi list robił smutne wrażenie. Papier był zgnieciony, a kilka liter zamazanych. Musiała tam upaść łąza. W tej chwili weszła pani Pipelet z flaszką i kieliszkami.

– Długo marudziłam, co? Ale ze starym Józefem nie można sobie dać rady. Wystaw pan sobie, w takim wieku cholewki jeszcze do mnie smali. Alfred jest zazdrosny jak Beduin... a przecież Józef tylko żartuje.

– Przyniesiono dwa listy. Zapłaciłem.

– Ślicznie dziękuję, odtrączę to z reszty, którą mam panu oddać. Wiele pan zapłaciłeś?

– Trzy sous – odpowiedział Rudolf, śmiejąc się z tak dziwnego sposobu zwracania długów.

– Jak to trzy? Sześć sous! Przecież są dwa listy.

– Jeden był opłacony. Nie chcę być niedyskretny, ale pozwól sobie pani powiedzieć, że otrzymujesz listy dziwnie wyperfumowane.

– A, prawda – odpowiedziała odzwierna, biorąc list – to mi wygląda na bilecik miłosny... A, już wiem, to od majora, co ja się namartwiłam! Bo Alfred jest zazdrosny jak Beduin! Ale porachujmy się. Trzy sous za list, a piętnaście za ratafię, to osiemnaście; należy się panu reszty cztery franki i dwa sous. Trzymaj pan. Przyjaźń przyjaźnią, a interes interesem.

– Weź sobie pani jeszcze jednego franka za to, że tak składnie rachujesz. To pójdzie na za-datek, jeżeli wynajmę pokój. Ale jest tu drugi list: do Cezara Bradamanti.

– Aha! Do dentysty z trzeciego piętra, trzeba go włożyć do buta... tam nie zginie. My tak zawsze robimy, a gdy lokatorzy wracają do domu, Alfred tylko butem trzaśnie i każdy zabiera, co do niego należy.

– Istotnie, zadziwiający porządek w tym domu; podoba mi się ten wynalazek z listami.

– Nic prostszego – odpowiedziała skromnie pani Pipelet. – Alfred miał jeden stary but bez pary, co z nim zrobić? Użył go dla wygody lokatorów. – To mówiąc, odpieczętowała list i obracała go na wszystkie strony; po chwili wahania rzekła:

– Alfred mi zawsze czyta, bo ja nie umiem. Nie zechciałby mi pan przeczytać?...

– Przeczytać list? Z przyjemnością! – odparł Rudolf. Rozpieczętował wonny bilecik i przeczytał:

Jutro, w piątek, o jedenastej zapalić dobrze na kominkach w obu pokojach, wytrzeć zwierciadła, zdjęć z mebli pokrowce, okurzyć je ostrożnie, żeby nie skaleczyć złocenia. Na wypadek, gdyby mnie nie było, a około pierwszej fiakrem przyjechała dama i pytała się o pana Karola, zaprowadzić ją na górę, zamknąć, a klucz oddać mnie, jak przyjdę.

Mimo tej mało wytwornej formy Rudolf zrozumiał znaczenie listu i zapytał:

– Któż to mieszka na pierwszym piętrze?

Stara położyła poźółkły palec na zmarszczonych ustach:

– Ciszej... to intryga miłosna. Zresztą mogę panu powiedzieć to, co wiem. Przed sześcioma tygodniami przyszedł tu tapicer, obejrzał pierwsze piętro, zapytał o cenę, a nazajutrz wrócił z pięknym blondynem z małymi wąsikami i krzyżem Legii Honorowej... nazywał go majorem.

– Więc to wojskowy?

– Wojskowy! – odpowiedziała pani Pipelet ze wzgardą. – Gdzież znowu, jest oficerem Gwardii Narodowej, nic więcej, a tapicer tylko przez pochlebstwo nazywał go majorem.

Owóż major wszystko obejrzał i powiedział tapicerowi: „Podoba mi się mieszkanie, ulóż się z właścicielem o cenę”. Nazajutrz tapicer zawarł kontrakt na własne imię i zapłacił za sześć miesięcy z góry; blondyn widać nie chce, żeby znano jego nazwisko. Potem wszystko przewrócił do góry nogami, przynosili sofy, lustra w złożonych ramach, pyszne meble. A co za kobierce, miękkie jak puch! Gdy już wszystko urządzono, major zapytał Alfreda: „Czy podejmujesz się utrzymywać to mieszkanie w porządku?” „Dobrze, panie majorze”, odpowiedział mu Alfred. „A wiele będziesz chciał za to?” „Dwadzieścia franków na miesiąc”. „Dwadzieścia franków! Żartujesz?” I nuże targować się jak jaki sknera o kilka nędznych franków, które ma dać biednemu człowiekowi, podczas gdy sam wyrzuca pieniądze na mieszkanie, gdzie prawie nigdy nie siedzi. Po długich targach dał nam dwanaście franków. Co mi za major!

– I przyszedł tu potem?

– To najśmieszniejsze! Zdaje się, że ktoś go za nos wodzi. Już trzy razy pisał do nas tak jak dzisiaj, żeby zapalić na kominkach, że ma przyjechać jakaś dama. Ale nikt nie zajął.

– Co pani mówi?

– Słuchaj pan, pierwszy raz major przychodzi wyelegantowany, z gęstą miną; czekał dwie godziny, nikogo nie widać; gdy wychodził, powiedziałam mu, żeby go podrażnić; „Panie majorze, żadna dama o pana się nie pytała”. „Dobrze!”, zawołał rozgniewany i uciekł, gryząc wargi ze złości. Drugi raz, nim jeszcze przyszedł, przyniesiono bilecik; zaraz zgadłam, że znowu nic nie będzie z wizyty; wchodzi mój blondyn. „Panie majorze”, rzekłam, „jest tu bilecik do pana”. Spojrzał na mnie z góry, przeczytał list, zaczerwienił się jak rak, a potem niby to spokojnie mówi do nas: „Wiedziałem, że dziś nikt nie przyjdzie; przyszedłem tylko powiedzieć, żebyście dobrze pilnowali mieszkania”

– A za trzecim razem?

– Za trzecim razem myślałam, że już coś będzie. Major przyjechał uradowany, jak by go kto na sto koni wsadził. Bierze klucz i mówi dumnie: „Powiedźcie damie, co przyjdzie, że drzwi do mnie prosto ze schodów.” Tacyśmy byli ciekawi tej damy, że wyszliśmy z Alfredem na próg. Niebieski fiakr z zapuszczonymi firankami zatrzymał się przed domem. W powozie widać było jakąś damę, w kapeluszu, zakrytą czarnym welonem; nie mogłam dojrzeć twarzy, ale zdaje się, że płakała, bo miała chustkę przy twarzy. Woźnica spuścił stopień; powiedziała mu kilka słów i, zdziwiony, znowu zamknął drzwiczki.

– Wcale nie wysiadła?

– Nie, rzuciła się w głąb powozu, zakrywszy rękoma oczy. Pobiegłam do woźnicy i spytałam, nim wsiadł na kozioł: „A co, mój kochany, zawracasz?” „Tak”. „A dokąd?” „Tam, skądem przyjechał”. „A skąd żeś przyjechał?” „Z rogu ulicy Świętego Dominika i Belle-Chasse”.

Na te słowa Rudolf zadrżał. Jego przyjaciel markiz d'Harville, pogrążony od niejakiego czasu w tajemnym smutku, mieszkał właśnie na rogu ulicy Świętego Dominika i Belle-Chasse. Czy to jego żona tak przyjeżdżała na swoją zgubę? Może mąż miał ją w podejrzeniu? Może to właśnie było źródłem jego zgryzot? Znał jednak wszystkich bywających u markizy, a nie przypominał sobie nikogo podobnego do majora. Zaduma Rudolfa nie uszła uwagi odzwiernej.

– O czym pan myślisz? – zapytała.

– Zastanawiam się, dlaczego ta dama podjechała aż do samego domu... a potem nagle każała wrócić.

– Co pan chcesz? Rozmyśliła się może, bała się, sumienie... My, biedne kobiety, jesteśmy tak bojaźliwe! – dodała obrzydliwa baba, przybierając skromną minę.

– Tak, tak... więc ta młoda dama?...

– Nie wiem, czy młoda, bom jej nie widziałam, odjechała sobie szczęśliwie i cichutko... Wyobrażaliśmy sobie, jaką minę zrobi major... przynajmniej z godzinę jeszcze czekał. Potem dopiero idę na górę; otwieram, drzwi skrzypnęły... na schodach i w przedpokoju ciemno jak w

piwnicy... Wchodzę, a tu major bierze mnie w swoje objęcia i mówi słodko: „Jak późno przychodzisz, mój aniele!...”

Mimo smutnych myśli, które go zaprzętały, Rudolf nie mógł powstrzymać uśmiechu, spojrzawszy na rudą perukę baby i wyobrażając ją sobie w objęciach majora. Pani Pipelet z żalnym grymasem mówiła dalej:

– To jeszcze nic!... Grubianin odskoczył jak oparzony i zawołał:

„Kto to jest, u licha?”

„To ja, panie majorze, pani Pipelet, odzwierna; dlatego proszę, niech pan trzyma ręce przy sobie...” Bo gdyby to Alfred widział!

„Czego chcesz?, zawołał z gniewem. „Czy nie powiedziałem, żebyście jej wskazali moje drzwi?”

Powiadam: „Prawda, majorze!”

„A więc?”

„Ta pani... odjechała”.

„Powóz nie może być daleko!”, krzyknął major, rzucając się do drzwi.

„Gdzie tam!”, mówię do niego, „już godzina, jak odjechała”.

„Godzina!... Godzina!... Dlaczegoście mi wprzód nie powiedzieli?”, zawołał w największym gniewie, rozwiązując paradny szlafrok, i rzucił na ziemię złotem haftowaną, aksamitną czapczkę... A szlafrok błyszczał, aż oczy bolały... Major wyglądał w nim jak robaczek świętojański.

– Major mógłby za to wziąć kogo innego do dozoru swego mieszkania i stracilibyście swoje dwanaście franków.

– Oho! Niech spróbuje... mamy go w ręku... wiemy, gdzie mieszka jego damulka, i gdyby nam co mówił, zagrozilibyśmy, że wydamy jego sekret... Zresztą kto podejmie się usługiwać za dwanaście franków? O, to sknera! Taki skąpy, że liczy polana drzewa... To musi być jakiś wzbogacony hołysz... Nie życzę mu źle, ale mnie to bawi, że kochanka tak pięknie go zwozdi... Założyłabym się, że i jutro tak samo będzie. Powiem przekupce z przeciwka, żeby przysłała, to się ubawimy. Jutro zobaczę tę damę; chociaż za woalem, muszę się jej dobrze przypatrzeć... A to mi skromnisia; naznacza schadzki, a potem udaje, że się wstydzi... Ale niech pan daruje... muszę odstawić garnek od ognia, bo już się flaki ugotowały... Jakżeż się Alfred ucieszy: sam powiada, że za flaki sprzedałby swoją piękną Francję!

Rudolf pogrążył się w smutnym zamyśleniu.

Pomyślawszy, że to markiza d'Harville może być bohaterką opowieści pani Pipelet, pytał sam siebie, jakie szaleństwo doprowadziło ją do tego, by poświęcać młodego, wykształconego, szlachetnego, a nade wszystko zakochanego męża dla ograniczonego skąpca i śmiesznego samoluba. Czyżby się miała zakochać w jego ładnej twarzy? Rudolf często bywał u niej, a nigdy nie spotkał nikogo podobnego do majora. Po dłuższym namyśle utwierdził się prawie w przekonaniu, że to nie ona.

Pani Pipelet uwinęła się koło kuchni; Rudolf spytał:

– Kto mieszka na drugim piętrze?

– Stara Burette, znakomita kabalarka. Czyta ci z ręki jak z książki. Najporządniejsze osoby przychodzą do niej... a co pieniędzy zarabia! Prócz tego ma inne dochody... pożyczka na zastaw.

– Śliczne zajęcie.

– Lepiej u niej pożyczać niż w lombardzie. Nie trzeba ani żadnych papierów, ani rachunków. No, na przykład ktoś przynosi koszulę wartą trzy franki...ona daje dziesięć sous z warunkiem, że jeżeli za tydzień właściciel koszuli nie zapłaci dwudziestu sous, koszula należy do niej... Jakie to proste... zawsze okrągłe rachunki... to i dziecko zrozumie.

– Bardzo jasne... ale podobno nie wolno pożyczać na zastaw?

– Cha! Cha! Cha! – zawołała pani Pipelet, śmiejąc się głośno. – Skądże pan przychodzisz?... Nie wolno pożyczyc na zastaw... ale gdyby robić tylko to, co wolno, trzeba by często stać z założonymi rękoma. Pani Burette nic nie pisze, nie daje żadnych kartek... nie ma przeciw niej żadnych dowodów... i śmieje się z policji. Nie wiem wszakże, co ona tam robi w małym pokoiku, gdzie nikogo nie wpuszcza, tylko Czerwonego Janka i jednooką starą Puchaczkę.

Rudolf spojrział zdziwiony na odźwierną.

– Czy ta kobieta często tu przychodzi?

– Od sześciu tygodni nie była; widziałam ją dopiero wczoraj... kulala trochę...

A co ona robi u kabalarki?

– A bo ja wiem? To tylko pewne, że kiedy się zamykają w małym pokoiku z kabalarką i Czerwonym Jankiem, wtedy i Puchaczka, i on przynoszą jakieś paczki, a nie wynoszą.

– Cóż mają w tych paczkach?

– I tego także nie wiem; ale hałasują niemiłosiernie; na schodach cuchnie siarka, węgiel i stopiona cyna, a oni tam ciągle dmą jak kowale. Zapewne to jakieś sztuki... tak mi przynajmniej powiadał pan Bradamanti, co mieszka na trzecim piętrze. To dopiero uczony! Chociaż Włoch, doskonale mówi po francusku, jak ja albo pan, tylko że ma cudzoziemski akcent; ale to wszystko jedno, bo to człowiek prawdziwie uczony i ma na wszystko lekarstwo!... A jak zęby wyrывa... nie dla pieniędzy, tylko dla honoru. Tak, panie... tylko dla honoru; on sam powiada, że jeżeli pan masz sześć zepsutych zębów... pięć pierwszych darmo wyrwie, a tylko za szósty każe zapłacić. Zresztą nie jego wina, jeżeli pana tylko jeden ząb boli. Prócz tego sprzedaje cudowną wodę na choroby piersiowe, katary. Sam robi te leki, a teraz wziął sobie jeszcze do pomocy Kulasa, syna Czerwonego Janka. Kulas mówi, że jego pan da mu ubiór trubadura: czarny beret, kryzę i suknię brzoskwińowego koloru; tak wystrojony, będzie bić w bęben, żeby ściągnąć pacjentów.

– Dosyć skromne rzemiosło dla syna dzierżawcy domu.

– Ojciec powiada o nim, że trzeba, żeby użył biedy na świecie, bo inaczej z czasem pójdzie na szafot... A to i prawda, bo chłopiec przebiegły, a złośliwy jak małpa. Już niejednego figla wypłatał panu Cezarowi, choć to najuczciwszy i dobry z kośćmi człowiek, którego z całej duszy kocham, bo mi wyleczył Alfreda z reumatyzmu. A jednak są niegodziwi ludzie, którzy mu zarzucają... ale nie... włosy by panu na głowie powstały!...

– Cóż takiego mówią?

– Nie śmiem powiedzieć... nigdy się nie odważę... Powiadają o nim, że... – I stara szepnęła cicho kilka słów Rudolfowi, który zbladł.

– Ależ to by było okropne!...

– Prawda, że okropne, gdyby to była prawda? – odezwała się odźwierna. – Ale to są pomysły złych języków. Jak to, człowiek, co wyleczył Alfreda z reumatyzmu, co na sześć zębów pięć wyrывa darmo i komorne opłaca regularnie co kwartał z góry... nie może być!... Choćbym umierać miała, nie uwierzę...

Kiedy pani Pipelet oburzała się na oszczerców Bradamantiego, Rudolf przypomniał sobie list, co przyszedł do szarlatana... list, na który padła łza, zalewając litery umyślnie zmienione... Przeczucie szeptało mu, że wszystko, co mówią o szarlatanie, jest prawdą.

– Ach! Otóż i Alfred!... – zawołała odźwierna.

XXVIII

Pan Pipelet

Pan Pipelet wszedł do izby z miną poważną, uroczystą; miał koło sześćdziesięciu lat, ogromny nos, okazałą tuszę, czerwoną, dużą twarz, a na głowie kapelusz z szerokim rondem, wyszarzały i zrudziały. Alfred nigdy nie zdejmował tego kapelusza, podobnie jak jego połówica nigdy nie zdejmowała z głowy fantastycznej peruki. Przy tym zawsze nosił skórzany fartuch – skromne godło swojego rzemiosła. Skłonił się uprzejmie Rudolfowi, ale gorzki, melancholijny uśmiech nie schodził mu z twarzy.

– Alfredzie, ten pan chciałby wynająć mieszkanie na czwartym piętrze... i właśnie czekamy na ciebie z ratafią.

Tak ujmująca grzeczność zjednała natychmiast serce pana Pipelet.

– Postaram się zadowolić pana. Czy tylko nie jesteś pan malarzem?

– Nie, jestem kupcem.

– Świetnie! Służę więc panu. Bogu dzięki, żeś się pan nie urodził takim artystą! To potwory!

– Artyści potworami? – spytał Rudolf.

Pipelet zamiast odpowiedzi jęknął głucho.

– Malarze zatruli życie Alfredowi; to przez nich popadł w melancholię – szepnęła pani Pipelet Rudolfowi, potem zaś dodała głośno: – Co tam, Alfredzie, nie myśl o tym młokosie...

– Tuk, zdobędę się na męstwo i rozsądek – odpowiedział Alfred. – Długo był moim prześladowcą... ale teraz gardzę nim... Malarze to zaraza w domu... to zepsucie!

– Mieszkał tu jakiś malarz?

– Niestety! – odpowiedział Pipelet. – Malarz Cabrion!

– To on najmował pokój, który teraz jest do najęcia?

– Nie, nie, ostatnio zajmował go godny chłopak, pan Germain; ale przed nim mieszkał tam Cabrion. Od czasu, jak Cabrion się wyprowadził, o małym nie oszalał.

– Tak za nim tęskniłeś?

– Czy tęskniłem po Cabrionie? Wyobraź pan sobie, że dzierżawca domu, Czerwony Janek, zapłacił mu dwumiesięczne komorne, żeby tylko się go pozbyć. Co za niecnota! Przeklęty człowiek! Nie masz pan wyobrażenia, jak nadokuczał nam i lokatorom! Wyprowadził się przecie. I myśli pan, że na tym koniec? Zaraz zobaczysz! Nazajutrz o jedenastej w nocy, kiedy spałem w najlepsze, ktoś dzwoni. Din! Din! Din! Otworzyłem; wchodzi jakiś młokos i mówi: „Dobry wieczór panu! Bądź łaskaw, daj mi swoich włosów pukiel dla Cabriona; to jego jedyna myśl, tego tylko pragnie”. Pojmujesz pan? Ode mnie, śmiertelnego swojego nieprzyjaciela, którego ten zbrodniarz nieraz znieważył, bezczelnie żądał pukla włosów, żądał daru, który nie zawsze można uzyskać od kochanki!

– To jeszcze nic – dodała stróżka – ale od tego czasu, rano, wieczór, w nocy, ów niegodziwiec nasyłał tu chmarę łotrów z prośbą o pukiel włosów Alfreda!...

– I pan myślisz, żeś ustąpił? – rzekł Pipelet. – Nie, wprzód dałbym się zaprowadzić na szafot. Po czterech miesiącach uporu z ich strony a oporu z mojej energia moja zwyciężyła zawziętość nędzników! Na koniec żyję zamknięty sam w sobie i tak mi upływa życie. Czy nie mam powodu mówić, że ten szatan Cabrion zatrul mi życie?

– Pojmuję teraz, dlaczego pan nie lubisz malarzy – rzekł Rudolf – ale przynajmniej pan Germain wynagrodził was za psoty Cabriona?

– O! To mi godny młodzieniec; szczerzy, usłużny, skromny i wesoły; nie taki zuchwały szyderca jak przeklęty Cabrion.

– Któryż to gospodarz domu ma teraz szczęście gościć pana Germaina, tę perłę lokatorów?

– Nie wiem i nikt prócz panny Rigoletty nie wie, gdzie teraz mieszka pan Germain.

– Kim jest panna Rigoletta?

– Szwaczka. I ona też mieszka na czwartym piętrze – odpowiedziała pani Pipelet. – O, to też perła!... Płaci komorne za każdy kwartał, a jak czysto w jej pokoju! Grzeczna dla wszystkich, wesoła, ładna, a przy tym pracowita jak mrówka; czasem do dwóch franków na dzień zarabia.

– A skąd Rigoletta może wiedzieć, gdzie mieszka Germain?

– Kiedy się wyprowadzał od nas – wyjaśniła pani Pipelet – powiedział nam: „Nie spodziewam się listów... gdyby jednak przypadkiem nadeszły jakie, oddajcie je pannie Rigoletcie”.

– Przyszynaję, że nic a nic nie można by jej zarzucić – rzekł odźwierny surowo – gdyby nie była przyjmowała zalecanek i umizgów niegodziwca Cabriona.

– Przecież wiesz, Alfredzie, że to nie jej wina.

– To każdy lokator tego pokoju zaleca się do panny Rigoletty?

– A jakże, panie, to bardzo proste. W tak bliskim sąsiedztwie, bo stancje z sobą się stykają, między młodymi... to świecę trzeba zapalić... to kawałek drzewa pożyczyć, to wody. O, wody to nigdy u panny Rigoletty nie zabraknie; ona się kocha w wodzie, zupełnie jak kaczka.

– A zatem Germain z powodu bliskiego sąsiedztwa pozostawał, jak mówicie, w dobrych stosunkach z panną Rigolettą.

– Nie inaczej; zdawało się, że są stworzeni jedno dla drugiego. Tacy oboje ładni, młodzi: rozkosz była patrzeć, kiedy wychodzili razem w niedzielę, bo biedne dzieci tylko ten dzień miały wolny.

– I odkąd się wyprowadził, nie odwiedził panny Rigoletty?

– Nie, chyba że ją widuje kiedy w niedzielę, bo w inne dni panna Rigoletta nie ma czasu myśleć o kochanku. Wstaje rano o piątej, a pracuje czasem do jedenastej wieczorem; mimo to znajduje jeszcze czas, by pomagać biednym ludziom; na przykład tym nieszczęśliwym Morelom, których dzierżawca ma wyrzucić z poddasza na bruk... panna Rigoletta z Germaninem niejedną u nich noc spędzili, pilnując ich chorych dzieci.

– Więc tu mieszkają i tacy nieszczęśliwcy?

– Nieszczęśliwi? I jak jeszcze! Pięcioro drobnych dzieci, matka na śmiertelnym łożu, babka wariatka... I to wszystko musi żywić jeden człowiek, który nigdy do syta się nie naje, choć pracuje jak wół, a rzemieślnik doskonały. Tu dzieci się budzą, wołając: „chleba!”, tu na słomie jęczy chora, tam znowu stara wariatka wyje z głodu jak wilk.

– Ach, okropne! – zawołał Rudolf. – I nikt im nie pomoże?

– Odkąd major płaci mi dwanaście franków miesięcznie, gotuję raz na tydzień rosół dla tych biedaków; panna Rigoletta ujmuje sobie dla nich snu i choć ją światło kosztuje, obszywa dzieci.

– A szanowny dentysta operator nic dla nich nie zrobił?

– Bradamanti! – przerwał Pipelet, – Wspomniałem mu nieraz, że biedny Morel skarży się przede mną, bo mu stara wariatka całą noc wyła z głodu i spać nie dała, a on mi na to: „Skoro Morelowie są tak biedni, mogę im powyrywać zęby, nawet nie każę sobie za to płacić”.

– A kabalarka była litościwsza?

– Ona? Gdzież znowu! Tak samo skąpa jak jej ukochany. Czerwony Janek. Bo wie pan, ona i Czerwony Janek... – rzekła stróżka, znacząco mrużąc oko.

– Doprawdy? – spytał Rudolf.

– I jak jeszcze... kochają się na zabój! Przecież i w jesieni może być tak gorąco jak w lecie; nieprawda, kochanie?

Pipelet zamiast odpowiedzi melancholijnie kiwnął spiczastym kapeluszem. Rudolfowi pani Pipelet wydała się mniej odrażająca, kiedy zobaczył, że lituje się nad biednymi.

– Czym się trudni Morel? – zapytał.

– Szlifuje fałszywe kamienie, a pracuje tak ciężko, że go już całego wykrzywiło; człowiek jest zawsze człowiekiem, nie może robić nad siły, a jeśli kto ma siedmioro do wyżywienia nie licząc siebie... Starsza córka pomaga mu trochę, ma osiemnaście lat, a śliczniutka! Jak... jak słonko! Służy u starego kutwy, notariusza Jakuba Ferrand.

– Jakub Ferrand? – zawołał Rudolf zdziwiony. – Ten, co mieszka przy ulicy Sentier?

– Ten sam. Znany sknera, choć uczciwy i pobożny... co dzień bywa w kościele. Ludwika, córka Morela, już półtora roku służy u niego. Dobrze to jak baranek, a pracowite jak wół, bierze tylko osiemnaście franków na miesiąc, sześć zostawia sobie na życie, a resztę oddaje rodzinie...

– No, przecież i ojciec coś zarabia.

– Ten człowiek przez całe życie ani razu się nie upił; przez trzy miesiące chorował obłoznie, to go zniszczyło; żona, doglądając go w chorobie, sama zachorowała i teraz leży umierająca... Przez te trzy miesiące trzeba było żyć z dwunastu franków od Ludwiki i z tego, co pozycyli od starej Burette. A jak pomyślę o ich poddaszu, to mi się jeść odechciewa. Szczęściem dzierżawca domu ma się ich pozbyć.

– A gdzie pójdą, jak ich stąd wypędzą?

– Dalibóg, nie wiem. Ale! A ratafia? Nawet nie zajrzeliśmy do niej.

– Wyznam, że to, coś mi pani powiedziała, tak mi serce ścisnęło, że nie mogę pić; pójcie za moje zdrowie. Obejrzę mieszkanie; jak mi się spodoba, to zaraz zostawię zadatek.

Odźwierny wyszedł ze swojej nory; Rudolf udał się za nim.

Ciemne, ponure i wilgotne schody wydawały się jeszcze ciemniejsze w ten pochmurny dzień zimowy. Drzwi mieszkań ukazywały, jeśli tak można powiedzieć, swoje twarze: każde inną. Tak więc drzwi majora błyszczały świeżym lakierem o kolorze naśladowującym drzewo palisandrowe, a przy dzwonku wisiał piękny, jedwabny sznurek.

Drzwi starej kabalarki na drugim piętrze wyglądały zupełnie inaczej; wisiała nad nimi wypchana sowa, przybita za nogi i skrzydła. Dziwaczne także było wejście do szarlatana Włocha, wokół którego snuto tak straszne podejrzenia. Przy sznurku od dzwonka wisiała łapka małpy, zasuszone, zupełnie podobna do rączki dziecka. Gdy Rudolf przechodził koło tych drzwi, rozległ się bolesny krzyk. Rudolf zadrżał, rzucił się do drzwi i zadzwonił.

– Co panu? – spytał Pipelet zdziwiony. – Pewnie Bradamanti wyrwał komuś ząb. To wytłumaczenie, choć prawdopodobne, nie uspokoiło Rudolfa. Choć zadzwonił gwałtownie, nie zaraz mu otworzono. We drzwiach, za szybą judasza, pokazała się twarz wychudła, trupiobladą, ocieniona rudą czupryną. Zjawa ta znikła w mgnieniu oka. Rudolf stanął jak skamieniały; zdawało mu się, że zna tę twarz. Te oczy, błyszczące, zielone, nos, wykrzywiony jak orli dziób, przypominały mu owego Włocha imieniem Polidori, którego od siedmiu lat nie widział, jednak dobrze pamiętał. Nasuwała się jedna tylko wątpliwość: Bradamanti miał włosy rude, a Polidori był ciemnym brunetem. Mimo to Rudolf zapytał Pipeleta:

– Dawno tu mieszka Bradamanti?

– Około roku; to dobry lokator, płaci regularnie, wyleczył mnie z reumatyzmu.

Rudolf, postanowiwszy w duchu wyjaśnić, kim jest ów człowiek, poszedł za odźwiernym na czwarte piętro. Łatwo było poznać mieszkanie Rigoletty. Z pół tuzina amorków, zręcznie i lekko namalowanych, otaczało wizytówkę na drzwiach; ten trzymał napaśtek, ów nożyczki, a na niebieskim tle był napis: *Rigoletta szwaczka*. Ten uroczy rysunek wydawał się jeszcze ładniejszy w zestawieniu z brudnymi schodami. Rudolf zapytał, wskazując na drzwi Rigoletty:

– To pewno robota Cabriona?

– Tak, panie. Gdyby nie prośby Rigoletty, od dawna zdrapałbym to wszystko, podobnie jak ów rysunek, którym zabrudził pańskie drzwi.

Mieszkanie składało się z gabinetu i dość obszernego pokoju o dwóch oknach, wychodzących na ulicę Temple; fantastyczne szkice Cabriona na drugich drzwiach zostały starannie zachowane przez Franciszka Germain, ostatniego lokatora.

Rudolf dał odźwiernemu czterdzieści sous.

– Mieszkanie bardzo mi się podoba; oto zadatek, jutro przyślę rzeczy. Nie potrzebuję chyba widzieć się z samym dzierżawcą domu?

– Nie. Za pozwoleniem; pan się nazywa?

– Rudolf... Powiedz mi, panie Pipelet, czy nie wypadaloby, zebym jutro, jako sasiod, poszedl do Morelow i zapytal, czy nie moge im w czymś pomoc?

– Zapewne! Aha! Rozumiem, rozumiem; zaczniesz pan od sasioda, zeby sie zaprzyjaznic z ladna sasiodka. Nic w tym zlego, taki tu zwyczaj. Jestem przekonany, ze panna Rigoletta slyszala, ze ktos oglada pokoj, i czatuje na nas, jak bedziemy schodzic.

Istotnie, Rudolf przez drzwi nieco uchylone, ozdobione amorkami, dostrzegl zgrabny, zadarty nosek i czarne, ciekawe oko.

– Mowilem panu, ze na nas czeka.

– A to co takiego?

– Po tej drabinie mozna wejsc do sieni, na ktora wychodza drzwi Morelow, a przy ich scianie jest ciemna komorka, gdzie mam schowanko. Sciana dziurawa i stamtad widze i slyszę wszystko, co sie u nich dzieje. Lecz broń mnie Boze, zebym ich szpiegowal... Chodzę tam tak sobie, tylko popatrzeć. Jak tylko pan zechce, moze pan ich zobaczyc. Ale przepraszam, muszę jeszcze isc do schowka, bo potrzebuję kawalka skory. Pan tymczasem zejdz, ja zaraz pana dogonię. – I Pipelet zaczal sie wdrapywac na stroma drabine.

Rudolf rzucil jeszcze okiem na drzwi Rigoletty, gdy wtem uslyszal, ze ktos wychodzi od szarlatana; po szelescie jedwabnej sukni poznal, ze to kobieta; kiedy kroki ucichly, zszedl. Na ostatnim schodku znalazl chustke do nosa, ktora zgubila zapewne osoba wychodzaca od szarlatana. Zblizyl sie do wazkiego okna i przyjrzal sie chustce; byla obszyta bogata koronka, w jednym rogu miala wyhaftowane litery L.N. i korone ksiazęca. Cala chustka byla mokra od lez. Zrazu Rudolf chcial pobiec i oddac ja wlascicielce, ale pomyslawszy, ze ten krok moglyby sie wydac niewczesna ciekawoscia, schowal ja. Wszedlszy do izby pani Pipelet, zapytal:

– Czy nie schodzila tu kobieta?

– Nie kobieta, ale wielka dama, wysoka, szczupla, oslonieta czarnym welonem! Wyszla od pana Bradamanti; Kulas sprowadzil jej fiakra, a gdy wsiadla, wskoczyl z tylu, zapewne, zeby sie dowiedziec, gdzie mieszka. O! Bo ten lobuz jest ciekawy jak sroka.

„Tak wiec”, pomyslal Rudolf, „szarlatan pozna nazwisko i adres tej damy”.

– Spodobalo sie panu mieszkanie? – zapytala odzwierna.

– Bardzo; jutro sie sprowadzam.

– Niech Bogu beda dziki, ze przywiodel pana przed nasze drzwi; dostaniemy znowu zancnego lokatora. A jezeli pan bedziesz dobry dla Alfreda, potrafię sie za to odwdzieczyc.

Rudolf, pozegnawszy ja, wyszedl. Rad byl z osiagnietych wiadomosci. Wrocił do siebie, odlozylwszy wizyte u notariusza na dzien nastepny. Jak wiemy, tego wieczoru mial byc na wielkim balu w ambasadzie.

XXIX

Tom i Sara

Sara Seyton, trzydziestosiedmioletnia wdowa po hrabim Mac-Gregor, pochodziła ze znakomitej szkockiej rodziny. Po śmierci ojca jako śliczna, siedemnastoletnia dziewczyna wyjechała ze Szkocji wraz ze swym bratem Tomem. Nierozsądne przepowiednie starej góralki, mamki Sary, rozwinęły niemal do szaleństwa dwie główne jej wady: dumę i ambicję. Mamka przepowiedziała jej, że będzie małżonką udzielnego księcia, a Sara uwierzyła w nieomyślność tej przepowiedni. Co dziwniejsza, Tom Seyton nie tylko nie ganił szalonych nadziei siostry, ale postanowił poświęcić życie dla ich realizacji. Podług Gotajskiego Kalendarza na rok 1819 Tom ułożył spis wszystkich książąt udzielnych będących jeszcze w takim wieku, że się mogli żenić. Nierozsądna ambicja brata i siostry nie skłoniła ich jednak do użycia środków nagananych. Tom postanowił pomagać siostrze w podstępach, w intrygach, ale zabiłby ją, gdyby się przekonał, że szuka ona czego innego jak prawego związku. Spis bezzennych książąt był dość długi; obfitują w nich Niemcy. Dlatego Sara postanowiła rozpocząć swoją wyprawę od Niemiec. Mogła mieć nadzieję, że dopnie celu, bo obok rzadkiej urody posiadała liczne i najrozmaitsze talenty. Zdawała się mieć duszę szlachetną, ognistą, namiętą, a w gruncie rzeczy była oschła i nieczuła, przewrotna, mistrzyni w udawaniu, uparta i skryta. Nigdy serce ani uczucie nie zdołały zniweczyć zimnej rachuby, ułożonej przez tę chytrą, samolubną i dumną kobietę. Po przybyciu na kontynent Sara za radą brata najprzód osiadła w Paryżu, aby dopełnić edukacji i nabrać ogłady w eleganckim i wykwinnym towarzystwie. Po sześciu miesiącach pobytu w Paryżu mogła z każdą paryżanką iść w zawody o dowcip, wdzięk, naiwną kokieterię, niewinne i wyzywające spojrzenie, zarazem dziewicze i namiętne. W spisie, ułożonym przez Toma, pierwsze miejsce zajmował ród książąt Gerolstein. Nadto brata i siostrę szczególnie polecił księciu Gerolstein stary markiz d'Harville, zachwycony pięknnością, wdziękami i naiwnością Sary.

Syn księcia, Gustaw Rudolf, miał zaledwie osiemnaście lat, kiedy Tom i Sara zjawili się na dworze jego ojca. Stary książę za wyświadczone dawniej przysługi darzył markiza d'Harville wielką przyjaźnią; dlatego też jego list polecający zjednał Tomowi i Sarze Seyton jak najlepsze przyjęcie. Po dwóch tygodniach pobytu Sara poznała stanowczy i prawy charakter starego księcia; postanowiła najpierw opanować ojca, żeby potem uwikłać syna. Chociaż książę bardzo kochał Rudolfa, Sara wkrótce przekonała się, że ów tkliwy rodzic bardzo surowo pojmuje obowiązki księcia i nigdy nie zgodzi się na to, co uważałby za mezalians. Sara umiała sobie zjednać miłość wszystkich, nawet tych, co by mieli powody jej źle życzyć. Wkrótce też stała się ulubienicą nie tylko księcia, ale i jego żony, a także matki, starej księżnej Judyty. Choć Tom i Sara często wspominali o wyjeździe, książę nie chciał się na to zgodzić i żeby zatrzymać przy sobie Toma Seyton, mianował go pierwszym koniuszym, Sarę zaś nakłaniał, żeby została przy księżnej Judyty, która się bez niej nie mogła obejść. Po długim wahaniu Tom i Sara przyjęli gościnę i zamieszkali na stałe przy Gerolsteinowskim dworze, na którym bawili już od przeszło dwóch miesięcy. Sara, dowiedziawszy się o zamiłowaniu starej księżnej do dawnej muzyki, a zwłaszcza do dzieł Glucka, sprowadziła je i zachwycała księżnę doskonałym wykonaniem tych prostych i wyrazistych pieśni.

Kiedy się to działo, Rudolfa nie było na dworze ojcowskim; wyjechał z jednym adiutantem na przegląd wojska.

XXX

Murf i Polidori

Rudolf był dzieckiem słabym i wątłym. Ojciec, widząc, jak wychowanie fizyczne dzieci drobnej szlachty angielskiej rozwija siły, wpadł na pomysł, aby znaleźć jakiegoś dzielnego i rozumnego Anglika i powierzyć mu wychowanie syna. Wybór padł szczęśliwie; sir Walter Murf zupełnie odpowiadał wymaganiom księcia. Murf ze swoim wychowawcą mieszkał kilka lat na wsi, wśród pól i lasów, o parę mil od zamku Gerolstein, w malowniczej i zdrowej okolicy; Rudolf zajmował się tam rolnictwem, prowadził życie skromne, regularne; całą jego zabawą były ćwiczenia fizyczne, zapasy, konna jazda i polowanie. Przy takim trybie życia młody książę, będąc ciągle na powietrzu, odmienił się zupełnie, rósł szybko, a chorobliwą bladeść twarzy zastąpiły żywe rumieńce. Jego wykształcenie pozostawiało wiele do życzenia, bo Murf, nie będąc człowiekiem uczonym, udzielał Rudolfowi tylko wstępnych wiadomości; lecz za to złożył w sercu młodzieńca obfite nasiona tego co dobre, słuszne i szlachetne. Jednym słowem, dał mu zdrowe ciało i zdrową duszę. Gdy tak Murf chlubnie dopełnił włożonego nań obowiązku, wezwany w pilnych sprawach do Anglii, musiał na pewien czas opuścić swego ucznia.

Stary książę, spokojny już o zdrowie syna, pomyślał teraz o jego wykształceniu. Porucił je niejakiemu Cezarowi Polidori, Włochowi; był to znakomity filolog, uczony historyk, erudyta, biegły w naukach ścisłych i przyrodniczych. On to miał uprawiać żywną niwę tak doskonale przygotowaną przez Murfa. Tym razem jednak książę omylił się w wyborze. Polidori – oszust, bezbożnik, hipokryta umiał pod maską surowej cnoty ukrywać oburzający sceptycyzm i brak wszelkich zasad moralnych. Rudolf, niechętnie rozstawszy się z czynnym życiem na wsi, już od początku nie lubił nauczyciela; oświadczył mu wręcz, że woli dobrego konia i strzelbę nad najpiękniejsze książki. Polidori nie był zaskoczony tą antypatią ucznia. Miał jednak pewne plany: choć na podrzędnym stanowisku, zamierzał być kiedyś w małym księstwie Gerolstein tym, czym niegdyś we Francji był Richelieu. Toteż chcąc sobie za wszelką cenę zjednać młodzieńca, pobłażał mu we wszystkim, a wobec starego księcia chwalał jego szybkie postępy w nauce.

Powoli Rudolf wyzbył się pierwotnej niechęci do swego nauczyciela i zaczął z nim żyć na stopie poufałości, bardzo jednak różnej od prawdziwego przywiązania, jakie żywił dla Murfa. Chytry Polidori nigdy wszakże wręcz nie wyśmiewał szlachetnych zasad wpojonych Rudolfowi przez Murfa, wykpiwał tylko „rozkosze” wiejskiego życia i kusił, opisując swemu uczniowi wyuzdane uciechy czasów Ludwika XV i regencji, zawsze dowodząc, że wszyscy wielcy ludzie, od Alcybiadesa do Maurycego Saskiego, od Antoniusza i Cezara do Wielkiego Kondeusza i księcia Vendôme, byli gorliwymi zwolennikami epikureizmu. Rudolf wśród spokojnego dworu, przyzwyczajonego do prawych rozkoszy, marzył o rozpuszceniu wersalskich nocy, o orgiach regencji, a czasem, dla odmiany, o romantycznej miłości. Bez żadnych złych zamiarów, przypuszczając tylko to, co musiało nastąpić, zamierzał po śmierci ojca oddać się takiemu życiu, a swego nauczyciela zrobić pierwszym ministrem.

Tak minęło półtora roku, kiedy Murf wrócił z Anglii. Ku jego zdumieniu Rudolf w obecności z nim okazał się zimny, sztuczny, a nawet, kiedy mu przypominał ich dawny, zdrowy tryb życia, wykpił go. Murf, pewny dobrej natury młodego księcia, przypisał jego zmianę wpływowi Polidoriego i postanowił śledzić postęпки Włocha. Polidori ze swojej strony nie-

chętny był powrotowi Murfa, obawiał się bowiem jego szczerości, zdrowego rozsądku i przenikliwości. Postanowił tedy na zawsze odebrać mu zaufanie Rudolfa.

Wtedy to właśnie Tom i Sara Seyton przybyli do Gerolstein, a Rudolf wyjechał na przegląd pułków. Jak już wiemy, stary książę dał mu tylko jednego adiutanta i – ku wielkiemu zmartwieniu Polidoriego – polecił Murfowi, aby mu towarzyszył.

W czasie podróży wychowanek Polidori nie pozostał w domu beczynny. W parę dni zaprzyjaźnił się z Tomem. Przebiegły Włoch rozumiał, czego pragnie dumna i pełna powabu Sara; ucieszył się z jej przyjazdu, gdyż sprzyjało to jego widokom. Przewidywał, że będzie miała wielki wpływ na serce ognistego młodzieńca, który pierwszy raz pokocha, zamierzył więc owoładnąć tą namiętnością, pokierować nią i użyć jej na zgubę Murfa.

Tom i Sara zrozumieli wszystko, chociaż wyraźnie o niczym nie mówili z Włochem. Kiedy Rudolf wrócił, trzech sprzymierzeńcy dążyli do jednego celu: do obalenia Murfa, wspólnego nieprzyjaciela.

XXXI

Pierwsza miłość

Jak przewidywano, Rudolf, widując codziennie Sarę, zakochał się w niej do szaleństwa. Wkrótce i ona wyznała mu, że go kocha, choć przewiduje, ile bólu sprawi im obojgu ta miłość... Nigdy nie będą szczęśliwi, zbyt wiele ich dzieli. Na razie więc kazała mu milczeć, aby nie wzbudzać podejrzeń ojca. Tak minął jakiś czas.

Kiedy brat i siostra dostrzegli, że miłość Rudolfa doszła do najwyższego napięcia, wspomnieli Polidoriemu o konieczności zawarcia małżeństwa. Pierwszy zdradził się z tym Tom: Sara kocha księcia, ale przekłada śmierć nad zniewagę; jeśli Rudolf nie może się ożenić, ona musi wyjechać.

Polidori, zrazu zaskoczony śmiałością planów Sary, po dojrzałym namyśle postanowił jej służyć.

Namiętność Rudolfa doszła do najwyższego stopnia. Doprowadzony do ostateczności piętrzącymi się przed nimi trudnościami i uwodzicielskim czarem Sary, która zdawała się cierpieć jeszcze bardziej niż on, młody książę mógł się zdradzić w każdej chwili. Toteż kiedy Polidori powiedział mu, że musi wybierać: albo nigdy już nie zobaczyć Sary, albo potajemnie wziąć z nią ślub, Rudolf rzucił mu się na szyję, nazywając go zbawcą, przyjacielem, ojcem.

Polidori ułatwił wszystko, znalazł i świadków; obrządek odbył się w najgłębszej tajemnicy. Przepowiednia mamki ziściła się: Sara wyszła za mąż za udzielnego księcia.

Przez pierwsze trzy miesiące małżeństwa Rudolf był najszczęśliwszym z ludzi. Wkrótce jednak Sara poczuła, że zostanie matką. Wtenczas to zarzuciła Rudolfa nowymi wymaganiami; powiedziała mu z płaczem, że nie może żyć dłużej w tak nieprzyjemnym położeniu, i zażądała, aby wyznał wszystko księciu. Przeraziło to Rudolfa; wiedział dobrze, że ojciec nigdy nie odstąpi od swoich zasad i obowiązków. Jednak na wszystkie jego uwagi Sara odpowiadała bez litości: „Jestem twoją żoną; niedługo już będę mogła ukrywać stan, w którym się znajduję; nie chcę się rumienić za to, z czego jestem i powinnam być dumna”.

Rozumowanie to nie przekonywało Rudolfa. W tym właśnie czasie stary książę wysłał Toma do Austrii, aby obejrzał tamtejsze stada: w tak stanowczej chwili Tom musiał wyjechać. W kilka dni po wyjeździe Toma Sara była na wieczorze u księżnej wdowy. Młode kobiety patrzyły na nią ze zdziwieniem i wymieniały między sobą uszczypliwe uwagi o wyglądzie Sary. Najmniej domyślni spostrzegli to, czego Sara dłużej ukrywać nie chciała; stan jej bowiem dałby się zataić, ale ambitna kobieta umyślnie przygotowywała skandal, chcąc zmusić Rudolfa do wyjawienia małżeństwa. Stara księżna, nie wierząc własnym oczom, rzekła cicho do Sary: „Moje dziecko, okropnie się dziś ubrałaś; zawsze można cię ręką objąć, a dziś jesteś nie do poznania”.

Później opiszemy skutki tego odkrycia. Lecz teraz powiemy to, czego się czytelnik pewnie domyślił: że Guleza, Maria, była owocem tego nieszczęsnego małżeństwa Rudolfa i Sary... i że oboje mieli ją za umarłą.

Czytelnik nie zapomniał, że Rudolf z ulicy Temple wrócił do domu i jeszcze tego wieczora miał być na balu w ambasadzie.

XXXII

Bal

O jedenastej wieczorem szwajcar w galowej liberii otworzył bramę pałacu przy ulicy Plumet. Wyjechała z niej wspaniała karetka, zaprzężona w dwa ogromne, siwe konie. Latarnie rzucały mocne światło do wnętrza pojazdu, w którym siedział Rudolf, przy nim po lewej stronie baron Graun, a naprzodzie Murf.

Przez chwilę trwało milczenie, wreszcie Rudolf odezwał się:

– Bardzo mnie cieszą pomyślne wiadomości, które odbieram od pani George o mojej młodej wychowawicy; starania Dawida zaczynają skutkować; już ma się lepiej, a byłaby zupełnie zdrowa, gdyby jej nie dręczył ciągły smutek... Spokojny o jej przyszłość, mogę zająć się całym szeregiem spraw, gromadką ludzi, których poznałem przy ulicy Temple. Jest tam nędza, którą trzeba wspierać, i zbrodnia godna kary.

– Wasza Księżęca Mość nie wątpi już teraz – zapytał Murf – że tym szarlatanem jest Polidori?

– Tak sędzę, nieledwie z pewnością, zwłaszcza że i ty masz wiadomość, iż Polidori od niejakiego czasu mieszka w Paryżu.

Rudolf, zasepiony, pograżył się w smutne dumania i ani słowa więcej nie wyrzekł do chwili, w której powóz wjechał na dziedziniec pałacu poselstwa.

Wszystkie okna ogromnego gmachu były rzęsiście oświetlone. Na schodach, od samego przedsionka aż do pierwszego salonu, stali rzędem lokaje w liberii. Wszędzie widniał przepych istic królewski.

Poseł, hrabia X, i małżonka jego, hrabina X, czekali w pierwszym salonie na przybycie Rudolfa, który wszedł nareszcie w towarzystwie Murfa i barona Grauna.

Rudolf miał wówczas trzydzieści sześć lat. Regularne rysy twarzy, zbyt może piękne jak na mężczyznę, szlachetność w całej postawie zwracały uwagę tych nawet, co go nie znali. Gdy wszedł na salę, zdawał się zupełnie innym człowiekiem. Nie był to już wesoły, śmiały i zwinny malarz, zwycięzca Szurynera, ani drwiący kupczyk, pełen udanego współczucia dla pani Pipelet; był to książę. Tak rzadko bywał w świecie, że jego pojawienie się zrobiło niejaki wrażenie; wszyscy zwrócili nań oczy, gdy wszedł do pierwszego salonu.

Hrabina X z mężem podeszła ku niemu ze słowami:

– Nie wiem, jak Waszej Księżęcej Mości wyrazić wdzięczność za zaszczyt, którym mnie raczysz dziś obdarzać.

– Hrabina wie – odpowiedział Rudolf – że zawsze z przyjemnością przyjmuję jej zaproszenie i rad korzystać ze sposobności, aby zapewnić hrabiego o moim przywiązaniu; bo my dawno się już znamy, nieprawdaż, panie hrabio?

– Zbyt szczęśliwy jestem, że Wasza Księżęca Mość raczy o tym pamiętać.

– Nigdy tego nie zapomnę, kochany hrabio. Ale słyszałem o sztucznym ogrodzie pani hrabiny, o ogrodzie w całym blasku świeżości, w zimie, w styczniu! Czy hrabina będzie łaskawa pokazać mi to cudo z Tysiąca i Jednej Nocy?

– Z największą chęcią, choć widzę, że opowiedziano o nim Waszej Wysokości więcej, niż to jest zgodne z prawdą. Zresztą Wasza Wysokość sam osądzi.

Rudolf podał rękę hrabinie i udał się z nią do innych salonów.

Nic bardziej czarodziejskiego, cudownego jak ogród zimowy. Sala miała czterdzieści sążni długości, a trzydzieści szerokości. Z wierzchu błyszczał nad nią sufit szklany; drzewa poma-

rańcowe i kamelie zupełnie zakrywały ściany; od zieleni liści mocno odbijały złote pomarańcze i purpurowe kwiaty kamelii. Wzdłuż ścieżek, ozdobionych mozaiką z muszelek, ustawiane były grupy drzew i roślin ze strefy gorącej. Niepodobna wyobrazić sobie, jaki efekt sprawiała ta świeża zieleń w porze zimowej i podczas balu. Do ogrodu wchodziło się przez długą galerię, rześście oświetloną, połyskującą od złota, zwierciadeł i kryształów.

Rudolf, widząc to arcydzieło, nie mógł powstrzymać okrzyku zdziwienia i rzekł do hrabiny:

– Zaiste, pani, nie myślałem, żeby takie cuda były możliwe.

W tej chwili hrabina Sara i markiza d'Harville weszły przez galerię do zimowego ogrodu.

Markiza d'Harville była niezwykle piękną kobietą i nie tyle w niej zachwycała regularność rysów twarzy, ile wyraz całej fizjonomii, pełen tkliwej dobroci. Rzadko się zdarza, żeby właśnie dobroć wybijała się w twarzy dwudziestoletniej kobiety, młodej, dowcipnej, uwielbianej.

Piękność Sary Mac-Gregor, zupełnie innego rodzaju, podkreślała jeszcze wdzięki markizy d'Harville. Sara miała lat trzydzieści pięć, a wyglądała zaledwie na trzydzieści. Nic tak nie zdaje się ochraniać czerstwości ciała jak zimny egoizm. Sara była tego dowodem. Zachowała młodzieńczą świeżość, oczy jej błyszczały, a czerwone i wilgotne wargi zdradzały stanowczość i temperament.

Markiza i Sara spostrzegły Rudolfa, kiedy wchodziły do zimowego ogrodu, lecz Księżę zdawał się ich nie widzieć; znajdował się właśnie na zakręcie ścieżki.

– Księżę tak się zajął hrabiną – rzekła pani d'Harville – że nas nie spostrzegł.

– Nie wierz temu, kochana Klemencjo – odpowiedziała Sara, najpoufalsza przyjaciółka pani d'Harville – przeciwnie. Księżę dobrze nas widział, ale ja go odstraszałam... Ciągle jeszcze się na mnie boczy.

– Nie mogę pojąć, czemu z takim uporem ciebie unika; wymawiałam mu często to dziwaczne postępowanie z dawną przyjaciółką.

– Upewniam cię, że z najniewinniejszej przyczyny poróżniliśmy się pół żartem, pół serio i gdyby nie była w to zamieszana trzecia osoba, dawno bym ci się zwierzyła z tej wielkiej tajemnicy. Lecz co ci jest, moja kochana?

– Nic, nic, w galerii było tak gorąco, głowa mnie zabolęła; siądźmy tutaj na chwilę, zaraz mi przejdzie.

– Zdaje mi się, że twoje nagłe osłabnięcie ma inne przyczyny...

Markiza zarumieniła się i spuściła głowę.

– Jakaś ty dziwna, moje dziecko! – rzekła Sara z wymówką. – Nie masz do mnie zaufania? I czy niesłusznie nazywam cię dzieckiem? Przecie śmiało mogłabyś być moją córką.

– Ja nie miałabym do ciebie zaufania? – odpowiedziała smutnie markiza. – Wszak wyznałam ci to, do czego sama przed sobą nigdy bym się przyznać nie powinna.

– Doskonale, pomówimy więc o nim; postanowiłaś doprowadzić go do rozpaczyny... zabić?

– Ach – zawołała markiza przestraszona – co mówisz?

– Nie znasz go jeszcze, moja droga. To człowiek zimnej odwagi, a życie mało ceni... Zawsze był tak nieszczęśliwy... ty zaś dręczysz go ze szczególnym jakimś upodobaniem.

– Czy podobna, abyś tak źle o mnie sądziła?

– Może być, że to czynisz mimo woli, ale tak jest. Wierzaj mi, przed chwilą jeszcze widziałam, jak dwie wielkie łzy w oczach mu się kręciły!

– Zmiłuj się, nic mów mi o tym – przerwała pani d'Harville wzruszona. – I tak już, wiedziona litością i współczuciem, zbyt wiele dla niego uczyniłam.

Sara udała, że nie rozumie znaczenia tych słów, i rzekła:

– Zbyt wiele! Jakże przesadzasz... on wart większych względów. Bronię tak Karola Roberta, bo poznałaś go u mnie. Jaką ma szlachetną twarz! A wygląda na wielkiego pana. Przy tym ile nam oddał usług na naszych koncertach porannych! A jak śpiewał pierwszy duet z tobą! Z jakim uczuciem!

– Dostyc już, dostyc – zawołała pani d'Harville, przerywając Sarze. Potem, po długim milczeniu, podjęła: – Mówmy o czym innym, o twoim śmiertelnym nieprzyjacielu – dodała niby to żartem – mówmy o Księżcu, którego dawno nie widziałam. Cóż to za czarujący człowiek!

Sara ukradkiem rzuciła na panią d'Harville badawcze i podejrzliwe spojrzenie i dodała:

– Przyznaj, kochana Klemencjo, że jesteś dziwnie kapryśna. Na przemian uwielbiałaś i nienawidziłaś Księcia. A twój mąż czy jest dziś tutaj?

– Nie, nie chciał wyjść z domu – odpowiedziała markiza, nieco zmieszana.

– Zdaje mi się, że coraz mniej bywa w świecie?

– Tak... czasem woli zostać u siebie.

Zmieszanie markizy wyraźnie wzrastało. Sara, dostrzegając to, zaczęła znowu:

– Kiedym go ostatni raz widziała, wydawał się bledszy niż zwykle.

— Tak, był nieco cierpiący.

– Wyznam ci, że czasem, kiedy o nim mówimy, na twojej twarzy maluje się mimo woli... jak by to powiedzieć?... – I Sara dokończyła z naciskiem, chcąc przeniknąć do głębi serca markizy: – Tak, na twojej – twarzy maluje się pewien rodzaj bojaźliwego wstrętu.

– Ależ mąż mój nie jest bynajmniej ani przykry, ani zazdrosny! – A szukając pozorów, aby przerwać przykrą rozmowę, markiza zawołała żywo: – Ach, mój Boże! Idzie tutaj ten nieznośny książę de Lucenay, przyjaciel mego męża! Żeby tylko nas nie zobaczył! Skąd on się wziął? Myślałam, że jest stąd o tysiąc mil.

– W samej rzeczy, mówili, że wyjechał na wschód na rok czy na dwa lata, a nie ma pięciu miesięcy, jak opuścił Paryż. Tak rychły powrót nie bardzo musiał ucieszyć księżnę de Lucenay, choć i tak książę nie przeszkadza jej zbytnio – dodała Sara ze złośliwym uśmiechem. – Lecz nie ona jedna tylko przeklina ten powrót; pan de Saint-Remy zapewne podziela jej strapienie.

– Nie obmawiaj, kochana Saro, a powiedz raczej, że pan Lucenay jest tak nieznośny, że jego powrót dla każdego musi być przykry.

– Nie obmawiam, bynajmniej. Powtarzam tylko to, co wszyscy mówią, jestem jedynie echem głosu powszechnego. Wszyscy powiadają, że Saint-Remy, wzór elegantów, który cały Paryż oślepia swoim zbytkiem, stracił już cały majątek, a nie zmienia trybu życia, pani de Lucenay zaś jest bardzo bogata. No, ale książę nas spostrzegł. Strzeż swego wachlarza, Klemencjo, bo on łamie na drzazgi wszystko, czego się tylko dotknie.

Książę de Lucenay należał do jednej z pierwszych rodzin Francji; młody był jeszcze i dosyć przystojny, ale tak się wiecznie kręcił, tak głośno śmiał się i krzyczał, tak bezceremonialny był w obejściu, a żarty jego były tak grube, że choć nazwisko otwierało mu drzwi do najpierwszych domów, unikano go przecie jak zapowietrzonego.

Księżna de Lucenay, jedna z najładniejszych kobiet w Paryżu, mimo że już przeszło trzydziestoletnia, dawała często powód do obmowy, ale przebaczano jej wszystkie błędy, dlatego że miała męża nieznośnego dziwaka. Skoro tylko zobaczył panią d'Harville i Sarę, z daleka już głosem krzykliwym zaczął wołać:

– A to co znowu?... Co widzę?... Jak to!... Najładniejsza na balu kobieta ukrywa się!... A to kto słyszał?... Trzebaż dopiero, żebym ja powrócił z dalekich krajów i położył kres takiemu zgorzeniu?

– Jak to, już pan wrócił z Konstantynopola? – spytała pani d'Harville.

– Już? Mówi pani to, co niezawodnie myśli moja żona. Spiesz się z powrotem do przyjaciół, żeby cię tak przyjmowali! A, hrabina Mac-Gregor! – zawołał książę, zwracając się do Sary. – Muszę pani opowiedzieć najnieprzyzwoitszą historię. Niech pani sobie wyobrazi, że na wyspie Otahiti...

– Książę! – przerwała Sara oziębło.

– Jeżeli tak, mniejsza o to, nie powiem pani mojej historii. Aha! Ha! – zawołał znowu, śmiejąc się głośno. – Otóż pan Karol Robert.

Karol Robert, oglądając po drodze drzewa i kwiaty, coraz bardziej się zbliżał. Skoro spostrzegł panią d'Harville, przybrał wyraz głębokiego smutku tak nagle, że od razu można było poznać, iż udaje; ale robił to dobrze, wydawał się tak nieszczęśliwy, że pani d'Harville uwierzyła wszystkiemu, co Sara mówiła o jego rozpaczach.

– Jak się pan miewa? – zawołał książę de Lucenay, zatrzymując go. – Nie miałem przyjemności widzieć pana od wyjazdu z wód. Ale co panu? Wydajesz się mocno cierpiący?

Pan Karol Robert powłókł smutnym spojrzeniem po pani d'Harville i odpowiedział głosem żalonym:

– Istotnie! Bardzo cierpię...

– Mój Boże! Nie możesz się więc pan pozbyć swoich katarów? – zapytał de Lucenay z największą troskliwością.

Pytanie to było tak głupkowate i dziwaczne, że Karol Robert na chwilę osłupiał, potem zaczerwienił się i odpowiedział rozgniewany:

– Ponieważ zdrowie moje tak pana obchodzi, spodziewam się, że zechcesz jutro rano dowiedzieć się o nie?

– O, z pewnością, kochany panie! – odpowiedział dumnie książę de Lucenay. – Dowiem się niezawodnie.

Karol Robert skłonił się lekko i odszedł.

– Wybornie mi się udało! – zawołał de Lucenay ze śmiechem. – Hrabino, powiedz mi, czy on nie wygląda na zaflegmionego?

Sara, nie odpowiedziawszy, odwróciła się od niego.

Wszystko to odbyło się w mgnieniu oka.

Sara z trudem powstrzymywała się od śmiechu.

Pani d'Harville cierpiała okropnie. Lękała się, że dojdzie do pojedynku, a uniesiona litością, wstała szybko, wzięła Sarę pod rękę, dogoniła Karola Roberta i przechodząc szepnęła mu:

– Jutro o pierwszej.

Potem wyszła z hrabiną z zimowego ogrodu i wróciła do domu.

XXXIII

„Jak późno przychodzisz, mój aniele!”

Rudolf pojechał na bal głównie dlatego, żeby się przekonać, jak dalece podejrzenia jego względem markizy d'Harville są uzasadnione i czy rzeczywiście jest ona bohaterką zdarzenia opowiedzianego przez panią Pipelet.

Wyszedłszy z ogrodu zimowego z hrabiną X, na próżno szukał markizy po wszystkich salonach i właśnie wracał do ogrodu, gdy wtem, zatrzymawszy się chwilę na schodach, był świadkiem spotkania między Karolem Robertem a panią d'Harville. Rudolf dostrzegł krzyżujące się porozumiewawcze spojrzenia. Przeczucie powiadało mu, że ten przystojny mężczyzna jest owym tajemniczym majorem. Aby się o tym przekonać, wrócił do galerii.

Po kilku minutach spostrzegł stojącego we drzwiach pana Karola Roberta. Zdawał się podwójnie uradowany; i z odpowiedzi danej księciu de Lucenay (bo mimo swoich śmiesznościami był to odważny mężczyzna), i z obietnicy pani d'Harville, gdyż nie wątpił, że tym razem dotrzyma słowa.

Rudolf, pokazując go Murfowi, zapytał:

– Widzisz tego młodego blondyna, tam, blisko drzwi?

– Widzę.

– Postaraj się zbliżyć do niego i powiedz: „Jak późno przychodzisz, mój aniele”, ale tak, żeby cię nie widział i żeby nikt inny tego nie słyszał. Jeżeli się odwróci, zachowaj zimną krew, żeby nie mógł poznać, kto wymówił te słowa.

Murf, zdziwiony, spojrzał na Rudolfa.

– Nic nie rozumiem, ale jestem posłuszny.

Walc jeszcze się nie skończył, kiedy Murf wrócił do Rudolfa i rzekł:

– Mości Książę, blondyn obrócił się tak nagle, jakby go kto ukąsił. To jakieś czarodziejskie słowa.

– Tak jest, czarodziejskie, kochany mój Murfie; dzięki nim dowiedziałem się o tym, co koniecznie chciałem wiedzieć.

Rudolf mógł już tylko ubolewać nad błędem pani d'Harville; tym niebezpieczniejszym, że przeczuwał, iż Sara jest zamieszana w tę sprawę. Bolesne było to odkrycie; nie wątpił już, że zazdrość jest przyczyną udręczeń młodego markiza d'Harville, do którego był przywiązany jak do brata.

Baron Graun przerwał mu rozmyślania.

– Mości Książę – rzekł, odszedłszy z Rudolfem na stronę – dowiadywałem się, do kogo może należeć chustka z inicjałami L.N. Zdaje się, że nie do kogo innego jak do księżnej de Lucenay, z domu de Noirmont. Dziś jej tu nie ma. Tylko co widziałem jej męża, który przed pięciu miesiącami wyjechał na rok na wschód, a teraz niespodzianie wrócił kilka dni temu.

Rudolf zrozumiał wszystko.

– Szczególne czasem bywają przypadki – dodał baron Graun.

– Na przykład?

– W tejsze chwili, gdy mi odpowiadano, że niespodziany powrót księcia de Lucenay bardzo zasmucił jego żonę i młodego, ładnego chłopca, hrabiego Saint-Remy, poseł zbliżył się do mnie i zapytał, czy może Waszej Księżęcej Mości przedstawić tegoż samego hrabiego Saint-Remy, który teraz został umieszczony przy misji francuskiej w Gerolstein.

Rudolf odpowiedział z mimowolną niecierpliwością:

– Nie sprawia mi to przyjemności, ale niepodobna odmówić... Cóż robić? Proszę powiedzieć posłowi, że może mi go przedstawić.

Pan de Saint-Remy był to piękny dwudziestopięcioletni młodzieniec o ujmującej twarzy i nieposzlakowanych manierach. Kto go raz widział, niełatwo go zapomniał – tak dalece różnił się hrabia od pospolitych elegantów. Zbytek w koniach i pojazdach posuwał do najwyższego stopnia; grał grubo, bezinteresownie i trzymał wielkie zakłady. Kobiety go uwielbiały; ledwo można było zliczyć jego podboje.

Rudolf zamienił z nim kilka stów z właściwą sobie uprzejmością i na tym poprzestano. Rudolf umiał czytać z ludzkich twarzy i jego pierwsze wrażenie zwykle się sprawdzało; po krótkiej rozmowie z panem de Saint-Remy poczuł do niego mimowolna odrazę; było coś podstępного i niebezpiecznego w twarzy uroczego eleganta.

Rozmyślając nad wypadkami tego wieczora, Rudolf zszedł do zimowego ogrodu. Właśnie podano wieczerzę, salony prawie zupełnie opustoszały, w ogrodzie znalazł miejsce samotne. Usiadł w ukryciu za drzewem i zamyślił się głęboko. Wtem usłyszał swoje imię, wymówione dobrze znanym głosem.

Z drugiej strony klombu siedziała Sara i po angielsku rozmawiała z bratem. Tom był ubrany na czarno; chociaż ledwie o parę lat starszy od Sary, włosy miał zupełnie siwe, wzrok ponury; mówił tonem stanowczym; widać było, że toczy go wielka zgrzyzota albo wielka nienawiść.

Rudolf z uwagą przysłuchiwał się ich rozmowie.

– Na koniec rywalka, której się obawiam i która mogłaby stać na przeszkodzie, jutro będzie zgubiona.

– Mylisz się; Rudolf nigdy nie zajmował się markizą.

– Muszę ci coś wyjaśnić. Pewna jestem, że ta kobieta nie kochała nikogo, dopóki nie ujrziała Rudolfa. Ma niepojęty wstręt do męża, który ją ubóstwia. Dlaczego? Tej tajemnicy nie mogłam odkryć. Widok Rudolfa obudził w sercu markizy nowe uczucia, lecz stłumiłam rodzącą się miłość, opisawszy go jej z najgorszej strony. Tymczasem markiza widywała u mnie co dzień Karola Roberta. On chciał koniecznie uzyskać jej względy. Ale markiza długo się opierała; zawsze pamięć Rudolfa czuwała nad nią. Wreszcie, zwyciężona moimi pochwałami i jego rozpaczą, zezwoliła na upragnioną schadzke. Kazałam go śledzić i wiem, że czekał na nią na ulicy Temple. Markiza nie przybyła. Naznaczono drugie spotkanie, ale i to także spełzło na niczym. Trzeci raz także zawróciła spod drzwi domu. Na koniec dzisiaj markiza, widząc młodzieńca wyśmianego przez księcia de Lucenay, przez litość naznaczyła mu schadzke na jutro; tym razem dotrzyma słowa. Ale udając się tam jedynie przez litość, nie zapomniał o swoich obowiązkach. Robert, który nie jest w stanie zrozumieć podobnej subtelności, będzie chciał wykorzystać sytuację. Klemencja pozna wtedy, co to za człowiek, nabierze do niego wstrętu i... wróci do dawnych uczuć do Rudolfa.

– Ale co tobie z tego przyjdzie?

– Chcę zniesławić ją w oczach Rudolfa. Znienawidzi ją, gdy się dowie, że zdradziła męża, jego przyjaciela.

– Więc chcesz męża powiadomić o wszystkim?

– Nie inaczej, natychmiast... Z tego, co mi Klemencja mówiła, wnoszę, że ją podejrzewa, ale nie wie, z kim zawiązała intrygę. Już po dwunastej, zaraz jedziemy, po drodze w pierwszej lepszej kawiarni napiszesz do pana d'Harville, że jego żona ma jutro na ulicy Temple pod numerem 17 miłosną schadzke.

– To ohydne – odpowiedział Tom zimno.

– Masz skrupuły?

– Owszem, zrobię, co chcesz, lecz to nikczemne.

– Zgadzasz się więc?

– Dziś jeszcze zawiadomię pana d'Harville. Co to?... Zdaje mi się, że ktoś jest za drzewem
– dodał Tom cicho, wstając nagle.

– Zobacz – odpowiedziała Sara niespokojnie.

Tom wstał, obszedł drzewo, ale nikogo nie zobaczył. Rudolf już wyszedł ukrytymi drzwiami.

– Omyliłem się – rzekł Tom – nie ma nikogo... Słuchaj, Saro, nie obawiaj się markizy. Moim zdaniem bardziej niebezpieczna jest ta dziewczyna, którą Rudolf wywiózł na wieś; otacza ją najtroskliwszą opieką. Wprawdzie to plebejuszka, ale może go oczarowała jej piękność; dowiedziałem się, gdzie mieszka i jaki tryb życia prowadzi. Trzeba i tę przeszkodę usunąć. Stara i ten zbójca, którzy nas wtedy obrabowali w Cité, pomogą nam w tym.

– Gdy usuniemy obie te przeszkody, przystąpimy do najważniejszej sprawy.

– A jeżeli nam się i tym razem nie uda... wtedy będę mógł... – rzekł Tom, ponuro spoglądając na Sarę.

– Będziesz mógł...

– Nie będziesz mnie więcej błagać, żebym odkładał zemstę.

Potem, wskazując na krepę i czarne rękawiczki, dodał ponuro:

– Ja ciągle czekam... od szesnastu lat noszę żałobę... a wiesz dobrze, że jej nie zdejmę, dopóki...

Sara z niepokojem przerwała bratu:

– Powtarzam, że zostawię ci zupełną swobodę, ale pozwól mi wprzód spróbować wszystkiego. Wprawdzie używam nie najszlachetniejszych środków... ale jak ze mną postąpiono? – zawołała, mimo woli podnosząc głos.

– Cicho, już wstali od stołów. Jeżeli chcesz ostrzec markiza d'Harville, to chodźmy... już późno.

– Ta wiadomość wyda mu się ważniejsza, jeżeli ją otrzyma o tak późnej godzinie.

I Tom z siostrą opuścili pałac.

XXXIV

Bilecik

Nazajutrz z rana markiz d'Harville wolnym krokiem przechadzał się po sypialni. Łóżko jego było nie naruszone.

Markiz d'Harville miał lat trzydzieści. Jego twarz, zwykle przyjemna i spokojna, teraz wydawała się blada i zmęczona. Nie zdjął był jeszcze wczorajszego stroju; zrzucił tylko chustkę z szyi i rozpiął kamizelkę. Na rozdartej koszuli widać było w kilku miejscach krwawe plamy; rozczochrane włosy spadały mu w nieładzie na poblądłe czoło.

Na kominku nie paliło się, choć w pokoju było bardzo zimno. D'Harville podszedł do kominka, wziął leżący na nim rozpieczętowany bilecik i odczytał go znowu:

Jutro o godzinie pierwszej żona Twoja pójdzie na ulicę Temple, pod numer 17, na miłosną schadzke. Bądź tam, szczęśliwy małżonku, a wszystkiego się dowiesz!

W tej chwili wszedł kamerdyner.

– Czego chcesz? – zapytał markiz gwałtownie. Kamerdyner, siwy starzec, nie odpowiadając, patrzył na nieład w pokoju, potem spojrzawszy na markiza, zawołał:

– Krew na koszuli!... O Boże! Co to było? Czemu pan nie zadzwonił, jak zawsze, kiedy się panu zdarzają...

– Idź precz!

– Ależ... panie... – odezwał się sługa – pan rozkazał plenipotentowi, żeby przyszedł o wpół do jedenastej z notariuszem; już czekają.

– Słusznie – odpowiedział markiz z goryczą – kto bogaty, powinien zajmować się interesami. Majątek to piękna rzecz!

– A może by wprzód uprzątnąć? zapytał smutnie kamerdyner. – Gdyby zobaczyli taki nieporządek, nie mogliby zrozumieć, co się w nocy z panem działo.

– A gdyby się domyślili?

– Nie nikt o niczym nie wie.

– Tak nikt nie wie. – powtórzył markiz ponuro.

Podszedł do zbioru broni wiszącej na ścianie, przypatrywał mu się uważnie, z dziką jakąś rozkoszą, i zawołał:

– Zapomniałeś wyczyścić strzelby; skoro się ubiorę, przyniesiesz mi je do gabinetu; może jutro albo za parę dni pojedę na polowanie; chcę obejrzeć broń.

Po czym ubrawszy się, markiz wszedł do gabinetu, gdzie już czekali: jego plenipotent, pan Doublet, i notariusz.

– Przyszliśmy przeczytać panu markizowi kontrakt kupna.

– Czytałeś go, panie Doublet?

– Czytałem.

– Więcej mi nie trzeba, podpiszę.

I podpisał akt. Notariusz wyszedł.

– Po tym kupnie – zawołał Doublet z triumfującą miną – dochody pana markiza wynosić będą rocznie sto dwadzieścia sześć tysięcy franków.

– Szczęśliwy jestem, nieprawda, panie Doublet?

– I to jeszcze nie licząc kapitałów, nie licząc...

– Nie licząc wszystkich innych źródeł szczęścia! – przerwał d'Harville z dwuznacznym uśmiechem. – Gdy się ma sto dwadzieścia sześć tysięcy franków dochodu z dóbr, żonę taką jak moja... i córkę istnego anioła, nic już nie pozostaje do życzenia, nieprawdaż?

– Ho! Ho! – odpowiedział plenipotent dobrodusznie. – Pozostaje jeszcze do tyczenia żyć jak najdłużej... żeby wydać córkę za męża i zostać dziadkiem...

– Przynieś mi dziesięć tysięcy franków w złocie, a gdyby mnie już nie było w domu, zostawisz u Józefa.

– Za godzinę pieniądze tu będą... Pan markiz nie ma poza tym żadnych poleceń?

– Żadnych.

Zaledwie Doublet wyszedł, d'Harville upadł na krzesło i zakrywszy twarz rękoma, gorzko zapłakał. Pierwsze to były łzy od chwili, w której odebrał bilecik Sary.

– O! – mówił do siebie. – Los okrutnie urągał ze mnie, kiedy dał mi się urodzić bogatym... Cóż teraz wstawię w tę złotą ramę? Moją hańbę, niesławę Klemencji? Niesławę, która może splamić imię mojej córki! – Zerwał się z miejsca, oko mu pałało, ścisnął zęby konwulsyjnie i zawołał stłumionym głosem: – Krwi! Krwi! Teraz pojmuje jej wstręt, rozumiem, czemu mnie nie chce widzieć... Przerazam ją. Ale czyż to moja wina? Czy podobna, aby dlatego mnie zdradzała! Nie powinna mnie nienawidzić, ale litować się nade mną... I ja będę bez litości... zabiję ją i jego, bo ona mu zapewne wszystko wyznała...

Ta myśl podwoiła wściekłość markiza, czuł jednak, że nie należy okazywać takiego stanu duszy. Wrócił do sypialni z udanym spokojem i zastał tam Józefa.

– Czy moja żona już wstała?

– Nie wiem.

– Idź, dowiedz się.

Kamerdyner wyszedł.

D'Harville pośpiesznie wydobył ze szkatułki myśliwskiej proch, kule, wyjął z biurka parę króćci angielskich, nabił je i schował do kieszeni długiego, rannego surduta.

Józef wrócił i oznajmił panu:

– Można wejść do pani markizy, już ubrana. Ale d'Harville, zamiast iść do żony, wziął laskę i kapelusz, wyszedł na róg ulicy, gdzie stawały fiakry, wsiadł do jednego i rzekł do woźnicy:

– Biorę cię na godzinę.

– Dobrze, panie; teraz wpół do dwunastej. Dokąd jedziemy?

– Na ulicę Belle-Chasse, róg ulicy Świętego Dominika, tam przy murze ogrodu staniesz i zaczekasz.

Markiz spuścił story; fiakr zatrzymał się tuż koło bramy jego domu. Gdy na zegarze pobliskiego kościoła wybiła dwunasta, markiza wyszła z domu.

– Już? Jaka grzeczna! Boi się, żeby tamten na nią nie czekał – rzekł markiz do niebie z dziką ironią.

Klemencja, przechodząc przez ulicę, uchyliła nieco sukni. Widok jej nóżki podwoił wściekłość markiza. Poczul dojmującą zazdrość na myśl o tym, że „tamten” będzie klęczał przed jego żoną, całując tę uroczą stopkę. Z trudem panując nad sobą, zwrócił się do woźnicy:

– Widzisz tę damę w czarnym kapeluszu i niebieskim szalu?

– Widzę, panie.

– Jedź za nią krok w krok... jeśli wsiądzie do fiakra, jedź w ślad za nim.

– Słucham, panie.

Istotnie, markiza wsiadła do fiakra; markiz jechał tuż za nią. Tak przybyli na ulicę Temple.

– Panie – rzekł woźnica – tamten stanął przed numerem 17. Co mam robić?

– Stań i ty.

– A teraz dama weszła do domu.

– Otwórz drzwiczki.

W chwilę potem markiz w ślad za żoną wszedł do domu Czerwonego Janka.

XXXV

Miłosierdzie

Pan Pipelet, jej mąż Alfred i przekupka handlująca ostrygami – stali we drzwiach. Markiza ledwie dosłyszalnym głosem spytała:

– Gdzie mieszka pan Karol?

– A! Pan Karol! Ładny to kawaler i przystojny... Jeśli pani chcesz iść do pana Karola, to mieszka na pierwszym piętrze, drzwi na wprost schodów. Markiza zmieszana i zawstydzona weszła na schody.

– He! He! – rzekła odzwierna ze śmiechem. – Więc już dziś naprawdę będzie coś z tego... Wiwat, wesele!...

Markiza, dręczona wstydem i wyrzutami sumienia, niewątpliwie zawróciłaby, gdyby nie musiała po raz drugi przechodzić koło mieszkania stróża. Lecz gdy z najwyższym wysiłkiem dotarła do drzwi na pierwszym piętrze, ujrzała tam Rudolfa; wcisnął jej w rękę woreczek z pieniędzmi, mówiąc:

– Mąż pani wie wszystko, jechał za panią.

W tej chwili rozległ się krzykliwy głos pani Pipelet:

– Dokąd to, mój panie?!

– To on! – szepnął Rudolf markizie i wciągając ją o kilka schodków wyżej, dodał: – Idź, pani, na piąte piętro; przyjechałaś tu nieść pomoc rodzinie pogrążonej w nędzy. Morelom.

– O nie, panie, nie puszczę w żaden sposób! Powiedz, dokąd chcesz iść! – krzyczała znowu pani Pipelet, zatrzymując markiza.

– Idę z tą damą, co właśnie przyjechała.

– A! To co innego. Bardzo proszę.

Usłyszawszy hałas, Karol Robert otworzył drzwi; Rudolf wszedł do niego i zarygłował drzwi za sobą w tej samej chwili, kiedy d'Harville dochodził na pierwsze piętro. Major osłupiał na widok Rudolfa.

– Mój panie, co to znaczy?

– Ciszej! – szepnął Rudolf stłumionym głosem.

Na schodach rozległ się gwałtowny stuk, jak gdyby upadające ciało stoczyło się z kilku stopni.

– Nieszczęsny! Zabił ją! – krzyknął Rudolf.

– Zabił?... Kogo? Co się tu dzieje? – spytał Robert.

Nie odpowiadając, Rudolf uchylił nieco drzwi i zobaczył, jak mały Kulas, chromy syn Czerwonego Janka, zsuwał się śpiesznie ze schodów; chłopak miał w ręku pąsowy woreczek z pieniędzmi, który Rudolf tylko co dał markizie. Kulas po chwili zniknął na dole. Rudolf nastawił ucha i dosłyszał jeszcze lekkie kroki pani d'Harville i ciężkie stąpanie ścigającego ją męża.

– Powiedz mi pan wreszcie – odezwał się Karol Robert – co to wszystko znaczy!

– To znaczy, że markiz d'Harville wie wszystko, że ścigał żonę aż do twoich drzwi I teraz jeszcze za nią goni... tam...

– O, nieszczęście! – krzyknął Karol Robert. – Ale dlaczego poszła na górę?

– To do pana nie należy; siedź tylko cicho i nie wychodź, dopóki nie dam panu znać.

I Rudolf zszedł do odzwierniej.

– Aha! Widzi pan – rzekła do niego triumfująco – sprawa się płacze! Jakiś jegomość ściga kochankę majora, pewno mąż.

– Kochana pani Pipelet – rzekł Rudolf – możesz mi wyświadczyć wielką usługę. (Przy tych słowach wsunął jej w rękę pięć luidorów). Gdy dama będzie wychodzić, spytaj ją, co słyhać u rodziny Morelów, i powiedz, że to szlachetnie z jej strony tak pomagać nieszczęśliwym.

Stróżka patrzyła w osłupieniu to na Rudolfa, to na pieniądze.

– Rozumiem, mam panu pomóc wywieść w pole męża... Dobrze! Wybornie! He! He! He! Czy to takie rzeczy się robiło?!

W tej chwili d'Harville schodził ze schodów, prowadząc żonę pod rękę. Rudolf ukrył się.

– No i jak? – zawołała odźwierna piskliwym głosem – widziałas pani biednych Morelów? Nieprawdaż, że na taki widok serce się kraje?... Bóg pani nagrodzi!...

Markiz z uniesieniem patrzył na żonę i wychodząc z domu, błagał, żeby mu przebaczyła, iż zdołał uwierzyć potwarzom.

Rudolf wyszedł wkrótce po nich, powiedziawszy odźwiernej, żeby zawiadomiła majora.

Pani Pipelet niezwłocznie poszła na górę.

– Majorze – rzekł przykładając rękę do peruki – przyszedłam uwolnić pana z aresztu. Z łaski pana Rudolfa wychodzisz jeszcze cało z tej awantury.

– Rudolf? Co za jeden?

– Co za jeden? – krzyknęła pani Pipelet rozjątrzona. – Słyszeliście go? To człowiek, co wart dwóch innych, i to dobrych! To kupiec, ale się nie targuje jak inni.

– Dobrze, dobrze, masz tu klucz od mieszkania.

I Karol Robert wyszedł z domu.

Po kilku minutach przed domem stanął fiaker. Wyjrzała z niego Puchaczka i kiwnęła na Kulasa. Obrzydły chłopiec wskoczył do pojazdu i umieścił się między Puchaczką i Bakałarzem, owiniętym w obszerne futro, które go całego zakrywało. W dwie godziny potem fiaker zatrzymał się przy drewnianym krzyżu, w miejscu, gdzie z wielkiego gościńca skręca drożyna prowadząca do wioski Bouqueval i folwarku, w którym pod opieką pani George mieszkała Gualeza.

XXXVI

Sielanka. Niepokój

Piąta wybiła na zegarze kościoła wsi Bouqueval.

Folwark, gdzie przebywała Gualaza, schowany latem jak gniazdo między drzewami, teraz w porze zimowej ukazywał się cały, pozbawiony swojej zielonej zasłony.

Bydło wracało z pola, ogromny wóz z mąką wjeżdżał we wrota folwarku. Ludzie i zwierzęta śpieszyli na spoczynek przed chłodem nocy. Folwark ten słusznie uważano w okolicy za wzorowy, tak pod względem porządku i uprawy roli, jak i prawości mieszkańców.

Maria zwykle wieczorem odwiedzała kurnik. Kury, indyki, gołębie witały ją zawsze z krzykliwą radością. Maria była równie śliczna jak dawniej, ale schudła i zbladła. Ubiór jej nie różnił się od pospolitego odzienia wieśniaczek z okolicy Paryża; na głowie miała czerwoną, jedwabną chustkę, której końce spadały na ramiona; spod chustki wyglądał mały, okrągły czepek. Biały, batystowy szal osłaniał jej piersi, niebieski kaftanik z grubego sukna obejmował jej szczupłą kibić i odbijał od jasnej spódnicy w ciemne pasy; białe pończochy i czarne, drewniane chodaki uzupełniały ten wiejski ubiór. Jedną ręką trzymając końce fartucha, drugą rzucała ziarno swoim skrzydlatym poddanym. Piękny, biały gołąb, odważniejszy od towarzyszy, podleciał do niej i usiadł na jej ramieniu. Maria nawykła zapewne do takiej śmiałości, bo nie przestała sypać zboża i obróciwszy twarz, podniosła nieco głowę, wyciągając ze śmiechem różowe usta do swego ulubieńca. Ostatnie promienie zachodzącego słońca oświecały ten sielankowy obrazek.

Podczas gdy Maria zajmowała się drobiem, pani George i ksiądz Laporte rozmawiali o niej przy kominku w pokoju bawialnym.

– Ma pani słusność – odezwał się ksiądz – trzeba uprzedzić pana Rudolfa; niech zapyta Marię; może przez wdzięczność wyzna swemu dobroczyńcy to, co ukrywa przed nami. Biedne dziecko! Powinna być taka szczęśliwa! Jaka zgryzota może jej teraz dokuczać?

– I nic jej nie rozwesela, nawet nauki, którym się z takim zapałem oddaje. Pisze i czyta dobrze, tyle już nauczyła się arytmetyki, że mi pomaga w prowadzeniu ksiąg rachunkowych. Kochane dziecko! Czy aby nie od nadmiaru pracy zachorowała?

– Doktor Murzyn zapewniał, nas przecież, że jej kaszel nie będzie miał złych następstw.

– Jaki to dobry człowiek, ten pan Dawid! I jak się nią zajmuje... Bo też wszyscy ją tu kochają.

– O ile pamiętam, wspomniała mi pani, że Maria straciła humor od czasu Wszystkich Świętych, kiedy tu była pani Dubreuil, która dzierżawi od księcia de Lucenay folwark w Arnouville?

– Tak mi się zdaje, chociaż pani Dubreuil i jej córka Klara, prawdziwy wzór dobroci, dają jej codziennie dowody przyjaźni. Co niedziela albo one u nas bywają, albo my do nich jędziemy; otóż zdaje się, że każde takie odwiedziny powiększają przygnębienie Marii, chociaż Klara kocha ją jak siostrę.

– Jest w tym coś szczególnego...

W tej chwili weszła Maria.

– Gdzieś była, dziecinko? – spytała pani George.

– Poszłam do piwnicy obejrzeć owoce.

– Czemu nie kazałaś tego zrobić Klaudynie? Pewnie jesteś bardzo zmęczona.

– O, wcale nie.

– Musi też kiedy ksiądz pleban zobaczyć te owoce – rzekła pani George. – Ksiądz sobie nawet nie wyobraża, jak je ładnie Maria ułożyła.

– Pewna jestem, że się tam księdzu plebanowi spodoba – dodała Gualeza naiwnie – od czerwonych jabłek i złotych gruszek mech tak dobrze odbija. Pleban rzekł z uśmiechem do Marii:

– Jużem widział twoją mleczarnię; pozazdrościłaby jej najwybredniejsza gospodyni; w tych dniach obejrzę i owoce. Ale słońce zaraz zajdzie, ledwie zdążysz odprowadzić mnie na plebanię i wrócić do domu przed nocą. Weź salopę i chodźmy. Albo wiesz co? Zostań, bo bardzo zimno na dworze.

– A! Księżu plebanie! Nie martw jej, proszę – rzekła pani George – ona tak się cieszy, że cię co wieczór odprowadza.

– Księżu plebanie – dodała Maria nieśmiało – pomyślę, że gniewasz się na mnie, jeżeli mi nie pozwolisz się odprowadzić.

– Ja, moje dziecię? No to bierz prędeż salopę.

Maria zarzuciła na ramiona salopę z kapturem i podała księdzu rękę.

– Dobrze przynajmniej – rzekł pleban – że droga pewna.

– Ale już bardzo późno – wtrąciła pani George – może chcesz, Mario, żebym posłała z tobą kogo ze służby?

– Jeszcze by pomyśleli, że się boję – odpowiedziała Maria z uśmiechem. –Dziękuję pani; wszak to tylko kwadrans drogi, wrócę, nim noc zapadnie.

Ksiądz wyszedł z folwarku, wsparty na ramieniu Marii, która stosowała swój krok do wolnego i ciężkiego chodu starca.

W kilka minut potem weszli do wąwozu, w którym się ukrywali Bakalarz, Puchaczka i Kulas.

XXXVII

Zasadzka

Mijali właśnie Puchaczkę.

– Cicho – rzekła stara do Bakałarza – już przeszła dziewczyna z księdzem. Gdy będzie wracać, napadniemy na nią i porwiemy.

– A jeżeli będzie wołać pomocy? – zapytał Bakałarz. – Usłyszą na folwarku; wszak mówicie, że stąd widać folwark. Wy widzicie! – dodał ponuro.

– Nie inaczej, stąd widać folwark – podchwycił Kulas.

– Trzeba więc tak zrobić – rzekł Bakałarz po chwili milczenia: – Kulas będzie czekał przy wejściu do parowu, a jak tylko zobaczy z daleka dziewczynę, pobiegnie do niej i palcem powie, że jego stara matka wpadła do parowu i nie może wstać; będzie ją prosił, żeby pomogła mu ją podnieść!

– Rozumiem; a starą matką będę ja – powiedziała Puchaczka.

– Pójdiesz potem do parowu, tam gdzie czeka Barbillon z powozem. Ja się tam blisko schowam. Gdy Kulas przyprowadzi do ciebie dziewczynę, rzucisz się na nią, ręką zatkasz jej usta, żeby nie krzyczała. Kiedy przytrzymasz dziewczynę, Kulas mnie zawoła, we troje zwinimy ją w mój pluszcz, zaniesiemy do fiakra, a stamtąd do Saint-Denis, gdzie czeka na nas pan w żalobie.

– Wybornie! Słyszysz malcze, chcesz być wielkim człowiekiem, to ucz się od tego głowacza – zawołała z dumą Puchaczka. Potem, obracając się do Bakałarza, dodała: – Nie powiedziałam ci, że Barbillon boi się okropnie zapalenia mózgu.

– A to czemu?

– W kłótni zabił męża tej mleczarki, która co dzień rano przywozi ze wsi i sprzedaje mleko w Cité przy „Białym Króliku”.

Kulas przysłuchiwał się z chciwą ciekawością.

– A ty czego tak na nas patrzysz? – spytała Puchaczka.

– Bo wołałbym zostać z wami niż być u tego oszusta szarlatana, tłuc mu leki i czyścić konia. Żebym wiedział, gdzie on chowa swoją „truciznę na szczury dla ludzi”, dawno już wspaniałym mu jej trochę do rosołu.

– Skąd wiesz, że twój pan ma „truciznę na szczury dla ludzi”?

– Bom podsłuchał, jak mówił do młodego pana, oddając mu proszek w papierku: „kto tego zażyje trzy razy, pójdzie do grobu i nikt nie będzie wiedział, jakim sposobem, żaden ślad nie zostanie”.

– Do kogo tak mówił? – zapytał Bakałarz.

– A do tego ładnego panicza z czarnymi wąsami. Przyszedł jeszcze potem drugi raz i Bradamanti kazał, żebym poszedł za nim i dowiedział się, gdzie mieszka. Panicz wszedł do pięknego domu na ulicy Chaillot. Bradamanti, wyprawiając mnie, powiedział: „Gdziekolwiek pójdzie, idź za nim i pamiętaj wkręcić się i dowiedzieć jego nazwiska, a jak nie, to ci uszy poobrywam”. Wkręciłem się do niego i dowiedziałem się.

– Jakim sposobem? – zapytał Bakałarz.

– Aha, ja nie głupi! Poszedłem do stróża i powiedziałem: „Mój kochany panie, przychodzę tu po pięć franków; obiecał mi je ten pan, co tu mieszka, za to, że mu znalazł czarnego pieska! Ten pan powiedział mi, że mieszka na ulicy Chaillot pod numerem 12 i że się nazywa Dupont”. „Mój pan nazywa się hrabia Saint-Remy, ale to w domu nie ma żadnego psa prócz

ciebie, ty łobuzie! Precz”. I kopnął mnie. Ale dopowiedziałem się nazwiska pana, który przychodził po „truciznę na szczury dla ludzi”... nazywa się hrabia Saint-Remy.

– Wart jesteś, łajdaku, żeby być moim synem – zawołała Puchaczka, całując go.

Te słowa sprawiły wrażenie na Kulasie. Odpowiedział:

– Ja też cię kocham. Od śmierci matki tylko ty jedna jesteś dla mnie dobra.

Jednooka baba jeszcze raz pocałowała go z przesadną czułością, a Kulas zawołał:

– Każ tylko, a zobaczysz, jak ci będę służył!

– Talk – rzekł Bakałarz – będziesz mnie prowadził jak biednego, ślepego ojca i przy pomocy Puchaczki nieraz nam się trafi dobra gratka; pokażę temu diabłu Rudolfowi, który mnie oślepił, że jeszcze nie koniec moich zbrodni!...Ja będę głową, ty, Kulasie, będziesz oczami, a Puchaczka ręką. Pomożesz mi, moja duszko, co?

– A pewnie – rzekła Puchaczka. – Czy po wyjściu ze szpitala zaraz nie przyleciałam do ciebie?

– Tak, nudziłem się sam z tymi pocziwymi ludźmi, po miesiącu nie mogłem już wytrzymać... jakoś mi straszno było... chciałem, żebyś do mnie przyszła! Miałem czego chcieć! – dodał z gniewem. – Nazajutrz już nie miałem pieniędzy, które mi dał ten szatan Rudolf. Tak, w nocy ktoś mi skradł pas ze złotem. Tylko ty mogłaś to zrobić; dlatego jestem teraz na twojej łasce. Kiedy pomyślę o tym, nie wiem, dlaczego cię nie zabiję na miejscu stara złodziejko!

I postąpił ku Puchaczce.

– Strzeż się! Nie rób jej nic złego – wrzasnął Kulas.

– Ja was oboje zaduszę, i ją, i ciebie, przekłete gadziny! – wołał bandyta rozjątrzony.

Kulas rzucił kamieniem w Bakałarza i trafił go w czoło. Zbójca zerwał się wściekły jak ranny wół, zrobił kilka kroków na oślep, lecz zaraz upadł.

– Pograj z nami w ciuciubabkę – zawołała Puchaczka, zanosząc się od śmiechu.

Kulas pokrzykiwał razem z Puchaczką:

– Otwórz oczy, staruchu! Krzywo chodzisz, zataczasz się... Niedowidzisz? To przetrzyj okulary!

Bandyta, nie mogąc pochwycić dziecka, zaryczał jak tygrys w klatce.

– Kaszlesz, staruszku – rzekł znowu chłopiec. – Masz! Doskonała lukrecja!.... To ci pomoże...

I rzucił mu garść piasku w oczy. Ten piekący deszcz był większą obelgą dla Bakałarza niż uderzenie kamieniem; zsiniał, z niewymowną rozpaczą rozkrzyżował ręce i zawołał błagalnym głosem:

– Mój Boże! Mój Boże! Dajcie mi noża! Nóża! – krzyczał. – Zabiję się, skoro wszyscy mnie opuszczają. – I z dziką wściekłością gryzł sobie ręce.

– Nóża chcesz? Masz przecież w kieszeni świetny nóż!...

Bakałarz natychmiast zmienił ton i rzekł półgłosem:

– Szuryner był dobry, nie okradł mnie, litował się nade mną.

– To czemu mi gadasz, że cię okradłam? – rzekła Puchaczka, wstrzymując się od śmiechu.

– Pomyśl tylko: gdybym cię okradła, czybym została przy tobie? Okradłabym cię, gdybym mogła; ale jestem Puchaczka, nie zrobiłam tego, bo cię kocham, zbójcu, nawet z tymi białymi oczyma! No, nie rób głupstw, nie gryź rąk.

– Myślałby kto, że gryzie orzechy! – rzekł Kulas.

– Cha! Cha! Malec dobrze mówi. No, uspokój się, mój Bakałarzu; niech się dziecko pośmieje, takie to młode! Ale bądź sprawiedliwy. Kiedy ten jegomość w żałobie, co to podobny do grabarza, powiedział mi, że da tysiąc franków za porwanie dziewczyny z folwarku w Bouqueval, przyznaj sam: czy nie przyszłam zaraz do ciebie, czy nie przyjąłam cię do spółki, choć mogłam sobie wybrać kogo innego, co lepiej od ciebie widzi?

– Któż zaręczy, że mi potem dasz, kiedy już sprawa będzie załatwiona? – odpowiedział bandyta. – Ja... ja na łasce... dziecka i kobiety, ja, który dawniej mógłbym ich zabić jednym

palcem. I nie mogę zemścić się na człowieku, co mnie wtrącił w tę niedolę zawołał Bakalarz z coraz większą wściekłością. – Boję się śmierci... o tak, bardzo się boję, ale gdyby mi powiedziano, że mnie z nim razem rzuca w przepaść... zgodziłbym się! Pogryzłbym mu twarz, szyję, serce; zębami bym go rozszarpał!

– O, tak to lubię! Teraz cię kocham... Nie bój się, jeszcze dostaniemy tego niegodziwca Rudolfa, a może nawet Szurynera. Powiedziałam do jegomościa w żałobie: „Dawniej chciałeś nam zapłacić, żebyśmy coś zrobili Rudolfowi. Jak skończymy z tą dziewczyną, czy nie znajdzie się co i dla Rudolfa?” „Może”, odpowiedział. Słyszysz, może! Nie bój się; powiadam ci, że Rudolf dostanie się w nasze ręce.

– Ale czy ty mnie na pewno nie rzucisz? – rzekł bandyta do Puchaczki, z pokorą i nieufnością zarazem – jakbyś sobie poszła ode mnie, to co bym robił?

– Nie wiem. Może i sobie pójdę, to by było zabawne, co, mój zbójcu?

Bakalarz zadrżał na taką groźbę. Ze strachem zbliżył się do Puchaczki i rzekł:

– To prawda, niesłusznie cię posądziłem, niesłusznie chciałem bić Kulasa przepraszam cię! Słyszysz? I ciebie także. Kulasio. Oboje was przepraszam.

– Przeprós Puchaczkę na klęczkach! – zawołał Kulas.

– Już klęczę i przepraszam cię, Puchaczko, i ciebie. Kulasio. Wystarczy wam? Ale już teraz mnie nie rzucicie? No, mówcie! – zawołał, przerażony milczeniem Puchaczki i Kulasa, którzy bawili się jego strachem. – Czyście już odeszli?

– Jesteśmy, jesteśmy, nie bój się. Ja bym cię miała opuścić? Nigdy. A wiesz, dlaczego? Bo zawsze lubiłam kogoś męczyć... zwierzę czy człowiek, wszystko mi jedno. Najprzód miałam dziecko, ale niedługo wytrzymało i za to siedziałam sześć lat w więzieniu; po wyjściu z więzienia wpadła mi w ręce Gualęza, ale zaraz potem uciekła. Teraz ty będziesz moim zwierzątkiem, rozumiesz? Już nie dziecko poczuje moje pazury, ale taki wilk, tygrys, jak ty; to jeszcze lepsza zabawa.

– Stara wiedźmo! – krzyknął Bakalarz, zrywając się z ziemi. – Śmierci! Śmierci!

– Ciągłe to samo pleciesz, staruszk. Ty byś chciał umrzeć? Kłamiesz; daj temu pokój, żyj dla szczęścia twojej Puchaczki.

– Cicho – rzekł Kulas – ktoś idzie. Schowajmy się! To nie nasza dziewczyna! W parę minut ukazała się tęga, młoda wieśniaczka z koszykiem na głowie, a za nią duży brytan; minęła parów i udała się w stronę, w którą poszedł ksiądz z Gualęzą.

XXXVIII

Plebania

Ostatnie promienie zachodzącego słońca gasły pomału za lasem i zamkiem Ecoen. Księżyc na nowiu pojawił się na niebie. Głęboka cisza panowała wokoło. Proboszcz stanął na pagórku, chcąc się nacieszyć pięknnością wieczoru.

– Patrz dziecko – rzekł do Gualezy – na ten obszar bez granic, w którym nie słychać najmniejszego głosu; mnie się zawsze zdaje, że cisza i nieskończoność dają nam prawie wyobrażenie wieczności. Czy nie uderza cię ten spokój?

Gualeza nie odpowiedziała. Pleban obejrzał się zdziwiony. Płakała.

– Co ci jest, moja droga?

– Ojciec... jestem bardzo nieszczęśliwa!

– Ty? Nieszczęśliwa? Teraz?

– O! Mój ojciec sama nie wiem, co mi jest. I mnie także wzruszył ten piękny wieczór, ścisnęło mi się serce i zaczęłam płakać.

– Posłuchaj, coś ci powiem Już niedługo pani George i pan Rudolf poprowadzą cię do chrztu i w obliczu Boga zobowiążą się zawsze mieć pieczę nad tobą.

– Pan Rudolf! Mój wybawca! zawołała Maria. – Więc wszystko powiem, mój ojciec; boję się być niewdzięczna.

– Chodźmy, powiesz mi wszystko przez drogę.

Po chwili namysłu Maria zaczęła:

– Kiedy się dowiedziałam, że zostanę na zawsze u pani George, zdawało mi się, że to sen. Zrazu to zupełne szczęście odurzyło mnie; myślałam tylko o Rudolfie. Powoli przywykłam do spokojnego życia. Z prawdziwą radością pomagałam pani George w pracy uczyłam się pilnie i korzystałam z twoich rad, mój ojciec. Czułam się taka sama jak wszyscy, bo wszyscy byli dla mnie dobrzy. Ale pewnego razu...

Tu łkanie przerwało jej mowę.

– Uspokój się, moje dziecko. Odważnie, mów dalej.

Gualeza otarła łzy i rzekła:

– Pamiętasz, mój ojciec, że na Wszystkich Świętych pani Dubreuil, ta, co dzierżawi folwark księcia de Lucenay, przyjechała do nas z córką na kilka dni.

– Pamiętam i cieszyłem się, żeś poznała Klarę Dubreuil.

– To anioł, mój ojciec! Anioł! Jaka byłam szczęśliwa, kiedy się dowiedziałam, że spędzi u nas parę dni. Przyjechała nareszcie... zawołali mnie. Weszłam do pokoju, serce mi biło, Klara, zobaczywszy mnie, rzuciła mi się na szyję. Wtedy, mój ojciec – dodała Maria z płaczem – nie wiem, co się ze mną stało, ale kiedy czyste i świeże usta Klary dotknęły mojej twarzy, ogarnął mnie wstyd... przypomniałam sobie, czym byłam... Ja, ja ważyłam się przyjmować uściski niewinnej dziewczyny! Zdawało mi się, że ją podle oszukuję. Na widok tej niewinnej dziewczyny, mojej rówieśnicy, zrozumiałam z bólem, jak ogromna przepaść nas dzieli!... Wtedy pierwszy raz odkryłam, że są plamy, których nic nie zmyje!... Odtąd nie przestaję o tym myśleć, zawsze mi to ciąży, nie daje chwili spoczynku.

– Mów dalej, Mario. Jak dotąd twoje skrupuły przemawiają tylko na twoją korzyść.

– Miałyśmy spać w jednym pokoju. Wieczorem gawędziłyśmy chwilę, a potem ona zasnęła. Ja nie mogłam spać. Kiedy pomyślałam, że Klara śpi tu, tak blisko mnie, mnie, którą

znaleziono w szynku, wśród złodziei i zbrodniarzy, drżałam jak występna... strach mnie ogarniał.

– Biedna Mario, czemuś mi tego dawniej nie powiedziała? Uspokoilibym cię. Ale skończ.

– Zasnęłam późno. Klara zbudziła mnie pocałunkiem. W dowód przyjaźni zaczęła mi się zwierzać. Kiedy skończy osiemnaście lat, ma poślubić syna dzierżawcy z Goussainville, którego bardzo kocha. Potem opowiedziała mi w kilku słowach swoje życie, proste, spokojne, szczęśliwe. „Teraz, Mario”, rzekła znasz mnie jak siostrę; opowiedz mi i ty o sobie”. Myślałam, że umrę ze wstydu, zaczerwieniłam się, wybąkałam kilka słów, że jestem sierotą, że miałam nieszczęśliwe dzieciństwo i dopiero tu, u pani George, jest mi dobrze. Klara nic podejrzewała, że ją oszukuję; Moje niezręczne odpowiedzi kładła na karb smutku, jaki we mnie budzą bolesne wspomnienia, i wierzyła wszystkiemu. O, mój ojciec, co mnie to kosztowało, że musiałam kłamać!

– Biedactwo, niech Bóg skarże tych, co cię wtrącili na drogę zguby i przez których może całe życie będziesz pokutować za pierwszy błąd!

– O! To prawda! To byli bardzo źli ludzie – podjęła Maria z goryczą. – Moja hańba nigdy się nie zmyje...

– Niestety! Mario, cnota, pogrążona choćby na chwilę w kale, na zawsze zachowa niezmyte piętno! To prawda, nie zmienisz swojej przyszłości, ale chociaż w życiu zostają ci tylko łzy, zgryzota i pokuta, w niebiosach znajdziesz przebaczenie i wieczne szczęście.

W tej chwili wieśniaczka, o której mówiliśmy, dogoniła ich i rzekła do plebana:

– Przepraszam księdza dobrodzieja, ale pani George kazała mi zanieść ten koszyk owoców do plebani, a potem odprowadzić panienkę, bo już późno. Wzięłam z sobą i Turka – dodała, głaszcząc ogromnego brytana z gatunku psów pirenejskich, który nie zląkłby się nawet niedźwiedzia.

– Zostaw koszyk przy drzwiach ogrodu, Klaudyno, i wracajcie śpiesznie do domu; już zupełnie ciemno i coraz chłodniej. Do jutra, Mario.

– Do jutra, mój ojciec!

Proboszcz wszedł do swego ogrodu. Maria i Klaudyna z Turkiem wracały na folwark.

XXXIX

Spotkanie

Noc była jasna i zimna.

Idąc za radą Bakalarza, Puchaczka ukryła się z nim w głębi parowu, blisko miejsca, gdzie Barbillon czekał z powozem. Kulas czatował na powrót Marii i miał ją błagać, żeby poszła do parowu pomóc starej kobiecie. Z daleka usłyszał, że Maria rozmawia z wieśniaczką. A więc wraca nie sama, wszystko stracone. Pobiegnął zawiadomić Puchaczkę.

– Ktoś jest z dziewczyną – szepnął.

– Bodajże ją diabli porwali! – zawołała Puchaczka z gniewem.

– Nie jestem wprawdzie silny, ale jeżeli chcecie, rzucę się na wieśniaczkę, schwycę ją za nogi, zacznę gryźć i nie puszczę, a tymczasem ty, Puchaczko, możesz uprowadzić dziewczynę – mówił Kulas.

– A jeżeli będą krzyżeć? Usłyszą na folwarku i nadbiegną z pomocą. Nie tak łatwo unieść dziewczynę, kiedy się broni – rzekła Puchaczka.

– I mają jeszcze z sobą dużego psa – dodał Kulas.

– Ten mi niestraszny – odparła Puchaczka. – No, mów. Bakalarzu, co tu robisz?

– Dziś nic nie zrobimy – odpowiedział bandyta.

– Jak to? Mamy stracić tysiąc franków? Dawaj nóż! Zabiję wieśniaczkę, żeby nam nie przeszkadzała, a we dwoje z Kulasem damy radę dziewczynie.

– Ale pan w żałobie mówił, żeby nikogo nie zabijać.

– To co z tego? Nic mu za nią nie policzymy. Dawaj noża!

– Nie, nie zabijaj, Puchaczko! – błagał Kulas ze szlochaniem. – Nie zabijaj! To okropne!

– Dawaj nóż, mówię ci!

– Nie – rzekł bandyta – mamy czas do jutra.

– Boisz się, ty tchórze! – rzekła Puchaczka z dziką pogardą.

– Nie boję się, ale mogłabyś źle uderzyć i zepsuć całą robotę.

Tymczasem brytan poczuł obcych, stanął i zaszczekał.

– Słyszysz psa? Dawaj noża! Prędko! Albo...

– Odbierz mi go... jeżeli możesz! – rzekł Bakalarz.

– Już po wszystkim! Już przeszły! – zawołała Puchaczka. – Zapłacisz mi za to, ty dziadu! Tysiąc franków straciliśmy przez ciebie!

– A możemy dwa albo trzy tysiące zyskać – odparł Bakalarz. – Wracaj do Barbillona i jedź z nim na to miejsce, gdzie czeka pan w żałobie; powiesz mu, że dziś nie można było nic zrobić, dopiero jutro.

– A ty? – spytała Puchaczka, jeszcze zagniewana.

– Posłuchaj, dziewczyna co dzień sama odprowadza księdza, to tylko przypadek, że dziś po nią posłano służącą. Jutro na pewno nam się uda.

– Ale ty? A co ty?

– Kulas zaprowadzi mnie na folwark. Powie, że jest moim synem, że ja, biedny wyrobnik, oślepiłem przypadkiem, i że zbłądziliśmy, chcąc przejść krótszą drogą, polami. Poprosimy o nocleg na folwarku. Wieśniacy uwierzą i przyjmą nas na nocleg. Kulas obejrzy drzwi, okna i rozkład domu.

– To mi głowa! Zawsze dobrze wymyśli! – zawołała ułagodzona Puchaczka. – No, mów dalej!

– Jutro nie wyjdę z folwarku; powiem, że jestem słaby, że nie mogę chodzić, a na dowód pokażę im ranę, którą mam na nodze od kajdan. Wieczorem, gdy dziewczyna wyjdzie z księdzem, powiem, że mi lepiej. Pójdę za nią z Kulasem, a potem zaczekam tu w parowie. Nie będzie się nas bała, jako że nas pozna, a kiedy się zbliży i dostanę ją w moje ręce, to bądź pewna, że tysiąc franków nam nie zginie. Ale na tym nie koniec; za kilka dni możemy tu przysłać Barbillona albo kogo innego, żeby się obłowił, pod warunkiem, oczywiście, że się z nami podzieli.

– Nie ma tobie równego, mój ślepcze! – zawołała Puchaczka, ściskając Bakałarza. – Zgoda! Wspaniały plan! Słuchaj, jak całkiem zaniemożesz, to będziesz tylko doradzał złodziejom, a zarobisz tyle, co najlepszy adwokat. Więc jutro czekam tu na ciebie.

– Dobrze, Puchaczko, do jutra.

– A! Zapomniałam dać wosku Kulasowi, a na folwarku trzeba porobić odciski zamków. Potrafisz dobrze odcisnąć?

– Potrafię, ojciec mnie nauczył. Jużem dla niego odcisnął zamek od szkatułki szarlatana, tej, którą chowa w komódce.

– Do jutra, Puchaczko.

Baba odeszła. Bakałarz z Kulasem wyszli z parowu i skierowali się w stronę folwarku.

W ten sposób dziwny zbieg okoliczności zbliżył Anzelma Duresnel do żony, której nie widział od czasu skazania na galery.

XL

Wiejska wieczerza

Miłe wrażenie sprawiała kuchnia folwarczna w Bouqueval w czasie wieczerzy. Na ogromnym kominie z trzaskiem paliły się dębowe drwa. Pośrodku stał duży stół, nakryty grubym, białym płótnem, a na nim talerze, noże i widelce czekały na biesiadników.

Stary kundel, cały czarny, grzał się przy ogniu. Poważny ten brytan nosił poetyczne imię Lizandra.

Kiedy wszystko było gotowe, kucharka postawiła na stole dzbanek starego wina i uderzyła w dzwon. Na to wezwanie ze dwunastu ludzi weszło wesoło do kuchni. Wszyscy – mężczyźni, kobiety i dziewczęta wyglądali zdrowo i rzeźwo. Zasiadli do wieczerzy, na którą zarobili ciężką dzienną pracą. Stary ekonom Chatelain zajął pierwsze miejsce. Wszyscy siedli. Po odmówieniu modlitwy stary Chatelain według dawnego zwyczaju zrobił nożem krzyż na chlebie, odkroił kawałek, położył go na talerzu i postawił wraz ze szklanką wina na środku: d l a u b o g i c h.

W tej chwili psy na dziedzińcu zaszczekały głośno.

– Ktoś przechodzi koło domu – rzekł Chatelain.

Ledwo wymówił te słowa, gdy zadzwoniono.

– Kto by tak późno przychodził? – zdziwił się stary rolnik. – Wszyscy są w domu. Zobacz no tam, René.

René, najmłodszy z parobków, wybiegł.

– Pierwszy raz dziś pani George i panienka Maria nie zaszły do nas, gdy jesteśmy przy wieczerzy – rzekł znowu stary Chatelain.

– Pani George poszła do pokoju Marii, bo panienka zasłała po powrocie z plebani – odpowiedziała Klaudyna.

– A bardzo słaba nasza panienka? – zapytał Chatelain.

– Nie, nie. Bogu dzięki! Pani George powiedziała, że to nic, bo inaczej posłałaby do Paryża po pana Dawida, tego czarnego doktora. Szczególna to rzecz: Murzyn i doktor. Biały doktor to co innego.

– Albo to już raz nie wyleczył Marii?

– Wyleczył; ale zawsze to straszne: czarny doktor.

– A nie wyleczył starej Anique, która od trzech lat nie wstawała z łóżka?

– Wyleczył. Ale zawsze to Murzyn, cały czarny.

– A jakiego koloru jest mleko od czarnej krowy?

– Naturalnie, że białe, jak śnieg białe. Przecież wszystko jedno, czy krowa czarna, grania-sta czy biała.

– Jeżeli wszystko jedno, dlaczegoż czarny doktor ma być gorszy od białego?

– Ano, może i racja – odpowiedziała Klaudyna po chwili namysłu.

– Zimno na dworze, aż kamienie pękają – rzekł René, wracając.

– Któż tam dzwonił?

– Jakiś biedny człowiek, ślepiec, i chłopak, co go prowadzi.

XLI

Gościnność

— Czego chce ten ślepy? – zapytał stary Chatelain.

— Idzie z synem do Louvres; zabłądzili, a że noc zimna, proszą o nocleg.

— Pani George nigdy nie odmawia biednym przytułku; zapewne pozwoli przenocować i tym biedakom. Przyrowadź ich. René. Klaudyno, przysuń stołki do ognia; niech się trochę ogrzeją przed jedzeniem, na dworze zimno.

Znowu dało się słyszeć szczekanie psów, które René na próżno odganiał.

Nagle drzwi się otworzyły. Bakałarz z Kulasem wpadli, jakby kto ich gonił.

– Pilnujcie waszych psów! – krzyczał Bakałarz przestraszony. – O mało mnie nie pogryzły.

– A mnie wyrwały kawał bluzy – dodał Kulas, blady z przerażenia.

– Nie gniewaj się, staruszkę – rzekł René, zamykając drzwi. – Nie wiem, co się stało, bo nasze psy nigdy nie były takie złe, to pewno tak z zimna. Głupie zwierzęta; może myślą, że jak ukaszą, to im będzie cieplej.

– O! Ten także! – wołał Chatelain, powstrzymując Lizandra, który groźnie warcząc, chciał się rzucić na nowo przybyłych. – Że tamte szczekają, to i on za nimi. Leżeć mi zaraz, stary głupcze, leżeć!

Na te słowa, poparte kopnięciem, Lizander, ciągle warcząc, wrócił na swoje miejsce koło ognia.

Bakałarz z Kulasem stali przy drzwiach, bojąc się wejść dalej. Bandyta trzymał za rękę Kulasa, który, tuląc się do niego, patrzył z nieufnością na wieśniaków. Te uczciwe twarze przerażały syna Czerwonego Janka.

Potworna gęba Bakałarza jednych przejęła strachem, a drugich odrazą. Stary Chatelain, pokonawszy chwilowy wstręt, rzekł do ślepca:

– Zbliź się do ognia, przyjacielu, i ogrzej się, a potem zjesz z nami wieczerzę. No, moje dziecko, zaprowadź ojca do kominka.

– Idę – rzekł Kulas. – Chodźcie, ojcze! Tylko ostrożnie!

I podeszli do ognia.

Z początku Lizander tylko głucho warczał, lecz gdy obwąchał Bakałarza, zawył jękliwie, przeciągle, okropnie, co ludzie prości uważają za przepowiednię śmierci.

„Do diabła!”, pomyślał Bakałarz, „poczuł krew ten przeklęty pies czy co? Właśnie te łachy miałem na sobie tej nocy, kiedym zabił wolarza”.

Wycie było tak żalosne, że inne psy usłyszały je na podwórzu i zaczęły wyć podobnie.

René wyszedł z kuchni i biczem położył koniec grobowym przeczuciom Turka, Sułtana i Medora. Pomału wypogodziły się czoła wieśniaków, nawet twarz Bakałarza zaczęła ich przejmować raczej litością niż zgrozą. Litowali się także nad Kulasem, chwając go za opiekę nad ojcem.

Po przerwie wzięto się znowu do jedzenia i przez jakiś czas słyhać tylko było stukanie noży i widelców. Kulas, czy to z wrodzonego popędu do okrucieństwa, czy też idąc za przykładem Puchaczki, z prawdziwą rozkoszą pastwił się nad Bakałarzem. Za każdy kawałek podany „ojcu” wynagradzał sobie, kopiąc go pod stołem w dawną ranę na nodze. Ślepiec potrzebował stoickiej wytrzymałości, żeby ukryć cierpienie, bo Kulas kopał go właśnie wtedy, kiedy Bakałarz pił albo mówił.

Stary Chatelain odezwał się.

– W smutnym jesteś stanie, dobry człowiecze, ale przynajmniej masz pociechę z takiego syna.

Tak, los mój byłby okropny, gdyby nie przywiązanie kochanego dziecka. Tu Bakałarz nie mógł wytrzymać i krzyknął z bólu. Chłopak trafił tym razem w najczulsze miejsce rany, ból był nie do zniesienia.

– Cóż ci to, kochany ojcze?! – zawołał Kulas żałośnie. Wstał i rzucił się na szyję Bakałarzowi.

– Co ci, staruszku? – zapytał ojciec Chatelain.

– To nic – odpowiedział Bakałarz, odzyskawszy zwykłą zimną krew. – Jestem ślusarzem, niedawno przy robocie upuściłem rozpalone żelazo i tak sobie nim oparzyłem nogę, że rana dotychczas nie chce się zagoić.

– Biedny tatulo! – rzekł Kulas. – Wołałbym ja chorować, byle on był zdrow.

Kobiety popatrzyły na Kulasa z rozczuleniem.

– Szkoda – rzekł Chatelain – żeś tu nie przyszedł trzy tygodnie temu. Był wtedy u nas doktor z Paryża, co wybornie leczy nogi. Jedna kobieta już od trzech lat nie mogła chodzić, doktor dał jej balsam do przyłożenia na ranę, a teraz biega jak sarna i lada dzień wybiera się na piechotę do Paryża, na Wdowią Aleję, podziękować swemu dobroczyńcy. Ale co ci jest? Znowu uraziłeś się w ranę?

Na twarzy Bakałarza, poranej bliznami, umyślnie zeszpeconej, nie można było dojrzeć bladeści. Zbladł on jednak...zbladł okropnie na wspomnienie o domu Rudolfa, o doktorze Dawidzie.

Chatelain, nie dostrzegając tego, dodał:

– Zresztą nawet jak od nas pójdziesz, damy ci adres tego Murzyna, bo ten doktor jest Murzynem. Tymczasem wypijemy za jego zdrowie.

– Dziękuję, nie chce mi się pić – odpowiedział Bakałarz ponuro.

– Wypij, kochany tato! Wypij, to ci nie zaszkodzi, a nawet pomoże na żołądek – rzekł Kulas, dając mu szklanekę w rękę.

– Nie, nie, już nie będę pił.

– To nie jabłecznik, mój pocziwcze, ale stare wino – rzekł znowu Chatelain. – Nie każdy pije takie wino. Oho! Nie wszędzie jest tak jak u nas. Jest nas tu siedmiu, ale robimy za czter-nastu. Za to Jak nam płacą! Też jak dla czternastu. A prócz tego dzielimy między siebie piątą część zbiorów.

– To wasz pan chyba się niewiele na tym wzbogaci – zauważył Bakałarz.

– Nasz pan, albowiem on taki jak inni? On ma swoje sposoby na to, żeby się wzbogacić.

– A jakież to? – zapytał Bakałarz, chcąc rozmową odpędzić trapiące go myśli.

– Ano, wystaw sobie – zaczął opowiadać ojciec Chatelain – że pewnego razu nasz pan powiedział sobie: „Jestem wprawdzie bogaty, ale ponieważ choć mam za co, nie mogę w ciągu jednego dnia zjeść dwóch obiadów, gdybym też dał obiad tym, którzy nie mają co jeść albo nie mają jeść do syta? Spróbuję tak zrobić”. I wziął się zaraz do dzieła. Kupił ten oto folwark, wtedy bardzo mały, oddał go pod zarząd kobiecie równie szanowanej, jak nieszczęśliwej... bo pan nasz zawsze tak wybiera... I powiedział jej: „Ten dom będzie otwarty dla dobrych, zamknięty dla złych; wypędzaj z niego leniwych i próżniaków, ale ludziom pracowitym dawaj jałmużnę w robocie; taka jałmużna nie poniża obdarowanego, a dającemu przynosi korzyść”. Tak mówił, ale nie tylko mówił, lecz i zrobił.

– Tak, tak – odpowiedział bandyta zamyślony. – A kalece, jak na przykład ja, czy daliby tu na resztę życia przytułek gdzie w kąci i kawałek chleba? O, gdyby to być mogło! Do ostatniego tchnienia modliłbym się za waszego pana. – I mówił szczerze. Nie żałował wprawdzie dawnych zbrodni, ale gdy pomyślał, jaką przyszłość gotuje mu Puchaczka, zazdrościł wieśniakom spokojnego, błogiego bytu. Chatelain spojrzał na niego zdziwiony i rzekł:

– Ależ, mój kochany, nie sądzę, żebyś był w zupełnej nędzy.

– Jednakże tak jest, niestety!... Oślepiłem przypadkiem przy robocie; teraz idę do Louvres prosić o pomoc dalekiego krewnego, ale wiadomo, jacy ludzie bywają samolubni, nieużyteczni.

– Na nieszczęście, widzisz, folwark to nie szpital. Kalekom pozwalają tu być tylko jedną dobę, potem dają im jałmużnę na drogę i odsyłają z Bogiem.

– Tak więc nie ma nadziei, żeby wasz pan zajął się moim smutnym losem? – spytał bandyta z żalonym westchnieniem.

– Mówię tylko, jaki jest zwyczaj; ale nasz pan taki dobry, taki litościwy, że można się po nim wszystkiego spodziewać.

– Tak myślicie? – zawołał Bakalarz. – Może by mi pozwolił żyć tu gdzie w kącie? Mnie niewiele potrzeba...

– Jeżeli ci pozwolą zostać, to na pewno nie w kącie; ale będą się z tobą tak obchodzić jak z nami wszystkimi. I dla twego syna znajdzie się robota. Ale trzeba by o tym jutro pomówić z naszą matką.

– Z kim?

– Tak nazywamy naszą gospodynię.

– O! No to będę ją prosił, błagał! – zawołał radośnie Bakalarz, myśląc, że już wyswobodził się ze szponów Puchaczki.

Projekty te nie spodobały się Kulasowi; nie miał bynajmniej ochoty korzystać z darów starego rolnika, nie chciał rosnąć pod okiem szanownego plebana ani nie czuł w sobie skłonności do wiejskiego życia.

– O, tak – powtarzał Bakalarz – poproszę waszą matkę, pewno się nade mną ulituje i...

W tej chwili Kulas kopnął go w ranę. Ból przerwał zbójcy mowę i dopiero po chwili dozwolił mu powtórzyć: – Tak, spodziewam się, że się nade mną zlituje.

– Mój biedny tato! – zawołał Kulas. – Ale ty zapominasz o naszej dobrej ciotce! A ona cię tak kocha!... Dobra ciocia Puchaczka nie zechce cię opuścić. Raczej tu przyjdzie po ciebie z naszym krewnym Barbillonem.

– Ta pani jest twoją krewną? – zapytał Chatelain Bakalarza, nieco zdziwiony dziwacznym nazwiskiem „ciotki”.

– Tak... to moja krewna... – odpowiedział bandyta ponuro.

– To do niej idziesz do Louvres? – spytał rolnik.

– Tak, ale wydaje mi się, że mój syn się myli, za wiele się po niej spodziewa.

– O, na pewno się nie mylę, to taka dobra ciocia... To ona przecież przysłała ci wody do obmywania rany, ona mnie nauczyła, jak obchodzić się z twoją nogą. I kazała mi dogadzać ci we wszystkim.

– Dobrze, dobrze – przerwał Bakalarz – ale mimo to będę jutro prosił gospodynię, żeby się wstawiła za mną do właściciela folwarku.

– Obiecałem ci i wstawię się za tobą – rzekł Chatelain. – Nasz pan, umyśliwszy dawać jałmużnę w robocie, powiedział sobie: już są zakłady dla ulepszenia koni, bydła, gospodarstwa i innych rzeczy, byłby też czas zrobić coś podobnego dla polepszenia ludzi. Dobrzy ludzie potrzebniejsi są od dobrego bydła.

– Słyszałem kiedyś – rzekł jeden z wieśniaków – o folwarku, na którym młodych złodziei, niezupełnie jeszcze zepsutych, uczą rolnictwa i utrzymują w wygodzie i dostatku.

– Prawda, moje dzieci. Pięknie to jest złych wprowadzać na dobrą drogę, ale nie trzeba też zapominać o uczciwych. A na taki folwark może przyjść człowiek z prośbą o robotę i zapytają go, czy kradł kiedy; jeżeli nie, nie ma dla niego miejsca.

– Tak jest – powiedział René – uczciwego człowieka tam nie przyjmą.

– Dlatego to właśnie i dla dobrego przykładu pan nasz założył ten folwark. I od tego czasu okoliczni ludzie żyją pracowicie, uczciwie, prowadzą się dobrze, żeby ich przyjąć na folwark w Bouqueval. Bo tylko po dwa lata tu zostają, a potem idą na służbę gdzie indziej.

- Ja zgodziłem się już do Arnouville, do pani Dubreuil – rzekł René.
- A ja do Gonesse – dodał drugi wieśniak.
- Widzisz, że na tym wszyscy dobrze wychodzą, nawet okoliczni dzierżawcy: tu mamy tylko dwanaście miejsc, a może z pięćdziesięciu ludzi żyje teraz pracowicie i uczciwie, żeby się kiedyś do nas dostać. Czy nie słusznie mówiłem, że nasz folwark nie jest taki jak inne, a nasz pan inny niż wszyscy ludzie?
- Rzeczywiście, zupełna prawda! – zawołał Bakalarz. – Im więcej podziwiam jego dobroć i szlachetność, tym więcej mam nadziei, że mój ciężki los go wzruszy; kto czyni dobrze, łatwo wyświadczy jedno dobrodziejstwo więcej. Ale niechże się dowiem, jak się nazywają wasz pan i wasza matka, żebym już teraz mógł ich błogosławić.
- Pojmuję twoją niecierpliwość – rzekł rolnik. – Może spodziewasz się usłyszeć szumne nazwiska wielkich panów? Bynajmniej; to nazwiska proste, lecz dla nas drogie. Nasza matka nazywa się pani George, nasz pan to pan Rudolf.
- Moja żona!... Mój kat!... – wyszeptał bandyta, jakby piorunem rażony.

XLII

Noc

Rudolf! Pani George!

Bakałarz nie mógł się łudzić, że to przypadkowe podobieństwo nazwisk, bo Rudolf, zanim go ukarał, powiedział mu, że zajmuje się losem pani George. Prócz tego niedawna bytność Dawida na folwarku przekonywała go, że się nie myli. Zaledwie przyszedł do siebie z osłupienia, wstał, porwał za rękę Kulasa i krzyknął z obłądnym wyrazem twarzy:

– Chodźmy!... Wyprowadź mnie!... Chodźmy stąd!...

Wieśniacy spojrzeli po sobie zdziwieni.

– Chcesz iść? – rzekł Chatelain. – O tej godzinie?... Co ci przyszło do głowy? Co ci się stało? Czyś ty szalony?

Kulas zręcznie chwycił się tej myśli i powiedział żałośnie:

– Mój dobry ojcze!... Znowu napada cię choroba; uspokój się, nie wychodź na zimno... Panowie, nie puście mojego ojca?

– Bądź spokojny – odpowiedział Chatelain.

– Nie zmusicie mnie, abym tu został! – zawołał Bakałarz. – Wasz pan będzie niezadowolony. Sameś mi powiedział, że folwark to nie szpital, więc puście mnie!

– Nasz pan? Nie bój się! Niestety, nie mieszka stale na folwarku i nawet nie przyjeżdża tak często, jak byśmy chcieli.

– Waszego pana dziś nie ma? – zapytał Bakałarz uspokajając się. – A kiedy będzie?

– Może dopiero za pięć albo sześć dni. Widzisz więc, że niepotrzebnie się boisz.

– Nie, nie! – rzekł bandyta ze strachem. – Namyśliłem się, mój syn ma słuszość, nasza krewna ulituje się nade mną, pójdę do niej.

– Jak chcesz – odpowiedział Chatelain, nie sprzeciwiając się w mniemaniu, że mówi z wariatem. – Wyjdiesz jutro rano; ale nie nabijaj sobie głowy, żeby teraz pójść w drogę z małym synem.

Musiał więc zostać; ze strachu jednak, żeby go nie spotkała żona, powiedział, wieśniakom:

– Jeśli mnie zapewniate, że nie zrobię przykrości ani waszemu panu, ani waszej dobrej pani, przyjmę gościnę, ale zaraz pójdę spać. Jestem zmęczony i chciałbym wyjść jutro o świcie.

– Kiedy tylko zechcesz, my tu wstajemy rano. A żebyś znowu nie zbłądził, pokażę ci drogę. No – dodał stary rolnik, obracając się do Bakałarza i Kulasa i biorąc świecę – chodźcie ze mną. – I zaprowadził ich przez szeroki korytarz do małego pokoiku na parterze. Postawił świecę na stole i rzekł do Bakałarza: – Oto twoje posłanie! Śpij spokojnie. Ty, chłopcze, na pewno będziesz dobrze spał: od młodego sen nie ucieka.

Ponury i zamyślony, bandyta usiadł na łóżku, do którego podprowadził go Kulas.

Kiedy Chatelain wychodził, Kulas kiwnął na niego i wybiegł za nim na korytarz.

– Czego chcesz, moje dziecko? – zapytał Chatelain.

– Mój dobry panie, czasem w nocy ojciec ma ataki, jakieś konwulsje; sam nie mogę mu dać rady; czy mnie choć ktoś usłyszy, jak zawołam o pomoc?

– Bądź spokojny, mój mały. Widzisz te drzwi przy schodach? Tam śpi zawsze jeden z parobków; pójdziesz do niego i obudzisz go, to ci pomoże. A o piętro wyżej mieszka kucharka, jej pokój jest tuż obok pokoju pani George. Miejmy jednak nadzieję, że twój ojciec uśnie spokojnie i nikogo nie będzie potrzebował. Idź do niego, pewnie czeka na ciebie.

– Już idę. Dobranoc panu!

Kiedy Chatelain się odwrócił. Kulas owym drwiącym i obelżywym gestem, właściwym paryskim ulicznikom, zagrał mu kilka razy na nosie.

Wszedłszy do pokoju Bakałarza, Kulas nie zbliżył się do ślepeca, bojąc się mu nawinać pod rękę, lecz bandyta usłyszał go i zapytał szeptem:

– Gdzieś chodził, hultaju?

– Nie bądź taki ciekawy, stary krecie.

– O, zapłacisz mi za wszystko, com dziś od ciebie znosił, ty przekłety łajdaku! – zawołał Bakałarz. – Uduśzę cię, diabli pomioście!

– O, tatulu, jesteśmy w dobrym humorze, chcemy się pobawić z synkiem w ciuciubabkę! – śmiał się Kulas, z łatwością wymykając się bandycie.

I w końcu, jak zwykle, Bakałarz musiał odstąpić od bezskutecznych usiłowań. Czując, że trzeba odłożyć zemstę do stosowniejszej chwili, w bezsilnym rozjątrzeniu z przekleństwem rzucił się na łóżko.

– Wstydziliś się, stary – mówił drwiąco Kulas – czemu klniesz tak szkaradnie? Co by to powiedział ksiądz pleban, gdyby cię usłyszał?

– Przecież tobie nigdy nic złego nie zrobiłem, za co mnie dręczysz?

– Najprzód za to, że obraziłeś Puchaczkę. A poza tym chciałeś tu zostać i prowadzić święte życie z wieśniakami.

– Co tam, lubisz pośmiać się, pozbytkować... to właściwe twojemu wiekowi; nie gniewam się – rzekł Bakałarz wesoło, starając się uspokoić i udobruchać Kluasa – ale lepiej byś zrobił, gdybyś pamiętał, co ci powiedziała Puchaczka, którą tak kochasz: masz wszystko obejrzeć i wziąć odciski z zamków. Tak, tak; tu jest interes do zrobienia. A chociażby nawet nie było co kraść, wrócę tu z Puchaczką, żeby się zemścić – dodał głosem drżącym z wściekłości i nienawiści – bo jestem pewny, że to moja żona namówiła Rudolfa, a on mnie oślepił i zostawił na łasce każdego łobuza: takiej Puchaczki, takiego jak ty hultaja. Nie mogę się zemścić na nim, ale zemszczę się przynajmniej na mojej żonie.

– Co, stary? Chciałbyś mieć żonę w swoim ręku? Przecież ona tylko o dziesięć kroków od ciebie; to mi zmartwienie! Gdybym chciał, zaprowadziłbym cię do drzwi jej pokoju, bo wiem, gdzie jej pokój. Wiem, wiem, wiem – wołał Kulas.

– Wiesz, gdzie jej pokój? – krzyknął Bakałarz z dziką radością. – Wiesz?

– Wiem, wiem, wiem doskonale – podśpiewywał Kulas.

– Kto ci to powiedział? – zawołał bandyta, bezwiednie wstając. – Kłamiesz, kłamiesz! Skąd byś wiedział?

– Chociem kulawy, ałem niegłupi. Tylko co przyszło mi do głowy nagadać staremu wieśniakowi, że w nocy miewasz ataki, i pytałem go, gdzie bym mógł się udać po pomoc. Powiedział, że w razie czego mogę obudzić parobka i kucharkę, i pokazał, gdzie sypiają: jedno na dole, drugie na górze, obok twojej żony!

Po długim milczeniu Bakałarz powiedział spokojnie, ze szczerym i strasznym postanowieniem:

– Słuchaj, sprzykrzyło mi się życie. Przed chwilą, tak, wyznaję, zabłysła mi nadzieja, po której los mój wydaje mi się jeszcze okropniejszy: kajdany, galery, gilotyna, to nic przy moim cierpieniu, a to będzie trwało zawsze. Zaprowadź mnie do mojej żony; mam nóż, zabiję ją. Potem i mnie zabiją, ale wszystko mi jedno, nienawiść mnie dusi, zemszczę się, to mi ulży. Słuchaj, gdybyś wiedział, jak cierpię, zlitowałbyś się nade mną. Teraz zdaje mi się, że mi głowa pęknie.

Przez chwilę gotów był odebrać sobie życie; gdyby miał w ręku nabity pistolet, nie wahałby się zapewne. Sięgnął do kieszeni, wyjął swój długi nóż, otworzył go i podniósł, żeby się przebić. Ale jakkolwiek szybkie były te poruszenia, rozważa, bojaźń, przywiązanie do życia

przemogły. Mordercy zabrakło odwagi. Kulas, który uważnie śledził jego ruchy, zawołał złośliwie:

– Chłopcze, będzie pojedynek!

Bakałarz, bojąc się, że straci rozsądek przy nowym i daremnym wybuchu, udał, że nie słyszy obelg Kulasa, bezczelnie szydzącego z tchórzostwa zbójcy, co nie śmiał podnieść ręki na samego siebie. Rzekł prawie błagalnym głosem:

– Słuchaj, zaprowadź mnie do drzwi mojej żony, weź, co chcesz, z jej pokoju, a potem uciekaj i zostaw mnie samego, jeżeli chcesz, zawołaj nawet ludzi! Złapią mnie, może zabiją na miejscu, tym lepiej! Umrę pomszczony, skoro sam nie mam odwagi się zabić!

– Aha! Rozumiem, mam cię zaprowadzić do drzwi, a potem do łóżka, a potem mam ci wskazać, gdzie uderzyć, albo ci jeszcze poprowadzić rękę? Chcesz mnie zrobić trzonkiem twego noża, stary zbrodniarzu; prędzej mnie zabiją, niż mnie zmusisz, żebym cię zaprowadził do twojej żony.

– Nie chcesz?

Kulas milczał. Po cichu boso przyczołgał się do Bakałarza, siedzącego na łóżku z nożem w ręku, potem niesłychanie szybko i zręcznie wyrwał mu go i jednym skokiem rzucił się w drugi koniec pokoju.

– Nóż! Nóż! – krzyknął bandyta, wyciągając ręce.

– Nie oddam, bo jeszcze jutro rano poprosisz o rozmowę z twoją żoną i rzucisz się na nią, żeby ją zabić, bo sprzykrzyło ci się życie, jak powiadasz, a taki tchórz z ciebie, że nie śmiesz sam go sobie odebrać.

Bakałarz z głuchym jękiem wyciągnął ręce; krew uderzyła mu do głowy i upadł na podłogę, twarzą do ziemi. Leżał bez ruchu.

– Znana sztuka, stary lisie! – rzekł Kulas. – Chcesz, żebym się do ciebie zbliżył, a ty byś mnie pięknie oporządził. Jak się wyleżysz, to sam wstaniesz.

Bojąc się, żeby Bakałarz nie trafił do niego po omacku, postanowił nie spać; usiadł na stołku z oczami wlepionymi w leżącego bandytę, przekonany, że to tylko zasadzka i że życiu złooczyńcy nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Tak siedząc, dla zabawy wyjął z kieszeni czerwoną jedwabną sakiewkę i z wolna, pożerając chciwym wzrokiem złoto, przeliczał siedemnaście luidorów. Czytelnicy pamiętają zapewne, że Kulas wychodził od szarlatana, a gdy spostrzegł sakiewkę markizy, udał, że pada, trącił ją i wydarł jej z ręki woreczek. Przeliczył złoto, a gdy usłyszał, że na folwarku wszystko się już uciszyło, ostrożnie wysunął się z pokoju i ciągle nasłuchując, odcisnął w wosku zamki czterech drzwi, które otwierały się na korytarz. Gdyby go kto spotkał, postanowił powiedzieć, że idzie szukać pomocy dla ojca. Gdy wrócił. Bakałarz jeszcze leżał na ziemi. Przypadek wybawił go od śmierci. Skutkiem uderzenia krew rzuciła mu się obficie nosem i to go zapewne ocaliło. Potem wpadł w gorączkowe odrętwienie i wtedy miał straszny sen...

Widział Rudolfa w domu przy Wdowiej Alei. Był w sali, w której go ukarano. Rudolf siedzi przy stole, na którym znajdują się papiery Bakałarza i krzyżyk z lapis lazuli. Twarz Rudolfa jest poważna i smutna. Po prawej stronie stoi Murzyn Dawid, milczący, nieruchomy; po lewej Szuryner ze strachem obserwuje tę scenę. Bakałarz już nie jest ślepy, lecz widzi wszystko jak przez krew. Wszystkie przedmioty wydają mu się czerwone. Nad jego głową, jak drapieżny ptak, co krążąc nad zdobyczą, zabija ją wzrokiem, zanim się na nią rzuci, unosi się olbrzymia sowa z potworną twarzą Puchaczki. Wlepia w niego okrągłe, zielonkawe, błyszczące oko. To nieruchome spojrzenie przytłacza go jak ogromny ciężar.

Wzrok pomалу nawyka do ciemności i rozpoznaje przedmioty dotąd nie dostrzeżone: Bakałarz teraz dopiero widzi wśród mgły blade widma, swoje ofiary. Oto trup starca. To bogacz z ulicy Roule. Pierwsze zabójstwo!

Rozwidnia się. Człowiek wyglądający jak handlarz bydłem leży zabity na brzegu drogi. To wolarz z Poisy.

Teraz widać jakąś wodę. To kanał. Bakalarz słyszy, jak czyjeś ciało ciężko wpada w wodę, czuje bryzgi na twarzy. Kobieta szybko idzie na dno, daremnie usiłuje wydobyć się na wierzch. Potem słyhać straszny krzyk.

Ten krzyk rozpaczy kończy się głuchym rżeniem: ofiara powtórnie pogrążyła się w wodzie.

To kobieta utopiona w kanale Saint-Martin.

Zjawy znikają, rozlega się donośny, uroczysty głos Rudolfa, Bakalarz drży, zdjęty strachem. Rudolf mówi nie z gniewem, lecz ze smutkiem i współczuciem: „Biedny nędzniku, jeszcze nie wybiła dla ciebie godzina skruchy i Bóg tylko wie, kiedy nadejdzie. Jeszcze nie jesteś za wszystko ukarany. Pożera cię pragnienie zbrodni, a nie możesz go ugasić”.

Bakalarz czuje, że włosy mu wstają na głowie. Cóż to za los, nad którym lituje się nawet jego kat?

„Poznaj przyszłość”, mówi Rudolf.

Bakalarzowi wydaje się, że ma przywrócony wzrok. Otwiera oczy, patrzy.

Lecz to, co zobaczył, przejęło go takim strachem, że krzyknął przeraźliwie i obudził się.

XLIII

List. Dawna znajomość

Dziewiąta biła na zegarze, kiedy pani George weszła cicho do pokoju Marii. Sen dziewczyny był tak lekki, że natychmiast się obudziła. Promienie zimowego słońca rzucały jaskrawe światło na pokój i lekko rumieniły blade policzki Marii.

– Dzień dobry, dziecko – rzekła pani George, siadając na łóżku Marii i całując ją w czoło – jak się dziś czujesz?

– Lepiej, dziękuję pani.

– Nie zbudzili cię dziś za wcześnie?

– Nie.

– Tym lepiej. Ten biedny ślepiec z synem, którym wczoraj dano nocleg na folwarku, chcieli wyjść o świcie; bałam się, żeby cię nie przebudził hałas przy otwieraniu bramy.

– Żebracy?! Czemu tak wcześnie wyszli?

– Nie wiem; wczoraj wieczorem, gdy usnęłaś, zesłałam do kuchni, żeby ich zobaczyć, ale obaj byli tak znużeni, że już poszli na spoczynek. Lecz widzę, że źle spałaś, oczy masz jeszcze czerwone.

– Tak, i miałam okropne sny. Śniła mi się ta kobieta, co mnie dręczyła w dzieciństwie; zbudziłam się ze strachu.

I Maria rzuciła się na szyję przybranej matki.

– Co ci jest, Mario? Przestraszasz mnie.

– Daruj mi, pani; nie wiem, dlaczego od dwóch dni serce mi się ścisza. Bez powodu zalewam się łzami, mam straszne przecucia... zdaje mi się, że mnie spotka jakieś nieszczęście.

Pani George chciała uspokoić Marię, gdy wtem Klaudyna zapukała do drzwi i weszła do pokoju.

– Co tam, Klaudyno?

– Przyjechał Piotr z Arnouville od pani Dubreuil i przywiózł bardzo pilny list do pani.

Pani George przeczytała głośno, co następuje:

Droga pani George, jeżeli chce mi pani wyświadczyć wielką przysługę i wybawić z kłopotu, przyjeżdżaj zaraz do mnie. Me wiem sama, co robić; mój mąż pojechał do Pontoise z wełną. W tobie tylko i w Marii moja nadzieja. Klara ścisza swoją kochaną siostrę i czeka jej z niecierpliwością. Przyjeżdżajcie na jedenastą na śniadanie. Szczera i oddana przyjaciółka
Dubreuil.

– Co to ma znaczyć? – zastanowiła się pani George.

– Czy pojedę z panią? – spytała Maria.

– Może lepiej, żebyś została w domu, dziś bardzo zimno. Ale rozerwiesz się w Arnouville; okryj się dobrze, a przejażdżka wyjdzie ci na zdrowie.

W pół godziny potem pani George z Marią wsiadły do dużego kabrioletu, jakich zwykle używają w okolicach Paryża; powóz ten, zaprzężony w jednego silnego konia, szybko toczył się po miękkiej drodze wiodącej od Bouqueval do Arnouville. Trzask bicza oznajmił przybycie Marii i pani George; pani Dubreuil z córką wesoło i serdecznie powitały oczekiwanych gości.

Kiedy Klara rzuciła się na szyję Marii, ta spostrzegła ze zdziwieniem, że panna Dubreuil zamiast dawnego stroju nosi ubiór wieśniaczki.

– Jak to? Ty, Klaro, przebrałaś się po wiejsku? – całując ją, spytała pani George.

– Przecież ona we wszystkim musi naśladować swoją przyjaciółkę Marię – odpowiedziała pani Dubreuil.

Gdy weszły do domu, Klara posadziła Marię przy sobie, dała jej najlepsze miejsce przy kominku, usługiwała, brała ją za ręce, ścisnęła, nazywając niedobłą siostrzyczką, na koniec wymawiała jej łagodnie, że tak rzadko u niej bywa.

– Cóż więc się przydarzyło kochanej pani? – rzekła pani George. – W czym mogę usłużyć?

– O! W wielu rzeczach. Pani zapewne wie, że folwark ten jest wyłączną własnością księżnej de Lucenay. Otóż samej księżnej albo jej pierwszej pokojowej opłacamy dzierżawę. Księżna jest tak dobra, choć nieco żywa, że z rozkoszą załatwia się z nią interesy. Mój mąż i ja skoczylibyśmy dla niej w ogień. Jednakże dopiero od roku księżna zaczęła w terminie upominać się o płacenie rat; dawniej zdawałoby się, że nigdy nie potrzebuje pieniędzy, teraz zupełnie co innego. I wczoraj właśnie odbieram przez umyślnego posłańca taki list od księżnej:

Kochana pani Dubreuil, trzeba koniecznie urządzić pawilonik w ogrodzie, żeby można się do niego wprowadzić pojutrze wieczorem; każ wnieść potrzebne sprzęty, daj dywany, firanki itd. Słowem, postaraj się, żeby niczego nie brakowało, urządz mi tam mieszkancko z k o m f o r t e m. Bądź zdrowa, kochana Pani, uściskaj moją chrzestną córkę i przyjmij zapewnienia mego szacunku.

Księżna Noirmont do Lucenay.

P.S. Z mieszkania tego będzie korzystać miły mi wielce gość, któremu rada bym ofiarować najserdeczniejszą gościnność, dlatego zależy mi na komforcie.

N.d.L.

– O, widzi kochana pani – podjęła pani Dubreuil – jeszcze raz to dziwne słówko i to podkreślone! To właśnie dlatego zaprosiłam panią; obie z Klarą męczyłyśmy się nad tym słowem i nie mogłyśmy go zrozumieć.

– Bogu dzięki, mogę pani wytłumaczyć tę zagadkę – rzekła pani George z uśmiechem – tutaj urządzić pokój z komfortem to znaczy przygotować pomieszczenie ciepłe, wygodne, ładnie umeblowane, gdzie by niczego nie brakowało.

– Ach, mój Boże! – zmartwiła się pani Dubreuil. – Już rozumiem, to chodzi o dywany, meble i tym podobne wykwintne przedmioty. Skąd ja to wszystko wezmę?

– Mamo – odezwała się Klara – weź meble z mego pokoju, a ja tymczasem pojedę na parę dni do Bouqueval do Marii.

– Z twego pokoju? Alboż one takie piękne – rzekła pani Dubreuil – czy twój pokój jest urządzony z komfortem, jak pisze księżna! Mój Boże! Jakich to teraz słów nie wymyślają!

– Więc w pawilonie zwykle nikt nie mieszka? – spytała pani George.

– Nikt, nigdy! To ten biały domek na końcu ogrodu. Nieboszczyk książę kazał go wybudować dla córki, kiedy jeszcze była panną; gdy przyjeżdżała na folwark z księciem, tam się zatrzymywała. Są w nim trzy pokoje. Od czasu swego małżeństwa księżna tylko dwa razy tutaj była; już temu dobre sześć lat, przyjechała konno...

– A ja bym tak zrobiła na pani miejscu: teraz godzina jedenasta, posłałabym kogoś sprytnego do Paryża.

– Naszego ekonoma, on do tego jedyny.

– Wyśmienicie! Za dwie godziny najdalej będzie w Paryżu; pójdzie do któregoś z lepszych tapicerów i odda mu spis, który ułożę gdy zobaczę, czego jeszcze brak w pawilonie.

– O tak! Mniejsza o pieniądze, byle tylko księżna była zadowolona!

– Powie mu tedy, że za jakąkolwiek bądź cenę ma dostawić to, co wymienione, dziś wieczorem, albo nawet w nocy, i przysłać kilku swoich robotników, aby wszystko urządzili.

– Ach, kochana pani George, wybawiłaś mnie z wielkiego kłopotu, nigdy bym o tym nie była pomyślała! Lecz bądź tak dobra i zrób spis, żeby pawilon był...

– Komfortowy? Bardzo chętnie.

Wtem weszła służąca.

– Proszę pani – odezwała się – przyjechała ta mleczarka ze Stains.

– Biedna kobieta! – rzekła pani Dubreuil z litością. – To wieśniaczka z pobliskiej wioski Stains; dawniej miała cztery krowy i co rano woziła mleko do Paryża. Mąż jej, kowal, pojechał niedawno do Paryża po żelazo i umówił się, że przyjdzie po nią na róg ulicy, gdzie zawsze sprzedawała mleko. Na nieszczęście ta kobieta obrała sobie do sprzedaży jakiś podejrzany kąt w najgorszej części miasta. Mąż, wracając, zastał ją na kłótni z pijakami. Kowal ujął się za żonę, tamci skoczyli do niego, on chciał się bronić, ale pchnięto go nożem i padł zabity.

– Co za okropność! – zawołała pani George. – Czy schwytano mordercę?

– Nie; wśród zgielku zdołał umknąć; ale biedna wdowa powiada, że go pozna, bo go często widywała w tej części miasta z jego kompanami. Dotąd jednak nie zdołano go odkryć. Ma troje dzieci, a najstarsze dopiero skończyło dwanaście lat; właśnie potrzebowałam kobiety do krów, przyjęłam ją więc i teraz przysła objąć służbę.

– Nie dziwi mnie litość pani – rzekła pani George, siadając przy stoliku. – Ale nie tracąc czasu, zabieram się do robienia spisu, bo na czwartą musimy wrócić do Bouqueval.

– Na czwartą? Cóż tak pilnego? – zapytała pani Dubreuil.

– Maria o piątej musi iść na plebanie.

– O, jeżeli do księdza Laporte, to rzecz święta – odpowiedziała pani Dubreuil. Podczas gdy pani George zabrała się do pisania, pani Dubreuil wyszła **jednymi** drzwiami, drugimi zaś wyszły Klara i Maria wraz ze służącą.

– Zobaczysz, Mario, tę biedną kobietę – rzekła Klara. – Ile to ludzi nieszczęśliwych! Nieprawdaż?

– O, tak – odpowiedziała Maria z roztargnieniem – są ludzie bardzo nieszczęśliwi; ma pani słusność.

– A to co znowu? – zawołała Klara, niecierpliwie tupiąc nogą. – Znowu nazywasz mnie panią; gniewasz się na mnie?

– Ja? Mój Boże!

– Dlaczego więc mówisz mi pani?

– Wybacz, Klaro! Zamyśliłam się.

– Zamyśliłaś się – rzekła smutnie Klara. – Wiesz, Mario, zacznę cię posądzać o zarozumiałość.

Maria zbladła jak śmierć i nic nie odpowiedziała.

Dziewczęta pośpieszyły na podwórze, gdzie czekała nieszczęsna wdowa.

Na widok Marii kobieta krzyknęła z gniewu i przerażenia. Była to mleczarka, która sprzedawała Gualezie mleko, kiedy ta mieszkała w Cité.

XLIV

Mleczarka

Pod szopą stał wózek zaprzężony w jednego osła. Na nim to mieścił się cały majątek biednej wdowy. Dwunastoletni chłopiec, przy pomocy dwojga młodszych dzieci, zdejmował z wózka rzeczy. Mleczarka, spostrzegłszy Marię, najprzód krzyknęła ze strachu; lecz wkrótce boleść, oburzenie, gniew wykrzywiły jej twarz; rzuciła się ku Marii, schwyciła ją i krzyknęła, pokazując ludziom folwarcznym.

– Oto nędznica, co zna mordercę mego męża, widziałam ze dwadzieścia razy, jak rozmawiała z zabójcą! Kiedy sprzedawałam mleko w Cité, ona co dzień kupowała u mnie! Musi znać nazwisko zabójcy! Ona jest w bandzie tych zbójów, tak jak te wszystkie, co do niej podobne. Nie wymkniesz mi się, hultajko. – Schwyciła drugą rękę Marii, która – drżąca i oszolomiona – chciała uciekać.

Klara osłupiała na taką napaść, zawołała na mleczarkę:

– Chyba rozum straciłaś, nieszczęście cię zaślepiło! Omyliłaś się!...

– Ja się mylę? – rzekła mleczarka z gorzką ironią. – Widzicie, jak zbladła ta nędznica. Są cię zmusi do mówienia; nie wymkniesz się z mojej ręki.

– Ty bezczelna! – krzyknęła Klara. – Idź precz! Jak śmiesz mówić tak do mojej przyjaciółki, mojej siostry!

– Siostra panienki! To chyba panienka oszalała! Panienki siostra, ona? To dziewczyna z ulicy, co przez sześć miesięcy włóczyła się po Cité!

Wieśniacy zaczęli szemrać przeciw Marii. Stali po stronie mleczarki, której nieszczęście obudziło w nich współczucie. Troje dzieci, usłyszawszy głośnie płacz matki, przybiegło do niej i krzyknęło z płaczem, nie wiedząc, o co chodzi. Klara, przestraszona niemal groźną postawą folwarcznych ludzi, rzekła do nich:

– Wyprowadźcie stąd tę kobietę; powtarzam, że nieszczęście odebrało jej rozum. Mario, daruj jej, sama nie wie, co mówi.

Lecz Maria – blada, ze spuszczonej oczami – stała bez słowa, nie usiłując nawet wyrwać się z silnych rąk mleczarki. Nikt się nie ruszył, żeby wypełnić rozkaz Klary, a nawet jeden z wieśniaków odważył się powiedzieć:

– Ale, proszę panienki, jeżeli to dziewczyna z ulicy i do tego zna zabójcę męża tej biednej kobiety, to trzeba ją zaprowadzić do mera.

– Powiadam ci, że noga twoja nie postanie więcej na folwarku – rzekła Klara do mleczarki – jeżeli natychmiast nie przeprosisz mojej przyjaciółki.

– Panienka mnie wypędza! Dobrze – odpowiedziała wdowa z goryczą. – Biedne sieroty – dodała, całując dzieci – włóżcie znowu rzeczy na wózek, pojedziemy gdzie indziej szukać chleba. Bóg się nad nami zlituje; lecz przynajmniej ta nędznica pójdzie z nami do mera i wyjawí, gdzie jest zabójca mego męża. Ona na pewno zna całą bandę. Że panienka jest bogata – dodała, patrząc zuchwale na Klarę – że się przyjaźni z takimi dziewczkami, to jeszcze nie powód, żeby poniewierać biednych ludzi!

– A to prawda – rzekł jeden z ludzi – mleczarka dobrze mówi.

– Biedna kobieta!

– Nie można jej nie bronić, nie poszukiwać zabójców!

– Nie można wyganiać uczciwej kobiety, matki z dziećmi, dla takiej łajdaczki!

Szemrania zaczęły być coraz groźniejsze, kiedy Klara zawołała:

– Dzięki Bogu! Mama idzie!
 Jakoż pani Dubreuil wróciła z pawilonu.

– Mamo! – zawołała Klara. – Obroń moją siostrę od obelg tej kobiety! – wskazała na wdowę.

– Co się tu stało? – zapytała pani Dubreuil, widząc ogólne zamieszanie i bladość Marii.

– Pani będzie sprawiedliwsza – szemrali wieśniacy.

– Ja panią szanuję i wdzięczna jestem za pani dobroć – rzekła wdowa, puszczając Marię. – Ale nim mnie pani wypędzi z dziećmi, niech pani sama zapyta tej nędzniczki, czy mówię prawdę. Nie będzie śmiała zaprzeczyć, że ją znam i że ona mnie także zna.

– Mój Boże, Mario, słyszysz, co mówi ta kobieta? – zapytała pani Dubreuil, do najwyższego stopnia zdziwiona.

– No co, nie nazywasz się Gualeza? – krzyknęła wdowa.

– Tak – odpowiedziała nieszczęśliwa cicho, nie patrząc na panią Dubreuil. – Tak mnie nazywano.

– Widzicie! – wołali z gniewem wieśniacy. – Przyznaje się!

– Niech odpowiada dalej – rzekła wdowa – a wyzna jeszcze, że była w takim paskudnym domu na ulicy Grochowej w Cité. Kupowała ode mnie co dzień mleko i nieraz, przy mnie nawet, rozmawiała z zabójcą mego męża. Ona go dobrze zna, na pewno. Młody, blady, z długimi włosami, zawsze z fajką w zębach, w czapce i w bluzie; musi wiedzieć, jak się nazywa. No, czy nieprawda? Odpowiedz, nędzniczko?

– Tak, to prawda – odpowiedziała dziewczyna.

Pani Dubreuil z początku osłupiała na takie odkrycie. Potem odsunęła się ze wstrętem i odrazą, przyciągając do siebie Klarę.

– Ach! Co za niegodziwość! Co za hańba! Klaro! Nie zbliżaj się do tej nieszczęśliwej. Lecz jak pani George mogła ją trzymać u siebie! Jak mogła mi ją przedstawić i pozwolić, żeby moja córka... O Boże! Nie wierzę własnym oczom! Ale nie, nie, niepodobna, żeby pani George zrobiła coś podobnego! I ją pewnie oszukano, jak nas! Inaczej... byłaby to z jej strony największa niegodziwość!

Przerażonej, oszołomionej Klarze zdawało się, że śni.

– Chodź, chodź, córeczko – rzekła pani Dubreuil do Klary. I zwracając się do Marii, dodała: – A ciebie, niegodna, Bóg skarże za podłe oszustwo! Śmiałaś pozwolić mojej córce, żeby cię nazywała siostrą, przyjaciółką! Siostrą! Ciebie... najnikczemniejszy wyrzutku społeczeństwa! Co za bezczelność! Śmiałaś się wcisnąć między uczciwych ludzi, a może powinnaś iść z podobnymi tobie do więzienia, tam twoje miejsce!

– Tak, tak – zawołali wieśniacy – do więzienia z nią! Ona zna mordercę!

– Ciebie, moja dzielna kobieto – rzekła pani Dubreuil do mleczarki – nie tylko nie wypędzę, ale wynagrodzę cię za to, żeś mi otworzyła oczy na to podłe stworzenie.

– To słuszne, nasza pani jest sprawiedliwa! – mówili wieśniacy.

– Chodź, Klaro – dodała pani Dubreuil.

– Ach, mamo – rzekła Klara – nie wiem, co to wszystko znaczy. Może być, że Maria zwinęła, kiedy ty tak mówisz. Ale popatrz, popatrz, ona prawie mdleje, przynajmniej zlituj się nad nią.

– O, panno Klaro, pani jest dobra, przebacz mi. Chciej wierzyć, że wbrew mojej woli cię zwodziłam. Często to sobie wyrzucałam – rzekła Gualeza, spoglądając na swą opiekunkę z niewypowiedzianą wdzięcznością.

– Mamo! Czy ty nie masz litości?! – zawołała Klara rozdzierającym głosem.

– Litości nad nią? Nie wiesz, co mówisz. Gdyby nie to, że pani George zaraz nas od niej uwolni, kazałabym ją jak zapowietrzoną wyrzucić za bramę – odpowiedziała surowo pani Dubreuil.

I odeszła z córką, która odwracając się w stronę Gualezy ostatni raz, rzekła:

– Mario! Siostrzyczko! Nie wiem, o co się obwiniają, ale jestem pewna, żeś ty niewinna, i zawsze cię będę kochać.

Pani Dubreuil odeszła z Klarą. Gualeza została sama, otoczona groźnym tłumem. Mimo wyrzutów i gniewu pani Dubreuil Maria spodziewała się, że wszystko skończy się spokojnie, dopóki widziała koło siebie dzierżawczynię i jej córkę. Lecz gdy obie odeszły i została sama na łasce wieśniaków, zabrakło jej sił; musiała oprzeć się o głębokie koryto do pojenia koni. Położenie nieszczęśliwej godne było litości. Gniew, groźby, krzyki otaczających wieśniaków wzmagaly się.

O kilka kroków dalej mleczarka, triumfująca i jeszcze bardziej rozjątrzona przeciwko Marii, pokazywała ją dzieciom i wieśniakom z nienawiścią i wzdargą. Ludzie folwarczni, stojący naokoło, nie ukrywali swoich uczuć; surowe ich twarze wyrażaly oburzenie, gniew; najbardziej zaś oburzone były kobiety.

– Zaprowadzić ją do mera! – zawołał ktoś.

– Tak, tak, a jak nie pójdzie dobrowolnie, to ją poprosimy.

– I to śmie ubierać się jak my, uczciwe dziewczęta – rzekła jedna z najbrzydszych wieśniaczek.

– A takie niewiniątko udaje – dodała inna.

– Ale póty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie.

– Będiesz ty inaczej śpiewać i wydasz mordercę! – krzyknęła wdowa. – Wszyscy jesteście z jednej bandy. Zdaje mi się nawet, że i ty z nimi byłaś.

– Ależ pani, już od dwóch miesięcy mieszkam w Bouqueval, nie mogłam być świadkiem nieszczęścia, o którym mówisz, i...

Groźne wrzaski zagłuszyły drżący głos Gualezy.

– Poprowadźmy ją do mera! Tam się wytłumaczy.

– Dalej, ślicznotko! Ruszaj! Żwawo!

I rozdrażniony tłum otaczał dziewczynę, która, złożywszy ręce na piersi, oglądała się zalekniona, spojrzeniem błagając o pomoc.

– A szukaj pomocy, szukaj – krzyczała mleczarka – panny Klary już nie ma, nie ma cię kto bronić; nie wymkniesz się nam!

Wieśniacy, bardziej ciemni niż źli, jątrzyli się, pobudzali wzajemnie i gniew ich wzrastał razem z obelgami i groźbami, jakie miotali na dziewczynę.

Gualeza, oparta o brzeg koryta, w obawie, żeby jej nie strącono do wody, zawołała błagalnie, wyciągając ręce do wieśniaków

– Boże! Czego chcecie ode mnie?! Nie róbcie mi krzywdy! Mleczarka podeszła do niej, machając rękami tak, że pięściami dotykała prawie twarzy Gualezy. Dziewczyna zawołała, cofając się:

– Nie przybliżaj się pani tak bardzo... zepchniesz mnie do wody! Te słowa obudziły w wieśniakach okrutny pomysł. Zachciało im się owej powszechnej wiejskiej „zabawy”, której ofiary często ledwo uchodzą z życiem. Zaczęli wołać:

– Wykapać ją! Spławić! Sprawmy jej kąpiel!

– Tak, tak... do wody ją... do wody! – wołano zewsząd ze śmiechem i oznakami najwyższej radości.

– Tak, tak! Wykapać! Nie umrze... nic jej nie będzie.

– To ją oduczmy mieszać się między uczciwych ludzi.

Słyszając dzikie krzyki, te grubiańskie żarty, widząc rozjuszonych ludzi, którzy zbliżali się do niej, Gualeza pomyślała, że nadeszła jej ostatnia godzina. Nie wymówiła więcej ani słowa, nie błagała. Osunęła się na kolana, złożyła pobożnie ręce. Zamknęła oczy, modliła się i czekała.

Wieśniacy, zdziwieni jej postawą i milczącą rezygnacją, zawahali się przez moment, lecz kiedy kobiety zaczęły im wymawiać tchórzostwo, znowu podnieśli wrzaski, aby dodać sobie odwagi. Już chcieli chwycić Marię, gdy wtem odezwał się pełen oburzenia głos:

– Stójcie!

W tejże chwili pani George przedarła się przez środek tłumu, przystąpiła do klęczącej Gulezy, wzięła ją w swoje objęcia i podniosła z ziemi, mówiąc:

– Wstań, moje dziecko! Wstań, kochana córko. Tylko przed Bogiem się klęka.

Ton i postawa pani George były tak śmiałe, tak rozkazujące, że tłum cofnął się i stał w milczeniu. Twarz pani George, zwykle blada, okrył rumieniec gniewu. Śmiało popatrzyła na wieśniaków i rzekła głośno i groźnie:

– Nędznicy! Nie wstyd wam dręczyć to nieszczęśliwe dziecko?

– Ależ to jest...

– Moja córka! – przerwała pani George. – Ksiądz Laporte, którego wszyscy błogosławią i szanują, kocha ją i jest jej opiekunem, a tych, których on kocha, wszyscy powinni poważać.

Te stanowcze słowa nakazały wieśniakom milczenie. Pani George dodała:

– Choćby ta nieszczęśliwa dziewczyna była ostatnią z kobiet, wasze postępowanie i tak jest ohydne. Za co ją chcecie karać? Jakim prawem? Jaką macie do tego władzę? Żeście mocniejsi? Chodź, Mario, chodź, kochanie. – I wzięła Marię pod rękę; zawstydzeni wieśniacy uznali dzikość swego postępkę i usunęli się z uszanowaniem.

Tylko wdowa zastąpiła pani George drogę i powiedziała śmiało:

– Ta dziewczyna stąd nie wyjdzie, póki nie złoży przed merem zeznania o zabójstwie mego męża.

– Maria mieszka u mnie na folwarku w Bouqueval, możesz o tym zawiadomić sędziego, a ja będę gotowa na jego rozkazy.

W kilka minut potem Piotr zajechał kabrioletem; pani George i Maria wracały do domu. Przejżdżając przed domem w Arnouville, widziały Klarę, jak za odchyłoną firanką płakała i powiewając chustką, zegnała Marię.

XLV

Rozmowa. Porwanie

– Co za wstyd! Jakie zmartwienie dla pani! – mówiła Maria, zostawszy sam na sam z panią George w pokoju bawialnym na folwarku Bouqueval. – Zapewne na zawsze poróżniłaś się z panią Dubreuil, a wszystko przez mnie! Jutro w całej okolicy dowiedzą się o mojej hańbie! Nie boję się o siebie, ale... kto wie, może to zaszkodzi dobremu imieniu Klary, dlatego że mnie nazywała przyjaciółką i siostrą!

Pani George odpowiedziała po chwili namysłu:

– Niesłusznie, moje dziecko, robisz sobie tak bolesne wyrzuty: twoja przeszłość jest naganna, bardzo naganna... ale czyż przez szczerzy żal nie zasłużyłaś na opiekę naszego czciwego plebana? Czyż nie przez niego i przeze mnie zostałaś przedstawiona pani Dubreuil? Czy przez swoje zalety nie zyskałaś jej życzliwości? Przecież to ona sama chciała, żebyś Klarę nazywała siostrą?

– Ach, pani, wiem, że zawsze będę w tak fałszywym i nędznym położeniu. Czy trzeba na to mocniejszego dowodu? Pani przez przywiązanie do mnie słusznie ukrywała moją przeszłość, a matka Klary nie mniej słusznie za też samą przeszłość mną gardzi. O! Umrę ze wstydu... nikomu nie będę śmiała spojrzeć w oczy!

– Nikomu? Nawet mnie? Biedactwo – rzekła pani George ze łzami w oczach. – Nabierz odwagi. Otaczają cię tu sami przyjaciele. Ten dom będzie dla ciebie światem; pleban zbierze ludzi folwarcznych, którzy cię tak kochają, i wyjawią ci twoją przeszłość. I wierz mi, moja droga, słowa jego tak dużo znaczą, że to wyznanie ci nie zaszkodzi.

– Wierzę pani. Podtrzymywana przez ciebie i przez niego, zniosę wszystko bez szemrania.

– Zobaczysz go za chwilę; nigdy jego wsparcie nie było ci bardziej potrzebne. Już wpół do piątej; idź na plebanię, moje dziecko. Napiszę do pana Rudolfa, donosząc mu o zdarzeniu w Arnouville, i pošlę list przez umyślnego; potem i ja przyjdę na plebanię, bo trzeba, żebyśmy porozmawiali we trójkę.

W parę minut później Gualeza wyszła z folwarku na plebanię, drogą wiodącą przez parów, gdzie – stosownie do umowy z dnia wczorajszego – Bakalarz i Kulas mieli czatować na nią ze swoimi współnikami.

Słońce zachodziło; w pustej dolinie panowało milczenie. Maria zbliżała się do parowu, przez który wiodła droga do plebani, gdy wtem podszedł ku niej chromy chłopak.

– Zlituj się nade mną, dobra panienko – rzekł, błagalnie złożywszy ręce.

– Czego chcesz? – zapytała Gualeza ze współczuciem.

– Nieszczęście! Moja babka, bardzo stara, upadła niedaleko stąd, schodząc do parowu; boję się, czy czasem nie złamała nogi. Nie mam siły, żeby jej pomóc wstać.

Gualeza, rozczulona, odpowiedziała:

– I ja nie mam wiele siły, moje dziecko, ale może zdołam pomóc ci podnieść babkę. Idźmy do niej.

– O! Moja dobra panienko! Bóg ci nagrodi!

– Skąd jesteś? – spytała Maria, idąc za Kulasem.

– Idziemy z Ecouen.

– A dokąd?

– Do poczciwego plebana, który mieszka na tamtym pagórku.

– Do księdza Laporte? I ja szłam właśnie do niego – rzekła Maria, zagłębiając się coraz bardziej w parów.

– Babuniu!... Już wracam, już idę, znalazłem kogoś, kto ci pomoże!... – krzyczał Kulas.

Nagle przystanął. Na polu rozległ się tętent galopu konia. „Znowu wszystko przepadło!”, rzekł Kulas do siebie.

O kilka sążni od miejsca, gdzie syn Czerwonego Janka znajdował się z Gualeza, był zakręt drogi. Tam właśnie ukazał się jeździec, zatrzymał konia obok Marii. Wtedy usłyszeli klus drugiego konia i po krótkiej chwili nadjechał służący w liberii.

W pierwszym jeźdźcu, bardzo przystojnym brunecie, Kulas poznał hrabiego Saint-Remy, którego powszechnie uważano za kochanka księżnej de Lucenay.

– Moja ślicznotko – rzekł hrabia do Gualezy, której piękność go zastanowiła – czy będziesz tak dobra wskazać mi drogę do wioski Arnouville?

Maria, spuszczać oczy przed ognistym i zuchwałym spojrzeniem młodego mężczyzny, odpowiedziała:

– Wyjechawszy z parowu, skreśisz pan pierwszą ścieżką na lewo; ścieżka ta prowadzi do alei wiśniowej ciągnącej się aż do samej wioski.

– Dziękuję panience. Lepiej mnie objaśniłaś niż stara baba, którą spotkałem o kilka kroków stąd, leżącą pod drzewem; nie odpowiedziała mi nic i jęczała tylko. A może mi powiesz, czy łatwo znajdę w wiosce dom pani Dubreuil?

– Dom stoi przy alei – odpowiedziała Gualeza.

– Jeszcze raz ci dziękuję, panienczko – zawołał Saint-Remy i puścił się w galop; służący pomknął za nim.

Maria, przypominając sobie ową nieznaną osobę, dla której tak nagle z rozkazu pani de Lucenay wyporządzano oficynę, ani wątpiła, że młody i piękny jeździec jest tym spodziewanym gościem.

– Pośpieszmy się, chłopcze, ten pan na koniu zabrał nam dużo czasu – rzekła Gualeza, przyśpieszając kroku, aby prędzej wyjść na zakręt drogi.

Zaledwie stanęli na miejscu, gdy czatująca tam Puchaczka rzuciła się na nią; jedną ręką schwyciła ją za gardło, drugą zatkała jej usta, a Kulas przypadłszy do ziemi, przytrzymał Marię za nogi, tak że się nie mogła ruszać. Podczas krótkiej chwili, jakiej trzeba było Bakalarzowi, żeby wyleźć z dziury, w którą się skrył, i nadejść z płaszczem, jednooka baba poznała swoją dawną ofiarę.

– Złodziejka Maryśka! – krzyknęła zdziwiona i dodała z dziką radością: – Znowu cię mam! Czy sam diabeł mi cię nasyła? Taki twój los, że nie wymkniesz mi się z rąk. Mam wiotriol w powozie, tym razem już twoja twarzyczka niechybnie z nim się spotka, bo mię już złości ta twoja gładkość. Dalej, ślepy, bierz się do roboty.

Potęźnymi rękoma Bakalarz schwycił Gualezę i nim zdołała krzyknąć, baba rzuciła jej płaszcz na głowę i owinęła ze wszystkich stron. W mgnieniu oka Maria była związana i nie mogła ani się ruszyć, ani wołać na ratunek.

– Teraz, ślepak, zabieraj ją – rzekła Puchaczka. – He! He! To nawet nie takie ciężkie jak szkatułka kobiety utopionej w kanale Saint-Martin, nieprawda, stary? Zabieraj złodziejkę! Ot, tak, dobrze! – dodała baba, widząc bandytę biorącego Marię na ręce jak śpiące dziecko. – Dalej do powozu, ruszajmy!

– A kto mnie zaprowadzi? – spytał ponuro Bakalarz, unosząc swą lekką zdobycz.

– Stary mądrała! Jak to o wszystkim pamięta! – zawołała Puchaczka. I odwinąwszy szal, zdjęła z wychudłej szyi czerwoną, jedwabną chustkę, skreśliła ją i rzekła do Bakalarza: – Rozdział jadaczkę, weź koniec tej chustki w zęby i ściśnij mocno. Kulas weźmie za drugi koniec, pójdiesz za nim. Chodź tu, bębnie!

Chłopak podskoczył, wziął róg chustki i powiódł Bakalarza; tymczasem Puchaczka biegła naprzód, żeby uprzedzić Barbillona.

Po kilku minutach Gualeza była już w powozie Barbillona; mimo ciemności wieczora firanki karety spuszczone i troje współników wraz z ledwie żywą ofiarą pośpieszyło na równinę Saint-Denis, gdzie czekał na nich Tom.

XLVI

Markiza d'Harville

Niech nam czytelnik wybaczy, że opuszczamy naszą bohaterkę w chwili, gdy jej grozi największe niebezpieczeństwo. Opowiemy później o jej losie.

Czytelnik przypomina sobie, że w wigilię dnia, w którym Puchaczka z Bakalarzem wykradli Gualezę, Rudolf ocalił markizę d'Harville od niemal pewnej zguby, którą jej zgotowała zazdrość Sary. Pewien był, że Morelowie na jakiś czas zaspokoili swe potrzeby, dostali bowiem woreczek z pieniędzmi, który wsunął był w rękę markizie, aby przekonać jej męża, że jedynie dla spełnienia dobrego uczynku przysłała do tej kamienicy. Na nieszczęście nie dostrzegł, że Kulas ukraść woreczek i uciekł z nim. O czwartej Rudolf otrzymał następujący list.

Winnam Waszej Księżęcej Mości więcej niż życie i chciałabym dziś jeszcze podziękować za wyświadczone dobrodziejstwo. Jutro może oniemiałabym ze wstydu. Jeżeli Księżę raczysz odwiedzić mnie dziś wieczorem, to zakończysz dzień tak, jak go zaczęłeś... dobrym uczynkiem.

Markiza d'Harville

P.S. Kazałam nie czekać na odpowiedź, będę w domu cały wieczór.

Rudolf, lubo uszczęśliwiony, że wyświadczył markizie przysługę takiej wagi, nierad był jednak, iż wypadek ten tak nagle i nieuchronnie zacieśnił jego przyjaźń z Klemencją. Nigdy nie zdradziłby zaufania d'Harville'a, ale kiedy po nader częstych z początku znajomości odwiedzinach poczuł, że ze zbytym upodobaniem podziwia wdzięk, rozum i piękność jego żony, postanowił więcej u nich nie bywać. Toteż nie bez wzruszenia przypomniał sobie rozmowę Sary i Toma, podsłuchaną na balu.

Gdy wyobrażał sobie bliskie już spotkanie z Klemencją, miały nim najbardziej sprzeczne myśli. Postanowiwszy nie ulec skłonności, jaką czuł do niej, to cieszył się, że może ją przestać kochać za niefortunny wybór Karola Roberta, to znowu żałował, że straciła urok, który ją dotąd otaczał.

Markiza d'Harville również z niepokojem czekał na jego przyjście; dręczyły ją dwa uczucia: piekący wstyd, gdy myślała o Rudolffie, i obrzydzenie, gdy przychodził jej na myśl Karol Robert.

Dziewiąta wybiła na zegarze w salonie markizy. Klemencją siedziała w fotelu obitym adamaszkiem. W miarę jak zbliżała się rozmowa z Rudolfem, wzrastało jej wzruszenie. Po długim namyśle postanowiła odkryć mu straszną tajemnicę. Spodziewała się, że taka zupełna szczerłość z jej strony wróci jej szacunek Rudolffa.

Po chwili wszedł lokaj, pytając, czy panna Ashton może przyjść z panienką.

– Ależ oczywiście, jak zwykle – odpowiedziała markiza i w tej chwili weszła powoli do pokoju jej córka.

Było to czteroletnie dziecko o buzi uroczej, ale chorobliwie bladej i wychudzonej. Panna Ashton, guwernantka, prowadziła ją za rękę; mała Klara, chociaż słaba, podbiegła szybko do matki, by ją uściskać.

– Jakże jej teraz? – zapytała markiza guwernantki.

– Dość dobrze, chociaż niedawno bałam się...

– Znowu! – zawołała markiza, ściskając córkę.

– Na szczęście obawiałam się niesłusznie – dodała guwernantka – nie miała ataku i potem zupełnie się uspokoiła. Mało spała po obiedzie, ale teraz nie chciała się położyć, póki nie powie dobranoc mamie.

Wtem lokaj, otwierając drzwi, zameldował:

– Jego Książęca Mość, Książę Gerolstein.

Na widok Rudolfa Klemencja zarumieniła się, postawiła dziecko na kobiercu i kazała je odprowadzić.

– Pani mi pozwoli – rzekł Rudolf z uśmiechem, ukłoniwszy się wprzód z uszanowaniem markizie – odnowić znajomość z dawną przyjaciółką, która mnie może zapomniała. – I schyliwszy się do dziewczynki, podał jej rękę. Mała z początku wlepiła w niego okrągłe, czarne oczy, a potem, poznawszy go, kiwnęła główką i posłała mu palcami pocałunek.

– Poznałaś Księcia? – zapytała Klemencja. Klara znowu kiwnęła główką.

– Czy zdrowsza jest teraz? – zapytał Książę.

– Ma się lepiej, jednak ciągle jeszcze cierpi.

Guwernantka odprowadziła Klarę i Klemencją została sama z Rudolfem.

Nigdy nie zrobiły na markizie takiego wrażenia szlachetne i pełne wyrazu rysy Rudolfa, nigdy głos jego nie wydawał się jej tak miły i dźwięczny.

Wiedząc, jak trudno by było Klemencji zacząć podobną rozmowę, Rudolf pierwszy przerwał milczenie.

– O mało nie padła pani ofiarą szkaradnej zdrady, omal nie zgubił pani nikczemny donos hrabiny Mac-Gregor.

– Więc to prawda! – zawołała markiza. – Nie omyliło mnie przeczucie. Ale skąd Książę wie o tym?

– Wczoraj na balu u hrabiny przypadkiem dowiedziałem się o szkaradnym podstępie. Siedziałem za gęstymi drzewami, a hrabina Mac-Gregor zwierzała się bratu ze swoich podłych zamysłów. Chciałem do pani napisać, lecz bałem się, żeby markiz nie przejął listu, i dlatego wolałem zawiadomić panią osobiście na miejscu. Okoliczności każą mi grać względem pani rolę mentora i powinienem się cieszyć, żeś pani nie popadła w zasadzkę hrabiny Mac-Gregor. A jako przyjaciel pani męża cieszę się z całego serca, żeś mu wróciła spokój i szczęście.

– Dlatego właśnie, że Książę jesteś przyjacielem markiza d'Harville, chcę panu powiedzieć całą prawdę i o moim nieszczęśliwym wyborze, i o postępku, który tak obraża pańskiego przyjaciela.

– Jestem szczęśliwy i dumny z takiego zaufania. Pozwól mi jednak pani powiedzieć, że co do owego nieszczęśliwego wyboru, to uczyniłaś go jedynie przez uczucie szczerzej litości i skutkiem namowy hrabiny Mac-Gregor. Wiem także, żeś się pani długo wahała, zanim zrobiłaś krok, którego dziś tak żałujesz.

Markiza spojrzała na Księcia ze zdziwieniem.

– Dziwi się pani? Nie chcę w pani oczach uchodzić za czarnoksiężnika i kiedy indziej zdradzę tajemnicę mego odkrycia. Czy mąż pani zupełnie teraz spokojny?

– Zupełnie – odpowiedziała markiza, spuściwszy oczy.

– Złudzenie go uszczęśliwia, nie należy go rozczarowywać. A poza tym kobieta nigdy nie jest tak ujmująca dla męża, jak wtedy, gdy ma przed nim coś do ukrycia.

Markizę coraz bardziej zastanawiał ton Rudolfa. Obracał w żart zdarzenie, które mogło mieć dla niej najstraszliwsze następstwa; domyśliła się, że Książę przybrał ten ton, aby zmniejszyć wagę swojej przysługi.

– Pojmuję szlachetność pana. Wolno teraz Księciu żartować i zapomnieć o niebezpieczeństwie, z którego mnie wybawiłeś. Lecz to, co jeszcze mam powiedzieć, jest dla mnie tak ważne i smutne, taki ma związek z wypadkami dzisiejszego ranka. Księcia rady mogą dla mnie

być tak zbawienne, że błagam, abyś sobie przypomniiał, żeś mi ocalił honor i życie... tak, życie. Mój mąż był uzbrojony... ze skrucną wyznał to przede mną... chciał mnie zabić!

– Czy być może! – zawołał Rudolf poruszony.

– Miał do tego prawo... – odpowiedziała gorzko pani d'Harville.

– Raczej mi pani wierzyć, że nie mogę być obojętnym na to, co panią obchodzi. Słucham z jak największą uwagą.

– Pozwól, Książę, że opowiem coś niecoś o mojej przeszłości aż do chwili małżeństwa... W szesnastym roku życia utraciłam matkę. Trudno opisać, jak ją kochałam. Jej jedyną i największą przyjemnością było zajmowanie się mną, moim wychowaniem. Jakież było nasze zdziwienie, kiedy mój ojciec oznajmił nam, że chcąc ulżyć słabemu zdrowiu mojej matki, przyjmuje do mnie za guwernantkę młodą, dystyngowaną wdowę, zasługującą na względy z powodu wielkich nieszczęść. Wdowa ta, pani Roland, przyjechała do nas objąć posadę guwernantki.

– Czy to ta sama pani Roland, z którą ojciec pani ożenił się wkrótce po pani ślubie?

– Ta sama.

– Była zapewne piękna?

– Bardzo miernej urody.

– Pewno bardzo wykształcona?

– Raczej sprytna, nic poza tym. Nie wiem, czemu mój ojciec, tak czuły na konwenanse, nie zrozumiał, że jej brak kwalifikacji na nauczycielkę łatwo wykryje istotną przyczynę jej pobytu w naszym domu. Matka zrozumiała wszystko i ubolewała nie nad niewiernością męża, lecz nad nierzędem domowym, wynikającym z takich stosunków, o których i ja mogłam się na koniec dowiedzieć.

– W jakim wieku był wtedy ojciec pani?

– Miał około sześćdziesięciu lat.

– I wierzył w miłość tak młodej osoby?

– Ojca mego za młodu zepsuty kobiety. Pani Roland, przez instynkt albo kierowana przebiegłymi radami...

– A któż mógł jej radzić?

– Zaraz Książęu opowiem. Ta kobieta, wiedząc, że starzy eleganci lubią komplementy, bo to im przypomina szczęśliwe czasy młodości, pochlebiała memu ojcu, chwaliła wyraz i piękność jego twarzy, elegancję, wdzięk w obejściu. A on miał sześćdziesiąt lat! Podziwiano zaw sze jego inteligencję. A jednak dał się złowić w te sieci!

Rudolf uśmiechnął się i rzekł:

– Jednego nie mogę darować ludziom śmiesznym: tego, że są źli... bo nie można się z nich śmiać do woli!

– O! Skoro uszczęśliwiła mojego ojca, nie żałowałabym się na panią Roland, ale nie mogę jej zapomnieć postępowania z moją matką... i tego, jak czynny udział brała w wydawaniu mnie za mąż – rzekła markiza po chwili wahania.

Rudolf spojrział na nią ze zdziwieniem.

– Pan d'Harville jest przyjacielem Książę – dodała markiza. – Doceniam wagę słów, które tylko co wymówiłam. Niezadługo uznasz, Książę, ich słuszność. Matka chciała oddalić ode mnie panią Roland; lecz ojciec się na to nie zgodził, przenieśliśmy się więc do osobnego skrzydła, a moja guwernantka została przy ojcu i przyjmowała gości jak pani domu... To tak bolało moją matkę, że zasłała. Sprowadzili jej lekarza, Włocha, poleconego przez panią Roland.

Tu oczy markizy napełniły się łzami.

– Wyznaję, że czułam do niego wstręt jedynie dlatego, że poleciła go ojcu pani Roland. Polidori był bardzo uczony. Miał około pięćdziesięciu lat. Twarz ohydna: jasnozielone oczy, garbaty nos...

– To on! Tak, to on! – zawołał Rudolf. – Czy Polidori teraz nie mieszka w Paryżu? – zapytał.

– Nie wiem. Ale on leczył także moją znajomą, księżnę de Lucenay...

– Księżnę de Lucenay!

– Mówiła mi dawniej, że otrzymuje od niego bardzo ciekawe i pełne polotu listy o zwiedzanych krajach. Bo podobno wiele podróżował. Lecz kiedy przed miesiącem znowu zapytałam o niego, zmieszała się i powiedziała, że już dawno nie słyszała o nim, że pewno umarł. Księżę go zna?

– Tak, na nieszczęście; ale nie przerywam, opowiadaj pani dalej o tym niegodnym człowieku, zdolnym do wszelkich zbrodni.

– Zbrodni? A moja matka skołała na jego rękę! Księżę, powiedziałeś mi zbyt wiele albo za mało! Ach, moje przeczucia!

– Przeczucia?

– Tak. Nie chciałam oskarżać niewinnego, ale teraz mogę powiedzieć wszystko. Przez pięć dni nie odstępowałam od łóżka chorej matki; na koniec piątego dnia wyszłam do ogrodu odetchnąć świeżym powietrzem. Wracałam ciemnym korytarzem, właśnie kiedy Polidori wychodził od pani Roland; nie widzieli mnie. Ona mówiła mu coś do ucha, a on jej odpowiedział: „Pojutrze”. Mówiła coś jeszcze, a on powtórzył: „Pojutrze, mówię pani, pojutrze!”

– Co to miało znaczyć?

– Co to znaczyło? Polidori powiedział te słowa w środę wieczorem, a w piątek skołała moja matka!

– Ach! To okropne!

– Pamiętałam tę straszną przepowiednię, lecz nie śmiałam obwiniać doktora. Po śmierci matki pani Roland rządziła domem. Chciałam zamieszkać w klasztorze, ale ojciec nie pozwolił mi. Musiałam zostać w jednym domu ze znieawidzoną i pogardzaną kobietą.

W Aubiers (tak się nazywały dobra mego ojca) pani Roland rozgościła się na dobre, zajęła nawet pokoje mojej matki. Z oburzeniem skarżyłam się ojcu na tak nieprzyzwoity postępek, lecz napomniął mnie surowo, że powinnam uważać panią Roland za drugą matkę. W trzy miesiące potem ojciec zdjął żalobę, mówiąc, że żalobę nosi się w sercu. Okazywał mi coraz mniej uczucia. Widywałam go tylko przy śniadaniu i obiedzie, a poza tym cały dzień mogłam jeździć konno z lokajem albo chodzić po lesie otaczającym zamek. Rzadko znajdowałyśmy się same z panią Roland, obie unikałyśmy podobnych spotkań. Raz mi tylko powiedziała: „Strzeż się, jeżeli zechcesz ze mną walczyć, zginiesz”. „Jak moja matka?”, odpowiedziałam. „Szkoda tylko, że nie ma Polidoriego, może by zapewnił panią, że to będzie pojutrze”. Wkrótce potem drobny wypadek rozstrzygnął mój los. Między obrazami zawieszonymi w salonie był i portret mojej matki. Pewnego dnia nie spostrzegłam go.

„Rozumiem”, rzekłam do niej oziębłe, „że pani przykro patrzeć na rysy mojej matki; nie należało jednak dlatego wyrzucać na strych portretu zacnej kobiety, która przez litość przyjęła panią do swego domu, gdyś była w nędzy”.

„Milcz!”, krzyknął na mnie ojciec.

„Pozwól sobie powiedzieć”, odparła Roland, „że nie mam żadnej wdzięczności dla twojej matki; nie lubiła mnie i mieszkałam tutaj wbrew jej woli”. Po czym, chcąc ratować sytuację, pani Roland udała, że mdleje.

Na drugi dzień ojciec rzekł: „Żeby nie powtarzały się podobne sceny jak wczorajsza, oświadczam ci, że po skończonej żalobie ożenię się z panią Roland. Ale przedtem ty powinnaś wyjść za męża, w posagu masz milion po matce, a już mnie proszono o twoją rękę, zajmę się tym zaraz, żebyś zaś przy gościach nie obrażała mojej przyszłej żony, zakazałem cię wpuszczać do sali jadalnej, chyba że będę tam tylko ja i pani Roland”.

Od tego czasu jedynie przy obiedzie widywałam ojca. Wszyscyśmy milczeli. Pani Roland wymyśliła nowy sposób dręczenia mnie: siadywała na krześle mojej matki, szyła na jej krosnach.

– Pojmuję, jaką to przykrość pani sprawiało. I nigdzie nie znajdowałaś pociechy? Nie miałaś komu powierzyć swoich cierpień?

– Nikomu; raz tylko poczciwy notariusz Dorval, który był obecny przy scenie z panią Roland, dał mi dowód prawdziwego współczucia. Zgodnie z rozkazem ojca nigdy nie schodziłam do salonu przy gościach, nie mogłam więc widywać Dorvala; lecz kiedyś wyszedł do ogrodu, znalazł mnie tam i rzekł: „Boję się, żeby mnie ojciec pani tu nie zobaczył, przeczytaj więc ten list, a potem go spal, to sprawa bardzo ważna dla pani”. I zniknął. W liście zawiadał mnie, że chcą mnie wydać za markiza d'Harville; że to młody człowiek, bogaty, bardzo wykształcony, przystojny, lecz już dwa razy rodzice jego narzeczonych zerwali bliskie małżeństwo.

– Istotnie – rzekł Rudolf – przypominam sobie teraz, mąż pani donosił mi, że dwa razy zerwano ułożone z nim małżeństwa z powodu interesów majątkowych.

Markiza odpowiedziała ze smutnym uśmiechem:

– Zaraz dowiesz się Księżę prawdy. W kilka dni potem pani Roland pojechała na tydzień do Paryża. Ojciec mój tęsknił bardzo. Po powrocie macochy nie posiadał się z radości.

„Dawno już”, powiedział mi, „myślałem, aby zapewnić ci przyszłość. Za miesiąc kończy się żałoba. Jutro przyjedzie tu markiz d'Harville; widział cię już kilka razy i prosi o twoją rękę. A jeżeli nawet nie wyjdiesz za mąż, ja i tak ożenię się zaraz po skończonej żałobie”.

„Rozumiem, mój ojciec: jeżeli nie wyjdę za mąż, ożenisz się, a mnie pozwolisz udać się do klasztoru”.

„Jak chcesz”.

„Nie mam nic przeciwko temu związkowi. Dowiedziałam się jednak, że markiz d'Harville dwa razy już zrywał małżeństwa”.

„Wiem, wiem”, przerwał mi ojciec. „Zerwanie to wynikało ze sporów majątkowych, honor markiza nie ucierpiał jednak przy tym”.

I pani Roland cieszyła się z tego małżeństwa, ona je skojarzyła. Wiedziała, dlaczego zerwano poprzednie małżeństwa z markizem, i właśnie dlatego wybrała mi go za męża.

– Jakież miała w tym cel? – zapytał Rudolf.

– Chciała się zemścić na mnie, wydając mnie na pastwę okropnych cierpień.

– Cierpień? – zdziwił się Rudolf.

– Zaraz się, Księżę, dowiesz. Markiz d'Harville przyjechał do nas; podobał mi się ze sposobu obejścia, z mowy, z twarzy. Wydawał się dobry, spokojny, ale smutny.

– Czemu go pani nie spytała o przyczynę dwukrotnego zerwania małżeństwa?

– Poznawszy jego dobroć i szlachetność, chciałam to uczynić, lecz wstrzymał mnie lęk, żeby mu tym nie sprawić przykrości. Im bardziej się zbliżał dzień ślubu, tym markiz był szczęśliwszy; kilka razy jednak wydawał mi się bardzo smutny. Spoglądał na mnie ze łzami, jak gdyby chciał coś wyznać. Strwożona, zapytałam o powód smutku, a on mi odpowiedział: „Daruj mi, pani, ale kiedym najszczęśliwszy, zawsze jestem smutny”. Po ślubie ojciec ucałował mnie czule, a pani Roland, ścisnąwszy mnie za rękę, rzekła: „Pomyśl czasem o mnie wśród szczęścia małżeńskiego, bo ja to małżeństwo skojarzyłam”. Wtedy nie rozumiałam jeszcze prawdziwej treści tych słów.

Wzruszenie markizy wzmagало się, gorączkowy rumieniec wystąpił na jej twarzy, mówiła jednak dalej rozzdzierającym głosem:

– Muszę wszystko powiedzieć, inaczej Księżę będzie mną pogardzał. Gdy pierwszy raz mąż mój wszedł do mego pokoju, był dziwnie podniecony i zmieniony. Nagle schwycił mnie za rękę i krzyknął przenikliwie. Chcę wydobyć rękę, błagam go, on nic nie słyszy; twarz mu się wykrzywiła konwulsyjnie, wywrócił oczy, na usta wystąpiła krwawa piana. Na koniec

wydobyłam rękę z zeszywniałych palców i zemdlałam, podczas gdy on cierpiał najokropniejszy paroksyzm konwulsji. Taka była moja noc poślubna! Zemsta pani Roland!

– Nieszczęsna! – zawołał Rudolf oburzony. – Rozumiem teraz, on jest epileptykiem! Co za okrucieństwo!

– Nie dość na tym! Nasza córka odziedziczyła po nim chorobę.

– Jak to? Więc jej słabość, bladość...

– Tak, to ta sama choroba, Książę. I lekarze powiadają, że nie można jej wyleczyć, że to choroba dziedziczna.

Markiza zakryła twarz rękoma, wyjawiała tę bolesną tajemnicę i nie miała odwagi powiedzieć więcej. Rudolf także milczał. Straszne i bolesne wyznanie markizy obudziło w nim smutne myśli. Człowiek polepsza z nakładem wielkich starań rasy koni, a sam rozszerza i dziedzictwem przekazuje swoje choroby, nie myśląc o poprawie rasy ludzkiej.

Po długim milczeniu Rudolf odezwał się:

– Teraz rozumiem smutek markiza.

– Wyrzuty sumienia go dręczą! – zawołała markiza. – Nigdy jeszcze zbrodnia nie była przygotowana z tak zimną krwią.

– Zbrodnia?

– Rozumie się! Jakże inaczej nazwać jego postępowanie ze mną? Zdradził zaufanie kobiety, połączył się z nią na zawsze, wiedząc, że jest dotknięty okropną chorobą. A nasze dziecko? Czyż to nie występek przekazać mu taką chorobę w dziedzictwie? Dlaczego markiz mnie wybrał? Nie z namiętnej miłości, ale z wyrachowania; wiedział, że mam majątek i nazwisko.

– Pani, miej dla niego choć odrobinę litości!

– Na litość zasługuje tylko moja córka, nieszczęsny owoc naszego małżeństwa! Jest skazana na życie samotne i pełne cierpień. Bo przecież ona nie wyjdzie za mąż. Nie chcę, żeby bolała nad swymi dziećmi, jak ja się nad nią męczyłam.

– Wyznaję, że macocha zemściła się okropnie, lecz poczekaj pani, i ją osiągnie zemsta. A nazajutrz po okropnej nocy cóż mówił markiz?

– Przyznał mi się ze szczególną prostotą, że dwa pierwsze małżeństwa zerwały rodziny jego narzeczonych, dowiedziawszy się o jego strasznej chorobie. Mimo to ośmielił się jeszcze raz. I takich ludzi nazywają uczciwymi, szlachetnymi!

– Lecz on panią kochał!

– Czyż dlatego, że kochał, miał mnie poświęcić swemu egoizmowi? Byłam tak udęczona, tak pragnęłam wydostać się co najprędzej z ojcowskiego domu, że może by mnie wzruszyło jego nieszczęście, gdyby mi się zwierzył z zupełną szczerością. Ja wierzyłam markizowi, a on mnie pierwszy niegodziwie zdradził. Ujął mnie jego głęboki, spokojny smutek. A smutek ten wpływał z przekonania, że jest nieuleczalnie chory.

– Lecz choćby był pani nieprzyjacielem, powinna byś się litować nad jego cierpieniami; wszak pani masz tak dobre, tak szlachetne serce.

– Czy mogę ulżyć jego cierpieniom? Kiedy ma atak, nic nie czuje, nie słyszy w dzikim szaleństwie, a potem wpada w zwierzęcą bezwładność. Kiedy moją córkę napadają te ataki, ja tylko całuję jej ręce i przeklinam sprawcę jej cierpień! Skoro się ma lepiej, znika i nienawiść do jej ojca, wtedy lituję się nad nim. Tak ciągle przechodzę od nienawiści do łez i rozpacz. Czy po to w siedemnastym roku życia wyszłam za mąż?

– Ale nie pani jedna cierpisz!

– Co Książę przez to rozumie?

– Wszyscy mają pani męża za najszcześniejszego, dlatego właśnie, że pani jesteś jego żoną... on jednak zasługuje na największą litość; któż ma życie bardziej gorzkie? Zawinił ciężko względem pani, lecz poniósł za to okrutną karę – kocha panią do szaleństwa, a wie, że musisz

mieć do niego niepokonaną odrazę. Chorowita, cierpiąca córka jest mu wiecznym, żywym wyrzutem sumienia. Nie dosyć tego; ciągle dręczy go zazdrość.

– Jak ja mu mogę przynieść ulgę? Mogę nie dawać powodów do zazdrości. Ale choćbym nikomu serca nie oddała, do niego i tak nigdy należeć nie będzie. On sam wie o tym dobrze; każde z nas żyje osobno, ale przy obcych ukrywamy to i nikomu jeszcze nie powierzyłam tej strasznej tajemnicy.

– Wierz mi, pani, że twoje zaufanie wynagradza mi tysiąckrotnie tę małą przysługę, którą miałem jej szczęście wyświadczyć. Proszę mnie pani o radę, lecz pozwolisz mi mówić otwarcie? Gdybyś się pani chciała zabawić w wyświadczenie miłosiernych uczynków, jestem pewny, że znalazłabyś w tym wiele radości i zaspokoila pragnienie swego serca. Rozumie się, że nie radzę, żebyś pani rozsyłała obojętnie, nawet z pogardą, hojną jałmużnę ludziom biednym, cierpiącym nędzę, zupełnie pani nie znanym, czasem nawet niegodnym dobrodziejstwa. Nie! Żeby w dobroczynności znaleźć zabawę, przyjmij, pani, tak jak ja, rolę dobrego czarodzieja, a przekonasz się, że niekiedy zajęcie to tak jest pasjonujące jak najciekawszy romans.

— Nigdy nie myślałam, żeby można zapatrywać się na dobroczynność w ten sposób – odpowiedziała z uśmiechem markiza.

– To odkrycie winienem obrzydzeniu do wszystkiego, co nudne. Gdybym miał tylko rozsyłać przez szambelana po kilkaset luidorów po cyrkułach Paryża, nie podobałoby mi się to. Lecz dobrze robić tak, jak ja to robię, to rzecz najzabawniejsza w świecie. Mówię najzabawniejsza, bo pod tym słowem rozumiem wszystko, co się podoba, zajmuje, przywiązuje. Jeżeli pani zechcesz wziąć udział w tego rodzaju zajęciach, sama zobaczysz, że nic nie jest bardziej pociągające, a czasem i zabawne. Ubrana jak można najskromniej, żeby pani nie poznali, wychodzisz z domu z bijącym sercem, ostrożnie wsiadasz do fiakra i spuszczasz story, żeby cię nikt nie widział, potem oglądasz się nieznacznie, wbiegasz do nędznego domku, zupełnie tak jak dziś rano, z tą tylko różnicą, że dziś rano myślałaś: „Zginęłam, jeżeli mnie poznają”, a teraz będziesz myślała: „Jeżeli mnie poznają, będą mnie błogosławić”. Lecz przez skromność będzie się pani starała najchytrzejszymi podstępami uniknąć wdzięczności.

– Książę wybawia mnie z wielkiego niebezpieczeństwa – zawołała markiza d'Harville wrzuszona. – Słowa księcia pobudzają we mnie nowe myśli, pokrzepiające nadzieje!

– Tym lepiej – odrzekł Rudolf. – Chciałem, żeby pani zapomniała o przeszłości i przekonała się, że można znaleźć wiele szlachetnych zatrudnień dla serca. Drogi do złego i dobrego są często jednakowe, różnica zachodzi tylko w celu. Jeżeli dobro będzie równie pociągające, równie zabawne jak zło, czemuż by przenosić zło nad dobro? Czy wie pani, dlaczego nad dobrego męża przenoszą najgorszego kochanka? Dlatego, że niebezpieczeństwo, strach, trudności, tajemnica rozplamieniają miłość. Spytano pewnego lowelasa: „Czemu nie żenisz się z kochanką, kiedy teraz owdowiała?” „Myślałem już o tym”, odpowiedział, „ale dokąd jeździłbym wieczorami?”

– To prawda – odpowiedziała markiza z uśmiechem.

– Jeżeli więc potrafię dla pani znaleźć wzruszenia, obawy, niepokoje, które tak panią pociągają, jeżeli obrócę na dobre wrodzoną pani skłonność do tajemnic i intryg, do ukrywania i podstępów, zamienię w szlachetne przymioty te wrodzone skłonności. Będziemy mieli schadzki, tajemnice, korespondencje, które powinny być ukryte przed wszystkimi, a nade wszystko przed markizem.

– Z radością i z wdzięcznością przyjmuję udział w tym tajemniczym spisku i zaraz pójdę do nieszczęśliwej rodziny, którą dziś mogłam pocieszyć tylko słowami; kiedy biegłam zmieszana po schodach, jakiś kulawy chłopak wyrwał mi z rąk woreczek.

– Jeżeli pani jest tak dobra, niech pani zostawi Morełów dla mnie. A nade wszystko proszę o przyrzeczenie, że nigdy nie wejdiesz do tego domu, tym bardziej że ja tam mieszkam.

– Pan tam mieszka? Pewnie jakiś dobry uczynek sprowadził Księcia do tego domu. Ale cóż zostanie dla mnie? Jaka rolę będę grała?

- Będiesz pani aniołem pocieszycielem, a jednocześnie, tylko proszę się nie obrazić, demonem zřeczności i podstępu. Bywają rany, których może dotykać tylko ręka kobiety.
- A kiedy będę mogła rozwinąć tę zřeczność? – zapytała niecierpliwie markiza.
- Niezadługo; może za pięć dni.
- To nieprędko! – rzekła naiwnie Klemencja.
- A tajemnica? A konwenanse? Ale może będę potrzebował pisać do pani. Co to za kobieta przyniosła mi dzisiaj list od pani?
- Dawna słuźąca mojej matki. O, ta na pewno nie zdradzi.
- Będę pisał na jej adres, a ona doręczy listy pani. Jeźeli pani zechcesz odpisać, proszę adresować: do pana Rudolfa na ulicy Temple, nr 17, i posłać list przez tę samą kobietę na miejską pocztę.
- Sama go odniosę, codziennie wychodzę na spacer.
- Co do pani córeczki – rzekł Rudolf, zmieniając nagle przedmiot rozmowy – mogę pani dać nadzieję wyleczenia jej. Mam doktora, mało znanego, lecz bardzo uczonego. Mówił mi kiedyś, że w Ameryce wyleczył kilku Murzynów z tej okropnej choroby.
- Markiza patrzyła na Rudolfa z niewypowiedzianą wdzięcznością.
- Wybiło wpół do dwunastej. Rudolf wstał.
- Niech pani raczy nie zapomnieć, że za cztery dni trzeba się wziąć do dzieła. Może nawet będzie pani musiała się przebierać za kogoś.
- Wracając do domu, Rudolf zastanawiał się nad tym, jakim sposobem zająć umysł i serce markizy i uchronić ją od nowych niebezpieczeństw miłości.

XLVII

Nędza. Dług

Jak sobie przypominamy, na poddaszu domu na ulicy Temple mieszkała nieszczęśliwa rodzina szlifierza drogich kamieni, Morela. Zaprowadzimy czytelnika do ich mieszkania. Godzina piąta rano. Na ulicy głęboka cisza jeszcze, ciemno, zimno, pada deszcz. Kawalek świecy, zatknięty w rozszczepione drewno, zaledwie oświeca małą izdebkę, ścieśnioną jeszcze do połowy pochyłością spuszczonego się dachu. Świeca stoi na warsztacie szlifierza, a obok niej miga garść brylantów i drogich kamieni nadzwyczajnej wielkości i najpiękniejszego blasku. Morel szlifował prawdziwe brylanty, a nie fałszywe, jak mówił swoim sąsiadom i jak powszechnie myślano. Dzięki tak niewinnemu kłamstwu mógł mieć u siebie brylanty, nie lękając się kradzieży. Tyle bogactwa, oddanego w ręce takiej nędzy, uwalnia nas od potrzeby wspominania o uczciwości Morela.

Szlifierz siedzi na drewnianym stołku bez poręczy. Znużony pracą, zimnem i długą bezsennością, opuścił na stół siwą głowę.

Knot świecy, długi i zwęglony, wskazuje, że Morel zasnął dość dawno, inni zaś mieszkańcy poddasza, a jest ich siedmioro, nie śpią wcale. Tak, w tej ciasnej izbie mieszka ośmioro ludzi. Pięcioro dzieci: najstarsze ma lat dwanaście, najmłodsze ledwie cztery; prócz tego jest tu ich chora matka i osiemdziesięcioletnia babka dotknięta pomieszaniem zmysłów.

Prócz ojca, zupełnie wycieńczonego pracą, nikt tu nie śpi, bo głód, zimno albo choroba odbierają sen. Rodzina ma tylko jeden materac i jedną kołdrę, a te zajmuje babka, w zwierzęcym egoizmie nie chcąc z nikim podzielić łoża.

Przy głównej ścianie leży na ziemi ów materac, a na nim staruszka dotknięta szaleństwem. Krótko ostrzyżone siwe włosy nie zakrywają czaszki. Brwi ma gęste nad zapadniętymi oczami; pod oczami i w kątach ust zbiegają się zmarszczki. Leży skulona, kolanami dotykając prawie brody, i drży z zimna pod za małą kołdrą. Z pościeli ziejie nieznośny zaduch. W głowach jej pościelania, przy tej samej ścianie leży siennik, służący za łożko dla pięciorga dzieci. W obu krańcach siennika wycięte są dwie dziury; dzieci wsunięte tamtędy w wilgotną i cuchnącą słomę mają z płótna siennika zarazem prześcieradło i kołdrę.

Najmłodsza córka, wyniszczona suchotami, oparła bladą, zsiniałą twarz o zziębniętą pierś starszej siostry, pięcioletniej dziewczynki, która na próżno rada by ją ogrzać w swych objęciach i pielęgnuje ją z niespokojną troskliwością. Dalej leży na słomie matka; już od kilku miesięcy osłabienie i trawiąca ją gorączka nie dają jej wstać z pościelania.

Oczy wszystkich mieszkańców poddasza, od babki aż do najmłodszego dziecka, bezwiednie zwracają się ku Morelowi, jedynej ich nadziei, jedynej podporze.

Wtem wariatka wstała z pościeli i cicho podeszła do świecy, okryta szczątkami kołdry jak całunem. Szła ostrożnie, jak dziecko chcące splatać figła. Zbliżyła się do świecy, zaczęła nad nią grzać ręce i przypatrując się ciekawie brylantom, tak przysunęła dłonie do ognia, że się sparzyła. Krzyknęła przeraźliwie.

Morel obudziwszy się, prędko podniósł głowę i spostrzegł przed sobą wariatkę.

– Co tobie? Czego chcesz, matko? – zapytał półgłosem. – Nie krzycz, obudzisz Magdalene i dzieci.

– Ja nie śpię, grzeję Adelę – rzekła starsza córka.

– Ja nie mogę spać z głodu – odezwał się starszy syn — wczoraj nie na mnie była kolej iść na wieczerzę do panny Rigoletty.

– Biedne dzieci! – westchnął Morel. – Myślałem, że przynajmniej śpicie!

– Bałam się ciebie obudzić – rzekła Magdalena – inaczej poprosiłabym cię o wodę; pić mi się chce, męczy mnie gorączka.

– Zaraz ci dam wody – odpowiedział Morel – tylko położę spać twoją matkę. Hej, nie ruszaj mi kamieni – zawołał na starą, która chciała porwać wielki brylant.

– To! To! – powtarzała wariatka, wskazując na błyszczący kamień.

– Wody – jęczała chora.

– Zaczekaj tylko chwilkę, nie mogę tak zostawić twojej matki, znowu mi zgubi brylant, jak przed rokiem. Bóg tylko wie, ile nas ten przeklęty brylant kosztował i ile nas jeszcze może kosztować. Felku, daj matce pić, jeśli nie śpisz.

– Mamo, woda w dzbanie zamarzała – zawołał Felek.

– To rozbij lód – odpowiedziała Magdalena.

– Nie potrafię.

– Mężu! – zawołała Magdalena niecierpliwie. – Stłucz lód w dzbanie i daj mi pić. Kiedy nie ma nic oprócz wody, dajcie mi jej przynajmniej, chyba nie chcesz, żebym umarła z pragnienia!

– To! To! – powtarzała stara, dobierając się do brylantów.

– Wiesz przecie – zawołała znowu Magdalena – że jej nie dasz rady, jeżeli nie nastraszysz batem; tylko tym można ją uspokoić.

Na trzask bata stara odskoczyła od stołu; potem zatrzymała się, mrużąc coś pod nosem i rzucając na Morela gniewne spojrzenia.

– Spać! Spać! – wołał, zbliżając się do niej i trzaskając znowu z bata. Stara pomału poszła do łóżka, grożąc mu pięścią. On zaś podszedł do samego materaca i jeszcze raz uderzył batem po podłodze. Wariatka głośno krzyknęła ze strachu, rzuciła się na posłanie i skuliła się na nim jak pies.

Przestraszone dzieci, myśląc, że ojciec bije babkę, wołały z płaczem:

– Tato! Nie bij babki! Nie bij!

– O mój Boże! Jak mi się chce pić! – powtarzała Magdalena.

Morel rozbił lód, zaczerpnął wody i podając żonie, powiedział:

– Zaczekaj trochę, woda bardzo zimna, może ci zaszkodzić.

– Tym lepiej, dawaj prędzej; jak umrę, to będziesz pilnował tylko wariatów i dzieci.

– Dlaczego tak mówisz? Nie zasłużyłem na to – rzekł smutnie Morel. – Nie martw mnie jeszcze bardziej, mam tylko tyle siły, ile mi koniecznie trzeba do pracy; jeżeli ty jeszcze zaczniesz mnie dręczyć, nie wytrzymam. A wtedy kto was będzie karmił? Nie o mnie tu chodzi, ale o was.

– Biedaku – odpowiedziała Magdalena z czułością – nie chciałam cię martwić. Chcę umrzeć, ale dlatego, że ani tobie, ani dzieciom na nic się nie zdam. Już półtora roku nie wstaję. O, jak mi się chce pić! Daj wody!

– Zaraz, ogrzeję ją trochę w ręku.

– Jakiś ty dobry! Ale mnie bardzo, bardzo, bardzo zimno. Morel zdjął kurtkę i został nagi po pas: nie miał koszuli.

– Mężu, zmarzniesz!

– Jak za bardzo zmarznę, znowu włożę kurtkę.

– A ta młoda dama, co tu kiedyś zajrzała i pytała, czy czego nie potrzebujemy, nie wróciła dotąd? – zapytała Magdalena.

– Może przyjdzie jeszcze – odpowiedział Morel – tak jej dobrze z oczu patrzy.

– Ale ty cały drzysz, włoż kurtkę i zgaś świecę, na co się ma darmo palić, już świta. Istotnie światło dzienne przebiło się przez śnieg okrywający okno i oświetliło izbę.

– Poczekam, aż będzie widniej, i wtedy wezmę się do roboty – rzekł Morel, siadając na sienniku żony – mam już tylko jeden fałszywy kamień do obrobienia.

– Falszywy kamień? A jakim sposobem ci się dostał?

– Pani Mathieu dała mi sześć falszywych kamieni i kazała obrobić tak samo, jak wpierw obrobiłem sześć prawdziwych.

— A czemu kazała te falszywe kamienie oszlifować tak samo?

— To dla jakiejś księżnej, która sprzedała prawdziwe brylanty i chce na ich miejsce mieć falszywe; pani Mathieu mówiła, że wielkie damy często tak robią.

— A ile ci pani Mathieu zapłaci za tę robotę? – spytała znowu Magdalena.

— Nie, przecież jeszcze jestem jej winien sto dwadzieścia franków.

— Nic ci nie zapłaci! A my już nie mamy ani jednego sous!

— Wiem o tym – odpowiedział Morel smutnie.

— Co zrobimy?

— Nie wiem.

— Widzisz, co to znaczy pracować dla faktorów; co innego mieć do czynienia z jubilerami. Ale ty zawsze dajesz się skubać! To twoja wina!

– Moja wina! – zawołał biedak, zniecierpliwiony wymówkami. – Przecież to twoja matka jest przyczyną wszystkich naszych nieszczęść! Gdybyśmy nie musieli zapłacić za brylant, który mi zgubiła, mielibyśmy zapas, mielibyśmy swoje tysiąc franków, cośmy musieli odebrać z kasy oszczędności, i nie byłibyśmy winni notariuszowi Ferrand tysiąc trzysta.

– I jego także nie chcesz prosić o pieniądze; prawda, że skąpiec, lecz można spróbować.

– Nigdy! Wolałbym umrzeć z głodu, niż go prosić. Nie wspominaj mi o tym człowieku, bo oszaleję.

– Tak, gniewaj się na niego, za to wsadzi cię do więzienia za weksel na tysiąc trzysta franków. Ja sama go nie cierpię, ale ma nas w ręku, trzeba więc....

– Poświęć mu naszą córkę! – krzyknął Morel gniewnym głosem.

– Ach! Boże, bądźże cicho! Dzieci nie śpią, mogą cię usłyszeć.

– Niech słuchają! – odpowiedział Morel ze strasznym uśmiechem. – Powtórz jeszcze, że ma nas w ręku, że może mnie wtrącić do więzienia, że trzeba mu oddać na pastwę Ludwikę. – Tu głośno zapłakał. – O, moje biedne dzieci! – zawołał ze łzami. – Moja dobra, śliczna Ludwika! Dlaczego jest taka ładna? Jej uroda to przyczyna wszystkich naszych nieszczęść. Gdyby nie jej śliczna buzia, notariusz nie pożyczyłby mi pieniędzy, a ja bym nie musiał teraz znosić jego umizgów do mojej córki.

– Co zrobimy, mężu? Notariusz powiedział Ludwice: „Jeżeli ode mnie odejdiesz, każe wsadzić do więzienia twojego ojca”. Ale ona jest uczciwa, wiesz sam.

– Tak, jest uczciwa, pracowita i dobra. Ile mnie to kosztowało, kiedy nam zginął brylant i ona musiała iść do służby. Ona musi służyć! Jest źle traktowana, poniżana, ona, z tak dumną naturą! Dlatego często żartem nazywaliśmy ją księżną. Jak umiała cię pielęgnować, rozweselać! Jak się opiekowała braćmi i siostrami! Na wszystko znalazła czas. Z Ludwiką przepadło całe nasze szczęście.

– Przestań, nie wspominaj mi o niej; rozdierasz mi serce! – rzekła Magdalena z płaczem.

– A kiedy pomyślę, że może ten stary poczwara... Ludwika jest uczciwa, ale jeżeli notariusz zagroził jej, że mnie każe wziąć do więzienia, może dla nas wszystko poświęcić. Na tę myśl tracę rozum.

– I kiedy pomyślisz, że jednym z tych brylantów, co leżą u ciebie na stole, można by zapłacić dług notariuszowi, odebrać od niego naszą córkę i na zawsze przy nas ją trzymać.

– Cóż to pomoże, choćbyś mi i tysiąc razy to samo powtarzała? Ma się rozumieć, że gdybym był bogaty, nie byłbym ubogi – odpowiedział Morel boleśnie i niecierpliwie.

Był tak uczciwy, że nawet nie posądzał żony o chęć kradzieży.

W tej chwili ktoś głośno zastukał w drzwi. Zdziwiony Morel wstał i otworzył. Dwóch ludzi weszło do izby. Jeden chudy, wysoki, z grubym kijem w ręku, o nikkczemnej twarzy. Miał na sobie zielony, wytarty surdut i pognieciony kapelusz; nazywał się Malicorne. Drugi – ni-

ski, gruby, o równie paskudnej twarzy – ubrany był z wyszukaną śmiesznością. Ten nazywał się Bourdin.

– Jak tu śmierdzi nędza i śmierć! – rzekł Malicorne.

– Prawda, wcale nie piżmem pachnie – odpowiedział Bourdin z pogardą. Zza przymkniętych drzwi widać było złośliwą i chytrą twarz Kulasa, który, poszedłszy za nieznajomymi, śledził ich i z uwagą przysłuchiwał się rozmowie.

– Czego chcecie? – zapytał na koniec zniecierpliwiony Morel.

– Szukamy Hieronima Morel – odpowiedział Bourdin.

– To ja.

– Jesteś Morelem, szlifierzem brylantów?

– Tak. Mówcie od razu, czego chcecie, albo wynoście się stąd.

– Boże! – zawołała przerażona Magdalena. – Mężu, krzyknij o pomoc.

W istocie Morel, widząc, że nieznajomi coraz bardziej się zbliżają, złął się i obiema rękami nakrył brylanty.

„Aha!”, pomyślał na to stojący za drzwiami Kulas, „mówili, że on szlifuje fałszywe kamienie! Gdyby były fałszywe, to by się tak o nie, nie bał. Trzeba to powiedzieć Puchaczcel!”

– Wynoście się albo zawołam o pomoc – rzekł Morel.

– Nie ty, ale my mamy prawo zawołać o pomoc. A teraz pofatygujesz się z nami do więzienia.

– Do więzienia? Ja? – zapytał Morel jak piorunem rażony.

– Tak, do więzienia, za długi.

I Malicorne przeczytał wyrok sądowy.

– A gdzie Ludwika? – zapytał Morel, nie słuchając wyroku. – Już jej nie ma u notariusza, kiedy mnie biorą do więzienia. Co się stało z Ludwiką. Gdzie się podziała?

– No, już, ruszaj z nami!

– Nie chodź, broń się! – wołała Magdalena. – Lepiej ich zabij! Ty nie możesz od nas odejść!

Morel, pochłonięty myślą o Ludwice, nic nie słyszał. Nagle na twarzy jego odbił się wyraz gorzkiej radości i zawołał:

– Ludwika porzuciła notariusza! Z ochotą pójde do więzienia. – Ale potem, obejrawszy się, dodał. – A moja żona, dzieci? Kto ich wyżywi?

– No, przedziej! Ubieraj się i chodźmy! – rzekł Bourdin.

– Dzieci – rzekła Magdalena – proście na kolanach tych panów, żeby wam nie zabierali ojca, który was żywi.

Mimo rozkazu matki przestraszone dzieci nie śmiały wyjść z pościeli. Na ten niezwykle hałas, na widok dwóch nieznajomych babka zawyla głucho, tuląc się do ściany.

Morel nie wiedział, co się dzieje koło niego; cios, co go uderzył, był tak straszny, tak niespodziewany. Stał blady, nieprzytomny, ręce mu obwisły, głowa opadła na piersi. Malicorne chwycił go za ramię. Na wpół nagie dzieci wybiegły z siennika i z głośnym płaczem rzuciły do nóg sług sądowych.

– Zmiłujcie się, nie zabierajcie naszego ojca!

Widok dzieci, drżących z zimna i strachu, wzruszył Bourdina mimo jego nieczułości i obycia z podobnymi scenami. Ale Malicorne wyrwał nogę z ich błagalnych uścisków i zawołał:

– Precz, żebraki!

Wtem starsza córka zawołała:

– Nie wiem, co jest Adeli, jest zupełnie zimna!

Biedne dziecko, jak zwykle suchotnicy, skonało spokojnie, bez jęku, wpatrując się tylko w starszą siostrę. Magdalena zrozumiała wszystko, krzyknęła rozdzierająco i chciała wstać, lecz nie mogąc utrzymać się na nogach upadła na podłogę. Morel, któremu ze strachu i rozpacz

włosy zjeżyły się na głowie, wstał osłupiały, trzymając na ręku trupa swojej córeczki. Patrzył na umarłą dziewczynkę okiem obłąkanym, suchym, krwią nabiegłym.

– Mężu, daj mi Adele! – krzyczała nieszczęśliwa matka.

Ogólne zamieszanie obudziło ciekawość babki. Przestała wyć, podniosła się z barłogu, zbliżyła się z wolna, wychyliła straszną głowę przez ramię szlifierza i przez chwilę przypartywała się trupowi wnuczki. Potem ziewnęła głucho, chrypliwie, jak zgłodniały dziki zwierzę, i rzuciła się na pościel, krzycząc:

– Jeść! Jeść!

Magdalena, równie ogłupiała jak Morel, zagrzebała ciało córki w słomę swojej pościeli, żeby je ogrzać, gdy tymczasem inne dzieci płakały głośno.

– No, słuchaj, bracie – rzekł Malicorne do szlifierza – córka ci umarła, to bieda, aleśmy wszyscy śmiertelni; my temu nie poradzimy ani też ty tu nic nie pomożesz. Musimy iść, chodź, chodź z nami; mamy jeszcze robotę.

Morel nie słyszał, co do niego mówiono.

– Muszę pochować dziecko, pochować! Za co? Nic nie mam. Skąd wezmę trumnę? Kto mi da na kredyt? O! Malutka trumienka dla czteroletniej kruszyny, to musi być tanie. Cha! Cha! – dodał, śmiejąc się okropnie. – Jak się dobrze złożyło! Mogłaby umrzeć w osiemnastym roku, w wieku Ludwiki, a dużej trumny nikt by mi nie dał bez pieniędzy.

– No, no, bez żartów – rzekł Malicorne do towarzysza – ten chudzielec gotów nam tu oszaleć, spójrz mu tylko w oczy. Masz to Mei teraz znowu baba wyje z głodu. Co za nędza! No, bracie, nie mamy czasu czekać; ponieważ nie możesz płacić, marsz do więzienia!

– Do więzienia! Pana Morel! – zawołała, wchodząc żywo na poddasze, młoda brunetka, świeża, rumiana i pełna życia.

– Ach! Panno Rigoletto – szlochały starsze dzieci – dobra panno Rigoletto! Ratuj naszego tatę; chcę go wziąć do więzienia, a mała siostrzyczka nam umarła.

– Adelka umarła? – zawołała ze łzami Rigoletta. – Ojciec do więzienia? To niemożliwe! – Patrzyła na wszystkich ze zdziwieniem i trwogą.

– Dajcie mi tylko czas do jutra, żebym mógł oddać brylanty pani Mathieu – błagał Morel.

– Weź je z sobą, zajdziemy do pani Mathieu, a jeżeli jej nie zastaniesz, złożysz je w kancelarii więzienia.

– Zostawcie mnie tylko do jutra! – powtórzył Morel ze łzami. – Muszę pochować córkę.

– E tam, tylko zasmuciłbyś się tym pogrzebem – odpowiedział Malicorne oziębło.

– Zasmuciłbym się. Prawda, a wy nie chcecie nikogo zmartwić – rzekł Morel z goryczą. – Lecz jedno słowo.

– No, mów, prędko! – zawołał Malicorne niecierpliwie.

– Kiedyście dostali rozkaz aresztowania mnie?

– Wyrok wydano już cztery miesiące temu, ale dopiero wczoraj polecono nam go wykonać.

– Wczoraj? A Ludwiki tu jeszcze nie ma. Gdzie się podziała? Co się z nią stało? – mówił Morel, układając brylanty w pudełku.

– No, ubieraj się, żwawo!

– Nie mam innego ubrania.

– Wyjdiesz w tych łachmanach?

– Słuchajcie – rzekł cicho Morel do sług sądowych – miejcie litość nade mną. Nie mam odwagi pożegnać się z żoną i dziećmi, serce by mi pękło. Powiedzcie głośno, że przyjdziecie za trzy albo cztery dni, i wyjdźcie, a ja potem wyjdę za wami na schody. Tak przynajmniej nie będę musiał się żegnać.

– Dobrze, ale nie daj na siebie długo czekać.

Kulas zbiegł na dół, kiedy dwaj mężczyźni wychodzili od Morela.

– Słyszysz, Magdaleno? – rzekła Rigoletta. – Męża nie wzięli; ci ludzie już poszli.

– Słuchaj, mężu, weź jeden wielki brylant, nikt się o tym nie dowie, a ocalisz nas wszystkich – mówiła Magdalena w malignie – i Adelkę ogrzejemy, i nie umrze.

Morel, korzystając z chwili, kiedy nikt na niego nie zważał, wyszedł na schody. Tam czekali na niego słudzy sądowi.

– No, chodź, już dawno czas!

– Przez litość, jeszcze chwilkę.

W tej chwili na schodach odezwał się dźwięczny głos: – Ojcie mój, ojcie!

– Bogu dzięki, nie spóźniłam się – mówiła dziewczyna, podchodząc bliżej.

– Nie bój się, panienko – odezwał się z dołu świszczący, piskliwy głos – ja tu będę stale z miotłą. Nie wyjdą stąd, póki się z tobą nie rozmówią.

– Ludwika! Bóg pozwolił mi jeszcze z nią się pożegnać. To ty, Ludwiko? Jakaś ty błada! Co ci jest?

– Nic, nic, prędko biegłam. Oto pieniądze – rzekła, oddając woźnemu Malicorne rulon luidorów.

– To wiedziałaś?

– Wiedziałam. Ale teraz jesteś wolny, chodźmy uspokoić matkę.

– Zaczekaj, muszę z tobą pomówić – rzekł Morel zastanawiając się, jak by ją zawiadomić o śmierci siostry.

– Zaraz, zaraz – zawołał Malicorne – tu mamy tylko sześćdziesiąt pięć luidorów, to jest tysiąc trzysta franków.

– Wszak tylko tyle winieneś, ojcie? – zapytała zdziwiona Ludwika.

– Tyle – odpowiedział Morel.

– Ale – rzekł Malicorne – weksel wprawdzie jest na tysiąc trzysta franków, lecz jeszcze kosztą sądowe: sto franków.

– O mój Boże! – zawołała Ludwika. – Myślałam, że to tylko tysiąc trzysta franków. Weźcie to, później wam wszystko zapłacę.

– Nie! Zaraz płac wszystko albo do więzienia.

– Zmiłujcie się nad nami!

– Znowu krzyk! O, hołota! Ruszaj albo cię poprowadzę siłą.

– Biedny ojciec! Myślałam, że przynajmniej go uwolnię.

– Nie! Nie! Nie ma sprawiedliwości na ziemi! – krzyknął Morel, z rozpaczą załamując ręce.

– Jest sprawiedliwość! Bóg zawsze lituje się nad dobrymi, którzy cierpią – odezwał się czyjś dźwięczny, silny głos.

To Rudolf stanął przed Morelem. Był blady i wzruszony. Wyjął z kamizelki trzy bilety bankowe i oddając je, rzekł do Malicorne'a:

– Masz tu tysiąc pięćset franków, a tej pannie oddaj jej złoto. Zdumiony sługa sądowy wziął banknoty i przejrzał je; potem schował do kieszeni i obejrzawszy Rudolfa od stóp do głowy, powiedział:

– Pieniądze nie są fałszywe, ale skąd je pan masz? Należą do pana? Rudolf był ubrany bardzo skromnie i cały okryty kurzem, bo tylko co wyszedł ze schowka pana Pipelet.

– Powiedziałem ci, żebyś oddał pieniądze tej pannie – odpowiedział surowym i rozkazującym głosem.

Malicorne rzucił weksel i wyrok pod nogi Morelowi.

– Podnieś! Bądź grzeczny, kiedy ci płacą – rzekł Rudolf i zatrzymując go jedną ręką, drugą wskazał mu papiery.

Malicorne, widząc, że nie podoła takiemu przeciwnikowi, podniósł z pokorą papiery i oddał Morelowi. Potem razem ze swoim towarzyszem szybko zbiegł po schodach.

Pani Pipelet zamierzała zemścić się za siebie i za Rudolfa. A ponieważ niosła właśnie rosół dla rodziny Morełów, zawołała z bohaterskim uniesieniem:

– Długi Morela już zapłacone, obejdzie się bez mego rosołu! Hej tam! Strzeżcie się tam na dole!

I nachyliwszy się przez poręcz, wylała rosół na uciekających.

– Do stu piorunów! – zawołał Malicorne. – Ostrożnie, babo!

– Alfredzie! – krzyczała pani Pipelet na całe gardło. – Miotłą ich! Miotłą!

Kiedy stróżka mściła się na przedstawicielach władzy, Morel padł na kolana przed Rudolfem.

– Ocalił nam pan życie! Komu zawdzięczamy tę niespodziewaną pomoc?

– Bogu! Widzisz, że zawsze lituje się nad uczciwymi ludźmi.

XLVIII

Ludwika

Ludwika, córka Morela, była dziewczyną uderzająco piękną; wysmukła i gibka, miała rysy regularne i szlachetne jak Juno starożytna, a wdzięczne ruchy i wyniosły wzrost łowczym Diany. Tylko Rudolf zauważył, że Ludwika pomimo oswobodzenia ojca była niezwykle blada i jakby nieprzytomna. Aby zupełnie uspokoić Morełów co do przyszłości, a zarazem wytłumaczyć hojność mogącą odkryć jego incognito, Rudolf wyprowadził szlifierza do sieni i powiedział mu:

- Wczoraj rano była u was młoda dama?
- Tak, panie, i zdawała się przejęta litością nad naszym stanem.
- Po Bogu jej winniście wdzięczność, nie mnie.
- Czy być może, panie? Ta dama...
- To ona was ocaliła. Często nosiłem do niej towary; przedwczoraj, kiedy wynajmowałem tu pokój na czwartym piętrze, dowiedziałem się od stróżki o waszej nędzy.
- Cnotliwa, dobra pani!
- Powiedziałeś Magdalenie: „Gdyby bogaci wiedzieli!” Nieprawda? Od dziś rana, od godziny szóstej, byłem ukryty w komórce stykającej się z waszym poddaszem. i wszystko słyszałem, pocziwy i godny człowieka.
- Mój Boże! Ale skąd panu przyszło na myśl, żeby tam pójść?
- Chciałem wszystko widzieć, wszystko słyszeć bez twojej wiedzy. Odźwierny wspomniiał mi o tej komórce. Mówił, że mogę tam składać drwa. Dziś rano wszedłem tam, zostałem godzinę i przekonałem się, że jesteś człowiekiem najuczciwszym w świecie, znoszącym nieszczęście z mężną rezygnacją. Już miałem wyjść z ukrycia, żeby cię uwolnić od komorników, gdy usłyszałem głos twojej córki. Chciałem jej zostawić przyjemność przyniesienia ci pomocy. Na nieszczęście ogrom kosztów prawnych pozbawił Ludwikę tej słodkiej usługi; wtedy wyszedłem.
- Czy być może! Lecz przynajmniej, panie, niechaj wiem, jak się nazywa? Jak się nazywa ten anioł dobroci?
- Powiem ci nazwisko tej pani pod jednym warunkiem: żebyś go nikomu nie powtórzył.
- Klnę się na wszystko, że nie powtórzę.
- Nazywa się ona markiza d'Harville.
- Nigdy nie zapomnę! Ona to ocaliła moją żonę, moje dzieci! Nie wszystkie jednak. Biedna Adela! Już nigdy jej nie zobaczymy. – I Morel otarł łzy.
- Mam duży, jasny pokój – podjął Rudolf – przenieście się tam z całą rodziną, póki ciało Adeli będzie stać w waszej izbie. Poprosimy księdza. Wszystko to poruczę pani Pipelet.
- Ale na co zabierać panu pokój? Teraz, kiedy nie boję się już więzienia, moje poddasze wyda mi się pałacem, zwłaszcza że Ludwika zostanie z nami. Nagle Morel zamyślił się.
- O! A jeżeli Jakub Ferrand... jeżeli Ludwika!...
- Bądź spokojny – odpowiedział Rudolf – gdyby twoja córka uległa jego chęciom, nie każałby cię brać do więzienia. Wiem dobrze, że to zły człowiek. Ale miej nadzieję, że będziesz pomszczony.

W tej chwili pokazała się w drzwiach izby Morela Rigoletta.

– Moja sąsiadko – rzekł jej Rudolf – prawda, że pan Morel dobrze zrobi, jeżeli wprowadzi się do mego pokoju, nim mu jego nie znana dobrodziejka nie upatrzy przyzwoitego mieszkania?

– Jak to!... Pan byłby tak dobry?

– Tak jest, ustąpię mu mieszkania, ale pod warunkiem, który zależy od pani.

– Jestem gotowa na wszystko.

– Muszę zaraz skończyć rachunki dla mego pana. Pozwól mi zająć się tym w twoim pokoju, nie będę ci tam przeszkadzał. Jeżeli panienka pozwoli, Morel tymczasem przy pomocy państwa Pipelet może się przenieść do mego mieszkania.

– Dał pan dobry przykład. I ja także pomogę sąsiadom. Mój stół jest na pańskie usługi.

– Sąsiadko, proszę, nazywaj mnie po prostu sąsiadem.

– Doskonale! Bo przecież jest pan moim sąsiadem.

Wtem jedno z dzieci zawołało Morela do żony. Szlifierz wbiegł prędko do izby.

– Teraz, moja sąsiadko, chcę jeszcze prosić o jedną rzecz. Jestem pewny, że z pani świetna gospodyni. Czy nie można by zaraz kupić wszystkiego, czego będzie potrzebował Morel z rodziną?

– Można – odpowiedziała Rigoletta po chwili namysłu – ale na to trzeba dużo pieniędzy. Pięćset albo sześćset franków.

– Tylko tyle? Ale pewno dużo czasu trzeba, aby zrobić zakupy?

– Wcale nie; Temple jest stąd o dwa kroki; tam można dostać wszystko.

– Co to jest Temple?

– Nie wiesz, co to jest Temple, sąsiedzie? Przecież tam biedni ludzie kupują wszystko, najlepsze rzeczy, prawie za bezcen! Nigdzie nic lepszego nie znajdziesz. Jak się cieszę! Będzie mi się zdawało, że za moje własne pieniądze kupuję wszystko dla biednego Morela. Poczekaj chwilę, sąsiedzie, tylko włożę szal i czepek i pójdziemy.

– A ja tymczasem wezmę się do swoich rachunków.

– Dobrze. Zobaczysz mój pokój – rzekła z dumą Rigoletta – już sprzątnięty. – Lekko zbiegła po schodach, a Rudolf wszedł do swego mieszkania.

Przypominamy tutaj czytelnikowi, że tylko Rigoletta wiedziała, gdzie mieszka Franciszek Germain, syn pani George. A Rudolf chciał za wszelką cenę wydobyć z niej tę tajemnicę.

Na wspólnej przechadzce do Temple zamierzał obudzić w niej większe zaufanie i zacieśnić znajomość. Chciał się też rozerwać; śmierć Adeli zasmuciła go, pamiętał bowiem, że i jego córka umarła w tym wieku. Istotnie, Gualeza była w wieku Adeli, kiedy ją gospodyni Jakuba Ferrand oddała Puchaczce na wychowanie.

XLIX

Rigoletta

Rigoletta była prawie w jednym wieku z Gualezą, swoją dawną towarzyszką więzienia. Te dwie dziewczyny tak się jednak różniły od siebie, jak śmiech różni się od łez, a beztroska od ponurych myśli. Jedna subtelna, wrażliwa, nieuleczalnie zraniona wyrzutami sumienia, a druga żywa, wesola, szczęśliwa, prozaiczna, choć dobra i litościwa.

Rigoletta, bynajmniej nie egoistka, знаła tylko cudze troski, pomagała cierpiącym ze wszystkich sił, całą duszą; ale, przyniósłszy im pomoc, zaraz zapominała o nich. Często zdarzało jej się wśród głośnego śmiechu rozplakać się, a nie mniej często wśród szczerych łez zanosila się od śmiechu. Jako prawdziwa córka Paryża, wołała hałas od ciszy, ruch od spoczynku, grzmiące dźwięki orkiestry od łagodnego szmeru wiatru, zgiełk paryskich ulic od spokojnej samotności wsi. Zawsze przekładała błoto paryskich ulic nad kwitnące łąki. Za żadne skarby nie odstąpiłaby od przyjętego zwyczaju wychodzenia w niedzielę na przechadzkę ze swoim sąsiadem. Bez ceremonii i skrupułów przyjmowała od niego obiad w restauracji na bulwarze Temple i bilet na galerię do teatru na bulwarach.

Miała lat osiemnaście niespełna, wzrost średni, prawie mały, lecz tak ładnie była zbudowana, że wydawała się uosobieniem wdzięku; gdyby była bodaj o cal wyższa, straciłaby na tym.

Rudolf widywał dotąd Rigolettę tylko w ciemnej izbie Morełów i na jeszcze ciemniejszych schodach; i dopiero kiedy wszedł cicho do pokoju gryzетки, oświetlonego dwoma dużymi oknami, zobaczył jej świeżą buzię i stanął zdumiony.

Nie wiedząc, że Rudolf już jest w pokoju (bo ciągle jeszcze stał przy drzwiach), gryzетка postawiła nogę na stołku i nachyliła się, żeby zasnurować bucik. Rudolf zobaczył białą jak śnieg pończochę i kształtną nóżkę. Dziewczyna włożyła w tym dniu swój najlepszy czepek i najładniejszy fartuszek, żeby nowy sąsiad nie wstydził się iść z nią do Temple. Bo mniemany kupiec podobał jej się bardzo. Okazał przy tym tyle litości dla Morełów, tak wspaniałomyślnie odstąpił im mieszkanie, słowem, czy z powodów czysto moralnych, czy też dla swojej pięknej męskiej postawy, Rudolf, nie wiedząc nawet o tym, zaskarbił już sobie zaufanie Rigoletty.

Przypatrywał się ciekawie pokojowi: przekonał się, że pani Pipelet nie przesadziła, chwając czystość i porządek w gospodarstwie Rigoletty. Był to pokoik ubogi, ale miły i ładnie urządzone. Okna i łóżko miały perkalowe, zielone firanki z wełnianą frędzlą; uszyła je i zawiesiła sama Rigoletta. W dwóch białych szafach, stojących przy łóżku, mieściło się za szkłem całe gospodarstwo gryzетки, a w pokoju nie było widać ani konewki, ani naczyń kuchennych, ani nawet miotły. Wszystkie meble – komoda, cztery krzesła, duży stół do prasowania i roboty – były z orzechowego drzewa. Na jednym oknie klatka z dwoma kanarkami, wiernymi, nieodstępnyimi towarzyszami Rigoletty.

Gryzетка spostrzegła Rudolfa, pogrążonego w zadumie, i nie zmieniając pozycji, rzekła:

– Ach, już jesteś, sąsiedzie?

– Tak – odpowiedział Rudolf – wszedłem i podziwiałem twój pokoik. Bo mieszkasz, sąsiadko, jak królowa.

– Cóż robić? To mój jedyny zbytek. Nigdy nie wychodzę z domu, niechże mi przynajmniej w domu będzie dobrze. Miałam czterysta dwadzieścia franków, gdy wyszłam z więzienia; prawie wszystko wydałam na urządzenie pokoju.

- Gdy wyszłaś z więzienia? Byłaś więc w więzieniu?
- O! To długa historia. Proszę nie myśleć, że siedziałam tam za coś złego.
- Wcale tego nie myślę.
- Po choleryze zostałam sama jedna na świecie; miałam wtedy może z dziesięć lat!
- A przedtem u kogo byłaś?
- U bardzo dobrych ludzi; lecz oni właśnie poumierali na cholere. Wszystko, co mieli, sprzedano na spłacenie ich drobnych długów, a ja zostałam bez opieki. Nie wiedząc, co robić, poszłam na odwach naprzeciwko naszego domu i powiedziałam do żołnierza stojącego na warcie: „Mój panie żołnierzu, rodzice mi umarli, zostałam sama jedna, nie mam z czego żyć, co mam teraz robić?” Na to nadszedł oficer i odesłał mnie do komisarza; ten posłał mnie do więzienia, jako włóczęgę. Wyszłam stamtąd po skończeniu szesnastu lat.
- A twoi rodzice?
- Nie znałam ojca, a matka umarła, kiedy miałam zaledwie sześć lat. Dobrzy ludzie, o których panu mówiłam, mieszkali koło nas, a nie mając dzieci, wzięli mnie do siebie. Stary Gretu był malarzem pokojowym.
- Czy to był bogaty rzemieślnik?
- Jak każdy; miał robotę, to był bogaty, nie miał, to biedny! Ale za to zawsze i on, i żona byli weseli. Na całej ulicy nie było drugiej takiej pary; wiecznie tylko śmiechy, żarty, śpiewy, a przy tym najlepsi i najuczynniejsi ludzie w świecie. Gretu, skoro tylko wrócił z roboty, ciągle się śmiał, żartował, dokazywał jak dziecko, bawił się ze mną, jakby był moim rówieśnikiem, a i jego żona strasznie mnie pieściła.
- A nigdy się nie kłócili?
- Nigdy a nigdy. Przez niedzielę, poniedziałek, a czasem wtorek trwała hulanka i zawsze i wszędzie brali mnie z sobą. Gretu był doskonałym rzemieślnikiem; kiedy chciał, zarabiał dużo pieniędzy. Pamiętam, że kiedy nie było w domu nic oprócz chleba i wody, Gretu brał z biblioteki...
- Miał bibliotekę?
- Tak nazywał pudełko, w którym chował rozmaite zbiory piosenek, wszystkie kupował i umiał na pamięć. Kiedy więc mieliśmy tylko chleb i wodę, brał z biblioteki starą książkę kucharską i pytał nas: „Co będziemy jedli? Może to? A może tamto?” Czytał nazwy najlepszych potraw, a każde z nas wybierało sobie jedną. Gretu brał pusty garnek i wśród tysiącznych żartów, z najpociesznieszymi minami udawał, że kładzie wszystko, co trzeba, do garnka; my tymczasem zajadaliśmy spokojnie suchy chleb i śmieliśmy się jak wariaci.
- Czy ci szczęśliwi ludzie mieli długi?
- Nigdy! Były pieniądze, to hulanka, nie było, to suchy chleb.
- I nigdy nie myśleli o przyszłości?
- Po co było o tym myśleć? Oj, ale zagadałam się! Proszę, sąsiedzie, podaj mi szal i przypnij go tu pod kołnierzykiem tą dużą szpilką. Trzeba iść.
- Rudolf włożył szal na zgrabne ramiona Rigoletty i czekał dalszych rozkazów.
- Teraz, sąsiedzie, podnieś trochę kołnierzyk, przypnij pod nim szal do sukni, tylko do brze, a uważaj, żebyś mnie nie ukłuł.
- Dla wypełnienia tego rozkazu Rudolf musiał pochylić się do białej szyi, od której odbijały czarne włosy. Pochylił się tak blisko, że gryzетка krzyknęła.
- Sąsiedzie, już nigdy pewno cię nie poproszę, żebyś mi przypinał szal.
- Daruj, moja sąsiadko, jestem taki niezgrabny.
- Przeciwnie, mój panie, nawet aż nazbyt zgrabny, na to się właśnie żalę. Daj rękę i chodźmy, ale bądź grzeczny, bo się pogniewamy!
- W istocie, sąsiadko, nie moja wina; twoja szyja jest taka biała, że dostał jakiegoś zawrotu głowy, mimo woli nachyliłem głowę i...

– Dobrze, dobrze! Na drugi raz nie dam powodu do takiego zawrotu głowy – odpowiedziała Rigoletta, grożąc mu palcem.

Zeszli razem na podwórze. Rudolf zajrzał jeszcze do izby stróża i rzekł:

– Przyślę tu rzeczy dla Morela, bądź tak dobry, pomóż zanieść je do mego pokoju.

– Niech pan będzie spokojny, wszystko się zrobi.

– A potem – dodał Rudolf – trzeba wezwać księdza do zmarłej córki Morelów, spisać akt zejścia i sprawić pogrzeb. Tu masz pieniądze.

W tej chwili wszedł człowiek, otulony płaszczem aż po oczy, i zapytał, czy lichwiarka, stara Burette, jest w domu.

– Przyszedł pan z Saint-Denis? – zapytał Pipelet.

– Tak, w godzinę i kwadrans.

– Dobrze; idź pan na górę.

Nieznamomy spiesznie wbiegł na schody.

– Cóż to znaczy? – zapytał Rudolf.

– Coś się tam dzieje u starej Burette, ciągle to przychodzą, to wychodzą. Dziś rano powiedziała mi: „Pytaj każdego, kto tylko do mnie przyjdzie: «Czy pan przyszedłeś z Saint-Denis?» I puszczaj tylko tych, którzy odpowiedzą: «Tak, w godzinę i kwadrans»”.

– A to zupełnie jak wojskowe hasło! – rzekł Rudolf z ciekawością.

– Zupełnie, panie; dlatego też powiedziałem sobie: coś się tam dzieje u matki Burette! Nie mówię już o tym, że Kulas, obrzydły łobuz, służący pana Cezara Bradamanti, wrócił dopiero o drugiej w nocy z jednooką staruchą, którą nazywają Puchaczką. Baba przesiedziała u matki Burette do czwartej w nocy, fiakr czekał na nią na dole. Skąd ona przyjechała? Po co się włóczy o tak późnej godzinie? Zadawałem sobie te pytania, ale nie mogłem znaleźć odpowiedzi – dodał Pipelet z godnością.

– I ta kobieta, którą nazywasz Puchaczką, odjechała fiakrem o czwartej rano? – zapytał Rudolf.

– Tak, panie, i pewno wkrótce wróci, bo matka Burette powiedziała mi, że ją mogę wpuścić nie pytając.

Rudolf słusznie domyślał się, że Puchaczka knuje jakąś nową zbrodnię, ale nigdy by nie odgadł, jak dalece zbrodnia ta dotyczyła jego!

Gdy wychodzili, we drzwiach spotkali Anastazję, wracającą z miasta; dźwigała ciężki kosz z jedzeniem.

– A to mi pięknie, doskonale! – zawołała, spoglądając ze znaczącym uśmiechem na sąsiada i sąsiadkę. – Już się prowadzicie pod rękę. Dobrze sprawy idą, młodość musi wziąć swoje. Ładna dziewczyna i ładny chłopiec!

Rudolf wziął Rigolettę pod rękę i wyszedł z nią na ulicę.

L

Budżet Rigoletty

Po śnieżnej nocy nastąpił wietrzny ranek; ulica, zwykle błotnista, była prawie sucha. Rigoletta i Rudolf szli do ogromnego, dziwnego bazaru, zwanego Temple. Gryzетка bez ceremonii opierała się na ręku swego kawalera, jakby od dawna i dobrze go znała.

– Jaka zabawna ta pani Pipelet ze swoimi domysłami! – rzekła do Rudolfa.

– A mnie się zdaje – odparł Rudolf – że ona dobrze mówi. Młodość musi wziąć swoje! Wiwat miłość! I ja myślę tak jak ona. Mogę się więc spodziewać?

– Spodziewać się? Czego?

– Że mnie będziesz kochać.

– Już i tak pana kocham.

– Doprawdy?

– Ma się rozumieć. Jesteś dobry, wesoły; choć ubogi, robisz, co możesz, dla biednych Morełów, starasz się dla nich o wsparcie u ludzi bogatych. Czy nie dosyć powodów, aby cię kochać. Ach! Patrz no, jakie ładne wazony i stołowy zegar! Kupię je sobie za jakie pięć lat, jak nabieram pieniędzy.

– Zbierasz pieniądze, sąsiadko? A ile zarabiasz?

– Co najmniej półtora franka na dzień, a czasem i dwa, ale zawsze liczę tylko na półtora, to bezpieczniej, i stosownie do tego układam swoje wydatki.

– Ale jak można żyć za półtora franka dziennie?

– O, to bardzo proste! Powiem panu, jak prowadzę rachunki. Nauczysz się czegoś, bo mi wyglądasz na rozrzutnika. Więc tak: cztery sous na funt chleba, dwa sous na mleko, cztery sous na warzywo w lecie albo na owoce i sałatę w zimie, to już dziesięć sous; trzy sous na oliwę i ocet do sałaty, dwa na czystą wodę, o, bo ja się kocham w wodzie, to już i całe piętnaście sous. Dodaj jeszcze dwa albo trzy sous na tydzień na pożywienie dla ptaszków, ot i wszystko.

– Nigdy nie jadasz mięsa?

– Skądże znowu, czyż mnie stać na mięso?! Funt kosztuje dziesięć sous!

– A suknie, trzewiki, czepki? Powiedz wszystko. To tylko, żeby mnie pouczyć.

– Czepki sama sobie robię i niewiele mnie kosztują, bo kładę je tylko wtedy, gdy wychodzę z domu; suknie i trzewiki kupuję w Temple. Nie masz pojęcia, jakie tam wszystko tanie.

– Moja sąsiadko, choć wyglądasz na roztrzepaną, jesteś, jak widzę, bardzo porządna i rozsądna.

– Cóż robić? Człowiek sam na świecie, musiałam sobie urządzić sama, jak to mówią, swoje gniazdeczko. A poza tym już zebrałam trzy franki i dziesięć sous.

– I co się z nimi stało?

– Już ich nie mam. Ostatnio Morelowie byli tacy biedni, że mi wstyd było trzymać w komodzie bez użytku trzy franki i pożyczyłam je Morelowi, to jest pożyczyłam, żeby go nie obrazić, bo najchętniej tobym mu je dała.

– Rozumie się, sąsiadko, że ponieważ teraz będą się dobrze mieli, więc ci ten dług oddadzą.

– Pewnie, i rada go odbiorę, to już będzie na zegar na kominek; ciągle mi to chodzi po głowie.

– Trzeba jednak pomyśleć i o przyszłości.

– O przyszłości?
– Gdybyś na przykład zachorowała.
– Zachorować? Ja? – zaczęła się śmiać. – Czy wyglądam na chorą?
– Nigdy nie widziałem bardziej rumianej i świeżej twarzy.
– A więc skądże panu przyszło na myśl, że mogłabym chorować? W osiemnastym roku i przy moim sposobie życia czy to możliwe? Zimą i latem wstaję o piątej rano, kładę się spać o dziesiątej albo jedenastej, jem do syta, na to wprawdzie niewiele trzeba.
Rudolf, uderzony tą ślepą i radosną wiarą w przyszłość, wyrzucał sobie, że ją chciał naru-
szyć. Ze strachem pomyślał, że jednomiesięczna choroba mogłaby zniszczyć całe to szczęście i spokój.

– A więc, sąsiadko – rzekł do gryzетки – niczego nie pragniesz?
– Niczego.
– Zupełnie?
– No, chciałabym mieć zegar i wazon do ustawienia na kominku i będę je miała, choćby mi przyszło nocami pracować; prócz tego od dzisiaj niczego nie pragnę.
– Od dzisiaj?
– Bo wczoraj jeszcze chciałam mieć dobrego i miłego sąsiada, żeby z nim chodzić co nie-
dziela na spacer albo do teatru. Pójdiesz ze mną w niedzielę na spacer do rogatek albo na bulwary? Ten jeden dzień mam wolny.
– Naturalnie. A latem będziemy jeździć za miasto.
– O nie! Ja nie cierpię wsi, tylko Paryż lubię. Dawniej parę razy jeździłam do Saint-
Germain, ale to tylko, żeby zrobić przyjemność mojej przyjaciółce z więzienia; nazywali ją
Gualezą. To bardzo dobra dziewczyna.

– Co się z nią stało?
– Nie wiem, wydała wszystkie pieniądze zebrane w więzieniu. Nim dostałam robotę, czę-
sto z nią wychodziłam. W niedzielę więc będziemy chodzić po Paryżu. Nie będziesz się mnie
wstydził. Nieraz mężczyźni obejrzą się i powiedzą: „O, jaka ładna!” A kobiety znowu będą
mówiły: „Istotnie, piękny mężczyzna! Tak mu dobrze z czarnymi wąsami!” A ja zupełnie się
będę z tym zgadzać: przepadam za wąsami. Na nieszczęście pan Germain nie nosił wąsów, bo
był w biurze u notariusza. Cabrion miał wąsy, ale żółte, jak i brodę, a ja nie cierpię dużej bro-
dy; prócz tego za wiele dokazywał po ulicach i zbyt męczył biednego pana Pipelet. Przed Ca-
brionem miałam sąsiada pana Giraudeau; był przystojny, ale zezowaty.

Rudolf ciekawie słuchał jej szczebiotania i pytał sam siebie, co też powinien myśleć o cno-
cie Rigoletty. To wydawało mu się, że dziewczyna żyła z sąsiadami tylko jak z braćmi, jak z
towarzyszami, i że stróżka niesłusznie ją obmawiała; śmiał się z własnej łatwowierności, my-
śląc znowu, że niepodobna, aby tak piękna, tak młoda, a samotna dziewczyna uniknęła miło-
snych zasadzek panów Giraudeau, Cabriona i Germaina. Wszakże szczerłość i oryginalna po-
ufałość Rigoletty nasunęły mu nowe wątpliwości.

– Cieszę się bardzo, kochana sąsiadko – odezwał się znowu Rudolf – że tak rozporządzasz
mymi niedzielami; bądź spokojna, zabawimy się. Ale niepokoi mnie jedna myśl. Co będzie,
jeżeli mnie znajomi spotkają z tak ładną przyjaciółką pod rączkę?

– Co to panu szkodzi? Powiedzą: „Ale szczęśliwy ten Rudolf!”
– A twoje dobre imię? Rigoletta roześmiała się w głos.
– Dobra sława gryzетки? Alboż kto wierzy w takie fenomeny? Gdybym miała ojca, matkę,
brata, siostrę, dbałabym o to, co ludzie powiedzą. Ale jestem sama na świecie, co mi to szko-
dzi?

– Lecz ja będę bardzo nieszczęśliwy.
– A to czemu?
– Będą mnie mieli za szczęśliwego, a tymczasem będę cię kochał tak, jak jadaliście obiad
u ojca Gretu, gryząc suchy chleb przy czytaniu książki kucharskiej.

– Nic nie szkodzi, przyzwyczaisz się; będę taka łagodna, wdzięczna, zgodna, że sam powiesz: „lepiej z nią spędzić niedzielę niż z kolegami”. Czy wiesz, że ostatni mój sąsiad, pan Germain, wszystkie wieczory przesiadywał u mnie i nigdy się nie skarżył. Przeczytał mi całego Waltera Scotta. O, to ładne książki!

– Nie dziwię się, ale skoro mówimy o Germainie, gdzie on się teraz obraca?

– Myślę, że jest w Paryżu.

– Nie widzisz go wcale?

– Nie był u mnie, odkąd się wyprowadził.

– Ale gdzie teraz mieszka? Co robi?

– Dlaczego pytasz o to?

– Jestem zazdrosny – odpowiedział Rudolf ze śmiechem.

– Wierz mi pan, nie ma o co.

– Żart na stronę, sąsiadko, ale koniecznie muszę się widzieć z panem Germain; ty wiesz, gdzie mieszka, a przysięgam, że nie zdradzę tajemnicy; idzie o jego własne dobro.

– Żart na stronę, mój sąsiadzie, możesz dobrze życzyć panu Germain, ale ja obiecałam, że nikomu nie powiem, gdzie mieszka! Nie gniewaj się. Gdybyś mnie powierzył jaką tajemnicę, pewnie byś pochwalił me milczenie.

– Ale...

– Słuchaj, sąsiadzie, raz na zawsze nie mówmy o tym. Dałam słowo i dotrzymam, a cokolwiek mi powiesz, zawsze to samo powtórzę.

– No to nie mówmy o tym więcej – zgodził się Rudolf wesoło. – Tak dobrze umiesz dochować tajemnicy, iż nie dziwię się, że nie wydajesz się z własnymi.

– Ja mam tajemnice? Chciałabym je mieć, to musi być bardzo zabawne.

– Jak to, nie masz maleńkiej tajemnicy miłosnej?

– Tajemnicy miłosnej?

– Tak, alboż nigdy nie kochałaś? – zapytał Rudolf, wpatrując się w jej oczy, żeby odgadnąć prawdę.

– Jak to nie kochałam? A pana Giraudeau? A Cabriona? A Germaina? A pana?

– Nie kochałaś ich więcej ode mnie, inaczej niż mnie?

– Przysięgam, że nie.

– Jeżeli się nie pogniewasz, sąsiadko... No, powiedz otwarcie, nigdy nie miałaś kochanka?

– Kochanka? Co znowu! Alboż ja mam czas na to?

– Czy na to trzeba czasu?

– A jakże! Trzeba mieć czas na to: najpierw byłabym zazdrosna jak tygrys, ciągle bym się martwiła; a powiedz sam, czy mam tyle pieniędzy, żebym mogła codziennie tracić parę godzin na łzy i lamenty? Ho! Ho! dobrze bym na tym wyszła!

– Przecież nie wszyscy kochankowie są niewierni, nie na wszystkich kochanki muszą płakać.

– To by było jeszcze gorzej! Gdyby był wierny, to czy mogłabym chwilę zostać bez niego?

– Nigdy nie myślałaś, żeby wyjść za męża?

– Wyszłabym chyba za takiego biedaka jak ja; inny mnie nie weźmie.

– Ale gdyby ci jaki krewny zapisał majątek? Na przykład dziesięć tysięcy rocznego dochodu?

– Ba! To byłoby nieźle. A może i źle...

– Źle?

– Teraz jestem szczęśliwa, a nie wiem, co by ze mną było, gdybym była bogatsza.

LI

Temple. Odkrycie

Chociaż Rudolf nie podzielał uniesienia Rigoletty, uderzył go jednak szczególny widok ogromnego bazaru zwanego Temple. W środku ulicy Temple, koło źródła, na końcu placu, wznosi się obszerna, prostokątna budowla, kryta dachówką. To Temple. Szeroka droga przez całą długość budowli dzieli ją na dwie części: każdą część znowu przecina mnóstwo małych uliczek, które krzyżują się na wszystkie strony; dach budynku chroni je od deszczu. Zwyczaj zakazuje tu sprzedawania nowych towarów, ale za to najlichszy łach, szczątki żelaza, miedzi lub stali znajdują kupców. Sprzedaje się kawałki sukna wszelkiego koloru, gatunku i wieku – na łaty do starych, podartych ubrań. Są stragany napełnione stosami starych podszew i cholew, podartych, wydeptanych, wykoślawionych, bez kształtu, nabitych gwoździami jak drzwi więzienne – prawdziwe szkielety obuwia! Wszystko się kupuje, i wiele ludzi żyje z tego handlu. Znajdują się tam handlarze pętlic, frędzli, sznurków. Inni znów sprzedają damskie kapelusze. A wszystko niewiarygodnie tanio!

Rudolf spostrzegł, że kupcowe starym obyczajem, od dawna wygnanym z modnego świata, wesoło i uprzejmie zapraszały do sklepów każdego przechodnia. Szedł pod rękę z Rigolettą i zaledwie pokazał się na głównej ulicy, zarzucono go obiecującymi zaproszeniami:

– Proszę obejrzeć moje materace! Zupełnie jak nowe! Włos biały i miękki jak owcze runo.

– Państwo nowożeńcy, kupcie te kołdry; patrzcie, jakie miękkie, lekkie i ciepłe! Zupełnie jak puch! Namów pani swego męża, za bezcen sprzedam pani wszystko, co potrzeba na nowe gospodarstwo; ręczę, że pani będzie zadowolona i zawsze przyjdzie kupować u starej Bouvard. Wczoraj zdarzyło mi się kupić piękne rzeczy; sama pani zobacz, wejdź, proszę, wszak obejrzenie nic nie kosztuje.

– Wiesz co, sąsiadko – rzekł Rudolf do Rigoletty – wejdźmy do tej poczciwej grubaski. Bierze nas za nowożeńców, to mi pochlebia. Wejdziemy do jej sklepu.

– Chodźmy do grubaski – zgodziła się Rigoletta – i mnie się ona podoba.

Weszli do matki Bouvard.

Przez wspaniałomyślność, właściwą może tylko temu bazarowi, inne sprzedawczynie nie gniewały się, że matka Bouvard otrzymuje pierwszeństwo; jedna powiedziała nawet:

– Lepiej, że matka Bouvard coś zarobi niż inna; ma dużo dzieci, a przy tym jest najstarsza z nas.

Rigoletta targowała się, a tymczasem Rudolf uważnie oglądał sekretkę stojącą tuż przy wejściu.

Był to sprzęt staroświecki; jego blat otwierał się na mosiężnych zawiasach i służył za stół do pisania. Na środku blatu, wśród ozdób z różnokolorowego drzewa, znajdowała się wyrżnięta z hebanu i wpuszczona cyfra M.B. pod hrabiowską koronę. Można było się domyślać, że posiadacz mebla należał do wyższych sfer. Obudziło to ciekawość Rudolfa; zaczął przeglądać szufladki sekretki i w jednej z nich znalazł zamazany, pokreślony i nie dokończony brulion listu. Podczas gdy Rigoletta dobijała targu z matką Bouvard, Rudolf z trudnością przeczytał, co następuje:

Laskawy Panie! Racz przyjąć do wiadomości, że jedynie najokropniejsza niedola zniewoliła mnie do kroku, na który się dziś odważam. Nie wstrzymywała mnie dotąd źle zrozumiana duma, lecz zupełny brak prawa do żądania przysługi, o którą śmiem prosić. Widok mojej cór-

ki, pogrążonej razem ze mną w strasznej nędzy, zmusza mnie do pokonania tej nieśmiałości. Kilka słów tylko powiem o przyczynie naszych nieszczęść. Po śmierci męża zostało mi trzysta tysięcy franków, które brat mój umieścił u notariusza Jakuba Ferrand. Procenty odsyłał mi brat do Angers, gdzie mieszkałam z córką. Wiadomy jest panu oplakany zgon mego brata; straciwszy majątek, jak mówią, na nieszczęśliwych spekulacjach, odebrał sobie życie przed ośmiu miesiącami. Na krótko przed tym nieszczęsnym wypadkiem napisał do mnie kilka słów pełnych rozpacz. „Kiedy to przeczytasz”, mówił w tym liście, „mnie już nie będzie na świecie”. Kończył pismo, uprzedzając mnie, że nie miał żadnego aktu na sumę ulokowaną na moje imię u Jakuba Ferrand. Już więcej niż od roku nie odbierałam procentu, udałam się więc do notariusza z żądaniem wypłacenia mi dochodu, którego koniecznie potrzebowałam. Gdy powiedziałam, kim jestem, notariusz, nie zważając na moją boleść, oskarżył brata, że ten nie oddał mu pożyczonych dwóch tysięcy franków i że przez śmierć jego musiał stracić tę sumę; że samobójstwo mego brata jest nie tylko zbrodnią przed Bogiem i ludźmi, ale względem niego, notariusza, sprzeniewierzeniem i grabieżą. Odpowiedziałam mu, że może odebrać swoją należność z moich trzystu tysięcy franków złożonych u niego. Na te słowa spojrział na mnie zdziwiony i zapytał, o jakich trzystu tysiącach chcę mówić. „O tych, które brat mój ulokował u pana przed półtora rokiem i od których przysyłałeś mi pan procenty przez mego brata”, odpowiedziałam, nie pojmując jego zdziwienia. Notariusz ruszył ramionami z litościwym uśmiechem, jakby brał moje słowa za żarty, i odpowiedział, że mój brat nie tylko mu nie powierzył żadnych pieniędzy, ale jeszcze pożyczył od niego dwa tysiące franków. Niepodobna opisać mego przerażenia. „Gdzież się tedy podziła moja suma?”, zawołałam, „I ja, i córka nie mamy innego majątku; jeżeli będziemy pozbawione tych pieniędzy, czeka nas najokropniejsza nędza. Co się z nami stanie?” „A, tego nie wiem”, odpowiedział notariusz oziębłe. „Na zasadzie jakich dowodów żadasz pani ode mnie wypłaty”, zapytał. „Posłałam bratu pełnomocnictwo; w kilka dni doniósł mi, że pieniądze są złożone u pana, ale pan nigdy nie daje rewersu. A po upływie sześciu miesięcy przysłał mi należny procent”. „Czy ma pani przynajmniej jakieś jego listy w tym przedmiocie?” „Nie: w listach byty tylko wzmianki o interesach, nie uważałam za potrzebne ich chować”. „Bardzo żałuję”, odpowiedział notariusz, „że nie mogę pani nic pomóc. Jeszcze raz powtarzam: brat panią oszukał. Jeżeli się pani waha między jego słowem a moim, droga do sądu otwarta, pozwij mnie pani; sąd między nami rozstrzygnie”. Wysłałam od notariusza ledwie żywa. Co robić? Bez żadnych dowodów na poparcie mej należności, przekonana o uczciwości mego brata, zmieszana zimną krwią not...

Tu kończył się list; nie można go było dalej odczytać, bo następne kilka wierszy było grubo pokreślone; tylko na dole zapisano, widać dla pamięci:

Napisać do księżnej de Lucenay.

Rudolf zadumał się po przeczytaniu tego pisma. Nikczemny czyn, o który obwiniano Jakuba Ferrand, nie był wprawdzie dowiedziony, lecz człowiek ten postąpił tak nieludzko z Morelem, tak haniebnie z biedną Ludwiką, że zatajenie powierzonej sumy, zwłaszcza przy niechybnej prawie bezkarności, nie powinno zadziwić nikogo. Brulion listu, który Rudolf trzymał w ręku i który zapewne nie został wysłany, dowodził dumnego i szlachetnego charakteru – nie można go było obrażać jałmużną. Jakiej by więc trzeba ostrożności, delikatności, jakich wybiegów, aby ukryć źródło pomocy i skłonić do jej przyjęcia!

– No, mężu – zapytała wesoło Rigoletta – co to za szpargał czytasz?

– Bardzo jesteś ciekawa, zoneczko – odpowiedział Rudolf – później ci powiem. Czy już dobiłaś targu?

– Ma się rozumieć, i ręczę, że Morelom na niczym nie będzie zbywać. Teraz idzie tylko o zapłatę; trzeba przyznać, że u mamy Bouvard przyjemnie kupować.

– Jeszcze jedno, moja żonko; ja tu zapłacę, a ty idź tymczasem wybierz ubrania dla żony Morela i dla dzieci. Ja się na tym nie znam. Każesz przynieść tu suknie, a biedni Morelowie dostaną wszystko razem.

Rigoletta wyszła. We drzwiach obróciła się jeszcze i powiedziała: – Pani Bouvard, powierzam ci mego męża, proszę go nie bałamucić.

Roześmiała się i znikła.

– Muszę przyznać – rzekła matka Bouvard po wyjściu Rigoletty – że pańska żona jest wyborną gospodynią.

– Nie myli się pani. Ileż pani winniśmy?

– Małżonka pana nie chciała dać więcej nad trzysta trzydzieści franków za wszystko. Dali-bóg, zarabiam na tym tylko piętnaście franków, bo nie tak tanio kupiłam te rzeczy, jak bym mogła, ale nie miałam serca bardzo się targować. Kobieta, co je sprzedawała, zdawała się tak skołatana, tak nieszczęśliwa.

– To od niej kupiłaś tę sekreterę?

– Tak, od niej, panie. Serce mi się kraje, jak ją sobie przypomnę. Przedwczoraj przychodzi do mnie: jeszcze młoda i ładna, ale taka blada, wynędzniała, że aż litość brata na nią patrzeć, zresztą my się znamy na tym. Choć była ubrana elegancko, cała na czarno, zaraz poznałam, że to „szlachetna nędza”. Pyta mnie, rumieniąc się, czybym nie kupiła pościeli do dwóch łóżek i starej sekretery. Po drugiej stronie bulwaru, przy kanale Saint-Martin. No to idę z nią do jej domu. Wchodzimy na czwarte piętro, dama puka we drzwi; otwiera nam czternastoletnia dziewczynka, też w żałobie, chuda, blada, ale taka śliczna, że ażem stanęła jak wryta.

– Któż to był?

– Córka tej pani. Mimo zimna miała na sobie tylko lekką, czarną sukienkę i znoszoną chustkę.

– A ich mieszkanie? Pewno ubogie?

– Niech pan sobie wystawi: dwa pokoje, czyste, ale zupełnie puste, a tak zimne, że aż dzwoniłam zębami; w kominku nawet nie było widać popiołu; na pewno już dawno w nim nie palono. I tylko małe zawiniątko na kufrze. To wszystko, co im zostało po sprzedaniu mebli. Odźwierny, który wszedł razem z nami, powiedział mi, że właściciel domu zabrał łóżka, krzesła, kufer i stół za komorne. Jakem zobaczyła łzy w oczach córki, jakem spostrzegła, że matka, choć niby taka spokojna, płacze w duszy, oceniłam rzeczy tylko o piętnaście franków mniej, niż były warte, na moją szkodę i kupiłam nawet tego grata, chociaż to nie moja rzecz sprzedawać takie meble.

– Kupię od pani tę sekreterę.

– Naprawdę?! A tom dobrze trafiła! Żeby nie pan, toby mi tu stała i stała! Wzięłam to tylko, żeby się przysłużyć tej damie. Jakem jej wtedy powiedziała cenę, odpowiedziała mi: „Dobrze, chodźmy do sklepu, tam mi pani zapłaci, bo już nie mogę dłużej zostać w tym domu”. Potem rzekła do córki, która siedziała na kufierku i płakała: „Klaro, weź zawiniątko” (pamiętam dobrze, mówiła do niej: Klaro). Dziewczyna wstała, ale przechodząc koło sekretery, upadła z płaczem na kolana. Zapłaciłam im trzysta piętnaście franków i więcej ich nie widziałam.

– Jak się nazywają te panie?

– Nie wiem.

– A gdzie mieszkają?

– Nic nie wiem, mój paniczu.

– Ale w domu, gdzie dawniej mieszkały, muszą to wiedzieć?

– Nie, nie wiedzą. Odeszły, nie powiedziawszy ani słowa. Pewnie już nigdy nie wrócą.

Chwilowa nadzieja Rudolfa znikła. Jak znaleźć nieszczęśliwe kobiety, nie mając żadnej wskazówki prócz imienia córki i listu, na którym zanotowano: *napisać do księżnej de Lucenay*. Jedynie więc przez panią de Lucenay można było odnaleźć ich ślad. Szczęściem markiza d'Harville знаła ją.

– Masz tu pani – rzekł po chwili Rudolf – pięćset franków. A dostanę wózek, żeby przewieźć te rzeczy?

– A gdzie pan mieszka?

– Ulica Temple, numer 17.

– O! Znam ten dom. Kupowałam tam meble od kawalera, co mieszkał na czwartym piętrze.

– Może od Franciszka Germain? – zawołał Rudolf.

– A właśnie; pan go zna?

– I owszem, ale na nieszczęście na dawnym mieszkaniu nie powiedział, dokąd się przeniósł, i nie wiem, gdzie go szukać.

– O, to mogę panu dopomóc.

– Wiesz pani, gdzie mieszka?

– Nie, ale wiem, gdzie go można zastać.

– A gdzie?

– U notariusza na ulicy Sentier, pracuje w biurze.

– U Jakuba Ferrand! – zawołał Rudolf.

– Tak, właśnie u niego. Notariusz to bardzo dobry człowiek, nabożny, uczciwy.

– Skąd pani wie, że Germain pracuje u niego?

– To cała historia. Ten pan Germain chciał, żebym od niego kupiła hurtem wszystkie meble. Zgodziłam się. Był ze mnie zadowolony, bo za dwa tygodnie przyszedł sobie kupić pościel. Przyprowadził ze sobą człowieka z taczkami, kupił, zapakował rzeczy; ale gdy przyszło do zapłaty, okazało się, że zapomniał wziąć pieniędzy. „Przyjdź pani jutro na ulicę Sentier do notariusza Ferrand, u niego pracuję, tam zapłacę”. Poszłam nazajutrz i dostałam moje pieniądze. Tylko to mnie zdziwiło, że sprzedał wszystko, żeby za dwa tygodnie znów kupić.

Rudolf domyślał się przyczyny tego dziwactwa: Germain chciał, żeby prześladowcy stracili jego ślady. Wolał więc sprzedać wszystkie rzeczy, a potem, na nowym mieszkaniu, kupić drugie. Rudolf drżał z radości na samą myśl o tym, jak się ucieszy pani George, kiedy wreszcie ujrzy syna.

Wkrótce wróciła uśmiechnięta i radosna Rigoletta.

– Nie pomyliłam się w rachunku – zawołała – wydaliśmy sześćset czterdzieści franków, ale Morelowie będą mieszkali po królewsku. Zapłać prędzej i chodźmy, niedługo dwunasta, muszę popędzić moją igielkę, jeżeli mam odrobić stracony czas.

LII

Widmo. Uwięzienie

Kiedy Rudolf i Rigoletta wrócili do domu, wpadła na nich pani Pipelet, bardzo zaaferowana.

– Ach, mój Boże? Co pani jest? – zapytała Rigoletta.

– A, to pani, panno Rigoletto? Bóg cię prowadzi! Pomóż mi uratować życie Alfredowi. Mój kochany biedaczek zemdłał, ulituj się nad nim. Biegnij, kup wódki piołunowej za dwa sous, tylko mocnej, używa jej zwykle jako lekarstwo, może mu i teraz pomoże.

Rigoletta pobiegła po wódkę.

– Ale co się stało, pani Pipelet? – zapytał Rudolf.

– Sama jeszcze nie wiem, mój dobry panie. Poszłam do księdza, do mera i do traktierni, żeby wyręczyć Alfreda. Wracam i cóż widzę: Alfred leży jak długi, zemdłał. Patrz pan – do-dała, otwierając drzwi swojej izby.

Widok był opłakany! Pipelet siedział na ziemi, oparty o łóżko. Ocknął się już z omdlenia i machał rękami, jakby kogoś odpędzał od siebie.

– Rusza się, dobry znak – zawołała pani Pipelet. Schyliła się i krzyknęła mu do ucha: – Co ci jest, Alfredzie?

Alfred westchnął głęboko i wyzionął z siebie jedno fatalne słowo: – C a b r i o n!!

– Cabrion! Znowu ten łotr malarz! – zawołała pani Pipelet. – Alfred miał taki okropny sen o nim tej nocy. Aż mnie pokopał. Ten potwór i we śnie nie daje mu spokoju! Tak, panie Rudolfie, jakby Alfred był zbrodniarzem, a Cabrion sumieniem.

Rudolf uśmiechnął się pod nosem, przewidując, że dawny sąsiad Rigoletty splatał nowego figla.

– Cabrion! – powtórzył Alfred, zdejmując z trudnością kapelusz i machając nim koło siebie.

Tu weszła Rigoletta z piołunówką.

– Bardzo dziękuję panience – rzekła stróżka i dodała, odwracając się do męża. – No, mój kochany, wypij od razu, zaraz ci będzie lepiej.

Biedak musiał wypić piołunówkę, a stara zawołała z triumfem:

– O tak, już stajesz na nogach, moja duszko. Alfred otworzył oczy i zapytał ze strachem:

– Czyście go widzieli?

– Alboż on śmiałyby tu przyjść! – zawołała pani Pipelet.

Pipelet dał ręką znak, że chce mówić. Wszyscy słuchali go w nabożnym skupieniu, a on opowiadał wzruszonym głosem:

– Siedziałem sobie za stołem i myślałem, jak by tu naprawić ten bucik. Wtem słyszę jakiś hałas, stukanie do okienka. Czy to było przecucie? Czy ostrzeżenie? Dość że serce mi się ścisnęło, podnoszę głowę i widzę przez szybę...

– Cabriona! – krzyknęła Anastazja, załamując ręce.

– Cabriona! – powtórzył głucho pan Pipelet. – To jego ohydna twarz była w oknie Patrzył swymi oczami jak u kota... co ja mówię, jak u tygrysa! Zupełnie jak we śnie. A potem przekreślił klucz, drzwi się otworzyły i wszedł.

– Wszedł! Co za bezczelność! – zawołała pani Pipelet.

– Wszedł powoli, zatrzymał się przy drzwiach, jakby po to, żeby mnie zaczarować wzrokiem, potem zbliżył się do mnie, a co krok stawał i wpatrywał się we mnie, nie mówiąc ani słowa. Zbliżał się milczący, groźny jak widziadło.

– Aż mnie mrowie przechodzi! – rzekła Anastazja.

– Ciągłe siedziałem nieruchomo na stołku. Cabrion zbliżał się pomału, przesywając mnie wzrokiem jak wąż biedną ptaszynę, bo choć strach mi było, mimo woli patrzyłem mu w oczy. Na koniec podszedł tu do mnie. Zakryłem oczy rakami. A on wziął mnie za głowę rękami, zimnymi jak ręce trupa, i złożył na moim czole bezwstydnym, rozpustnym pocałunek.

Anastazja wzniosła ręce do nieba.

– Największy mój nieprzyjaciel całuje mnie w czoło! Padłem zemdlony i zdążyłem tylko zobaczyć, jak wychodził z izby, tak samo wolno i spokojnie.

Opowiadanie to wyczerpało pana Pipelet; upadł na krzesło i wzniosł ręce do góry, jakby milcząc złorzeczył. Rudolf ledwie zdołał powstrzymać się od śmiechu.

Nagle na ulicy rozległ się hałas, jaki zwykle robi tłum ludzi. Przy drzwiach domu dał się słyszeć stuk karabinów.

– Najwyższa sprawiedliwość czuwa nade mną! – rzekł Pipelet z triumfującą wdzięcznością. Pewno przychodzą brać do kozy Cabriona. Szkoda, że za późno!

Komisarz policji w trójkolorowej szarfię wszedł do izby.

– Za późno, panie komisarzu! Winowajca zbiegł! – rzekł smutno Pipelet.

– O kim mówisz? – zapytał komisarz.

– O Cabrionie! Gdyby się pośpieszyć, można by go jeszcze złapać!

– Nie wiem o żadnym Cabrionie – odparł komisarz z niecierpliwością – powiedz mi, czy mieszka w tym domu szlifierz Hieronim Morel?

– A mieszka, mieszka z rodziną na poddaszu.

– Zaprowadźcie mnie na poddasze. – I komisarz rzekł do człowieka, który z nim przyszedł:

– Dwóch żołnierzy zostawić na dole, żeby strzegli wyjścia, a Justyn niech sprowadzi fiakra.

– Teraz – rzekł komisarz – prowadźcie mnie do Morela.

I poszedł na górę za panią Pipelet. Spozrzegłszy, że idą za nim Rudolf i Rigoletta, zatrzymał się.

– Co wy za jedni? Czego chcecie? – zapytał.

– To lokatorzy z czwartego piętra.

– A, przepraszam, nie wiedziałem, że pan tu mieszka.

Rudolf, wnosząc z grzeczności komisarza, że musi być człowiekiem dobrego serca, rzekł do niego:

– Zobacysz pan tam całą rodzinę doprowadzoną do ostatecznej nędzy.

– Oj, to prawda – rzekła pani Pipelet. – Bez tego pana, którego pan komisarz tu widzi, a który jest perłą lokatorów, cała rodzina Morela umarłaby z głodu.

Komisarz spojrział na Rudolfa ciekawie i ze zdziwieniem.

– Nie wątpię o uczciwości Morela... żałuję jednak, że muszę wypełnić przykry obowiązek przy panu co tak interesujesz się losem rodziny.

– Co pan chcesz przez to powiedzieć?

– Nie mam powodu ukrywać przed panem, co mnie tu sprowadza. Mam uwięzić Ludwikę Morel, córkę szlifierza.

Rudolf przypomniał sobie złoto, którym Ludwika chciała zapłacić za weksel ojca.

– O co ją oskarżają?

– O dzieciobójstwo.

– Ona? Boże!... Biedny jej ojciec!

– Z tego, co mi pan mówiłeś, zrozumiałem, że to straszne nieszczęście dla szlifierza... ale muszę wypełnić rozkaz.

– To chyba tylko podejrzenie? – zawołał Rudolf.

– Nie mogę panu powiedzieć więcej... Doniósł sądowi o tej zbrodni człowiek ze wszechmiar godny szacunku, u którego służyła Ludwika Morel...

– Jakub Ferrand, notariusz! – zawołał Rudolf z oburzeniem.

– Tak, on... Ale czemu pan taki wzburzony?

– Jakub Ferrand to ostatni niegodziwiec.

- Widzę, że pan go nie zna. Pan Ferrand jest najgodniejszym człowiekiem w świecie.
- Powtarzam panu, że to podły łajdak.
- Nie do mnie to należy, nie mam prawa w to wchodzić – odpowiedział komisarz oziębłe.
- Mam rozkaz uwięzić Ludwikę Morel i muszę wypełnić polecenie.
- Ma pan zupełną słuszość – odpowiedział Rudolf. – Ale błagam pana, miej trochę litości, nie zabieraj dziewczyny spośród tych nieszczęśliwych, którzy tylko co zostali wybawieni z najokropniejszej nędzy. Morel tyle już zniósł tej nocy, że jego nerwy nie wytrzymają. Jego żona jest chora, ta wiadomość mogłaby ją dobić... Niech mi wolno będzie prosić o jedną łaskę... Ta dziewczyna, która idzie za nami, zajmuje pokój obok mego; tam może pan zawołać Ludwikę, a potem, jeżeli trzeba, i Morela, żeby pożegnał się z córką. W ten sposób oszczędzisz biednej, cierpiącej matce okropnego widoku...
- Jeśli pan tak chce, nie mam nic przeciw temu.
- Tymczasem Rigoletta z panią Pipelet stały o kilka kroków niżej. Rudolf wrócił do drżących ze strachu Rigoletty i rzekł:
 - Dobra sąsiadko, mam prośbę do ciebie: udziel mi twego pokoju na godzinę. Aha, jeszcze jedno: wróć do Temple i każ, żeby przywieźli zakupione rzeczy dopiero za godzinę.
 - Dobrze, panie Rudolfie...
- Rudolf chciał w ten sposób i Rigoletcie oszczędzić smutnego widoku aresztowania Ludwiki.
- Panie komisarzu – rzekła stróżka, zbliżając się. – Ponieważ prowadzi pana pan Rudolf, perła moich lokatorów, to ja wrócę do Alfreda: tak się niepokoję o niego.
- A idź pani, idź – rzekł komisarz.
- Weszli na czwarte piętro i stanęli pod drzwiami pokoju Rudolfa.
- Nagle drzwi się otworzyły. Wybiegła z nich Ludwika, blada i zapłakana.
- Bądź zdrow, mój ojciec – zawołała – niedługo wrócę, ale teraz muszę iść.
- Na widok Rudolfa i komisarza Ludwika i Morel stanęli jak wryci.
- O, nasz dobroczyńca! – zawołał Morel, poznawszy Rudolfa. – Pomóż mi zatrzymać Ludwikę. Nie wiem, co się z nią stało, przeraża mnie, chce koniecznie odejść.
- Rudolf nie był w stanie odpowiedzieć;
- Czy to ty jesteś Ludwiką Morel?
- Tak, panie – odpowiedziała zmieszana dziewczyna.
- A ty Hieronim Morel, jej ojciec?
- Tak, panie, ale...
- Wejdz tu z córką – dodał komisarz, wskazując pokój Rigoletty, dokąd właśnie wszedł Rudolf.
- Morel i Ludwika usłuchali ze zdziwieniem i strachem. Jedynie obecność Rudolfa nieco ich uspokajała. Komisarz zamknął drzwi i rzekł do Morela:
 - Wiem, że jesteś uczciwy i nieszczęśliwy; ze smutkiem więc muszę ci oznajmić, że przychodzę w imieniu prawa uwięzić twoją córkę.
 - Wszystko odkryte! Jestem zgubiona! – krzyknęła Ludwika w rozpacz, rzucając się w objęcia ojca.
 - Co ty mówisz? Co? – zapytał osłupiały Morel. – Oszalałaś? Dlaczego jesteś zgubiona? Uwięzić ciebie? Kto śmie?
 - Ja, w imieniu prawa.
 - Ach! Ja nieszczęśliwa! – wołała Ludwika.
 - Jak to w imieniu prawa? – rzekł Morel, nie rozumiejąc. Zaczęło mu się mieszać w głowie. – Za co więzić moją córkę w imieniu prawa? Ja za nią odpowiadam, to moja córka, moja uczciwa córka! Nieprawdaż, Ludwiko? Panie komisarzu, to pomyłka!
 - Na nieszczęście nie zachodzi pomyłka. Ludwiko Morel, proszę pożegnać się z ojcem.
 - Pan mi chcesz wydrzeć córkę! – krzyknął Morel.
- Rudolf chwycił go za rękę, mówiąc:

– Uspokój się i nie trać nadziei, oddadzą ci córkę, wykaże się jej niewinność; na pewno jest niewinna.

– Ona? Cóż ona by mogła zawinić? Życiem za nią ręczę. – Wtem, przypomniawszy sobie złoto, którym Ludwika chciała zapłacić weksel, Morel zawołał: – Ale ty miałaś pieniądze dziś rano! Skąd? – I przeszył córkę wzrokiem.

Ludwika zrozumiała go.

– Ja bym miała kraść! – zawołała. Jej rumieniec, jej oburzenie uspokoiły ojca.

– Wiedziałem o tym! – zawołał.

– Nikt nie oskarża twej córki o kradzież – rzekł komisarz.

– O cóż więc?

– Na co ci to wiedzieć? – przerwał Rudolf, wzruszony jego bólem. – Niedługo ją zobaczysz znowu.

– Panie komisarzu! – rzekł Morel, nie słuchając Rudolfa. – Nie można ojcu zabrać dziecka, nie powiedziawszy mu przynajmniej, o co je oskarżają?

– Twoją córkę oskarżają... o dzieciobójstwo – rzekł komisarz.

– Nie rozumiem... pan...

I Morel wybełkotał kilka słów bez związku.

– To nieprawda! – zawołała Ludwika wstając. – Przysięgam, że było nieżywe, nie oddychało, było zimne jak lód, straciłam głowę, w tym cała moja wina. Ale zabić własne dzieciątko? Nigdy!

– Twoje dziecko, nędznico?! – krzyknął Morel.

– Przebacz! Przebacz, ojcze! – zawołała Ludwika.

Po chwili okropnego milczenia Morel odezwał się z jeszcze okropniejszym spokojem:

– Panie komisarzu, bierz ją, to nie moja córka.

Chciał wyjść, ale Ludwika padła na kolana i objęta go rękami za nogi.

– Wysłuchaj ją! – rzekł Rudolf, zatrzymując szlifierza. – Teraz nie możesz nie mieć nad nią litości.

– Zhańbiona! O! Niegodziwa! Bezwstydna!

– A jeżeli zniosła hańbę, żeby ocalić ciebie? – rzekł Rudolf. Te słowa jak piorun uderzyły Morela. Spojrzał na zapłakaną córkę kłęczącą przy nim. Zapytał ledwie dosłyszalnym głosem:

– Notariusz?

Ludwika chciała odpowiedzieć, lecz nagle opuściła głowę i nic nie rzekła.

– Nie, to nie on! Chciał mnie dziś wsadzić do więzienia, na pewno nie on! – mówił Morel.

– Wysłuchaj ją przez litość – rzekł Rudolf.

– Pozwól mi, panie komisarzu – rzekła Ludwika – pomówić z moim ojcem na osobności. Może to ostatni raz. I pan też może tego wysłuchać, nasz dobroczyńco, lecz tylko przy was dwóch będę mówiła.

– Zgoda – rzekł komisarz.

– Lecz dokąd pójdziemy? – spytał Rudolf. – U mnie w pokoju jest twoja żona i dzieci.

– Dokąd? – spytał Morel z okrutną ironią. – Na górę, tam gdzie leży ciało mojej córki. Świetnie dobrane miejsce. Ludwika nie będzie chciała kłamać przy trupie umarłej siostry! Chodźmy! – I Morel wybiegł nie patrząc nawet na Ludwikę.

– Panie – rzekł po cichu komisarz do Rudolfa – przez litość dla biednego szlifierza nie przedłużaj tej rozmowy. Miałaś pan rację, jego rozum nie wytrzyma takiego ciosu, już i teraz ma nieprzytomne spojrzenie.

LIII

Wyznanie

Na poddaszu na posłaniu starej wariatki leżały zwłoki zmarłej tego rana Adeli, nakryte kawałkiem starego prześcieradła. Rudolf stał oparty o mur, Morel usiadł przy stole, opuścił głowę, ręce mu obwisły; utopił dzikie spojrzenie w umarłej córeczce.

Śmiertelnie blada Ludwika ośmieliła się wziąć ojca za rękę i łkając, przycisnęła do ust tę chudą, wynędzniałą dłoń. Gniew Morela ustąpił, długo wstrzymywane łzy znalazły ujście.

– Ojczy! Ojczy! Gdybyś wiedział, jak ja jestem godna litości!

– To zmartwienie wystarczy mi na całe życie – odpowiedział Morel, zanosząc się od płaczu. – Zaprowadzą cię do więzienia, postawią przed sądem jak zbrodniarkę. Nie! – zawołał boleśnie. – Wolałbym cię widzieć na marach, obok siostry.

– I ja bym wolała – odpowiedziała Ludwika.

– Cicho, moje biedactwo, nie mów tego, to mnie boli.

– Wszystko wam opowiem, ojczy, ale musicie mi przyrzec, że nikomu nie powtórzycie tego, co usłyszycie ode mnie. Gdyby się dowiedział, że wam powiedziałam, o! – dodała z drżeniem. – Zginęlibyście jak ja, wy nie wiecie, co może ten okrutnik!

– Kto?

– Mój pan.

– Uspokój się – rzekł Rudolf – jest potężny i okrutny, ale damy sobie z nim radę.

– Zaraz – rzekła Ludwika po chwili namysłu – powiem wszystko, ale nie wymienię nazwiska człowieka, co mi wyświadczył ważną przysługę, co robił wiele dobrego dla ciebie, ojczy, i całej naszej rodziny, a pracował w biurze Jakuba Ferrand. Kiedy ja poszłam do służby, kazał mi uroczyście przyrzec, że nigdy nikomu o nim nie powiem.

Rudolf, domyślając się, rzekł do Ludwika:

– Zapewne mówisz o Franciszku Germain, bądź spokojna, ani ja, ani twój ojciec nie zdradzimy tajemnicy.

Ludwika spojrzała na Rudolfa ze zdumieniem.

– Jak to? – rzekł Morel. – Ten zacny chłopak, co tu mieszkał przez trzy miesiące, pracuje u pana Ferrand?

– Kto umieścił Ludwikę u notariusza? – zapytał Rudolf Morela.

– Kiedy mi żona zachorowała, powiedziałem starej Burette, lichwiarce, że Ludwika chciałaby zarabiać i szuka pracy. Matka Burette знаła gospodynię notariusza i dała do niej list.

– Z początku nie miałam powodu skarżyć się na pana Ferrand – mówiła Ludwika. – Było dużo roboty, gospodyni często się ze mną źle obchodziła, ale ja znosiłam wszystko cierpliwie, bo służba to zawsze służba. Pan Ferrand był surowy i ponury, ale mimo to ufałam mu. Z początku zaledwie na mnie patrzył, ledwie raczył przemówić do mnie słowo, zwłaszcza przy obcych. Prócz odźwiernego, co mieszkał w oficynie, gdzie była kancelaria, w domu byłyśmy tylko my dwie: ja i gospodyni, pani Seraphin. Zajmowałyśmy stary dom w podwórzu, od ogrodu. Mój pokój był na górze. Bałam się zostawać sama wieczorem w kuchni albo w moim pokoju. W nocy nieraz mi się zdawało, że coś stuka w pokojach pode mną, gdzie nikt nie mieszkał: w dzień pracował tam czasem pan Germain. Na tym piętrze dwa okna były zamurowane, a jedno drzwi dobrze okute żelazem. Gospodyni powiedziała mi później, że tam jest kasa notariusza. Raz siedziałam długo w nocy, bo było dużo roboty. Już miałam iść spać, kie-

dy usłyszałam czyjeś kroki na korytarzu. Zatrzymały się przy moich drzwiach. Z początku myślałam, że to pani Seraphin, lecz kiedy nikt nie wchodził, strach mnie ogarnął. Nie śmiałam się ruszyć z miejsca, słuchałam, ale nic nie usłyszałam, choć byłam przekonana, że ktoś stoi za drzwiami. Dwa razy zapytałam, „kto tam?” Nikt nie odpowiedział. Na drugi dzień prosiłam panią Seraphin, żeby kazała dorobić zamek do moich drzwi, i powiedziałam jej, że mnie w nocy przestraszano, ale ona odpowiedziała, że chyba mi się śniło, a o zamek trzeba poprosić samego pana Ferrand. Ten, wysłuchawszy mej prośby, wzruszył ramionami i powiedział, że chyba mi się w głowie przewróciło. Nie śmiałam już o tym wspominać. Wkrótce potem zdarzyło się nieszczęście ojcu: zginął mu brylant znacznej wartości. Ojciec nie wiedział, co począć. Opowiedziałam o tym pani Seraphin, a ona mi poradziła: „Nasz pan jest taki dobry. Może zrobi coś dla twego ojca”. Tego samego dnia, kiedy podawałam do stołu, pan Ferrand powiedział mi surowo: „Twemu ojcu potrzeba tysiąc trzysta franków. Powiedz mu, żeby przyszedł jutro rano do kancelarii, dostanie je. Uczciwy człowiek zasługuje na litość”. Rozpłakałam się, nie wiedziałam, jak mu dziękować, lecz on, równie surowo jak wprzód, powiedział: „Dobrze już, dobrze, nic nadzwyczajnego nie zrobiłem”. Wieczorem, skończywszy robotę, pobiegłam do ojca z dobrą nowiną, a nazajutrz...

– Dostałem tysiąc trzysta franków na weksel z trzymiesięcznym terminem – powiedział Morel. – Po trzech miesiącach jednak przysłano do mnie weksel. Nie mogłem zapłacić. Wówczas notariusz pod cudzym imieniem pozwał mnie do sądu i uzyskał wyrok, mocą którego mógł mnie wsadzić do więzienia, lecz uspokoił mnie, mówiąc, że to wszystko stało się przez pomyłkę jego pełnomocnika.

– Chciał cię mieć w ręku – rzekł Rudolf.

Ludwika mówiła dalej:

– Staralam się jeszcze lepiej służyć, żeby odwdzińczyć się panu Ferrand za łaskę wyświadczoną naszej rodzinie. Od tego czasu pani Seraphin zaczęła mnie nienawidzić i dokuczać mi. Pan Ferrand przy pani Seraphin zawsze obchodził się ze mną surowo, ale spod oka rzucał na mnie takie spojrzenia, że nie wiedziałam co robić, a on się uśmiechał, widząc, że się rumienię. Pewnego razu pani Seraphin, wbrew zwyczajowi, wyszła z domu, pisarze się rozeszli: wszyscy mieszkali w mieście. Pan Ferrand wysłał odźwiernego z jakimś poleceniem do miasta, a w domu zostałam tylko ja i mój pan. Sprzątałam w przedpokoju – wtem zadzwonił. Wchodzę do jego pokoju; stał przy kominku. Podchodzę do niego, a on odwraca się nagle i obejmuje mnie ramionami. Twarz miał czerwoną jak krew, oczy mu błyszczały. Ale chociaż jest bardzo silny, broniłam się tak zaciekle, że udało mi się wyrwać, i uciekałam do przedpokoju.

Po chwili przyszedł za mną. Na szczęście zdążyłam zgasić lampę. Nie mógł mnie znaleźć, nie odzywałam się, wtedy powiedział głosem drżącym z gniewu: „Jeżeli będziesz mi się opierała, to twój ojciec pójdzie do więzienia za tysiąc trzysta franków, które ode mnie pożyczyl i nie może oddać”. Błagałam go, żeby się nade mną ulitował, obiecywałam mu wiernie służyć, żeby się odwdzińczyć, ale powiedziałam stanowczo, że za nic w świecie nie zgodzę się na hańbę. Wyszedł z przedpokoju i zamknął drzwi za sobą: trzymał mnie w zamknięciu. Niedługo wrócił ze swego pokoju ze świecą. Nie jestem w stanie opisać naszej walki, jego grózb, gonił mnie z pokoju do pokoju. Na szczęście rozpacz, strach i gniew dodały mi sił. Mój opór doprowadził go do szaleństwa, nie panował już nad sobą, bił mnie, miałam twarz całą we krwi.

– Boże! – zawołał szlifierz, wznosząc ręce. – I nie ma kary na takiego potwora!...

– Długo trwała ta walka. Traciłam siły, gdy wtem odźwierny, który już wrócił z miasta, zadzwonił dwa razy, to znaczyło, że przyniesiono jakiś list. Pan Ferrand, bojąc się, że sam odźwierny go przyniesie, rzekł: „Idź!... Ale powiedz tylko słowo o tym, co się stało, a twój ojciec zginie! I jeżeli będziesz chciała odejść ode mnie, także zginie!”

– Nie mów dalej, to myśmy byli twoimi katami. Jesteśmy bardziej winni niż ty – rzekł szlifierz, zakrywając twarz rękami.

– Kiedy znowu ujrzałam notariusza, obchodził się ze mną jak dawniej: surowo i ozięble. Nie powiedział ani słowa o tym, co zaszło między nami. Pani Seraphin dokuczała mi w dalszym ciągu. Dawała mi tylko tyle jeść, żebym nie umarła z głodu: chleb zamykała i często przez złośliwość wyrzucała resztki obiadu, które mi zostawiono: bo ona przeważnie jadła razem z notariuszem. Jednej niedzieli pozwolił mi wyjść; przyszłam do matki i ojca, wszyscyśmy się tak ucieszyli. Dotąd wszystko wiedziałeś, ojcze! To, co teraz muszę wyznać, jest okropne! – tu głos jej zadrżał. – ...Zawsze to przed wami ukrywałam.

– Mów dalej – rzekł do niej Rudolf – nic nie ukrywaj, to ważniejsze, niż myślisz.

– Po trochu zaczęłam się uspokajać. Pewnego wieczoru i notariusz, i pani Seraphin wyszli z domu, każde gdzie indziej. Nie jedli obiadu w domu; zostałam sama! Jak zwykle zostawili mi chleba, wody i wina i zamknęli kredens. Jak skończyłam robotę, zjadłam obiad, a potem jak zwykle bałam się siedzieć sama w dużym mieszkaniu, zapaliłam lampę notariusza i poszłam do mojej izdebki. Wzięłam się do roboty, ale jakoś zachciało mi się spać. Ach, ojcze! Nie będziesz mi wierzył, powiesz, że kłamie! Ale przysięgam, mówię zupełną prawdę!

Już od siedmiu miesięcy chcę sobie przypomnieć tę straszną noc, ale nie mogę wyjaśnić zagadki. Zastanawiałam się nad tym niemal do utraty zmysłów. Zasnęłam na stołku. Więcej nie pamiętam. Nie wiem, jak długo spałam. Kiedy się obudziłam, leżałam na swoim łóżku, a obok mnie notariusz!

– Rozumiem wszystko! – powiedział Rudolf. – Tylko tej zbrodni brakowało. Powiedz mi, Ludwiko, czy wino, które piłaś przedtem, nie miało jakiegoś szczególnego, dziwnego smaku? Przypomnij sobie dobrze.

– Istotnie, wino zdawało mi się gorzkie, ale nie zważałam na to, bo pani Seraphin często umyślnie, aby mi dokuczyć, sypała mi do jedzenia pieprz albo sól.

– A zanim zasnęłaś na stołku, nie czułaś, że głowa ci ciąży, a nogi nie służą?

– Tak, proszę pana, krew uderzyła mi do głowy, miałam dreszcze, było mi niedobrze.

– O! Nędznik! Nędznik! – zawołał Rudolf. – Czy wiesz, Morelu, co on dał pić twojej córce?

Morel w milczeniu popatrzył na Rudolfa.

– Gospodyni, współniczka jego zbrodni, dodała do wina środek nasenny, pewno opium, i to na kilka godzin sparaliżowało twoją córkę. A gdy ocknęła się z letargicznego snu, zbrodnia już była dokonana.

Morel siedział nieruchomo. Ten człowiek uczciwy, prosty nie mógł nawet pojąć tak przewrotnej zbrodni. Zaledwie rozumiał wstrząsające opowiadanie córki. Chwilami rozum go odstępował, myśli mu się mieszały, wpadał w stan nicości, który jest straszną oznaką obłąkania.

Rudolf patrzył na niego z niepokojem. Chcąc czym prędzej skończyć tę smutną rozmowę, rzekł do Ludwika:

– Odważnie, moje dziecko, wyznaj wszystko.

– Niestety, panie, to, co słyszałaś, to jeszcze nic. Gdy spostrzegłam przy sobie notariusza, krzyknęłam ze strachu. Chciałam uciekać, ale zatrzymał mnie siłą. Byłam jeszcze taka słaba, bezsilna i ociężała, że nie mogłam się wyrwać. „Czemu teraz uciekasz?“, zapytał z udanym zdziwieniem, na które zupełnie osłupiałam. „Co to za dziwactwo? Czy nie z twojej woli tu jestem?“ „Ach, panie“, krzyknęłam, „to niegodziwość, zhańbiłeś mnie, korzystając z mego snu! Powiem to ojcu“. Pan Ferrand roześmiał się głośno. „Wykorzystałem cię? Chyba żartujesz! Mam dowód na to, że kłamiesz: Kazałem memu kasjerowi Germain przyjść wczoraj wieczorem o godzinie dziesiątej i skończyć pilną robotę; do pierwszej w nocy pisał tu na dole, właśnie pod twoim pokojem, czyżby nie słyszał twoich krzyków, hałasu, walki, szamotania się? Zapytaj go jutro, zobaczysz, że ci odpowie, iż w nocy było w domu cicho i spokojnie“.

– Przewidział wszystko, żeby sobie zabezpieczyć bezkarność. I dlatego to – mówił dalej Rudolf, chcąc oszczędzić Ludwice trudnego wyznania – nie przestawałaś być ofiarą tego nędznika?

Rumieniąc się, Ludwika spuściła oczy.

– Czy potem lepiej się z tobą obchodził?

– Bynajmniej. By oddalić wszelkie podejrzenia, często przy gościach upominał mnie surowo, mówiąc, że zbyt przestaję z młodzieżą pracującą w jego kancelarii, że prędzej czy później się zgubię, że jestem leniwa i trzyma mnie jedynie z litości nad biednym ojcem mającym liczną rodzinę.

– A kiedy był sam na sam z tobą, jak ci się tłumaczył ze swego postępowania przy gościach?

– Upewniał, że to były żarty. Ale goście, którzy często bywali u mego pana, wcale nie brali jego oskarżenia za żarty i z największą surowością mówili mi, że trzeba być bardzo rozwiązłą, żeby się źle prowadzić w tak uczciwym domu, gdzie ciągle mam przed oczami chwalebne przykłady. Niedługo przyszło nowe nieszczęście: poczułam, że będę matką. Wiedziałam, że jestem zgubiona! Przeczuwałam, że skoro pan Ferrand dowie się o tym, będzie się jeszcze gorzej obchodził ze mną.

Zapytałam notariusza, jak mogłabym ukryć swą hańbę, i skutki nieszczęścia, którego on był sprawcą? O! Nie uwierzysz, ojcze! Przerwał mi z oburzeniem, z udaną zgrozą, niby nie rozumiejąc, o co mi chodzi. Zapytał, czy nie oszalałam. Wykrzyknęłam przerażona: „Mój Boże! Co teraz pocznę? Jeżeli nie masz litości nade mną, ulituj się przynajmniej nad twoim dzieckiem”. „Co za bezczelność!”, zawołał pan Ferrand, wznosząc ręce ku niebu. „Śmiesz mi zarzucać taką podłość? Ja bym się miał zniżyć do tak rozwiązłej dziewczyny? I mnie przypisujesz skutki rozpusty, mnie, com cię tysiąc razy przy najgodniejszych osobach upominał, że działasz na swą zgubę? Idź precz!”

Morel nie mówił słowa. Oczy wystąpiły mu z orbit, konwulsyjne skurcze wykrzywiły mu twarz. Wstał od stołu, otworzył prędko szufladę, wyjął z niej długi, mocno zastrzony pilnik i rzucił się ku drzwiom.

Rudolf przytrzymał go za rękę.

– Gdzie idziesz? Chcesz się zgubić?!

– Strzeż się! – krzyknął Morel, wrywając się Rudolfowi. – Bo będą dwa nieszczęścia, a nie jedno. – I szalony, zamierzył się na Rudolfa.

– Ojcze! To nasz dobroczyńca! – krzyknęła Ludwika.

– On z nas kpi! Chce ocalić notariusza! – odpowiedział Morel jak obłąkany, szamocąc się z Rudolfem, który w końcu zdołał go rozbroić i wyrzucił pilnik za drzwi.

Ludwika podbiegła do ojca i ściskając go, mówiła:

– Ojcze! To nasz dobroczyńca, podniosłeś rękę na niego. Opamiętaj się.

Jej słowa przywróciły Morelowi rozsądek. Zakrył twarz rękami i nic nie mówiąc, padł przed Rudolfem na kolana.

– Wstań, biedny ojcze! – rzekł Rudolf łagodnie. – Cierpliwości, cierpliwości. Rozumiem twój gniew.

– Boże! Boże! – zawołał Morel, podnosząc się. – Co tu pomogą sądy, prawo? My ludzie ubodzy! Jeżeli oskarżymy tego człowieka, bogatego, poważanego, wszyscy nas wyśmieją!

– Cicho, Morelu, boleść odbiera ci zmysły – rzekł Rudolf. – Daj skończyć twojej córce, mamy mało czasu. A ja muszę wiedzieć wszystko, wszystko, powtarzam. Opowiadaj dalej, moje dziecko.

Morel, zgnębiony, opadł z powrotem na stół.

– Nie potrzebuję wspominać – mówiła Ludwika – o moich prośbach i łzach. Działo się to w gabinecie pana Ferrand o dziesiątej rano. Przyszedł właśnie nasz proboszcz na śniadanie. Wizyta nie była w porę notariuszowi.

– Cóż zrobił?

– Nie zmieszał się, lecz rzekł, wskazując na mnie: „Mówiłem nieraz księdzu proboszczowi, że ta dziewczyna się zgubi. I istotnie zgubiła się na zawsze, tylko co mi wyznała swój błąd, swoją hańbę, i prosiła, żebym ją ocalił! Kto by uwierzył, że ja z litości przyjąłem do siebie taką nędznicę!”

– Dlaczego natychmiast nie zdarłaś maski z przewrotnego zbrodniarza? – zapytał Rudolf.

– Mój Boże, oniemiałam, straciłam głowę, nie śmiałam. Kiedy pan Ferrand wyszedł, poszłam do mego pokoju, żeby się tam wypłakać. Za dwie godziny zjawił się u mnie. „Spakowałaś swoje rzeczy?”, zapytał. „Zlituj się pan”, zawołałam padając mu do nóg, „nie wyganiaj mnie w takim stanie! Co ze mną będzie? Nie znajdę służby!” „Zasłużyłaś na to, to kara za rozpustę i kłamstwa. Jutro każę uwięzić twego ojca!” „Nie, nie”, zawołałam przestraszona, „przysięgam, już nie będę pana oskarżać, tylko mnie nie wypędzaj! Zlituj się nad moim ojcem”. Po długich prośbach pan Ferrand pozwolił mi zostać. Mój los był tak opłakany, że przyjęła i to za łaskę. Czasem tylko pan Germain, którego rzadko widywałam, pytał mnie z dobrocią o przyczynę mego smutku, ale wstyd zamykał mi usta.

– I nigdy nie przyszło ci na myśl zwierzyć się panu Germain? – zapytał Rudolf.

– Nie, bo i on także był przekonany o uczciwości pana Ferrand. Mówił o nim, że jest wymagający, twardy, surowy, lecz miał go za najuczciwszego człowieka na świecie. Pięć miesięcy przeżyłam we łzach, w ciągłym strachu i zaledwie zdołałam ukryć swój stan; ale nie mogłam mieć nadziei, że go ukryję przez ostatnie dwa miesiące. Przyszłość przerażała mnie. Wówczas wpadłam na zbrodniczy pomysł... Opowiem panu wszystko, żeby pokazać, do czego mnie przywiódł pan Ferrand. – Po chwili milczenia podjęła drżącym głosem: – Słyszałam, że w tym domu mieszka szarlatan, który...

Nie mogła skończyć.

– Biedaczko, i pisałaś do niego przed trzema dniami? Umyślnie zmieniałaś charakter pisma?

Ludwika ze strachem spojrzała na Rudolfa.

– Skąd pan wie?

– Uspokój się, byłem sam w izbie pani Pipelet, kiedy przyniesiono ten list, i teraz go sobie przypomniałem.

– A więc tak, proszę pana. W tym liście bez podpisu pisałam do pana Bradamanti, że nie śmiem sama przyjść do niego, i prosiłam go, żeby udał się jeszcze tego wieczoru do ogrodu Tuileryjskiego. Straciłam głowę, chciałam od niego okropnej porady. Wysłałam, mając zamiar zrobić wszystko, co mi każe, lecz po chwili zawróciłam i nie stawiałam się na spotkanie. Tego samego wieczoru zdarzył się wypadek, który spowodował ostatnie moje nieszczęście. Pan Ferrand myślał, że wysłałam na dwie godziny, a ja za małą chwilę wróciłam do domu. Przechodząc koło furtki ogrodowej spostrzegłam ze zdziwieniem, że jest otwarta; weszłam tamtędy i odniosłam klucz na zwykłe miejsce do gabinetu pana Ferrand. Znałam dobrze rozkład domu, wyszłam z oświetlonego pokoju jadalnego do ciemnej sali, a potem do gabinetu przylegającego do sypialni. Kiedy kładłam klucz na stole, otworzyły się drzwi sypialnego pokoju. Pan Ferrand, widząc mnie, zatrzasnął drzwi przed jakimś człowiekiem, którego nawet dobrze nie widziałam, a potem po ciemku rzucił się na mnie, chwycił mnie za szyję, jakby chciał udusić, i zapytał cicho, głosem pełnym wściekłości i strachu: „Podśluchiwałaś? Coś słyszała? Mów! Bo cię uduszę!” Lecz nagle zmienił zamiar i nim zdążyłam odpowiedzieć, wepchnął mnie do jadalni; spiżarnia była otwarta, wtrącił mnie tam i zamknął.

– A kiedy wyszłaś ze spiżarni, co ci powiedział?

– Wypuściła mnie pani Seraphin i tego wieczora nie widziałam już pana Ferrand. Ze strachu rozchorowałam się. Nazajutrz, gdy spotkałam pana Ferrand, drżałam na samą myśl o jego wczorajszych groźbach; ale jakże się zdziwiłam, kiedy rzekł do mnie spokojnie: „Wiesz przecież, że nikomu nie wolno wchodzić do gabinetu, kiedy ktoś jest u mnie, ale tak krótko masz

jeszcze u mnie zostać, że nie chcę nawet cię karcić”. I poszedł do kancelarii. Zastanowiła mnie ta łagodność. Wzięłam się do roboty, sprzątnęłam sypialny pokój. Słabo mi było, bo całą noc byłam bardzo cierpiąca. Kiedy porządkowałam jakieś ubrania w ciemnej alkowie obok sypialni, nagle dostałam zawrotu głowy, czułam, że mdleję. Padając, chciałam się czegoś przytrzymać, chwyciłam za płaszcz wiszący na ścianie i osunęłam się na ziemię z płaszczem, który mnie całą okrył. Kiedym odzyskała przytomność, drzwi sypialni były zamknięte. Usłyszałam głos pana Ferrand. Mówił bardzo głośno. Przypomniawszy sobie wypadki wczorajsze, pomyślałam, że zabiłby mnie na miejscu, gdyby wiedział, że tu jestem. Nie dostrzegł mnie, bo byłam zakryta płaszczem.

– A kto był w gabinecie z notariuszem?

– Nie wiem, nie znałam tego głosu.

– O czym mówili?

– Rozmawiali zapewne już od jakiegoś czasu, bo ja usłyszałam tylko tyle; „Nic łatwiejszego; Czerwony Janek zapoznał mnie specjalnie po to z rozbójnikami rzeczynymi mieszkającymi nad brzegiem Sekwany, pod Asnières. Cała rodzina to zapamiętali złoczyńcy, ojciec i dziad poszli pod gilotyne, dwaj synowie skazani na całe życie na galery, ale została matka, trzej synowie i dwie córki, wszyscy jedno w drugiego łotry. Nocami dla kradzieży po obu brzegach Sekwany dopływają łodziami aż do Bercy. Za talara gotowi zabić, kogo zechcesz. Niech tylko przyjmą do siebie twoją damę z prowincji, a możesz być spokojny. Powiemy jej, że Martialowie (tak się właśnie nazywają) są bardzo uczciwą rodziną; niby z pańskiego rozkazu odwiedzą ją parę razy, zapiszę lekarstwo, a za parę dni będzie już na cmentarzu w Asnières. Ale powiedz mi pan, kiedy ją myślisz odesłać do Martialów, żebym ich mógł uprzedzić, jaką rolę mają grać”. „Przyjdzie jutro, a pojutrze będzie już u nich”, odpowiedział pan Ferrand, „powiem jej, że będzie ją leczył doktor Vincent, mój znajomy”.

– Co to za nowa zbrodnia? – zapytał Rudolf, coraz bardziej zaintrygowany.

– Zaraz pan zobaczy. Wkrótce usłyszałam odsuwanie krzesel, widać skończyli rozmowę. „Nie żądam przyrzeczenia sekretu”, rzekł pan Ferrand. „Jestem w pana rękach, a pan w moich, możemy więc sobie pomagać, a nigdy szkodzić”, odpowiedział głos nieznajomego. „Do zobaczenia! Nie zapomnij: Asnières, rybak Martial i doktor Vincent. Te trzy słowa uwolnią cię za tydzień od twojej damy”. „Zaczekaj”, rzekł Ferrand „otworzę drzwi do gabinetu i zobaczę, czy nie ma kogoś w przedpokoju i czy możesz wyjść, nie dostrzeżony, przez ogród, tak jak przyszedłeś”. Pan Ferrand wyszedł w chwilę, potem wrócił i wreszcie usłyszałam, że oddalił się z ową nieznajomą osobą. Może pan sobie wyobrazić, jak drżałam podczas tej rozmowy i w jakiej byłam rozpacz, że mimo woli odkryłam tajemnicę ogromnej wagi. W dwie godziny potem pani Seraphin przyszła do mego pokoju, gdzie uciekłam, cała drżąca i słabsza niż kiedykolwiek. Rzekła mi: „Pan Ferrand cię woła”. Udałam się za nią do gabinetu pana Ferrand. Patrzył na mnie długo i przenikliwie, jakby chciał czytać w głębi mojej duszy. Spuściłam oczy. „Musisz być słaba?”, rzekł na koniec. „Tak, panie”, odpowiedziałam, zdziwiona jego tonem. „Słuchajże więc”, rzekł znowu, „pójdiesz dziś do ojca, powiesz mu, że cię wysyłam na wieś na dwa albo trzy miesiące, żebyś pilnowała świeżo kupionego domu, a przez ten czas jemu będę wypłacał twoje zasługi. Wyjedziesz jutro. Dam ci list do pani Martial, zacnej kobiety, która mieszka wraz z rodziną koło Asnières. Będzie się z tobą obchodziła jak z własną córką; doktor Vincent, mój przyjaciel, będzie cię doglądał w chorobie”...

O mało nie straciłam przytomności. Nie miałam sił odpowiedzieć, patrzyłam ze strachem na pana Ferrand, kręciło mi się w głowie. Już chciałam mu powiedzieć, co słyszałam rano, gdy wtem przypomniłam sobie, na ile nowych niebezpieczeństw naraziłoby mnie takie wyznanie. „Czemu milczysz? Nie rozumiesz mnie?”, zawołał niecierpliwie. Odpowiedziałam, że nie myślałam wprzód, żeby zamierzał wysłać mnie z Paryża i oddalić od rodziny. „Właśnie dlatego”, zawołał, „że jesteś hańbą i zakałą twojej rodziny”. I nie panując nad sobą, chwycił mnie za rękę i potracił tak silnie, że upadłam. „Daję ci czas do pojutrze”, zawołał, „ale jutro

musisz się namyślić: czy pojedziesz stąd do Martialów, czy pójdziesz do ojca i powiesz mu, że cię wypędziłem, a jego wezmą do więzienia”. Zostałam sama, nie miałam siły wstać. Pani Seraphin przybiegła na gniewny głos swego pana i przy jej pomocy zaledwie zdołałam się zawlec do siebie. Rzuciłam się na łóżko i tak zostałam aż do wieczora. Około pierwszej w nocy poznałam po okropnych boleściach, że wydama na świat dziecko przed czasem.

– Dlaczego nie zawołałaś kogoś na pomoc?

– Nie śmiałam. Pan Ferrand chciał się mnie pozbyć, więc pewno by posłał po doktora Vincent, a ten by mnie zabił tak dobrze u mego pana jak u Martialów. Tej więc nocy przyszło na świat nieszczęsne stworzenie i umarło, zapewne z powodu przedwczesnego rozwiązania. Bo ja go nie zabiłam! Nie zabiłam go! Podczas tej okropnej nocy miałam jedną chwilę gorzkiej radości: wtedy, kiedy trzymałam w ramionach moje dziecko.

Morel słuchał tego opowiadania z apatią i obojętnością, które przeraziły Rudolfa. Spozregłszy jednak, że Ludwika płacze, rzekł, przyglądając się jej uważnie:

– Ona płacze.... płacze... dlaczego płacze? Aha! Wiem, wiem, notariusz!

– Widzisz, ojczu, że jestem niewinna, nieprawdaż?

– Mów dalej – rzekł Rudolf.

Ludwika spojrzawszy z trwogą na Morela podjęła opowiadanie:

– Tuliłam moje dziecko, ale dziwiło mnie, że nie słyszę jego oddechu; myślałam: oddech takiego małego dziecka trudno dosłyszeć. Skoro tylko dzień zaczynało, przeniosłam je do okna. Spojrzałam: było sztywne, zimne, przycisnęłam usta do jego ust, żeby wyczuć oddech, przyłożyłam mu rękę do serca, nie biło, dziecko już umarło. – Tu Ludwika wybuchnęła płaczem. – W tej chwili działo się we mnie coś niepodobnego do opisanego. Resztę przypominam sobie tylko jak przez mgłę, jak sen; była to rozpacz, a zarazem zgroza, gniew i nade wszystko śmiertelny lęk.

– Co za męki! – rzekł Rudolf ze współczuciem.

– Już się dzień robił, zostało mi mało czasu, nim wszyscy wstaną. Nie wahałam się dłużej: okryłam dziecko, jak mogłam najlepiej, i zeszłam po cichu do ogrodu, żeby wykopać dół i pochować je. Lecz ziemia była zamrznięta. Zniosłam je więc do piwnicy, gdzie nikt nie wchodził zimą i przykryłam skrzynką od kwiatów. Wróciłam do swego pokoju. Nikt mnie nie widział. O wszystkim, co panu powiadam, zostało mi tylko niejasne wspomnienie. Do dziś nie mogę pojąć, skąd wzięłam przy swojej słabości dosyć odwagi i siły na to wszystko. O dziewiątej przyszła pani Seraphin dowiedzieć się, dlaczego jeszcze nie wstałam. Odpowiedziałam jej, że jestem chora, i błagałam, żeby mi pozwoliła zostać w łóżku. Cały dzień spędziłam w śmiertelnym strachu, że odkryją ciało dziecka. W nocy, kiedy wszyscy w domu już spali, podniosłam się z trudem, wygrzebałam dół w ogrodzie i pochowałam tam moje dziecko. Dużo mnie to kosztowało, nie mogłam się oderwać od grobu. Biedne dzieciątko! Leżało w zimnej ziemi. Wróciłam do mego pokoju i rozgorączkowana położyłam się do łóżka. Rano pan Ferrand przyszedł dowiedzieć się, jak się czuję; odpowiedziałam, że mi lepiej i że nazajutrz na pewno będę mogła wyjechać na wieś. Cały ten dzień zostałam w łóżku, żeby nabrać sił. Wieczorem wstałam i poszłam do kuchni ogrzać się. Potem poszłam do ogrodu zmówić pacierz na świeżym grobie. Wracając do siebie, spotkałam pana Germain na schodach u drzwi pokoju, gdzie często pracował. Był bardzo blady i wsunął mi w rękę rulon luidorów, rzekł prędko: „Jutro rano mają uwięzić twego ojca za weksel na tysiąc trzysta franków, którego nie może zapłacić. Masz tu pieniądze i jutro skoro świt idź do niego. Dziś dopiero poznałam pana Ferrand, to zły człowiek, ale ja ujawnię jego podłość. Tylko nie mów nikomu, że to ja ci dałam te pieniądze”. I nie zostawiając mi czasu na podziękowanie, szybko zbiegł po schodach. Dziś rano – mówiła dalej Ludwika – kiedy jeszcze wszyscy spali w domu pana Ferrand, przybiegłam tu z pieniędzmi od pana Germain. Zapewne po moim wyjściu z domu ktoś wszedł do mego pokoju i znalazł ślady, które naprowadziły na to straszne odkrycie. Proszę pana jeszcze o jedną łaskę – dodała Ludwika, dobywając z kieszeni paczkę luidorów –

bądź tak dobry i oddaj te pieniądze panu Germain. Obiecałam mu, że nikomu nie powiem, iż pracuje u pana Ferrand, ale skoro pan już wiedział o tym, to nie zdradziłam tajemnicy. Nagle zawołała przestraszona:

– Ale patrz pan! Patrz na mego ojca! – i zbliżywszy się do Morela, zaczęła wołać: –Oj-cze!... Ojcie!... Ojcie!...

Morel spojrział na nią niepewnym, mętnym wzrokiem wariata. Odpowiedział po cichu, łagodnie, lecz smutnie:

– Winienem tysiąc trzysta franków notariuszowi, to cena krwi Ludwika. Trzeba pracować! O! zapłacę, zapłacę, zapłacę!

– Ojcie! – krzyknęła Ludwika, rzuciła się na kolana i ścisnęła go za ręce. – To ja; Ludwika!

– Tysiąc trzysta franków – powtórzył, wyrывая się z objęć córki – tysiąc trzysta franków. A jeżeli nie – dodał po cichu, tajemniczo – a jeżeli nie, Ludwika pójdzie pod gilotynę.

Ludwika krzyknęła przerażona:

– Zwariował! I cóż stanie się z matką, z babką, siostrami, braćmi? Utracili i ojca, i mnie, umrą z głodu, nędzy i rozpacz!

– Alboż mnie tu nie ma? Bądź spokojna, nie zabraknie im niczego. Nabierz odwagi! Twoje wyznanie sprowadzi karę na wielkiego zbrodniarza. Ta myśl powinna ci dodać siły do zniesienia tych nieszczęść.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Bądź pewna, że ty, twój ojciec i twoja rodzina będziecie pomszczeni. Przysięgam ci uroczyście, że ten człowiek odpokutuje za swe zbrodnie, za hańbę, za obłąkanie, za śmierć, za wszystko, co spowodował. Nawet jeżeli prawo nie potrafi go osiągnąć, jeżeli jego chytryść dorównuje podłości, i tak będzie ukarany.

– Oby Bóg pana wysłuchał!

Drzwi otworzyły się. Wszedł komisarz.

– Mój czas jest wyliczony – rzekł do Rudolfa – z żalem oświadczam, że nie mogę pozwolić na dłuższą rozmowę.

– Rozmowa już skończona – odpowiedział z goryczą Rudolf, wskazując na Morela. – Ludwika nie ma nic więcej do powiedzenia ojcu, a on nic od niej nie usłyszy, stracił zmysły.

– Wielki Boże! Tego się lękałem. Ach, to okropne! – zawołał komisarz. – Wierzaj mi pan, nasze obowiązki prawie zawsze są tak przykre, że najszczęśliwsi jesteśmy, gdy trafiamy na uczciwość i cnotę.

– Jeszcze jedno słowo: opowiadanie Ludwika przekonało mnie o jej niewinności. Czy nie mógłby mi pan powiedzieć, jakim sposobem wykryto jej mniemaną zbrodnię?

– Dziś rano – odparł komisarz – gospodyni notariusza Ferrand doniosła mi, że po nagłym odejściu służącej Ludwika znaleziono w ogrodzie zakopane niemowlę. Na takie doniesienie udałem się na ulicę Sentier; pan Ferrand był oburzony, że coś podobnego zdarzyło się w jego domu.

Rudolf ledwie zdołał powstrzymać wybuch gniewu, kiedy komisarz wspomniał o oburzeniu pana Ferrand; lecz hamując się, odpowiedział urzędnikowi:

– Dziękuję panu za jego grzeczność i obietnicę wstawienia się za Ludwiką; tego biedaka i matkę jego żony każę zaraz odprowadzić do szpitala dla obłąkanych. – Potem, zwracając się do Ludwiki, która ciągle klęczała przed ojcem, starając się obudzić w nim przytomność, dodał: – Moje dziecko, nie żegnaj się z matką, oszczędź jej bólu. I bądź o nią zupełnie spokojna. Twojej rodzinie na niczym nie będzie zbywać.

W dwie godziny po aresztowaniu Ludwiki doktor Dawid z rozkazu Rudolfa odwiózł szlifierza i starą wariatkę do Charenton.

Morel opuścił dom bez oporu. Obojętnie szedł tam, dokąd go zaprowadzono.

Stara była głodna; pokazali jej kawałek mięsa i chleba, poszła więc za mięsem i chlebem.

Po brylanty, zostawione tymczasem u żony Morela, przyszła tegoż jeszcze dnia pani Mathieu i zabrała je. Na nieszczęście szpiegował ją Kulas: dowiedział się ich istotnej wartości, podsłuchując pod drzwiami. Poszedł więc za panią Mathieu i wypatrzył, że mieszka na bulwarze Saint-Denis pod numerem 12.

LIV

Jakub Ferrand i jego kancelaria

Na ulicy Sentier ciągnął się w tym czasie długi, popękany mur, którego wierzchni brzeg dla większego bezpieczeństwa posypano tłuczonym szkłem; mur ten otaczał ogród notariusza Ferrand i sięgał aż do jednopiętrowego domu wychodzącego frontem na ulicę. Koło izby odzwierne kręte schody, ciemne i wąskie, prowadziły do kancelarii.

Dom był zniszczony, na murze krzyżowały się w najrozmaitszych kierunkach liczne rysy, okna i okiennice, dawniej popielate, szerniały ze starości; sześć okien pierwszego piętra, wychodzących na podwórze, nie miało firanek, a szyby pokryte były tłustym brudem i straciły przejrzystość. W oknach na parterze widać było żółte firanki i różowe kwiaty. Od strony ogrodu zostały tylko cztery okna, dwa zamurowano. Ogród, zupełnie opuszczony, zarósł zieliskiem.

Tak wyglądało ponure domostwo. Do tego wyglądu pan Ferrand przywiązywał wielką wagę. W oczach pospolitych ludzi niedbałość o wygody uchodzi zwykle za prawość; burdy za surowość obyczajów. Wiele osób, porównując wykwintne mieszkania niektórych notariuszy i zbyt wysokie stroje ich żon z posępnym domem pana Ferrand, nacechowanym pogardą dla elegancji i wystawności, czuło szacunek i ślepe zaufanie do tego człowieka. Dlatego też napływały do pana Ferranda depozyty wymagające wypróbowanej uczciwości.

A teraz kilka słów o charakterze tego człowieka. Należał do wielkiej rodziny skąpców. Skąpstwo jest namiętnością bierną. Pospolity skąpiec nieustannie stara się wzbogacić: zmniejsza wydatki do minimum, ogranicza konieczne nawet potrzeby, ale nie myśli o bogaceniu się cudzym kosztem, nie chce ryzykować. Pod tym względem Jakub Ferrand był ciekawym wyjątkiem albo może nowym gatunkiem w rodzaju skąpców. Bo ryzykował, i to dużo. Liczył na swą wielką przebiegłość, zdolność do hipokryzji i inteligencję, piekielną śmiałość i ufął, że zapewnią mu one bezkarność za liczne zbrodnie. Był podwójnym wyjątkiem. Bo zbrodniarzy energicznych, śmiałych, którzy się ważą na wszystko, byle zdobyć złoto, zwykle pożera jakaś namiętność: gra, marnotrawstwo, rozwiązłość. Jakub Ferrand zaś nie znał tych gwałtownych potrzeb. Cierpliw i chytry jak fałszerz monet, okrutny i śmiały jak morderca, prowadził życie skromne i regularne jak Harpagon. Jedną tylko namiętnością, a raczej haniebną, nikczemną, zwierzęcą żądzą, często doprowadzała go do szaleństwa. Była to lubieżność.

Poza tym Jakub Ferrand kochał tylko złoto. Kochał złoto dla złota. Nie dla przyjemności, które by mógł kupić – o to nie dbał zupełnie. Jak artysta rozmiłowany w swoim dziele, w płodzie swego geniuszu – kochał depozyty. Bo ileż starania, hipokryzji, chytrych, zręczności, słowem – sztuki musiał użyć, żeby poprzez depozyty dostały się do jego kieszeni pieniądze.

Dowiemy się w dalszym ciągu naszej powieści, jakimi sposobami, za pomocą jakich wybiegów i jak chytrze zdołał przywłaszczyć sobie bezkarnie znaczne sumy.

To pełne podstępów życie dawało mu ciągle wstrząsające wzruszenia, podobne do tych, jakie przeżywa szuler podczas gry. Przeciw cudzemu majątkowi stawiał hipokryzję, chytrych, śmiałość, głowę nawet. I wygrywał.

Jakub Ferrand miał przeszło pięćdziesiąt lat, a nie wyglądał nawet na czterdzieści; był średniego wzrostu, o szerokich ramionach, silny, krępy, rudy, obrośnięty jak niedźwiedź. Głowę miał łysą, tylko na skroniach tkwiły przypłaszczone kosmyki. Brwi ledwie widoczne, żółtawa cera pokryta niezliczonym mnóstwem piegów; kiedy był mocno wzruszony, znikła ta żółta maska, a zastępował ją sinokrwawy rumeniec. Wzrok miał notariusz wyborny, lecz

spod okularów mógł patrzeć niepostrzeżenie, a wiedział, że jeden rzut oka często ma ogromne znaczenie. Okulary były jego murem, zza którego obserwował najmniejsze ruchy nieprzyjaciela; bo wszyscy byli nieprzyjaciółmi notariusza – wszystkich oszukiwał.

Ubierał się niedbale aż do niechlujstwa, golił się co parę dni, paznokcie miał czarne od brudu, surdut wytarty i zatłuszczony.

Kancelaria pana Ferrand podobna była do każdej innej kancelarii, jego kanceliści do wszystkich kancelistów na świecie. Poprzedzał ją przedpokój, w którym stały tylko cztery stare krzesła. Dalej był pokój z szafami pełnymi akt. Siedział tam zwykle najstarszy pisarz. Od tego pokoju, dla większego bezpieczeństwa, jeszcze jeden pusty pokój dzielił gabinet samego notariusza.

Druga wybiła na staroświeckim zegarze ściennym z kukułką, stojącym w kancelarii; jakiś temat mocno zajmował pracowników notariusza: urywek ich rozmowy da go nam poznać.

– Gdyby mi ktokolwiek powiedział, że Franciszek Germain jest złodziejem – rzekł jeden z młodzieńców – odpowiedziałbym: kłamiesz!

– I ja także!

– I ja też!

– Kiedy zobaczyłem, że go aresztują, nie mogłem jeść śniadania z wrażenia. Nic na tym nie straciłem, bo przynajmniej nie jadłem codziennego bigosu, którym nas raczy pani Seraphin.

– Siedemnaście tysięcy franków to jest suma!

– I to jaka!

– Ale popatrzcie: przez piętnaście miesięcy, jak Germain był kasjerem, nigdy w kasie nie brakowało ani grosza.

– A mnie się wydaje, że notariusz źle zrobił, każąc aresztować Germaina. Biedny chłopak przysięgał na wszystko, że wziął tylko tysiąc trzysta franków.

– Tym bardziej że odnosił je dziś rano do kasy właśnie wtedy, kiedy notariusz posłał po policję.

– To wada ludzi bezwzględnej uczciwości, jak pan Ferrand; nie ulitują się.

– Sprawa Germaina nie wydaje mi się czysta.

– Przecież sam się przyznał.

– Przyznał się, że wziął tysiąc trzysta franków, ale zarzeka się, że nie brał ani piętnastu tysięcy franków w biletach bankowych, ani siedmiuset franków w złocie.

– I to prawda: skoro się przyznał do jednego, czemuż by miał przeczyć drugiemu?

– Zupełnie tego nie rozumiem. Przecież za pięćset franków czeka go taka sama kara jak i za piętnaście tysięcy.

– A! Wraca Chalamel! Dopiero się zdziwi!

– Co słyhać, moi drodzy? Czy znów co nowego z biedną Ludwiką?

– Już byś wiedział, włóczęgo, gdybyś nie siedział tak długo w mieście.

– Tak wam się wydaje, że stąd do hrabiego Saint-Remy tylko dwa kroki – odpowiedział przybyły. – Czy hrabia jeszcze nie był u naszego starego?

– Nie.

– A kazał mi powiedzieć przez służącego, że zaraz tu przyjedzie. Ach, panowie, jaki ma piękny dom! – rzekł Chalamel, zdejmując kalosze.

– Ale za to jakie ma długi – zauważył jeden z kancelistów.

– Woźny – rzekł drugi – przyniósł tu wyrok, według którego ma zapłacić trzydzieści cztery tysiące franków; suma ta ma być złożona tu, w kancelarii. Nie wiem dlaczego, ale wierzyciel żąda tego.

– Zapewne teraz piękny hrabia jest w stanie zapłacić, skoro wczoraj wrócił ze wsi, gdzie przez trzy dni ukrywał się przed komornikami.

– Ale dlaczego nie zajęto mu dotąd ruchomości?

– Bo nie można. Dom, w którym mieszka, nie należy do niego, meble są własnością jego lokaja, podobnie konie i powozy należą niby to do jego stangreta. Oho! To spryciarz, ten pan de Saint-Remy. Ale coście mówili? Co się tu stało?

– Wyobraź sobie, przed dwoma godzinami wchodzi rozgniewany pan Ferrand i woła: „Jest tu Germain? Nie ma? O, łotr! Ukradł mi wczoraj siedemnaście tysięcy franków”.

– Germain miałby kraść? Żartujesz!

– Czekajże. Pan notariusz powiada do odźwiernego: „Jak pan Germain przyjdzie, nic mu nie mów, tylko przyślij go do kancelarii. Zawstydzę go przy tych panach”. W kwadrans potem przychodzi biedny Germain jak gdyby nigdy nic. „Germain”, pyta pan Ferrand, „co tak późno przychodzisz?”, „Bo musiałem dziś rano iść do Belleville”. „Zapewne schować pieniądze, które mi skradłeś?”, zawołał pan Ferrand surowo.

– Cóż na to Germain?

– Zbladł jak chusta i odpowiedział zmieszany: „Panie, błagam cię, nie gub mnie. Nie gub mnie pan!” „Przyznajesz się więc, niegodziwco?” „Przyznaję, ale oto pieniądze, których brakuje. Kiedy je brałem, wiedziałem, że dziś rano będę mógł je zwrócić; oto są; tysiąc trzysta franków!” „Tysiąc trzysta franków!”, zawołał pan Ferrand. „Alboż to idzie o tysiąc trzysta franków? Ukradłeś mi z biurka piętnaście biletów po tysiąc franków w zielonym pugilaresie i dwa tysiące franków w złocie”. „Ja? Nigdy!”, zawołał biedny Germain. „Wziąłem tysiąc trzysta franków w złocie, ale ani grosza więcej. Nie widziałem nawet pugilaresu w szufladzie; było tylko dwa tysiące franków w pudełku”. „Bezczelny kłamco!” krzyknął notariusz. „Powiedasz, żeś ukradł tysiąc trzysta franków! Mogłeś ukraść i więcej, sąd dowie się prawdy”. Na to przyszła policja, spisali protokół i zabrali naszego Germaina.

– Można by powiedzieć, że przeczuwał swoje nieszczęście.

– Może gryzł się z powodu Ludwiki.

– Z powodu Ludwiki?

– Powtarzam tylko, co mi mówiła dziś rano pani Seraphin.

– Że jest kochankiem Ludwiki i ojcem tego dziecka?

– Ręczę wam, że to nieprawda.

– Skądże jesteś tak pewny swego, Chalamelu?

– Jakies dwa tygodnie temu powiedział mi Germain w sekrecie, że kocha się szalenie, ale to szalenie, w pewnej poczciwej szwaczce, którą poznał w domu, gdzie dawniej mieszkał; mówił mi o niej ze łzami w oczach.

W tej chwili wszedł do kancelarii starszy kancelista.

– I cóż – zapytał Chalamela – wszędzie pan byłeś?

– Wszędzie, panie Dubois; hrabia Saint-Remy przyjedzie wkrótce i zapłaci.

– A u hrabiny Mac-Gregor byłeś?

– Byłem, oto jej odpowiedź.

– A u hrabiny d'Orbigny?

– Kazała podziękować panu notariuszowi; wczoraj rano przyjechała z Normandii, nie spodziewała się tak prędko odpowiedzi; tu jest list od niej. Aha, jeszcze jedno: od odźwiernego na dole wziąłem bilet wizytowy; zostawił go jakiś pan, napisał tam kilka słów ołówkiem.

– Walter Murf – przeczytał starszy dependent. – Przyjdzie o godzinie trzeciej w ważnej sprawie. Nie znam tego nazwiska.

– Poza tym – dodał Chalamel – pan Badinot kazał powiedzieć, żeby pan Ferrand zrobił, jak będzie uważał za najlepsze; to zawsze będzie dobrze.

– Nie dał ci nic na piśmie?

– Nie, nie miał czasu.

– Pan Karol Robert ma także przyjść dzisiaj pomówić z panem notariuszem; podobno wczoraj pojedynkował się z księciem de Lucenay.

– Jest ranny?

- Raczej nie, bo nic mi o tym nie mówiono u niego w domu.
- Patrzcie, zajechał jakiś powóz.
- Ale piękne konie! Co za ogier!
- O! – rzekł Chamel, wyrzawszy przez okno. – To powóz hrabiego de Saint-Remy.
- Wszystko takie modne! Aż w oczy kole! Hrabia wysiadł z pojazdu.

LV

Pan de Saint-Remy

Opisaliśmy już piękną twarz, wyszukaną elegancję, zgrabną figurę hrabiego de Saint-Remy, który właśnie wrócił z folwarku Arnouville, własności księżnej de Lucenay, dokąd się był schronił przed komornikami.

Pan de Saint-Remy wszedł do kancelarii w kapeluszu na głowie, z miną wyniosłą i dumną. Przymrużył oczy i zapytał nie patrząc na nikogo:

– Gdzie jest notariusz?

– Pan Ferrand pracuje w swoim gabinecie – odpowiedział starszy pisarz – zechciej pan chwilę poczekać; zaraz pana przyjmie.

– Jak to, czekać?

– Ależ, proszę pana...

– Żadnych ale; proszę mu powiedzieć, że pan de Saint-Remy jest tutaj. To zadziwiające: mnie kazać czekać w przedpokoju! Pfuj, jaki swąd z tego pieca!

– Bądź pan łaskaw wejść do drugiego pokoju – rzekł starszy pisarz – już idę do pana Ferrand.

Pan de Saint-Remy wzruszył ramionami i wyszedł za pracownikiem notariusza. Po kwadransie, który wydał mu się niezmiernie długi, wpuszczono go do gabinetu pana Ferrand.

Ciekawe było spotkanie tych dwóch ludzi; obaj umieli czytać z twarzy i przywykli od pierwszego rzutu oka wnosić, z kim mają do czynienia.

Hrabia nie zrobił jeszcze dwóch kroków, nie powiedział słowa, a notariusz, znający go tylko ze słyszenia, już go zniecierzył. Raz dlatego, że widział w nim rywala w oszustwach, a po drugie – że sam miał wygląd nikczemny i bynajmniej nie cierpiał w innych elegancji, wdzięku i młodości, zwłaszcza jeśli łączyła się z tym wyniosła mina.

Hrabia znał również Jakuba Ferrand tylko ze słyszenia; wyobrażał go sobie jako śmiesznego pocziwca, bo i jakże według niego miał wyglądać człowiek bezwzględnej prawości, za jakiego uchodził notariusz. Kiedy go jednak zobaczył, fizjonomia i postawa notariusza zrodziły w nim uczucie pół bojaźni, pół nienawiści, chociaż nie miał powodów ani się go bać, ani nienawidzić. Notariusz nie zdjął z głowy czapeczki. Hrabia także został w kapeluszu i zawołał jeszcze przy drzwiach, tonem wyniosłym i gniewnym:

– To szczególnie, mój panie! Kazać mi tu przychodzić zamiast przysłać do mnie po pieniądze za weksle, które podpisałem Badinotowi i o które ten głupiec wytoczył mi proces. Wprawdzie powiadasz pan, że jeszcze masz mi coś ważnego powiedzieć. Zgoda, ale czemu kazać mi kwadrans czekać w przedpokoju? Nie wydaje mi się to grzeczne, mój panie.

Jakub Ferrand spokojnie skończył swoje rachunki. Popatrzwszy chwilę na hrabiego, zapytał opryskliwie:

– Gdzie pieniądze?

Ta zimna krew rozgniewała pana de Saint-Remy.

– A weksle gdzie? – odpowiedział tymże tonem.

Notariusz bez słowa uderzył twardym, pokrytym rudymi włosami palcem w duży, skórzany pugilares.

Hrabia trząsł się z gniewu, lecz postanowiwszy dorównać Ferrandowi zimną krwią, wyjął z kieszeni portfelik zapięty na złote klamerki, wyjął z niego czterdzieści biletów po tysiąc franków i pokazał notariuszowi.

- Ile? – zapytał notariusz.
- Czterdzieści tysięcy franków.
- Daj pan.
- Proszę, i kończmy prędko; zrób pan swoje, weź zapłatę i oddaj mi weksle – rzekł hrabia, niecierpliwie rzucając na stół bilety bankowe.
- Notariusz wziął je, wstał, podszedł do okna i pod światło oglądał jeden po drugim tak pilnie, ze skrupulatnością tak obraźliwą, że hrabia zbladł z gniewu. Notariusz, jakby zgadując jego myśli, ruszył głową, odwrócił się do niego i rzekł obojętnie:
 - Zdarzały się...
 - Pan Saint-Remy, na chwilę zmieszany, spytał sucho: – Co?
 - Fałszywe bilety bankowe – odpowiedział notariusz, przeglądając dalej pieniądze.
 - Dlaczego mi pan to mówisz?
- Ferrand spojrział na hrabiego, nieznacznie wzruszył ramionami i znowu w milczeniu przeglądał banknoty.
 - Do pioruna, panie notariuszu, mnie się odpowiada na pytania! – krzyknął rozgniewany Saint-Remy. – Pytam, dlaczego mi pan wspominasz o fałszywych pieniądzach.
 - Dlaczego?
 - Tak!
 - Bo wezwałem pana tutaj właśnie w sprawie o fałszerstwo. – I notariusz wlepił wzrok w hrabiego.
 - Cóż ja mam z tym wspólnego?
- Po chwili milczenia Ferrand rzekł głosem smutnym i surowym:
 - Czy pan wie, jakie są obowiązki notariusza?
 - Bardzo proste, zdaje mi się. Miałem czterdzieści tysięcy franków, teraz mam tylko tysiąc trzysta.
 - Pan raczej żartować. A ja panu powiem, że notariusz jest tym w sprawach doczesnych, czym spowiednik w sprawach duchowych. Ze swego obowiązku dowiaduje się często o bardzo haniebnym tajemnicach.
 - Nie rozumiem.
 - Przed dwoma miesiącami sprzedałeś pan za pośrednictwem ajenta weksel na pięćdziesiąt tysięcy franków, wydany przez bankiera Meulaert z Hamburga, na osobę Williama Smitha, płatny za trzy miesiące u tutejszego bankiera Grimaldiego.
 - Cóż z tego?
 - Ten weksel jest fałszywy!
 - Nieprawda!
 - Fałszywy. Bankier Meulaert nie miał nigdy stosunków z Williamem Smithem, nie zna go nawet.
 - Czy podobna? – zawołał pan Saint-Remy ze zdziwieniem i oburzeniem. – W takim razie oszukano mnie niegodziwie, bo ja ten weksel dostałem za gotówkę.
 - Od kogo?
 - Od Williama Smitha. Dom Meulaert jest znany, zaufałem słowu pana Smitha i przyjąłem od niego ten weksel jako spłatę długu.
 - Pan William Smith nigdy nie istniał, to osoba zmyślona.
 - Pan mnie obrażasz, mój panie!
 - Jego podpis jest fałszywy, sfabrykowany, jak cały weksel.
 - A ja panu powtarzam, że William Smith istnieje, tylko mnie oszukał.
 - Biedny młodzieńcze!
 - Cóż to ma znaczyć?
 - Obecny posiadacz weksla jest przekonany, żeś go pan sfalszował.
 - Panie!

– Powiada, że ma na to dowody; wczoraj przyszedł i prosił mnie, żebym pana wezwał do siebie i oświadczył, że gotów jest oddać fałszywy weksel za wynagrodzeniem. Dotąd wszystko idzie uczciwie, ale dalej nie jest już tak uczciwie, i powtarzam to tylko dla pana wiadomości! Żąda sto tysięcy franków dziś jeszcze, inaczej bowiem jutro weksel będzie złożony u prokuratora królewskiego.

– To niegodziwość!

– Chce podle wykorzystać podły postępek. Obiecałem, że panu oświadczę jego warunki, chociaż powiedziałem mu przy tym wyraźnie, że takie zdzierstwo jest ohydne w oczach każdego uczciwego człowieka. Reszta należy do pana. Jeżeli jesteś winny, wybieraj między sądem a żądanym okupem. Wypełniłem swój obowiązek i więcej nie chcę się mieszać do takich brudów. Właściciel weksła nazywa się Petit-Jean, handluje oliwą przy ulicy Billy nr 10. Porozum się pan z nim. Jeżeli jesteś fałszerzem, jak on utrzymuje, nie przyniesie ci ujmy taka znajomość.

Pan Saint-Remy wszedł był do notariusza z miną hardą i wyniosłą. Po chwili namysłu on, tak dumny, tak pyszniący się swoją odwagą, poczuł, że będzie musiał błagać gbura, który przemawiał do niego surowym językiem uczciwego człowieka.

– Dał mi pan dowód przychylności, za który jestem niezmiernie wdzięczny; załuję, że się uniosłem – rzekł ujmującym tonem.

– Nie ma tu mowy o przychylności – odpowiedział notariusz surowo. – Pański ojciec był uczciwym człowiekiem, nie chciałbym widzieć jego nazwiska wleczonego pod sąd kryminalny.

– Jesteś pan bardzo surowy. Ale przypuściwszy, że tak jest w istocie, czyliż nie znajdę pieniędzy w takiej ostateczności? Tylko trudno mi będzie dostać je na jutro. Użyj więc pan tych, które dziś dałem, na wykupienie tamtego weksła. Albo też... pan jesteś tak bogaty... bądź tak dobry i pożycz mi pieniędzy. Nie zostawiaj mnie w tak okropnym położeniu.

– Ja mam założyć za pana sto tysięcy franków! Czyś pan oszalał?

– Panie, zaklinam cię na imię mego ojca, którego tak szanujesz! Miej litość!

– Mam litość dla tych, którzy na nią zasługują – odpowiedział notariusz – jestem uczciwy i nienawidzę oszustów. Nie martwiłbym się, gdyby choć raz jakiś elegancik bez czci i wstydu stał pod pręgierzem dla przykładu innych. Ale słyszę, że konie pana hrabiego się niecierpliwia – dodał, uśmiechając się złośliwie.

Wtem zapukano do drzwi.

– Kto tam? – zapytał Ferrand.

– Pani hrabina d'Orbigny – odezwał się starszy pisarz.

– Poproś panią d'Orbigny. – Potem, zwracając się do pana Saint-Remy, dodał: – Zabierz pan swoje tysiąc trzysta franków, będzie to przynajmniej zadatek dla pana Petit-Jean.

Pani d'Orbigny, była pani Roland, wchodziła właśnie, kiedy wychodził Saint-Remy, wściekły, że poniżył się na próżno przed notariuszem.

– A, dzień dobry, panie Saint-Remy – zawołała. – Dawno pana nie widziałam!

– Istotnie od ślubu pana d'Harville nie miałem szczęścia nigdzie pani spotkać – odpowiedział hrabia z ukłonem, zmuszając się do uprzejmości – od tego czasu stale pani przebywa w Normandii.

– Tak, mój mąż nie może się rozstać ze wsią. Widzisz więc przed sobą istną parafiankę, nie byłam w Paryżu od czasu małżeństwa mej pasierbicy z panem d'Harville. Często ich pan widuje?

– D'Harville zdziczał, nigdzie nie bywa – odpowiedział Saint-Remy z lekką niecierpliwością. Złościła go ta rozmowa: raz, że prowadzona zupełnie nie w porę, a po drugie, że zdawała się bawić notariusza. Ale macocha pani d'Harville, zachwycona spotkaniem eleganta, nie myślała puścić go tak łatwo.

– Spodziewam się jednak – rzekła – że moja kochana pasierbica nie uciekła od świata jak jej mąż?

– Pani d'Harville, jak każda ładna kobieta, jest zawsze pożądana w wielkim świecie. Ale może zajmuję pani drogi czas... toteż...

– Wcale nie, zapewniam pana. To prawdziwe szczęście dla mnie spotkać króla mody, w dziesięć minut dowiem się wszystkiego o Paryżu, jakbym w nim mieszkała. Co robi pan de Lucenay, który wraz z panem był świadkiem na ślubie państwa d'Harville?

– Ach, coraz większy dziwak: wyjechał do krajów wschodnich i wrócił jakby umyślnie po to, żeby zostać ranionym w pojedynku, wprawdzie bardzo lekko.

– Biedny! A jego żona ciągle tak urocza i zachwycająca?

– Pani wie, że zaliczam się do jej najszczęśliwszych przyjaciół, moje zdanie byłoby podejrzane. Racz pani za powrotem na wieś nie zapomnieć polecić mnie panu d'Orbigny.

– Przyznaj, hrabio, że pan Ferrand jest okropnym człowiekiem – rzekła pani d'Orbigny. Potem, zwracając się do notariusza, dodała: – Ależ z pana cudotwórcą, wiele dokazałeś, żeś nawrócił hrabiego! Zrobiłeś rozsądnym pierwszego eleganta, króla mody.

– Ma pani słuszność, to zupełne nawrócenie, pan hrabia wychodzi ode mnie całkiem inny, niż wszedł.

– Powiadam panu, cuda robisz!

– O, pani mi pochlebia – rzekł notariusz skromnie. Saint-Remy złożył ukłon pani d'Orbigny; potem przy wyjściu chciał jeszcze raz spróbować zmiękczyć notariusza i rzekł tonem wesołym, nie wolnym jednak od ukrytej trwogi:

– Ostatecznie więc, kochany panie Ferrand, nie zrobisz mi tego, o co proszę?

Notariusz posunął okrucieństwo do tego stopnia, że udał, iż się waha; pan Saint-Remy przez chwilę cieszył się nadzieją.

– Jak to, uległbyś, mężu nieugięty? – rzekła śmiejąc się hrabina. – Czy i pana hrabia oczarował?

– Istotnie, o małym nie uległ, jak pani mówi, ale teraz rumienię się za moją słabość. – Potem, obracając się do hrabiego, powiedział: – Bez żartów, to niemożliwe. Hrabia wyszedł w rozpacz. Po chwili namysłu rzekł do siebie:

– To konieczne. – Po czym rozkazał strzelcowi, stojącemu u drzwiczek pojazdu: – Do pałacu Lucenay.

LVI

Testament

Czytelnik pamięta, co mówiła markiza d'Harville o pani d'Orbigny, swojej macosze. Przyglądając się uważnie twarzy pełnej fałszu i chytryści, można tam wykryć także i rodzaj podstępного okrucieństwa.

– Jakież to uroczy człowiek ten hrabia Saint-Remy! – rzekła pani d'Orbigny do Jakuba Ferrand, gdy hrabia wyszedł.

– Uroczy... Ale mówmy o interesach, hrabino. Napisała pani do mnie z Normandii, że chcesz się mnie poradzić w ważnej sprawie.

– Czyliż pan nie był zawsze moim doradcą, odkąd poczciwy doktor Polidori zapoznał mnie z panem? Lecz skoro już mówimy o nim, czy ma pan od niego jaką wiadomość? – zapytała pani d'Orbigny z największą swobodą.

– Od wyjazdu z Paryża tylko raz napisał do mnie – odpowiedział notariusz obojętnie.

Tu uprzedzimy czytelnika, że oboje wzajemnie i bezczelnie się okłamywali. Notariusz niedawno widział się z Polidorim i proponował mu, żeby na krótki czas przeniósł się do Asnières pod nazwiskiem doktora Vincent; miał otruć Ludwikę Morel. Macocha pani d'Harville także przybyła do Paryża dla tajemnych układów z tym zbrodniarzem, ukrywającym się już od dawna pod nazwiskiem Cezara Bradamanti.

– Zresztą nie idzie tu o doktora – odezwała się znowu pani d'Orbigny – widzisz mnie pan pogrążoną w największym niepokoju; mąż mój zasłabł, coraz bardziej upada na zdrowiu. Nie mam wprawdzie powodu obawiać się o niego, jednak ten stan jest dla mnie bardzo przykry albo raczej niezmiernie przykry dla niego – dodała, ocierając wilgotne oczy.

– O cóż więc idzie?

– Ciągłe mi napomyka z spisaniu ostatniej woli w testamencie. – Tu pani d'Orbigny zakryła twarz chustką.

– Smutne to wprawdzie – odpowiedział notariusz – ale ostrożność tego rodzaju sama w sobie nie ma nic zatrważającego. Jakie więc byłyby rozporządzenia pana d'Orbigny?

– Zdaje mi się – odrzekła pani d'Orbigny z udaną obojętnością – zdaje mi się, że nie tylko chce mi zostawić wszystko, co mi przysługuje prawnie, ale i więcej. Ach, proszę pana, nie mówmy o tym.

– A jego córka? – zawołał pan Ferrand karcącym tonem. – Muszę pani oświadczyć, że od roku pan d'Harville powierza mi niektóre interesy, jeszcze ostatnio doradziłem mu kupno pięknego majątku. Zna pani moją uczciwość, w interesach zawsze jestem za sprawiedliwością, tylko za nią obstaję. Jeżeli mąż pani zamierza skrzywdzić córkę, otwarcie powiem, że w tym mu nie będę pomagał. Idę zawsze prostą drogą, innej nie znałem i nie znam.

– A czy ja kiedy inaczej postępuję? Dlatego też ciągle powtarzam mężowi: „Twoja córka bardzo zawiniła względem ciebie, to prawda, ale to nie racja, żeby ją wydziedziczyć”.

Aby przezwyciężyć mój opór, moje wahanie, powiedział mi: „Nie wymagam, żebyś się zobaczyła z moim notariuszem, bo możesz myśleć, że on będzie zbyt uległy moim życzeniom. Ale zdajmy się na decyzję człowieka, którego surową uczciwość zna cały świat. Niechaj pan Jakub Ferrand zawyrokuje”. Zgodziłam się na to i tak oto został pan naszym sędzią. „Nie wątpię”, dodał mój mąż, „że pan Ferrand nie będzie przeciwny moim życzeniom, a w razie jego zgody pošle mu plenipotencję do sprzedania moich papierów publicznych, suma za

nie otrzymana zostanie u niego w depozycie, a po mojej śmierci będziesz przynajmniej miała zapewniony los godny ciebie”...

Oczy Ferranda zaiskrzyły się na samą wzmiankę o depozycie. Odpowiedział jednakże z udaną niechęcią:

– Spokoju mi nie dają. Chyba dziesiąty czy dwunasty raz obierają mnie za arbitra, zawsze pod pozorem, że ufają mojej prawości, tylko o tym gadają. Prawość! Prawość! Co mi z niej przyjdzie? Tylko ambarasy i trudy. Ale do rzeczy. Uważam, że pani poświęciła się dla pana d'Orbigny. Córka jest bardzo bogata, pani nie ma nic, rzecz wydaje się słuszna i według mnie pani powinna przyjąć spadek.

– Przyjmę więc – odpowiedziała pani d'Orbigny z głębokim westchnieniem. Wszedł kancelista.

– Czego chcesz? – zapytał Ferrand.

– Hrabina Mac-Gregor chce się widzieć z panem.

– Proś, niech chwilę zaczeka.

– Nie zabieram więcej czasu, kochany panie Ferrand – rzekła pani d'Orbigny – napiszesz zatem do mego męża, ponieważ on sobie tego życzy, i natychmiast przyśle ci plenipotencje.

– Napiszę.

I pani d'Orbigny ustąpiła miejsca Sarze Mac-Gregor.

LVII

Hrabina Mac-Gregor

Sara weszła do pokoju notariusza ze zwykłym spokojem i pewnością ą siebie; Jakub Fer-
rand nie znał jej i nie wiedział, co ją sprowadza; toteż miał się na ostrożności jeszcze bardziej
niż zwykle, sądząc, że wpada w jego sidła nowa ofiara. Wstał i podał hrabinie krzesło.

– Chciałam się z panem widzieć w nadzwyczaj ważnej sprawie. Znana wszystkim uczci-
wość, dobroć i uczynność pana każe mi mieć nadzieję, że nie odmówisz memu żądaniu.

Notariusz uklonił się lekko.

– Wiem, że umie pan dochować tajemnicy.

– To mój obowiązek, pani.

– Jest pan człowiekiem surowym, o nieskazitelnych obyczajach.

Notariusz skłonił się znowu.

– Gdyby jednak panu powiedziano, że od pana zależy życie, więcej niż życie, nieszczęśli-
wej matki, czy potrafiłbyś odmówić?

– Proszę mówić jaśniej, hrabino, a odpowiem.

– Przed czternastu laty, w grudniu 1824 roku, pewien młody jeszcze mężczyzna, w żało-
bie, oddał panu sto pięćdziesiąt tysięcy franków dla trzyletniego dziecka, którego rodzice
chcieli pozostać nie znani. Suma ta miała być umieszczona, zrzekając się prawa do kapitału, z
zastrzeżeniem dożywotniego procentu.

– Cóż więcej? – rzekł notariusz, wstrzymując się z odpowiedzią.

– Pan zajął się umieszczeniem tej sumy i zobowiązałeś się należycie zabezpieczyć dziecku
dożywotni dochód po osiem tysięcy rocznie; połowa miała być dlań składana na kapitał aż do
chwili jego pełnoletności; druga połowa miała być złożona na jego wychowanie.

– Cóż dalej?

– Po dwóch latach – rzekła Sara nie mogąc przewyciężyć lekkiego wzruszenia – w 1826
roku dziecko umarło.

– Przede wszystkim niech mi wolno będzie zapytać, dlaczego pani tak się zajmuje tym
dzieckiem.

– Jego matka jest moją siostrą. Na dowód tego, com powiedziała, mam tu akt zejścia tej
dziewczynki, listy osoby, która się zajmowała jej wychowaniem, i rewers jednego z pańskich
klientów, u którego ulokowałaś owe sto pięćdziesiąt tysięcy franków.

– Zobaczmy te papiery, hrabino.

Sara, zdziwiona, że jej nie wierzą na słowo, wyjęła papiery. Notariusz przejrzał je uważnie
i rzekł:

– Czego więc pani żąda? Akt zejścia jest legalny; sto pięćdziesiąt tysięcy franków po
śmierci dziecka przeszło na własność pana Petit-Jean, mego klienta, bo tak chce prawo w tego
rodzaju lokatach. Uprzedziłem o tym osobę, która mi powierzyła tę sumę. Co się tyczy pro-
centów, wypłacałem je sam aż do śmierci dziecka z największą akuracnością.

– Pańskie postępowanie w tym wszystkim jest bez zarzutu, chętnie to przyznaję. Wiem
także, że kobieta, której powierzono dziecko, troskliwie zajmowała się moją biedną siostrze-
nicą.

– To prawda, pani. Byłem nawet tak zadowolony z jej postępowania, że gdy po śmierci
dziewczynki została bez pracy, wziąłem ją do siebie i jeszcze dziś tu jest.

– Pani Seraphin służy u pana?

– Od czternastu lat. Jest gospodynią.
– Jeżeli tak, to może nam bardzo pomóc, gdybyś pan chciał łaskawie przystać na moje żądanie, które panu zdawać się będzie dziwne, może nawet na pozór występne. Ale gdy się pan dowie, co mną kieruje...

Otóż śmierć przywiodła matkę do takiej rozpacz, że dziś jeszcze smutek jej jest równie wielki jak przed czternastu laty. Dawniej obawialiśmy się o jej życie, a dzisiaj lękamy się o jej rozum.

– Biedna matka! – rzekł Ferrand z westchnieniem. – Na nieszczęście nie ma na to rady.

– Jest rada, panie notariuszu...

– Jak to?

– Gdyby na przykład powiedziano nieszczęśliwej matce: „Twoja córka nie umarła. Kobieta, która się nią zajmowała w dzieciństwie, może ci to zaświadczyć”.

– Chyba cudem, bo akt zejścia jest formalny.

– Mój Boże, wiem dobrze, że dziecko umarło; a jednak gdyby pan zechciał, to nieszczęście nie byłoby nieodwracalne.

– Nie rozumiem pani.

– Będę więc mówiła otwarcie. Jeżeli moja siostra odzyska córkę, nie tylko wyzdrowieje, ale nadto pewna jestem, że wyjdzie za jej ojca, którego ręka jest dziś wolna. Dziewczynka umarła, mając sześć lat, a ponieważ rodzice nie widzieli jej od dzieciństwa, pamiętać jej nie mogą. Gdyby więc znaleźć siedemnastoletnią dziewczynę, sierotę (tyle właśnie miałyby teraz moja siostrzenica), jakich jest tak wiele, i gdyby powiedzieć mojej siostrze: „To twoja córka. Żyje, lecz ważne okoliczności kazały dotąd podawać ją za umarłą. Kobieta, co ją wychowała, i ogólnie szanowany notariusz zaświadczą, że to właśnie ona...”

Jakub Ferrand dotąd nie przerywał hrabinie, lecz teraz zerwał się gwałtownie i zawołał z oburzeniem:

– Dość, dość, pani! Co za zuchwałość! Przychodzisz do mnie z żądaniem popelnienia zbrodni! Pierwszy raz w życiu spotyka mnie taka obelga. A przecież nie zasłużyłem na nią.

– Ależ, panie notariuszu, to wszystko stałoby się bez niczyjej krzywdy. Moja siostra i mężczyzna, którego chce poślubić, owdowieli bezdziejnie, oboje oplakują stratę córki. Oszukując ich, wrócimy im szczęście, życie, zapewnimy świetny los jakiejś biednej, opuszczonej dziewczynie. Przecież to szlachetny czyn, a nie zbrodnia.

– Przestańmy, pani. Nie jestem gładkim bawidamkiem i mogłabyś ode mnie usłyszeć prawdę aż nazbyt przykrą.

Sara rzuciła na notariusza głębokie, ostre spojrzenie i rzekła oziębło:

– Więc pan odmawia?

– Nie obrażaj mnie pani powtarzaniem swoich obelg.

– Strzeż się!

– Pani mi grozi?

– Grozę. I żeby dowieść, że nie na próżno, wiedz naprzód, że nie mam siostry.

– Jak to?

– Jestem matką tego dziecka.

– Pani?

– Ja! Nieprostą drogą szłam do celu. Zmyśliłam tę bajkę, żeby wzbudzić w panu litość. Lecz jesteś bez serca, zrzucam maskę. Chcesz wojny, dobrze, będzie wojna!

– Wojna? Dlatego, że nie chcę brać udziału w tych ciemnych machinacjach? Co za śmiałość?

– Od początku naszej rozmowy, sama nie wiem dlaczego, nachodzą mnie wątpliwości, czy zasługujesz pan na powszechny szacunek i poważanie, którymi się cieszysz.

– Skończmy tę rozmowę.

– Wprzód dowiedz się pan o moim postanowieniu. Z góry i otwarcie powiem, że jestem przekonana o śmierci mojej córki. Ale to nie ma znaczenia: będę się starała dowieść, że nie umarła; sprawy mniej wiarygodne wytaczają przed sądy. Pan w swoim obecnym położeniu musi mieć wielu zazdrosnych; będzie to dla nich sposobność, aby ci szkodzić; ja im ją podam. Prawda, że trudno znaleźć przyczynę, lecz od czegoż są adwokaci? Na przykład można by dać taką: pozbyłeś się dziewczynki, żeby się z owym klientem podzielić sumą umieszczoną na dożywocie dla dziecka.

Notariusz obojętnie wzruszył ramionami.

– Gdybym się chciał dopuścić takiego występku, wolałbym zabić dziecko niż sfalszować akt zejścia.

Sara, zdziwiona, zadrzała. Potem po chwili milczenia podjęła z ironią:

– A to pomysł godny tak świętego człowieka! Czyżbym przypadkiem dotknęła prawdy? Namysł się pan dobrze, jutro muszę mieć stanowczą odpowiedź. Możesz bez obawy zrobić to, czego żądam. Ojciec mojej córki z radości nie będzie się zastanawiał nad niepodobieństwem jej zmartwychwstania, bylebyśmy dobrze ułożyli kłamstwo, które i tak go uszczęśliwi.

W tej sytuacji, tak dziwacznej i tak niebezpiecznej dla niego, Jakub Ferrand zachował całą zimną krew.

Hrabina, przekonana o śmierci córki, przyszła do niego, żądając, by podał ją za żywą. A on właśnie przed czternastu laty podał dziewczynkę za umarłą.

Zbyt był przebiegły, zbyt dobrze wiedział, co mu grozi, żeby nie odczuć wagi gróźb Sary.

Chcąc zyskać na czasie i chcąc znaleźć jakieś środki obrony, rzekł zimno:

– Daje mi pani czas do jutra; ja zaś pani daję dwa dni do namysłu nad krokiem, którego znaczenia pani nie pojmujesz. Jeżeli wtedy nie odbiorę od pani listu, że się zrzekasz swych szalonych i występnych zamiarów, przekonasz się, że prawo umie zasłonić uczciwego człowieka, co wyrzeka się przestępstw, i że potrafi osiągnąć tych, co sieją niegodziwe kłamstwa.

– To ma znaczyć – odpowiedziała Sara – że żądasz o jeden dzień więcej dla lepszego zastanowienia się nad moim żądaniem? Uważam to za dobry znak. Pojutrze o tej samej godzinie wrócę tu i wtedy wojna albo pokój. Ale powtarzam, wojna zacięta, bez litości.

I Sara wyszła.

– Wszystko idzie dobrze – powiedziała do siebie. – Dziewczyna, którą Rudolf umieścił na folwarku w Bouqueval i w której się zapewne kocha, już mi nic nie zrobi. Uwolniła mnie od niej ta jednooka baba. Rudolf ocalił panią d'Harville od przygotowanej przeze mnie zguby, ale zastawiłam na nią nowe sidła. Nie uniknie ich i Rudolf straci ją na zawsze. Wtedy smutny, pozbawiony wszystkiego, do czego się przywiązał, osamotniony, z rozkoszą uwierzy kłamstwu, któremu z pomocą notariusza mogę nadać wszelkie pozory prawdy. A notariusz mi pomoże, bo się mnie boi. Tak, Rudolf, chcąc dać nazwisko mniemanej córce, dotąd samotnej i nieszczęśliwej, połączy się ze mną nierozzerwalnym związkiem. Sprawdzą się przepowiednie mojej mamki, osiągnę celu mego życia.

Zaledwie Sara opuściła dom notariusza, zajechał tam w kabriolecie pan Karol Robert i jako domowy poszedł prosto do gabinetu Jakuba Ferrand.

TOM II

I

Karol Robert

Major, jak go nazywała pani Pipelet, wszedł bez ceremonii do notariusza. Zastał go jednak w złym humorze; Ferrand ledwo go przywitał.

– Drogi mistrzu (był to dowcip często używany przez pana majora), idzie o rzecz bardzo dla mnie ważną. Przypominasz sobie zapewne, że pożyczając ci trzysta pięćdziesiąt tysięcy franków na zapłacenie notariatu, zawarowałem sobie, że z trzymiesięcznym uprzedzeniem mogę odebrać tę sumę, od której płacisz mi procenty. Teraz zaś proponują mi kupno dóbr, i jeżeli ci to nie sprawi kłopotu, chciałbym, to jest życzyłbym sobie, odebrać od ciebie moje pieniądze i przychodzę cię o tym zawiadomić podług umowy...

– Więc myślisz, że twoje pieniądze są u mnie niepewne?

– O nie, wcale nie, ale rad bym je mieć w ręku.

– Zaczekaj tu – Ferrand zamknął biurko i wstał.

– Dokąd idziesz, kochany notariuszu?

– Po dowody przekonujące, jak prawdziwe są rozsiewane wieści, że moje interesy źle stoją – odpowiedział szyderczo notariusz. I otworzywszy ukryte drzwiczki, prowadzące do jego prywatnych pokojów, wyszedł.

Zaledwie wyszedł, zapukał starszy kancelista.

– Nie ma pana notariusza?

– O co chodzi, mój skrobipiórku? (również jeden z częstych żartów Karola Roberta).

– Jakaś zawołowana dama pragnie natychmiast z nim pomówić w bardzo ważnej sprawie.

– Powiem mu o tym. Czy ładna?

– Trudno odgadnąć; ma tak gęsty czarny welon, że twarzy prawie nie można rozpoznać.

I kancelista wyszedł.

– Dokąd, u diabła, poszedł notariusz? – zapytał pan Robert sam siebie. – Może chce mi pokazać swoje rachunki. Jeżeli plotki są fałszywe, tym lepiej, pewnie je złe języki rozsiewają; tacy prawi ludzie jak Ferrand zawsze mają wielu zazdrosnych nieprzyjaciół. Ale czy tak, czy tak, wolę mieć pieniądze u siebie. Kupię zamek, o którym mi mówiono... będę wyglądał na wielkiego pana. To lepsza zabawa niż romanse z tą skromniwą markizą d'Harville. Ale oto i mistrz.

Pan Ferrand wszedł z jakimiś papierami w ręku. Podał je panu Karolowi Robertowi ze słowami:

– Oto trzysta pięćdziesiąt tysięcy franków w obligacjach skarbowych. Napisz pan kwit i powiedz plotkarzom, co rozgłaszają, że moje sprawy źle idą, w jaki sposób odpowiadam na ich zarzuty.

– Jestem pewny, że gdy się o tym dowiedzą, twój kredyt jeszcze bardziej się ustali, ale proszę cię, zachowaj te pieniądze, w tej chwili nie miałbym co z nimi zrobić; prosiłem o nie dopiero za trzy miesiące.

– Panie Robert, ode mnie nie upomina się o należność dwa razy. Wypisz kwit!

– Żelazny człowieku, nie można się tobie oprzeć – rzekł Karol Robert i pisząc kwit, dodał:

– Jakaś zawołowana dama chce z tobą mówić zaraz, ale to zaraz, w bardzo ważnej sprawie. Wychodząc, muszę się jej dobrze przyjrzeć. Oto kwit. Wszystko w porządku?

– W porządku. Teraz wyjdź tymi schodami.

– A dama?

– Właśnie dlatego wypuszczam cię tędy, żebyś jej nie widział. Żegnam, panie Robert.

Po chwili starszy kancelista wprowadził księżnę de Lucenay, ubraną bardzo skromnie; okrywał ją szeroki szal, na głowie zaś miała czarny kapelusz z gęstą koronkową woalką.

Nieco zmieszana, pani de Lucenay zbliżyła się do biurka notariusza, który postąpił na jej spotkanie.

– Panie – rzekła niepewnym głosem, kryjąc twarz za woalką – czy można panu powierzyć tajemnicę najwyższej wagi?

– Można mi powierzyć wszystko, muszę tylko wiedzieć i widzieć, z kim mówię.

– Może się bez tego obejdzie. Mam pana za najuczciwszego, wielkiej prawości człowieka.

– Do rzeczy, pani, do rzeczy, czekają na mnie. Kim pani jest?

– To jest w tej chwili nieważne. Mój przyjaciel... hm... mój krewny wyszedł tylko co od pana.

– Jak się nazywa?

– Pan Florestan de Saint-Remy.

– A! – rzekł notariusz, rzucając na księżnę przenikliwe spojrzenie. – Skoro pan de Saint-Remy... jest pani krewnym, winnaś się pani rumienić zamiast przyznawać się do takiego pokrewieństwa.

Taka zuchwałość oburzyła arystokratyczną dumę księżnej. Wyprostowała się, odrzuciła na bok welon i z wyniosłą miną, z rozkazującym wzrokiem rzekła władczym tonem:

– Mości notariuszu, pan de Saint-Remy należy do moich przyjaciół. Powiedział mi, w jakie wpadł kłopoty, będąc ofiarą podwójnego oszustwa. Wszystko w świecie daje się załatwić za pomocą pieniędzy. Ile trzeba na wydobywanie tych nieszczęsnych papierów?

Ferrand, z początku oszołomiony tak śmiałym wyluszczeniem rzeczy, odpowiedział gniewnie:

– Żądają stu tysięcy franków.

– Będziesz je pan miał, ale proszę odesłać papiery panu de Saint-Remy.

– A gdzie pieniądze?

– Alboż nie powiedziałam, że je pan dostaniesz?

– Kto mi ręczy za tę sumę?

– Ja...

– Lecz pani...

– Jestem księżną de Lucenay...

– Sto tysięcy franków to duża suma... Trzeba by poważnego zabezpieczenia!

– Mój panie, mam o cztery mile od Paryża posiadłość ziemską, która mi przynosi osiemdziesiąt tysięcy franków rocznie. To chyba dostateczne zabezpieczenie?

– To jeszcze nic nie znaczy, zawsze pozostaje pani pod władzą męża, a akta hipoteczne wymagają długich formalności. Zaufanie pani czyni mi zaszczyt, ale ja nie mogę uczynić za-
dość żądaniu księżnej.

– Czy pan nie ma tej sumy?

– Mam daleko więcej w biletach bankowych i w złocie.

– Więc o co idzie? Chce pan mego podpisu? Dobrze, podpiszę.

– Zakładając, że jest pani księżną de Lucenay...

– Przyjdź pan za godzinę do mego pałacu, tam podpiszę, co trzeba.

– Czy księżę de Lucenay podpisze również?

– A to po co?

– Podpis samej księżnej nie wystarczy dla załatwienia formalności.

Jakub Ferrand bawił się niepokojem księżnej, która zdradziła się mimo woli, że nie ma już żadnych środków. Poprzedniego dnia pożyczyła u jubilera znaczną sumę na zastaw swych brylantów, z których część była powierzona Morelowi. Suma ta poszła na zapłacenie weksli i innych długów pana Saint-Remy. On – oskarżony, osadzony w więzieniu! Gdyby się nawet

ratował ucieczką, zawsze pozostałaby plama na jego nazwisku. Na tę myśl księżna zadrżała. Kochała ślepo tego człowieka. Była to namiętność bez granic, tak częsta u kobiet jej charakteru, które mają już za sobą pierwszą młodość.

Jakub Ferrand śledził uważnie najmniejsze ruchy księżnej de Lucenay i znajdował ją coraz piękniejszą. Wręcz zachwycającą.

– Czy przyjmie pani wszelkie warunki? – zapytał szczególnym tonem.

– Wszelkie! Dwa, trzy, cztery tysiące franków procentu, jeżeli chcesz. Bo widzi pan – dała szczerze, z lekką poufałością w głosie – w panu ostatnia moja nadzieja, tylko w panu. Nie mogę dostać do nikogo innego tak znacznej sumy na jutro, a tu trzeba! Rozumie pan? Trzeba!

Notariusz ledwie mógł odetchnąć, żyły mu nabrzmiały, czoło zaczerwieniło się. Wstał nagle. Księżna, zmieszana, również się podniosła i patrzyła na niego zdziwiona.

– Nic to pani nie będzie kosztowało – rzekł głosem drżącym i przerywanym, zbliżając się do niej coraz bardziej. – Dobrze, pożyczę pani tę sumę, ale pod warunkiem, pod jedynym warunkiem... i przysięgam pani, że...

Na widok tej rozognionej twarzy księżna odgadła jego miłosne żądze. I wydały jej się tak zabawne, że mimo smutku i trosk wybuchnęła szczerym, głośnym, niepowstrzymanym śmiechem; notariusz cofnął się zdziwiony. Księżna spuściła woalkę i ciągle się śmiejąc, rzekła:

– Wolałabym już udać się z prośbą do mego męża.

I wyszła, a notariusz jeszcze za drzwiami słyszał jej głośny śmiech.

Siedział pogrążony w czarnych myślach, kiedy otworzyły się ukryte drzwi, weszła strwożona pani Seraphin i składając ręce, rzekła:

– Ach, panie Ferrand, słusznie mówiłeś, że kiedyś może zapłacimy za to, żeśmy ją zostawili przy życiu!

– Kogo?

– A tę przeklętą dziewczynę.

– Jak to?

– Jakaś jednooka baba, której nie znam i której Tournemine przed czternastu laty oddał tę dziewczynkę, kiedyś ją podali za umarłą... ach. Boże! Kto by to pomyślał! Ta kobieta tylko co była na dole. Powiedziała mi, iż wie, że to ja oddałam dziewczynkę.

– Przekleństwo! Kto jej mógł powiedzieć? Tournemine jest na galerach.

– Zaprzeczyłam wszystkiemu, złażałam babę, ale co to pomoże? Ona powiada, że teraz dziewczynka urosła, że ona wie, gdzie się znajduje, i że może wszystko rozgłosić.

– Chyba piekło się dziś na mnie sprzysięgło! – zawołał notariusz z wściekłością.

– O Boże, co powiedzieć tej kobiecie? Co jej obiecać, żeby milczała? „To córka hrabiny Sary Mac-Gregor!” rzekł do siebie notariusz. „I tylko co obiecywała mi wielką nagrodę, byłem powiedział, że jej dziecko nie umarło. A ono żyje, mógłbym je oddać! Tak, lecz sfalszowany akt zejścia! Gdyby zaczęli dochodzić prawdy, zginąłem!”

– Kiedy przyjdzie znowu ta baba?

– Jutro.

– Napisz do Polidoriego, żeby tu był dziś wieczorem o dziesiątej.

Wieczorem tego dnia Rudolf rzekł do Murfa, który nie został dopuszczony do notariusza:

– Niechaj pan Graun natychmiast wyśle kuriera, za sześć dni Cecylia musi być w Paryżu.

– Znowu ta diablica! Niegodna żona biednego Dawida! Po co, Mości Książę?

– Po co, sir Walterze Murf? Za miesiąc spytasz o to notariusza Ferrand.

II *Oskarżenie*

W dniu porwania Marii przez Puchaczkę i Bakałarza jakiś człowiek przyjechał o dziesiątej wieczorem na folwark w Bouqueval i oznajmił pani George, że pan Rudolf przysłał go, żeby ją uspokoić co do zniknięcia jej wychowanki, która za parę dni ma powrócić. Dodał też, że Rudolf dla bardzo ważnych przyczyn prosi panią George, aby do niego nie pisała przez pocztę do Paryża; jeżeli chce mu o czymś donieść, niech odda list posłańcowi, który go doręczy.

Człowiek ten był przysłany przez Sarę.

Sara, uspokoiwszy takim podstępem panią George, miała nadzieję opóźnić o kilka dni chwilę, w której Rudolf dowie się o porwaniu Gualezy. Przez ten czas spodziewała się skłonić notariusza Ferrand do podstawienia dziecka.

Nie dość na tym. Sara chciała się także pozbyć pani d'Harville, obawiała się jej bardzo i raz już byłaby ją niezawodnie zgubiła, gdyby nie ocalał jej Rudolf. Sara, nie mając żadnego materialnego dowodu na to, że Klemencja nazaczyła schadzkę Karolowi Robertowi, wpadła na inny pomysł: napisała anonimowy list, który spowodowałby zerwanie stosunków między Rudolfem a markizem d'Harville albo przynajmniej obudził w duszy markiza tak silne podejrzenie, że markiz zabroni żonie przyjmować Księcia. List był treści następującej:

Zostałeś bezwstydnie oszukany. Tym razem żona twoja, ostrzeżona, że za nią idziesz, zmyśliła, że przychodzi na ulicę Temple w celach dobroczynnych, istotnie zaś szła do pewnej znakomitej osoby, która pod imieniem Rudolfa wynajęła w tym domu pokój na czwartym piętrze. Nie gardź tym ostrzeżeniem; można by myśleć, że jesteś zbyt łatwowiernym przyjacielem Księcia.

Sara wysłała ów list o piątej po południu tego samego dnia, kiedy była u notariusza.

Tegoż samego dnia Rudolf rozkazał panu de Graun przyspieszyć przyjazd Cecylii, sam zaś wieczorem poszedł do pani d'Harville zawiadomić ją, że ma dla niej pewną dobroczynną akcję, jak najbardziej jej godną.

Zaprowadźmy czytelnika do pani d'Harville. Przekonamy się, że markiza poszła za szlachetnymi radami Rudolfa, bo zamiast dawnej oziębłości względem męża, okazywała mu pełne poświęcenia, tkliwe współczucie. Właśnie oboje wstali od stołu i przeszli do salonu. Wyraz twarzy Klemencji był łagodny, uprzejmy, d'Harville zdawał się mniej smutny niż zwykle: nie otrzymał jeszcze bezecnego paszkwilu Sary.

– Gdzie będziesz dziś wieczór? – zapytał żony.

– Nie wychodzę nigdzie. A ty co robisz?

– Wiem, że wolisz zostać sama, kiedy nie wychodzisz.

– Ponieważ jestem bardzo kapryśna – odpowiedziała Klemencja z uśmiechem – dziś chętnie podzielę samotność z tobą, jeżeli ci to sprawi przyjemność.

– Naprawdę?! – zawołał markiz wzruszony. – Jakaś ty dobra, że uprzedzasz życzenie, którego nic śmiałem wyjawić.

– Zapomnijmy o przeszłości – rzekła Klemencja ze słodkim uśmiechem.

– Czy kiedykolwiek zdołasz zapomnieć o niej, Klemencjo? – odparł smutno markiz. – I ja śmiałem podejrzewać cię? Do takiej ostateczności doprowadziła mnie ślepa zazdrość!

– Żle zrobiłeś, jak widzisz.

– Co za zmiana, mój Boże! Czy to sen? Już nie tak ozięble na mnie patrzysz, mówisz do mnie głosem prawie tkliwym. O! Powiedz, że to prawda, że to nie złudzenie...

– Nie, bo i ja potrzebuje przebaczenia.

– Ty?!

– Czyż czasem nic byłam dla ciebie przykra, a nawet okrutna? Czy nie powinnam zastanowić się, że trzeba było rzadkiej, prawie nadludzkiej odwagi, żeby postąpić inaczej? Cóż w tym dziwnego, iż będąc nieszczęśliwy, szukałeś pociechy w miłym związku? Kto cierpi, wierzy w dobroć innych. Twoja jedyna wina to ta, żeś wierzył w moją dobroć. Odtąd chcę cię przekonać, że się nie zawiodłeś.

– O! Mów, mów! – zawołał markiz, składając ręce niby w ekstazie.

– Ponieważ zgodziłam się na tę sytuację, trzeba mi było uszlachetnić ją poświęceniem. Powinnam była pocieszać cię w nieszczęściu, o tym tylko pamiętać! Stopniowo przywiązałabym się do ciebie, a twoja wdzięczność byłaby mi nagrodą. Wtedy... Ale mój Boże! Co ci jest? Płaczesz?

– Tak, płaczę, płaczę ze szczęścia. Nie wiesz, jak mnie poruszają twoje słowa! Nigdy tak jasno nie uświadomiłem sobie, jak bardzo zawiniłem, przykuwając cię do siebie!

– Albercie, możesz mieć zupełną, ślepą wiarę w to, co mówię. Postanowienie moje jest niezmiennie, nigdy mu nie uchybię, przysięgam...

– Przysięga! – zawołał markiz, coraz bardziej uniesiony niespodziewanym szczęściem. – Przysięga. Po co? Czyliż twoje spojrzenie, twoja dobroć, która cię tak upiększa, i bicie mego serca nie dowodzą mi, że mówisz prawdę? Nie znasz mej namiętności. Czyż mogłem ci o niej mówić? Byłaś dla mnie tak zimna! A ja jestem wart szczęścia. Zawsze cię kochałem! I tyle wycierpiałem w milczeniu. Ten skarb, moje najdroższe dobro, niezadługo będzie należał do mnie...

I mówiąc to, namiętnie ucałował jej rękę.

Klemencja w rozpaczy, że mąż jej nie zrozumiał, nie mogła przezwyciężyć odruchu wstrętu i przerażenia i gwałtownie cofnęła rękę. Na jej twarzy wyraźnie odmalowały się te uczucia, markiz nie mógł się dłużej łudzić. Był to dla niego okropny cios.

Rozpacz wyryła się na jego twarzy; markiza wyciągnęła do niego rękę, wołając:

– Albercie, przysięgam, że będę ci najlepszą przyjaciółką, najczulszą siostrą, ale niczym więcej! Przebac, że niechcący obudziłam w tobie nadzieje, których nigdy nie mogę spełnić.

– Nigdy? – spytał markiz, błagalnie wpatrując się w żonę.

– Nigdy! – odpowiedziała.

Po chwili bolesnego milczenia pan d'Harville rzekł z goryczą.

– Przebac mi pomyłkę, przebac, że się oddałem szalonym nadziejom. O, jaki jestem nieszczęśliwy!

Wtem wszedł lokaj i oznajmił:

– Jego Książęca Mość książę Gerolstein każe zapytać, czy pani markiza może go przyjąć.

Klemencja spojrziała na męża. Pan d'Harville odzyskał zimną krew i rzekł:

– Bez wątpienia, prosić.

Za chwilę wszedł Rudolf.

– Cieszę się – rzekł Książę – że zastałem panią w domu, a to tym bardziej, że i ciebie tu spotykamy, kochany Albercie! – dodał, zwracając się do markiza i serdecznie ściskając mu dłoń.

– Istotnie, bardzo dawno nie miałem przyjemności widzieć Księcia.

– A czyja to wina? Kiedy tu byłem ostatnim razem, pytałem o ciebie, lecz nie było cię w domu. Jesteś zbyt platoniczny w przyjaźni; przekonany, że cię kochają, nie dbasz o dowody przywiązania.

W tej chwili wszedł lokaj i podał markizowi jakiś list. Był to anonim Sary. Markiz, dotknięty takim uchybieniem etykiety, odsunął tacę z listem, mówiąc z cicha:

– Później, później.

– Ależ, kochany Albercie, nie rób ze mną ceremonii – rzekł Rudolf uprzejmie. – Przeczytaj list, proszę cię.

Rudolf rozmawiał z markizą, a tymczasem pan d'Harville dwa razy odczytał list Sary. Jego twarz pozostała spokojna, tylko ręka mu drżała konwulsyjnie; po chwili wahania włożył bilet do kieszeni. Potem rzekł z uśmiechem do Rudolfa:

– Książę, znów powiesz, że jestem odludek, pozwól mi jednak odejść, aby dać odpowiedź na ten list; okazał się ważniejszy, niż myślałem.

– Kochany Albercie, wróć zaraz, gdy napiszesz list. Albo wyznacz mi czas, kiedy mogę przyjść do ciebie; mam ci tysiąc rzeczy do powiedzenia.

– Och, Książę, to zaszczyt dla mnie – odpowiedział markiz z głębokim ukłonem. I wyszedł, zostawiając żonę z Księciem.

– Markiz wydaje się czymś zmartwiony – rzekł Rudolf – uśmiechał się jakoś z przymusem.

– W chwili przybycia Księcia był bardzo wzruszony i zaledwie zdołał ukryć, co go gnębi.

– Może przyszedłem nie w porę?

– Mówiłam właśnie panu d'Harville, jak postanowiłam postępować z nim na przyszłość. Obiecywałam mu, że znajdzie we mnie wsparcie i pociechę.

– Jak go to musiało uszczęśliwić!

– Z początku tyleż co i mnie, bo jego radość, łązy wzruszyły mnie jak nigdy dotąd. Wyznałem, że nie ma nic przyjemniejszego, jak obdarzyć kogoś niespodziewanym szczęściem!

– Lecz jak owe dowody przychylności obróciły się w przykrą rozmowę?

– Bo, niestety – rzekła rumieniąc się Klemencja – markiz d'Harville powziął z moich słów nadzieje, których nigdy nie spełnię.

– Rozumiem, on panią tak kocha.

– Im więcej z początku wzruszała mnie jego wdzięczność, tym bardziej potem przeraziłam się jego słów.

– Żał mi go, lecz nie mogę pani ganić. Ale miejmy nadzieję, że z czasem pozna wartość przywiązania pani i poprzestanie na tym. Teraz jednak zajmijmy się moimi biedakami. Obiecałem pani dobry uczynek, który by panią zajął jak romans. Przyszedłem dotrzymać słowa.

– Już! Co za szczęście!

– Jak dobrze zrobiłem, wynajmując pokój w owym domu na ulicy Temple. Nie ma pani pojęcia, ile tam poczyniłem odkryć! Byłem wczoraj w Temple. Pani wie, co to jest Temple?

– Nie wiem.

– To bardzo oryginalny i ciekawy bazar. Chodziłem tam, robiąc sprawunki z moją sąsiadką z czwartego piętra. Ta sąsiadka to śliczna, drobniutka gryzетка; nazywa się Rigoletta, zawsze się śmieje i nigdy nie miała kochanka.

– Cnotliwa gryzетка, to nadzwyczajne!

– Ale wróćmy do rzeczy. Chodziłem tedy z Rigolettą kupić niektóre rzeczy dla Morelów i przewracając przypadkiem szufladki w starej sekretarce, znalazłem brulion listu, w którym jakaś kobieta żaliła się, że oszustwo dłużnika doprowadziło ją do ostatniej nędzy. Kupcowa powiedziała mi, że kupiła ten mebel od jakiejś młodej jeszcze kobiety, dawniej zdaje się bogatej, lecz z dumą znoszącej obecną nędzę.

– Jak dziwny zbieg okoliczności – rzekła ze zdziwieniem pani d'Harville – jakże jestem ciekawa!

– To jeszcze nie wszystko. W rogu kartki znajdowały się zanotowane słowa: „napisać do księżnej de Lucenay”.

– Co za szczęście! Może dowiemy się czegoś przez księżnę.

– Trzeba ją zapytać, czy nie zna jakiej wdowy, młodej jeszcze, której szesnastoletnia córka nosi imię Klary. Pamiętam imię...

– Imienniczka mojej córki! Zdaje mi się, że mam nowy powód do zajęcia się losem tych nieszczęśliwych kobiet.

– Zapomniałem dodać, że brat wdowy przed paroma miesiącami odebrał sobie życie. A zostały doprowadzone do takiego stanu przez oszustwo notariusza, ohydny łotra. Jest to niejaki Jakub Ferrand.

– Notariusz mego męża! – zawołała markiza. – I mojej macochy! To nie może być! Niepodobna, wszyscy go mają za najuczciwszego w świecie.

– A ja mam dowody, że tak nie jest. Pozbawił tę wdowę majątku, wypierając się przyjęcia depozytu pieniędzy, które jej brat według wszelkiego prawdopodobieństwa złożył u niego.

– Ależ to zbrodnia!

– Takiej zbrodni – zawołał Rudolf – nie można wybaczyć. Morderca zabija od razu, szybko, a ten zbrodniarz odbiera życie pomału, w mękach, w rozpaczach i nędzy. Niech nasza wdowa umrze ze zgrzyoty, z rozpaczach, a córka jej, młoda, piękna, zostawiona bez opieki, nawykła do dobrobytu, niezdolna sama zapracować na życie, wkrótce będzie musiała wybierać między hańbą i głodem!

Klemencja nigdy nie słyszała Rudolfa mówiącego z takim oburzeniem i goryczą. Słuchała w milczeniu jego słów, pełnych nienawiści do zła.

– Wybacz, pani – rzekł Rudolf po chwili milczenia – nie mogłem pohamować oburzenia na myśl o nieszczęściach, które mogą spotkać te kobiety. Ale, wierz mi, malując skutki nędzy, trudno jest przesadzić.

– Lecz przede wszystkim trzeba odnaleźć te kobiety! Jakże niecierpliwie czekam jutra! Prosto od księżny de Lucenay pójdę do ich dawnego mieszkania, wybadam sąsiadów, wszelkimi sposobami będę się o nie dopytywała, wszędzie dotrę. Biedaczki! Zdaje mi się, że jeszcze bardziej się nimi interesuję, gdy pomyślę o mojej córce.

Rudolf, wzruszony tak tkliwą litością nad nieszczęśliwymi, uśmiechał się smutnie, patrząc na młodą, piękną kobietę, co w szlachetnych uczynkach szukała zapomnienia domowej niewoli.

III

Zasadzka

Pani d'Harville spostrzegła, że Rudolf wpatruje się w nią w milczeniu. Zarumieniła się, spuściła oczy, a potem podnosząc je w uroczym zakłopotaniu, rzekła:

– Książę się śmieje z mego zapału? Z niecierpliwością czekam rozkoszy, co ożywią mój byt, dotąd smutny i nieużyteczny. Jednego uczucia, najwyższego szczęścia, nigdy nie zaznam. Lecz dzięki Księżciu gdzie indziej znajdę radość. Dobroczynność zastąpi miłość, dzisiaj już miałam tego dowody. Słowa Księcia mają tyle wpływu na mnie! Skąd w Księżciu tak szlachetna litość?

– Wiele cierpiałem, cierpię jeszcze. Dlatego znam tajemnice nieszczęścia.

– Książę, pan jest nieszczęśliwy?

– Tak. Można by powiedzieć, że los, chcąc mnie usposobić do pomagania w nieszczęściach, dał mi je poznać w całej rozciągłości: jako przyjaciel zawiodłem się na przyjacielu, jako kochanek – na pierwszej kobiecie, którą kochałem ze ślepą wiarą młodości; będąc mężem, stałem się nieszczęśliwy przez żonę, jako syn zawiodłem się na ojcu, a jako ojciec – cierpiałem po stracie dziecka.

– Myślałam zawsze, że księżna nie zostawiła potomstwa...

– Tak, lecz przed tym małżeństwem miałam córeczkę, umarła w dzieciństwie. Teraz miałaby siedemnaście lat.

– A czy jej matka jeszcze żyje? – zapytała Klemencja po chwili wahania.

– Nie wspominaj pani o niej! – twarz Księcia zachmurzyła się. – To kobieta niegodna, skamieniała od egoizmu i pychy. Czasem nawet zastanawiam się, czy nie lepiej, że moja córka umarła, niż żeby miała zostać w rękach takiej matki.

– Rozumiem teraz – rzekła markiza – jak Książę musisz żałować córki.

– Tak bym ją kochała! Gdy słyszę o jakiejś młodej dziewczynie, nie mogę nie myśleć o tej, którą straciłem!

Klemencja, widząc wzruszenie Rudolfa, zmieniła temat rozmowy.

– Niedawno zwiedziłam z jedną z moich przyjaciółek więzienie Świętego Łazarza, gdzie zamknięte są młode dziewczęta. Litość bierze, gdy się na nie patrzy: może by nie upadły tak nisko, gdyby od dzieciństwa nie zostawały w opuszczeniu i nędzy. Nie wiem, dlaczego zdaje mi się, że teraz bardziej kocham moją córkę.

– Tylko odważnie – rzekł Rudolf ze smutnym uśmiechem. – Po dzisiejszej rozmowie jestem zupełnie spokojny o panią... Wiele jeszcze czeka panią walk, wiele cierpień, bo jesteś młoda, lecz myśl o dobrodziejstwach, które wyświadczysz, doda ci siły.

– A Książę nigdy mi nie odmówi rad, pomocy?

– Z bliska czy z daleka, zawsze będzie mnie zajmowało wszystko, co panią obchodzi. Zawsze, w miarę sił, będę się starał zapewnić szczęście pani i memu najlepszemu przyjacielowi.

– Dziękuję za tę obietnicę – odpowiedziała markiza wzruszona. – Czuję, że bez szlachetnej pomocy Księcia zabrakłoby mi sił, lecz teraz przyrzekam, że odważnie wypełnię moje obowiązki.

Na te słowa otworzyły się nagle małe ukryte drzwi.

Klemencja krzyknęła. Rudolf zadrżał.

Wszedł pan d'Harville, blady, wzruszony, ze łzami w oczach, i rzekł do Rudolfa, oddając mu list Sary:

– Księżę, oto oszczerczy list, który odebrałem przed chwilą w twojej obecności. Zechciej go przeczytać i spalić.

Klemencja patrzyła na męża ze zdumieniem.

– O, to niegodne! – zawołał Rudolf z oburzeniem.

– Moje postępowanie jest jeszcze podlejsze!

– Jak to!

– Zamiast natychmiast pokazać Księżciu ten niegodny list udąłem spokój, choć miotła mną zazdrość, wściekłość, rozpacz. Wiesz, Księżę, co zrobiłem? Nikczemnie ukryłem się za drzwiami, żeby was podsłuchiwać, szpiegować! Wątpiłem! Autor listu znał moją słabość. A teraz. Mości Księżę, kiedyś wszystkiego wysłuchał, bo ani słowa z dzisiejszej rozmowy nie straciłem, teraz, kiedy wiem, co sprowadza Księcia do domu na ulicy Temple, kiedy, wierząc oszczercy, sam stałem się oszczercą, na kolanach winienem prosić o przebaczenie.

– Ale, mój Boże, Albercie, co ci mam przebaczyć? – rzekł Rudolf, podając markizowi obie ręce.

– A ty, Klemencjo – d'Harville zwrócił się do żony – przebaczysz mi jeszcze i ten błąd?

– Przebaczę, ale pod warunkiem, że pomożesz mi umocnić twoje szczęście. – I wyciągnęła do niego rękę.

– Doprawdy, kochany markizie – zawołał Rudolf – nasi wrogowie są bardzo niezręczni! Dzięki nim jesteśmy jeszcze serdeczniejszymi przyjaciółmi niż dawniej. Żegnam panią nasze intrygi odkryte, teraz już nie sama będziesz pomagała biednym.

D'Harville odprowadził Rudolfa do powozu i wrócił do siebie.

Trudno opisać, jakie sprzeczne uczucia nim miotły.

– O! – wołał. – Zawiniłem... To moja wina!... Nieszczęśliwa kobieta, oszukałem ją haniebnie! Powinna mnie nienawidzić, a jednak okazuje mi tklive współczucie. Ale jakim prawem powierzyła mi tę okropną tajemnicę? To przecież haniebna zdrada. Jakim prawem? Prawem ofiary, która się skarży na swego kata. Biedne dziecko! Taka młoda, wyrzekła się miłości i powiedziała tylko: „o innej przyszłości marzyłam!” Wiem, że Klemencja dotrzyma słowa, będzie dla mnie najlepszą przyjaciółką, siostrą. Ale przecież to moja żona, należy do mnie, mam prawo – przerwał sobie z szyderstwem i śmiechem. – Tak, użyć przymusu, gwałtu. No- wa podłość! Ale co mam począć? Kocham ją jak szalony, ją jedyną tylko kocham, pragnę miłości, a nie zimnego przywiązania siostry. Może kiedyś ulituje się nade mną! Ach nie! Nigdy! Nie zdoła przewyciężyć odrazy! Jakże cierpiałem, kiedy uważałem ją za winną. Co za tortury! Ale nie, to próżny lęk. Klemencja przysięgła wypełnić swoje obowiązki i dotrzyma słowa, ale ile ją to będzie kosztować. O, jaki jestem nieszczęśliwy!

Po długiej bezsennej nocy, po nocy gorzkich rozmyślań wzburzenie markiza ucichło. Niecierpliwie oczekiwał dnia.

IV

Zamiary na przyszłość

Rano pan d'Harville zadzwonił na służącego.

Stary Józef ze zdziwieniem zastał pana nucącego strzelecką piosenkę, co było u niego oznaką dobrego humoru.

– Kiedy pan markiz śpiewa, to widać, że jest wesoły! Jaki piękny ma pan głos. Szkoda, że pan nie śpiewa częściej.

– Co dzień będziesz słyszał taką muzykę, mój stary Józefie. Precz zmartwienia, precz smutek. Mogę to powiedzieć tobie, powiernikowi moich cierpień; moja żona to anioł dobroci, prosiła mnie o przebaczenie, przypisując wszystko zazdrości.

– Zazdrości!

– Tak, nierozsądnym przypuszczeniom, które w niej wzbudziły anonimowe listy.

– Może pan śmiało płakać z radości, bo już dość płakałeś z żalu. Bo czy i ja nie płaczę? Tych słodkich łez nie oddałbym za dziesięć lat życia. Boję się tylko, czy potrafię się powstrzymać, żeby nie upaść do nóg pani, gdy ją zobaczę.

– Mój wierny stary, jesteś tak samo szalony jak twój pan. Szczęście tak mnie wzruszyło, że spodziewam się być prawie zupełnie wyleczony.

– A to w jaki sposób?

– Doktor powiedział mi, że gwałtowny wstrząs może wyleczyć z tej okropnej choroby. Dlaczegoż by nie miał tego sprawić nagły przyływ szczęścia?

– Jeżeli pan markiz temu wierzy, to tak będzie, już pan jest uleczony! Błogosławiony dzień! Zaczynam się lękać, że to za wiele szczęścia jak na jeden raz. Ale muszę panu powiedzieć coś przykrego. Niech pan będzie zupełnie spokojny, to tylko małe zmartwienie.

– Cóż takiego?

– Przyjaciel pana został dziś ranny, wprawdzie lekko, ale i to pana zmartwi w tym szczęśliwym dniu. Wyznaję, że wolałbym, żeby rana była cięższa, jednakże trzeba i na tym poprzestać.

– Fe! Stary, o kimże mówisz?

– O księciu de Lucenay.

– Ranny?

– Tylko draśnięty. Był tu wczoraj wieczorem i zapowiedział, że przyjdzie dziś rano do pana na herbatę.

– Biedny Lucenay!

Po chwili namysłu d'Harville rzekł:

– Mam świetny pomysł: wydam kawalerskie śniadanie, zaproszę przyjaciół księcia! Będzie-my obchodzić szczęśliwy pojedynek. Ucieszy go taka niespodzianka.

Pan d'Harville wszedł do gabinetu i napisał, co następuje:

Kochany... bilet, który odbierzesz, jest okólnikiem. Będzie u mnie dziś na śniadaniu Lucenay; myśli, że mnie zastanie samego. Zrób mu tę przyjemną niespodziankę i przyjdź do mnie, znajdziesz jeszcze kilku jego przyjaciół, których także zaprosiłem. Czekam punkt o dwunastej.

A. d'Harville

Potem dodał zwracając się do Józefa:

– Zaadresuj: *Hrabia de Saint-Remy*. Lucenay nie może się obejść bez niego. *Pan de Monville* – to towarzysz podróży księcia. *Lord Douglas* – jego partner do wista. *Baron de Cezannes* – to jego przyjaciel z dzieciństwa. Napisałeś?

– Tak, panie.

D'Harville zadzwonił, wszedł lokaj.

– Wyślij natychmiast ten list, Filipie – rzekł do niego markiz – i poproś tu pana Doublet. Ale co ci jest, stary – zapytał zostawszy sam z Józefem, który patrzył na niego w osłupieniu.

– Nie mogę się opamiętać, nigdy pana nie widziałem tak wesołego. Pan, zawsze blady, masz dziś rumieńce...

– Bo jestem szczęśliwy, mój Józefie, na zawsze szczęśliwy. Musisz mi pomóc w jednej małej intrydze. Dowiesz się od panny Julii, która ma pod kluczem brylanty markizy, nazwiska i adresu jej jubilera. Tylko niech ani słowa nie powie o tym pani.

Pan Doublet, plenipotent markiza, wszedł, kiedy Józef wychodził.

– Kochany panie Doublet, chcę cię przestraszyć – rzekł markiz z wesołym uśmiechem – włosy ci staną na głowie. Mam zamiar wydać dużo, ale to ogromnie dużo pieniędzy.

– O, to mnie nie martwi, panie markizie, możemy wydać wiele. Bogu dzięki, możemy.

– Już dawno mam zamiar przybudować galerię do prawego skrzydła pałacu. Będę tam wydawał bale, chcę, żeby powstała szybko jak w bajce, a że takie bajki drogo kosztują, trzeba będzie sprzedać za piętnaście albo dwadzieścia tysięcy franków rent. Chciałbym jak najprędzej zacząć budowę.

W tej chwili wrócił Józef.

– Jubiler pani nazywa się Baudoin – oznajmił.

– Kochany panie Doublet, idź też do jubilera i powiedz mu, żeby za godzinę przyniósł kołbę brylantową za dwa tysiące luidorów, kobiety nigdy nie mają za wiele brylantów, zwłaszcza teraz, kiedy nawet suknie nimi ubierają. Omówisz z nim cenę.

– Dobrze, panie markizie; nie zlekne się i tego wydatku. Biegnę więc do jubilera – rzekł Doublet i wyszedł.

Markiz, zostawszy sam, przechadzał się po gabinecie z założonymi rękami, głęboko zamyślony. Wyraz jego twarzy zmienił się nagle: nie była to już wesołość, która oszukała intendenta i starego sługę, lecz spokojne, zimne postanowienie. Niedługo to trwało. Wstał znowu, otarł łzę i rzekł do siebie: – No, dalej, odważnie.

W tej chwili powóz zajechał na dziedziniec. Józef, który właśnie wszedł, wyrzwał przez okno, mówiąc:

– To pani markiza wyjeżdża, zaraz z rana kazała zaprząć.

– Idź i poproś ją do mnie, nim wyjedzie.

– Już idę, panie.

Gdy sługa wyszedł, markiz uważnie przejrzał się w lustrze.

– Dobrze – rzekł głucho – tak, dobrze; rumieniec na twarzy, ogień w oczach, ogień radości czy gorączki... wszystko jedno, byle się tylko na nim nie poznano.

Weszła Klemencja.

– Dzień dobry, kochany Albercie, mój bracie – rzekła ze słodyczą, podając mu rękę. Potem spostrzegłszy radość na twarzy męża, dodała: – Cóż takiego? Dlaczegoś taki wesoły?

– Bo kiedy weszłaś, myślałem o tobie, kochana sestro. A ponadto powzięłem dobre postanowienie.

– Innego się po tobie nie spodziewałam.

– To, co wczoraj zaszło, szlachetność twoja i Księcia dały mi dużo do myślenia i względem dalszego pożycia naszego zupełnie się zgadzam z tobą.

– Nie mogło być inaczej, bo teraz, podawszy sobie dłonie, będziemy dążyć do jednego celu. Chcę, żebyś był szczęśliwy, i będziesz nim, zobaczysz!

– Kochana Klemencjo! – rzekł markiz wzruszony. Po chwili milczenia dodał wesoło: – Będzie u mnie kilka osób na śniadaniu, obchodzimy pojedynek księcia de Lucenay, przeciwnik tylko lekko go ranił.

Pani d'Harville zarumieniła się. Bolesne wspomnienie przywiodło jej na myśl błąd, którego się wstydziła. Żeby rozproszyć przykre myśli, rzekła do męża:

– A to szczególne: pan Lucenay będzie u ciebie na śniadaniu, a ja nie proszona, jadę na herbatę do jego żony, bo chcę z nią pomówić o moich nowych protegowanych. Stamtąd mam zamiar pojechać z panią de Blainval do więzienia Świętego Łazarza. Ale może nie chcesz, żebym wyjeżdżała tak rano?

– Istotnie, smutno mi, że odchodzisz, i niecierpliwie będę cię oczekiwał. Z tej wady nigdy się nie wyleczę.

– I dobrze zrobisz; martwiłoby mnie to.

Wtem dał się słyszeć dzwonek – ktoś przybył.

– Pewno ktoś z zaproszonych gości – rzekła pani d'Harville – wychodzę. Co robisz wieczorem? Jeżeli nie masz nic innego w planie, to musisz pojechać ze mną na operę.

– Z największą przyjemnością podporządkuję się twemu żądaniu.

– A więc, wracając do siebie, wstąpię dowiedzieć się, czy dobrze się bawiliście na kawalerskim śniadaniu.

I ścisnąwszy rękę męża, wyszła jednymi drzwiami, podczas gdy księżę de Lucenay wchodził drugimi.

V

Kawalerskie śniadanie

Książę de Lucenay wszedł do pokoju markiza. Był ranny tak lekko, że nawet nie potrzebował podwiązywać ręki. Twarz miał jak zwykle wyniosłą i drwiącą, a wiercił się i hałasował bez przerwy.

– Nigdy w życiu się tak nie uśmiełem! Wyobraź sobie, że ten Karol Robert, zresztą miły człowiek, chciał uroczyście przekonać cały świat, że nie ma dychawicy. Bo nie wiesz, o co to był pojedynek. Na balu u posła zapytałem go przy twojej żonie i przy hrabinie Mac-Gregor, czy zawsze dokucza mu dychawica; mówiąc między nami, nigdy nie miał takiej choroby, to zresztą nie ma nic do rzeczy. Sam rozumiesz, że nie jest przyjemnie słyszeć takie pytanie wobec ładnych kobiet.

– Co za szaleństwo! Zawsze jesteś ten sam! Lecz powiedz mi, kim jest ów pan Robert?

– Nic nie wiem o nim. Spotkałem go latem u wód; tej zimy na balu u posła zobaczyłem go i zaczępiłem tym niewinnym żarciem, w trzy dni potem drasnął mnie za to szpada, no i tyle naszej całej znajomości.

– Czekałem na ciebie, drogi Henryku, i przygotowałem ci niespodziankę – rzekł d'Harville. – Zaprosiłem na śniadanie Henryku przyjaciół.

– A to wybornie! bravo! bravissimo! – krzyknął książę de Lucenay na całe gardło, uderzając laską po poduszkach sofy. – A kto będzie? Saint-Remy? Nie, nie; on wyjechał na wieś przed kilku dniami; posyłałem do niego, żeby był moim sekundantem, ale już wyjechał; musiałem się udać do lorda Duglasy i pana de Cezannes.

– Właśnie zaprosiłem ich na śniadanie.

– Brawo! Brawo! Brawo! – zaczął znowu krzyzczeć książę, rzucając się po sofie jak szczupak.

Te sztuki akrobatyczne przerwało przybycie pana de Saint-Remy, który wszedł, mówiąc wesoło:

– Nie potrzebowałem się pytać, czy jest Lucenay, na dole już było go słychać.

– Jak to! To ty, piękny Sylwianie, parafianinie, wilkołaku! – zawołał książę, zrywając się z sofy. – Myślałem, żeś na wsi.

– Wczoraj wróciłem, tylko co odebrałem zaproszenie od d'Harville'a i przybyłem, bardzo rad z tej niespodzianki.

– Bardzo ci dziękuję za taką gotowość na moje zaproszenie, kochany Saint-Remy – rzekł markiz. – Bo też przyjaciele księcia powinni się radować, że tak dobrze skończył się pojedynek, który mógł mieć i zły koniec.

– Ale, ale – przerwał znowu Lucenay – po coś tam w zimie jeździł na wieś, Saint-Remy? To mnie zastanawia.

– Jaki ciekawy! – zaśmiał się Saint-Remy do d'Harville'a; potem odpowiedział księciu: – Chcę się pomału odzwyczaić od Paryża.

– Aha! Prawda, wpadłeś na dziwaczny pomysł, żeby starać się o miejsce przy poselstwie francuskim w Gerolstein.

– Cicho, mój kochany Lucenay – zawołał Saint-Remy – nie mów nic złego o Gerolsteinie, bo rozgniewasz d'Harville'a; jest bliskim przyjacielem księcia Rudolfa, który mnie bardzo dobrze przyjął na balu u posła, gdzie mu byłem przedstawiony.

Tymczasem nadeszła i reszta zaproszonych; wtem wszedł Józef i powiedział swemu panu kilka słów do ucha.

– Wybaczcie, panowie – rzekł markiz. – Jubiler mojej żony przynosi mi do wyboru brylanty... Chcę jej zrobić niespodziankę. Ty to rozumiesz. Lucenay, obaj należymy do mężów starej daty.

– Tam do kata! – zawołał książę. – Jeśli już mowa o tym, to moja ona też mi zrobiła wczoraj niespodziankę. Prosiła mnie... o sto tysięcy franków.

– A ponieważ jesteś szczodry i hojny...

– Więc jej pożyczyłem! Zahipotekuję sumę na dobrach Arnouville, przyjaźń przyjaźnią, interes interesem. Cóż chcesz, pożyczyć komuś w dwie godziny sto tysięcy franków, kiedy ich potrzebuje, to nie lada grzeczność i nie zawsze się trafi taki, co pożyczy. Nieprawdaż, rozrutniku, co się tak dobrze znasz na pożyczkach? – książę ze śmiechem zagadnął pana de Saint-Remy, nie domyślając się nawet wagi tych stów. Mimo właściwej mu bezczelności hrabia zarumienił się lekko, lecz zaraz rzekł śmiało:

– Sto tysięcy franków! Ależ to ogromna suma! Na co kobieta może potrzebować stu tysięcy franków?

– Doprawdy, nie wiem, co moja żona myśli z tym zrobić. Zresztą mnie o to głowa nie boli, pewnie jakieś długi za stroje, jakieś nie zapłacone rachunki.

– Słuchaj, kochany Saint-Remy – zawołał d'Harville. – Masz taki wyborny gust, pomóż mi wybrać brylanty dla żony, zgodzę się na twój wybór, jesteś przecież królem mody.

Wszedł jubiler, niosąc kilka pudełek w skórzanym worku,

– Patrzajcie, pan Baudoin! – rzekł książę de Lucenay. – Pewien jestem, że to pan rujnujesz moją żonę swoimi pięknymi błyskotkami! – dodał.

– Księżna tej zimy kazała tylko na nowo oprawić swoje brylanty – odpowiedział jubiler, nieco zmieszany. – Zabrałem je właśnie z sobą, żeby odnieść księżnej.

Saint-Remy wiedział, że księżna, starając się dla niego o pieniądze, zamieniła swoje brylanty na fałszywe. Spotkanie z jubilerem wcale nie sprawiało mu przyjemności, rzekł jednak zuchwale:

– Jacy ciekawi ci mężowie! Nie odpowiadaj, panie Baudoin.

W czasie rozmowy jubiler rozłożył na biurku kilka przeszlicznych naszyjników z rubinów i brylantów.

– Co za ogień w tych kamieniach! Jak świetnie oszlifowane! – zawołał lord Duglas.

– To robota najlepszego rzemieślnika w Paryżu; na nieszczęście dostał pomieszania zmysłów; a równego mu nie znajdę prędko. Mówiono mi, że zwariował z nędzy.

– Ile pan chcesz za ten naszyjnik? – zapytał d'Harville.

– Pan markiz raczy zauważyć, że kamienie są pierwszej wody i doskonale rżnięte, prawie wszystkie jednej wielkości. Ostatnia cena czterdzieści dwa tysiące franków.

– Panowie – zawołał książę de Lucenay – uwielbiamy d'Harville'a; kupuje żonie podarunek za czterdzieści dwa tysiące franków; tam do diabła, nie rozgłaszajmy tego, bo to szkaradny przykład.

– ŚmieJCie się, jak chcecie – odpowiedział wesoło markiz. – Kocham moją żonę i nie tylko z tym się nie kryję, ale chlubię się tym.

– Mamy oczywiste dowody – rzekł Saint-Remy – taki podarunek mówi dobitniej niż wszelkie przysięgi.

– Biorę więc ten naszyjnik – rzekł d'Harville. Jubiler wyszedł. D'Harville oddał kupione brylanty Józefowi i rzekł mu cicho:

– Niech Julia zręcznie włoży te klejnoty między inne brylanty pani, bo chcę, żeby żona znalazła je zupełnie przypadkiem.

W tej chwili dano znać, że śniadanie już zastawione, goście przeszli do jadalni i siedli przy stole.

– Wiesz, kochany d'Harville – rzekł pan de Lucenay – że masz jeden z najwykwintniejszych domów w całym Paryżu.

– Dość wygodny wprawdzie – odpowiedział d'Harville – ale nie bardzo obszerny. Myślę teraz przybudować galerię od ogrodu. Żona moja zamierza dawać bale, a trzy salony nam nie wystarczą.

– A kiedy zapowiadasz modnemu światu otwarcie tych świetnych uroczystości i zabaw?

– Mam nadzieję, że już w przyszłym roku, bo chcę natychmiast rozpocząć budowę.

– Wielkie projekty!

– Mam jeszcze inne... Myślę przewrócić do góry nogami Val-Richer.

– Twoją majątność w Burgundii?

– Tak, można z niej zrobić cudo... – oczywiście jeśli mi Bóg pozwoli żyć...

– Biedny staruszek!

– Ale, ale, czy kupiłeś ostatnio folwark, by zaokrąglić Val-Richer?

– Kupiłem, i to bardzo dobrze, z porady notariusza.

– Cóż to za notariusz, co tak dobrze radzi?

– Pan Jakub Ferrand.

Na to imię Saint-Remy wzdrygnął się nieco.

– To rzeczywiście prawy człowiek? – zapytał niedbale pana d'Harville.

– Jakub Ferrand? Także pytanie! Wszak to człowiek o przysłowiowej uczciwości – zawołał pan de Lucenay.

– Równie szanowany jak godny szacunku.

– Pobożny, cnotliwy.

– Nadzwyczaj skąpy, co stanowi gwarancję dla klientów.

– Słowem, jeden z tych notariuszy starej daty, co to gotowi zapytać, za kogo ich masz, jeśli wspomnisz im o kwicie na złożone u nich pieniądze.

– A teraz, panowie – rzekł d'Harville po deserze – jeżeli zechcecie zapalić cygaro, to przejdziemy do mego gabinetu.

Goście wstali od stołu i przeszli do gabinetu markiza; drzwi od pokoju sypialnego, przylegającego do gabinetu, były otwarte. Powiedzieliśmy już, że jedyną ozdobą sypialni była broń rozmaitego rodzaju, bardzo piękna, rozwieszona symetrycznie na ścianach.

Lord Douglas, pan de Saint-Remy i jeszcze dwaj inni goście weszli do pokoju markiza, chcąc obejrzeć broń.

Pan d'Harville zdjął ze ściany pistolet, odwiódł kurek i rzekł ze śmiechem:

– Oto, panowie, najskuteczniejsze i uniwersalne lekarstwo na wszelkie choroby... spleen, nudy... – i przyłożył lufę do ust.

– Ostrożnie, proszę cię, daj pokój tym niebezpiecznym żartom, o nieszczęście nietrudno – rzekł książę de Lucenay, widząc, że markiz znowu zbliża pistolet do ust.

– Ależ, mój kochany, czy myślisz, że bawiłbym się pistoletem, gdyby był nabity?

Uważacie, panowie, robi się tak: bierze się lufę delikatnie w zęby, potem... zbliża się palec do cyngla – mówił d'Harville.

– Co za dziecinada! W tym wieku!

– Teraz tylko pociągnąć – mówił dalej markiz – i idzie się na tamten świat...

W tej chwili pistolet wystrzelił. D'Harville padł martwy.

Nazajutrz czytano w dziennikach:

Wczorajszy wypadek, równie smutny jak nieprzewidziany, poruszył do głębi całe przedmieście Saint-Germain. Pan markiz d'Harville, posiadacz ogromnych dóbr, dwudziestoseściolatek miody człowiek o szlachetnym charakterze i dobrym sercu, od kilku lat dopiero połączony z żoną, którą ubóstwiał, zaprosił kilku przyjaciół na śniadanie; po śniadaniu udano się

do sypialni markiza, ozdobionej zbiorem kosztownej broni. Pan d'Harville wziął pistolet i sądząc, że jest nie nabity, dla żartów przyłożył go do ust. Pistolet wystrzelił i nieszczęsny markiz padł martwy ze straszliwie zmasakrowaną głową.

Przytaczamy słowa dziennika na dowód, że powszechnie przypisywano śmierć pana d'Harville fatalnej, zgubnej nieostrożności. Tylko on zabrał do grobu tajemnicę dobrowolnej śmierci. Dobrowolnej i obmyślonej z zimną krwią, tak aby Klemencji nie zostawić najmniejszego podejrzenia co do przyczyn samobójstwa. Projekty na przyszłość, które snuł razem z przyjaciółmi i swoim plenipotentem, zwierzenia staremu słudze, nawet kupione potajemnie z rana brylanty dla żony – wszystko to miało na celu usunięcie poszlak. Przypisywano więc i musiano przypisać jego śmierć tylko przypadkowi. Jego postanowienie zaś było skutkiem nieuleczalnej rozpacz. Mówił sobie w bolesnym zwątpieniu:

Jedną tylko kobietę mogę kochać, jedną tylko Kocham: moją żonę. Niegodziwym oszustwem przykułem ją, jako młodą dziewczynę, do mego okropnego losu. Tylko moja śmierć skruszyć może jej więzy. Powinienem więc umrzeć.

VI

Więzienie Świętego Łazarza

Więzienie Świętego Łazarza przeznaczone jest głównie dla kobiet złego prowadzenia i złodziejek. Codziennie odwiedzają je opiekunki, znakomite damy, których miłosierdzie, nazwisko i pozycja społeczna nakazują powszechny szacunek.

Pani d'Harville, nie wiedząc o okropnym wypadku, który zdarzył się w jej domu, pojechała do Świętego Łazarza, odwiedziwszy wprzód księżną de Lucenay, od której dowiedziała się coś niecoś o dwóch nieszczęsnych ofiarach chciwości notariusza Ferannd. W więzieniu dyrektor i dozorczyńce przyjęli ją bardzo uprzejmie. Jedna z dozorczyń, starsza kobieta o twarzy łagodnej i poważnej, miała udzielać markizie wyjaśnień.

Pani Armand, dozorczyńce, zostawszy sama z Klemencją w pokoju obok kancelarii więzienia, rzekła:

– Chciałaby pani wiedzieć, które z naszych pensjonariuszek zasługują na jej względy skruchością i dobrym postępowaniem. Mogę pani polecić jedną, która jak mi się zdaje, jest bardziej nieszczęśliwa niż występna; sądzę, że się nie mylę, zapewniając, że nic jest za późno, żeby ją zwrócić na prawą drogę. To młoda dziewczyna, ma może szesnaście albo siedemnaście lat.

– Za co ją uwięziono?

– Znalaziono ją wieczorem na Polach Elizejskich. Kobietom tej klasy zabroniono pod karą znajdować się w pewnych miejscach publicznych bądź dniem, bądź nocą; a ponieważ Pola Elizejskie należą właśnie do tych miejsc, została więc przytrzymana. Dozorcy policyjni poznali ją, mieszkała dawniej w starej ruderze w Cité, skąd zniknęła przed kilkoma miesiącami. Ponieważ jednak dotąd nie została wykreślona ze spisów policyjnych, zatem ulega jeszcze przepisom, na mocy których ją tu osadzono. Wypytywałam ją o przeszłość, badałam, czy przybywa ze wsi, obiecywałam jej wszelką pomoc, gdyby chciała odtąd dobrze się prowadzić.

– I cóż ona na to?

– Ze łzami w oczach odpowiedziała mi tylko: „Dziękuję, pani jest bardzo dobra, ule nie mogę nic powiedzieć o tym, co przeszło. Zawiniłam, zatrzymano mnie i nie skarzę się”. A jak cię stąd wypuszczą, wrócisz znów do tego domu w Cité? „Nie, nigdy!” – zawołała. „Więc co zrobisz?” „Bóg to wie”, odpowiedziała, spuszczaając głowę.

– Ależ to jak w powieści! – zawołała zaciekawiona Klemencja. – A jakie są jej stosunki z towarzyszkami więzienia?

– Przyznam – odpowiedziała dozorczyńce – że ja, co z obowiązku i z nawyku obserwuję uwięzione kobiety, zupełnie nie rozumiem tej dziewczyny. Jest tu zaledwie od trzech dni, a już nabyła pewnego rodzaju przewagi nad wszystkimi towarzyszkami. Okazują jej nie tylko uprzejmość, ale i szacunek.

– Nie nienawidzą jej?

– Bynajmniej. Były uderzone jej niezwykłą urodą. Jej śliczna twarz, niemal chorobliwie blada, wzbudziła w nich raczej zainteresowanie niż zazdrość. A przy tym, chociaż poważna i zamknięta w sobie, okazała się litościwa i dlatego towarzyszki nie obrazają się, że z nimi mało przestaje. To jeszcze nie wszystko. Od jakiegoś miesiąca mamy tu pewną kobietę tak gwałtowną, zuchwałą i nieznośną, że często musimy ją zamykać, żeby ukrócić jej dzikość. Przezywają ją Wilczyca. Otóż pewnego dnia Gualeza, nie mogąc zjeść swego śniadania, zapytała: „Może która z was jest głodna?” „Jaa”, odezwała się Wilczyca. „Ja”, zawołała druga

dziewczyna, mizerna, chuda, prawie kaleka, pośmiewisko wszystkich. Gualeza oddała chleb kalece. „Ja byłam pierwsza!” krzyknęła Wilczyca z wściekłością. „To prawda”, odpowiedziała Gualeza, „ale ta biedaczka jest taka mizerna, jej chleb potrzebniejszy”. Wtedy Wilczyca wyrwała chleb kalece i wywijając nożem, skoczyła ku Gualezie. Jest taka zła i tak jej się boją, że żadna nie śmiała ująć się za napadniętą.

– I w jaki sposób wydobyła się z rąk Wilczycy?

– Doprowadzona do największej wściekłości zimną krwią Gualezy, Wilczyca, klnąc, rzuciła się na nią z nożem w ręku. Wszystkie kobiety krzyknęły przerażone, ale Gualeza bez obawy patrzyła na grożącą jej towarzyszkę. Uśmiechnęła się gorzko i powiedziała: „Zabij mnie, zabij, nie bronię, tylko mnie bardzo nie męcz”. Słowa jej rozbroiły nawet Wilczycę, która odrzuciła nóż i zaniechała kłótni. Ten wypadek zwiększył jeszcze wpływy Gualezy, teraz wszystkie ją szanują i starają się jej usłużyć, w czym mogą.

– Muszą panią bardzo męczyć takie wychowanki jak Wilczyca...

– Ona? Nie! Są z nią kłopoty, to prawda, ale jest tak godna litości... Życie zrobiło ją taką!

Markiza d'Harville nie mogła wyjść z podziwu, widząc w zwykłej dozorczyńni tyle zdrowego rozsądku w połączeniu ze szlachetnym, ludzkim współczuciem.

– Kobiety takie jak pani należą chyba do rzadkości – rzekła do pani Armand.

– Nie, zapewniam panią. Wszystkie inne dozorczyńnie robią to samo co ja, i to często z lepszym skutkiem. Jestem pewna, że pani markizie bardziej spodobałaby się dozorczyńni tej części więzienia, gdzie osadzają zbrodniarki. Opowiadano mi dziś rano o świeżo przysłanej tu dziewczynie, oskarżonej o dzieciobójstwo, której ojciec, uczciwy rzemieślnik, dostał pomieszczenia zmysłów, dowiedziawszy się o występku ukochanej córki. Powiadają, że cała rodzina żyje w trudnej do opisania nędzy na jakimś poddaszu przy ulicy Temple.

– Przy ulicy Temple! – zawołała Klemencja. – A jak się nazywa ten rzemieślnik?

– Jego córka nazywa się Ludwika Morel.

– Odwiedzę ją. A Gualezę i Ludwikę Morel wezmę pod swoją opiekę. Lecz czego trzeba, żeby Gualezę uwolnić z więzienia? Zajęłabym się jej losem, zapewnię jej przyszłość.

– Dla pani markizy to bardzo łatwe, wszystko zależy od prefekta policji, a nie odmówi prośbie osoby tak znakomitej. Lecz odbiegłyśmy od tematu, od moich spostrzeżeń nad Gualezą. Otóż wczoraj wieczorem, kiedy obchodziłam moich podopiecznych, zatrzymałam się koło jej łóżka: ręce miała złożone na piersi i cicho, ze smutkiem i namiętnie powtarzała przez sen imię mężczyzny.

– Jakie imię?

Pani Armand, zawahawszy się chwilę, odparła:

– Uważam każde słowo podsłuchane we śnie za otoczone świętą tajemnicą, lecz pani okazuje tak szlachetne zainteresowanie tą nieszczęśliwą, że mogę pani powierzyć jej tajemnicę. Powtarzała imię Rudolf.

– Rudolf! – krzyknęła markiza.

„To niepojęte”, myślała markiza d'Harville, gdy została sama, „jakie wrażenie sprawiło na mnie samo imię Rudolf. Nie, jestem szalona. Co mogłoby go łączyć ze stworzeniem tego rodzaju? Ale on miał rację: jak mnie to wszystko zajmuje! Serce i umysł rosną, rozszerzają się przy tak szlachetnym zajęciu. Jak słodko mi będzie iść za radami Rudolfa! Być mu posłuszną, to tyle co kochać go. Czuję, jak mnie ożywia jego tchnienie. Chcę działać i myśleć tak jak on, bo go kocham. Tak, kocham go. A on nigdy się o tym nie dowie...”

VII

Jońska

Druga wybiła na zegarze więzienia Świętego Łazarza, nadeszła godzina przechadzki.

Na dźwięk dzwonka wyszło około dwustu kobiet, jednakowo ubranych w czarne czepek, niebieskie, wełniane suknie, ściśnięte paskiem z żelazną klamrą. Były to prostytutki, osadzone w więzieniu za naruszenie przepisów policyjnych.

Skoro tylko wybiegły na podwórze, z krzykiem otoczyły małą, ułomną, mniej więcej czterdziestoletnią kobietę. Zdarły jej z głowy czepek – jej żółtawe, szorstkie, zjeżone włosy opadły na niskie, głupekowate czoło. Kobieta trzymała pod pachą coś zawiniętego w podartą chustkę; lewą ręką zasłaniała się od uderzeń towarzyszek.

Była to postać smutna a zarazem groteskowa; twarz miała jakoś śmiesznie ohydną, długą, pomarszczoną, o ziemistej cerze, małe, czerwone oczki i wielkie nozdrza. Była kozłem ofiarnym wszystkich kobiet. A przecież pewien wzgląd powinien ją być chronić przed złym traktowaniem – była w poważnym stanie.

Do jej najzacieklejszych nieprzyjaciółek należała Wilczyca.

– Mój Boże! Mój Boże! – krzychała Jońska. – Co ja wam zrobiłam?! Dlaczego się nade mną pastwicie?

– Bo nas to bawi! Przypatrz się sobie! Zobaczysz, że nie masz prawa się skarżyć.

– Wiem, że jestem szkaradna, istne straszdyło, bawcie się mną, kpijcie sobie ze mnie, wszystko mi jedno, tylko mnie nie bijcie, tylko o to proszę.

– Co masz w tej chustce? – zapytała Wilczyca.

– Tak, co ona tam ma?!

– Odbierz jej, Wilczyco! Wydrzyj! Zobaczymy, co tam jest! – krzychały pomieszane głosy.

– Powiem wam już, to pieluszki dla dziecka, ja to robię ze starych szmat, których nikt już nie chce. Przecież to wam nie szkodzi, prawda?

– Dawaj pieluchy! – zawołała Wilczyca i wyrwała zawiniątko z rąk Joński. Stara chustka rozdarła się i różnokolorowe strzępki rozleciały się po dziedzińcu. Kobiety deptały je nogami z krzykiem i śmiechem.

– Co za łachmany!

– Jak u gałganiarza!

– I ona to zszywa!

– Ach, wy podłe – krzychała biedna kaleka, goniąc za rozrzuconymi gałgankami. – Co ja wam zrobiłam – dodała z płaczem – usługuję wam, oddaję połowę chleba, chociaż sama jestem głodna! – Nagle zawołała: – Gualeza idzie! Gualezo, powiedz im, niech mnie nie dręczą, ciebie posłuchają!

Gualeza właśnie weszła na podwórze. Była ubrana tak jak wszystkie kobiety, ale nawet i w tym stroju wydawała się urocza. Zmieniła się jednak od czasu porwania z Bouqueval: dawny rumieniec ustąpił miejsca bladeści i twarz miała smutną.

Gualeza bez słowa zaczęła zbierać rozrzucone szmatki i zgromadziła je wszystkie, został tylko jeszcze do odebrania dziecienny czepeczek. Trzymała go Wilczyca.

– Proszę cię, daj mi go – rzekła Gualeza.

– Nie dostaniesz tego – odpowiedziała Wilczyca – myślisz, że mamy ci zawsze ustępować, bo jesteś najsłabsza z nas? Nadużywasz naszej dobroci.

– Jakaż byłaby twoja zasługa, gdybym była najsilniejsza? – rzekła Gualeza z uśmiechem. – Nie męczcie tej biedaczki, zabiłybyście ją dla zabawy. To podle.

– Więc my podle postępujemy! – zawołała Wilczyca rozgniewana. – Odpowiadajże! Podle postępujemy?

Inne kobiety także z wrzaskiem otoczyły Gualezę.

– Musisz nas przeprosić – wołała Wilczyca. – Gdybyśmy ci pozwalały, wyrabiałybyś z nami, co tylko zechcesz.

Gdyby Gualeza zaczęła mówić o sprawiedliwości, o obowiązkach, nie usłuchałyby jej. Lecz trafiła w najczulszą strunę, powołując się na wrodzoną szlachetność, która nigdy nie zamiera w masach, choćby najbardziej zepsutych. I Wilczyca, i inne kobiety szemrały jeszcze, ale przyznawały w duchu, że postąpiły niktzemnie. Gualeza, korzystając z pierwszej chwili zwycięstwa, mówiła dalej:

– Powiadacie, że ona niewarta litości! Ale jej dziecko jest godne pożałowania! Ono czuje ból, gdy bijecie matkę. Kiedy Joaśka błaga, to nie dla siebie, ale dla swego dziecka. Dla niego prosi was o chleb i o oddanie tych gałganków! Ten czepek, zszyty z różnych szmatek, dla was jest śmieszny, a mnie się chce płakać, kiedy na niego patrzę. ŚmieJCie się teraz, jeśli chcecie, ze mnie i z Joaśki.

Już nikt się nie śmiał. Wilczyca spojrzała prawie smutnie na trzymaną w rękę czapeczkę.

– A bo i prawda, kto by się nie zlitował nad dzieckiem? – odezwał się jakiś głos.

– Biedne to, niewinne.

– Trzeba by nie mieć serca!

Tak zawsze bywa we wzburzonym tłumie: równie szybko przechodzi od uczuć złych do dobrych, jak od dobrych do złych. Krótkie, proste i wzruszające słowa Gualezy obudziły w uwieczonych kobietach współczucie dla Joaśki, która płakała z radości. Nagle Wilczyca, we wszystkim gwałtowna i prędka, wzięła czepek, wrzuciła w niego dwadzieścia sous i zawołała, podsuwając go towarzyszkom:

– Daję dwadzieścia sous na pieluchy dla dziecka Joaśki. Same je skroimy i uszyjemy.

– Tak, tak, złóżmy się!

– Ja daję dziesięć sous!

– Ja trzydzieści!

– Ja tylko cztery, nie mam więcej.

– Ja nie mam nic, ale daję mój jutrzejszy obiad, kto go kupi?

– Ja – rzekła Wilczyca – płacę za ciebie dziesięć sous, ale obiadu nie biore, zjesz go sama.

Trudno wyrazić radość Joaśki; lzy nadawały jakiś wzruszający wyraz jej brzydkiej twarzy, jaśniejącej szczęściem i wdzięcznością. I Gualeza była uszczęśliwiona, chociaż musiała powiedzieć Wilczycy, kiedy ta podeszła do niej z czepeczkiem:

– Nie mam pieniędzy, ale będę szyła, ile mi sił starczy.

– O, mój aniołeczku! – zawołała Joaśka, padając na kolana przez Gualeza i usiłując ją pocałować w rękę. – Czym zasłużyłam na tyle dobroci?

– Mamy osiemdziesiąt osiem franków i siedem sous – rzekła Wilczyca, przeliczywszy wartość czepka. – Komu to dać na przechowanie? Joaśce nie można, ona nie umie się obcho-dzić z pieniędzmi.

– Oddajcie Gualezie – wołano zewsząd.

– Słuchajcie – rzekła Gualeza – najlepiej oddajmy pieniądze pani Armand i poprośmy ją, żeby kupiła, co trzeba. A może pani Armand, widząc ten dobry postępek, uprosi dla niejednej wcześniejsze zwolnienie z więzienia?

– Gualezo, chodź, chcę ci coś powiedzieć – szepnęła ponuro Wilczyca, podchodząc do niej. I oddalając się od grupy kobiet, zaprowadziła Gualezę nad brzeg sadzawki; usiadły tam na ławce.

VIII

Wilczyca i Gualeza

- Co chcesz mi powiedzieć? – zapytała Gualeza.
- Musimy się rozmówić – rzekła twardo Wilczyca – tak dłużej zostać nie może.
- Co ja ci zawiniłam?
- Zawiniłaś. Bo odkąd ty tu przyszedłaś, nie jestem ta sama. Tak, nie mam ani serca, ani siły, ani odwagi. Gdyby mój kochanek Martial wiedział, jak ja się tu zachowuję od trzech dni, za-
biłby mnie na miejscu. I miałby rację, bo jestem tchórz!
- A co jest tchórzliwego w twoim postępowaniu? Żałujesz dobrego uczynku?
- Żałuję!
- Nie wierzę ci!
- A ja powtarzam, że żałuję, bo to nowy dowód, że ty z nami robisz, co chcesz. Dłużej te-
go nie zniosę. Nazywają mnie Wilczycą, i słusznie, niejedna popamiętała moje zęby. I taka
dziewczynina jak ty ma być silniejsza ode mnie?
- Proszę cię, posłuchaj mnie...
- Nie, słuchanie ciebie tylko na złe wychodzi... a kiedy popatrzeć na ciebie... Nikomu nig-
dy nie zazdrościłam. A teraz... jaka ja głupia! Spostrzegłam już parę razy, że ci zazdroścę
tej twojej świętej buzi! Zazdroścę ci czasem nawet jasnych włosów i niebieskich oczu, cho-
ciaż zawsze nienawidziłam blondynek, bo jestem czarna. Chciałabym być do ciebie podobna,
ja, Wilczyca! Gdyby mi to kto dawniej powiedział, nie uszłoby mu bezkarnie.
- Nie gniewaj się, proszę, ale wytłumacz mi wszystko.
- Wczoraj patrzyłam na ciebie przy robocie; schyliłaś się i łza ci spadła na rękę. To zdaje
się nic, ale miałeś wtedy minę tak nieszczęśliwą, że mi się serce krajało. Myślisz, że to miło?
Zawsze byłam twarda jak skała, nikt mnie nie widział płaczącej, a teraz na twój widok łzy mi
w oczach stają! To niktzemne, sama to czuję, i dlatego od trzech dni już nie pisałam do mego
Martiała, bo nie mam spokojnego sumienia. Ty mi osłabiasz charakter, tak dłużej nie może
być. Nie, nie mam dwudziestu lat, jestem tak samo piękna jak ty, jestem zła, boją się mnie,
tego właśnie chcę! O resztę nie dbam! Przystawanie z tobą na nic się nie zdało, ty mnie psu-
jesz i jeżeli to dłużej potrwa, za dwa tygodnie nie będą mnie nazywali Wilczycą, ale Owiecz-
ką.
- Ależ, Wilczyco, wszystko to właśnie dowód, że nie jesteś niktzemna! Tylko szlachetne
serca są czułe na cudze nieszczęścia.
- Nieprawda! – zawołała Wilczyca. – To nie jest szlachetność, ale tchórzostwo, podłość. A
poza tym nie chcę, żebyś mówiła, że ja się rozczulam, bo to nieprawda...
- Już więcej tego nie powiem, ale ponieważ litowałam się nade mną, pozwolisz mi być za
to wdzięczną?
- A wszystko mi jedno! Dziś wieczór jeszcze będę w innej celi, a niedługo zupełnie stąd
wyjdę.
- I dokąd pójdziesz?
- Do siebie, na ulicę Pierre Lescot.
- O, to będziesz się cieszyła, gdy znowu zobaczysz Martiała?
- No pewnie – odpowiedziała namiętnie Wilczyca. – Kiedy mnie tu wsadzili, on dopiero
przychodził do zdrowia. Przez siedemnaście dni i nocy nie odstępowałam jego łóżka, sprze-

dałam połowę rzeczy, żeby zapłacić za doktora i lekarstwa. Jeżeli Martial żyje, to mnie to zawdzięcza.

– Gdzie on teraz jest? Co robi?

– Mieszka, jak dawniej, nad brzegiem Sekwany, w wiosce Asnières, w samotnym domku, razem z rodzeństwem. Prowadzi ciągłą wojnę ze strażą pilnującą rybołówstwa; a kiedy siedzi w swojej łódce i ma fuzję, wtedy nie przystępuj do niego – dodała Wilczyca z dumą.

– Czym się trudni?

– W nocy łowi ryby na przekór straży, a oprócz tego, jeżeli jaki tchórz chce się zemścić, on się podejmuje jego sprawy. Bo Martial jest dzielny jak lew! Została mu jeszcze matka, dwie siostry i dwóch braci. Przed rokiem oskarżyli go, że strzelił do gajowego, łotr gajowy sam do niego strzelał! Nie dowiedli mu nic, ale musiał się wynieść z lasu. Wtedy przyszedł do Paryża uczyć się ślusarki i tam go poznałam. Nie mógł się zgodzić z majstrem, więc wrócił do Asnières do rodzeństwa i włóczył się po rzece, ale zawsze żał mu lasów i kiedyś znowu w nich osiadzie. Tyle mi mówił o borach, że mi tym nabił głowę, tak jakbym się sama tam urodziła.

– A ty co robiłaś w Paryżu?

– Służyłam u jednej kobiety: gotowałam, nosiłam jedzenie jej mężowi, a kiedy wracał zalany, a to wypadło wcale często, pomagałam ciotce Magdzie zbić go na kwaśne jabłko. Inaczej nie dałby nam spokoju, a przecież mieszkaliśmy wszyscy w jednej izbie.

– No, a jak zostałaś... – tu Gualieza zawahała się chwilę.

– Ano, ciotka Magda to była poczciwa kobieta. Powiedziała mi kiedyś: „Masz szesnaście lat, do niczego się nie nadajesz; pójdziesz ze mną i zarejestruję cię w policji. Będziesz przynajmniej miała zajęcie popierane przez władze”. No i poszłyśmy. Poleciała mnie do takiego jednego domu i tam już zostałam.

Gualiezie nie były obce te sprawy. Od pewnego czasu jednak żyła w atmosferze tak czystej, że opowiadanie Wilczycy napełniło ją bolesnym przygnębieniem.

A skoro już starczyło nam odwagi na tę opowieść, trzeba, żeby czytelnik wiedział, iż rzeczywistość tysiącrotnie przewyższa fantazję autora. Ciemnota i nędza często prowadzą do przerażającego upadku.

Nie chcemy tu nikogo usprawiedliwiać. Porównajmy jednak dobrowolny upadek kobiety pieczołowicie i pobożnie wychowywanej w zamożnej rodzinie z upadkiem Wilczycy, tej istoty, co rośnie w występku, przez występki i dla występku; tej, której nie bez racji wskazuje się prostytutkę jako zawód popierany przez władze!

IX

Protektorka

Rozmowę Wilczycy z Gualezą przerwała pani Armand, wzywając Gualezę do pokoju, gdzie czekała Klemencja d'Harville.

– Pani markiza, wzruszona pochwałami, których ci nie szczędziłam – rzekła pani Armand – chciała cię zobaczyć, a może nawet postara się, żeby cię wcześniej zwolniono.

Gdy dozorczyńni wyszła, pani d'Harville odezwała się do Gualezy:

– Pani Armand bardzo chwali twój łagodny charakter i przykładne postępowanie, moje dziecko, ale skarżyła się, że jej nie ufasz.

Gualeza w milczeniu spuściła głowę.

– Strój wieśniaczki, w którym tu przyszłaś, przemilczanie miejsca twego pobytu każą się domyślać, że coś ukrywasz. Nie mam najmniejszego prawa do twego zaufania, nie chcę ci zadawać przykrych pytań; ale powiedziano mi, że jeśli ja się wstawię za tobą, uwolnią cię z więzienia. Toteż chciałabym wiedzieć, jakie masz zamiary na przyszłość? Co myślisz zrobić po wyjściu na wolność? Jeżeli, o czym nie wątpię, chcesz iść dobrą drogą, mogę ci zapewnić uczciwy sposób zarabiania na życie.

Gualeza, rozczulona niemal do łez, odpowiedziała po chwili wahania:

– Pani jest dla mnie tak dobra, że nie powinnam może dłużej ukrywać przeszłości, dotąd jednak przysięga zmuszała mnie do zachowania tajemnicy.

Markiza, zdziwiona słodyczą głosu i wysłowieniem Gualezy, rzekła do niej:

– Muszę ci powiedzieć, że twoje zachowanie, twoja mowa niezmiernie mnie zastanawiają. Jak z takim wychowaniem mogłaś...

– Upaść tak nisko? Nieprawdaż, pani? – zapytała z goryczą Gualeza. – To wychowanie odebrałam bardzo niedawno; zawdzięczam je pewnemu szlachetnemu człowiekowi, który mnie nie znał, podobnie jak pani; i nawet nikt mu mnie nie polecał, a ulitował się nade mną...

– Któż to jest?

– Nie wiem.

– Nie wiesz, jak się nazywa?

– O, to wiem, dzięki Bogu – odpowiedziała Gualeza – przynajmniej mogę błogosławić, uwielbiać to imię. Nazywa się Rudolf.

– W jakim jest wieku?

– O, jeszcze młody.

– A piękny?

– Tak! Piękny jak jego serce.

Namiętna wdzięczność, malująca się w tych słowach, sprawiła przykre wrażenie na marki-zie. Jakieś nieprzewyciężone, niepojęte przecucie mówiło jej, że to Książę.

„Dozorczyńni nie omyliła się”, pomyślała Klemencja, „Gualeza kocha Rudolfa, to jego imię wymówiła we śnie”.

Klemencja miała niezwykle szlachetną duszę i serce, ale przecież była kobietą i kochała Rudolfa, choć zagrzebała tę tajemnicę we własnym sercu. W pierwszym momencie bolesnego wrażenia upatrywała więc w Gualezie rywalkę. Jej duma oburzyła się na myśl, że się rumieni, że cierpi z powodu tak nędznego stworzenia.

– Powiedz mi, moja panno, jak ten protektor może pozwolić, żebyś tu została – zapytała markiza z pogardą, która w rażący sposób odbijała od początkowej życzliwości. – W jaki sposób tu się dostałaś?

– Boże – odpowiedziała trwożnie Gualeza, nie pojmując tak nagłej zmiany – czy panią czymś obraziłam?

– Zaiste, moja panienko, czy mam dla ciebie ważyć każde słowo? Ponieważ chcę się zająć twoim losem, sądzę, że mogę zapytać cię o to i owo.

Ledwie Klemencja wymówiła te słowa, już ich pożałowała. Dodała więc, znowu nieco łagodniej, żeby nie budzić w Gualezie podejrzeń.

– Powtarzam, że doprawdy nie rozumiem, jak taki dobroczyńca mógł cię zostawić w więzieniu? Jak to się stało, że powróciwszy na dobrą drogę, zostałam przytrzymana sama w nocy na ulicy? A chociaż nie mam innego prawa do twego zaufania prócz chęci pomóżenia ci, obiecuję raz jeszcze zachować tajemnicę, jeżeli mi ją powierzysz, i pomóc ci we wszystkim, o ile tylko będę mogła.

Tym zręcznym zwrotem markiza odzyskała zaufanie Gualazy, która w swej niewinności zaczęła nawet sobie robić wyrzuty, że nie zrozumiała pani d'Harville.

– Przed trzema miesiącami – rzekła do Klemencji – pan Rudolf umieścił mnie o pięć mil stąd na folwarku. Sam mnie tam zawiózł i powierzył w ręce pewnej zacnej kobiety, którą pokochałam jak matkę. Wraz z tamtejszym proboszczem zajęli się troskliwie moim wychowaniem.

– A pan Rudolf... często tam przyjeżdżał?

– Przez czas mego pobytu był tylko trzy razy.

Klemencja nie mogła ukryć radości.

– Kiedy przyjeżdżał, byłaś bardzo szczęśliwa, prawda?

– O! Pani, więcej niż szczęśliwa, było to uczucie wdzięczności, uszanowania, uwielbienia, a nawet bojaźni, bo między nim a mną jest tak wielki przedział...

– Dlaczego więc opuściłaś takie szczęśliwe schronienie?

– Niestety, opuściłam wbrew mej woli. Przed kilkoma dniami – ciągnęła Gualeza, drżąc na samo wspomnienie – szłam na plebanię, kiedy jedna wstrętna baba, która mnie dręczyła w dzieciństwie, zaczęła się na mnie w parowie, razem ze swoim kompanem. Rzucili się na mnie, zwiążali i zanieśli do fiakra. Ledwo fiakr ruszył, kobieta chciała mi wypalić twarz wiotriolem, żeby mnie oszpecić.

– Okropność! Biedne dziecko! I kto cię obronił?

– Jej współnik, ślepy, zwany Bakałarzem. Wszczęła się walka między nim i Puchaczką i w końcu Bakałarz zmusił ją do wyrzucenia butelki. Była ciemna noc. Po jakiejś godzinie powóz zatrzymał się na równinie Saint-Denis; tam czekał na nas człowiek na koniu. Zapytał: „Macie ją?” „Mamy”, odpowiedziała Puchaczka. „Jeżeli pan chce się pozbyć dziewczyny, to najlepiej będzie, jak ją położymy na ziemi, ja ją przytrzymam i powóz przejedzie po niej; będą myśleli, że to wypadek”.

– Ależ to przerażające!

– I Puchaczka byłaby tak zrobiła. Na szczęście ów człowiek powiedział, że nie chce, aby mi się stało coś złego, że trzeba tylko przez dwa miesiące trzymać mnie w tak ścisłym zamknięciu, abym nie mogła ani wyjść, ani do nikogo napisać. Puchaczka poradziła, żeby mnie zamknąć w piwnicy u Czerwonego Janka, na Polach Elizejskich. Nieznajomy zgodził się na to, obiecując, że po dwóch miesiącach zapewni mi los lepszy, niż miałam na folwarku Bouqueval.

– To zastanawiające!

– Ten człowiek dał Puchaczce pieniądze, obiecał jej dać jeszcze więcej i oddalił się galopem. Kiedy podjechaliśmy do rogatki Paryża, Bakałarz rzekł do Puchaczki: „Chcesz zamknąć Gualezę w piwnicy Czerwonego Janka, a przecież wiesz, że ją czasem zalewa Sekwa-

na? Chciałabyś ją utopić!” „Chcę”, mówi Puchaczka. Bakalarz na to: „A ja nie chcę, żeby się utopiła, nie zawiozę jej do Czerwonego Janka”. Puchaczka podobnie jak ja dziwiła się, że mnie ten człowiek broni, i przysięgła w gniewie, że wbrew jego woli zawiezie mnie do Czerwonego Janka. „Nie boję się”, mówił Bakalarz, „trzymam Gualezę za rękę i nie puszcę jej, a ciebie uduszę, jeżeli się do niej zbliżysz”. „Cóż z nią zrobisz?”, spytała go Puchaczka, „trzeba ją przecież zamknąć na dwa miesiące”. „Mam pomysł”, odpowiedział Bakalarz, „pojedziemy na Pola Elizejskie, zatrzymamy się o kilka kroków od jakiegoś posterunku. Ty pójdziesz po Czerwonego Janka; teraz północ, zastaniesz go w szynku; Czerwony Janek zaprowadzi Gualezę na policję i powie, że to dziewczyna z Cité, którą spotkał włóczącą się koło jego szynku. Ponieważ pod karą trzech miesięcy więzienia zabroniono takim dziewczynom chodzić po Polach Elizejskich, a Gualeza jeszcze jest zapisana w policji, osadzą ją w więzieniu Świętego Łazarza”. „Ale”, powiedziała Puchaczka, „Gualeza nie da się uwięzić, przed policją wszystko wyjawia. I choćby ją nawet uwięzili, napisze do swego protektora i wszystko się odkryje”. „A nie, pójdzie dobrowolnie do więzienia”, odparł Bakalarz, „najpierw nam przysięgnie, że ani w więzieniu, ani po wyjściu stamtąd nikomu o niczym nie powie. Powinna to dla mnie zrobić, bo ją obroniłem od wtriotu. A gdyby złamała przysięgę, to wyrzniemy i spalimy cały folwark w Bouqueval”. Potem zwrócił się do mnie: „Przysięgnij albo oddam cię Puchaczce i zaleje cię woda w piwnicy Czerwonego Janka. Wiem, że jeżeli przysięgniesz, dotrzymasz słowa”.

– I przysięgłaś?

– Tak, bo bałam się utonąć w piwnicy, to musi być okropne. Od innej śmierci może bym się nie broniła.

Markizie łzy stanęły w oczach. Nie mogła wątpić w szczerą Gualezę.

– Spodziewam się – rzekła łagodnie – że nie zawsze będziesz tak surowa dla siebie. Ale mów dalej, teraz pojmuję twoje milczenie: nie chciałaś wydać tych nędzników?

Wtem weszła pani Armand, bardzo czymś przejęta, i powiedziała markizie, że księżę de Lucenay jest na dole i kazał powiedzieć, że przybył ze smutną i nieprzewidzianą nowiną. Dowiedział się od swojej żony, że pani markiza jest tu, i pospieszył do niej.

– Smutna nowina! – rzekła do siebie markiza. – Potem nagle zawołała z rozpaczą: – Moja córka... może moja córka... Ach, chodźmy prędko do księcia! I strwożona Klemencja oddaliła się śpiesznie z panią Armand.

X

Przyjaciel pana Pipelet

Zaprowadzimy czytelnika do domu przy ulicy Temple w dniu śmierci markiza d'Harville. Wybiła godzina trzecia. Pan Pipelet siedzi sam w swojej izdebce i jako sumienny i pilny pracownik zajmuje się naprawą buta, który niejednokrotnie wypadał mu z rąk w czasie ostatniego figla Cabriona, Pipelet nie posiadał ani nadzwyczajnej głowy, ani wielkich zdolności, ani poetyckiej wyobraźni; miał tylko zdrowy rozsądek i na nieszczęście właśnie dlatego, że obdarzony był zdrowym rozsądkiem, nie rozumiał żartów i biedził się nad wynajdywaniem logicznych przyczyn, mogących wytłumaczyć niesłychane postęпки Cabriona. Pani Pipelet trafnie oceniała postępowanie malarza, lecz pan Pipelet, człowiek myślący, ubolewał nad zaślepieniem małżonki. Nie dopuszczał nawet myśli, żeby się znalazł figlarz dość zuchwały, aby tak szanownego męża jak on obrać za cel swoich żartów. I był przekonany, że niepojęte zachowanie Cabriona kryje jakąś ważną tajemnicę.

„Prędzej bym sam poszedł pod gilotynę”, mówił do siebie, „niż bym przypuścił, że Cabrion pastwi się nade mną jedynie dla niedorzecznych figłów i dla żartów”.

Rozmyślania te przerwał panu Pipelet głośny, nagły i przenikliwy krzyk, dobiegający ze schodów:

– Panie Pipelet! Prędzej! Chodź no tu na górę! Twoja żona zasłabła.

– Anastazja zemdlą!... – jęknął Alfred i zerwał się z zydelka, lecz zaraz usiadł znowu, mówiąc do siebie: – Jakież ze mnie dziecko, to niemożliwe, moja żona od godziny wyszła z domu.

– Panie Pipelet! Chodźże prędzej, trzymam w ramionach twoją żonę!

– Ktoś trzyma w ramionach moją żonę! – rzekł pan Pipelet, zrywając się. Pipelet wahał się jeszcze; obowiązek dozorczy zakazywał mu opuszczać izbę, a obowiązek małżonka wzywał go na piętro, skąd dochodził głos.

– Nie przychodzisz, panie Pipelet?... Trudno! Przecinam tasiemki i zasłaniam sobie oczy.

Ta groźba przyspieszyła decyzję Alfreda. Wybiegł na ciemne schody, tak poruszony, że nie zamknął nawet drzwi za sobą.

Skoro tylko wyszedł, wpadł do izby mężczyzna z dużym arkuszem tektury, chwycił młotek z warsztatu i przybił arkusz na ścianie, nad samym łóżkiem pana Pipelet.

Zaledwie czcigodny Pipelet wgramolił się zadyszany na pierwsze piętro, gdy usłyszał na dole głos żony, która tonem piskliwszym niż kiedykolwiek wołała:

– Alfredzie!... Alfredzie!... Jak to, zostawiasz się bez dozoru? Gdzie jesteś, stary włóczęgo?

Pipelet schodził miotany niepokojem, żona, zobaczywszy go, powiedziała:

– Co się tu dzieje? Daj mi klucz. Wracam z biura dylizansów, dokąd odwiozłam tłumok pana Bradamanti; jedzie do Normandii, dziś wieczór wybiera się w drogę, a ponieważ nie chce, żeby wiadano o tej podróży, i nie wierzy temu łobuzowi Kulasowi, więc posłał mnie.

Domawiając tych słów, otworzyła drzwi; mąż z żoną weszli do izdebki, a w tejże chwili młody mężczyzna zbiegł lekko ze schodów i, nie postrzeżony, wyniósł się z domu.

Pipelet bezwładny prawie padł na zydelek, mówiąc:

– Anastazjo, odchodzę od zmysłów! Co się dzieje w tym domu!

– Pewnie znowu jakieś głupstwo. Po co biegasz po kamienicy zamiast siedzieć cicho na stołku i pilnować sieni?

– Anastazjo! Jesteś niesprawiedliwa, przecież biegłem ci na pomoc!

Nagle stało się coś dziwnego.

Alfred siedział na zydelku, twarzą odwrócony do łóżka. W pewnej chwili wydało mu się, że wyraźnie widzi, jak sponad łóżka wygląda nieruchoma twarz malarza.

Na ten widok odźwierny padł na wznak, niezdolny wymówić słowa. Podniósł prawą rękę i wyciągając ją ku łóżku, wskazał straszliwe widmo z takim przerażeniem, że żona odwróciła się zaniepokojona, chcąc zbadać przyczynę strachu Alfreda. Cofnęła się o dwa kroki, chwyciła męża za rękę i wrzasnęła.

– Cabrion!!!

– Tak, to on – wybelkotał Pipelet i zamknął oczy.

Ośłupienie obojga małżonków składało największy hołd talentowi malarza, który odmalował na tekturze oblicze Cabriona.

Anastazja, przyszedłszy nieco do siebie, z odwagą lwicy skoczyła na łóżko i zdarta portret ze ściany, podczas gdy Alfred, z zamkniętymi oczyma, z opuszczonymi rękami, siedział nieruchomy, jak to zwykle czynił w krytycznych momentach swego życia.

– Widział kto takiego zuchwalca! – krzyknęła pani Pipelet, oglądając portret przy świetle lampy. – To jeszcze nie wszystko: u dołu napisał czerwonymi literami: *Przyjacielowi Pipelet na pamiątkę od Cabriona*.

– „Przyjacielowi na pamiątkę!” – jęknął odźwierny.

– Ale skąd się tu wziął ten portret? – zapytała pani Pipelet. – Powiedz, może ty sam go przypadkiem zawiesiłeś, kochaneczku?

Na tak monstrualne podejrzenie Alfred zerwał się i z wściekłością spojrzał na żonę.

– Ja bym wieształ portret tego obrzydliwca, złoczyńcy, potwora? Anastazjo, chcesz mnie chyba doprowadzić do szaleństwa.

– No to powiedz, kto mógł go zawiesić?

– Nikt inny tylko ty.

– Ja? Skąd ci to przyszło do głowy.

– A któż inny?

– To figiel Cabriona. I to wcale ładny figielek!

– Figiel! – wrzasnął Pipelet, nie posiadając się z gniewu. – Nie, nie figiel, ale zbrodniczy zamach, spisek! Pójdę do komisarza policji, zaskarżę tego łotra, złożę raport na dowód, jak srodze się nade mną pastwi. Zdrajca nie będzie mógł zaprzeczyć. Własnoręcznie napisał: *Przyjacielowi Pipelet na pamiątkę od Cabriona!* O! On mnie zabije! Mów! Jesteś tu, potworze? Jesteś? – krzyczał Pipelet doprowadzony do szaleństwa i powiódł wkoło oczami, jakby chciał obejrzeć wszystkie zakątki izby.

– Jestem, drogi przyjacielu! – rozległ się dobrze znany głos Cabriona.

Malarz stał za drzwiami i z rozkoszą przysłuchiwał się tej scenie; lecz wymówiwszy ostatnie słowa, umknął co prędzej, zostawiając jednak, jak później zobaczymy, swojej ofercie nowy powód do gniewu, strachu i rozmyślań.

Drzwi się otworzyły i weszła pani Seraphin, gospodyni notariusza Jakuba Ferrand. Pani Pipelet przywitała ją wesoło i uprzejmie, bo nie chciała dać poznać po sobie, że rodzinne nieporozumienia zepsuły jej humor.

– A cóż to nowego – powiedziała pani Seraphin – co to za napis u was nad drzwiami?

Zmaltretowany odźwierny nie był w stanie wymówić słowa.

Nad drzwiami napisano: *Pipelet i Cabrion, handel przyjaźnią i innymi rzeczami. Dowiedzieć się u odźwiernego*.

Pipelet utopił ośłupiały wzrok w pani Seraphin, nie rozumiał nic, nie chciał rozumieć.

– Co za dziwactwo! – mówiła pani Seraphin. – Cóż to znaczy: „handel przyjaźnią”? Ale patrz, pani, słabo mu się robi!

Pani Pipelet chwyciła męża w objęcia. Ostatni cios był zbyt silny: odźwierny zemdłał. Zażywszy stosowanego nieraz przez Anastazję lekarstwa, powoli przyszedł do siebie, lecz niestety, zaledwie odetchnął swobodniej, został poddany nowej strasznej próbie.

Jakiś mężczyzna w średnim wieku, porządnie ubrany, o twarzy tak poczciwej, a nawet głupkowatej, że nie można go było posądzać o kpiny, otworzył okienko w drzwiach izdebki i zapytał z zaciekawioną miną:

– Czytam tu nad drzwiami, że Pipelet i Cabrion handlują tu przyjaźnią. Co to znaczy?

– Co to znaczy?! – krzyknął Pipelet z wybuchem długo tłumionego gniewu. – To znaczy, mój panie, że pan Cabrion jest bezwstydnym łgarz!

Nieznajomy, istny typ gapia paryskiego, słysząc tak niespodziewaną odpowiedź, cofnął się o krok.

– Proszę wiedzieć – krzyknął znowu Pipelet, wychylając się przez okienko – że nie prowadzę żadnego handlu z tym hultajem Cabrionem, a tym bardziej nie ma tu mowy o przyjaźni!

– Anastazjo! – dodał po chwili Alfred. – Nie przeżyję tego. Trzeba z tym skończyć, miarka się przebrała, jeden z nas musi zginąć w tej walce! –I przewyciężając swą zwykłą powolność, Pipelet, powziąwszy ostateczną decyzję, chwycił portret Cabriona i skoczył ku drzwiom.

– Alfredzie, dokąd idziesz?

– Do komisarza. Po drodze zedrę ten haniebny napis, zabiorę go razem z portretem. Stanę przed komisarzem i zawołam: „Panie, ocal mnie, ratuj mnie! Zemścij się za mnie! Wybaw mnie od Cabriona!” Prawo winno mnie zasłonić od dalszych napaści. A jeśli nie... wyniosę się z Francji!

I Alfred, pogrążony w bólu, wyniósł się majestatycznie.

XI

Cecylia

Zanim pozwolimy czytelnikowi przysłuchać się rozmowie pani Seraphin z panią Pipelet, musimy nadmienić, że stróżka, chociaż nie wątpiła o cnocie notariusza, bardzo miała mu jednak za złe jego surowość względem Ludwika i Germaina, z tegoż powodu i pani Seraphin straciła u niej łaskę. Wszakże Anastazja, jak zręczny polityk, ukryła swą niechęć pod maską wyszukanej uprzejmości. Kiedy już dała dostateczny wyraz swemu oburzeniu na niegodziwe postępowanie Cabriona, pani Seraphin zapytała odźwiernej:

– A co się dzieje z panem Bradamanti? Wczoraj pisałam do niego, ale nie dostałam odpowiedzi; dziś byłam i nie zastałam go. Może teraz będę miała więcej szczęścia?

Pani Pipelet, udając wielki żal, zawołała:

– Ach, to trzeba mieć pecha! Pan Bradamanti jeszcze nie wrócił do domu.

– No to wieczorem znów przyjdę, ale, kochana pani Pipelet, mam jeszcze inną prośbę. Wszak wiesz, co zrobiła Ludwika. Zostaliśmy bez sługi. Gdybyś więc pani przypadkiem słyszała o jakiej porządnej, pracowitej, uczciwej dziewczynie, to nam powiedz. Tak trudno teraz o dobre służące, że ich trzeba szukać ze świecą.

– Niech pani będzie spokojna, jeżeli się o kim dowiem, to zaraz do pani przyślę. Dobre miejsca są równie rzadkie jak dobre służące. – Mówiąc to, Anastazja pomyślała: „Oj, poślę ci biedną dziewczynę! Żebyś ją zamorzyła głodem, a ten stary sknera, twój pan, wsadził ją do więzienia”.

– Jeszcze jedno: pan Ferrand wolałby służącą, co by nie miała rodzeństwa, bo taka nie potrzebowałaby wychodzić i nie miałaby okazji do zepsucia. Wolałby więc jakąś sierotę. Ta biedna Ludwika nauczyła go ostrożności, dlatego też teraz jest bardzo wymagający w wyborze pokojówki. A więc do wieczora. Może wtedy zastanę pana Bradamanti.

– O, na pewno, na pewno pan Bradamanti będzie wieczorem w domu.

Pani Seraphin wyszła.

– Za jakim ona interesem ciągle lata do Bradamantiego? – rzekła do siebie pani Pipelet. – A dlaczego on w żaden sposób nie chce się z nią widzieć przed wyjazdem do Normandii? Ha, co widzę, idzie kwiat moich lokatorów – dodała pani Pipelet i nadchodzącego Rudolfa powitała wojskowym ukłonem, przykładając rękę do peruki.

Rudolf nie wiedział jeszcze o śmierci pana d'Harville.

– Dzień dobry, pani Pipelet – rzekł, wchodząc. – Czy panna Rigoletta jest u siebie? Rad bym się z nią zobaczyć.

– A gdzież by była? Zawsze w domu, bo któż by za nią pracował?

– Jak się ma żona Morela?

– Dzięki panu teraz i jej, i dzieciom lepiej. Mają i ciepło, i czysto, i dobre łóżka, i jeść do syta, jest komu ich doglądać, a panna Rigoletta, choć ciągle pracuje, ma na nich oko. Był tu od pana doktor Murzyn, przyszedł do żony Morela. Zapisał jej lekarstwo i teraz lepiej się ma.

Następnie elokwentna pani Pipelet opowiedziała o nowym figlu Cabriona i powtórzyła rozmowę z panią Seraphin.

– Tak, tak – odpowiedział zamyślony Rudolf. Dowiedziawszy się, że pani Seraphin szuka służącej na miejsce Ludwika, upatrywał w tej okoliczności niechybny prawie sposób ukarania notariusza i podczas gdy pani Pipelet mówiła, on stopniowo modyfikował rolę, którą Cecylia miała odegrać z Ferrandem.

– Chce mi pani oddać wielką przysługę? – zapytał. – Mam do umieszczenia młodą sierotę, cudzoziemkę, nigdy nie była w Paryżu, chciałbym ją oddać do notariusza Ferrand.

– Ach, co słyszę! Do takiego skapca!

– Zwierzę pani jeden sekret, ale daj pani słowo honoru, że mnie nie wydasz.

– O, Anastazja Pipelet, z domu Galimard, nigdy nie zdradzi tajemnicy!

– Otóż ta dziewczyna służyła w Niemczech u mojej krewnej, której syn ją uwiódł. Matka wypędziła służącą, a syn opuścił także dom rodzicielski i przyjechał za dziewczyną do Paryża. Opamiętali się, kiedy wydali wszystko, co mieli. Młody człowiek zwrócił się wtedy do mnie. Przrzekłem dać mu pieniędzy na powrót do rodziny, ale pod warunkiem, że zostawi tu dziewczynę, dla której obiecałem wystarać się o miejsce. Cecylia, tak się bowiem nazywa, zbłądziła, ale w cnotliwym domu notariusza na pewno się poprawi. Dlatego właśnie chciałbym ją umieścić u pana Ferrand, a rekomendacja tak szanownej osoby jak pani...

– Panie Rudolffie, kwiecie lokatorów!

– ...niezawodnie skłoni panią Seraphin, żeby ją przyjęła.

– Gotowam na usługi, wywieziemy w pole panią Seraphin, w południe pokaże jej gwiazdy na niebie. Powiem, że od dawna mam krewną w Niemczech, a teraz dowiedziałam się, że ona i jej mąż poumierali i została po nich córka, która ma do mnie przyjechać.

– Dobrze. Sama pani zaprowadzi Cecylię do notariusza,

– Bądź pan spokojny, poradzimy sobie.

– Jeżeli pani ułatwisz mi ten interes, dam ci sto franków. Nie jestem bogaty, ale...

– Więc przyjmę sto franków, żeby się panu przysłużyć. Pan jesteś kwiatem lokatorów! Otóż i fiakr! Pewnie ta pani, na którą czeka Bradamanti. Wczoraj nie mogłam jej widzieć, ale dziś muszę chociaż zerknąć na nią. I dowiem się jej nazwiska. Zobaczysz pan, jak sobie z nią poradzę.

Rudolf cofnął się w głąb izby.

– Dokąd pani idzie? – zawołała stróżka, zastępując drogę wchodzącej osobie.

– Do pana Bradamanti – odpowiedziała dama, wyraźnie niezadowolona, że ją zatrzymują.

– A jak godność pani? Zobaczę, czy to na panią czeka pan Bradamanti.

– Powiedział pani moje nazwisko? – zdziwiła się dama.

I po chwili wahania dodała cicho, bojąc się, żeby jej kto nie słyszał:

– Nazywam się d'Orbigny.

Rudolf zadrżał.

Była to macocha pani d'Harville.

– D'Orbigny? – powtórzyła Anastazja. – O, to, to, właśnie takie nazwisko powiedział mi pan Bradamanti, może pani wejść.

Pani d'Orbigny szybko wbiegła na schody.

– Leć sobie teraz! – zawołała pani Pipelet, zacierając ręce. – Złapałam ją, nazywa się d'Orbigny. A co? Może zły sposób? Nad czym pan tak myślisz?

– Ta pani już była u Bradamantiego? – zapytał Rudolf.

– Była wczoraj wieczorem i zaraz po jej odejściu Bradamanti zamówił sobie na dziś miejsce w dylizansie; dziś rano odniosłam jego tłumok na pocztę.

– Nie wie pani, dokąd jedzie?

– Do Normandii.

Rudolf przypomniał sobie, że dobra pani d'Orbigny leżały właśnie w Normandii. Bez wątpienia szarlatan jechał do ojca pani d'Harville, i zapewne w złych zamiarach. Zastanawiając się nad przyczyną wizyty pani d'Orbigny u szarlatana, Księżę poszedł do Rigolletty.

XII

Pierwsze zmartwienie Rigoletty

Pokój Rigoletty jak zawsze lśnił czystością; zegar wskazywał czwartą; ponieważ nic było zimno, dziewczyna dla oszczędności nie napaliła w piecu. Rigoletta siedziała przy oknie, profil jej odcinał się wyraźnie na tle okna; czarne włosy błyszcząły, pracowita ręka zaś biegła z nadzwyczajną szybkością.

Obydwa kanarki trzepotały się niespokojnie i wbrew zwyczajowi wcale nie śpiewały, bo i Rigoletta milczała, a ptaki nigdy nie śpiewały same. Rigoletta zaś nie śpiewała, bo pierwszy raz w życiu miała zmartwienie.

Zanim powiemy czytelnikowi o pierwszym zmartwieniu Rigoletty, chcemy mu odjąć wszelką wątpliwość co do jej nieposzlakowanej cnoty. Niezbyt tu zresztą pasuje słowo „cnota” – słowo pompatyczne i uroczyście, które kojarzy się zawsze z poświęceniem, z uciążliwą walką przeciw własnym namietnościom i z rozmyślaniem nad celem spraw świata tego.

Rigoletta ani nie walczyła, ani nie rozmyślała; była wesoła, pracowała pilnie i śpiewała. Sama mówiła, że nie miała czasu. Nie miała czasu na kochanie, na miłość.

Wyjawszy poważnego, prawego Germaina, wszyscy inni sąsiedzi Rigoletty brali z początku jej poufałość za bardzo wiele mówiące zaloty, lecz potem ze zdziwieniem i żalem poznawali, że będą mieć z niej wesołą towarzyszkę do niedzielnych przechadzek, dobrą i usłużną sąsiadkę, ale nigdy kochankę.

Tylko Franciszek Germain nie budował żadnych nadziei na poufałości gryzетки; instynktem serca ocenił od razu całą wartość przyjaźni z tak uroczą dziewczyną. Co musiało nastąpić, nastąpiło. Germain namietnie zakochał się w sąsiadce, nie śmiał jednak mówić jej o swej miłości.

Teraz powiemy, dlaczego Rigoletta była smutna i dlaczego ani ona, ani kanarki nie śpiewały.

Jej świeża twarz nieco zbladła; wielkie, czarne oczy, zwykle wesołe, trochę się zamgliły; widać było, że jest znużona, bo prawie całą noc nie zmrużyła oka. Od czasu do czasu spoglądała na otwarty list leżący przed nią na stole. Był to list od Germaina:

Z więzienia Conciergerie.

Pani!

Miejsce, skąd piszę, dowodzi, jak jestem nieszczęśliwy. Uwięziony jako złodziej, winny w oczach wszystkich, śmiem jednak napisać do Pani. Nie mogę znieść myśli, żebyś i Ty mnie uważała za przestępcę. Błagam Cię, nie potępiaj mnie, zanim nie przeczytasz tego listu. Jeżeli i Ty mnie odepchniesz, będzie to dla mnie ostatni cios. Opowiem wszystko szczerze. Od czasu, jak wyprowadziłem się z ulicy Temple, wiedziałem od Ludwiki, że rodzina Morełów, która nas oboje tak bardzo obchodziła, żyje w coraz większej nędzy. Zgubiła mnie właśnie litość dla tych biedaków. Wczoraj byłem do późna zajęty pilną robotą u pana Ferrand. W pokoju, gdzie pracowałem, stoi biurko: notariusz zwykle chował tam skończone przeze mnie prace. Tego wieczoru był ciągle niespokojny, a w końcu powiedział mi: „Nie odchodź, póki nie skończysz tych rachunków; potem włoż je do biurka; zostawiam ci klucze od niego”. I wyszedł. Kiedy skończyłem pracę, otworzyłem szufladę biurka; mimo woli spojrzałem na list, który tam leżał, niechcący przeczytałem nazwisko: Hieronim Morel. Widząc, że w liście mowa o tym nieszczęśliwym człowieku, przeczytałem go i dowiedziałem się, że Morel ma być

na jutro uwieczony za weksel na tysiąc trzysta franków, a to na żądanie pana Ferrand, ukrywającego się w tym interesie pod imieniem podstawionej osoby.

Oburzony i zmartwiony, spostrzegłem złoto w otwartym pudełku: było tam dwa tysiące franków. W tej chwili usłyszałem na schodach kroki Ludwiki. Nie zastanowiłem się nad tym, co robię, lecz korzystając ze sposobności, wziąłem tysiąc trzysta franków, wybiegłem do Ludwiki i oddałem jej pieniądze, mówiąc: „Jutro rano mają uwięzić twego ojca za tysiąc trzysta franków; daję ci tę sumę na wykupienie ojca, ale nie mów, że ją masz ode mnie. Pan Ferrand to zły człowiek!”

Chęć moja była chwalebna, lecz czyn występny. Od dawna oszczędzając, zebrałem tysiąc pięćset franków i umieściłem je u bankiera. Tydzień temu bankier zawiadomił mnie, że jeżeli nie chcę zostawić u niego pieniędzy na dłużej, mogę je w każdej chwili odebrać. Miałem zatem więcej, niż wziąłem od notariusza, bo na jutro mogłem odebrać moje tysiąc pięćset franków; lecz kasjer bankiera przychodził dopiero w południe, a Morela miano uwięzić z rana, o wschodzie słońca, trzeba mu więc było dać pieniądze jak najwcześniej.

Nieszczęście chciało, że bankier od dwóch dni bawił na wsi w Belleville. Oczekiwałem niecierpliwie dnia. Wreszcie przybyłem do Belleville; wszystko sprzysięgło się przeciw mnie! Przed chwilą bankier wyjechał do Paryża; wracam więc do miasta, odbieram pieniądze, biegnę do pana Ferrand; okazuje się, że odkrył wszystko! I nie koniec na tym: notariusz obwinia mnie o kradzież piętnastu tysięcy franków w biletach bankowych, które miały leżeć w tej samej szufladzie, gdzie było dwa tysiące franków w złocie. Niegodziwe, haniebne, podle kłamstwo! Nie wypieram się, że wziąłem tysiąc trzysta franków, ale papierów nie widziałem, było tylko złoto.

Czy Ty mi uwierzysz? Niestety wszakże i pan Ferrand powiedział do mnie, że kto wziął małą sumę, mógł ukraść i większą, więc słowa moje nie zasługują na wiarę. O panno Rigoletto! Jaki jestem nieszczęśliwy! Gdybyś wiedziała, wśród jakich ludzi muszę pozostawać do czasu wyroku! Wczoraj odesłano mnie do aresztu prefektury.

Co za twarze! Ubrania w strzępach! Wszędzie piętno występku i nędzy. Było tam ze czterdziestu do pięćdziesięciu więźniów: siedzieli, chodzili, leżeli na ławkach włóczęgi, złodzieje, mordercy, wszyscy przytrzymani zeszłej nocy albo tego samego dnia. Patrzyli na mnie z zachwałem szyderstwem, potem zaczęli po cichu mówić między sobą. Po chwili najzuchwalszy szturchnął mnie i zażądał pieniędzy na obchód mego przybycia. Dla świętego spokoju dałem im trochę drobnych, ale nie poprzestali na tym; żądali więcej, odmówiłem. Wtedy otoczyli mnie, klnąc i grożąc. Chcieli się rzucić na mnie, kiedy szczęściem na ten zgłęk wszedł strażnik poskarżyłem się przed nim. Kazał im oddać mi pieniądze i powiedział, że za małą opłatą mogę mieć osobną celę. Z wdzięcznością przystałem na to i zaraz wyszedłem, wśród gróźb tych łotrów, którzy mówili, że się jeszcze spotkamy, a wtedy nie ujdę żywy z ich rąk. Strażnik zaprowadził mnie do osobnej celi, tam spędziłem resztę nocy i stamtąd piszę dziś rano.

Za kilka godzin przesłuchają mnie i odeślą do więzienia zwanego la Force; boję się, że tam znowu spotkam kilku tych łotrów, z którymi byłem wczoraj. Panno Rigoletto, jedynej i ostatniej usługi oczekuję po Twojej dawnej przyjaźni, jeżeli teraz jej się nie wstydzisz.

Prośba moja jest następująca: posyłam razem z tym listem kluczyk i parę stów do odzwiernego domu, w którym mieszkałem, przy bulwarze Saint-Denis, pod nr 11. Zawiadamiam odzwiernego, że Pani może rozporządzać w moim imieniu wszystkim, co posiadam, i że ma stosować się do wszystkich Pani rozkazów. Zaprowadzi Panią do mego pokoju. Otwórz kluczykiem biurko, znajdziesz tam w dużej kopercie różne papiery, o schowanie których proszę; między nimi był tam list do Ciebie, jak zobaczysz z adresu; inne były pisane o Tobie, w czasach, kiedy byłem bardzo szczęśliwy! Nie gniewaj się, nigdy nie miałaś ich czytać. Proszę wziąć także stamtąd resztę pieniędzy, które zostały, oraz woreczek atlasowy z czerwoną chusteczką; nosiłaś ją na ostatnich naszych przechadzkach i dostałem ją od Ciebie, kiedy wyprowadzałem się z waszego domu. Proszę też o pozwolenie pisania czasem do Pani. Słodko jest

zwierzyć się ze swych zmartwień komuś życzliwemu. Niestety! Jestem sam na świecie! Nikogo nie obchodzę. Samotność już dawniej mi doskwierała, a teraz! A jednak jestem uczciwym człowiekiem, mogę powiedzieć z czystym sumieniem, że nigdy nikomu nie zrobiłem krzywdy. Zawsze, nawet z narażeniem życia, unikałem złego, dowiesz się o tym z papierów, które, proszę Cię, przeczytaj. Ale kto mi uwierzy? Pana Ferranda szanuje cały świat, od dawna ma opinię cnotliwego męża, ma za sobą pewne racje i zgubi mnie. Poddaję się losowi, który mnie czeka! Jeżeli mi więc wierzysz, panno Rigoletto, nie wzgardzisz, ale użalisz się nade mną i pomyślisz czasem o oddanym Ci przyjacielu, a jeżeli Ci mnie żal, to może będziesz na tyle dobra, że mnie kiedy w niedzielę odwiedzisz w więzieniu. Lecz nie, nie, nie; Ciebie zobaczyć w podobnym miejscu! Nie śmiem o to prosić. Jednakże... Pani jest tak dobra... Muszę kończyć, strażnik przyszedł mi oznajmić, że wołają mnie do sądu. Bądź zdrowa, panno Rigoletto, nie opuszczaj mnie, tylko w Tobie mam nadzieję!

Franciszek Germain

Dobre serce gryzетки głęboko się wzruszyło, gdy dowiedziała się o nieszczęściu młodzieńca. Od tej chwili uczuła dla Germaina coś więcej niż dawniejszą przyjaźń; skoro się dowiedziała, że nieszczęśliwy, niewinnie oskarżony, jest w więzieniu, zapomniała o jego dawnych rywalach. Nie była to jeszcze miłość, lecz żywe, szczere przywiązanie pełne litości i poświęcenia, uczucie całkiem nowe dla Rigoletty, zwłaszcza że przysłonięte smutkiem. W takim stanie ducha zastał ją Rudolf, gdy zapukawszy do drzwi, wszedł do jej pokoju.

XIII

Przyjaźń

- Dzień dobry, sąsiadko – rzekł Rudolf do Rigoletty – czy nie przeszkadzam?
- Bynajmniej! Jak to dobrze, że pan przyszedł, takie mam zmartwienie.
- Istotnie, jesteś blada. Zdaje się, żeś płakała?
- A pewnie, że płakałam, i mam czego. Biedny Germain! Niech pan przeczyta, co tu do mnie pisze! Serce się kraje.
- I co masz zamiar zrobić, sąsiadko? – zapytał Rudolf, przeczytawszy list Germaina.
- Co robić? Wszystko, czego Germain żąda ode mnie, i to możliwie najprędzej. Mam tyle spraw na głowie! Najprzód pani Morel prosiła mnie, żebym odwiedziła Ludwikę w więzieniu; może trudno będzie dostać się do niej, ale cóż robić, spróbuję. Na nieszczęście nie wiem nawet, do kogo się udać.
- Już myślałem o tym, oto pozwolenie na wizytę.
- O, jak to dobrze! A czy nie można by dostać także pozwolenia na odwiedzenie Germaina? Tak by go to ucieszyło!
- Wystaram się i o to, sąsiadko. A nie boisz się wejść do więzienia?
- Zapewne, pierwszy raz pójdę tam z duszą na ramieniu, ale to wszystko jedno. Tylko jedno mnie martwi, panie Rudolfie: on myśli, że nim pogardzam. Pogardzać?... Ja?... Proszę mi powiedzieć, za co? Ten stary sknera notariusz oskarża go o kradzież. Co mi do tego? Ja wiem, że to nieprawda.
- Brawo, sąsiadko!
- Chciałabym być mężczyzną, żeby pójść do tego notariusza i powiedzieć mu: „Utrzymujesz, że cię Germain okradł, masz za to, stary łgarzu, tego ci nikt nie ukradnie!” I zbilabym go na kwaśne jabłko. Nikt się nie ujmie za Germainem, bo biedny, nie ma protektorów, chyba pan jeden podasz mu rękę.
- Musimy czekać na wyrok. A jak tylko zostanie zwolniony, czego się spodziewam, znajdzie przyjaciół i protektorów: bardzo ważne osobistości opiekują się nim. Tylko nie mów o tym nikomu, sąsiadko, nie wspominaj nawet Germainowi.
- O, jak to by go pokrzepiło w nieszczęściu!
- Prawda, ale może nie potrafi milczeć, a wtedy Ferrand miałby się na ostrożności i nie można by mu nic dowieść, tu zaś idzie nie tylko o to, żeby uznano niewinność Germaina, ale i o to, żeby Ferrandowi dowieść przestępstwa.
- Aha, teraz już rozumiem.
- Tak samo i Ludwika. Powiedz jej, sąsiadko, żeby nikomu nie skarżyła się na notariusza. Tylko przed adwokatem, którego do mej przyślę i który zajmie się jej obroną, niechaj nic nie ukrywa.
- Ach, panie Rudolfie, taka byłam szczęśliwa, zdawało mi się, że niepodobna, żeby mnie kiedy spotkało coś smutnego, a teraz nie mogę panu wypowiedzieć, jak mnie boli nieszczęście Germaina.
- Nie trać serca, sąsiadko, wróci twoja wesołość, kiedy zwolnią Germaina.
- A pewnie, że muszą go zwolnić. Dosyć przeczytać sędziom list, który do mnie napisał, prawda, że to dosyć, panie Rudolfie?
- Niewątpliwie, ten prosty i czuły list nosi na sobie piętno prawdy. Pozwól mi wziąć z niego kopię, będzie potrzebny do obrony Germaina, jutro ci go oddam.

- Dobrze, weź list, sąsiedzie, ale go nie zgubisz, prawda?
- Mam godzinę czasu. Chcesz? Odprowadzę cię do mieszkania Germaina.
- Bardzo proszę, mój sąsiedzie. Ściemnia się, a wieczorem nie lubię sama chodzić po ulicy. Ale iść tak daleko to pana zmęczy i może znudzi?
- Bynajmniej, weźmiemy fiakra, zawiozę cię tam i odwiozę do domu.

Kiedy schodzili ze schodów i mijali izbę odźwiernego, ujrzeni pana Pipelet, który opuściwszy ręce, szedł naprzeciw nich przez sień, w prawicy trzymając ogłoszenie o tym, że prowadzi handel, a w lewej ręce – portret nieznośnego malarza.

Anastazja też ukazała się w progu i zobaczywszy męża, zawołała:

– No, jesteś, mój koteczku! I co ci powiedział komisarz? Alfredzie, Alfredzie! Uważaj, idziesz prosto na pana Rudolfa! Wybacz, królu moich lokatorów, przez tego urwisa Cabriona mój mąż prawie całkiem zgłupiał.

Usłyszawszy miły sercu głos, Pipelet podniósł głowę; na jego twarzy malowała się ponura gorycz.

– Co ci powiedział komisarz? – zapytała znowu Anastazja.

– Anastazjo, musimy zebrać nasze skromne mienie, uściskać przyjaciół, spakować tłumoki i rzucić Paryż i Francję... moją piękną Francję... albowiem pewny teraz bezkarności, potwór gotów ścigać mnie wszędzie w całym kraju! Domagałem się, żeby go aresztowano, wygnano przynajmniej z mojej ulicy. Na te słowa komisarz uśmiechnął się i uprzejmie pokazał mi drzwi. Zrozumiałem ten gest i jestem z powrotem. Koniec, Anastazjo! Koniec! Nie ma nadziei, nie ma sprawiedliwości we Francji! – I na zakończenie przemowy Pipelet z całych sił cisnął ogłoszenie i portret w kąt sieni.

Rudolf, powiedziawszy Alfredowi kilka słów na pociechę, wsiadł do fiakra i pojechał z Rigolettą do mieszkania Germaina.

XIV

Testament

Franciszek Germain mieszkał na bulwarze Saint-Denis, pod numerem 11. Przypominamy czytelnikowi, ponieważ bez wątpienia zapomniał o tej drobnej okoliczności, że pani Mathieu, znana wam już z historii Morełów maklerka pośrednicząca przy sprzedaży diamentów, mieszkała w tym samym domu.

Podczas długiej jazdy z ulicy Temple na ulicę Saint-Honoré, gdzie Rigoletta odwoziła powierzoną robotę, Rudolf miał sposobność ocenić jeszcze lepiej przedziwne serce tej dziewczyny.

Z łatwością mógł zapewnić przyszłość Rigoletty: bez obawy o stratę tak cennego dla niej czasu niosłaby wtedy pomoc Ludwice i Germainowi. Księżę jednak nie chciał jej odbierać zasługi szlachetnego poświęcenia, chciał ją doświadczyć do końca.

Po upływie godziny fiakr stanął na bulwarze Saint-Denis, przed numerem 11, gdzie mieszkał Germain. Dom wyglądał ubogo.

Pokój Germaina znajdował się na czwartym piętrze. Stanąwszy u drzwi, Rigoletta rzekła do Rudolfa, dając mu klucz:

– Otwórz, pan, proszę, tak mi ręka drży, że nie mogę utrzymać klucza. Wyśmiejesz mnie, ale na myśl, że biedny Germain więcej tu nie wróci, zdaje mi się, że wchodzę do mieszkania nieboszczyka.

Całe umeblowanie pokoju składało się z tapczanu, komody, biurka, stołu i czterech wyplatanych krzeseł. Na kominku stała karafka i szklanka. Pościel, nie naruszona i tylko trochę zmięta, wskazywała, że Germain, nie rozebrany, tylko chwilę musiał spocząć na łóżku w nocy, która poprzedziła jego uwięzienie.

– Biedaczek – rzekła smutno Rigoletta. – Niech pan spojrzy: zeszłej nocy nie kładł się wcale, tak był niespokojny, i chustkę, którą tu zostawił, całą zmoczył łzami. – I Rigoletta wzięła chustkę, dodając: – Germain zachował moją chusteczkę, którą mu podarowałam, kiedy byliśmy tak szczęśliwi; ja zachowam tę na pamiątkę jego nieszczęść, pewna jestem, że się nie pogniewa.

– O, z pewnością nie – rzekł Rudolf – ale pomówmy teraz o rzeczach poważnych. Ludwika Morel oddała mi wczoraj tysiąc trzysta franków w złocie, które dostała od Germaina na zapłacenie długu ojca, a nie użyła ich, bo ja zapłaciłem. Mam te pieniądze, należą do Germaina, ponieważ zwrócił notariuszowi to, co mu był winien. Oddam ci je, schowasz je razem z tymi, które tu znajdziesz.

– Jak pan chce, panie Rudolfie, wolałabym jednak nie trzymać u siebie tak znacznej sumy, tyle teraz złodziei. Papiery to co innego, ale trzymać pieniądze niebezpiecznie. Ale zobaczmy, co tu jest – rzekła, otwierając biurko. – A! Duża koperta! Pewnie jego papiery. Mój Boże! Jakiż to smutny napis! – I przeczytała wzruszona:

Gdybym zginął nagłą śmiercią albo umarł, upraszam osobę, która otworzy to biurko, ażeby te papiery odniosła pannie Rigoletcie, mieszkającej przy ulicy Temple pod numerem 17.

– Czy mogę rozpieczętować tę kopertę, panie Rudolfie?

– A jakże, wszak Germain pisze, że między papierami jest list i do ciebie.

Rigoletta rozpieczętowała kopertę i znalazła w niej różne papiery, a między nimi i list następujący:

Gdy będziesz to czytać, droga Rigoletto, mnie już nie będzie na świecie. Jeśli umrę nagle, czego się obawiam, niektóre wiadomości, załączone tu pod napisem: „Notatki o moim życiu”, posłużą może do odkrycia moich zabójców.

– Ach! – zawołała Rigoletta, przerywając czytanie. – Teraz już się nie dziwię, że zawsze był tak smutny! Biedny Germain! Jakież go trapiły myśli!

– Bądź spokojna, sąsiadko, skoro tylko wyrok go uwolni, znajdzie przyjaciół! Najprzód ciebie, a potem kochaną matkę, z którą od dzieciństwa był rozłączony.

– Matkę? Ma jeszcze matkę?

– Bardzo zacną i cnotliwą kobietę. Nie wspominaj mu jednak o matce, powierzam ci tę tajemnicę, żebyś była o niego nieco spokojniejsza.

– Dziękuję, panie Rudolffie, dochowam tajemnicy. – I Rigoletta czytała dalej:

Jeżeli zechcesz odczytać moje notatki, zobaczysz, że całe życie byłem bardzo nieszczęśliwy, z wyjątkiem chwil, które spędziłem z Tobą. Czego bym Ci nigdy nie śmiał powiedzieć, znajdziesz napisane na kilku kartkach, noszących nagłówek: „Moje jedyne dni szczęśliwe”. Co dla Ciebie było przyjaźnią, u mnie było miłością. Tailem przed Tobą, że Cię kocham. Tailem aż do obecnej chwili, kiedy jestem już dla Ciebie tylko wspomnieniem. Los mój był tak smutny, że nigdy nie byłbym Ci wspomniał o mojej miłości z obawy, że nie zapewni Ci ona szczęścia.

Wiem, droga Rigoletto, jak ograniczasz swoje wydatki i jak wielką byłby Ci pomocą najmniejszy nawet zasilek; jestem ubogi, ale usilną oszczędnością zebrałem tysiąc pięćset franków, które umieściłem u bankiera; to całe moje mienie. Testamentem, który tu znajdziesz, pozwoliłem sobie zapisać Ci tę sumę. Przyjmij ją od przyjaciela, od brata, który już nie żyje.

– O! Panie Rudolffie – rzekła Rigoletta, zalewając się łzami i oddając list Księżciu – serce mi się kraje! O Boże, jakież on dobry!

– Poczciwy i godny człowiek – odparł Rudolf wzruszony. – Ale uspokój się: Germain, dzięki Bogu, nie umarł; ten przedwczesny testament dowodzi, że cię kochał szczerze; i jestem pewien, kiedyś i ty pokochasz go z całego serca.

– Lecz oboje jesteśmy tak ubodzy, że może lepiej nie myśleć o tym.

W tej chwili zastukano do drzwi.

– Kto tam? – zapytał Rudolf.

– Chciałbym się widzieć z panią Mathieu – odpowiedział ktoś chrypliwie.

Rudolfowi zdawało się, że gdzieś już słyszał ten głos; wziął świecę i otworzył drzwi.

Od razu poznał jednego ze stałych gości szynku „Pod Białym Królikiem”: występek tak mocno napiętnował tę młodzieńczą twarz, że trudno było się pomylić. Był to Barbillon.

Barbillon, który powoził fiakrem, kiedy Bakalarz z Puchaczką jechali do Bouqueval, aby porwać Gualezę; Barbillon, zabójca męża mleczarki, która podburzyła cały folwark przeciw Gualezie.

– Czego chcesz? – spytał Rudolf.

– Mam list do pani Mathieu, ale doręczę tylko jej samej.

– Tu nie mieszka, spytaj naprzeciwko – rzekł Rudolf.

Ledwie opryszek zapukał do przeciwległych drzwi, stanęła w nich ze świecą w ręku pani Mathieu, tłusta, pięćdziesięcioletnia kobieta.

– Pani Mathieu? – zapytał Barbillon.

– To ja, czego chcesz?

– Mam tu list; kazano mi czekać na odpowiedź. – I chciał wejść do pokoju, lecz baba nie puściła go. Odpieczętowała list na progu, przeczytała przy świecy i odpowiedziała, widocznie rada:

– Powiedz, że dobrze, mój chłopcze, przyniosę, co chcą, o tej samej godzinie co poprzednio. Kłaniaj się pani.

Barbillon zbiegł szybko ze schodów. Rudolf wszedł do pokoju Germaina.

Na ulicy czekał na Barbillona człowiek o fizjonomii dzikiej i nikczemnej.

– Chodź na wódkę, Mikołaju – szepnął Barbillon towarzyszowi – stara dała się złowić, przyjdzie do Puchaczki, twoja matka pomoże nam odebrać jej kamienie, a trupa wywieziemy w twojej łódce.

W chwilę potem Rudolf i Rigoletta wyszli z mieszkania Germaina i fiakrem wrócili na ulicę Temple. Skoro stanęli i otworzono drzwiczki, Rudolf przy świetle latarni spostrzegł stojącego u drzwi domu wiernego Murfa.

Obecność Murfa zapowiadała zawsze coś ważnego: on jeden wiedział, gdzie można znaleźć Rudolfa.

– Co się stało? – zapytał żywo Rudolf, podczas gdy Rigoletta wyjmowała z fiakra paczki.

– Wielkie nieszczęście. Książę!

– Mów, mów prędzej!

– Markiz d'Harville...

– Mów, na Boga!

– Zabił się!

– D'Harville! Ach! To okropne! – krzyknął Rudolf rozziewającym głosem.

– To okropne – powtórzył po chwili milczenia. Potem, przypomniawszy sobie Rigolettę, dodał: – Przepraszam cię, moje dziecko, że cię nie odprowadzę na górę. Jutro przyślę ci mój adres i kartę wejścia do więzienia Germaina.

– Bardzo mnie zmartwiło pańskie nieszczęście. Dziękuję, że mnie pan odprowadził. A więc do zobaczenia wkrótce.

– Bądź spokojna, przyjdę.

Książę z Murfem wsiedli do fiakra i pojechali na ulicę Plumet. Rudolf natychmiast napisał list do Klemencji:

Pani!

W tej chwili dowiedziałem się o nieszczęśliwym wypadku, który pozbawił mnie najlepszego przyjaciela. Nie będę się rozwodził nad moim smutkiem. Muszę jednak mówić Pani o przedmiocie, nie będącym w związku z tym okropnym wypadkiem. Dowiedziałem się, że macocha Pani wyjeżdża dziś wieczór z Paryża do Normandii z Polidorim. Nie ma wątpliwości, że niebezpieczeństwo grozi ojcu Pani. Pozwól dać sobie radę, którą uważam za zbawiającą. Po tym okropnym nieszczęściu nikt się nie będzie dziwił, że Pani na pewien czas opuścisz Paryż. Wyjeżdżaj więc natychmiast do Aubiers, żeby znaleźć się tam przynajmniej jednocześnie z macochą. Bądź Pani spokojna, zawsze będę nad Nią czuwać i nieczne zamiary Pani macochy nigdy nie dojdą do skutku. Piszę naprędce. Serce mi się kraje, gdy wspomnę wczorajszy wieczór, kiedy zostawił Pani męża spokojnego i szczęśliwego. Przyjmij Pani zapewnienia szczerego i głębokiego smutku.

Rudolf

W dwie godziny później pani d'Harville, stosownie do rady Księcia, była już w drodze do Normandii.

W tymże czasie wyjechał z domu Rudolfa powóz pocztowy i udał się tą samą drogą.

Na nieszczęście Klemencja, przerażona tak nagłymi wypadkami, zapomniała powiedzieć Rudolfowi, że w więzieniu Świętego Łazarza znalazła Gualezę.

Burza zbierała się nad Jakubem Ferrand. Następnego dnia Puchaczka przyszła ponowić groźbę. Powiedziała, że dziewczyna znajduje się u Świętego Łazarza, gdzie nazywają ją Gualezą, i jeżeli notariusz za trzy dni nie da Puchaczce dziesięciu tysięcy franków, Gualezie zostaną dostarczone papiery, z których dowie się, że w dzieciństwie oddano ją notariuszowi Ferrand. Notariusz swoim zwyczajem zaprzeczył wszystkiemu i wypędził Puchaczkę. Ale groźby jej przeraziły go. Mając liczne stosunki, tegoż dnia jeszcze dowiedział się, że Gualeza istotnie przebywa w więzieniu Świętego Łazarza, lecz za wzorowe postępowanie lada chwila mogą ją uwolnić. Wtedy ułożył piekielny projekt, do wykonania którego konieczna była pomoc szarlatana. Dlatego to pani Seraphin tak bardzo pragnęła widzieć się z Bradamantim. Kiedy Ferrand dowiedział się wieczorem o wyjeździe szarlatana, naglony strachem przed bliskim niebezpieczeństwem, przypomniał sobie rodzinę Martialów, korsarzy rzecznych, mieszkających przy moście pod Asnières; polecił mu ich kiedyś Bradamanti dla pozbycia się Ludwiki.

XV

Wyspa Grabieżnika

Stary Martial, podobnie jak i jego ojciec, zginął na rusztowaniu. Zostawił wdowę, czterech synów i dwie córki. Drugi z tych synów już był skazany na dożywotnie galery, z całej licznej rodziny zostali więc tylko na Wyspie Grabieżnika: wdowa po starym Martiale, trzech synowie (najstarszy – kochanek Wilczycy – miał dwadzieścia pięć lat, drugi dwadzieścia, najmłodszy dwanaście), dwie córki: jedna osiemnasto-, druga dziewięcioletnia.

Pierwszy z rodu Martialów, który osiadł na tej wysepce, był grabieżnikiem. Tak nazywają mieszkańców nadrzecznych, pełniących bardzo ciekawe zajęcie. Wchodzą oni do wody, jak można najdalej, specjalnymi narzędziami wydobywają spod mułu piasek; zsypują go do dużych naczyń, przemywają i wydobywają znaczną ilość okruchów żelaza, miedzi, cyny, msiadzu, resztki i odłamki rozmaitych sprzętów i narzędzi. Często grabieżnicy znajdują w piasku kawałki srebra lub złota, które razem ze śniegiem sprzątnięto z ulic i wrzucono do rzeki.

Wdowa po straconym na rusztowaniu Martiale trudniła się tymże przemysłem, co niegdyś jej mąż; ponadto znajdowali u niej przytułek włóczęgi, koczujący szarlatani, zbiegli galernicy, zbrodniarze różnego kalibru.

Starszy syn wdowy, najmniej występny z całej rodziny, łowił ryby wbrew przepisom policji rzecznej, a niekiedy, za umiarkowaną zapłatą, brał na siebie obronę słabszych przeciw silniejszym. Brat jego Mikołaj, przyszły wspólnik Barbillona w zamierzonym zabójstwie malkierki diamentów, na pozór był grabieżnikiem, w istocie zaś trudnił się rozbojem na Sekwanie i jej wybrzeżach. I wreszcie najmłodszy, Franciszek, przewoził gości łódką po rzece.

Starsza córka, przezywana Tykwą, i druga, dziewięcioletnia Amandyna, pomagają w gospodarstwie.

Tego wieczora w domu Martialów wszędzie ciemno, tylko z dwóch okien bije jaskrawe światło. Wdowa siedzi u komina z córkami i najmłodszym synem; wysoka i chuda, zda się mieć 45 lat; ubrana jest na czarno, na głowie ma czarną chustkę. Jej twarz, zimna, ponura, złowroga, nieruchoma jest jak kamienna maska. Siwe brwi zwisły nad wyblakłymi oczyma.

Wdowa i córki zajmują się szyciem. Starsza córka, sucha i wysokiego wzrostu, jest bardzo podobna do matki; ma twarz równie spokojną, ponurą, złą, równie blade oczy, tylko cerę jeszcze żółtszą, dlatego przezwano ją Tykwą. Kiedy spojrzenie Amandyny napotyka oczy Franciszka, dziewczyna pokazuje bratu drzwi; Franciszek odpowiada westchnieniem i odlicza dziesięć oczek na sieci, co znaczy w tajemniczej mowie rodzeństwa, że ich brat wróci dopiero o dziesiątej. Patrząc na te dwie kobiety, milczące i złe, i na dzieci niespokojne, trwożliwe, nieme, łatwo odgadnąć, że jest tu dwóch katów i dwie ofiary.

Tykwa dostrzegłszy, że Amandyna na chwilę przerwała pracę, rzekła jej ostro:

– No, dalej, prędko powypruwasz te znaki?

Dziewczynka wzięła się pilnie do roboty i po kilku minutach oddała matce skończoną koszulę; stara bez słowa rzuciła jej drugą. Amandyna nie zdążyła jej chwycić w powietrzu i koszula upadła na ziemię.

– Ty głupia niezdaro! – burknęła starsza siostra i uderzyła ją ręką, twardą jak drewno. Amandyna wróciła na swoje miejsce i wzięła się do dalszej roboty, spojrzawszy na brata oczami pełnymi łez.

I znowu milczenie panowało w kuchni. Na dworze wiatr wył ciągle i kołysał szyld zawieszony przed domem. Dzieci z przerażeniem zauważyły, że matka ich nie mówi ani słowa.

Zawsze była małomówna, jednakże to zupełne milczenie i zaciśnięte wargi starej wskazywały, że trawi ją gniew wewnętrzny. Ogień dopalał się na kominie.

– Franek, daj polano! – zawołała Tykwa.

Chłopczyk spojrział na komin i odpowiedział:

– Tu już nie ma drew.

– To idź do drwalni – rzekła Tykwa.

Amandyna nieznacznie trąciła brata łokciem, chcąc go skłonić do posłuchania Tykwy. Ale Franek nie ruszył się z miejsca.

Starsza siostra spojrziała na wdowę, oczekując ukarania winowajcy: matka zrozumiała ją. Długim zakrzywionym palcem wskazała wierzbowy pręt, giętki i gruby, stojący przy kominie; Tykwa wzięła narzędzie kary i podała je matce.

Franek, widząc gest matki, podskoczył i stanął w drugim kącie kuchni, dokąd pręt nie sięgał.

– Czy chcesz, żeby matka wstała do ciebie? – zawołała Tykwa.

Wdowa, z prętem w rękę, przygryzała tylko blade wargi i patrzyła na Franka, nie mówiąc słowa.

– Wszystko mi jedno – odpowiedział chłopiec, blednąc. – Wolę, żeby mnie wybiła tak jak wczoraj niż pójść do drwalni, i to jeszcze w nocy.

– Czemu? – przerwała Tykwa niecierpliwie.

– Bo się boję – odpowiedział Franek, drżąc mimo woli.

– Boisz się, głupcze? A czego?

– Bo tam jest ktoś...

– Bo ktoś jest?

– ...pochowany – szepnął Franek.

Wdowa mimo panowania nad sobą wzdrygnęła się, córka także. Powiedziałybyś, że obie kobiety jednocześnie przeszedł prąd elektryczny.

– Słyszysz go, matko? Co za głupi chłopak! – rzekła Tykwa ze znaczącym spojrzeniem. – To kości baranie, sama je tam rzuciłam.

– Nie, nie baranie – odparł Franciszek z widocznym strachem – to były kości ludzkie, trupie, noga sterczała z ziemi, wyraźnie ją widziałem.

– I zaraz pobiegłeś z tą nowiną do twego brata, do twego najlepszego przyjaciela Martiała, nieprawda? – zawołała Tykwa szyderczo.

Franciszek milczał.

– Ha! Przeklęty szpiegu! – krzyknęła Tykwa z wściekłością. – Dlatego żeś sam tchórz, gotów jesteś zgubić nas wszystkich.

– Skoro mnie łajesz – odparł Franciszek – to wszystko powiem Martiałowi. jeszcze nic nie mówiłem, bo go dziś nie widziałem, ale jak wróci wieczorem...

Nic śmiać skończyć.

Matka szła do niego, spokojna, ale nieubłagana. Jedną ręką trzymała pręt, drugą uchwyciła syna i mimo strachu, oporu, błagań i płaczu dziecka powlokła je ze sobą po schodach na górę. Po chwili usłyszano z góry głucho szamotanie, krzyki i jęki. Wdowa wróciła na dół, spokojnie postawiła pręt na dawnym miejscu i znowu bez słowa zajęła się robotą.

Gdy się to wszystko działo, Amandyna, przejęta szczerym współczuciem dla Franka, którego bardzo kochała, nie ośmieliła się podnieść oczu ani otrzeć łez, które po jednej spadały na jej kolana. Tłumiła jęki, ze strachu chciałyby nawet powstrzymać bicie serca.

Wkrótce Tykwa wróciła z naręczem drzewa. Na spojrzenie matki odpowiedziała potwierdzającym kiwnięciem głowy. Znaczyło to, że istotnie piszczał trupa sterczał z ziemi. Wdowa przycięła wargi i szła dalej, tylko igła nieco prędzej biegła w jej ręce.

Tykwa, pokrząawszy się przy kominie, siadła znowu obok matki i rzekła:

– Więc zdaje ci się, matko, że Mikołajowi nic nie grozi! Może i masz słuszość. Stara ka-
zała mu czekać nad brzegiem na człowieka, który mu powie hasło: „Bradamanti”. Prawdę
mówiąc, nic w tym niebezpiecznego. Jeżeli Mikołaj się spóźnia, to pewno dlatego, że znalazł
coś na drodze, tak jak onegdaj ściągnął tę bieliznę. O, ta bielizna na długo nam wystarczy, a
kosztuje nas tylko tyle, że wyprujemy znaki. Nieprawda, matko? – dodała Tykwa, szczerząc
w uśmiechu zęby tak żółte jak jej twarz.

Wdowa zdawała się nie słyszeć jej słów.

– Ale, ale, skoro już mówimy o oszczędzaniu wydatków domowych – podjęła Tykwa –
przychodzi mi na myśl jeszcze jedno: czy wiesz, że od kilku dni jakiś staruszek zamieszkał w
letnim domu lekarza, pana Griffon? To ten dom o sto kroków od brzegu rzeki.

Wdowa kiwnęła głową.

– Mikołaj mówił wczoraj, że można by tam teraz znaleźć niezły zarobek – ciągnęła Tykwa
– a ja od dziś rana wiem z całą pewnością, że tam jest co brać. Trzeba będzie posłać Aman-
dyne, żeby przepatrzyła rozkład domu, nikt na nią nie zwróci uwagi. Uda, że się bawi, i opo-
wie nam wszystko, co widziała. Słyszysz? – zapytała surowo Amandyny.

– Dobrze, siostró, pójdę – odpowiedziało dziecko ze strachem.

– Zawsze mówisz „dobrze”, a nigdy nic nie zrobisz. Słuchaj, matko – dodała Tykwa po
chwili – to się może źle skończyć, Martial chce nami rządzić. Podburza Franka i Amandynę
przeciw nam, przeciw tobie. Czy tak może być dłużej?

– Nie – odpowiedziała wdowa krótko i twardo.

– Od czasu, jak jego Wilczycę wsadzili do Świętego Łazarza, rzuca się na nas jak szalony.
Czy to nasza wina, że ona siedzi w więzieniu? Jak ją wypuszczą, to niech tu przychodzi, zaw-
sze ją przyjmujemy.

Przerwało jej głośnie szczekanie psów.

– Aha! Psy się odezwały, słyszę, że ktoś nadpływa. To Martial albo Mikołaj. Na wzmiankę
o Martialu twarz Amandyny rozjaśniła się. Niespokojnie i niecierpliwie patrzyła kilka minut
na drzwi, lecz ku jej żalowi wszedł w końcu Mikołaj, przyszły współnik zbrodni Barbillona.
Twarz miał zarazem podłą i dziką, a tak był mały, chudy, nędzny, że trudno pojąć, jak mógł
trudnić się swoim niebezpiecznym i zbrodniczym rzemiosłem. Wchodząc do kuchni, rzucił na
ziemię duży kawał miedzi, który z trudnością przydźwigał na ramieniu.

– Dobry wieczór i dobra zdobycz, matko! – zawołał chrapliwym głosem. – Mam w łódce
trzy takie blachy, zawiniątko i pełną skrzynię. Nie wiem jeszcze, co tam jest, może mnie
oszukali, zobaczmy!

Ponura twarz wdowy rozjaśniła się nieco po przybyciu Mikołaja. Kochała go bardziej niż
Tykwę.

– Gdzie pracowałeś dzisiaj? – zapytała wdowa.

– Najpierw spotkałem się z tym jegomościem, co to się z nim umówiłem na ten wieczór, a
potem, kiedy wracałem, dostrzegłem łódź przy moście Inwalidów. Nikogo nie było, przewoź-
nicy zeszli na brzeg, no to ja na nią, biorę, co w ręce wpadło: bieliznę, skrzynię i cztery bla-
chy miedziane. No, ale chodźmy, Amandyno, ty też weźmiesz bieliznę.

Wdowa, zostawszy sama, zajęła się przygotowaniem do wieczery. Zastawiła na stole
szklanki, butelki, talerze, srebrne łyżki, widelce i noże.

Dzieci wróciły, stękając pod ciężarem. Franciszek dźwigał na ramieniu dwie sztuki miedzi,
Amandyny nie było widać pod górą kradzonej bielizny, Mikołaj i Tykwa nieśli dużą skrzy-
nię, na której leżał czwarty kawał miedzi.

– Prędko, prędko, rozbijmy skrzynię! – krzyknęła Tykwa z dziką niecierpliwością.

Mikołaj wyjął zza pasa toporek i wsunął pod wieko, usiłując je podważyć.

– Ach! – krzyknęli wszyscy jednym głosem radości i zdziwienia i rzucili się z pośpiechem
ku rozbitej skrzyni. Zawierała całe sztuki materiałów: zapewne jakiś kupiec paryski wysyłał
ją do magazynu mód w okolicach Paryża.

– Mikołaju, nie oszukałeś się – zawołała Tykwa, rozrzucając zwój muślinu.

– A nie – odpowiedział bandyta, wyjmując paczkę jedwabnych chusteczek – nie na darmo się napracowałem.

– Atlas! Sprzeda się jak świeża bułka – rzekła wdowa, sięgając z kolei do skrzynki.

– Przyjaciółka Czerwonego Janka, co mieszka na ulicy Temple, kupi materiały – dodał Mikołaj – a miedź weźmie stary Micou.

– Amandyno – szepnął Franciszek do siostry – jak by mnie było ładnie w takiej chustce na szyi!

– I mnie też, jakbym ją włożyła na głowę – odpowiedziała dziewczynka z zachwytem.

Mikołaj dnia tego był bardziej szczodry niż zwykle: oddał zębami dwie chustki od sztuki jedwabiu i rzucił je dzieciom, które patrzyły na nie łakomym okiem.

– Macie, to dla was, smarkacze! Teraz idźcie spać, muszę pomówić z matką, zaniosę wam wieczerzę na górę.

Dzieci uradowane klasnęły w ręce, a Tykwa rzekła do nich:

No i co, głupcy, będziecie jeszcze słuchać Martiala? Czy on wam kiedy podarował takie chustki?

Franek i Amandyna spojrzeli na siebie i w milczeniu opuścili głowy.

– Ale pamiętajcie – dodał zatrzymując ich jeszcze Mikołaj – obedrę was ze skóry, jeżeli Martialowi piśnecie słówko o skrzyni, bieliźnie i miedzi! I odbiorę wam chustki!

Gdy dzieci wyszły, Mikołaj z siostrą schowali wszystko do komórki, po czym rozbójnik zawołał:

– Teraz, matko, dawaj pić! A co dobrego! Starego wina! Miałem dziś dobry zarobek. Dawaj jeść. Tykwo, Martialowi zostawimy gnaty, więcej niewart.

Bandyta wyjął z kieszeni składany nóż, długi i szeroki, i oglądając z dziką radością tę zabójczą broń, zawołał:

– Ostry jak brzytwa, to mi przyjaciel! Podaj chleb, matko.

– A co ten jegomość, coś się z nim widział?

– Zaraz powiem – rzekł Mikołaj, nie przerywając jedzenia. – Przybiłem do brzegu, przywiązałem łódkę; ciemno było, że o cztery kroki człowieka nie widać. Chodzę z kwadrans, aż słyszę, idzie ktoś za mną. Odkaszlnął parę razy, ja stoję, on także; twarzy nie widziałem, miał podniesiony kołnierz od płaszcza i kapelusz nasunięty na oczy.

Przypominamy czytelnikowi, że tą tajemniczą osobą był notariusz Ferrand.

– „Bradamanti” mówi mi. Takie było hasło. „Grabieżnik”, odpowiadam na to.

„Nazywasz się Martial?”, pyta.

„Tak jest”.

„Dzisiaj rano przysłałem kobietę po was na wyspę, co wam powiedziała?”

„Że pan chce ze mną pomówić w imieniu pana Bradamanti”.

„Chcesz pieniędzy?”

„Jak najwięcej”.

„Masz łódkę?”

„Mam cztery, jesteśmy przewoźnikami i grabieżcami po ojcu i dziadzie”.

„Więc powiem ci, co trzeba zrobić, jeśli się nie boisz”.

„A czego miałbym się bać?”, zapytałem.

„Patrzeć, jak ktoś przypadkiem tonie. Tylko trzeba by dopomóc do tego przypadku, rozumiesz?”

„Aha! Więc ktoś ma się napić wody więcej, niż by chciał? Zgoda, ale to będzie drogo kosztować.”

„Ile chcesz za dwie osoby?”

„Za dwie? To będą dwie?”

„Tak”.

„Pięćset franków od sztuki, to niedrogo”.

„Dostaniesz tysiąc franków”.

„Zapłata z góry?”

„Dwieście franków zaraz, reszta potem”.

„Więc pan mi nie ufa?”

„Nie, możesz schować moje dwieście franków i nic nie zrobić”.

„A pan, kiedy zrobię swoje i przyjdę po resztę, może mi powiedzieć: «dziękuję ci, bywaj zdrów»”.

„No, chcesz czy nie?”, zawołał. „Mów prędzej: dwieście franków zaraz, a pojutrze wieczorem, o dziewiątej, na tym samym miejscu osiemset”.

„A skąd pan będzie wiedział, że im dałem pić?”

„Będę wiedział, to moja rzecz, zgoda?”

„Zgoda”.

„Masz tu dwieście franków. A teraz słuchaj: poznasz kobietę, co była u was dziś rano?”

„Co bym nie miał poznać?”

„Jutro, albo najdalej pojutrze, przyjdzie wieczorem na brzeg naprzeciw waszej wyspy z młodą dziewczyną, blondynką. Stara da ci znak chustką”.

„Dobrze, panie”.

„Jak długo trzeba płynąć od brzegu do wyspy?”

„Dwadzieścia minut, panie”.

„Czy macie łódki z płaskim dnem?”

„Płaskie jak dłoń”.

„Zrobisz więc w dniu kłapę na zawiasach, tak dużą, żeby łódź zatonała, skoro się tylko otworzy kłapę”.

„Dobrze, panie, oj, pan, widzę, zna się na rzeczy, mam właśnie starą łódź, na wpół zgniłą, chciałem ją porąbać na drwa, zda się na tę ostatnią podróż”.

„Odpłyniesz więc do wyspy na tej łódce z kłapą; w drugiej łódce popłynie z tobą ktoś z waszej rodziny; przybijesz do lądu, zabierzesz starą kobietę i dziewczynę do przedziurawionej łodzi. Po czym, w przyzwoitej odległości od brzegu, udaj, że się schylasz, aby coś poprawić, otwórz kłapę i skocz zręcznie do drugiej łódki, gdy tymczasem stara z młodą...”

..., „skąpią się w Sekwanie!”, zawołałem. „Już rozumiem!”

„Prawda? A więc wypadek zdarzy się przed zachodem słońca”.

„Dobrze, panie, ale czy starucha niczego się nie domyśli?”

„Nie, na powitanie szepnie ci: «Trzeba utopić dziewczynę; nim zanurzysz łódkę, daj mi znak, żebym mogła ratować się razem z tobą». Odpowiedz jej w taki sposób, żeby nie miała podejrzeń, pamiętaj. No, życzę ci powodzenia, mój chłopcze, jeżeli będę z ciebie kontent, może dam ci więcej roboty”.

„Do usług, panie”.

I rozeszliśmy się – dokończył bandyta, a z powrotem, płynąc koło łodzi, zdążyłem zabrać to wszystko, co tutaj przywiozłem.

Wdowa i córka wysłuchały uważnie opowiadania Mikołaja. Ten zaś, że już sobie dobrze podpiał, mówił dalej z podnieceniem:

– To jeszcze nie wszystko; ułożyłem drugi interes z Puchaczką i Barbillonem. Śliczna sprawka! Doskonale wymyślona! Jeśli się uda, będzie za co pohulać. Idzie o to, żeby ubrać maklerkę diamentów, która czasem miewa w swoim mieszkaniu brylantów za pięćdziesiąt tysięcy franków! Czerwony Janek też przy tym się kręci. Wczoraj już nastroił maklerkę listem, który jej zaniósłem razem z Barbillonem. To mi plan! Oj, Czerwony Janek to głowacz! Wielki głowacz!

– Nic dowierzam mu – rzekła wdowa.

– Przebiegły filut! Ale żeby miał sprzedać kogoś, nigdy!

Wdowa potrząsnęła głową, jak gdyby na pół tylko ufała uczciwości Czerwonego Janka. Po namyśle odezwała się:

– Wolę interes z tym panem, co chce sprzątnąć starą i dziewczynę. Tylko Martial nam będzie zawadzał, jak zawsze.

– Czy nas czarci nigdy od niego nie uwolnią! – krzyknął Mikołaj, na wpół pijany, i z wściekłością utkwiał swój długi nóż w stole.

– Mówiłam właśnie matce, że tak nie może być dłużej! – podchwyciła Tykwa.

Wtem drzwi się otwarły. Wszedł Martial.

Na dworze dał wiatr tak silny, że wdowa z dziećmi nie słyszeli szczekania psów, witających najstarszego syna.

Nieświadomy złych zamiarów rodzeństwa, Martial wszedł z wolna do kuchni.

Człowiek ten prowadził szczególny tryb życia. Miał wrodzone dobre skłonności, niezdolny był do czynów nikczemnych lub zbrodni, a jednak stale omijał prawo. Potajemnie łowił ryby, a dozorczy rzeczni, znając jego siłę i śmiałość, patrzyli przez palce na to, co robił. Nie znęcał się nigdy nad słabszymi; przeciwnie, bronił ich zawsze przed napaścią tych, co ufni w swą siłę, pięścią popierali niesłuszne żądania.

– Gdzie dzieci? – zapytał, siadając do stołu.

– A tobie co do tego? – odparła Tykwa.

– Poszły spać – rzekła wdowa.

– Czy nie jadły wieczery, matko?

– Nie twoja sprawa! – krzyknął Mikołaj z wściekłością.

Martial, nieczuły na zaczepki brata i siostry, rzekł znowu do matki:

– Szkoda, że dzieci już śpią.

– Trudno – odpowiedziała wdowa.

– Szkoda, bo lubię je mieć obok siebie przy wieczery.

– A my wyprawiliśmy je na górę, bo mamy ich dość.

Tymczasem pies zbliżył się do Mikołaja, a bandyta rozjątrzony wzgardliwą obojętnością brata, spodziewając się wyprowadzić go z równowagi dręczeniem psa, kopnął biedne zwierzę, które skowycząc żałośnie, uciekło pod drzwi.

Martialowi krew uderzyła do głowy; ścisnął w rękę nóż i pięścią uderzył w stół, ale hamując się jeszcze, przywołał psa do nogi.

Mikołaj spojrział na wdowę; dała mu znak, żeby dalej drażnił Martiala: spodziewała się, że kłótnia doprowadzi do bójki, po której Martial wyniesie się z domu. Mikołaj wziął więc pręt, którym matka niedawno wybiła Franciszka, i chłoszcząc psa, krzyknął:

– Precz stąd, Miraut! Precz!

Często i przedtem Mikołaj okazywał bratu swą niechęć, ale nigdy jeszcze nie śmiał zaczepiać go tak zuchwale i natarczywie.

Martial, domyślając się, że chcą go specjalnie rozdrażnić, uzbroił się w cierpliwość: wstał, otworzył drzwi, wypuścił psa i znowu siadł do wieczery.

Ta niezachwiana zimna krew rozjątrzyła pijanego Mikołaja; jednak znając niepospolitą siłę Martiala, nie śmiał uderzyć na niego otwarcie; aby go bardziej rozdrażnić, zawołał:

– Dobrześ zrobił, ujmując się za psem, nie zmieniaj swych chwalebnych obyczajów, a przysięgam ci, jak tu przyjdzie twoja kochanka, wypędzimy ją tak, jak wypędziliśmy psa.

– A pewnie, jeśli tylko Wilczyca, na swoje nieszczęście, przyszła tu po wyjściu z więzienia – dodała Tykwa.

– Wykapię ją w błocie przy baraku na końcu wyspy – odezwał się znowu Mikołaj – i wypędzę.

Groźby przeciw Wilczycy, którą kochał z dziką namiętnością, zwyciężyły nareszcie postanowienia Martiala; zmarszczył brwi, twarz nabiegła mu krwią, żyły na czole nabrzmiały; jed-

nakże jeszcze o tyle panował nad sobą, że powiedział bratu głosem nieco zmienionym od tłumionego gniewu:

– Strzeż się! Szukasz kłótni: wytłukę cię...

– Ty!... Mnie?...

– Tak, i to lepiej niż ostatnim razem.

– Ty? – krzyknął bandyta, z wściekłością chwytając nóż. – Ty mnie wybijesz?

– Mikołaju, bez noża! – zawołała wdowa, wstając nagle i chcąc go złapać za rękę. Ale bandyta, pijany winem i złością, zerwał się, odepchnął matkę i rzucił się na brata. Martial cofnął się żywo, porwał za kij i zasłonił się nim.

– Mikołaju, precz z nożem – powtórzyła wdowa.

– Daj mu spokój, niech robi, co chce! – odrzekła Tykwa.

Mikołaj wywijał swym strasznym nożem, upatrując chwili, żeby dosięgnąć brata.

– Zabiję was – krzyknął – zabiję was oboje: i ciebie, i twoją Wilczycę, a od ciebie zacznę. Do mnie, matko! Do mnie. Tykwo! Zabijmy go! Niech ginie! –I skoczył ku bratu z podniesionym nożem.

Martial, mistrz doświadczony w sztuce bicia się na kije, uchylił się i podniósł kij, który zakręciwszy z szybkością błyskawicy ósemkę w powietrzu spadł z taką siłą na prawą rękę Mikołaja, że bandyta upuścił nóż.

Martial wziął brata za kołnierz, wypchnął do komórki i zamknął na klucz. Wracając do kobiet, chwycił Tykwę za ramiona i nie zważając na jej krzyk i opór, zamknął ją także – w izbie przylegającej do kuchni. Po czym, zwracając się do wdowy, która jeszcze nie ochłonęła ze zdziwienia, powiedział zimno:

– Teraz, matko, rozprawmy się.

– Dobrze! Rozprawmy się! – zawołała wdowa. – Mam ci dużo do powiedzenia!

– I ja także, matko, powiem ci, co mi leży na sercu.

– Choćbyś żył sto lat, popamiętasz dzisiejszą noc.

– Nie zapomnę o niej! Brat i siostra chcieli mnie zamordować, a ty, matko, nic nie uczyniłaś, żeby ich powstrzymać. Ale mów, co masz do mnie.

– Od śmierci ojca postępujesz haniebnie!

– Daję ci ryby, które łowię, i pieniądze, które zarabiam! To niewiele, ale dosyć, nic cię nie kosztuję. Chciałem być ślusarzem, żeby więcej zarabiać, ale kto od młodości włóczył się po rzece i lasach, nie może przywiązać się do jednego miejsca, tego już w życiu nie dokażę. A potem – dodał Martial ponuro – wołałem zawsze mieszkać samotnie na wodzie albo w lesie, tam przynajmniej nikt mnie nie wypytywał. Gdzie indziej zaś, kiedy mnie pytają o ojca, muszę odpowiedzieć: zgilotynowany! O brata... galernik! O siostrę... złodziejka!

– Głupi tchórze! Zachciało ci się być uczciwym! Uczciwym? I tak cię zawsze oplują, odepchną, bo jesteś synem zabójcy, a bratem galernika. Zamiast nienawiści, chęci zemsty, gniewu, czujesz tylko strach. Zamiast gryźć uciekasz; kiedy ci gilotynowali ojca, porzuciłeś nas, podły! A wiedziałeś, że nie moglibyśmy iść z wyspy do miasteczka, żeby na nas nie ciskali kamieniami jak na psy! O, zapłacą nam oni za to, zapłacą! Zobaczą, co znaczy nasza rodzina! Ma się rozumieć bez ciebie, ty tchórze. Ale ty nic stąd jutro zabierzesz!

Martial zdziwiony spojrział na matkę. Po krótkim namyśle rzekł:

– Szukaliście zwady ze mną, żeby mnie stąd wyrugować?

– Tak, żeby ci pokazać, co cię czeka, gdybyś chciał zostać mimo naszej woli. Piekło! Słyszysz, piekło! Co dzień kłótnie, bójkę, a nie będziemy sami jak dziś wieczór, przyjaciele nam pomogą. Tygodnia nie wytrzymasz.

– A ja ci mówię, że zostanę, póki nie znajdę gdzie indziej pracy, aby zarobić na utrzymanie moje i dzieci. Gdyby szło tylko o mnie, wróciłbym zaraz do lasu, ale ponieważ muszę zarobić na dzieci, potrzeba mi wielu dni na wyszukanie zajęcia. Póki nie znajdę, zostaję.

Wdowa odparła, wruszając ramionami:

– Więc nie pójdziesz? Mówiłam ci dopiero co, że choćbyś żył sto lat, nie napomnisz dzisiejszej nocy, wytłumaczę ci teraz, dlaczego, ale wprzód powiedz: w żadnym razie stąd nie pójdziesz?

– Nie, nie, powtarzam, że nie!

– No to posłuchaj. Wiesz, czym się zajmuje twój brat?

– Domyślam się, ale nie chcę wiedzieć.

– Trzeba, żebyś wiedział: on kradnie.

– Tym gorzej dla niego.

– I dla ciebie.

– Czemu dla mnie?

– Kradnie nocą, z włamaniem, za to posyłają na galery, my przechowujemy jego zdobycz. Jeśli go złapią, ta sama kara czeka nas i ciebie także z nami. Zabiorą nas wszystkich, dzieci rzucą na bruk, a tam nauczą się rzemiosła twego ojca i dziada tak dobrze jak tu.

– Przedtem straszylaś mnie inaczej, teraz znowu inne pogrożki, nie boję się, dowiodę, że nigdy nie kradłem. Zostaję.

– A! Zostajesz! To słuchaj dalej: przypominasz sobie, co tu zaszło w nocy w wigilię Bożego Narodzenia zeszłego roku? Nie przypominasz sobie? Czerwony Janek przyprowadził tu dobrze ubranego człowieka, który musiał się ukrywać. Tej nocy ten człowiek, który miał przy sobie sporo pieniędzy, został zamordowany w naszym domu. Zakopaliśmy go w drwalni.

– Nieprawda! – krzyknął Martial, błąd z przerażenia. Nie chciał uwierzyć w tę nową zbrodnię rodzeństwa. – Straszysz mnie, jeszcze raz mówię, nieprawda! Nie wierzę!

– Spytaj się twojego Franka, co widział w drwalni.

– Franek! I cóż widział?

– Kości trupa wyłaziły z ziemi. Weź latarkę, pójdz sam i przekonaj się.

– Boże! Boże! – jęknął Martial i zakrył twarz rękoma.

– No? Pójdziesz teraz? – zapytała wdowa, śmiejąc się z pogardą.

Martial był przybity. Nie wątpił, że matka mówiła prawdę; tułacze życie, mieszkanie przy rodzinie zbrodniarzy, musiały ściągnąć na niego podejrzenia, a podejrzenia mogły się zmienić w pewność, jeżeli matka, brat, siostra obwinia go o współnictwo.

Wdowa napawała się widokiem rozpaczy syna.

– Możesz sobie poradzić – rzekła – wydaj nas.

– Powinien bym, ale nie zrobię tego, wiesz dobrze.

– Dlatego właśnie powiedziałam ci wszystko. Czy teraz pójdziesz od nas?

– Matko, kochasz Mikołaja i Tykwę?

– I co z tego?

– Jeżeli dzieci pójda za ich przykładem, jeżeli wasze i ich zbrodnie zostaną wykryte...

– Co dalej?

– Pójda na szafot jak ojciec...

– Cóż dalej? Dalej!

– Matko – zawołał Martial ze łzami prawie – oddaj dzieci do terminu, niech się nauczą rzemiosła.

– Ile razy mam ci powtarzać, że i tu są w terminie, tu się uczą rzemiosła.

Wdowa powiedziała ostatnie słowa tonem tak nieubłaganym, że Martial stracił wszelką nadzieję.

– Skoro tak – rzekł stanowczo – posłuchaj teraz ty, matko. Zostaję! Wprawdzie nie w tym domu, boby mnie tu zamordował Mikołaj albo otruła Tykwa. Będę mieszkał z dziećmi w baraku na końcu wyspy, drzwi są mocne, jeszcze je naprawię. Ale niech mnie piorun zabije na tym miejscu, jeśli opuszczę wyspę albo jeśli dzieci choć o jeden dzień dłużej zostaną w tym domu. Nikt mnie z wyspy nie ruszy!

Wdowa знаła odwagę Martiala i przywiązanie dzieci do niego. Musiała jednak pozbyć się go: jego obecność mogła przeszkodzić Mikołajowi w wykonaniu poleceń Ferranda.

– Rozumiem twój plan – rzekła – sam nie chcesz nas wydać, chcesz, żeby nas wydały dzieci. Wiedzą teraz, że tu jest pogrzebany człowiek, wiedzą, że Mikołaj kradnie; oddać je na naukę – wygadają się, pójdziemy do więzienia i zginiemy wszyscy. Nie żądam od ciebie, żebyś mnie kochał, ale przynajmniej nie sprzyjaj naszej zgubie.

Łagodniejsza mowa wdowy kazała Martialowi przypuszczać, że groźby jego zrobiły wrażenie na matce, i przez to wpadł w zasadzkę.

– Znam dzieci – odparł – jestem pewny, że gdy przykażę, aby nic nie mówiły, nie powiedzą słowa. Zresztą czy tak, czy owak, zawsze będę z nimi i rękę za nie. A nawet wobec tego, co mówisz, pójdę z nimi daleko w świat.

– Och, jak bym chciała cię widzieć daleko stąd! Czemu nie zostałeś w swoich lasach!

– Przecież możesz się pozbyć mnie razem z dziećmi.

– I porzuciłbyś Wilczycę, którą tak kochasz? – spytała nagle wdowa.

– To moja rzecz, wiem, co robię, już o niej pomyślałem.

– Gdybym ci pozwoliła zabrać dzieci, ty, Amandyna i Franek nigdy nie pojedziecie do Paryża?

– Za trzy dni będziemy w drodze i nie usłyszysz o nas.

– Wolę to wreszcie niż mieć ciebie tutaj i ciągle się was bać. Cóż robić, ponieważ Nie może być inaczej, zabierz je, a idźcie sobie jak najprędzej, żebyśmy was nigdy nie wiedziała!

– Więc zgoda?

– Zgoda. Oddaj mi klucz od komórki, wypuszczę Mikołaja.

– Nie, niech tam trochę posiedzi, oddam klucz jutro rano.

– A Tykwa?

– Mniejsza o nią, wypuść ją, kiedy pójdę na górę, nie mogę na nią patrzeć bez wstrętu.

– Idź, bodajesz z piekła nią wyrzał!

– Tak się ze mną żegnasz, matko?

– A tak.

Syn zapalił świecę, otworzył drzwi od kuchni, świsnął na psa i wzięwszy go ze sobą, poszedł na piętro.

– Idź... twój rachunek skończony! – rzekła cicho wdowa, potrząsając pięścią za odchodzącym synem.

Potem, przy pomocy Tykwy, która jej przyniosła pęk wytrychów, otworzyła drzwi komory, gdzie siedział zamknięty Mikołaj i wypuściła go.

XVI

Franciszek i Amandyna

Franciszek i Amandyna sypiali w izdebce nad kuchnią na końcu korytarza, na który wychodziły drzwi kilku innych izb, przeznaczonych dla gości częściej odwiedzających szynk. Po spożyciu skromnej wieczerzy nie zgasili latarki, jak im przykazano, ale siedzieli, czekając na Martiala.

Amandyna, siedząc na brzegu łóżka, zawiązywała na głowie kradzioną chustkę, podarunek Mikołaja.

– No jak, ładnie mi? – spytała brata.

– Ślicznie, Amandynko! – odparł Franciszek. – Włóż ją, kiedy pójdziemy bawić się na brzeg, żeby inne dzieciaki pękały z zazdrości. Zawsze rzucają na nas kamieniami i krzyczą, że jesteśmy gilotyniarze. Ja także włożę swoją chustkę i powiemy im: „Jak sobie chcecie, ale nie macie takich jedwabnych chustek jak my”!

– Ale posłuchaj, Franku – podjęła Amandyna po chwili namysłu – gdyby wiedzieli, że nasze chustki są kradzione, krzyczeliby na nas, że jesteśmy złodzieje.

– Jeżeli Mikołaj kradł, to nam nic do tego.

– Tak myślisz. Franku?

– No pewnie.

– Ale ja bym chyba wolała dostać tę chustkę od osoby, do której należał materiał. A ty, Franciszku?

– Mnie wszystko jedno, dali nam, więc to nasze.

– Ale za kradzież wsadzają do więzienia.

– A tak!

– O! Jakie to musi być straszne siedzieć w więzieniu.

– Co ty wygadujesz! Tam wcale nie jest źle. Pamiętasz kulawego garbusa, co mieszka w Paryżu u starego Micou i co tu raz w jesieni przyszedł z kilkoma jeszcze? Za wszystkich płacił, hulał z nimi i w nocy puszczał na wodę taki piękny fajerwerk! Wydał wtedy z osiemdziesiąt franków.

– To był bogaty człowiek.

– Bogaty? Zebrał pieniądze w więzieniu i mówił, że ma jeszcze siedemset franków. Mówił, że wszystko przehula, a potem znowu pójdzie kraść, i jeśli go złapią, to mu wszystko jedno, bo wróci do swoich kompanów w więzieniu.

– To kraść nie jest źle, skoro w więzieniu tak dobrze siedzieć?

– Nie wiem, tu tylko Martial mówi, że nie powinniśmy kraść; może się myli.

– O nie, Franciszku; trzeba mu wierzyć, on nas tak kocha.

– Prawda, że kocha! Kiedy jest w domu, nie ważą się nas bić. Gdyby był dziś wieczorem, matka nie wybiłaby mnie tak! Ach, jaka ona zła. Nienawidzę jej, chciałbym już dorosnąć, żeby jej oddać wszystkie kije, cośmy od niej dostali, zwłaszcza ty, co nie jesteś tak wytrzymała jak ja.

– A co by na to powiedział Martial?

– O, gdyby nie on, dawno bym ich usłuchał, bo już mi się sprykrzyło bicie. Gdybyś mogła widzieć, jak matka się dziś wściekała! Przecież to prawda, że widziałem nogę trupa.

– Może tu dawniej był cmentarz?

– I to możliwe. Ale prędzej kogoś tu zabili w bójce i tam go zakopali, żeby się ludzie nie dowiedzieli.

Wtem dzieci usłyszały, że ktoś idzie korytarzem. To Martial wracał do swego pokoju, spokojny, sądząc, że Mikołaj jest pod kluczem aż do jutra. Widząc u dzieci światło, wszedł do nich; oboje podbiegli do niego, a on czule uściskał rodzeństwo, mówiąc:

– Co, jeszcze nie śpicie?

– Nie, czekaliśmy na ciebie, żeby ci powiedzieć dobranoc – rzekła Amandyna.

– Chcielibyście pójść ze mną na zawsze? Gdzieś daleko, daleko?

– O! Chcemy, chcemy, braciszku!

– No to najdalej za trzy dni wszyscy troje pójdziemy sobie z wyspy.

– Co za szczęście! – zawołała Amandyna, klaszcząc w ręce.

– A dokąd pójdziemy? – spytał Franciszek.

– Później się dowiesz, ciekawski, ale mniejsza o to; dokądkolwiek pójdziemy, nauczysz się dobrego rzemiosła, będziesz mógł ucziwie żyć. A ty, Amandyno, chcesz się uczyć?

– Zrobię wszystko, co chcesz – zawołała dziewczynka radośnie – bylebym stąd poszła z tobą i z Frankiem.

– A co to masz na głowie? – zapytał Martial, spostrzegając chustkę siostry.

– Chustkę, Mikołaj mi ją dał.

– I mnie także! – rzekł Franciszek dumnie.

– Skąd je wziął? Nie sądzę, żeby kupował dla was prezenty.

– Nie wiemy skąd, prawda, Amandyno?

– Nie kłamcie! – zawołał Martial surowo.

– Jak by tak powiedzieć prawdę – odezwała się dziewczynka cicho – to te chustki wzięte są ze skrzyni z towarami. Mikołaj przywiózł je dziś wieczorem.

– Ukradł tę skrzynię?

– Chyba tak.

– Widzisz, Franku, łgałeś.

Chłopczyk spuścił głowę i milczał.

– Dajcie mi te chustki, dzieci.

Dziewczynka zdjęła chustkę z głowy i spojrzawszy raz jeszcze z westchnieniem na ogromną kokardę, oddała bratu. Franciszek, ociągając się nieco, wyjął chustkę z kieszeni i też oddał ją Martialowi.

– Jutro zwrócę chustki Mikołajowi, nie powinniście byli ich brać. Kto korzysta z kradzieżnego, robi tak, jakby sam kradł.

– Jaka szkoda, takie ładne chusteczki! – rzekł Franciszek.

– Kiedy nauczysz się rzemiosła i zaczniesz zarabiać, kupisz sobie takie same. No, a teraz spać, spać, dzieci. Już czas. Dobranoc! – I Martial ucałował dzieci i wyszedł. Po chwili ktoś z korytarza zamknął na klucz drzwi ich izby.

– Zamykają nas! – krzyknął Franciszek.

– Boże, co chcą z nami zrobić?

– Może to Martial nas zamknął?

– Słuchaj, jak jego pies szczeka! – rzekła Amandyna, nadstawiając ucha.

– Dobijają się do jego drzwi, biją młotem, chcą je wyłamać.

– Minęli nasze drzwi, schodzą po schodach.

– A Martiala pies ciągle wyje, słuchaj, on nas woła.

– Kto? Martial?

– Tak, to on, posłuchaj!

I rzeczywiście, donośny głos Martiala dochodził do izby dzieci.

Po chwili Martial przestał wołać, wszystko ucichło. Franek nie mogąc przezwyciężyć ciekawości otworzył okno i uniósłszy nieco żaluzje, wyjrzał.

- Tylko ostrożnie – szepnęła Amandyna. – Co tam widzisz?
- Nic nie mogę dojrzeć. Ciemno...
- Co robią? – zapytała, podchodząc na palcach do brata.
- O, światło latarki się zbliża. To Tykwa. Trzyma drabinę przy oknie Martiała.
- Co robią teraz?
- Mikołaj wchodzi po drabinie, w ręku ma siekiere.
- A! Nie śpicie! Szpiegujcie nas! – krzyknęła nagle wdowa stojąca przy drabinie pod domem. Spostrzegła światło przebijające się przez na wpół otwartą żaluzję: biedne dzieci zapomniały zgasić latarkę w izdebce.
- Zaraz przyjdę do was! – dodała z groźbą w głosie.

XVII

Stary Micou

Ulice Traversière i Saint-Guillaume łączy z sobą ciemna uliczka, mało znana, chociaż znajduje się w centrum Paryża. Przy tej ciemnej, błotnistej uliczce jest dom z szyldem nad drzwiami. Napisano na nim: *Pokoje umeblowane do wynajęcia*. Stary człowiek, nazwiskiem Micou, dzierżawił ten dom i po prawej stronie bramy miał swój ciemny, ciasny i brudny sklepik. Handlował niby to starym żelastwem, w rzeczywistości zaś trudnił się kupnem kradzionego żelaza, ołowiu, miedzi, mosiądzu i innych kruszców; zresztą dość powiedzieć, że przyjaźnił się i handlował z Martialami.

Ktoś trzykrotnie, w umówiony sposób, zapukał do drzwi; Micou, poznawszy znajomego, zawołał:

– Proszę wejść!

Wszedł Mikołaj, syn wdowy z Wyspy Grabieżnika. Był blady, twarz jego wydawała się jeszcze bardziej ponura niż wczoraj, mimo to udawał wesołość. Działo się to nazajutrz po kłótni z Martialem.

– A, to ty, hultaju – rzekł po przyjacielsku ojciec Micou. – Cóż mi przynosisz, blachę z dachów?

– Nie zgadłeś, ojcze Micou, mam co najmniej sto pięćdziesiąt funtów miedzi.

– Przynieś ją tu, weźmiemy na wagę.

– Musisz mi pomóc, Micou, ręka mnie boli.

– A co ci w rękę, mój chłopcze?

– Nic, uderzyłem się.

Tak rozmawiając, znieśli miedź do sklepu z wózka zaprzęzonego w ogromnego brytana.

– Wszystko dobrze u was? Matka i siostry zdrowe? – zapytał Micou, ważąc miedź.

– Zdrowe.

– A twój brat Martial zawsze taki dzikus?

– Nie wiem nic o nim – odpowiedział obojętnie Mikołaj – od dwóch dni nie widzieliśmy go, może wrócił do lasu, jeżeli przypadkiem nie utonął w swoim starym czółnie. Ile funtów miedzi?

– Masz dobre oko, sto czterdzieści funtów.

– Co dostanę za to?

– Trzydzieści franków.

– Trzydzieści franków za sto czterdzieści funtów miedzi!

– A dowiedziesz mi, że to twoja własna miedź? Dam ci po dwadzieścia sous za funt: sto czterdzieści franków.

– Ciągłe ta sama piosenka! Wszyscyście jednakowi! Godzi się tak obdzierać przyjaciół? Ale przynajmniej policz mi tanio za to, co wezmę u ciebie.

– Ma się rozumieć. Czego ci trzeba? Łańcuchów, haków do łódek czy też czego innego?

– Potrzebuję pięć grubych żelaznych blach, jak do okucia okiennicy. Dwa mocne zawiasy i zasuwkę do kłapy mającej łokieć, tak żeby ją można otworzyć i zamknąć swobodnie.

– Sam sobie wybierz, mam tu całą kupę zawiasów. Czego chcesz jeszcze?

– Nic więcej, przygotuj mi to wszystko, zabiorę wracając.

– Bądź spokojny, teraz ósma rano, za godzinę możesz wrócić, wszystko będzie gotowe. A teraz napijesz się czego?

– Bardzo chętnie.

Ojciec Micou wyjął ze starej szafy flaszkę wódki, wyszczerbioną szklanekę, filiżankę bez uszka i nalał.

– W twoje ręce, ojczy Micou.

– Zdrowie twoje i twojego rodzeństwa, mój chłopcze!

– Dziękuję! Jakże ci idzie z najmem domu?

– Jako tako. Mam kilku lokatorów, co się boją policji, ale też dobrze płacą.

– A za co?

– Nie udawaj głupiego! Nie rozumiesz? Jak kupuję, tak czasem i wynajmuję mieszkania, nie żądam od takich lokatorów świadectw, jak od ciebie nie żądam dowodu, że to twoja własna miedź. Trzeba sobie radzić na świecie jak można. Mój kuzyn ma piękny hotel na ulicy Saint-Honoré, a jego żona ma pracownię bielizny; blisko dwadzieścia szwaczek pracuje dla niej bądź w domu u siebie, bądź w magazynie.

– Słuchaj, stary, muszą tam być ładne dziewczynki?

– Ba, ma się rozumieć! Widziałem kilka, jak przynosiły robotę. Milutkie bestyjki! Zwłaszcza jedna, co szyje w domu. Zawsze się śmieje, Rigoletta. Co za szkoda, że nie mam dwudziestu lat. Ale uczciwa.

– E, kto by tam wierzył! Dobra wódka, w twoje ręce, ojczy Micou.

– Do ciebie, chłopcze. Otóż kuzyn przysłał mi dwie kobiety. Matka i córka: obdarłe, wyędzniałe, cały majątek miały zawiązany w chustkę. Chociaż to nie musi być nic wielkiego, skoro nie mają świadectw i najmują mieszkanie półmiesięcznie, jednakże od czasu, jak tu są, nie wychodzą z domu i żywa dusza u nich nie bywa, nigdy tam nie widziałem mężczyzny. A gdyby nie takie chude i blade, to byłyby piękne kobiety, zwłaszcza córka! Ma najwyżej szesnaście lat, biała jak biały królik, a oczy czarne, duże. Co za oczy, powiadam ci, cudowne oczy!

– Tylko się tak nie zapalaj! I cóż one robią?

– Powiadam, że ich nie rozumiem. Muszą być uczciwe, a jednak nie mają świadectw. Wzięty pokój bez komina, każę im płacić za dwa tygodnie dwieście franków, i to z góry. Może teraz chore, bo już od dwóch dni nie schodziły na dół, pewno nie na niestrawność, bo od czasu, jak tu są, ani razu nie gotowały. A jednak nigdy nikt u nich nie był i nie mają świadectw! No, wypijmy!

– Ale ostatni, muszę iść. A kulawy gruby Robin jeszcze tu mieszka?

– Na górze, obok tych kobiet, com ci o nich mówił. Przejadł wszystko, co zebrał w więzieniu, chyba już mu nic nie zostało.

– Strzeż się! Jemu po odbyciu kary na galerach jeszcze nie wolno mieszkać w Paryżu.

– Wiem, ale nie mogę się go pozbyć. Teraz ma jakieś plany; niedawno byli u niego Kulas i Barbillon. Boję się, żeby mi łajdak nie narobił ambarasu. Jak tylko minie mu termin, powiem, żeby się wynosił, że jego pokój wynajęty, na przykład dla męża pani Saint-Ildefonse, tej, co to żyje z własnych dochodów. Cicho! Idzie jej służąca.

Młoda kobieta w brudnym szlafroku weszła do sklepu.

– Co pani Charles rozkaże?

– Nie ma tu pańskiego siostrzeńca?

– Poszedł na pocztę, ale za chwilę wróci.

– Pan Badinot kazał, żeby zaniósł ten list, tylko zaraz, bo to pilne. Służąca wyszła. Micou, rzuciwszy okiem na adres, powiedział do Mikołaja:

– Widzisz, jakie on ma znajomości! Mówiłem ci, że to bogaci ludzie: „Do pana hrabiego de Saint-Remy, ulica Chaillot. Pilne. Do rąk własnych”. Kto ma lokatorów, co są w stosunkach z hrabiami, może od innych nie wymagać paszportów. Ale powiedz mi, co ci jest? Odkąd tu przyszedłeś, przypatruję ci się...

– Co mi jest? Głodny jestem.

– Głodny, głodny, być może, ale silisz się na wesołego, a widać, że coś ci w środku dolega. Tak jakby sumienie. A kiedy już ciebie gryzie, to nie fraszka.

– Oszalałeś, stary – rzekł Mikołaj, drżąc mimo woli.

Wtem weszła nowa osoba.

Był to pięćdziesięcioletni mężczyzna, o przebiegłej twarzy; miał gęste faworyty, złote okulary i wykwintne ubranie. Był to pan Badinot, wuj pani Saint-Ildefonse, lokator, którym tak pysznił się pan Micou.

Pan Badinot, były adwokat, obecnie pozbawiony urzędu, zajmował się dwuznacznymi interesami; był szpiegiem barona Graun i dostarczał mu wiadomości o wielu osobach znanych czytelnikowi z tej opowieści.

– Pani Charles oddała panu list – rzekł Badinot.

– Tak, panie, mój siostrzeniec za chwilę wróci i zaraz go odniesie.

– Daj mi pan ten list, wolę sam iść do hrabiego de Saint-Remy – rzekł Badinot, wymawiając z naciskiem nazwisko arystokraty.

– Proszę. Nie ma pan innych poleceń?

– Nie, ale gniewam się na pana.

– Na mnie?

– I to bardzo. Pani Saint-Ildefonse płaci drogo za pierwsze piętro i dla takiej lokatorki jak ona należy mieć pewne względy; wynajęła tu mieszkanie, żeby nie słyszeć turkotu pojazdów, myślała, że będzie tu jak na wsi. A tymczasem tu ciągły hałas, nie ma chwili spokoju. Pani Saint-Ildefonse skarży się na tego grubego kulawego pijaka. Jeżeli dalej tu będzie mieszkał, wystraszy wszystkich uczciwych ludzi. Rób pan, co chcesz, ale jeszcze jedna awantura i moja siostrzenica się wyprowadzi.

– Bądź pan spokojny.

– Wszystko to mówiłem w twoim własnym interesie, rób, co dla ciebie korzystne. Co do mnie, to nie zmieniam słowa.

Pan Badinot wyszedł.

A teraz zaprowadzimy czytelnika do smutnego pomieszczenia, wynajmowanego przez matkę z córką. Nie trzeba chyba wyjaśniać, że były to owe dwie ofiary chciwości notariusza.

XVIII

Ofiary oszustwa

Pokoik, w którym mieszkają, znajduje się na czwartym piętrze. Białe światło dnia ledwie tu dociera przez jedyne małe okienko. W kątach zwisają pajęczyny, deski podłogi w wielu miejscach połamane i poodrywane. Całe umeblowanie tego „meblowanego” pokoju to: prosty stół, stołek, kuferek bez zamka, łóżko z siennikiem i grubym prześcieradłem.

Baronowa Fermont siedzi na stołku, jej córka Klara – na łóżku.

Mając tylko jedno lice posłanie, matka i córka śpią na przemian, dzieląc się w ten sposób łóżkiem przez ciąg godzin nocy. Smutny, okropny widok nędzy, w jaką notariusz wtrącił dwie niewiasty nawykłe do wygod, poważane, szanowane powszechnie.

Baronowa z boleścią patrzy na córkę. Klara ma dopiero szesnaście lat, ale i ona uwiędła z nędzy. Z twarzy jej widać, że trawi ją gorączka. Obie te nieszczęśliwe, dotknięte jednym ciosem, miały ulec jednej chorobie.

– Jak jej zimno – mówi do siebie matka, ostrożnie dotykając skostniałą ręką zsiniałych rąk Klary – a przed godziną cała była w ogniu. Okryłabym ją chustką, ale boję się zdjąć chustkę z drzwi. Pijani sąsiedzi gotowi przyjść tak jak wczoraj, zaglądać przez dziurkę od klucza albo przez szpary w drzwiach. Co za straszny dom! O mój Boże! Ale gdzież przyjęliby nas bez papierów. Czyż mogłam przypuszczać, że mi będą potrzebne, kiedy wyjeżdżałam z Angers własnym pojazdem, dlatego że z córką nie chciałam jechać dylizansem. – Potem dodała z nagłym gniewem: – Okropność!... Notariusz obrabował nas, a ja nic mu nie mogę zrobić, nie mam nawet za co wytoczyć mu procesu! Litograf, który nam dawał ryciny do kolorowania, nie chce dalej nas zatrudniać, bo nie pozwoliłam Klarze chodzić do niego samej wieczorem. Jak trudno znaleźć jakiegokolwiek zajęcie temu, kto nie ma znajomości.

Nagle mocne uderzenie w drzwi wyrwało z drzemki baronową i Klarę.

– Boże! Co się dzieje?! – krzyknęła Klara, zrywając się; baronowa, zalekniona, przycisnęła córkę do siebie. Obie z przerażeniem patrzyły na drzwi. Drzwi znowu zatrzęsły się pod uderzeniami.

– Kto tam? – zapytała baronowa drżącym głosem.

– Co, u diabła! Czyście głuche? Hej, sąsiadki – krzyczał zza drzwi ochryply głos.

– Czego pan chcesz, nie znam pana – odpowiedziała baronowa, usiłując ukryć swoje przerażenie.

– Jestem Robin, wasz sąsiad. Dajcie mi ognia, chcę zapalić fajkę. No, prędzej tam!

– O Boże! To ten kulawy grubas, co ciągle się upija – rzekła matka.

Pijak kopnął drzwi tak silnie, że stary zamek odleciał. Baronowa i Klara krzyknęły. Matka mimo osłabienia rzuciła się ku drzwiom i zatrzymała zataczającego się Robina, który już przestępował próg.

– Narobię krzyku – zawołała – przyzwę pomoc.

– Po co krzyzczeć? Gdybyście otworzyły same, nie wywaliłbym drzwi – odpowiedział pijak. – Chcę tu wejść i wejść, a nie wyjść, póki nie dostanę u was ognia do fajki.

– Nie mamy ognia, nie mamy zapalek, błagam pana, idź sobie.

– Nieprawda, mówisz tak, żebym nie wszedł i nie zobaczył tej dziewczynki. A ja właśnie obejrzę ją sobie w łóżku i zapalę fajkę. A jak nie, to wszystko porozbijam na drobne kawałki.

– Ratunku! Ratunku! – zawołała zrozpaczona baronowa.

Przestraszony jej krzykiem, łotr cofnął się, ale grożąc pięścią baronowej, rzekł:

– Poczekaj, zapłacisz mi za to!. Przyjdę tu jeszcze, ale w nocy i wyrwę ci język, żebyś nie mogła wrzeszczeć.

Klara spoglądała wokół siebie z obawą.

– Uspokój się dziecinko – rzekła pani Fermont, ściskając ją czule – już nie ma tego zbója.

– Wielki Boże, mamó, gdyby wrócił! Widzisz przecież, wołałaś pomocy, a nikt nie przy-szedł. O, błagam cię, wynieśmy się z tego domu, ja tu umrę ze strachu.

– Jak ty drżysz, Klaro! Masz gorączkę.

– To nic, nic, mamó – rzekła Klara, chcąc uspokoić matkę – to tylko ze strachu, zaraz mi przejdzie. A ty jak się czujesz, mamó? Daj mi rękę. O Boże! Jakie rozpalone! Widzisz, ty jesteś chora, a kryjesz się przede mną.

– Nie, nie, miałam się lepiej niż kiedykolwiek, ten człowiek mnie nastraszył, tak mnie to wzburzyło. Spałam mocno na krześle, obudziłam się razem z tobą.

– Może pan de Saint-Remy odpisze.

– Straciłam nadzieję, już tak dawno pisałam do niego.

– Może nie odebrał listu. Czemu nie napiszesz raz jeszcze?

– Przecież wiesz, dziecko, ile mnie to kosztowało, jak trudno mi było zdobyć się na pierw-szy list.

– Nie trać odwagi, mamó, zostaje nam jeszcze jedna nadzieja, może dziś rano przyniosą nam pomyślną odpowiedź.

– Od pana d'Orbigny?

– Tak. Twój list był tak wzruszający, tak dobrze malował nasze nieszczęście, że pan d'Or-bigny na pewno się nad nami zlituje. Nie wiem, czemu mi się tak zdaje, ale coś mi szepcze, że on nas nie opuści w nieszczęściu.

– Daj Boże, kochana Klaro, żeby się twoje przeczucia ziściły. Ale gdyby i ta nadzieja za-wiodła, przezwycięż fałszywy wstyd i napisz do księżnej de Lucenay.

– Do tej damy, o której pan de Saint-Remy tak często nam wspominał, wychwalając jej dobre serce i szlachetność?

– Tak, do córki księcia de Noirmont.

– Tak, mamó, rozumiem, dlaczego z tym zwlekasz: nie znasz jej zupełnie, podczas gdy przynajmniej nieboszczyk ojciec i wuj mój znali pana d'Orbigny.

– W końcu gdyby i pani de Lucenay nie mogła nam pomóc, uciekłabym się do ostatniego środka. Słaba to nadzieja, ale czegoż bym nie spróbowała? Syn pana de Saint-Remy...

– Więc Saint-Remy ma syna? – zawołała Klara. – Nigdy nie wspominał o nim, syn go ani razu nie odwiedził.

– Dla pewnych przyczyn, o których nie mogę ci mówić, pan de Saint-Remy, opuściwszy Paryż około piętnastu lat temu, nie widział od tego czasu swojego syna.

– Piętnaście lat nie być u ojca? Czy podobna?

– Tak, jest, niestety! Zdarzają się i takie wypadki. Otóż powiem ci, że syn ten gra wielką rolę w Paryżu, jest bardzo bogaty.

– Bogaty? A ojciec ubogi?

– Cały majątek syn dostał po matce.

– Cóż z tego? Jak może zostawić ojca w niedostatku?

– Ojciec nic by od niego nie przyjął.

– Dlaczego?

– I na to pytanie nie mogę ci odpowiedzieć. Ale biedny mój brat mówił mi nieraz, że chwałą dobre serce młodego Saint-Remy. Może kiedy się dowie, że mój mąż był niegdyś w przyjaźni z jego ojcem, wystara się nam o miejsce albo o pracę; ma tylu przyjaciół, tyle zna-jomości, że to nie będzie trudne dla niego. W ostateczności można spróbować.

– Mamo, powiedz, gdyby nas wszystko zawiodło, gdybyśmy wydały tę resztę pieniędzy, co tam są w kufrze, czy w mieście tak bogatym jak Paryż mogłybyśmy obie umrzeć z głodu i nędzy, dlatego że nie znajdziemy pracy, że zły człowiek odarł cię bezkarnie z własności?

– Cicho, cicho, biedne dziecko! Pokrzepiaj mnie raczej swoimi nadziejami; odpędź te czarne myśli.

Wtem zastukano do drzwi. Matka z córką zadrżały, myśląc, że wrócił pijany Robin. Baronowa jednak ochłonęła, poznając głos starego Micou.

– Mój siostrzeniec przyniósł z poczty list, adresowany do pani X.Z., list z prowincji. Należy się frank za porto i za drogę.

– Mamo, list z prowincji! Jesteśmy wybawione, to albo od pana de Saint-Remy, albo od pana d'Orbigny! Kochana mamo, nie będziesz już cierpieć! – zawołała Klara z radością i nadzieja ożywiła jej śliczną buzię.

– Proszę o list – rzekła pani Fermont, wychodząc na próg – zaraz zapłacę. Po chwili baronowa przeczytała drżącym głosem, co następuje:

Pani, Hrabia d'Orbigny, mąż mój, cierpiący od niejakiego czasu, nie mógł Pani odpisać podczas mojej nieobecności.

Przyjechawszy dziś rano do Paryża, pośpieszam uwiadomić Panią, że rozmawiałam z mężem o Jej liście. Przypomina on sobie, że kiedyś miał jakieś stosunki z bratem Pani; zna także imię nieboszczyka męża Pani, ale nie pamięta, gdzie to imię słyszał. Mniemane oszustwo, o które Pani lekkomyślnie oskarża pana Ferrand, notariusza, posiadającego całe nasze zaufanie, jest w oczach hrabiego d'Orbigny okrutną potwarzą, nad której ważnością nie zastanowiła się Pani. Podobnie jak ja, mąż mój zna i szanuje wzorową prawość i uczciwość człowieka, którego Pani tak nierozważnie szkaluje. Nie potrzebuje zatem rozpisywać się o tym, że pan d'Orbigny, ubolewając nad smutnym położeniem, w jakim Pani się znajduje, a którego istotną przyczynę śledzić nie jest jego rzeczą, widzi się w niemożności nieść Pani pomoc.

Hrabina d'Orbigny

Matka i córka patrzyły na siebie w bolesnym osłupieniu. Wtedy stary Micou zastukał do drzwi i spytał:

– Mogę wejść i odebrać należność za list?

– Ach, prawda, tak dobre nowiny warte tyle, ile wydajemy na swoje utrzymanie – rzekła pani Fermont z gorzkim uśmiechem i zostawiając list na łóżku córki, podeszła do starego kufra bez zamku, schyliła się i podniosła wieko.

– Wielki Boże! – krzyknęła z przerażeniem. – Okradli nas! Nic nie zostało! –I jak rażona piorunem, oparła się o kufer.

– Co mówisz, mamo? Woreczek z pieniędzmi!...

– Okradli panią?! – wrzasnął Micou. – Nieprawda! Pani tylko udaje, żeby nie zapłacić.

Nieszczęśliwa matka była w rozpacz. Nie mogła wyjść i zostawić obłożnie chorej córki samej, w każdej chwili narażonej na powrót pijaka, który już z rana ją nastraszył.

– To szachrajstwo i nic więcej; nie miała pani żadnego woreczka z pieniędzmi, tylko nie chcesz mi zapłacić za list; wszak tak? Dobrze, mnie wszystko jedno! Kiedy wyjdiesz z domu, zedrę z ciebie tę twoją czarną chustkę, wytartą już, ale franka jeszcze za nią wezmę.

– Ach, panie – zawołała baronowa, zalewając się łzami – na Boga, zaklinam cię, miej litość nade mną, te pieniądze to był cały majątek mój i córki. Skoro nam je ukradli, nic nam nie pozostaje jak umrzeć z głodu.

– Cóż to? Co pani jest? – zawołał Micou, widząc, że baronowa chwieje się na nogach. – Bledniesz? Dajże pokój! Panienko, mama mdleje – dodał stary, chwytając panią Fermont, żeby nie upadła, bo nieszczęśliwa matka, dotknięta tym ostatnim ciosem, straciła siły.

– Mamo, o Boże, co ci jest? – zawołała Klara, nie mając siły się podnieść. Micou, jeszcze mocny pomimo swoich lat pięćdziesięciu, zdjęty chwilową litością, wziął panią Fermont na rękę, wniósł ją do pokoju i rzekł:

– Przepraszam, że wchodzę, kiedy pani leży w łóżku, ale muszę wnieść pani matkę. Zemdlała, zaraz przyjdzie do siebie.

Widząc wchodzącego mężczyznę, Klara krzyknęła przerażona i okryła się, jak mogła. Micou posadził baronową na stołku i wyszedł, zostawiając drzwi otwarte, bo pijak rozbił zamek.

Gwałtowna choroba, którą baronowa tłumiała dotąd w sobie, wybuchnęła teraz z całą siłą. Trawiona silną gorączką, bredząc okropnie, nieszczęsna matka leżała w łóżku córki, która przerażona, stroskana, prawie tak samo chora, nie miała ani pieniędzy, ani pomocy i w każdej chwili lękała się przyjścia bandyty.

XIX

Ulica Chaillot

Wyprzedzimy o kilka godzin pana Badinot, który, jakeśmy się dowiedzieli z jego rozmowy z ojcem Micou, pośpieszył do mieszkania hrabiego de Saint-Remy. Hrabia mieszkał przy ulicy Chaillot i sam zajmował cały ładny dom z dziedzińcem i ogrodem w części miasta dosyć samotnej, chociaż bliskiej Pól Elizejskich, najulubieńszego miejsca przechadzki paryżan. Takie położenie domu było bardzo dogodnie dla młodego hrabiego. Kobiety mogły go odwiedzać potajemnie, wchodząc furtką ogrodową przez uliczkę; łączącą ulicę Marboeuf i Chaillot. Obok był ogród jednego z najbardziej znanych ogrodników paryskich i damy idące do hrabiego w razie niespodziewanego spotkania miały gotowe tłumaczenie, że przyszły po kwiaty. Skłamałyby wreszcie tylko w połowie, bo i hrabia posiadał znakomitą oranżerię, prowadzącą od samej furtki do buduaru na pierwszym piętrze. Bez przenośni więc godzi się powiedzieć, że dama przestępująca niebezpieczny próg hrabiego szła na zgubę po ścieżce usłanej kwiatami. Księżna de Lucenay, zazdrosna jak wszystkie kobiety namiętne, kazała sobie dać klucz od tej furtki.

Dom hrabiego dzielił się na dwie części: parter, gdzie przyjmował damy, i piętro, przeznaczone na przyjmowanie towarzyszy gry, polowania, biesiad – słowem ludzi, których tytułują ogólnym mianem przyjaciół. Hrabia – młody, piękny, dowcipny i czuły – w starożytnych Atenach byłby przedmiotem uwielbienia jak Alcybiades; za naszych dni był tylko podłym oszustem, fałszerzem.

Aby zapoznać się lepiej z hrabią, warto zajrzeć do mieszkania pana Edwardsa Pettersona, zarządzającego stajnią hrabiowską, który zaprosił do siebie na herbatę pana Boyer, kamerdynera hrabiego. Posłuchajmy ich rozmowy.

– Drogi panie Boyer – rzekł Edwards – chciałem cię prosić o radę w ważnej sprawie, dlatego zaprosiłem cię na śniadanie.

– Jestem na twoje usługi, kochany panie Edwards.

– Wiadomo ci, że zgodziłem się z hrabią o zupełne utrzymanie stajni, to jest ośmiu koni i sześciu ludzi, ogółem za dwadzieścia cztery tysiące franków rocznie, licząc w to i moją pensję. Przez cztery lata hrabia płacił mi regularnie, ale jakoś w połowie zeszłego roku wezwał mnie i powiedział: „Edwards, winienem ci około dwudziestu tysięcy franków, ile cenisz najniżej moje konie i pojazdy?” „Trzydzieści sześć tysięcy franków”. „W takim razie”, mówi do mnie hrabia, „kup wszystko razem za tę cenę, pod warunkiem, że za pozostające dwadzieścia tysięcy franków będziesz utrzymywał i zostawisz do mego rozporządzenia konie, ludzi i pojazdy przez sześć miesięcy”.

– I przyjąłeś, panie Edwards? Wszak to złoty interes.

– Ma się rozumieć, za dwa tygodnie upływa termin sześciomiesięczny, a konie i pojazdy będą już moje.

– Nic bardziej oczywistego. O ile mi wiadomo, akt ten redagował pan Badinot. Radzę zrobić to samo co ja. Znajduję się zupełnie w takim samym położeniu. Po potrąceniu należnych osiemdziesięciu tysięcy zostawało jeszcze sześćdziesiąt, za które zobowiązałem się utrzymywać dom, stół, opłacać ludzi itp. Naturalnie, że i na tych wydatkach coś zarabiam. Tak tedy z końcem tego miesiąca...

– Dom będzie twój, a konie i pojazdy moje.

– Tak jest, mój kochany.

– Więc hrabia zrujnował się?

– W pięć lat.

– A ile odziedziczył?

– Nie więcej niż milion w gotowiznie – odparł Boyer pogardliwie – a dodaj do tego miliona jeszcze ze dwieście tysięcy długów. Wczoraj mówiono mi o młodym księciu Montbrison, kuzynie księżnej de Lucenay, który przyjeżdża z Włoch i otwiera tu dom. Poprośmy hrabiego; jest to pan tak dobry, że nie odmówi wstawienia się za nami do księcia Montbrison, powie mu, że odjeżdżając do misji francuskiej w Gerolstein, sprzedaje całą swoją ruchomość. Powiedźże mi, panie Boyer, co nasz pan teraz z sobą zrobi?

– Pojedzie do Niemiec dobrym koczem podróжным.

– Nie spodziewa się czasem jakiegoś spadku?

– Żadnego, jego ojciec prawie nic nie ma.

– Jak to, młody hrabia był jednak dość bogaty, a ojciec...

– Zaraz ci powiem, nie jest to żaden sekret, bo kiedyś rzecz była głośna w całym Paryżu. Hrabia de Saint-Remy, ojciec naszego pana, zakochał się niegdyś w bogatej, młodej panie i ożenił się z nią. Ona to wniosła mu w posagu milion, który w rękę syna poszedł z dymem, czego mieliśmy zaszczyt być świadkami.

Boyer skłonił się głęboko. Edwards uczynił to samo.

– Małżonkowie bardzo byli szczęśliwi, kiedy wtem ojciec hrabiego znalazł listy, z których się okazało, że żona jego w trzy lata po ślubie, kiedy on był w podróży, miała romans. Odkrycie to zrobił po piętnastu latach małżeństwa. Na szczęście – czy na nieszczęście – pan nasz urodził się w trzy kwartały po powrocie ojca z tej nieszczęsnej podróży. Jakkolwiek było, natychmiast rozstał się z żoną. Od tego czasu nigdy więcej nie widział ani jej, ani syna i osiadł na prowincji w Asnières, gdzie jak mówią, żyje samotnie niby wilk, utrzymuje się z bardzo szczupłego majątku, który, jak sobie możesz wyobrazić, niemało nadwerężył, uganianiac się przez półtora roku po rozmaitych krajach. W Asnières przestaje tylko z żoną i córką pana Ferment, który umarł kilka lat temu. Nie wie się jakoś tej rodzinie; słyszałem, że przed kilku miesiącami brat pani Fermont zastrzelił się.

– A matka naszego pana?

– Dawno już umarła.

Tę rozmowę stangreta i kamerdynera przerwało wejście lokaja, olbrzymiego wzrostu, starannie upudrowanego, chociaż była dopiero jedenasta rano.

– Panie Boyer – rzekł olbrzym – pan hrabia dzwonił już dwa razy.

XX

Hrabia de Saint-Remy

W dwie godziny po rozmowie Boyera z Edwardsem ojciec hrabiego de Saint-Remy zapukał do domu syna.

Stary hrabia de Saint-Remy, jeszcze rzeński, i silny mimo podeszłego wieku, był słusznego wzrostu, cerę miał czerstwą, prawie miedzianą, włosy i brodę zupełnie białe, a brwi gęste i czarne nad przenikliwymi, głęboko zapadłymi oczyma. Ubrany był niemal nędznie, ale z całej jego postaci biła jakaś spokojna duma nakazująca szacunek.

Odźwierny stanął na progu.

– Czy pan de Saint-Remy jest w domu? – zapytał stary hrabia.

Odźwierny, nie odpowiadając, przypatrywał się ze wzgardliwą ciekawością białej brodzie i wytartemu kapeluszu nieznanego.

– Pana hrabiego nie ma w domu – odpowiedział wreszcie, znaczącym gestem wyprasząc gościa.

– Wobec tego zaczekam – rzekł hrabia i wszedł.

– O, przyjacielu, tak się nie wchodzi do domów – zawołał odźwierny; pobiegł za hrabią i zatrzymał go.

– Co, zuchwalcze? – powiedział hrabia, podnosząc groźnie laskę. – Śmiesz mnie dotykać!

Na tę głośną rozmowę na próg domu wyszedł Boyer.

– Co to za hałas? – zapytał.

– Dosyć tego – rzekł hrabia, zwracając się do Boyera – chcę się widzieć z synem. Jeżeli wyszedł, zaczekam.

Boyer wiedział, że ojciec jego pana jest dziwakiem i odludkiem. Ukłonił się więc z uszanowaniem i rzekł:

– Jeżeli pan hrabia zechce pójść ze mną, jestem na jego rozkazy.

– Chodźmy – zgodził się hrabia i udał się za Boyerem.

Kamerdynier wprowadził hrabiego na pierwsze piętro i wyszedł. Hrabia jakiś czas obojętnie rozglądał się po pokoju. Nagle twarz mu się ożywiła, zaczerwienił się z gniewu: zobaczył portret swej żony, matki Florestana de Saint-Remy. Ze splecionymi rękoma, z głową spuszczoną, jakby chciał uniknąć przykrego widoku, zaczął wielkimi krokami chodzić po pokoju.

– To dziwne – mówił do siebie – zabiłem jej kochanka, a moja rana się nie zagoiła, nie nasyściłem pragnienia zemsty, bo porzuciwszy świat, zostałem sam na sam z myślą o mojej krzywdzie. Tak, śmierć winowajcy pomściła hańbę, ale jej nie wydarła z mej pamięci. Przez piętnaście lat byłem oszukiwany, piętnaście lat szanowałem nędznicę, kochałem jej syna, jakby był moim własnym. Dziś jeszcze odraza do Florestana mówi mi wyraźnie, że nie moja krew w nim płynie. Ale nie mam zupełnej pewności; być może, jest moim synem. Okropna wątpliwość!

Przechadzając się po pokoju, hrabia podniósł bez żadnej myśli zasłonę od drzwi prowadzących do gabinetu Florestana i wszedł tam. W tej chwili otworzyły się cicho drzwiczki ukryte w obiciu i w salonie zjawiała się księżna de Lucenay.

A oto co było przyczyną tak niespodziewanego zjawiska.

Florestan de Saint-Remy poprzedniego dnia nazaczył księżnej spotkanie nazajutrz rano. Księżna, mając, jakżeśmy już mówili, klucz od furki, weszła przez oranżerię, spodziewając się zastać Florestana na parterze. Nie znalazłszy go tam, pomyślała, że jest zajęty pisaniem w

swoim gabinecie. Na nieszczęście dosyć groźna wizyta pana Badinot zmusiła młodego hrabiego do wyjścia z domu; zapomniał o schadzce z księżną. Ta zaś, przyszedłszy na górę, już chciała przejść z salonu do gabinetu, kiedy podniosła się zasłona i stanął przed nią ojciec Florestana.

Księżna krzyknęła ze strachu.

– Klotylda! – zawołał zdziwiony hrabia.

Stary hrabia de Saint-Remy przyjaźnił się kiedyś z ojcem pani de Lucenay i przyzwyczaił się nazywać ją od dzieciństwa po imieniu.

– Klotyldo! – powtórzył hrabia z bolesnym wyrzutem. – Ty! Tutaj! U mego syna!

Ostatnie słowa pomogły księżnie poznać w nieznajomym ojca Florestana. Położenie jej było tak niejasne, a zarazem tak znaczące, że nie przyszło jej nawet na myśl uciec się do kłamstwa.

– Niech mnie pan nie gani – rzekła – jesteś moim najdawniejszym przyjacielem, przypomnij sobie, że od dwudziestu lat nazywałeś mnie swoją kochaną Klotyldą.

– Tak, tak cię nazywałem, lecz...

– Wiem, wiem już, co mi chcesz powiedzieć, ale ja mam zawsze jedną dewizę: „Co będzie, to będzie”.

– Ach, Klotyldo!

– Oszczędź mi wyrzutów i pozwól raczej powiedzieć: „Jak się cieszę, że cię widzę!” Tyle mi przypominasz. Najprzód mego dobrego ojca, potem moje dzieciństwo, czasy, kiedy miałam piętnaście lat, ach, piętnaście lat, co za piękny wiek!

Jeżeli dawno jest pan w Paryżu – dodała po chwili – to nieładnie, żeś mnie dotąd nie odwiedził. Moglibyśmy pomówić o przeszłości. Widzi pan, dochodzę do tego wieku, kiedy z największą rozkoszą mówimy do starych przyjaciół: „Czy pamiętasz?”

– Pani musi znać powody, dla których nienawidzę świata, a nade wszystko Paryża – odparł starzec. – Jedyne więc niezwykle naglące okoliczności mogły mnie skłonić do opuszczenia Asnières i przybycia tu, do tego domu.

Mimo całej swej surowości stary hrabia, znajdując panią de Lucenay tak szczerą i otwartą, zapomniał prawie, że mówi z kochanką swego syna.

– Nie wiesz może, Klotyldo – rzekł do niej – że od dawna mieszkam w Asnières.

– Owszem, wiedziałam o tym.

– Chociaż szukałem samotności, osiadłem w tej mieścinie, bo mieszkał tam mój krewny de Fermont, który w nieszczęściu okazał mi prawdziwie braterskie przywiązanie. Towarzyszył mi po całej prawie Europie, kiedy szukał człowieka, którego chciałem zabić, i był moim sekundantem w pojedynku.

– Ojciec opowiadał mi wszystko – przerwała smutnie pani Lucenay – ale na szczęście Florestan nie wie ani o tym pojedynku, ani o jego przyczynie.

– Nie chciałem go pozbawiać szacunku dla matki – odparł hrabia; potem dodał ze stłumionym westchnieniem: – W parę lat pan de Fermont umarł w Asnières na moim ręku; zostawił żonę i córkę; jakkolwiek jestem odludkiem, kocham je, bo nie ma szlachetniejszych, czystszych istot na świecie. Mieszkałem samotnie na odległym przedmieściu, ale kiedy czasem napadły mnie czarne myśli, szedłem do pani de Fermont i rozmawiałem z nią o jej mężu. Brat pani de Fermont mieszkał w Paryżu; po śmierci szwagra zajął się jej interesami i umieścił cały jej majątek, około stu tysięcy talarów, u pewnego notariusza. Wtem nowe nieszczęście spotkało panią de Fermont; brat jej przed ośmiu miesiącami odebrał sobie życie. Uspokoiwszy się nieco, pojechała do Paryża ułożyć swoje sprawy.

– I cóż?

– Wczoraj odebrałem list z Asnières; nic dotąd nie wiedzą. Wszcząłem poszukiwania w Paryżu, najpierw udałem się do dawnego mieszkania brata pani de Fermont. Tam powiedzia-

no mi, że mieszka ona przy kanale Świętego Marcina. Istotnie mieszkała tam, lecz wyprowadziła się, nie wiadomo dokąd.

Księżna uważnie słuchała starca. Nagle rzekła:

– Dziwny to by był traf, gdyby się okazało, że to te same osoby, którymi opiekuje się pani d'Harville.

– Jakie osoby? – zapytał hrabia.

– Wdowa, której pan szukasz, jest jeszcze młoda i pociągająca?

– Tak, lecz skąd pani wie?

– Córnka jej, piękna jak anioł, ma lat szesnaście?

– Tak jest.

– Na imię jej Klara?

– O! Na miłość boską! Powiedz, gdzie są?

– Nie mam pojęcia!

– Jak to?

– Wszystko to wiem tylko od pani d'Harville; pytała, czy nie znam jakiej wdowy, której córce na imię Klara i której brat niedawno odebrał sobie życie, bo na brulionie listu pisanym przez tę nieszczęśliwą znalazła zanotowane słowa: „Napisać do księżnej de Lucenay”.

– Klotyldo, musisz mnie zaprowadzić do pani d'Harville; dziś jeszcze chciałbym ją zobaczyć.

– To niemożliwe. Jej mąż zabił się właśnie w nieszczęśliwym przypadku i markiza wyjechała natychmiast do swego ojca do Normandii.

– Klotyldo, zaklinam cię, napisz do niej jeszcze dziś, niech ci doniesie, co tylko wie o nich.

– Zawsze taki sam! Zawsze zacny i szlachetny! Bądź pan spokojny, dziś jeszcze napiszę do pani d'Harville; dokąd mam przysłać odpowiedź?

– Do Asnières.

– Co za dziwactwo! Dlaczego tam mieszkać, a nie w Paryżu?

– Nienawidzę Paryża, budzi we mnie smutne wspomnienia – odpowiedział hrabia ponuro.

– Mój dawny lekarz, pan Griffon, ma wiejski domek nad Sekwaną pod Asnières; pozwolił mi z niego korzystać. A to prawie przedmieście Paryża.

– Napiszę więc do Asnières, pani d'Harville mówiła mi także, że do straty majątku pani de Fermont przyczynił się notariusz, który podle ją oszukał; w jego rękach złożony był cały majątek, a notariusz po śmierci brata pani de Fermont wyparł się tego.

– Niegodziwiec! Jak się nazywa?

– Jakub Ferrand! – odpowiedziała księżna, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu na wspomnienie zalotów notariusza.

– Rozważyłem wszystko, czego się mogłem dowiedzieć o śmierci brata mojej przyjaciółki. I nie byłbym daleki od mniemania, że nie sam on sobie odebrał życie, lecz został zamordowany.

– Wielki Boże! Z czego pan to wnosi?

– Długo by o tym mówić, teraz muszę odejść. Nie zapomnij pani, coś mi obiecała.

– Jak to? Odchodzisz, nie zobaczywszy się z Florestanem?

– Spotkanie z nim byłoby dla mnie zbyt przykre. Zdecydowałem się na nie jedynie w nadziei dowiedzenia się czegoś o pani de Fermont. Żegnaj panią.

– Ach! Jesteś bez litości. Gdybyś wiedział, jakie on ma szlachetne serce! – Księżna zamilkła nagle: usłyszeli głos Florestana, który wszedł szybko do przyległego gabinetu, mówiąc do kogoś zmienionym głosem:

– Ależ to niepodobna!

– Powtarzam panu – odpowiedział głos cienki i przenikliwy – że w przeciwnym razie za parę godzin zostaniesz uwięziony. Jeżeli Petit-Jean natychmiast nie dostanie pieniędzy, złożę skargę do prokuratora, a wiesz, co cię czeka za fałszerstwo: galery, mój biedny hrabio, galery!

Nikt nie zdoła opisać, co się działo w duszy księżny de Lucenay i hrabiego de Saint-Remy, gdy usłyszeli te okropne słowa.

XXI

Rozmowa

Stary hrabia rzucił się do drzwi gabinetu. Księżna de Lucenay zatrzymała go.

– On nie winien! Przysięgam! Wysłuchaj mnie!

Hrabia zatrzymał się. Chciał wierzyć słowom księżnej, która ani na chwilę nie zwątpiła w niewinność kochanka. Florestan bowiem, chcąc wyłudzić od niej pieniądze, zapewnił ją, że padł ofiarą oszusta, od którego otrzymał fałszywe weksle, i że teraz grozi mu posądzenie o fałszerstwo, bo puścił w obieg weksle. Dwa razy już dawała mu znaczne sumy, lecz on brał je tylko jako pożyczkę, zapewniając, że zwróci.

– Ten Petit-Jean jest niegodziwym oszustem – mówił Florestan drżącym głosem – zapewniał mnie, że nie ma w ręku innych weksli prócz tych, które u niego wykupiłem wczoraj i przedwczoraj. Myślałem, że ten nie jest w obiegu, bo jest płatny dopiero za trzy miesiące, i to w Londynie.

– Wiem o tym – odpowiedział przenikliwym głosem Badinot – wiem, doskonale ułożyłeś swój plan, fałszerstwo miało się odkryć dopiero po twoim odjeździe, hrabio, ale trafiłeś na człowieka jeszcze przebieglejszego od ciebie.

– Czy podobna zachować zimną krew w takim położeniu? Jeżeli skarga będzie podana do prokuratora, zginąłem!

– Właśnie ci to mówię, chyba że poprosisz twoją wielką damę o niebieskich oczach, żeby cię wybawiła z opresji.

– To niemożliwe!

– Zastanów się jednak, może gdzie jeszcze znajdziesz jaką cytrynę do wyciśnięcia; bo jeżeli w ciągu trzech godzin nie dostaniesz dwudziestu pięciu tysięcy franków pójdziesz do więzienia.

– Mówię ci, że to niemożliwe: pożyczyla dla mnie od męża 100 000 franków, takie cuda dwa razy się nie stają. Słuchaj, kochany Badinot, zawsze byłem hojny; zobacz się z tym człowiekiem, przekonaj go, uproś, ubłagaj, niech zaczeka, a ja znowu stanę na nogach i wynagrodzę cię.

– Nic z tego. Petit-Jean jest głuchy na wszystko. Ale cóż, u diabła, pójdz do księżny, powiedz jej prawdę: nie zmyślaj, że cię oszukali, ale wyznaj, żeś sam sfalszował weksle.

– O, piekło! Więc muszę wypić czarę wstydu aż do dna!

– Do widzenia tedy, bądź z nią czuły, tkliwy, namiętny i wydostań pieniądze. Ja biegnę do Petit-Jeana; zastaniesz mnie do trzeciej, potem byłoby za późno. Biuro prokuratora otwarte tylko do czwartej po południu.

Badinot wyszedł.

Podczas tej rozmowy, która dała hrabiemu pełny obraz nikczemności syna, a księżnej – nikczemności człowieka, którego ślepo kochała, ani starzec, ani Klotylda nie ruszyli się z miejsca.

Księżna zrozumiała milczący wyrzut; skłoniła głowę pod brzemieniem wstydu. Nauka była straszna. Lecz wkrótce odezwało się w niej szlachetne oburzenie. Wzgarda i wstręt w jednej chwili zabiły miłość. W jej oczach ten, co przekroczył granicę honoru, przestawał być człowiekiem. I tylko litowała się nad starym przyjacielem, na którym to odkrycie wywarło straszne wrażenie. Był to dla niej widok niezmiernie bolesny.

– Uspokój się pan – rzekła do niego półgłosem. – Wiem, co należy zrobić dla ciebie, dla mnie, dla tego człowieka.

Starzec popatrzył na nią i podniósł głowę; rysy jego nabrały groźnego wyrazu. Zapominając, że syn może go usłyszeć, zawołał:

– I ja także wiem, co mi pozostaje do zrobienia dla ciebie, dla mnie, dla tego człowieka!

– Kto tam? – zapytał Florestan zdziwiony.

Księżna, nie chcąc, żeby ją widział, zniknęła za małymi drzwiczkami, którymi przedtem weszła.

Florestan zapytał raz jeszcze:

– Kto tam?

A nie otrzymując odpowiedzi, wszedł do salonu. Broda i zaniedbana odzież tak zmieniły starego hrabiego, że syn, który od wielu lat go nie widział, nie poznał go zrazu. Zawołał z gniewem:

– Co tu robisz? Kim jesteś?

– Jestem mężem tej kobiety! – odpowiedział starzec, wskazując na portret hrabiny de Saint-Remy.

– Mój ojciec! – krzyknął Florestan i cofnął się przerażony, poznając rysy od dawna zapomniane. – Ojczy, byłeś tu?

– Byłem.

– Słyszałeś?

– Wszystko!

Florestan jęknął i zakrył twarz rękami; obecność ojca była mu w tej chwili niezwykle przykra, lecz wnet, jak prawdziwy szalbierz, postanowił skorzystać z okazji. Odezwał się z pokorą:

– Kiedy straciłem matkę, miałem niespełna dwadzieścia lat, znalazłem się na świecie sam, bez doradcy, bez podpory, bez znacznego majątku. Przywykły od dzieciństwa do przepychu, uważałem go za coś niezbędnego do życia. Nie znając wartości pieniędzy, trwonilem je bez miary; na nieszczęście marnotrawstwo moje zrobiło mi sławę w wielkim świecie. – Przy tych słowach oczy gorzały mu entuzjazmem, bo mówił prawdę. Z podwójnym ogniem ciągnął dalej: – Byłem wyrocznią i arbitrem mody, moje pochwały czy nagany stanowiły prawo, naśladowali mnie i podziwiali w Paryżu, to jest w całej Europie, w całym świecie. Kobiety ubiegały się za zaszczytem znajdowania się na moich nielicznych balach. Zostałem królem mody – i to jedno słowo wszystko ci powie, mój ojczy, jeśli zechcesz je zrozumieć.

– Rozumiem i jestem pewien, że na galerach wymyślisz jakiś wyszukany i elegancki sposób noszenia kajdan, sposób ten wejdzie w modę, będzie się nazywał: „à la Saint-Remy”. A czy pamiętasz, że Saint-Remy to moje nazwisko?!

Florestan ledwie zdołał ukryć ranę, jaką mu zadał jadowity wyrzut ojca. Podjął cicho:

– Niestety, mój ojczy, nie przez dumę wspominam o moim powodzeniu, bo ono właśnie zgubiło mnie.

– Wiem – odpowiedział starzec, ciągle nie wzruszony – kilka dni temu na placu widziałem tłum ludzi, powstał szmer taki, jakim witają ciebie, kiedy wchodzisz do salonu; wszystkie oczy zwróciły się na ślicznego chłopca; kobiety pokazywały go sobie, mówiąc: „to on, to on!” Właśnie tak samo witają ciebie.

– I któż to był?

– Fałszerz, którego stawiali pod pręgierzem.

– Ojczy – krzyknął Florestan z tłumioną wściekłością – jesteś bez litości! Nie chcę usprawiedliwiać siebie, chciałem tylko opowiedzieć, jakie niefortunne zaślepienie było źródłem moich błędów. Z uczciwego człowieka zostałem szalbierzem. Wahałem się, chciałem sobie odebrać życie.

– Czy naprawdę? – zapytał hrabia z dziką ironią.

– Nie wierzysz mi, ojczy?

– Było na to albo za wcześnie, albo zbyt późno – dodał starzec.

Florestan uznał, że trzeba ożywić odgrywaną scenę niespodzianym efektem. Wyjął z biurka kryształową flaszeczkę i stawiając ją na kominku, rzekł do ojca:

– U pewnego Włocha szarlatana kupiłem te truciznę.

– Dla siebie? – spytał starzec oziębłe.

Młody hrabia zrozumiał pytanie. Na jego twarzy odmalowało się szczere oburzenie, bo tym razem mówił prawdę. Pewnego dnia popadł w taki nastrój, który zresztą szybko minął: ludzie tego rodzaju nie mają dość odwagi, aby odebrać sobie życie z zimną krwią i bez świadków, chociaż gotowi są narazić się na śmierć w pojedynku. Zawołał więc boleśnie:

– Spadłem nisko, ojczy, ale nie aż tak nisko! Tę truciznę przeznaczyłem dla siebie.

– Ale straciłeś odwagę – rzekł starzec.

– Przyznaję, że taki ostateczny środek wydawał mi się za wczesny. Ratuuj syna, ojczy, uwolnij od wstydu twoje nazwisko. Przysięgam ci, że pojedę do Algieru, wstąpię do wojska i nie wrócę, póki zdobytą sławą nie zmażę mojego występku. Będę miał dość męstwa albo żeby się zastrzelić, albo żeby zostać żołnierzem. Bo nie chcę iść na galery.

– Nie chcę, żeby moje nazwisko zostało zhańbione – powiedział.

– Ojczy! Zbawco mój! – zawołał Florestan. Chciał się rzucić w objęcia hrabiego, ale ten zatrzymał go z lodowatą oziębłością.

– Daj mi pióro i papier.

Po czym usiadł i napisał:

Zobowiązuję się zapłacić dziś wieczór, o dziesiątej godzinie, 25 000 franków, które syn mój jest winien.

Hrabia de Saint-Remy

– Ach, ojczy! Jak mam ci...

– Zaczekaj tu na mnie – przerwał hrabia – o dziesiątej przyniosę pieniądze, niechaj i ten człowiek tu się stawi.

– A pojutrze udam się do Algieru. Zobaczysz, ojczy. Umiem być wdzięczny i dotrzymać słowa.

– Nie musisz mi być wdzięczny, powiedziałem, że moje imię nie będzie więcej zhańbione i powtarzam, nie będzie! – Starzec wziął laskę i poszedł ku drzwiom.

– Ojczy, podaj mi przynajmniej rękę – odezwał się Florestan błagalnie.

– A więc dziś wieczór, o dziesiątej – odrzekł hrabia i wyszedł, nie podawszy ręki synowi.

– Jestem uratowany! – zawołał Florestan z radością, a po chwili namysłu dodał: – Ale jak się namęczyłem, żeby go rozczulić!

Zadzwonił; wszedł Boyer.

– Powiedz, żeby zaprzęgli do kabrioletu.

Wtem ktoś zapukał do drzwi.

Wszedł drugi kamerdyner i podał Florestanowi gruby list, zapieczętowany czarną pieczęcią. Otworzywszy kopertę, Florestan znalazł w niej 25 000 franków w biletach bankowych. Nic poza tym.

– Ach – teraz mogę powiedzieć, że dzisiaj szczęśliwy dzień! Jestem uratowany, i to najzupełniej. Biegnę do jubilera... a może nie? Nie pójdę. Nie mogą mieć mnie w podejrzeniu, a 25 000 franków warto sobie zostawić. Ale skąd te pieniądze? Nie znam charakteru pisma na kopercie, zobaczmy pieczętę, tak, to od niej, od Klotyldy! Jak się dowiedziała? I ani słowa, dziwna kobieta. Jak mi te pieniądze przysły w porę! Dobra Klotylda! Zawsze szlachetna jak królowa!

– Kabriolet zaprzężony – oznajmił Boyer.

Saint-Remy skierował się ku drzwiom.

– Czy pan hrabia pozwoli mi prosić o jedną łaskę? – odezwał się Boyer. – Edwards i ja dowiedzieliśmy się, że książę Montbrison życzy sobie zaprowadzić dom. Gdyby pan hrabia raczył zaproponować mu swoje meble i swoją stajnię...

– Dobrze mówisz, Boyer, będzie to nawet dla mnie korzystne. Zobaczę się z Montbrisonem, pomówię z nim. Jaka cena?

– Ogółem dwieście tysięcy franków.

– Zarobicie na tym?

– Około czterdziestu tysięcy, panie hrabio.

– Piękny grosz! Zresztą tym lepiej, bo jestem z was rad i gdybym miał z czego robić testament, zapisałbym taką samą sumę tobie i Edwardsowi. – I Florestan wyszedł, żeby odwiedzić najprzód swego kredytora, a potem panią de Lucenay, nie wiedząc wcale, że księżna słyszała jego rozmowę z panem Badinot.

XXII

Wizyta

Pałac księżnej de Lucenay był jednym z najpiękniejszych na przedmieściu Saint-Germain. O dziewiątej wieczorem otwarto wielką bramę pałacu, aby wpuścić świetny pojazd, który zatoczywszy koło na ogromnym podwórzu, zajechał przed ganek. Lokaj otworzył drzwiczki i z powozu wysiadł młody hrabia de Saint-Remy.

Trudno opisać zdziwienie i oburzenie księżny; sądziła, że stary hrabia powiedział synowi, iż ona także wszystko słyszała.

– Kochana Klotyldo, jakaś ty dobra! Jak... – Lecz nie był w stanie dokończyć.

Księżna nie ruszyła się z miejsca. Jej wzrok pełen był tak zabójczej pogardy, że hrabia umilkł, nie mógł wymówić słowa, postąpić ni kroku...

– Cóż to znaczy, Klotyldo? Nigdy cię nie widział piękniejszą, a jednak...

– To zbyt wielka bezczelność! – zawołała księżna, cofając się z takim wstrętem, że hrabia znowu oniemiał. Jeszcze raz jednak nabrał śmiałości i rzekł:

– Czy powiesz mi przynajmniej, Klotyldo, co jest przyczyną tej zmiany? Cóżem zrobił? W czym przewiniłem?

Księżna zmierzyła go od stóp do głowy z taką pogardą, że Florestan, rumieniąc się z gniewu, zawołał:

– Wiem, jak pani umiesz zrywać związki. Czy i teraz sobie tego życzysz?

– Ostatni fałszywy weksel już wykupiony? Ocalony honor nazwiska? To dobrze. Teraz odejdz.

– Ach, wierz mi...

– Żałuję tych pieniędzy: mogły przynieść ulgę tylu uczciwym ludziom pogrążonym w nieszczęściu, lecz musiałam to zrobić przez wzgląd na czcigodnego starca, twego ojca.

– Pani! – zawołał Florestan rozjątrzony.

Wtem drzwi znowu się otworzyły i lokaj oznajmił;

– Księżę Montbrison.

Księżę miał szesnaście lat. Był ładny jak panienka, ledwie zaczął zarastać. Florestan był na tyle zuchwały – albo na tyle słaby – że mimo przybycia gościa nie oddalił się.

– Jak to ładnie z twojej strony, Konradzie, że pamiętałeś dziś o mnie – rzekła pani de Lucenay do młodego księcia, uprzejmie podając mu rękę.

– Nie jest zasługą wykonywać tak miłe obowiązki, kuzynko.

Florestan nie posiadał się z gniewu, widząc, że księżna w jego obecności zastawia sidła na młodego księcia Montbrison. Mylił się jednak; pani de Lucenay miała dla swego młodego kuzyna jedynie uczucie prawdziwie macierzyńskiego przywiązania. Florestan postanowił walczyć o panią de Lucenay i jeżeliby trzeba, poszukać zwady z księciem Montbrison, który oczarowany uprzejmością pięknej kuzynki, zapomniał powitać hrabiego.

– Witam, Mości Księżę – rzekł ironicznie do Konrada, dotykając jego ramienia – wybaczone, że cię nie spostrzegłem. Dlatego właśnie wobec księżny zrobię ci propozycję; wyjeżdżam do Gerolstein i mam zamiar sprzedać swój dom. Czy nie chciałbyś go nabyć? Tobie także by się przydał – ostatnie słowa wymówił z naciskiem.

– Nie możesz przyjąć tej propozycji – rzekła księżna.

– Dlaczego?

– Kochany Konradzie, dom, który ci oferują, jest już sprzedany innej osobie.

Nie wiadomo, jak daleko zaszłaby ta przykra rozmowa. Szczęściem przerwało ją przybycie księcia de Lucenay. Wkrótce potem pojechał z żoną i księciem Montbrison na wieczór do pani Sainval, Florestan zaś udał się do domu, pogrążony w najczarniejszych myślach. Na progu spotkał go Boyer i oznajmił, że stary hrabia Saint-Remy czeka już w salonie, a Petit-Jean siedzi na dole w przedpokoju.

Florestan podbiegł do ojca.

- Drogi ojcze, przepraszam po tysiąc razy, że pozwoliłem ci czekać.
- Czy jest tu człowiek, który ma w ręku fałszywy weksel? – przerwał starzec.
- Jest na dole.
- Każ mu przyjść.

Florestan posłał Boyera po Petit-Jeana.

Stary hrabia schował ręce w kieszeniach długiego surduta i chodził po pokoju milczący i blady. Wtem wszedł Petit-Jean.

- Gdzie weksel? – spytał starzec.
- Oto on, panie.

Hrabia podał synowi dwadzieścia pięć biletów bankowych po tysiąc franków i kazał zapłacić. Petit-Jean zabrał pieniądze i odszedł; stary hrabia wyszedł za nim. Florestan rozdarł fałszywy weksel, mówiąc do siebie:

– Zostanie mi przynajmniej dwadzieścia pięć tysięcy franków od Klotyldy. Jak ona się ze mną obeszła! Ale gdzie jest ojciec?

Wtem zadrżał: w zamku szczęknął obrócony klucz. Wszedł stary hrabia, jeszcze bledszy niż przedtem.

- Zdaje mi się, ojcze, że ktoś zamknął na klucz drzwi od gabinetu.
- Tak, to ja zamknąłem.
- Ty, ojcze, na co?
- Zaraz ci powiem.

Starzec stanął przed drzwiczkami prowadzącymi na ukryte schodki: chciał odciąć synowi i tę drogę. Florestan z niepokojem wpatrywał się w ponurą twarz ojca i nieufnie śledził wszystkie jego ruchy.

– Jesteś stracony – zaczął hrabia ponuro. – Wypędzony z towarzystwa, w którym dotąd żyłeś, zostałeś wkrótce zbrodniarzem takim, jak nędznicy, między których będziesz wtrącony; byłbyś złodziejem bez żadnej wątpliwości, a w razie potrzeby bandytą.

- Bandytą! Ja?
- Tak, bandytą, gdyż jesteś nędznym tchórzem.
- Dowiodłem w niejednym pojedynku...
- Powiadam, że jesteś tchórzem! Przeniosłeś dobrowolnie hańbę nad śmierć. Przyjdzie dzień, kiedy będziesz wolał zamordować człowieka niż narazić się na odkrycie zbrodni. Trzeba przeto raz położyć temu kres!

– Jak to, ojcze, co to znaczy? – zapytał Florestan, coraz bardziej przerażony.

Wtem zastukano do drzwi. Młody hrabia chciał iść otworzyć, myśląc, że przerwie tę straszną rozmowę, ale ojciec zatrzymał go.

- Kto tam? – zapytał starzec.
- W imię prawa! Proszę otworzyć!
- Więc to fałszerstwo nie było ostatnie? – zapytał hrabia, przebijając wzrokiem syna.
- Ostatnie! Ostatnie! Przysięgam! – zawołał Florestan, szamocąc się w ręku ojca.
- Otwierać! – powtórzył głos za drzwiami.
- Czego chcecie? – zapytał hrabia.

– Jestem komisarzem policji tego cyrkułu, przychodzę dopełnić rewizji z powodu kradzieży brylantów, o które oskarżają hrabiego de Saint-Remy. Pan Baudoin, jubiler, ma dowody. Jeżeli nie otworzycie, każę wyłamać drzwi.

– Już złodziej! Nie omyliłem się? – rzekł stary półgłosem. – Przyszedłem cię zabić... spóźniłem się.

– Zabić mnie!

– Dość sromoty dla mego imienia! Kończmy: mam tu dwa pistolety, palnij sobie w łeb... A jak nie, to ja ciebie zastrzelę i powiem, że odebrałeś sobie życie, aby uniknąć hańby. – Hrabia ze straszliwą zimną krwią wyjął z kieszeni pistolet i wolną lewą ręką podał go synowi, dodając: – Prędziej! kończ, jeżeli nie jesteś podłym tchórzem!

Florestan na próżno usiłował wyrwać się ojcu, zsiniał cały z przerażenia. Ale w strasznym, nieubłaganym wzroku ojca nie było nawet śladu litości.

– Ojczy – zawołał młodzieniec – poprawię się!

– Za późno! Słyszysz? Wybijają drzwi.

– Odpokutuję moje błędy!

– Wejdaż zaraz, trzeba więc, żebym ja cię zabił?

I starzec oparł lufę pistoletu na piersi syna. Florestan widząc, że nie ma dla niego ratunku, powziął rozpaczliwą decyzję.

– Masz słuszność, ojczy – rzekł – daj mi broń. Dość hańby. Życie byłoby okropne; nie warto o nie walczyć. Daj broń, zobaczysz, czy jestem tchórzem.

Przeciągły trzask drzwi wskazywał, że je wyłamywano.

– Idą! Tak, teraz śmierć jest dobrodziejstwem. Ale błagam cię, ojczy, jedno słowo przebaczenia!...

W tak strasznej chwili hrabia nie był w stanie odmówić synowi tej drobnej pociechy; rzekł wzruszony:

– Przebaczam.

– Ojczy, już wchodzi, wyjdź do nich, niechaj cię nie mają w podejrzeniu, zatrzymaj ich, żeby mi nie przeszkadzali. Żegnaj!

W sąsiednim pokoju dały się słyszeć kroki kilku osób. Florestan przyłożył pistolet do piersi. Strzał rozległ się w chwili, kiedy hrabia, chcąc uniknąć okropnego widoku, wypadł z salonu. Na odgłos strzału, na widok bladego starca komisarz zatrzymał się. Powiedziano mu, że hrabia zamknął się z synem; zrozumiał wszystko i uszanował boleść zrozpaczonego ojca.

– Zginął! – zawołał hrabia, zakrywając twarz rękoma. – Zginął, ale śmierć lepsza od hańby!

– Panie – odezwał się urzędnik po długim milczeniu – oszczędź sobie smutku, opuść ten dom. Muszę jeszcze wykonać drugie polecenie, bardziej bolesne niż to, dla którego przyszedłem.

– Odchodzę – rzekł hrabia – proszę powiedzieć jubilerowi, że mu wynagrodzę stratę; jaka jest cena brylantów?

– Około trzystu tysięcy franków; osoba, która je kupiła i przez którą wszystko się wykryło, tyle dała za nie synowi pana hrabiego.

– Będę w stanie jeszcze i to zapłacić. Niechaj jubiler przyjdzie do mnie pojutrze.

Komisarz uklonił się, hrabia wyszedł. Urzędnik, zostawszy sam, podszedł z wolna do drzwi salonu, otworzył, a nie widząc żadnych śladów, zdziwiony rozejrzał się po pokoju. Wtem dostrzegł małe drzwiczki ukryte w ścianie; podbiegł do nich, lecz okazały się zamknięte z drugiej strony.

– Oszukali mnie! – zawołał. – Winowajca uciekł tędy.

Istotnie; Florestan w obecności ojca przyłożył rewolwer do piersi, lecz gdy stary hrabia odwrócił się, młodzieniec wystrzelił pod pachę i czmychnął co prędzej. Przeszukano cały dom, ale go nie znaleziono. Podczas gdy ojciec rozmawiał z komisarzem, zbiegł ukrytymi schodami, stamtąd zaś przez oranżerię na ulicę i znikł na Polach Elizejskich.

XXIII

Pożegnanie

Gualeza siedziała na swej ławce na dziedzińcu więzienia. Lubiła to miejsce, bo darnina wokoło, choć chuda i nędzna, przywodziła na myśl strumyk płynący przez Bouqueval. Ufna w łaskawe obietnice markizy d'Harville, dziewczyna spodziewała się wprawdzie zwolnienia, ale tak już przywykła do nieszczęścia, że nie śmiała wierzyć, aby prędko nadeszła dla niej chwila swobody. Odkąd ponownie znalazła się w więzieniu, gdzie widok towarzyszek, każde ich słowo przypominało jej dawną, poniżającą egzystencję, przygnębienie Gualezy wzrosło jeszcze bardziej. Nie dość na tym: nowy powód do niepokoju, zmartwienia, prawie trwogi wynikał z namiętnej, egzaltowanej wdzięczności, jaką czuła dla Rudolfa. Budziła w sobie wspomnienie haniebnej przeszłości, aby zmierzyć w całym ogromie przepaść dzielącą ją od dobroczyńcy. Wielkość Rudolfa zaś, który tak był dobry dla cierpiących, a tak bezwzględny dla podłych, wydawała jej się nadludzka. Przejęta szacunkiem, wdzięcznością, czcią dla niego, myślała niekiedy, że w tych uczuciach poznaje wszystkie cechy miłości, miłości bez nadziei, równie skrytej jak głębokiej. Pierwszy raz wyczytała w sercu swym biedna dziewczyna to mniemanie, przywodzące do rozpacz odkrycie po rozmowie z markizą d'Harville.

„Zapał, z jakim mówiłam”, myślała, „obraził tę damę, tak piękną, tak znakomitą. Teraz pojmuję ostrość jej słów: podyktowała je pogardliwa zazdrość. Jest zazdrosna o mnie. A więc ona go kocha i ja też go kocham? I mimo woli musiałam zdradzić moją miłość? Ale czy wolno mi go kochać? Mnie, takiej nędzniczcy?”

Gualeza myliła się jednak, nie rozumiała swoich uczuć, nazywając je miłością. Obok głębokiej, namiętnej wdzięczności dla Rudolfa podziwiała jego wdzięk, męską siłę, piękność, lecz podziw ten był całkiem czysty, niematerialny. Zresztą działał tu tak często zaprzeczany głos krwi. Tkliwe przywiązanie Gualezy do Rudolfa wynikało z nieświadomej sympatii, której istnienie tak jest nieraz oczywiste i niepojęte jak rodzinne podobieństwa rysów twarzy.

Jak więc powiedzieliśmy, Gualeza siedziała na swej ulubionej ławce i szyła pieluszkę dla przyszłego dziecka Joaśki, która siedziała u jej nóg na ziemi.

Wtem podeszła do nich dozorczyzna, pani Armand, i uradowana zwróciła się do Gualezy:

– Moje dziecko, przynoszę ci dobrą wiadomość; przyjaciele nie zapomnieli o tobie, postarali się o zwolnienie dla ciebie, właśnie zawiadomiłam o tym dyrektora.

– Czy podobna, pani? Co za szczęście, o Boże!

– Uspokój się, moja droga – rzekła pani Armand. – To pewno pani d'Harville wstawiła się za tobą. Przyszła już kobieta, która cię zaprowadzi do twoich opiekunów.

Trudno opisać smutek Joaśki, gdy usłyszała, że jej anioł stróż opuszcza więzienie. Spuściła głowę i siedziała nieruchomo, bez słowa, kryjąc twarz w dłoniach.

Zdziwiona milczeniem Joaśki, Gualeza położyła rękę na jej ramieniu, pytając:

– Co ci jest? Czemu płaczesz?

– Odchodzisz od nas – odpowiedziała, płacząc, Joaśka – nigdy mi nie przyszło na myśl, że stąd odejdziesz i już cię więcej nie zobaczę.

– Bądź pewna, że o tobie nie zapomnę.

– O Boże! Jak ja ciebie kocham! Kiedy tak tu siedzę przy tobie, zdaje mi się, że się już niczego nie potrzebuję obawiać.

– Uspokój się, będę pamiętać o tobie, tak jak jestem pewna, że i ty o mnie nie zapomnisz.

– Kiedy mnie wypuszczą, poszukam służby, będę zbierać gałgany, zamiatać ulice, żadne rzemiosło, byle uczciwe, nie będzie dla mnie za ciężkie.

Rozmowę przerwała dozorczyń, która przyszła po Gualezę.

Dziewczyna przebrała się w swój dawny strój wieśniaczki i poszła do kancelarii więzienia, gdzie już czekała na nią pani Seraphin, gospodyni notariusza Jakuba Ferrand. Ona to miała odprowadzić nieszczęsną na Wyspę Grabieżnika.

XXIV

Wspomnienia

Jakub Ferrand z łatwością wystarał się o zwolnienie Gualezy. Wiedząc od Puchaczki, że Gualeza siedzi w więzieniu Świętego Łazarza, udał się do jednego ze swoich wpływowych klientów z prośbą o wstawienie się za nią. Powiedział mu, że młoda dziewczyna, która wprawdzie zbłądziła, ale teraz szczerze się poprawia, może zostać znowu sprowadzona na złą drogę zguby, obcując z pensjonariuszkami więzienia Świętego Łazarza. Dodał, że została mu polecona przez pewną miłosierną osobę, która chce zająć się losem dziewczyny po jej uwolnieniu. Notariusz nalegał przy tym, aby przy wypełnieniu tego dobrego uczynku nie wymieniano jego imienia. Klient Ferranda posunął uprzejmość tak daleko, że odesłał rozkaz oswo-bodzenia Gualezy notariuszowi.

Pani Seraphin, oddając pismo dyrektorowi więzienia, oświadczyła mu, że kazano jej od-prowadzić dziewczynę do osób, które się nią zaopiekują.

Wiedząc, jak usilnie dozorczyńni polecała Gualezę pani d'Harville, wszyscy mniemali, że zawdzięcza ona tę łaskę wstawiennictwu markizy; gospodyni notariusza nie mogła więc wzbudzać w swojej ofercie najmniejszego podejrzenia. Starucha ta umiała na zawołanie przy-brać minę pocziwej kobieciny i trzeba było dużo przenikliwości i uwagi, żeby odkryć ślady fałszu, chytrości i okrucieństwa w jej obłudnym uśmiechu.

– I cóż, panienczko – rzekła miodowym głosem – chyba się cieszysz, że wychodzisz z więzienia?

– Pojedziemy do Bouqueval, do pani George, prawda? – zapytała Maria.

– Tak, tak, nie inaczej, pojedziemy na wieś do pani George – powtórzyła gospodyni nota-riusza.

Ledwie wyszły, ledwie zamknięto za nimi drzwi więzienia, gdy spotkały młodą dziewczynę przychodzącą zapewne odwiedzić którąś z uwiezionych kobiet.

– Rigoletta! – krzyknęła Maria, poznając dawną towarzyszkę.

– Gualeza! – odpowiedziała radośnie gryzетка. Uściskały się serdecznie.

– Więc to ty? Co za szczęście! – mówiła szwaczka.

– Co za miła niespodzianka! Tak dawno nie widziałyśmy się! – ucieszyła się Gualeza.

– A! Teraz rozumiem, dlaczego nie spotkałam cię ani razu od pół roku – mówiła dalej Ri-goletta, spostrzegłszy wiejski ubiór przyjaciółki – mieszkasz na wsi?

– Tak, od jakiegoś czasu... – odparła Gualeza, spuszczać oczy.

– I przyszedł tu, tak jak ja, odwiedzić kogoś?

– Tak... byłam tu – rzekła Gualeza, jękając się i rumieniąc.

– A teraz wracasz do domu? Zapewne daleko od Paryża? Kochana, droga Gualezo, nie zmieniłaś się, widzę, zawsze tak samo lubisz wieś. Ale pozwól, że ci się przypatrzę! Musisz być rada ze swego losu? Ale powinna bym się na ciebie gniewać, czy to ładnie tak się rozsta-wać z przyjaciółką? Nie pożegnać się nawet? Gdybyś mnie przynajmniej zawiadomiła, co się z tobą działo!

– Tak nagle opuściłam Paryż – odparła Gualeza, coraz bardziej zmieszana – że nie mo-głam...

– O, już się nie gniewam, tak się cieszę, że cię znowu widzę. Słuchaj, czy pamiętasz tę ładną Julkę i Rozyne, blondynkę z czarnymi oczami?

– Pamiętam, pamiętam!

– Wyobraź sobie, obie zostały oszukane, potem opuszczone i wreszcie doszły do tego, że dziś należą do takich kobiet jak te, co siedzą w tym więzieniu.

– Ach, mój Boże! – jęknęła Gualeza, czerwieniąc się.

– Chodźmy, chodźmy – przerwała niecierpliwie pani Seraphin, biorąc za rękę swoją ofiarę – czas ucieka, już późno...

– Ach, pani, jeszcze tylko chwilkę! Tak dawno nie widziałam Gualezy – zawołała Rigoletta.

– Późno już, moje panny – odpowiedziała gospodyni notariusza – trzecia wybiła, u mamy długą drogę przed sobą...

Jednakże odtąd pilnie słuchała rozmowy przyjaciółek.

– A ja wracam z więzienia mężczyzn – mówiła Rigoletta.

– Jak to?

– Tak, niestety. Teraz idę dać Ludwice Morel trochę bielizny, a tylko co zaniiosłam inne drobiazgi biednemu Germainowi. Nazywa się Germain, to mój dawny sąsiad, najpocziwszy chłopak w świecie, słodki, skromny jak dziewczynka; kochałam go jak rodzonego brata.

Usłyszawszy nazwisko Germain, pani Seraphin podwoiła uwagę.

– A co on takiego zrobił, że go wsadzili do więzienia? – zapytała Gualeza.

– On! – zawołała Rigoletta z oburzeniem. – On nic nie zawinił!... Pastwi się nad nim stary notariusz, potwór, który także prześladowuje Ludwikę.

– Ludwikę, tę samą, do której tu przychodzisz?

– Tak, służyła u tego notariusza, a Germain był u niego kasjerem. Nie mam czasu tłumaczyć ci obszernie, o co go oskarża, ale to pewne, że ten niegodziwiec jak wściekły pastwi się nad biednymi ludźmi, co mu nigdy nic złego nie zrobili. Lecz cierpliwości! Cierpliwości! Przyjdzie kolej i na niego. – Rigoletta wymówiła ostatnie słowa tonem, który zaniepokoił panią Seraphin; baba, chcąc się dowiedzieć czegoś więcej, wmieszała się do rozmowy.

– Moja panienczko – rzekła słodko do Marii – już późno; nie mamy czasu, czekają na nas. Rozumiem, że chciałabyś słuchać dalej, bo i ja, choć nie znam tych osób, boleję nad losem młodego Germaina i dziewczyny. Ach, Boże, czy podobna, żeby na świecie byli ludzie tak źli! Jakże się nazywa ten notariusz, panienko?

Rigoletta nie miała żadnego powodu nie ufać pani Seraphin; przypomniawszy sobie jednakże przestrogi Rudolfa, który jej zalecał najgłębszą tajemnicę co do swojej opieki nad Germainem i Ludwiką, pożałowała swojej gadatliwości.

– Ten niegodziwiec nazywa się Ferrand – odpowiedziała więc. Dodała jednak zrećznie, chcąc naprawić nieostrożność: – A to tym bardziej smutne, że nikt się nie zajmuje jego ofiarami, nikt nie dba o tych biedaków, tylko ja jedna, a to im mało pomoże.

– O! Są serca dosyć szlachetne, żeby to uczynić! – rzekła Maria z powściąganym zapalem. – Znam człowieka, co uważa sobie za obowiązek opiekować się cierpiącymi i bronić ich; jest równie dobry dla uczciwych, jak niewypowiedzianie straszny dla nikczemnych.

Rigoletta ze zdziwieniem spojrzała na Gualezę i już miała powiedzieć, że także zna kogoś, kto śmiało występuje w obronie słabych przeciw możnym. Ale ciągle pamiętając przestrogi swego sąsiada, rzekła tylko;

– Doprawdy? Znasz tak szlachetnego człowieka?

– Znam i pewna jestem, że gdyby wiedział o niezasłużonej niedoli Ludwici i Germaina, wybawiłby ich i ukarał ich prześladowcę. Jego sprawiedliwość i dobroć są niewyczerpane.

Pani Seraphin, słysząc te słowa, popatrzyła z zaciekawieniem na Marię i pomyślała:

„Czyżby ta smarkuła była jeszcze niebezpieczniejsza, niż się nam zdawało? Z początku było mi jej żal, ale teraz widzę, że trzeba co prędzej się jej pozbyć”.

– Kochana Gualezo, skoro masz tak znacznych znajomych, proszę cię, poleć łasce tego pana moją Ludwikę i Germaina, bo doprawdy nie zasłużyli na swój los – rzekła Rigoletta, słusznie

doszedłszy do przekonania, że uwięzieni przyjaciele źle nie wyjdą, jeżeli będą mieli dwóch protektorów zamiast jednego.

– Bądź spokojna – odpowiedziała Maria – na pewno wstawię się za nimi do pana Rudolfa.

– Rudolfa! – zawołała Rigoletta z największym zdumieniem. – Pan Rudolf!... Kupiec?

– Nie wiem, kim jest. Ale dlaczego pytasz?

– Bo i ja znam jednego Rudolfa.

– Pewno to kto inny.

– Wysokiego wzrostu, młody, wysmukły? Grzeczny, uprzejmy? Tak?

– To on, on niezawodnie – rzekła Maria – ale dziwię się, że bierzesz go za kupca.

– Co do tego, to wiem z pewnością, sam mi powiedział.

– Znasz go?

– Czy go znam? To mój sąsiad. Mieszka na czwartym piętrze, ma pokoik obok mego.

– On?

– Cóż w tym dziwnego? Zarabia na rok półtora tysiąca franków, więc musi wynajmować skromne mieszkanie, tym bardziej że nie jest zbyt oszczędny, nie umiał mi nawet powiedzieć, ile zapłacił za swoje ubranie.

– Nie, nie, to nie on – rzekła Maria, zamyślając się; a po chwili dodała z zapalem: – ten, o którym ci mówię, jest potężny; jego imię wymawiają z miłością i czcią, jego postawa nakazuje szacunek, chciałoby się klękać przed jego wielkością i wspaniałomyślną dobrocią.

– Teraz już nic nie rozumiem, Gualezo. I też myślę, że to nie on; bo mój nie jest ani potężny, ani nie wzbudza czci. Jest pocziwy, wesoły, ale nikt przed nim nie klęka. Obiecał mi wyfroterować pokój i co niedziela chodzić ze mną na spacer, więc widzisz, że tu nic żaden wielki pan.

Gualeza, zastanawiając się nad tym, co słyszała, przypomniała sobie, że kiedy pierwszy raz widziała Rudolfa w szynku w Cité, był ubrany podobnie jak i inni goście. Czy nie mógł przy Rigoletcie grać roli kupca? Ale jaki miałyby to cel?

– A gdzie mieszkasz, Rigoletto?

– Przy ulicy Temple, pod numerem 17.

„I to dobrze wiedzieć”, pomyślała pani Seraphin. „Ten jakiś tajemniczy Rudolf, który pewno tylko udaje kupca, mieszka obok tej małej szwaczki, która bodaj że wie daleko więcej, niż chce powiedzieć. Oboje mieszkają w tym domu co Morel i Bradamanti”.

Gospodyni notariusza, dowiedziawszy się już, czego chciała, zaczęła przynaglać do pośpiechu. Przyjaciółki pożegnały się czule. Rigoletta poszła do więzienia, Gualeza wsiadła do fiakra z panią Seraphin, która kazała jechać do Batignolles. Za rogatkami miasta, nad brzegiem Sekwany, stanęły.

Gualeza nie знаła Paryża; spostrzegła jednak, że ta droga nie prowadzi do folwarku Bouqueval. Na jej pytanie pani Seraphin odpowiedziała:

– Tylko tyle ci mogę powiedzieć, że wypełniam rozkazy twoich dobroczyńców.

– Jestem im posłuszna.

Opuścimy na chwilę obie kobiety i zaprowadzimy naszych czytelników na Wyspę Grabieżnika.

XXV

Łódka

Wyspa, gdzie mieszkali Martialowie, ponuro wyglądała w nocy, ale przy świetle słońca nie weselszego nad to przekłete siedlisko zbrodni. Brzeg wyspy otaczały wierzby i topole; mieściła w sobie ogród warzywny i kilkanaście drzew owocowych. W środku sadu stała kryta słomą chatka, do której chciał się schronić Martial z Franciszkiem i Amandyną.

Przy brzegu spokojnie kołysały się trzy łódki. Mikołaj, schylony w jednej z nich, próbował, czy kłapa, którą zrobił w dnie, dobrze się otwiera. Tykwa patrzyła na drogę, oczekując przybycia pani Seraphin i Gualezy.

– Nikt nie idzie, ani młoda, ani stara – rzekła do Mikołaja. – Jeżeli nie przyjdą za pół godziny, musimy pójść do Paryża, lepszy interes czeka nas u Czerwonego Janka. Dziś rano jeszcze powtarzała nam to Puchaczka.

– I to prawda, bo kiedy my będziemy przy robocie, Czerwony Janek musi na dworze stać na straży, a Barbillon sam nie potrafi zaciągnąć maklerki do piwnicy. Stara jest, ale jeszcze rześka, wydarłaby mu się.

– Przecież Puchaczka mówiła, że w tej piwnicy trzyma Bakalarza?

– Nie w tej, ale w drugiej, głębszej, którą woda zalewa, jak tylko rzeka przybierze.

– Musi się tam wściekać sam w piwnicy.

– Puchaczka powiada, że dla rozrywki poluje na szczury.

– Popatrz no, Mikołaju – rzekła Tykwa, wskazując na zabite okno – i ten także musiał sobie dobrze krwi napsuć.

– Ba, pewno śpi, dziś już wcale nie słyhać hałasów. Pies nawet nie szczeka.

– Może go zadusił i zjadł. Od dwóch dni nie mają ani jedzenia, ani picia.

– Dziś rano matka spotkała w Asnières rybaka Ferot i kiedy ten się dziwił, że od dwóch dni nie widział swego przyjaciela Martiala, powiedziała, że Martial nie wstaje z łóżka, bo ciężko chory. Ferot uwierzył, powie innym, a gdy się to... stanie, nikt nie będzie się dziwił.

– Drzwi mocne, a on ma ręce pokaleczone. Inaczej gotów by przedziurawić podłogę.

– A belki? Nie bój się, nie ucieknie, okiennice obite blachą i opatrzone sztabami, drzwi zabite gwoździami. To mocniejsza trumna niż z dębu i ołowiu.

– A jeżeli Wilczyca przyjdzie tu do niego z więzienia?

– No to jej powiemy: „szukaj go sobie”.

W tej chwili w domu daty się słyszeć krzyki i płacze. Drzwi, dotąd otwarte, zamknęły się gwałtownie. Po chwili blada twarz matki Martialów ukazała się w zakratowanym oknie kuchni. Długą, chudą ręką wdowa skinęła na dzieci, żeby przyszły do niej.

– Znowu tam jakaś bijatyka. Na pewno Franek coś przeszkrobał – rzekł Mikołaj. – Łajdak z tego Martiala! Gdyby nie on, z Franka byłby najlepszy chłopak. Nie odchodź stąd Tykwo, a jak zobaczysz kobiety, to zaraz mnie zawołaj.

Mikołaj wszedł do domu. Na środku kuchni klęczała Amandyna, z płaczem błagając o przebaczenie dla Franciszka. Ten zaś, rozgniewany, stał w kącie z toporkiem w ręku wydawało się, że tym razem gotów stawiać rozpaczliwy opór. Wdowa, spokojna i milcząca jak zawsze, wskazała Mikołajowi otwarte drzwi piwnicy i dała znak, żeby tam zamknął Franciszka.

– Nie zamkniecie mnie tam – zawołał chłopak, a oczy iskrzyły mu się jak dzikiemu kotu. – Chcicie tam mnie z Amandyną zamorzyć głodem jak naszego brata Martiala.

– Mamo, na miłość boską, zostaw nas, jak wczoraj, w izbie na górze – błagała Amandyna, składając ręce.

Mikołaj, równie nikczemny jak okrutny, bał się toporka i nie śmiał się zbliżyć. Wdowa, rozgniewana wahaniem syna, popchnęła go za ramię ku Franciszkowi, lecz Mikołaj cofnął się, wołając:

– A co zrobię, jak mnie zrani? Wiesz przecież, matko, że za chwilę będę potrzebował rąk, a jeszcze czuję ból w ramieniu od uderzenia Martiala.

Wtem spostrzegł na stołku kołdrę. Chwycił ją, rozwinął i zręcznie zarzucił na głowę Franciszka mimo usiłowań nie mógł się z niej zaraz wydobyć i Mikołaj przy pomocy matki zaniósł go do piwnicy.

Amandyna ciągle klęczała na środku izby, lecz kiedy zobaczyła brata w piwnicy, wstała prędko i mimo strachu sama poszła za nim. Zamknięto za nią drzwi na dwa spusty.

– To wina Martiala, że dzieci nas nienawidzą! – zawołał Mikołaj.

– Od dziś rana nic już nie słyhać w jego pokoju – rzekła wdowa zamyślona i zadrżała – nic...

A po chwili milczenia, jakby chcąc odsunąć przykre myśli, zapytała nagle:

– Przychodziła tu Puchaczka, kiedy byłem w Asnières?

– A była, była.

– I czemu nie została, żeby razem z nami iść do Czerwonego Janka? Nie bardzo jej ufam.

– Ty matko nikomu nie ufasz; dziś Puchaczce, wczoraj Czerwonemu Jankowi. Puchaczka nie została, bo o drugiej ma się spotkać z tym panem w żałobie, tym, co jej kazał porwać dziewczynkę.

– Mikołaju – rozległo się wołanie – kobiety idą.

– Prędko, prędko, matko, bierz chustkę, przewiozę cię na brzeg.

Wdowa włożyła czarny czepek i chustkę, zamknęła kuchnię, schowała klucz za okiennicę i udała się za synem.

– Umówmy się, jak zrobimy – rzekł Mikołaj. – Ja wezmę kobietę z dziewczyną do mojego pudła z klapą, a ty Tykwo, popłyniesz w drugiej łodzi, tuż obok, tak żebym mógł wskoczyć do ciebie, kiedy otworzę klapę i moja zatonie.

W parę minut przybili do brzegu. Pani Seraphin i Gualeza już czekały. Kiedy Mikołaj przywiązywał łódź do brzegu, pani Seraphin zbliżyła się do niego i szepnęła mu pośpiesznie:

– Powiedz, że pani George na nas czeka. – Potem dodała głośno: – Czy nie spóźnimy się?

– O, pani George już parę razy pytała o panie.

– Widzisz, panienko, pani George na nas czeka – rzekła gospodyni, zwracając się do Gualezy, której serce ścisnęło się na widok ohydnych twarzy wdowy, Tykwy i Mikołaja. Uspokoiło ją jednak nazwisko pani George i odpowiedziała:

– Chciałabym ją zobaczyć jak najprędzej, ale chyba nie będziemy płynąć daleko?

– Jakże się dobra pani George ucieszy! – zawołała pani Seraphin. Potem, zwracając się do Mikołaja, dodała: – Przyciągnij łódkę do brzegu, żebyśmy mogły wejść – i dorzuciła szeptem: – Trzeba utopić dziewczynę. Jakby wypłynęła nad wodę, to zanurz ją znowu.

– Bądź pani spokojna, a sama nie bój się niczego: ja dam znak, pani mi poda rękę, a ona pójdzie na dno. – Potem z dziką obojętnością, nie wzruszony ani wdziękami, ani młodością Gualezy, podał jej rękę. Dziewczyna lekko wskoczyła do łódki.

– Proszę pani – rzekł z kolei Mikołaj do gospodyni notariusza i podał jej rękę. Lecz ta cofnęła się, mówiąc:

– Ja... lepiej pojedę łódką tej panny – i usiadła obok Tykwy.

– Ano, niech będzie – odpowiedział Mikołaj, spojrzawszy znacząco na Tykwę, i silnym uderzeniem wiosła odbił od lądu.

Za nim Tykwa również odepchnęła się od brzegu. Wdowa, obojętna jak zwykle, weszła do łódki Tykwy, ciągle wpatrując się w okno Martiala. Obie łódki z wolna oddalały się od brzegu.

XXVI

Wilczyca

W kilka minut po wyjściu Gualezy z więzienia Wilczyca również odzyskała wolność: wobec widocznej poprawy darowano jej kilka dni kary, jakie jej pozostały.

Po uwolnieniu Wilczyca myślała tylko o tym, żeby jak najprędzej zobaczyć Martiala. Od kilku dni nie miała o nim żadnej wiadomości. Spodziewając się znaleźć go na Wyspie Grabieżnika, pojechała fiakrem do mostu w Asnières i przebyła go na kwadrans wprzód, nim pani Seraphin i Gualeza, idące brzegiem, stanęły naprzeciw wyspy.

Zwykle, jeżeli Martial nie zawoził jej sam na wyspę, brała łódkę od starego rybaka Ferot.

Poszła więc do domu rybaka: naprawiał sieci przed domem. Zobaczywszy go, już z daleka zawołała:

– Łódki, łódki, ojciec Ferot, tylko prędko!

– Dziś niepodobna; mój syn popłynął do Saint-Quen. Na całym brzegu nie znajdziesz łódki.

– A gdzie Martial? Gadaj prędko!

– Poczekaj chwilę. Otóż spotkałem się z jego matką oko w oko, tak blisko, że nie śmiałem od niej uciec, i powiadam do niej: „Już dwa dni nie widziałem Martiala. Czy poszedł do miasta?” Spojrzała na mnie takimi oczami, ależ to oczy, jakby mnie chciała nimi przeszyć.

– Co dalej? Co dalej?

Ferot rzekł po chwili milczenia:

– Słuchaj, jesteś dobra dziewczyna, jeżeli mi przyrzekniesz trzymać język za zębami, wszystko ci powiem, co wiem.

– O Martialu? Mów, na litość!

– Co za dziewczyna! Jaka gorączka! No więc słuchaj; najprzód trzeba ci wiedzieć, że Martial coraz bardziej się gryzie ze swoim rodzeństwem i gdyby mu zrobili co złego, wcale bym się nie dziwił. Dziś rano spotkałem matkę, mówię do niej: „Już od dwóch dni nie widać waszego syna. Łódka jest uwiązana. Co to? Poszedł do miasta?” Na to ona patrzy na mnie ponuro i mówi: „Chory, leży w domu. Nie wiadomo, czy wyjdzie z tej choroby”. Myślę sobie: „Czy to możliwe? Przed trzema dniami...” A to co? – zawołał nagle Ferot. – Gdzie idziesz? Gdzie ta dziewczyna leci?

Wilczyca, słysząc, że życie Martiala jest w niebezpieczeństwie, przejęta trwogą i gniewem, nie słuchała dalej starego i pobiegła wzdłuż brzegu Sekwany.

Dom doktora Griffon, gdzie czasowo mieszkał stary hrabia Saint-Remy, znajdował się nad brzegiem, blisko drogi, którą przebiegła Wilczyca. Hrabia i doktor Griffon rozmawiali przed domem. Uderzeni wyrazem rozpacz, malującym się na jej twarzy, poszli za nią.

Zadyszana, zaczerwieniona, rozgorączkowana, stanęła nad wodą naprzeciwko wyspy. Przez nagie gałęzie wierzb i topoli ujrzała dach domu, gdzie może konał Martial. Na ten widok z dzikim jękiem zerwała z siebie chustkę, czepek, suknię i tylko w spódnicy wskoczyła do wody. Szła póki mogła, a potem zaczęła płynąć ku wyspie.

Wtem z drugiej strony rozległ się krzyk.

Wilczyca zatrzymała się z drżeniem; utrzymując się jedną ręką na wodzie, drugą odrzuciła w tył gęste włosy i słuchała. Znowu krzyk, ale słabszy, błagalny, konwulsyjny, konał na wodzie i wszystko ucichło.

– To on! – zawołała Wilczyca, rzucając się naprzód, i płynęła dalej z największym wysiłkiem. Zdawało jej się, że poznaje głos Martiala.

Hrabia i doktor, obok których przebiegła, nie mogli jej dogonić i powstrzymać od rzucenia się do wody. Widząc, jak walczy z prądem, zawołali:

– Nieszczęśliwa, utonie!

Lecz na próżno się obawiali. Wilczyca płynęła jak wydra i po chwili zbliżyła się do wyspy. Już chwyciła za pal od tamy, aby wydobyć się z wody, kiedy zauważyła płynące z prądem ciało młodej dziewczyny ubranej po wiejsku. Wilczyca, jedną ręką trzymając się pala, drugą uchwyciła tonącą za suknię, przyciągnęła do siebie, a obdarzona niezwykłą zręcznością i siłą, podniosła Gualezę, której jeszcze nie poznała, wzięta ją na ręce jak dziecko i wyszedłszy z wody, złożyła na trawie.

– Odwagi! Odwagi! – wołali pan de Saint-Remy i doktor Griffon. – Zaraz przejdziemy most w Asnières i przybędziemy ci na pomoc!

I obaj pobiegli ku mostowi.

Słowa te nie doszły do uszu Wilczycy.

Musimy tu powtórzyć, że z prawego brzegu, gdzie znajdował się Mikołaj, Tykwa i wdowa, nie można było widzieć, co się dzieje po drugiej stronie rzeki.

Kiedy więc Wilczyca pociągnęła ku sobie Gualezę, mordercy, nie widząc już ciała dziewczyny, mniemali, że pochłonęły je fale. W kilka minut potem prąd uniósł drugiego trupa, którego Wilczyca nie spostrzegła: ciało gospodyni notariusza, w którym zgasła ostatnia iskra życia.

Mikołajowi i Tykwie zależało nie mniej niż Jakubowi Ferrand na pozbyciu się świadka i współniczki ich zbrodni; kiedy więc łódka z klapą zanurzyła się wraz z Gualezą, Mikołaj skoczył do łodzi siostry i zachwiał nią gwałtownie. Pani Seraphin straciła na chwilę równowagę, bandyta strącił ją w wodę i dobił bosakiem.

Zadyszana, zmęczona. Wilczyca klęczała obok Gualezy i starała się rozpoznać jej rysy; poznając towarzyszkę więzienia, osłupiała.

– Gualeza! – krzyknęła. – Co za przypadek! Przychodziłam powiedzieć Martialowi, ile mi zrobiła złego i dobrego przez swoje słowa i obietnice, a znajduję ją tu umarłą! Nie, nie – zawołała, nachylając się do jej ust – nie! Jeszcze oddycha.

Podniosła się, wzięła Gualezę na ręce i z tym lekkim ciężarem pobiegła do domu, nie wątpiąc, że wdowa i jej córka, jakkolwiek złe i nieludzkie, nie odmówią żądanej pomocy.

Kiedy przybyła na najwyższy punkt wyspy, skąd można było widzieć oba brzegi Sekwany, Mikołaj, wdowa, i Tykwa już się oddalili... Pewni, że podwójne morderstwo zostało dokonane, spieszyli do Czerwonego Janka.

W tej samej chwili człowiek, który ukryty przy brzegu obserwował tę okropną scenę, oddalił się spiesznie, przekonany, że zabójstwo zostało spełnione. Był to Jakub Ferrand.

Jedna z łódek Mikołaja przywiązana była u brzegu w miejscu, skąd odpłynęły pani Seraphin i Gualezę.

W tej właśnie chwili Saint-Remy i doktor Griffon przechodzili przez most w Asnières i spieszyli ku łódce.

Tymczasem Wilczyca z nie małym zdumieniem zastała dom Martialów zamknięty. Położyła nieprzytomną Gualezę w altanie i zbliżyła się do domu. Znała okno Martiala. Widząc okiennice obite blachą, zamknięte i przymocowane dwoma żelaznymi sztabami, odgadła część prawdy. Jęknęła głucho i z całych sił krzyknęła:

– Martial! Martial!

Nikt nie odpowiedział. Przestraszona tym milczeniem, chodziła wokół domu jak dziki zwierz, co szuka wejścia do jamy. Od czasu do czasu krzyczała;

– Martial! Gdzie jesteś?

I z wściekłością potrząsała kraty okna od kuchni, uderzała w mur pięściami, waliła w drzwi. Wtem z domu dał się słyszeć jakiś głos. Zadrzała i nadstawiła uszu. Odgłos zamilkł.

– Usłyszałam mnie, muszę wejść, choćbym miała przegryźć drzwi zębami. – I znowu zaczęła nawoływać.

Wtem, gdy szarpała okiennicę, wypadł, schowany tam przez wdowę, klucz od domu. Otworzyła drzwi i weszła do kuchni.

Wtedy usłyszała krzyk dwojga dzieci zamkniętych w piwnicy.

Stara Martialowa, przekonana, że w czasie jej nieobecności nikt nie przyjdzie, zostawiła klucz od piwnicy we drzwiach.

Gdy Wilczyca otworzyła, dzieci wybiegły.

– Wilczyco, ratuj Martiala! – wołał Franciszek. – Chcieli go zabić. Już dwa dni trzymają go w zamknięciu.

Wilczyca chwyciła siekiere, żeby wyłamać drzwi od pokoju Martiala, a wbiegając na schody, zawołała jeszcze do dzieci:

– Idźcie po tę dziewczynę do altany i połóżcie ją przy ogniu!

W mgnieniu oka była u drzwi Martiala.

– Jestem tu! – krzyknęła. – To ja, twoja Wilczyca! – I podnosząc żelazo, mocnym uderzeniem wstrząsnęła drzwiami.

– Drzwi zabite gwoździami z tamtej strony, powyrywaj gwoździe – odpowiedział słaby głos Martiala.

Natychmiast rzuciła się na kolana i ostrzem młota wydarła z podłogi kilka ćwieków.

Nareszcie drzwi się otworzyły. Martial – blady, z zakrwawionymi rękami – padł prawie bez tchu w objęcia Wilczycy.

– Nareszcie cię widzę, trzymam cię, jesteś mój! – wołała Wilczyca, obejmując Martiala. Później, podtrzymując go, niosąc prawie, pomogła mu wyjść na korytarz. Przez kilka chwil siedział słaby i otepiały. Wilczyca przybyła mu na ratunek w chwili, gdy czuł, że już umiera, nie tyle z głodu co z braku powietrza, które nie mogło się odświeżyć w małej izdebce bez komina, niemal hermetycznie zamkniętej. Wreszcie westchnął i otworzył oczy.

– Martialu, to ja, twoja Wilczyca! Jak ci jest?

– Och, oddycham, oddycham wreszcie. Dusilem się...

– Ale twoje ręce! Twoje biedne ręce! Jakie pokaleczone! Kto ci je tak pociął?

– Mikołaj i Tykwa bali się otwarcie zmierzyć ze mną, zamknęli mnie w tej izbie, żeby mnie zamorzyć głodem. Chciałem przeszkodzić, nie dawałem zabić okiennic. Wtedy Tykwa pocięła mi ręce toporkiem.

– O, potwory!

– Ale co się tobie stało? Cała jesteś mokra!

– Wiedziałam, że jesteś w niebezpieczeństwie. Nie znalazłam łódki...

– I przepłynęłaś rzekę? – zawołał Martial z podziwem. – O, moja dzielna dziewczyno! Ale teraz ci zimno, trzęsiesz się cała. Wejdz tam, weź płaszcz Tykwy i okryj się, idź zaraz.

W mgnieniu oka Wilczyca wróciła okryta płaszczem.

– Dla mnie narażałaś się na śmierć, mogłaś utonąć! – mówił Martial, patrząc na nią z miłością.

– Przeciwnie, nie tylko nie utonęłam, ale jeszcze wyratowałam dziewczynę, która tonęła.

– I ją także ocaliłaś? Gdzie jest?

– Na dole z dziećmi. O Boże, gdybyś wiedział, co za szczęśliwy traf! Siedziała ze mną w więzieniu Świętego Łazarza.

– Ach – zawołał Martial, zrywając się nagle – a my zapomnieliśmy o niej! Może umiera!

– Uspokój się, Franciszek i Amandyna są przy niej.

Po chwili Martial, wsparty na ramieniu Wilczycy, szedł pospiesznie.

Franciszek z Amandyną przenieśli Marię do kuchni i położyli przed ogniem, kiedy stary hrabia Saint-Remy z doktorem Griffonem łódką Mikołaja przyплыли na wyspę. Dzieci podsycały ogień na kominie i doktor natychmiast zajął się ratowaniem młodej dziewczyny.

– Czy jest nadzieja? – zapytał hrabia.

– Ręce i nogi zimne – odpowiedział doktor – bardzo wątpię.

– Ach! – zawołał hrabia. – Umrzeć tak młodo!

W tej chwili wszedł Martial, oparty na ramieniu Wilczyca. Widząc jego bladość i pokrwawione ręce, hrabia zawołał:

– Kto to jest?

– Mój mąż – odpowiedziała Wilczyca, patrząc na Martiala z wyrazem dumy i szczęścia nie do opisania.

– Mój panie, masz dobrą i dzielną żonę – rzekł hrabia – widziałem, jak z rzadką odwagą ratowała tę dziewczynę.

– O, tak, panie hrabio, on jest dobra i odważna – odparł Martial z tkliwym uniesieniem – tak, odważna, bo i mnie również ocaliła życie.

– Tobie? – rzekł hrabia zdziwiony.

– Patrz pan na jego ręce – przerwała Wilczyca, ocierając łzy.

– Ach, to okropne! Nieszczęśliwy ma całe ręce posiekane! – zawołał hrabia. – Zobacz no, doktorze.

– Nic strasznego, żadne ścięgno nie jest naruszone, za tydzień będzie zdrow – rzekł doktor po zbadaniu.

– A Guleza, panie? Chyba nie umrze? – spytała Wilczyca. – O, żeby tylko nie umarła! Tyle jej zawdzięczam. – A zwracając się do Martiala, dodała: – Biedna dziewczyna! To właśnie ona, widzisz? Panie doktorze, ona nie umrze, prawda?

– Nie wiem – odpowiedział Griffon – ale powiedz mi najpierw, czy może tu zostać. Będzie tu miała dobrą opiekę?

– Tu! – zawołał Wilczyca. – Tu ją zabiją!

– Cicho, nic nie mów – rzekł Martial półgłosem.

Hrabia i doktor spojrzeli zdziwieni na Wilczycę; Martial po namyśle rzekł ponuro:

– Dziewczyna nie może pozostać w tym domu, ja sam tu nie zostanę. Ani moja żona, ani te dzieci.

W pół godziny potem Maria, która jeszcze nie wróciła do przytomności, znajdowała się już w domu doktora pod macierzyńską opieką ogrodniczki i Wilczyca. Doktor obiecał przyjechać jeszcze raz wieczorem, żeby ją odwiedzić. Martial z Franciszkiem i Amandyna poszli do Paryża.

Wilczyca została, postanowiwszy nie odstępować Marii, póki ta nie wyjdzie z niebezpieczeństwa.

Wyspa Grabieżnika opustoszała.

XXVII

Portret

Tomasz Seyton, brat hrabiny Sary Mac-Gregor, przechadzał się w niecierpliwym oczekiwaniu po bulwarze blisko obserwatorium, gdy spostrzegł nadchodzącą Puchaczkę. Baba wystroiła się na tę okazję w wielki, biały czepek i kraciastą, czerwoną chustkę; w ręku miała duży koszyk, z którego wystawał koniec sztyletu. Podeszedłszy do staruchy, Tom Seyton rzekł:

– Chodźmy. – Po czym zaprowadził ją na pustą uliczkę i otworzył furtkę do ogrodu.

– Poczekaj tu – rozkazał. I znikł.

– Byleby mnie tylko nie trzymał długo – mówiła Puchaczka do siebie – muszę być o piątej u Czerwonego Janka, żeby wyekspediować maklerkę diamentów. Ale zobaczymy, jak się tam ma mój filucik – dodała, przypomniawszy sobie sztylet. A widząc, że żelazo przebiło ściankę kosza, zawołała ze śmiechem: – O, hultaj! Wytknął nos na ulicę; tak to zawsze bywa, kiedy mu nie włożę kagańca. – I wyjąwszy sztylet z worka, zatknęła korek na końcu, po czym schowała go znowu.

– Dziś interesa idą nie tak jak przed paroma dniami, kiedy mi się zdawało, że będę mogła obedrzeć tego rozbójnika notariusza. Ale cicho, ktoś idzie. O, przecież to ta dama, co przyszła kiedyś do szynku, przebrana za mężczyznę. Była z tym jegomościem, co mi tu kazał czekać – dodała Puchaczka, widząc zbliżającą się Sarę. – Znowu czegoś od nas potrzebuje, bo podobno to na jej żądanie porwaliśmy Gualezę z folwarku. Jak dobrze zapłaci, to zawsze zrobię, co każe.

Sara musiała sama rozmówić się z Puchaczką. Tom Seyton, który do tej pory pomagał wszystkim knowaniom siostry, oświadczył jej, że nie chce się do niczego mieszać, i ledwie na nim wymogła, że sprowadził tu Puchaczkę.

Sarze nie udało się odzyskać Rudolfa za pomocą intryg, którymi chciała go usunąć od drogich mu osób. Spodziewała się więc oszukać go i niegodnym podstępem ziścić marzenia swojego życia. Szło o to, żeby przekonać Księcia, że dziecko jego i Sary nie umarło, i podstawić jakąś sierotę na miejsce zmarłej córeczki. Wiadomo, że Jakub Ferrand, stanowczo odmówiwszy Sarze pomocy w jej planach, postanowił pozbyć się Marii.

Po chwili milczenia Sara odezwała się do Puchaczki:

– Jesteś zręczna, odważna i umiesz milczeć?

– Zręczna jak małpa, odważna jak pies i umiem milczeć jak ryba, do usług pani. Aby tylko znalazły się pieniądze.

– Trzeba by mi znaleźć jakąś sierotę, co straciła rodziców w młodym wieku. Musi być ładna, miła i mieć najwyżej siedemnaście lat.

Puchaczką ze zdziwieniem spojrzała na Sarę.

– Ale za pozwoleniem pani, dlaczegoż by nie wziąć Gualezy? Tej, cośmy ją porwali z folwarku Bouqueval?

– Ależ nie o nią teraz idzie, powiadam!

– Wysłuchaj mnie, pani, a nade wszystko wynagrodź za dobrą radę: szukasz sieroty pokornej jak owca, ładnej jak aniołek, co by nie miała siedemnastu lat, prawda? No to weź Gualezę, jak wyjdzie od Świętego Łazarza! Ona akurat będzie pasować: miała około sześciu lat, kiedy niegodziwiec Jakub Ferrand oddał ją mnie, zapłaciwszy tysiąc franków, żeby się jej pozbyć.

Przyprowadził mi ją Tournemine, co teraz jest na galerach, i powiedział, że to pewnie jakie dziecko, którego chcą się pozbyć...

– Jakub Ferrand! – krzyknęła Sara głosem tak zmienionym, że Puchaczka cofnęła się przerażona. – Powiadasz, że notariusz Jakub Ferrand oddał ci to dziecko? – Nie mogła dokończyć. Wzruszenie było zbyt gwałtowne; ręce jej drżały konwulsyjnie; zdziwienie i radość zmieniły jej twarz nie do poznania.

– Nie wiem, co tu tak panią dziwi – rzekła baba – to przecież zupełnie jasne. Dziesięć lat temu Tournemine, dawny znajomy, powiedział mi: „Zarobisz tysiąc franków, a z dzieckiem rób, co ci się podoba”.

– Dziesięć lat temu?! – zawołała Sara – Dziewczynka miała jasne włosy i niebieskie oczy?

– Niebieskie jak bławatki. To ją właśnie wywieźliśmy do Świętego Łazarza. Przyznam się, że wcale nie myślałam, że ją znajdę na wsi, tę złodziejkę Marysię.

– O Boże! Wielki Boże! – zawołała Sara, padając na kolana i wznosząc ku niebu ręce i oczy. – Twoje drogi są niezbadane, korzę się przed Tobą! O, gdyby takie szczęście mogło mnie spotkać. Nie, nie chce mi się wierzyć! – I wstając nagle, rzekła do zdziwionej Puchaczki:

– Chodź ze mną!

Weszły do wytwornie umeblowanego gabinetu. Sara zadzwoniła.

– Nie ma mnie w domu dla nikogo i niech nikt mi tu nie wchodzi. Słyszysz? Nikt – rzekła, gdy wszedł służący.

Lokaj odszedł. Sara pobiegła do biurka, wyjęła z niego hebanową szkatułkę i stawiając na stole, dała znak babie, by się zbliżyła.

Szkatułka zawierała kilka pudełek z klejnotami, a Sara tak niecierpliwie czegoś w niej szukała, że wyrzuciła na stół kolie, bransolety, diamenty. Oczy Puchaczki zaiskrzyły się chciwością. Była uzbrojona, sam na sam z hrabiną. Ucieczka łatwa, zapewniona. Przyszła jej szatańska myśl. Już szykowała się do skoku, kiedy musiała się zatrzymać, hrabina bowiem, wydostawszy medalion ukryty w podwójnym dnie szkatułki, podała go Puchaczce drżącą ręką, mówiąc:

– Obejrzyj ten portret.

– To Maryśka! Maryśka złodziejka! Powiadam pani, że to Maryśka jak żywa – rzekła Puchaczka, starając się nieznacznie zbliżyć do hrabiny. – Teraz nawet jeszcze podobna do tego portretu. Gdybyś ją pani widziała, przekonałabyś się sama.

Sara nawet nie zadrżała na wieść o tym, że jej córka przeżyła dziesięć lat w nędzy i opuszczeniu; nie doznała wyrzutów sumienia, wspomniawszy, że sama wydarła ją ze spokojnego przytulku, gdzie umieścił ją Rudolf; nie pytała, jak żyło jej dziecko przez te dziesięć lat. Od dawna ambicja zagłuszyła w niej macierzyńskie uczucie. Była szalona z radości nie dlatego, że odzyskuje córkę, ale ponieważ widziała przed sobą urzeczywistnienie dumnych marzeń, za którymi goniła całe życie. Rudolf zajął się tą nieszczęśliwą dziewczyną, przytulił ją, nie wiedząc, kim jest. Cóż dopiero, gdy się dowie, że to jego własna córka! On był wolny, hrabina wdową!

Puchaczka, zbliżając się powoli, doszła wreszcie do rogu stołu: umieściła sztylet prostopa-dle w koszyku.

– Czy umiesz pisać? – spytała ją nagle Sara. I jedną ręką usuwając na bok szkatulę i klejnoty, drugą wysunęła pulpit, obity zielonym sukmem. Puchaczka umiała pisać, ale odpowiedziała:

– Nie pani, nie umiem.

– Więc ja napiszę, a ty mi podyktujesz. Opowiedz mi wszystkie okoliczności, jakie towarzyszyły opuszczeniu dziecka. – I siadając w fotelu przed biurkiem, dała babie znak, żeby się zbliżyła. Oko starej zbrodniarki zabłysło, nareszcie stała obok Sary, która schylona, zabierała się do pisania.

Hrabina zaczęła pisać: *Niniejszym zeznaję, że...* Lecz przerywając sobie i zwracając się do Puchaczki, która już ujęła rękojeść sztyletu, zapytała jeszcze: – Kiedy oddano ci dziecko?

– W lutym 1827 roku. Przyprowałził je Piotr Tournemine, ten, co teraz jest na galerach w Rochefort. A jemu oddała dziewczynę pani Seraphin, gospodyni notariusza Ferrand.

Hrabina pisała, czytając jednocześnie głośno:

Niniejszym zeznaję, że w miesiącu lutym 1827 roku człowiek nazwiskiem...

– Zapomniałam nazwisko tego człowieka, co ci powierzył dziecko – przerwała znowu.

– Piotr Tournemine – odparła Puchaczka.

– „Piotr Tournemine” – powtórzyła Sara pisząc.

Nie mogła dokończyć...

Puchaczka bowiem, wypuściwszy cicho koszyk z lewej ręki, rzuciła się na hrabinę równie szybko jak zajadle. Lewą ręką chwyciła ją za kark i przycisnęła jej twarz do stołu, a prawą wbiła sztylet między łopatki ofiary. Morderstwo zostało popełnione tak niespodziewanie, że hrabina nawet nie krzyknęła. Puchaczka zagarnęła czym prędzej klejnoty, wrzuciła je do koszyka i nie spostrzegłszy, że Sara jeszcze żyje, otworzyła drzwi, wybiegła do ogrodu i zniknęła przez furtkę prowadzącą na pustą uliczkę. Koło obserwatorium wsiadła do fiakra i pojechała na Pola Elizejskie.

XXVIII

Policjant

Czytelnik zna już szynk „Pod Krwawym Sercem”, w fosie na Polach Elizejskich. Mieszkańcy Wyspy Grabieżnika jeszcze tam nie przybyli.

Od czasu wyjazdu szarlatana Bradamanti z macochą pani d'Harville do Normandii Kulas wrócił do ojca. Teraz stał przed domem, żeby dać znać ojcu o nadejściu Martialów, bo Czerwony Janek miał właśnie poufną rozmowę z policjantem Narcyzem Borel, z którym zawarłszy krótką znajomość na początku tej powieści, kiedy w Cité, w szynku „Pod Białym Królikiem”, schwytał dwóch zbrodniarzy oskarżonych o zabójstwo.

Borel był mężczyzną lat około czterdziestu. Twarz miał gładko ogoloną, ponieważ często, chcąc schwytać przestępcę, musiał się przebierać.

Ten właśnie stróż porządku publicznego prowadził żywą rozmowę z Czerwonym Jankiem.

– Tak jest – mówił do szynkarza – mówią, że korzystasz z obu stron; dzielisz się kradzieżą z bandą niebezpiecznych łotrów i składasz o nich fałszywe zeznania w policji. Strzeż się, Janku; jak się to wyda, będziesz ukarany bez żadnej litości.

– Wiem, niestety, że mnie o to oskarżają, i to mnie boli – odpowiedział szynkarz, udając zmartwienie. – Ale spodziewam się, że dziś przecie oddadzą mi sprawiedliwość i poznają się na mojej dobrej i szczerzej chęci.

– Zobaczymy! Zobaczymy!

– Jakże można mi nie ufać? Kto, jak nie ja, naprowadził pana na Ambrożego Martiala, jednego z najniebezpieczniejszych zbrodniarzy w Paryżu!

– Wszystko pięknie. Ale Ambroży był uprzedzony, że go mają schwytać, i gdybym nie przyszedł wcześniej, niż mi powiedziałeś, umknąłby.

– Panie Borel, może pan sądzi, że to ja go uprzedziłem?

– Wiem tyle, że bandyta strzelił do mnie z pistoletu, ale na szczęście zranił mi tylko rękę.

– Cóż zrobić, panie Borel! Nieporozumienie!

– Ba! Nazywasz to nieporozumieniem?

– Nie inaczej, bo łotr chciał zapewne trafić w głowę.

– Czy w rękę, czy w głowę, nie o to mi idzie, każdy zawód ma swoje złe strony.

– A te przyjemne strony, panie Borel? Ta rozkosz na przykład, kiedy ktoś taki zręczny, odważny jak pan śledzi od dawna bandę zbrodniarzy i przy pomocy unizonego sługi Czerwonego Janka zwabi ich w pułapkę, skąd żaden nie umknie. A przy tym jest niemała zasługa dla kraju – dodał szynkarz z powagą.

– Gadaj, co chcesz, Janku. Co dzień obiecujesz naprowadzić nas na bandę i nigdy nie dotrzymujesz obietnicy.

– A jeżeli dziś dotrzymam, jeżeli dziś pomogę panu złapać Barbillona, Mikołaja, jego matkę i siostrę, i Puchaczkę? Jeszcze nie będzie mi pan wierzył?

– Niezawodnie. Ale to na pewno nie ty ich namawiałeś do dzisiejszej zbrodni?

– Nie, na honor! Puchaczka sama wpadła na pomysł, żeby zwabić tu maklerkę Mathieu. Bo dowiedziała się od mego syna, że Morel, szlifierz z ulicy Temple, obrabia dla niej prawdziwe kamienie, a nie fałszywe, i że pani Mathieu ma często przy sobie brylanty na znaczne sumy. Zgodziłem się na to pod warunkiem, że do interesu dopuści Martialów i Barbillona, żeby wydać panu całą bandę od razu.

- A Bakalarz, ten niebezpieczny zbrodniarz, tak silny i dziki, co zawsze trzymał się z Puchaczką? Nie masz żadnych wiadomości o nim?
 - Bakalarz? – rzekł Czerwony Janek, udając zdziwienie. – Nie, nic o nim nie wiem. Hultaj miał swoje powody, kłamiąc: Bakalarz był zamknięty u niego w piwnicy.
 - Zarzucają ci, żeś zatarł jego ślad.
 - Zawsze wyrzuty, same wyrzuty, panie Borel.
 - To jeszcze nie wszystko: powiadają, że na ulicy Temple, pod numerem 17, mieszka jakaś Burette, co pożyczka na zastaw i przechowuje to, co ty ukradniesz.
 - I cóż ja zrobię? Czy ja ludziom gęby zawiążę? Ale radzę teraz panu pośpieszyć się i przygotować wszystko: oni na pewno za chwilę tu będą.
 - Dobrze, idę rozstawić moich ludzi. Tylko pamiętaj, żeby dziś znowu nie spęzło na niczym.
- Tu gwizdanie, umówiony znak, przerwało rozmowę. Czerwony Janek zbliżył się do okna.
- Patrz pan, idzie Puchaczka. Czy teraz będzie mi pan wierzył?
 - To już coś jest, ale jeszcze nie wszystko, zobaczymy.
- I Borel wyszedł bocznymi drzwiami.

XXIX

Puchaczka

Pośpieszna ucieczka i świeżo popełnione morderstwo zaczerwieńczyły ohydny gębę Puchaczki. Jej zielone oko błyszczało dziką radością. Kulas, podrygując, szedł za nią. W chwili gdy Puchaczka zstępowała z ostatnich schodów, Kulas przez złośliwy figiel nastąpił jej na suknię; baba potknęła się i nie mogąc utrzymać poręczy, upadła na kolana. Upuściła przy tym koszyk, z którego wypadła bransoletka, wysadzana szmaragdami i perłami.

Puchaczka schwyliła prędko klejnot, który jednak nie uszedł bystrym oczom Kulasa. Zerwała się i rzuciła na chłopca, ten zaś z udaną troskliwością zbliżał się do niej, mówiąc:

– O mój Boże, czy ci się powinęła noga?

Zamiast odpowiedzi chwyciła go za włosy i ugryzła do krwi w policzek. Kulas mimo bólu i wściekłości nie skarżył się, nie krzyczał, otarł twarz z krwi i rzekł z przymuszonym uśmiechem:

– Na drugi raz wolę, żebyś mnie tak mocno nie całowała.

– Niegodziwcze, umyślnie mi nastąpiłeś na suknię, żebym upadła! – krzyknęła Puchaczka.

– Ja? Broń Boże! Przysięgam, że nie zrobiłem tego umyślnie, moja ciociu Puchaczko.

Puchaczka uwierzyła mu i rzekła:

– No, słuchaj, choć cię teraz niesłusznie ugryzłam, niechaj to się policzy za inne sprawy, kiedy zasłużyłeś na karę. Co tam! Dziś nie umiem się gniewać! Gdzie twój ojciec?

– W domu. Mam iść po niego?

– Nie trzeba. Martialowie już przyszli?

– Nie, jeszcze nie.

– Więc mogę teraz zajrzeć do Bakalarza.

– Idziesz do piwnicy do Bakalarza? – zapytał Kulas, z trudem kryjąc diabelską uciechę. – Powinna byś mu zanieść talię kart, żeby się miał czym zabawić, teraz gra tylko w gryzionego ze szczurami, ale zawsze przegrywa, a to w końcu się znudzi.

– Co za kochane dziecko! Nie znam większego łotra od ciebie. Idź po świecę, pójdiesz ze mną do piwnicy.

– Nie pójdę, w piwnicy strasznie ciemno – odpowiedział Kulas, potrząsając głową.

– Jak to? Taki diabeł jak ty boi się ciemności? Nie wierzę. No, ruszaj i powiedz ojcu, że niedługo wrócę i że idę do Bakalarza pomówić z nim o zapowiedziach.

Kulas zniknął. Puchaczka niecierpliwie czekała jego powrotu. Tym razem spieszyła się do piwnicy, żeby tam schować owoc ostatniej zbrodni, nie zaś, żeby jak zwykle, napawać się męczarniami Bakalarza.

Kulas wrócił ze świecą. Baba udała się za nim do pokoju, z którego wchodziło się do znanej nam już piwnicy. Chłopak, zasłaniając świecę ręką, zszedł po kamiennych schodkach do podziemia, w którego kącie znajdowały się drzwi do lochu, co o mało nie stał się grobem Rudolfa. Błade, chwiejne światło świecy rysowało na popękanej, zielonkawej, mokrej ścianie ciemnego korytarza ohydny profil dziecka.

Puchaczka przy pomocy Kulasa z trudnością otworzyła ciężkie drzwi. Wilgotne powietrze uderzyło z czarnej jak noc jamy. Świeca, postawiona na ziemi, rozjaśniła nieco pierwsze stopnie kamiennych schodów, dalsze zupełnie ginęły w cieniu. Z głębi piwnicy dał się słyszeć krzyk albo raczej dziki ryk.

– Jeść mi się chce – zawołał Bakałarz drżącym z wściekłości głosem. – Chcecie mnie zamorzyć głodem?!

– Głodny jesteś, staruszkule? – odparła Puchaczka ze śmiechem. – To ssij łapę jak niedźwiedź. – I zeszła na dół, chcąc ukryć koszyk w jakiejś rozpadlinie. – No, czemu się szamoczesz? – mówiła dalej. – Siedź spokojnie, łańcuch mocny, kupiony u ojca Micou, a on tylko solidny towar sprzedaje. To twoja wina; po co dałeś się związać we śnie? Potem zostało nam już tylko okuć cię i tu zanieść. Umieszczono cię w chłodzie, żebyś nic nie opalił, mój stary fircyku!

– Szkoda, on tu spleśnieje! – dodał Kulas.

– A to czemu przyszło ci do głowy udawać poczciwego, kiedy wracaliśmy z Bouqueval? – mówiła dalej Puchaczka. – Nie dałeś mi pomalować Maryśce twarzy witriolem? Sumienie ci zdelikatniało, co?

– To niech ślepy zjada ciebie, Puchaczko, bo głodny! – wrzasnął Kulas i popchnął ją z całym siłą. Miotając przekleństwa, stoczyła się po kamiennych schodach.

– Tu, tu, tu, łap ją, stary! – wołał Kulas. Złapał koszyk Puchaczki i uciekł z nim na górę, krzyząc ze śmiechem: – A co? Lepiej cię teraz pchnąłem, Puchaczko? Już mnie nie będziesz gryźć. Myślałaś, że ci daruję? Jeszcze czego! Krew mi jeszcze leci!

– Mam ją, mam – wołał Bakałarz z nieludzką radością. – Kulasie, daruję ci wszystko, coś mi zrobił, a w nagrodę usłyszysz, jak śpiewa Puchaczka!

– Świetnie, siedzę właśnie w łoży pierwszego piętra – odpowiedział Kulas, siadając na schodach.

Walka Bakałarza i Puchaczki była zawzięta, wściekła, lecz cicha, bez słów, bez krzyku. Tylko czasem słyhać było ciężkie, głośnie westchnienie, towarzyszące gwałtownym zmaganiom. Kulas zaczął tupać nogami i krzyczeć, jak to robi publiczność z galerii bulwarowych teatrów, kiedy się niecierpliwi.

– Hej, tam! Podnieść kurtynę! Muzyka, zaczynajcie!

– Trzymam cię dobrze – mówił stłumionym głosem Bakałarz, lecz przerwało mu rozpaczliwe szamotanie Puchaczki; biła się z energią, jaką daje śmiertelny strach.

– Głośnie! Nic nie słyhać! – wołał Kulas.

– Kulas, idź po ojca, dam ci koszyk brylantów!

– Co za wspaniałość! Dziękuję pani. Koszyk już u mnie, słyszysz, jak pięknie dzwoni?

– Zlituj się nade mną! – Puchaczka nie mogła dokończyć.

– Teraz tu, Puchaczko, nie będziesz mi krzyczeć nad uszami – rzekł po chwili Bakałarz, zatkawszy jej usta.

– Tylko nie rób głupstw, stary! – krzyknął Kulas, podnosząc się. – Ukarz ją, ale nie rób jej nic złego. Nie chcę, żebyś mi zabił moją Puchaczkę. Jak jej co zrobisz, to pójde po ojca.

– Nie bój się, nic jej nie będzie, dostanie tylko to, na co zasłużyła – odpowiedział Bakałarz.

– Pomówmy z sobą, Puchaczko – podjął po chwili znowu. – Od czasu, jak miałem sen w Bouqueval, sen, w którym widziałem wszystkie nasze zbrodnie!... Pewno oszaleję od tego, bo tu w samotności ciągle muszę o tym myśleć... Od tego czasu mówię, coś się we mnie zmieniło. Już mi to przepowiedział ten człowiek, co mnie ukarał. Wtrąciłem go tutaj, żeby go zabić, a teraz tu ponoszę karę, tu może będzie mój grób! Wszystkie jego przepowiednie się sprawdziły. Powiedział mi: „nadużyłeś swej siły, – będziesz za to igraszką słabszych od ciebie”.

– Brawo! Dobrze gra stary! – wołał Kulas, klaszcząc. – Ale słuchaj, ślepakule, to wszystko tylko na niby. No, Puchaczko! śmiało! Odpowiadaj!

– Na próżno się rzucasz, próżno mnie gryziesz – podjął Bakałarz – nie wymkniesz się. A czy wiesz, że ja czasem płacę?

– Głośnie! Nic nie słyhać! – krzyknął Kulas.

– Tak jest – rzekł znowu Bakałarz – płacząc, bo cierpię, a mój gniew jest bezsilny. Mówię sobie: „Gdybym pozostał uczciwym człowiekiem, dziś byłbym wolny, spokojny, szczęśliwy, tak zaś jestem ślepy, zamknięty w podziemiu, na łasce współników moich zbrodni. A choćbym i uciekł, gdzie pójdę? Co mi przyjdzie z wolności?” Nie! Muszę być na zawsze w ciemnościach, wśród cierpień, żalu i strasznych widziadeł. Braknie mi woli do ukarania ciebie. Nie, nie ja powinienem przelać twoją krew.

– Brawo, stary! Widzisz, Puchaczko, że to byt tylko żart! – krzyczał Kulas i klaskał w ręce.

Gdy to mówił. Bakałarz, nie myśląc, co czyni, rozluźnił trochę uścisk. Puchaczka skorzystała z tego, wyjęła z sukni sztylet i silnym uderzeniem chciała się uwolnić zupełnie.

Bandyta krzyknął boleśnie.

– Ha! Żmijo! Poczulem twoje żądło! – zawołał z gniewem i silniej ujął Puchaczkę. – Zgniotę cię, ty gadzino, oślepię cię. Będziesz tak jak ja, bez oczu!

Bakałarz umilkł. Puchaczka krzyknęła nagle tak strasznie, że Kulas aż podskoczył z miejsca, a krzyk ten powiększył szaleństwo Bakałarza.

– Śpiewaj – mówił cicho – śpiewaj, Puchaczko! Śpiewaj pieśń śmierci. – Przy tych słowach Bakałarz stracił resztę przytomności.

Coś okropnego działo się w ciemnościach podziemia!

Słychać było tylko mocne uderzenia o kamień, a za każdym ciosem przenikliwe skargi i piekielny śmiech. Nareszcie wszystko ucichło.

Wtem odgłos kroków i wołania doszły do podziemia. Jasne światło zabłysło na schodach piwnicy.

Kulas, przerażony okropną sceną, której, nie widząc, był świadkiem, spostrzegł kilka osób schodzących szybko po schodkach. To Borel z policjantami i strażą wszedł do piwnicy. Kulas ujęto na pierwszych stopniach schodów, jeszcze miał w ręku koszyk Puchaczki. Borel z kilku innymi wszedł do podziemia; wszyscy zatrzymali się, uderzeni okropnym widokiem. Bakałarz, przykuty za nogę do dużego kamienia pośrodku lochu, zeszpecony, potworny, ze zjeżonym włosom, okryty skrwawionymi łachmanami, szarpał jak dziki zwierz trupa Puchaczki. Ledwie zdołano mu wydrzeć martwe i zniekształcone zwłoki i samego związać po długim oporze. Następnie przenieśli go do izby szynkowej, obszernej sali z jednym oknem, gdzie – już ze skutymi rękami – znajdowali się: Barbillon, Mikołaj, jego matka i siostra. Ujęto ich w chwili, kiedy wprowadzali maklerkę Mathieu, żeby ją zamordować.

Bakałarz leżał na ziemi, dwóch ludzi ledwie mogło go utrzymać; lekko ranny w rękę przez Puchaczkę, lecz zupełnie pozbawiony zdrowych zmysłów, sapał, ryczał i rzucał się jak dziki zwierz.

Barbillon siedział na ławce z pochyloną głową; twarz mu zsiniała, usta zbladły, wpatrywał się dziko w jedno miejsce i ocierał kroplisty pot z bladego i zimnego czoła.

Przy nim siedziała Tykwa. Na jej chudych, żółtych policzkach, teraz nieco zaczerwienionych, widać było raczej gniew niż rozpacz; z pogardą patrzyła na siedzącego naprzeciw niej przestraszonego Mikołaja.

Ten bowiem, przewidując swój los, upadł zupełnie na duchu; opuścił głowę, kolana mu drżały, trząsał się cały.

Tylko wdowa, matka Martialów, stała oparta o mur i ona jedna nie straciła swej zimnej krwi. Jednak gdy zobaczyła Czerwonego Janka, którego po dokonaniu rewizji całego domu przyprowadzono do sali, rysy jej twarzy wykrzywiły się konwulsyjnie, zaciśnięte usta zsiniały, wyprężyla związane ręce. Lecz zaraz pokonała wzruszenie i znowu stała się zimna i obojętna.

Podczas gdy komisarz spisywał protokół. Narcyz Borel, zacierając ręce, spoglądał uradowany na swą zdobycz; uwolnił Paryż od bandy niebezpiecznych zbrodniarzy.

Czerwony Janek aż do wyroku miał dzielić więzienie i los zbrodniarzy, których wydał. Całował Kulasa, jakby szukając pociechy w synowskich pieścizotach.

– Co za nieszczęście! My to najnieszczęśliwsi, matko Martial, bo odrywają nas od dzieci.

Wdowa krzyknęła pogardliwie:

– Byłam pewna, żeś sprzedał mego syna z Tulonu... Judaszu!... A teraz sprzedajesz nasze głowy...

XXX

Nowa służąca notariusza

W kilka dni potem Rudolf udał się do domu przy ulicy Temple. Mówiliśmy już, że postanowiwszy walczyć z Jakubem Ferrand podstępem, Rudolf kazał z więzienia w Gerolstein sprowadzić do Paryża uroczą Cecylię, niegodną żonę Murzyna Dawida. Przewrotna ślicznotka znajdowała się w Paryżu już od dwudziestu czterech godzin i otrzymała od barona Grauna potrzebne instrukcje. Pani Pipelet, jak widzieliśmy z jej ostatniej rozmowy z Rudolfem, zręcznie namówiła panią Seraphin, aby poleciła notariuszowi Cecylię, co też gospodyni Jakuba Ferrand uczyniła tego samego dnia, w którym wybrała się z Gualezą na Wyspę Grabieżnika. Rudolf przychodził teraz dowiedzieć się, jak wypadło przedstawienie Kreolki notariuszowi. Niemało się zdziwił znajdując o jedenastej z rana pana Pipelet leżącego w łóżku, a Anastazję stojącą przy nim z flaszeczką lekarstwa w ręku.

Ujrzawszy Rudolfa, pani Pipelet swoim zwyczajem po żołniersku przyłożyła rękę do peruki na znak uszanowania.

– Ach, kwiecie lokatorów – zawołała stróżka – jestem w depresji, umieram! Okropne rzeczy dzieją się u nas w domu. Alfred od wczoraj leży chory.

– Cóż się stało?

– Wiecznie to samo. Potwór pastwi się nad Alfredem.

– Znowu Cabrion?

– Tak, ten hultaj zawsze dopatrzy pory, kiedy mnie nie ma w domu. Ale wpierv powiem, co się u nas działo. Wczoraj wzięli do aresztu starą Burette.

– Lichwiarke? Te, co mieszka na drugim piętrze?

– Prócz niej wzięli jeszcze dzierżawcę domu, pana Czerwonego Janka, i jego syna Kulasa. Powiadają, że u niego w szynku na Polach Elizejskich była cała banda łotrów. Wczoraj uduśli Puchaczkę i o mało nie zamordowali maklerki Mathieu. To nowiny, co! Kiedy się dowiedziałam, że dzierżawcę wzięli do aresztu, powiadam mężowi: „Idźże do właściciela domu i donieś mu, że Czerwony Janek siedzi w więzieniu”. Alfred poszedł; po paru godzinach wrócił, ale, mój Boże! W jakim stanie! Błady jak chusta.

– Cóż go spotkało?

– Wystaw pan sobie: o dziesięć kroków stąd jest duża, biała ściana. Alfred spojrzał na nią przypadkiem i coś widzi? Napis węglem, łokciowymi literami! „Pipelet – Cabrion!” Oba nazwiska połączone wielką krechą! Zmieszał się, ale idzie dalej. I co, jak pan myśli? Na murach domów, na drzwiach, na bramach, co dziesięć kroków znajduje wszędzie, ale to wszędzie, te same napisy.

– Znowu Pipelet i Cabrion?

– Nie inaczej. Przyszedł tu zmęczony, oszołomiony, prawie martwy. Uspokoiliam go, jak mogłam, i poszłam do gospodarza, wzięwszy z sobą Cecylię, żeby wprzód wstąpić po drodze do Ferranda. Ledwie się stąd ruszyłam, Cabrion nasłał tu na Alfreda dwie bezwstydnice... ale o tym potem. Teraz powiem, co było u notariusza. Cecylia ubrała się jak chłopka z Niemiec. Mój panie, widziałam dużo ładnych dziewczyn, ale ta! Co za oczy cygańskie! Co za oczy! Przyjeżdżamy więc fiakrem do Ferranda, mówię odźwiernemu, żeby zawiadomił panią Seraphin, że przyszedłam ze służącą, o której ona już wie, a tu odźwierny mi powiada, że pani Seraphin jeździła z jakąś krewną na wieś na spacer i obie przypadkiem utonęły.

– Utonęły! Jeździły na spacer na wieś w zimie! – powtórzył Rudolf zdziwiony.

– Tak, panie. Jednak Ferrand kazał nas zawołać, a popatrzysz na Cecylię, zaraz zgodził ją do służby.

– Dobrze, moja pani Pipelet; masz tu nagrodę, jaką ci obiecałem za załatwienie tego interesu.

– Zaczekaj pan do jutra; może dziś wieczorem, jak zaprowadzę tam Cecylię, Ferrand cofnie słowo.

– Nie, nie cofnie; gdzie ona teraz jest?

– Stosownie do rozkazu pańskiego siedzi w pokojach majora cicho jak baranek. Żalony jęk Alfreda przerwał rozmowę.

– No, co ci znowu? – spytała żona.

– Ach! – westchnął Alfred. – Stałem się pośmiewiskiem! Moje nazwisko można czytać na murach miasta obok nazwiska tego nędznika!

– Pan Rudolf już wie o tym – przerwała odzwierna – ale powiedz mu, co cię wczoraj spotkało.

– Nie wiem, czy mi sił starczy – rzekł Alfred żalnym tonem. – Otóż małżonka moja wyszła z domu; siedziałem przy warsztacie, smutny, zadumany, gdy wtem otwierają się drzwi, wchodzi niewiasta, za nią druga, obie owinięte w długie płaszcze z kapturami, płaszcze spadają..

– Gadaj śmiało! – zawołała pani Pipelet.

– Zrzuciły płaszcze – ciągnął Alfred – i cóż widzę? Dwie syreny czy nimfy; zamiast sukien miały tuniki z kwiatów.

– O paskudnice! – krzyknęła Anastazja.

– Zuchwałość tych bezwstydnie przejęła mnie grozą – dodał Alfred z dziewiczym oburzeniem – tańcząc, podchodzą, obejmują mnie.

– Obejmować człowieka w starszym wieku, żonatego! Wszetecznice! O, gdybym ja tu była z miotłą!

– Rozpustniejsza z obu syren wyjmuję nożyczki, zbiera w garść resztę włosów, jakie jeszcze miałem na tyle głowy, i ucina wszystkie, wszystkie! Potem śpiewa mi nad uszami, a druga powtarza za nią: „To dla Cabriona!” Teraz nic mi nie pozostaje jak opuścić Francję, piękną Francję, gdzie spodziewałem się żyć i umrzeć. – Alfred upadł na poduszkę i załamał ręce.

– Przeciwnie, duszko moja, teraz ma twoje włosy, już ci da spokój. Drzwi się otworzyły, stanęła w nich Rigoletta.

– Nie wchodź, panienko! – zawołał Pipelet, wierny prawidłom skromności i wstydu. – Leżę w łóżku i jestem nie ubrany. – To mówiąc podciągnął sobie kołdrę pod sam nos.

XXXI

Sąsiad i sąsiadka

Rumieńce na policzkach Rigoletty bladły coraz bardziej. Jej urocza buzia, dotąd tak świeża i okrągła, zaczynała się nieco wyciągać; z wesołej i ożywionej, dziewczyna stała się smutna.

– Cieszę się, że pana widzę, kochany sąsiedzie – rzekła do Rudolfa, gdy oboje wyszli z izby Pipeleta.

– Najpierw pokaż mi się, jak wyglądasz? Ach, zmizerniałaś! Pewno za wiele pracujesz.

– O, panie Rudolfe, robota mnie nie męczy. Źle wyglądam, bo mam zmartwienie. Germain coraz bardziej upada na duchu! Cokolwiek zrobię, żeby go pocieszyć, zawsze go tylko bardziej zasmucam. Wczoraj zaniiosłam mu książkę, którąśmy czytali za szczęśliwych czasów. Na jej widok zalał się łzami.

– Uspokój się – rzekł Rudolf – gdy Germain wyjdzie z więzienia, wkrótce zapomni te chwile ciężkiej próby.

– Tak, ale nim to nastąpi, ile jeszcze przecierpi, on, taki uczciwy, między bandytami! Ale, ale, myślę tylko o sobie, a zapomniałam powiedzieć panu o Gualezie.

– O Gualezie? – spytał Rudolf zdziwiony.

Spotkałam ją przedwczoraj, kiedy szłam do Świętego Łazarza odwiedzić Ludwikę.

– Niepodobna! – zawołał Rudolf.

– Zapewniam pana, że to była ona; poznałam ją zaraz, choć była ubrana po wiejsku; ładna jak zawsze, tylko bardzo blada; a tak samo łagodna i smutna jak dawniej.

– Ona w Paryżu? A ja nic o tym nie wiem? Nie chce mi się wierzyć... Lecz jeszcze jedno: jak się ma rodzina Morelów?

– Coraz lepiej, panie Rudolfe; matka już całkiem przyszła do zdrowia; dzieci wyraźnie się poprawiły; to wszystko dzięki panu. A biedny Morel? Co się z nim dzieje?

– Ma się lepiej, od czasu do czasu miewa chwile przytomności; spodziewają się go wyleczyć. A teraz bądź mi zdrowa, sąsiadeczko. Wkrótce, spodziewam się, twoje śliczne oczy znowu się ożywią, wrócą rumieńce i będziesz śpiewać tak wesoło jak twoje ptaszki.

– Daj Boże! – odpowiedziała Rigoletta z westchnieniem. – Do widzenia!

Rudolf nie pojmował, dlaczego pani George, nie uprzedzwszy go, przywiozła czy też przysłała Marię do Paryża, toteż poszedł do siebie, żeby natychmiast wysłać umyślnego do folwarku Bouqueval. Gdy przyszedł do domu, zastał u bramy pojazd zaprzężony w pocztowe konie. To Murf wrócił właśnie z Normandii, dokąd pojechał, aby przeszkodzić zbrodnicyzmi zamiarom macochy markizy d'Harville i Bradamantiego.

XXXII

Murf i Polidori

Twarz sir Waltera Murfa jaśniała radością.

– Dobre nowiny. Książę! – zawołał na widok Rudolfa. – Zbrodniarze wykryci, hrabia d'Orbigny jest ocalony! Przyjechaliśmy w samą porę, gdyby godzinę później, popełniono by nową zbrodnię!

– A pani d'Harville?

– Nie posiada się z radości, że dzięki radom Księcia przybyła na czas i że odzyskała miłość ojca.

– A Polidori?

– Przywiozłem go ze sobą. Siedzi pod strażą w domu przy Wdowiej Alei. Pojechał dobrowolnie; dałem mu do wyboru: albo wydam go natychmiast w ręce policji, albo będzie moim więźniem. Wybrał to ostatnie.

– Dobrześ zrobił! Lepiej tym sposobem mieć go w ręku. Złoty z ciebie człowiek. Murfie kochany. Ale opowiedz mi swą podróż. Jak zdołałeś zdemaskować tę niegodziwą kobietę i jej współnika?

– Trzymałem się co do joty instrukcji Waszej Wysokości. Racz, Książę, najpierw przeczytać list markizy d'Harville. Dowiesz się wszystkiego.

– List od niej? Daj go prędzej.

Rudolf przeczytał, co następuje:

Po wszystkim, co Księciu zawdzięczam, winnam Mu jeszcze ocalenie najdroższego ojca! Uznając wagę rad Waszej Książęcej Mości, pośpieszyłam bez zwłoki do Normandii, do zamku ojca. Twarze sług zrobiły na mnie przykre wrażenie: z dawnych nie było ani jednego. Musiałam im powiedzieć, kim jestem, i dowiedziałam się, że od kilku dni mój ojciec jest ciężko chory, a macocha przywiozła do niego doktora z Paryża. Idąc do sypialni ojca, spotkałam macochę. Ujrawszy mnie zbladła, nie chciała mnie puścić;

Straszyla, że jeśli się nagle pokażę ojcu, dozna wstrząsu, którym mogę go dobić. Wyrwałam się z jej rąk i weszłam do sypialni. Ojciec leżał na fotelu, błądy i wycieńczony. Ledwie go poznałam. Polidori wlewał do filiżanki lekarstwo z kryształowej flaszeczki, którą trzymał w ręku. Zobaczywszy mnie, zatrzęsł się i natychmiast postawił flaszkę na kominku. Wiedzioną instynktem, chwyciłam flaszeczkę; dostrzegłam wtedy przerażenie na twarzach macochy i Polidoriego. Nie chcąc być sama z nimi zdzwoniłam i posłałam lokaja po Murfa.

„Co to ma znaczyć?”, spytał ojciec słabym głosem, ale z gniewem. „Ty tutaj, Klemencjo, bez mojego zezwolenia?”

„Znajduję się tu”, odpowiedziałam, „bo, ojcze, od wczoraj jestem wdową i od wczoraj także wiem, że twoje życie jest zagrożone”.

„Przez kogo?”, zapytali razem macocha i Polidori.

„Przez was”, odpowiedziałam im.

„Co za zuchwałości”, krzyknęła macocha.

Polidori chciał wybiec z pokoju, lecz we drzwiach spotkał sir Waltera Murfa.

Rudolf przestał czytać i uściskał rękę Murfowi.

– Świetnie, mój przyjacielu! Twoja obecność musiała spaść na zbrodniarza jak grom.

– Tak jest. Mości Książę. Kiedy mnie zobaczył, zsiniał cały i cofnął się, i patrzył na mnie osłupiały. Lecz i hrabina d'Orbigny nie mniej była od niego przerażona, kiedy jej powiedziałem w oczy, że w Paryżu odwiedzała szarlatana Bradamanti na ulicy Temple. Ale czytaj dalej. Książę, dowiesz się wielu rzeczy.

Rudolf czytał:

Polidori osłupiał, macocha była zaskoczona. Murf zamknął drzwi na klucz i powiedział memu ojcu:

„Pan hrabia zechce mi wybaczyć, że zakłócam jego spokój, ale zmusza mnie do tego wzgląd na dobro pana. Jestem sir Walter Murf, tajny radca Księcia Rudolfa Gerolstein”.

„Sir Walter”, powiedziała memu ojcu, „przybył tu razem ze mną, aby położyć kres zbrodniczym knowaniom, których o mało nie padłeś ofiarą”.

I podałam Murfowi flaszeczkę z kroplami.

„Aptekarz z miasteczka”, rzekł Murf, „zbada w obecności pana hrabiego te krople. Jeśli okaże się, że zawierają powolną i pewną truciznę, nie będziesz już wątpił o niebezpieczeństwie, którego uniknąłeś dzięki przywiązaniu córki”.

„O, mój Boże!”, zawołał ojciec, zasłaniając twarz rękoma. „Wszystko to jest tak dziwne i straszne. Nie mogę uwierzyć! Czy to sen?”

Był tak zrozpaczony i osłupiały, tak cierpiał, że chciałam jak najprędzej położyć kres tej okropnej scenie. Sir Walter odgadł moje myśli i rzekł:

– „Racz jeszcze tylko chwilę zaczekać, panie hrabio. Ze smutkiem przekonasz się, że kobieta, którą uważałeś za najbardziej oddaną istotę, zawsze cię oszukiwała”.

„To już przechodzi wszelkie granice!”, zawołała macocha rozjątrzona. „Jakim prawem śmiesz pan rozsiewać takie potwarze? Na jakich dowodach się opierasz?”

„Tak, gdzież są dowody?”, powtórzył mój nieszczęśliwy ojciec.

„Nie przybyłem tu bez dowodów, panie hrabio”, rzekł sir Walter, „odpowiedzi tego nędznika przekonają pana, że mówiłem prawdę”. Tu Murf zaczął rozmawiać po niemiecku z Polidorim.

– I coś mu powiedział? – zapytał Rudolf, przerywając na chwilę.

– Rozmówiłem się z nim krótko, ale jasno. Po wyroku – rzekłem doń – który wydano na ciebie w Niemczech, uratowałeś się ucieczką. Mieszkasz w Paryżu, przy ulicy Temple, pod fałszywym nazwiskiem Bradamanti. Wiem, czym się zajmujesz. Wiem, że otruleś pierwszą żonę hrabiego, że obecnie namówiono cię do nowej zbrodni. Książę Rudolf posiada na to wszystko dowody. Jeżeli wyznasz prawdę, obiecuję ci zmniejszenie kary, jeżeli nie, oddam cię natychmiast w ręce policji. Wybieraj. Zbrodniarz struchlał. Lecz chciej, Książę, przeczytać opis końca tej bolesnej sceny.

Rudolf czytał dalej:

Rozmówiwszy się z Polidorim, sir Walter Murf rzekł do niego po francusku: „Teraz odpowiadaj na moje pytania. Czy ta pani”, tu Murf wskazał na moją macochę, „sprowadziła cię tu w czasie choroby nieboszczki żony hrabiego?”

„Tak, to ona”, odpowiedział Polidori.

„Czy chcąc pomóc w jej niecnym zamiarach, doprowadziłeś swymi lekami do tego, że lekka słabość hrabiny d'Orbigny stała się śmiertelną chorobą?”

„Tak, przyznaję się”, odpowiedział Polidori.

Ojciec jęknął i załamał ręce.

„To fałsz, to kłamstwo, potwarz!”, wołała macocha. „Umówili się, żeby mnie zgubić!”

„Milcz, pani”, rzekł do niej Murf, po czym zwrócił się do Polidoriego: „Czy ta pani”, zapytał, „przyjeżdżała do ciebie przed kilkoma dniami na ulicę Temple, gdzie mieszkasz pod nazwiskiem Bradamanti?”

„Tak”.

„Czy nie namówiła cię, żebyś tu przyjechał pozbawić życia hrabiego d'Orbigny, jak przedtem pozbawiłeś życia jego pierwszą żonę?”

„Niestety i temu nie mogę zaprzeczyć”, odparł Polidori.

Słyszając te potępiające zeznania, ojciec mój wstał. Straszny i groźny, spojrzał na macochę i pokazał jej drzwi. Potem, wyciągając ręce ku mnie, rzekł:

„Wybacz mi, wybacz przez pamięć dla twojej matki! Przysięgam, nie brałem udziału w jej zabójstwie!” I zanim zdołałam temu przeszkodzić, padł przede mną na kolana. Podnieśliśmy go, zemdla! Gdy przyszedł do siebie, chciał, żeby z macochą postąpiono z całą surowością prawa, i ledwie dał się uprosić, żeby poprzestał na wypędzeniu jej z domu, nie wszczynając gorszącego procesu. Wezwałam naszego dawnego lekarza, który robi mi najlepsze nadzieje; doradził ojcu rozerwać się małą podróżą. Dałam doktorowi flaszeczkę odebraną od Polidoriego; potwierdził, że te krople to trucizna. Dziś wyjeżdżam z ojcem do Fontainebleau. Dzięki radom Waszej Książęcej Mości i pomocy sir Waltera Murfa wybawiłam najdroższego ojca od pewnej zguby, odzyskałam jego przywiązanie. Nie zdołam wyrazić wszystkiego, co czuję.

P.S. W więzieniu Świętego Łazarza znalazłam nieszczęśliwą dziewczynę imieniem Gualeza, której losem Książę się zajął. Pozwól mi także. Książę, przypomnieć Ci owe nieszczęsne kobiety, matkę i córkę, oszukane przez notariusza Jakuba Ferrand.

– Więc Gualeza nie jest już na folwarku? – zawołał Murf, zdziwiony podobnie jak Rudolf.

W tej chwili wszedł kamerdyner i oddał dwa listy: jeden księciu, drugi Murfowi.

– Od pani George! – zawołał Rudolf, przebiegając pismo oczyma. – Donoszą mi, że tego wieczora, kiedy Gualeza zniknęła z folwarku, jakiś nieznajomy, który podał się za mojego posłańca, przyjechał konno, oświadczając jej w moim imieniu, że wiem, gdzie się znajduje Gualeza, i że za kilka dni sam ją odwiezę na folwark.

– Mości Książę – rzekł Murf po chwili namysłu – to musi być sprawka hrabiny Sary.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Przypomnij sobie. Książę, jakie potwarze rzucała potajemnie na markizę d'Harville.

– To prawda! – krzyknął Książę. – Rozumiem teraz! Ciągłe ma te same plany, te same nadzieje. Trzeba położyć kres temu prześladowaniu. Poślij natychmiast Grauna do hrabiny Sary.

– Z listu markizy d'Harville wynikałoby, że Gualeza znajduje się w więzieniu Świętego Łazarza.

– Właśnie, ale Rigoletta mówiła, że widziała ją na wolności, wychodzącą stamtąd. Jest w tym tajemnica, którą trzeba natychmiast wyjaśnić.

– Zaraz powiem baronowi de Graun, co ma zrobić. Przeczytam tylko ten list. O! Pisze mój korespondent z Marsylii, u którego miał się stawić Szuryner. A to dziwne! – zawołał Murf, przebiegłszy list oczyma. – Szuryner nie pojechał do Algieru, oświadczył, że wraca do Paryża. Chociaż miał w Marsylii przeznaczoną dość znaczną sumę pieniędzy, wziął tylko tyle, ile mu trzeba na powrót, i lada dzień tu będzie.

W godzinę później baron Graun wrócił od hrabiny Sary.

– Co ci jest, baronie? – zapytał Rudolf, widząc jego błądź.

– Przygotuj się Wasza Książęca Mość na bolesną nowinę: hrabina Sara...

– Co się stało? Umarła?

– Nie, ale stan jej jest beznadziejny. Znalaziono ją przebitą sztyletem, nie znani dotąd złooczyńcy wdarli się do jej gabinetu i zrabowali wszystkie klejnoty. W tej chwili Murf wrócił od Świętego Łazarza.

- Dowiedz się o smutnej nowinie – rzekł doń Rudolf – hrabina Sara została napadnięta przez morderców, jej życie jest w największym niebezpieczeństwie.
- O! Mości Książę, chociaż uczyniła wiele złego, nie mogę nad nią nie ubolewać.
- Masz rację, kochany Murfie, taki zgon byłby okropny. A cóż z Gualezą?
- Uwolniono ją wczoraj. Zdaje się, że została wypuszczona na wolność na prośbę markizy d'Harville.
- Ależ to niemożliwe! Markiza prosi mnie w liście, abym się starał o zwolnienie tej nie-szczęśliwej! Kto więc się za nią wstawił? Kto ją zabrał z więzienia? Dokąd ją uprowadzili?

XXXIII

Kancelaria notariusza

Kilka dni minęło, odkąd Cecylia przyjęła służbę u Jakuba Ferrand. Czytelnicy znają już kancelarię notariusza; zaprowadzimy ich do niej podczas śniadania kancelistów.

– Bogu dzięki – mówił jeden z nich – że pani Seraphin wybrała się na tamten świat. Póki ona tu rządziła, pan Ferrand nigdy by się nie zdecydował wyznaczyć nam po dwa trunki dziennie na śniadanie.

– Kto by się po nim spodziewał takiej hojności! – podchwycił drugi.

– Może zwariował! – zawołał inny.

– Tak, musi być chory, od dziesięciu dni zmienił się do niepoznania, policzki mu zapadły.

– A jaki roztargniony! To nie do wiary. Kilka dni temu zaniósłem mu papiery do odczytania, przez nieuwagę podałem do góry nogami. Powiedział: „dobrze”.

– Chyba je czytał do góry nogami?

– Ze mną było jeszcze lepiej – odezwał się jeden z sekretarzy. – Przed czterema dniami przyszedł klient, którego notariusz wezwał w jakiejś sprawie. Pukam do gabinetu pana Ferrand, nie odpowiada, wchodzę...

– No i co?

– Siedział przy biurku, schylony, oparł głowę na rękach i nie ruszał się z miejsca. Mówię do niego, nie słyszy, myślę, że może śpi, i lekko dotknąłem jego ramienia. Podskoczył, jakby go diabeł ukąsił, okulary spadły mu z oczu i co widzę?... Nigdy nie uwierzycie! Miał łyzy w oczach...

– Bredzisz, bracie.

– Ależ tak, płakał, i strasznie się rozgniewał, że go naszedłem w takim stanie. Krzyknął: „Precz stąd! Precz!” „Ależ panie, klienci czekają”. „Nie mam czasu, niech idą do diabła i pan z nimi!” Wstał, żeby mnie wypchnąć za drzwi.

Rozmowę przerwało przybycie starszego kancelisty, wszyscy powitali go wyrzutami, że dał im tak długo czekać.

– Ach, panowie – odpowiedział – to nie moja wina, dalibóg, zdaje mi się, że notariusz zwariował.

– Skądże takie przypuszczenie?

– Najprzód trzeba wam wiedzieć, że pan Ferrand co noc przechadza się po ogrodzie mimo niepogody, zimna....

– Może jest lunatykiem?

– Nie wiem. Ale posłuchajcie. Właśnie przed kwadransem szedłem do jego gabinetu, żeby podpisać pewne papiery; biorę za klamkę, ale słyszę, że w gabinecie ktoś mówi; staję i nadstawiam ucha, zdaje mi się, że słyszę głuchy krzyk, tłumione jęki, otwieram drzwi i co widzę? Pan Ferrand klęczy na ziemi. Klęczał przy krześle, głowę zakrył rękoma i jęczał albo wołał: „Mój Boże, mój Boże!” jak człowiek zrozpaczony. Nie wiedziałem, czy zostać, czy pójść, gdy nagle wstał i odwrócił się do mnie. W zębach gryzł jakąś chustkę, okulary zostawił na krześle. Popatrzył zrazu na mnie jak szaleniec, a potem rzucił mi się na szyję i zawołał: „Ach, jestem bardzo nieszczęśliwy!” Widząc, że mnie oczywiście bierze za kogo innego, odstąpiłem i mówię: „Uspokój się pan, to ja”. Popatrzył znów jak wariat, wreszcie poznał mnie, strasznie zmarszczył brwi i zawołał ze złością: „Dawno tu jesteś? Czy nie mogę ani na chwilę zostać u siebie, żebyście mnie nie szpiegowali? Co słyszałeś, odpowiadaj!” Taki był zły, że nie przy-

znałem się do niczego i mówię: „Nic nie słyszałem, panie, tylko co wszedłem dać te papiery do podpisu”. „Dawaj”. I on, tak zawsze systematyczny, podpisał wszystko, nie czytając wcale.

- Panowie, może oplakuje stratę pani Seraphin?
- Może go gryzie sumienie, że wsadził Germaina do więzienia?
- Co znowu, sumienie? Alboż on ma sumienie?

W tej chwili wszedł notariusz. Spod czarnej, jedwabnej czapeczki wymykały się rude kosmyki, gdzieniegdzie przeplatane siwizną; żyły na łysej czaszce nabiegły krwią, ale twarz była trupioblada. Przeszedł z wolna przez kancelarię i nie mówiąc słowa do kancelistów, których zdawał się nie spostrzegać, wszedł do pokoju, gdzie pracował starszy sekretarz, potem do gabinetu, i małymi schodkami wyszedł na dziedziniec.

Noc. W sypialni na pierwszym piętrze, świeżo i dosyć wykwintnie umeblowanej, młoda kobieta stoi przy kominku, na którym pali się suty ogień. We drzwiach naprzeciw jej łóżka, zamkniętych na rygiel, znajduje się kilkucalowy otwór, który otwiera się z sieni. Lampa oświetla pokój o ścianach wyklejonych tapetą. Firanki u łóżka i okna, pokrycie sofy i krzeseł są z karmazynowej półjedwabnej materii.

Zatrzymujemy się nad tymi szczegółami, bo dowodzą, że w sposobie życia Jakuba Ferranda zaszła nadzwyczajna zmiana.

W tym pokoju mieszka Cecylia, wysmukła Kreolka o czarującej urodzie.

Tysiąc razy opisywano Kreolki, dzieci strefy gorącej, podzwrotnikowej, których pieszcoty są śmiertelne dla przybysza z Europy; te czarujące wampiry wysysają z ofiar swoich ostatnią kroplę krwi i złota, zostawiając im tylko – jak same mówią – łyżę do picia, serce do gryzienia...

Taka była Cecylia, lecz ohydne jej skłonności, przez jakiś czas tłumione prawdziwym przywiązaniem do Dawida, rozwinęły się dopiero w Europie, a wpływ północnego klimatu uśmierzył nieco ich gwałtowność i umiarkował ich skutki.

Gdy przyjechała do Niemiec, Dawid kochał ją jeszcze ślepo, z zupełną, nieograniczoną ufnością; mogła więc bezkarnie przez czas jakiś łowić ofiary; lecz wkrótce jej gorszące postęпки wyszły na jaw i została skazana na więzienie.

Taka to kobieta, zręczna, przewrotna i śmiała, odważyła się wejść do domu Jakuba Ferranda, niby do jaskini rozsrożonego wilka...

Dowiedziawszy się od barona de Graun o zbrodni, jakiej notariusz dopuścił się względem Ludwiki Morel, obiecała nawet odegrać swą rolę *con amore*.

Kiedy Ferrand zobaczył ją pierwszy raz, zrobiła na nim wrażenie nie tyle jej piękność, co raczej jej czarujące spojrzenie, które rozpałiło istny ogień w żyłach notariusza i zaćmiło rozsądek.

Bez najmniejszych podejrzeń przyjął do swojego domu dziewczynę, jak mu mówiono, biedną, opuszczoną, nie mającą opieki: miał nadzieję, że bezkarnie wykorzysta jej nędzę i kłopotliwe położenie.

A trzeba dodać, że istoty takie jak Cecylia wywierają nagły, nieprzewyciężony wpływ na ludzi pokroju Ferranda, co ulegają zwierzęcym żądom.

Nazajutrz zobaczył Kreolkę i rozkochał się w niej. Od tej chwili zaczęło się dla niego życie nowe, straszne, pełne mąk i katuszy.

Nic śmiał uciekać się wobec Kreolki do podstępny czy przemocy; to była zupełnie inna kobieta niż Ludwika. Zresztą zaraz nazajutrz po wejściu do domu notariusza odmieniła odgrywaną rolę i przywdziała nową maskę. Wieczorem, gdy pierwszy raz została z Ferrandem, przyznała mu się z udaną naiwnością, że bardzo boi się złodziei, ale jest silna, śmiała i przygotowana do obrony.

- Jak to przygotowana? –zapytał Ferrand.

– A tak – odparła wyjmując z zanadru mały sztylet, którego widok dał notariuszowi wiele do myślenia.

Ferrand zaprowadził ją do jej pokoju, dawnego pokoju Ludwiki. Obejrawszy izbę Cecylia zauważyła trwożliwie, że nie widzi u drzwi zamka ani rygla i że dlatego z obawy przesiedzi całą noc na krześle. Notariusz obiecał jej, że nazajutrz każe dorobić rygiel.

Nic położyła się jednakże.

Z rana Ferrand znowu przyszedł, powiedzieć jej, co będzie należało do jej obowiązków. Postanowił przez pierwsze kilka dni udawać względem niej obojętność, ale ujrawszy po raz pierwszy w całym blasku słońca jej czarującą postać, oślepiiony niepokonanym pociągiem, nie mógł się wstrzymać, żeby z zachwytem nie pochwalić jej kształtnego ciała. Cecylia, obdarzona niezwykłą przenikliwością, natychmiast poznała swoje zwycięstwo: odrzuciła więc na bok udaną skromność i stanąwszy przed nim, rzekła śmiało:

– Przypatrz mi się dobrze. Jestem ubrana jak wieśniaczka z Alzacji, ale czy wyglądam na służącą? Patrz na tę rękę, czy przyzwyczajona jest do ciężkiej pracy? A ta noga, czy to noga służącej?

I ukazała drobną nóżkę, na którą notariusz dotąd nie zwracał uwagi.

– Powiedziałaś ciotce Pipelet, co mi się podobało; nie zna kolei mego życia, uwierzyła, że popadłam w ubóstwo po śmierci rodziców; ona mogła mnie brać za służącą, lecz spodziewam się, że pan będzie domyślniejszy od niej.

– Kim więc jesteś? – zawołał Ferrand, coraz bardziej zdziwiony.

– Tego nie mogę jeszcze powiedzieć. Z powodów mnie tylko wiadomych musiałam opuścić Niemcy i przebrana za wieśniaczkę, schronić się do Paryża, gdzie jakiś czas chcę żyć w zupełnym ukryciu.

– Ukrywasz się? Cóż popełniłaś?

– Może jakieś słodkie grzechy? Ale to moja tajemnica.

– Jakież są teraz twoje zamiary?

– Zawsze te same. Gdyby nie twoje komplementy, nie uczyniłabym ci żadnego wyznania... zresztą obeszłoby się bez niego, bo prędzej czy później sam byś się domyślił prawdy. Słuchaj zatem, panie mój, słuchaj swojej sługi: przyjąłam na jakiś czas stan albo raczej rolę służącej; okoliczności mnie do tego zmuszają, potrafię odegrać ją do końca. A teraz powiem ci jeszcze coś. Niechaj cię nie dziwi moje postanowienie. Nie jestem wcale skromnią, a kiedy mnie miłość rozogni, staję się podobna do bachantki. Ale nie chcę być kochanką i sługą. Jeżeli uważasz, że jestem zbyt piękna, aby usługiwać, zmieńmy role bądź moim niewolnikiem. Powiem ci, że to bym nawet wołała, tylko pod warunkiem, żeby nigdy nie wychodzić z domu i żebyś się ze mną obchodził po ojcowsku. To ci nie przeszkodzi mówić o mej urodzie; będzie to nagroda za twoje poświęcenie.

– Jedyna nagroda? Jedyna? – zapytał Ferrand drżącym głosem.

– Jedyna, chyba że samotność i diabeł odbiorą mi rozum. Teraz decyduj się; albo ja u ciebie, albo ty u mnie. Inaczej odchodzę i poproszę ciotki, żeby mi się wystarała o inne miejsce. Wszystko to wyda ci się może dziwne, wierzę, ale jeżeli mnie bierzesz za awanturnicę bez środków do życia, to się mylisz. Patrz, mam spory woreczek złota, ale cóż, kiedy za żadne pieniądze nie znalazłabym równie bezpiecznego schronienia jak w twoim domu, tak samotnym, nie odwiedzanym przez nikogo.

Stało na tym, że Cecylia będzie jego sługą tylko z pozoru; a dla większego bezpieczeństwa będzie sam usługiwał i jej, i sobie. Prócz tego kazał co prędzej umeblować na pierwszym piętrze pokój stosownie do gustu Cecylii, na co wydał dwa tysiące franków: wydatek ogromny na tak skąpego człowieka, wydatek dowodzący całej potęgi jego namiętności.

Odtąd zaczęło się dla niego życie straszne. Zamknięty w swoim domu, nie widywał nikogo i pożerany ciągle jedną myślą, usługiwał swojej słudze. Nie mógł myśleć o użyciu siły czy

podstępu, bo Cecylia, uprzedzona, piła jedynie czystą wodę, jadła tylko potrawy, do których nie można dodać narkotyku, a nade wszystko była zręczna, silna i uzbrojona.

Jednak aby go nie doprowadzać do ostateczności, udawała czasem żywą wdzięczność i opisywała mu płomiennymi słowy rozkosze, jakimi by go uszczęśliwiła, gdyby kiedykolwiek mogła go pokochać.

Na taką mowę kobiety młodej i pięknej rozum odstępował Ferranda; ogniste marzenia prześladowały go w dzień i w nocy. Wśród niepojętych męczarni tracił zdrowie, sen. Niekiedy nocą, po zimnie i deszczu, biegał po ogrodzie, żeby ostudzić krew. Ale częściej trawił całe godziny pod drzwiami Kreolki i przez otwór obserwował śpiącą, bo Cecylia, mając jeden tylko cel: rozognić notariusza do szaleństwa, pozwoliła na zrobienie tego otworu.

Ferrand zaczynał ponosić karę, cierpiał jak potępioniec.

Pewnej nocy Kreolka usłyszała za drzwiami głębokie westchnienie.

– Cecylio! – odezwał się stłumiony głos. W wąskim otworze ukazała się blada i szpetna twarz Ferranda.

– Co widzisz, mój panie, ty tutaj? – rzekła słodkim głosem.

– O, jakaś ty piękna w tym negliżu! – zawołał notariusz.

Cecylia roześmiała się.

– Przypatrz mi się, wszakże po to zrobiono otwór.

– Czy nigdy nie otworzysz mi tych drzwi? Patrz, jaki jestem uległy! Dziś wieczór mogłem wejść razem z tobą, a nie wszedłem.

– Uległy jesteś z dwóch powodów: bo najprzód wiesz dobrze, że zmuszona do tułaczego życia, nie chodzę nigdy bez sztyletu zaprawionego trucizną i że władam nim po mistrzowsku, a prócz tego wiadomo ci również, że skoro tylko dałbyś mi przyczynę do niechęci, opuściłabym na zawsze twój dom, zostawiając cię tysiąc razy więcej rozkochanym niż teraz.

– Więc uległość, pokora, moja gorąca miłość nie rozczuli cię?

– To mnie nie rozczula, ale bawi, może nawet mi pochlebia. Nigdy jeszcze nie widziałam człowieka w twoich latach podobnie rozkochanego, a nawet przyznam, że mężczyzna piękny, młody, niezdolny byłby do tak szalonej namiętności.

– Milcz! – krzyknął Ferrand. – Nie patrz na mnie, bo oszaleję! Wołałbym już nie mieć żadnej nadziei, móc cię wygnać z mego domu, nienawidzić. Chcesz, żebym cię przekonał o mojej miłości? Powiedz, czego żądasz, co mam uczynić? Mają mnie za bogatszego, niż jestem w istocie, ale powiedz tylko słowo.

– Ach, ty żebraku! – zawołała Cecylia szyderczo. – Ciągłe jęczy, ciągle się żali, a od dziesięciu dni znajduje się z młodą kobietą w samotnym domu.

– Ale ta kobieta mną gardzi! Jest uzbrojona! Drzwi są zamknięte! – krzyknął Ferrand.

– A więc przezwycięż jej wzgardę, spraw, żeby odrzuciła broń, żeby ci sama otworzyła drzwi! Ale nie przemocą, przemocą nic nie wskórasz.

– Czymże ją zniewolę?

– Siłą namiętności. Czy mam cię uczyć? Jesteś szpetny, bądź straszny; zapomnę o twej szpetocie. Jesteś stary, okaż się energicznym, a zapomnę o twoim wieku. Nie mogąc być szlachetnym żrebcem, co dumnie rży wśród stada, nie bądź przynajmniej głupim wielbłądem, co ugina kolana i nadstawia grzbiet pod ciężary. Bądź tygrysem, co ryczy, gdy szarpie swą zdobycz i pije jej krew. Tygrys jest wtedy piękny, a tygrysica odpowiada mu z głębi pustyni.

Notariusz drżał, słysząc te słowa i patrząc na dziką, prawie srogą twarz Kreolki, która z zuchwałym uśmiechem utkwiała w nim ognisty wzrok. Nigdy nie wydała mu się bardziej pojętna.

– O! Mów! Mów dalej! – wołał z uniesieniem. – Tym razem mówisz to, co czujesz. Ach, gdybym mógł!

– Człowiek może wszystko, co zechce – odparta Cecylia, podchodząc ku otworowi i kładąc swoje różowe paluszki na włochatej dłoni Ferranda.

Po raz pierwszy poczuł dotknięcie jej dłoni. Zbladł jeszcze bardziej.

– Jakże by taka kobieta miała kochać inaczej jak najgorętszą miłością? – dodała Cecylia. – Niech ma wroga, jednym spojrzeniem wskaże go staremu swojemu tygrysowi, powie mu: „uderz!”, a on...

– Uderzy! – krzyknął Ferrand. – Dla ciebie gotów bym popełnić zbrodnię!

– Słuchaj – rzekła nagle Cecylia, cofając rękę – teraz odejdz, odejdz, nie poznaję cię, nie wydajesz mi się już tak szpetny jak dotąd, odejdz! – I szybko oddaliła się od drzwi.

Przebiegła diablona zdołała swoim słowom nadać takie piętno prawdy, że Ferrand uwierzył jej i przejęty szaloną nadzieją, zawołał:

– Cecylio! Jeśli rozkażesz, będę twoim tygrysem!

– Nie, nie teraz, później, teraz nie władam sobą, ogień mnie ogarnia!

Ferrand odchodził od zmysłów.

– O! Życie oddam za taką miłość – krzyknął, wstrząsając wściekle drzwiami – majątek, życie poświęcę za jedną minutę szczęścia przy tobie!

Zwinna jak pantera Cecylia jednym skokiem znalazła się przy otworze i udając, że z trudem tłumi własne zapęły, szepnęła drżącym głosem:

– Nie chciałam wracać do tych drzwi, a jednak przyszłam, bo jeszcze mi brzmi w uszach to, coś mi niedawno powiedział: że dla mnie jesteś gotowy na wszystko. Kochasz mnie więc bardzo?

– Chcesz złoto? Całe moje złoto?

– Nie, złota mi nie trzeba.

– Czy chcesz być moją żoną? Ożenię się z tobą...

– Jestem zamężna.

– Więc czego chcesz, o Boże! Czego chcesz?

– Dowiedz mi, że twoja miłość jest namiętna, wściekła, ślepa, że dla mnie wszystko byś poświęcił!

– Poświęcę wszystko. Ale jakże ci tego dowiodę?

– Nie znajdujesz sposobu? Więc bywaj zdrow, omyliłam się. Szkoda, myślałam, że jesteś mi oddany...

– Słuchaj – rzekł ochryłym głosem notariusz – jeśli zdam mój honor, majątek, życie na twoją łaskę... jeśli ci powierzę tajemnicę, która może mnie zaprowadzić na szafot... czy uwierzysz, że cię kocham?

– Ty byłbyś zbrodniarzem? – przerwała mu Cecylia. – Żartujesz. A twoja prawda, pobożność?

– To kłamstwo.

– Nie wierzę ci, przechwalasz się. Kto by zdołał tak zręcznie i zuchwale owładnąć opinią ludzi, zagarnąć ich cześć i poszanowanie?

– Ja tego dokonałem! – zawołał Ferrand z dumą. – Bierz moją głowę za jeden twój uścisk!

– Ach, więc to prawdziwa namiętność... Masz, bierz mój sztylet! Rozbroiłeś mnie!

Ferrand ostrożnie wziął przez otwór podaną sobie niebezpieczną broń i rzucił ją daleko za siebie na korytarz.

– Cecylio! Więc mi wierzysz? – zawołał z uniesieniem.

– Wierzę – odpowiedziała, ściskając w miękkich dłoniach rękę Ferranda. – Widzę w twoim płomiennym spojrzeniu, że mnie nie zwodzisz. Jakubie! Kocham twoje oczy... one mnie przekonują, że mówisz prawdę. Twoje czoło jest groźne, twoja twarz przejmuje strachem... jesteś piękny i straszny jak wściekły tygrys. Ale powiedz, nie zwodzisz mnie?

– Powtarzam ci: popełniłem zbrodnię.

– A więc wyznaj mi wszystko: dasz mi dowód swego poświęcenia!

– A jeśli ci wszystko powiem?...

– Spełnię wszystkie twoje życzenia...

Przy tych słowach Cecylia tak zbliżyła się do otworu, że Ferrand poczuł na twarzy gorący jej oddech.

– O! Będiesz moją – zawołał – a potem, jeżeli chcesz, możesz mnie zniesławić, poprowadzić na śmierć... Słuchaj: dziesięć lat temu powierzono mi dziecko i dwieście tysięcy franków, które dla niego były przeznaczone; oddałem dziecko w obce ręce, rozgłosiłem, że umarło, poparłem to kłamstwo fałszywym aktem zejścia i zatrzymałem pieniądze...

– To zręczne i śmiałe... kto by się tego po tobie spodziewał?

– Słuchaj dalej: nienawidziłem mojego kasjera; pewnego wieczora wziął mi nieco złota, które zwrócił mi nazajutrz, ale żeby go zgubić, oskarżyłem go, że mi skradł znaczna sumę. Siedzi w więzieniu. Wszak teraz moje dobre imię jest na twojej łasce?

– O! Kochasz mnie, Jakubie, kochasz! Wyjawiasz mi swoje najskrytsze tajemnice! Jakąż więc władzę posiadam nad tobą? Nie będę niewdzięczna!

– Słuchaj, słuchaj jeszcze – zawołał Ferrand – dziewczynka, o której ci mówiłem, znalazła się znowu na mojej drodze, obawiałem się jej, kazałem ją zamordować. To jeszcze nie wszystko. Jeszcze przedtem pewien człowiek powierzył mi sto tysięcy talentów. Przygotowałem na niego zasadzkę, zastrzeliłem go i dowiodłem, że popełnił samobójstwo. Tak... Teraz moje życie jest w twoim ręku, otwórz!

– Jakubie! Uwielbiam cię! – szepnęła Kreolka.

– Tysiąca śmierci się nie ulękne! – zawołał Ferrand w dzikim upojeniu. – Daj mi klucz, odsuń rygiel.

Kreolka wyjęła z zamka klucz i przez otwór podała go notariuszowi.

– Wreszcie jesteś moją! – wykrzyknął Ferrand i spiesznie przekręcił klucz w zamku.

Ale zasunięte na rygiel drzwi nie otworzyły się.

– Chodź, mój tygrysie – zawołała Cecylia omdlewającym głosem.

– Odsuń rygiel! Prędszej – krzyczał notariusz.

– Ale jeżeli mnie zwodzisz?! – zawołała nagle Cecylia. – Jeżeli wszystkie twoje zbrodnie są zmyślane?!

Notariusz zatrzymał się osłupiały; już wydawało mu się, że osiąga cel. Ta ostatnia zwłoka doprowadziła go do szaleństwa. Żywo rozpiął kamizelkę, zdjął z szyi łańcuszek, na którym wisiał pugilaresik, i pokazując go przez otwór, rozgorączkowany, rzekł do Cecylii;

– Tu są dowody mogące mnie zgubić. Odsuń rygiel... a dam ci pugilares...

– Daj go, mój tygrysie! – I jedną ręką odsuwając rygiel, drugą schwyciła pugilares. Ferrand wypuścił go z dłoni dopiero, gdy przyciskając klamkę poczuł, że drzwi się otwierają.

Otworzyły się jednak tylko na kilka cali, bo przytrzymał je stalowy łańcuszek, przyśrubowany do futryny. Spotykając tę niespodziewaną przeszkodę, notariusz rzucił się na drzwi i wstrząsnął nimi rozpaczliwym wysiłkiem.

Tymczasem Cecylia z szybkością strzały, wzięwszy pugilares w zęby, otworzyła okno, zrzuciła płaszcz na dziedziniec i – równie zwinna jak śmiała – spuściła się po sznurze z węzłami, który już przedtem przymocowała do balkonu. W mgnieniu oka była na dole. Okryła się płaszczem, otworzyła furtkę od ulicy i wsiadła do pojazdu, który z rozkazu barona de Graun co nocy, od czasu jej pobytu u Ferranda, czekał o dwadzieścia kroków od domu. Powóz galopem ruszył z miejsca i był już na bulwarach, kiedy notariusz dostrzegł ucieczkę Cecylii.

Wróćmy do Ferranda.

Jak piorunem rażony, padł na ławkę pod domem i pozostał tak długo, niemy, niewzruszony, skamieniały. Chłodne powietrze nocy orzeźwiło go nieco, wybiegł do ogrodu, błądził po alejkach. To konwulsyjnie ściśniętymi pięściami uderzał się w czoło, to paznokciami aż do krwi szarpał rozpalone piersi.

Lodowaty pot oblał mu czoło, drżące nogi nie mogły utrzymać go dłużej i bez czucia padł omdlały na ziemię.

XXXIV

Więzienie La Force

Czytelnik, być może, będzie miał nam za złe, że naruszamy ciągłość naszego opowiadania, wprowadzając tu sceny epizodyczne; wydaje nam się jednak, że pora teraz na pokazanie wnętrza więzienia, wstrząsającego pandemonium, owego ponurego „termometru cywilizacji”. Uznaliśmy za godne uwagi niektóre postacie więźniów i wszystko, co ich łączy jeszcze ze światem zewnętrznym. Dlatego niechże nam będzie darowane, że obok głównych bohaterów tej powieści pokażemy postacie drugorzędne, aby uwypuklić i przybliżyć czytelnikowi obraz więziennego życia.

Wejźmy do przeznaczonego dla mężczyzn więzienia La Force.

Z zewnątrz wcale nie wydaje się ono ponure. Wokół rozległych dziedzińców ciągną się obszerne zabudowania, podobne do koszar albo do starannie utrzymanej fabryki.

Udajmy się wraz z czytelnikiem do rozmównicy więziennej; znajdujemy się oto w ciemnej sali, przedzielonej żelazną kratą: jedna połowa sali komunikuje się z wnętrzem więzienia, druga z kancelarią; tu wpuszczają odwiedzających. Rozmowę prowadzi się przez kratę.

Wśród więźniów poznajemy Mikołaja Martiala, rozmawiającego ze starym Micou. Ojciec Micou wiedział, że Mikołaj mógł go wplątać w proces i ściągnąć na niego bardzo ostrą karę, gdyby wyznał, że Micou zwykle kupował od niego za bezcen kradzione towary. Dlatego też Micou na pierwsze wezwanie bandyty stawiał się natychmiast w więzieniu.

– Jakże się masz, ojciec Micou? – zapytał rozbójnik.

– Do twoich usług, mój chłopcze – odpowiedział Micou z głębokim westchnieniem. – Skoro tylko dałeś mi znać, że tu jesteś, wnet zająłem się spełnieniem twoich poleceń. Przyniosłem ci tytoń, szynkę, chleb, ser i sześć butelek dobrego wina. Spodziewam się, że jesteś ze mnie zadowolony?

– A jakże, ojciec Micou, i to bardzo, a jestem pewien, że wkrótce znowu będę mógł cię pochwalić.

– Bodaj mnie diabli wzięli! Czy ja mam obowiązek karmić cię łakociami?

– Ale! Czy to ładnie tak mówić staremu dostawcy, od którego tyle razy kupowałeś kradziony ołów?

– Cicho! Milcz, na litość!

– Ani mi się śni milczeć, powiem sędziemu: „Wyobraź pan sobie, że stary Micou.”

– Dobrze już, dobrze – przerwał stary z obawą i gniewem – zgoda, przyniosę więcej jedzenia.

– No, tak być powinno, nie zapomnij też zanieść kawy mojej matce i Tykwie do Świętego Łazarza. Dotąd pijały co rano kawę, nie obeszłyby się bez niej.

– Chcesz, mnie zgubić, hultaju?

– Ale, ale, zaczekaj, zapomniałem ci powiedzieć, żebyś mi przyniósł dwie pary ciepłych, wełnianych skarpetek, przecież nie chciałybyś, żebym się przeziębził?

– Bodajbyś zdechł!

– Dziękuję, wcale mi niespieszne, dobrze mi się tu powodzi, wszyscy mnie szanują, odkąd się dowiedzieli, że ojciec poszedł pod gilotynę. Tu nie lubią uczciwych ludzi. Właśnie teraz u nas siedzi jakiś Germain, młody chłopak, nie gada z nami, udaje dumnego. Może to szpicel? Niech się strzeże!

– Germain? Jeżeli ten sam, o którym mi mówili, to Koślawiec ma ząb na niego.

– Ten sam, słyszałem, że na prowincji uciekł od towarzyszy, którym mógł dopomóc w dobrym interesie. Ale... ale... kup mi też nową czapkę ze szkockiego skandalu, w tej już nie mogę się pokazać.

Micou, doszedłszy po namyśle do wniosku, że jest na łasce bandyty, odrzekł:

– Dam ci czapkę, ale pamiętaj, nie żądaj niczego więcej, bo nie dostaniesz. Niech dzieje, co chce! – I wyszedł rozgniewany.

W tejże chwili weszła Rigoletta. Dozorca, stary, wysłużony żołnierz, powitał ją uprzejmie, bo już ją dobrze znał.

– Pan Germain zdrów, ale co dzień smutniejszy. Zawsze chodzi sam, z nikim nie mówi. Doradź mu, panienko, żeby się tak od innych nie odsuwał, znenawidzą go. Na dziedzińcu jest dozór, ale o nieszczęście nietrudno.

– O Boże! Czy coś mu grozi? – spytała Rigoletta przerażona.

– Uspokój się, pani, mamy go na oku, ale nie szkodziłoby mu doradzić, żeby był trochę bardziej towarzyski.

– To racja, mój panie, ale to ciężko dla uczciwego człowieka spoufalić się z takimi ludźmi.

– Cóż robić? Z dwojga złego trzeba wybrać mniejsze. Pójdę teraz, będziecie mogli swobodnie rozmawiać.

Rigoletta ze smutną miną usiadła na ławce. My zaś tymczasem, zanim gryzетка doczeka się przybycia Germaina, podsłuchajmy rozmowę innych więźniów.

Człowiek, który stanął za kratą na miejscu Mikołaja, był w średnim wieku, chudy, drobny, o twarzy przenikliwej, dowcipnej, wesołej i drwiącej.

Nazywał się Fortunat Gobert, znany pod przydomkiem Pique-Vinaigre, z rzemiosła kuglarz, odsiedział już kiedyś karę ciężkiego więzienia za fałszerstwo, teraz zaś znowu był w La Force za kradzież. Więźniowie zwykle bardzo lubią opowiadanie historii, bajek, a nade wszystko takich, które mówią o heroizmie, wspaniałomyślności, gdzie triumfuje uciśniona słabość i cnota. Pique-Vinaigre był mistrzem w opowiadaniu takich bajek.

Gdy wszedł za kratę, zbliżyła się do niego kobieta lat około trzydziestu pięciu, blada, ubogo ubrana i zapłakana. Popatrzył na nią tkliwie, a zarazem z niecierpliwością.

– Anno, nie bądź dziecinna – rzekł do niej – nie widzieliśmy się szesnaście lat. Jeżeli ciągle będziesz trzymała przy oczach chustkę, nie poznamy się.

– Ach, mój nieszczęśliwy bracie. Piętnaście lat siedziałeś, a dziś znowu cię tu znajduję.

– Cóż robić? Gdy mnie wypuścili, szukałem roboty, ale nikt nie chciał mnie przyjąć, umiałem tylko swoje sztuki kuglarskie, a na co mi to w tej mieścinie, którą mi wyznaczili na miejsce pobytu? Więc musiałem kraść. Złapali mnie na gorącym uczynku, nie było sposobu zaprzeczać, przyznałem się do wszystkiego.

– Ach, Boże, mówisz o tym tak spokojnie?

– A choćbym się nawet gorączkował, to co zyskam? Adwokat mi powiedział, że mnie poślą na galery na dwadzieścia lat.

– Ale ty tam umrzesz, jesteś taki chorowity!

– Nie myślałem o tym, zawsze chciałem zobaczyć morze! Ale powiedz, jak tam twoje dzieci, mąż?

– O! Nie wspominaj o nim, trzy lata już minęło, jak porzucił mnie i dzieci. Zabrał mi wszystko i sprzedał.

– Biedaczko! I jak wyżywiłaś swoje nieboraki?

– Pracowałam, sąsiadki pilnowały mi dzieci. Nagle mąż wrócił; zamieszkał znów u mnie, nic nie robił, upijał się co dzień i bił mnie.

– O, łajdak!

– Nie dość na tym: przyprowadził ze sobą kobietę, którą musiałam znosić w domu. Adwokat powiedział mi, że mąż ma prawo rozporządzać majątkiem żony, mieszkać z nią i nic nie robić.

– Tak – przerwał Pique-Vinaigre z oburzeniem – u nas we Francji sprawiedliwość jest zbyt droga dla biednych ludzi.

Rigoletta, słuchając rozmowy rodzeństwa, nie straciła ani słowa z opowiadania biednej kobiety, której nieszczęście obudziło w niej żywe współczucie.

Do sali wszedł nowy gość. Zapytał o jednego z więźniów i siadł na ławce między Rigolettą i Anną. Gryzетка o mało nie krzyknęła ze strachu na jego widok: poznała w jednego z pacholców, który z polecenia Ferranda przyszedł być uwięzić Morela. Odsunowśy się od przysza, jak mogła najdalej, dziewczyna oparła głowę o ścianę i zatopiła się w smutnych myślach.

– Słuchaj mówił tymczasem Pique-Vinaigre do siostry – czemu nie chowałaś przed mężem zarobionych pieniędzy?

– Chowałam, ale bił mnie tak długo, aż musiałam mu je oddać.

– O, ty biedna, nieszczęśliwa! Ale w końcu uwolniłaś się do tego hultaja?

– Opuścił mnie, jak wszystko sprzedał: nawet łóżko i kolebki dzieci. Kiedyś powiedział do mnie: „Mamy ładną córkę, jacyśmy głupi, żeby z tego nie skorzystać”.

– O łotr! Sprzedawszy sprzęty, chciał posprzedawać także i dzieci.

– Przykro mi, mój kochany, że nie mogłam ci nic przynieść...

– A myślisz, że wziąłbym od ciebie? Ani mi się śni! Dotąd więźniowie płacili mi po jednym sou za słuchanie bajek; teraz będą musieli dawać po dwa albo się bez nich odejdą. Co uzbieram, będzie dla ciebie. Mąż jest panem, dopóki was prawo nie rozłączy, a ponieważ nie masz pięciuset franków, aby się do niego wykupić (tyle potrzeba na przeprowadzenie separacji), więc oddaj mu wszystko, nawet córkę, a on ją zabierze i zaprowadzi, gdzie chce.

– Boże mój! Boże! Gdzież sprawiedliwość?

– Sprawiedliwość? – zawołał Pique-Vinaigre z gorzkim śmiechem. – Sprawiedliwość we Francji jest jak mięso. To potrawa zbyt droga dla ubogich. Kiedy trzeba biedaka wsadzić do więzienia albo posłać na galery, sprawiedliwość nie kosztuje; jeśli mu łeb utną, to też gratis. Ale jeżeli trzeba nieszczęśliwą matkę obronić od rozbójnika męża, co ją bije i obdziera, co jej chce i może wydrzeć córkę, wtedy sprawiedliwość kosztuje pięćset franków i bez niej, moja Anno, musisz się obejść. Serce się kraje, gdy pomyślę o losie twoim i twoich dzieci, gdy myślę, że ci nie mogę pomóc. Ja niby zawsze się śmieję, ale miewam dwa rodzaje wesołości: wesołość wesołą i smutną. Kiedyś napiszę bajkę dla twoich dzieci, to je zabawi.

– Jedno mnie pociesza, mój bracie, że masz tak szczęśliwy charakter.

– O! Za nic w świecie nie chciałbym być podobny do jednego z naszych, co siedzi razem mną w celi. Biedny człowiek, bodajże dziś wieczorem zrobią z nim koniec, zdaje się, że zmówili się na niego.

– A za co go tak nienawidzą?

– Zawsze chodzi sam, z nikim nie rozmawia, z nikim nie chce przestawać, więc wyobrazili sobie, że jest szpiclem. Głupcy; gdyby ich szpiegował, to by się starał mieć jak najwięcej znajomości. Ale prawdziwa przyczyna jest taka, że wygląda na panicza, to ich gniewa. „Kapitan” naszej sali, zwany Szkieletem, jest na czele całego spisku. No, ale dosyć gawędy. Bądź mi zdrowa, siostró.

Pożegnali się i Pique-Vinaigre wyszedł.

Od chwili, kiedy stary sługa sądowy usiadł obok na ławce, Rigoletta nie słyszała dalszej rozmowy brata z siostrą. Gdy Anna skierowała się do wyjścia, Rigoletta zbliżyła się do niej i rzekła uprzejmie:

– Powiem otwarcie, że siedząc tu i czekając na osobę, którą przyszłam odwiedzić, słyszałam, jak pani opowiadała bratu swoje nieszczęścia. Pomyślałam: biedni ludzie powinni sobie nawzajem pomagać. Daj mi pani swój adres, abym wiedziała, gdzie panią znaleźć.

– Spojrzawszy tylko na twoją twarz, panienko, pomyślałam, że musisz mieć najlepsze serce; widzę, że się nie omyliłam. Nazywam się Anna Duport, mieszkam przy ulicy de la Carillerie, pod numerem pierwszym – odparła wzruszona kobieta.

Rozstali się; Rigoletta siadła na ławce, czekając Germaina.

XXXV

Pan Boulard

Po odejściu Pique-Vinaigre'a wszedł za kratę inny więzień, mający lat około trzydziestu, rudy, o twarzy pełnej, czerwonej i wesołej. Był niski i bardzo gruby. Miał na sobie watowany surdut, futrzane pantofle, przy łańcuszku od zegarka wisiało mnóstwo pieczętek, na palcach nosił duże, kosztowne pierścienie. Był to pan Boulard, zatrudniał go zwykle Petit-Jean, o którym już wiemy, że notariusz Ferrand podstawiał go na swoje miejsce w mniej ciekawych interesach.

– Dzień dobry, mój panie Bourdin! – rzekł komornik do sługi sądowego. – Byłem pewny, że stawisz się na moje wezwanie.

– Jakże bym mógł się nie stawić, generale? – odpowiedział Bourdin, dając pół żartem, pół serio wojskowy tytuł człowiekowi, który go często używał do swoich posług.

– Rad widzę – ciągnął Boulard – że nie odstępujesz mnie w nieszczęściu. Już zaczynałem wątpić o tobie, bo pisałem do ciebie przed trzema dniami, a nie pokazałeś się.

– Nie mogłem znaleźć chwili czasu. Obaj z Malicorne'em o mało nie zagoniliśmy się na śmierć, ścigając hrabiego Florestana de Saint-Remy. Piękny hrabia zdobył właśnie wyższy tytuł.

– Może został markizem?

– Nie, z fałszerza stał się złodziejem.

– O!

– Ścigają go za diamenty, które ściągnął jubilerowi. Lecz niech mi będzie wolno spytać, jakim, u diabła, sposobem pan się tu dostałeś?

– Hołota, kochanku, zgąra obdartusów utrzymuje, że ich ograbiłem na sześćdziesiąt tysięcy franków. Podali na mnie skargę o nadużycie zaufania.

– Więc jesteś oskarżony tylko o nadużycie zaufania, generale? Niewielka to historia, w najgorszym razie posiedzisz trzy miesiące w więzieniu i zapłacisz dwadzieścia pięć franków kary.

– Nawet i te parę miesięcy odsiedzę w domu zdrowia, mam znajomego deputowanego, on mi to wyrobi. Ale pomówmy o interesie, dla którego cię wezwałem. Chodzi o kobietę – dodał Boulard z tajemniczą i dumną miną.

– Oho! Więc to taka sprawka? Jestem na usługi.

– Utrzymuję stosunek z pewną aktoreczką teatru Folies-Dramatiques. Ta mała bardzo mnie kocha, ale jak wiesz, kogo nie widzą, o tym i zapomną, chciałbym więc wiedzieć, jak się prowadzi panna Aleksandryna.

– To mi wystarczy, generale, nie trudniej wykonać to polecenie, jak wysłedzić i za kołnierz schwytać dłużnika. Ale może w czymś jeszcze ci usłużyć?

– Nic mi więcej nie trzeba, mam wszystkie wygody; osobny pokój dobrze ogrzany, kazałem sobie przynieść fotel z domu, jadam trzy razy na dzień, odpoczywam, spaceruję i śpię.

– Ale, generale, takiemu jak pan smakoszowi kuchnia w więzieniu musi nie przypadać do smaku?

– Alboż nie mam na tej samej ulicy sklepu pani Michouneau, gdzie wszystkiego dostanę? Aha, dobrze, że sobie o niej przypomniałem; zajdź do niej i powiedz, proszę, żeby mi przystała pasztet i kosz wina.

– Zanotuję to zaraz.

- Zapisz też, żeby mi przysłali z domu dwie puchowe poduszki.
 - Wszystko będzie spełnione co do litery. Teraz jestem spokojny, generale, co do twego stołu, ale gdzie spacerujesz? Czy razem z hołotą więzienną?
 - Nie inaczej, a spacery są bardzo ożywione, wesołe. Ach, przyjacielu, co za bandyckie fizjonomie! Szczególnie jeden, nazywają go Szkieletem.
 - Zabawne imię!
 - Jest taki chudy, że zupełnie zasługuje na swój przydomek, sama skóra i kości. Więźniowie drżą przed nim. Ja zaprzyjaźniłem się z nim od razu; dałem mu kilka cygar, teraz uczę się u niego języka złodziei.
 - Cha! Cha! Wybornie! Mój generał się uczy!
 - Tak jest, słowem nie nudzę się wcale, bo nie jestem hardy, poufałem się z więźniami, nie tak jak tu jeden taki. Nazwa się Germain, hołysz, nie ma nawet czym zapłacić za osobną stancję, a udaje dumnego, unika ich. Nawet nie raczył zwrócić na mnie uwagi. Zresztą więźniowie i mnie nawet mają prawie za nic: oskarżony o nadużycie zaufania! Cóż to znaczy dla takich bandytów! Lecz jeszcze jedno, zajdź, proszę, do pana Badinot i przypomnij mu, że obiecał znaleźć mi dobrego adwokata, zapłacę porządnie, dam tysiąc franków.
 - Bądź spokojny, generale, dziś wypełnię jeszcze wszystkie twoje polecenia.
- Rozeszli się, każdy w swoją stronę.
 Drzwi się otworzyły, wszedł Germain.
 Rigolettę dzieliła od niego tylko krata.

XXXVI

Germain

Franciszek Germain nie miał regularnych rysów, ale trudno było znaleźć twarz bardziej ujmującą, powierzchowność jego zdradzała człowieka wykształconego i zacnego.

Na widok uroczej Rigoletty zarumieniał się lekko. Ona zaś jak zwykle zrobiła wesołą minę, chcąc trochę rozweselić Germaina.

Dozorca odszedł w kat sali; mogli rozmawiać bez świadków.

– Co słysząc, panie Germain, jak dziś wyglądasz? – rzekła Rigoletta, zbliżając się do kramy.

– Jak mam pani dziękować? Za tyle dobroci mogę tylko odplacić uczuciem wdzięczności i... – Germain nie śmiał skończyć.

– I czym jeszcze? – spytała Rigoletta z rumieńcem.

– I... i... przywiązaniem – wyjąkał Germain.

– Czemu już pan lepiej nie powiesz: „szacunkiem i przywiązaniem”, jak to piszą na zakończeniu listów? – przerwała Rigoletta zniecierpliwiona. – Zwodzisz mnie, chciałeś powiedzieć co innego i nagle urwałeś.

– Zapewniam panią – rzekł Germain z westchnieniem – że nie chciałem powiedzieć nic innego, nic nie ukrywam.

– Ach, jak pan zmyśla! – zawołała gryzетка, niecierpliwie tupiąc nogą, i wyjęła z woreczka długi, wełniany szalik zrobiony na drutach. – O, przyniosłam to panu, ale nie dam za karę. Sama go zrobiłam. Bo tu wilgoć i zimno, a pan się boi zimna. I zawsze pan jest smutny, chociaż ci zabroniłam.

– I jak mam się nie wzruszać do łez, kiedy pomyślę o wszystkim, co pani dla mnie uczyniła, odkąd tu jestem? Czy ten nowy dowód dobroci, który dziś odbieram, nie ma mnie rozczulić? Przecież wiem, że pani pracuje w nocy, aby mieć czas odwiedzić mnie w dzień. Dla mnie obarczysz się pracą nad siły.

– Otóż to! Litujże się pan nade mną, że co dwa albo trzy dni muszę się trochę przejść, żeby odwiedzić przyjaciół! Przecież wiesz, że lubię chodzić. I po drodze mam rozrywkę: oglądam wystawy.

– A ja w najszcześniejszych chwilach nie byłem wesoły, nie mogę.

– Pan zawsze mówi, że nie może! A nie możesz zbliżyć się do innych więźniów? Prosiłam o to ze sto razy. Teraz znowu dozorca mi powiedział, że dla własnego dobra nie powinienes ich tak unikać.

– Bo pani nie wie, jak się nimi brzydzą: nie znasz wszystkich powodów, jakie mi każą ich unikać.

– Przeciwnie, znam te przyczyny, czytałam papiery, które dla mnie pisałeś i które odebrałam z pańskiego mieszkania, kiedy pana wzięto. W tych papierach wyczytałam jeszcze co innego – dodała Rigoletta, rumieniąc się – wyczytałam tajemnicę.

– Której by pani nie pznała – zawołał Germain – gdyby nie moje nieszczęście. Ale błagam panią, nie kładź granic swej dobroci, zapomnij o mym szaleństwie, dawniej wolno mi było żyć marzeniami, choć to i wtedy były marzenia!

Rigoletta, widząc, że młodzieniec jej nie rozumie, stłumiła westchnienie, w nadziei, że innym razem Germain lepiej się pozna na jej uczuciach. Rzekła:

– Rozumiem, że obcowanie z tymi ludźmi przejmuję pana wstrętem, ale nie uważam, żeby to miało być dostatecznym powodem do narażania się na niebezpieczeństwo.

– Wierz mi, pani, chcąc spełnić twoje rozkazy, nieraz zaczynałem rozmawiać z niektórymi z nich, co mi się wydawali najmniej występni. Ach, gdybyś wiedziała, co za język! Co to za ludzie!

– Niestety! Prawda, to muszą być okropni ludzie!

– Pytała pani o przyczynę mego przygnębienia; teraz ją znasz, nie chciałem ci o tym mówić, ale tylko tym mogę ci okazać wdzięczność za tyle dowodów litości. Wyznaję więc ze strachem, że sam siebie nie poznaję. Brzydzę się tymi złoczyńcami, uciekam od nich, wszystko na nic, ich towarzystwo wywiera na mnie wpływ, któremu się nie mogę oprzeć, zdaje mi się, że wchłaniam zepsucie, oddychając tym samym powietrzem co oni. O! Poznałem swoją słabość, swoją nikczemność!

– Słabość! Nikczemność! Co pan mówi? Jakie masz o sobie wyobrażenie?

– Alboż nie jest nikczemnością targować się z sumieniem? Gdy słyszę, jak ci złodzieje i mordercy mówią o swoich zbrodniach z dziką obojętnością, ze zwierzęcą dumą, zazdroszczę im niekiedy tej obojętności, chcę się śmiać z wyrzutów sumienia, co mnie dręczą za błąd, tak mało znaczący w porównaniu z tym, co oni zrobili.

– Ale kiedy stąd wyjdiesz?

– To nic nie zmieni. Co ludzie mnie znają i kiedy wyjdę z więzienia i spotkają mnie, będą mówili do mnie jak do dawnego towarzysza, będą mnie straszili. Widzisz więc, że łączą mnie z nimi przekłete więzy. A jednak zamiary moje były czyste. Właśnie dlatego, że mnie chcieli zrobić zbrodniarzem, rozkosz niewypowiedzianą znajdowałem, mówiąc sobie: „Nigdy nie zboczyłem z prawej drogi, a mnie przyszło to trudniej niż komukolwiek”. Teraz zaś! Ach, niedostatek!...

Gorzkie łkania stłumiły ostatnie słowa Germaina. Rigoletta otarła łzy i rzekła do Germaina czule i niemal uroczyście:

– Niech mnie pan posłucha, może to niezgrabnie powiem, nie umiem tak pięknie mówić jak pan, ale co powiem, będzie prawdziwe i szczerze. Po pierwsze, niesłusznie uskarżasz się, że jesteś opuszczony, samotny...

– O! Nie myśl, pani, że zapominam, ile mi okazałaś litości!

– Przed chwilą, kiedy użyłaś słowa „litość”, nie przerywałam panu, ale ponieważ powtarzasz to teraz, muszę ci powiedzieć, że to, co dla ciebie czuję, nie jest bynajmniej litością.

– Jak to?

– Pozwól mi skończyć. Kiedy musiałeś opuścić dom, w którym mieszkaliśmy, rozstanie z tobą zasmuciło mnie bardziej niż utrata którego bądź z poprzednich sąsiadów.

– Więc pani robiła różnicę między mną a innymi swoimi sąsiadami?

– A pewnie. Mówiłam sobie: „Nie ma lepszego człowieka od pana Germaina. szkoda tylko, że trochę za poważny, ale mniejsza o to. Gdybym miała przyjaciółkę, co by szukała prawdziwego szczęścia w małżeństwie, radziłabym jej wyjść za pana, bo z panem dobra żona miałaby raj”.

– Pani myślała o mnie dla drugiej – rzekł Germain, wzdychając mimo woli.

– Tak, wtedy cieszyłabym się, gdyby się pan dobrze ożenił, bo kochałam cię tylko jak brata. Widzi pan, że mówię zupełnie szczerze.

– A ja dziękuję z głębi serca, pociecha to dla mnie, żeś przekładała mnie nad innych.

– Później jednak, kiedy pan popadł w nieszczęście, dostałam list, w którym mi opowiedziałeś o swoim występku, a ja, dziewczyna nieuczona, uznałam go po prostu za piękny i dobry uczynek. Czy można się dziwić, że poznając twoje tak szlachetne postępowanie, pokochałam cię od razu. Mogło być inaczej?

Rigoletta wymówiła te ostatnie słowa z taką prostotą i szczerością, że więzień nie chciał wierzyć, aby to tak wyraźne wyznanie było wyznaniem miłości. Zarumienił się, potem zbladł.

– Pani mnie kocha! Kochasz mnie!

– No pewnie, musiałam to panu sama powiedzieć, kiedy mnie nie pytasz.

– Czy podobna!

– Ach, mój Boże! Co panu jest? – zawołała Rigoletta, widząc, że Germain zakrywa twarz rękoma. – Nie bądź taki okrutny! Cokolwiek powiem, cokolwiek zrobię, zawsze jesteś równie zmartwiony, to już za wiele egoizmu! Myślałby kto, że pan jeden tylko cierpisz nad swoim nieszczęściem!

– Niestety! – zawołał Germain w rozpacz. – Kochasz mnie, kiedy już nie jestem ciebie godny. Dawniej byłoby to zniszczeniem najdroższych moich marzeń! Ale teraz, kiedy ciąży na mnie oskarżenie, kiedy mogę być skazany na hańbiącą karę, ja miałbym nadużywać szlachetności, twojej miłości, która cię zaślepia! Nie!

– Co pan wygaduje! – zawołała Rigoletta z niecierpliwością. – Ile razy mam panu powtarzać, że czuję dla ciebie nie litość! Myślę tylko o tobie! Nie jem, nie śpiam. Twoja twarz, smutna i droga, wszędzie mi towarzyszy. I teraz, kiedy wiesz, że cię kocham jak przyjaciela, jak kochanka, jak męża, czy jeszcze powiesz, że to litość?

Szlachetne wahanie Germaina ustąpiło na chwilę przed tak prostym i serdecznym wyznaniem.

– Kochasz mnie! – zawołał. – Wierzę ci, twój głos, twoje spojrzenie, wszystko mnie przekonywa. Ale jestem więźniem, jestem oskarżony o kradzież, będę skazany na karę, może hańbiącą. I mam przyjąć ofiarę! Korzystać z twego szlachetnego uniesienia? O, nie, nie, takiej podłości się nie dopuszczę! Mogę być przecież skazany na kilkuletnie więzienie.

– I cóż stąd? Zobaczą, że jestem uczciwa dziewczyna, i dadzą nam ślub w kaplicy więzienia.

– Może mnie wyślą gdzie daleko od Paryża?

– Zostawszy swoją żonę, pójdę za tobą, zamieszkać w mieście, gdzie ty będziesz.

– Ale będę zhańbiony w oczach świata!

– Przecież kochasz mnie nade wszystko.

– Ale świat ciebie potępi za taki wybór.

– Ty dla mnie, ja dla ciebie jesteśmy światem.

– A wreszcie, jak wyjdę z więzienia, będę biedny, może nie znajdę nigdzie pracy...

– No, skoro nie mogę cię przekonać, skoro odrzucasz szczerą ofiarę serca biednej dziewczyny...

Germain przerwał jej z namiętym uniesieniem:

– Przyjmuję! – zawołał. – Przyjmuję! Są ofiary, których niepodobna odrzucać.

– Więc przyjmujesz? Nie cofniesz słowa?

– Nigdy! Nigdy! Moja przyjaciółko, moja żono!... Wraca mi odwaga, nie wątpię już w siebie, widzę, że się myliłem.

– O! Germainie, jakiś ty piękny, kiedy tak mówisz. Uspokajasz mnie... Teraz daj słowo, że nie będziesz się już bał mówić z tymi ludźmi, zbliżysz się do nich, żeby cię przestali nienawidzić.

– Zrobię wszystko, co każesz...

– Nie będą cię mieli w podejrzeniu, a ja będę spokojniejsza. Teraz należysz do mnie, jestem twoją żoną.

Wtem dozorca poruszył się, obudzony ze snu.

– Prędeż – szepnęła Rigoletta z uśmiechem – pocałuj mnie w czoło, to będą nasze zaręczyny. – I rumieniąc się, oparła głowę o żelazną kratę.

Germain, głęboko wzruszony, dotknął ustami jej czystego czoła.

– Ho, ho, już trzecia godzina – rzekł dozorca, wstając – a odwiedzający powinni odejść o drugiej. No, panienko, nie ma rady, trzeba iść.

Germain, biorąc szalik z rąk Rigoletty, rzekł do niej, wzruszony:

– Bądź zdrowa, do widzenia wkrótce. Teraz już nie obawiam się prosić cię, żebyś przyszła jak najprędzej.

– A ja chętnie przyrzekam. Do widzenia, Germainie, a używaj tego szalika, tu wilgoć, możesz się przeziębć.

– O! Zawsze będę go nosić – odpowiedział Germain.

W kilka minut później Rigoletta wychodziła na ulicę daleko weselsza, niż przyszła.

Podczas jej rozmowy z Germainem zaszły na jednym z dziedzińców więzienia inne wypadki, tam więc zaprowadzimy czytelnika.

XXXVII

Jaskinia Lwów

Powiedzieliśmy w jednym z poprzednich rozdziałów, że widok gmachu więziennego nie jest wcale przykry ani ponury. Natomiast widok samych więźniów sprawia najprzykrzejsze wrażenie.

Wprowadzimy czytelnika na jeden z oddziałów więzienia La Force, przezwany Jaskinią Lwów, gdzie zwykle siedzą najdziksi zbrodniarze, obciążeni najcięższymi oskarżeniami.

Oddać te fizjonomie, odstręczające fizycznie i moralnie, zdołałby chyba tylko wielki malarz; frenolog miałby obszerne pole badań: tu znalazłby zdradziecką przebiegłość lisa, tam krwawą chciwość drapieżnego ptaka, ówdzie znowu tygrysią srogość.

Podczas gdy dozorca pilnował spacerujących, pod przewodnictwem więźnia nazywanego Szkieletem odbywała się swego rodzaju narada.

Szkielet – wysoki, może czterdziestoletni mężczyzna – całkowicie usprawiedliwiał swój dziwny przydomek: był tak chudy, że wydawał się złożony z samych kości. Mimo to posiadał nadzwyczajną siłę; najmocniejsi z towarzyszków z trudem wytrzymywali uścisk jego długich, pozbawionych mięśni ramion, rąk i palców. Odsiedział piętnaście lat na galerach za kradzież i usiłowanie zabójstwa i natychmiast po wypuszczeniu schwytano go znowu na gorącym uczynku; popełnił morderstwo. Nie miał więc żadnej nadziei, wiedział, że z całą pewnością zostanie skazany na śmierć.

Ten właśnie człowiek rozmawiał z kilku więźniami, między którymi znajdowali się Barbillon i Mikołaj Martial.

– Jesteś tego pewny? – pytał Szkielet Mikołaja.

– Sto razy ci mówiłem, że to pewne. Stary Micou słyszał to od Koślawca, który już chciał raz zabić tego filuta za to, że kogoś tam wydał.

–No to zrobić z nim koniec! – dodał Barbillon. – Szkielet już dawno gada, że temu barankowi Germainowi trzeba dać dobrą nauczkę, aż do krwi. Szkielet wyjął fajkę z ust i rzekł cicho:

– Germain nie łączył się z nami, przeszkadzał nam, szpiegował nas; bo im mniej kto mówi, tym więcej podsłuchuje, trzeba go było zmusić, żeby się więcej nie pokazywał w Jaskini Lwów. Gdybyśmy mu raz krew puścili, wzięliby go stąd.

– No to dalej – przerwał Mikołaj – czemu tego nie zrobić?

– Dlatego – odpowiedział Szkielet – że jeżeli kogoś wydał, to nie można mu tego puścić płazem, trzeba dać przykład, przez takich teraz wszyscy ginie. Takie niewiniątka wykończyły już Jakuba, Gauthiera i Roussillona.

– A ja? Moja matka? Tykwa? Mój brat z Tulonu? – zawołał Mikołaj. – Czy nas wszystkich nic wykończył Czerwony Janek?

– Trzeba położyć koniec tej zarazie – przerwał Szkielet – trzeba przykładu! Fałszywi bracia przyjmują na siebie – obowiązki policji. Muszą dostać za swoje. Jak się zaszlachtuje pięciu albo sześciu, to reszta będzie trzymać język za zębami.

– Dobrze mówisz. Szkielecie – rzekł Mikołaj – trzeba Germainowi dać nauczkę.

– Biorę to na siebie.

– Ale czym? Odbierają nam noże.

– A te kleszcze? Wsadziłbyś tu szyję? – spytał Szkielet, pokazując swe długie, suche i twarde jak żelazo palce.

– Udusisz go? A jak się dowiedzą, że to twoja sprawka?’

– Mniejsza o to, przecież nie mam dwóch głów.

– Prawda, tylko raz mogą cię ściąć, a i tak cię czeka gilotyna.

– A wiecie co – rzekł jeden z więźniów – słyszałem, że mają zamiar powsadzać nas w osobne cele.

– Zamknąć osobno! – zawołał Szkielet z trwogą i gniewem. – Nie! To już bym wołał, żeby mi ucięli nogi i ręce! Siedzieć sam jeden w czterech ścianach, nie mieć przyjaciela, z którym by się można pośmiać. To niemożliwe!

– A jeśli zabójców przestaną gilotynować i będą zamykać w celi na całe życie?

Szkielet zastanowił się.

– To już nie wiem, co bym zrobił – rzekł po chwili namysłu. – Roztrzaskałbym sobie głowę o ścianę, zamorzyłbym się głodem. Nie jestem tchórz! Gotów jestem człowieka zabić za pieniądze, a nawet tylko dla honoru.

–I ja także! – dodał Barbillon, chcąc się pochwalić. – Wszyscy wiedzą, że zabiłem męża mleczarki, ale on nic był jedyny...

Hałas i głośnie okrzyki więźniów spacerujących po dziedzińcu przerwały rozmowę.

Mikołaj Martial zerwał się żywo i podbiegł do wejścia, żeby zobaczyć, co się stało.

– Koślawiec przyszedł! – rzekł, wracając na środek sali.

Koślawiec – kulawy grubas, którego przybycie wywołało radosne okrzyki mieszkańców Jaskini Lwów, a którego zeznanie mogło być bardzo groźne w skutkach dla Germaina – był mimo swego kalectwa i tuszy zwinny i silny. Przyprowadził ze sobą młodego, może trzydziestoletniego mężczyznę; ten, chociaż podobnie jak Koślawiec silił się na zuchwałość i obojętność, czasem jednak zachmurzał się i gorzki uśmiech wykrzywił mu usta.

– No, mamy cię wreszcie, grubasie! Teraz się uśmiejemy.

– Brakowało nam ciebie.

– Zrobiłem wszystko, co mogłem, żeby się znowu dostać do przyjaciół.

– Zawsze miałaś szczęście! A wiesz, że tu jest Pique-Vinaigre?

– A, stary znajomy! Doskonale! Będzie nam opowiadał swoje historyjki, a słuchaczy nie zabraknie. Widziałem nowych w kancelarii. Jak się masz, Cardillac! – dodał Koślawiec, widząc nadchodzącego więźnia ubranego w łachmany. – Jak ci idzie, stary? Zdrów jesteś?

– A jakże, ale jak się tu dostałeś? – zapytał Cardillac.

– Za drobnostkę, kochanku, za zwykłą kradzież. Ostatni interes nie udał się nam.

– Więc i Frank tu jest? – rzekł Cardillac. – A prawda, otóż i on. A ja myślałem, bracie, że już zostałeś gdzie merem. Zdaje się, że chciałeś być uczciwy?

– Byłem głupi i teraz mam za swoje – odparł Frank opryskliwie – teraz już do śmierci będę kradł.

– I co ci się przydarzyło? – zapytał Cardillac.

– To, co się zdarza każdemu więźniowi wypuszczonemu po odsiedzeniu kary, któremu się zechce być uczciwym. W więzieniu zarobiłem dużo pieniędzy, dziewięćset franków, odesłali mnie do Etamps pod dozór policji. Jestem ślusarzem, w Etamps idę do majstra i mówię mu: „Wypuścili mnie z więzienia, masz tu 900 franków moich własnych, a daj mi robotę, bo chcę pracować i być uczciwym”. Majster mi mówi: „Nie jestem bankierem, żeby brać pieniądze na procent, a wypuszczonego z więzienia nie chcę; mieć w swoim warsztacie. Zatem bywaj zdrów”. W Etamps jest wszystkiego czterech ślusarzy. Pierwszy odpowiedział innym, jak mnie odprawił, i żaden nie chciał mnie przyjąć. Siedzę na bruku miesiąc, dwa miesiące, pieniądze leżą, wiecznie tak być nie mogło. No więc uciekam z Etamps do Paryża i znajduję robotę u majstra, który nie wiedział, kim jestem. Wtem spotyka mnie Koślawiec.

– Tak, spotykam go – przerwał Koślawiec – właśnie kiedy mi się najbardziej mógł przydać; Frank robił klucze, a mnie trzeba było właśnie kluczy. Proponuję mu interes, on ani słu-

cha. Chce pozostać uczciwy. Więc piszę anonim do majstra. Wygnali go, poszedł do drugiego, płatom mu tego samego figla.

– O, gdybym był wiedział, że to ty pode mną dołki kopiesz – zawołał Frank – zapłaciłbym ci! Zostawszy na bruku, mówię sobie: „Szczęście, że mam pieniądze, mogę czekać na robotę”. Idę do depozytariusza Boularda, on strwonił moje 700 franków, nie dostałem ani szeląga! Wściekłość mnie ogarnęła, byłem bez roboty i bez grosza. Koślawiec mi się nawinał; no to zgoda, zrobiłem wszystko, czego chciał.

– A to była piękna robota! – zawołał Koślawiec. – Na nieszczęście nie udało się.

Cardillac odprowadził grubasa na bok.

– Czy ten interes jeszcze jest do zrobienia?

– Jak byś zgadł.

– Ile chcesz za niego?

– Sto franków gotówką zaraz, a jeżeli się uda, piąta część zysku dla mojej baby.

– Niezbyt drogo... niech ci będzie!

W układach tego rodzaju złoczyńcy wiernie dotrzymują słowa. Inaczej naraziliby się na niebezpieczeństwo, że oszukany współnik ich wyda.

– A masz czym zapłacić? – spytał Koślawiec. – Musisz mi dać zadatek.

– Masz – odpowiedział Cardillac, odrywając guzik od kurtki. Obdarł wierzch guzika i wyjął z niego czterdziestofrankową sztukę złota.

– Kto jest u was starostą? – zapytał Koślawiec.

– Szkielet.

Szkielet wysłał właśnie Barbillona na dziedziniec; miał tam namówić więźniów, żeby wszczęli awanturę i zajęli tym uwagę dozorców.

Szkielet, wyjmując fajkę z zębów, zapytał Koślawca:

– Słuchaj no, znasz chłopaka, co się nazywa Germain? Szatyn, ma niebieskie oczy.

– Germain tu? – krzyknął grubas i na jego twarzy odmalowały się zarazem zdziwienie, nienawiść i gniew.

– To znasz go?

– Czy go znam! Ludzie, to niebezpieczny typek. Już niejednego wykończył! Trzeba mu puścić krew.

– Tak, tak, trzeba! – wołali więźniowie.

– Ale czy jesteś pewny, że to on wykończył? – zapytał Frank. – Gdybyś się mylił? Bo na co męczyć niewinnego?

Uwaga ta nie spodobała się Szkieletowi. Rzekł jednak do Koślawca: – Masz dowody?

– Słuchajcie: jeden facet wypuszczony z galer, nazwiskiem Velu, wychował Germaina, którego rodzice są nieznani, i umieścił go w Nantes, w kantorze bankiera, w nadziei, że Germain kiedyś pomoże mu okraść kasę swojego pana. Wszystko było ułożone jak najlepiej, kiedy Velu wyłożył swój plan Germainowi, ten zaś, nie powiedziawszy ani tak, ani nie, natychmiast ostrzegł bankiera i jeszcze tego wieczoru uciekł do Paryża.

– Ano, to trzeba z nim skończyć – rzekł twardo Szkielet – doskonała okazja, będziemy sami swoi...

– Czeka! – przerwał Cardillac. – A jeśli tu przyjdzie komornik Boulard?

– Ten sam! – zawołał Frank ściskając pięści. – To on mi skradł pieniądze. O, temu to się naprawdę należy. Lepiej byście mi pomogli mu dać w kość, a zostawili w spokoju tego biednego Germaina, który widać, że nie chce i nie może kraść. Cóż to nam może przeszkadzać?

Te słowa nie były w smak Szkieletowi. Zezowatymi oczami popatrzył przeciągle na Franka, a potem, nachylając się do Koślawca, szepnął mu na ucho:

– Ten bubek gotów jeszcze ostrzec dozorcę.

– Nie robi tego, ręczę, ale mogłoby mu się zechcieć bronić Germaina, lepiej go wyprawić.

- To wystarczy – odparł Szkielet i dodał głośno. – No, Frank, więc dzisiaj pokażesz komornikowi, jak to się robi z oszustami?
- Zobaczysz, niech tylko przyjdzie, pokażę mu, co umiem.
- Pobiją się – rzekł cicho Szkielet do grubasa – narobią hałasu; komornika odeślą do celi, a Franka zamkną.
- Co za łeb! Jaki rozum u tego Szkieleta – rzekł bandyta z podziwem. Potem dorzucił głośno: – Czy powiedzieć Pique-Vinaigre'owi, że jego historyjka ma nam pomóc obalamucić dozorcę i sprzątnąć Germaina?
- Nie! Pique-Vinaigre to tchórz.
- Zadzwoniono na obiad.
- Do miski, psy! – zawołał Szkielet. – Pique-Vinaigre i Germain zaraz nadejdą. Bacność, przyjaciele, niedługo nam żyć, ale Germain umrze prędzej ode mnie.

XXXVIII

Bajarz

Nowy więzień miał szarą bluzę i niebieską czapkę; pilnie słuchał był narady więźniów i energicznie popierał spisek przeciw Germainowi. Wszedł z sali wraz z innymi i zniknął w grupie więźniów cisnących się naokoło przyniesionego obiadu. Szkielet spokojnie zabierał się do jedzenia, bynajmniej nie wyprowadzony z równowagi myślą o zabójstwie, które zamierzał popełnić.

– Idź po Pique-Vinaigre'a – rozkazał Mikołajowi – bo się na niego nie doczekamy.

Mikołaj wszedł. W tejże chwili pan Boulard wszedł na dziedziniec; palił cygaro, dobroduszny uśmiech rozlewał się na jego rumianej twarzy.

Frank nagle się odwrócił. Komornik stanął osłupiały. Frank zaś, rzucając chleb i mięso na ławę, skoczył do komornika i chwycił go za gardło, krzycząc:

– Oddaj pieniądze!

– Co, jak? Panie... zadusisz mnie... ja...

– Jeżeli pójde na galery, słyszysz, to twoja wina: bo gdybym miał pieniądze, któreś mi skradł, nie musiałbym kraść, popamiętasz moje pięści! Masz! Masz! Czy dosyć? Masz jeszcze!

Więźniowie, podnieceni i rozjątrzeni, zaczęli krzyczeć:

– Zabić go! Zakatrupić! Puścić mu krew!

Frank nie przestawał mścić się na Boulardzie.

– Gwałtu! Ratuj! – krzyknął Boulard, tarzając się u nóg Franka, który go niemiłosiernie okładał pięściami.

Reszta więźniów z zupełną obojętnością stała wkoło, przyglądając się bójce, zresztą jednostronnej, gdyż Boulard, zadyszany i przerażony, nie bronił się wcale, usiłując się tylko zastaniać od razów przeciwnika. Szczęściem na krzyk komornika nadbiegł dozorca i wydobył go z rąk Franka. Boulard, z podbitym okiem, wstał podbiegł do furty, krzycząc:

– Otwierać! Ani minuty dłużej tu nie zostanę!

– A ty za karę – rzekł dozorca do Franka – chodź ze mną do dyrektora, posiedzisz w zamknięciu.

Kiedy Frank wychodził z dziedzińca, nadeszli Germain i Pique-Vinaigre. Germain zmienił się nie do poznania; twarz jego, zawsze ponura, jaśniała radością i dumą; spojrzenie było wesołe i pewne, wiedział, że jest kochany, nie doskwierało mu już tak życie w więzieniu. Pique-Vinaigre szedł za nim zakłopotany: chciał mu coś powiedzieć nie śmiał. Wreszcie zdobył się na odwagę i lekko trącił go w ramię:

Germain stanął i zapytał zyczliwie:

– Czy chcesz coś ode mnie?

– Podziękować panu.

– Za co?

– Za łaskę okazaną mojej siostrze przez tę ładną panienkę, co pana odwiedza.

– Nie rozumiem – rzekł Germain zdziwiony.

– Zaraz panu wyjaśnię. Właśnie byłem w rozmównicy. Idę tam, dozorca mi mówi: „Pique-Vinaigre, zna pan Germaina? Ta ślicznotka, co przychodzi go odwiedzać, okazała się bardzo łaskawa dla twojej siostry; słyszała waszą rozmowę, zlitowała się nad jej nieszczęściem i obiecała jej pomóc”.

– Droga Rigoletta! – zawołał Germain rozrzuwiony. – I ani słowa mi o tym nie wspomniała.

– „Teraz staraj się odwdziżyć Germainowi”, rzekł mi dozorca; „powiedz mu, że ma dobre nowiny: jutro będzie wolna cela, może ją dostać”.

– O! Jak się cieszę! – zawołał Germain. – Prawda, że to dobra nowina!

– Rozumiem, dlaczego się pan cieszy – odparł Pique-Vinaigre. – Bo nie będzie pan między nimi. Ale uważaj, tamci patrzą na nas i dziwią się, że tak długo rozmawiamy. Miej się na baczności.

– Dziękuję ci, mój pocziwczu, będę ostrożny – rzekł Germain i rozeszli się. Pique-Vinaigre znał niechęć więźniów do Germaina, nie wiedział jednak o ich nowym planie.

– A! Rozmawiałeś z Germainem? – zapytał Szkielet, wpatrując się w bazarza.

– A tak, właśnie. Ależ to dureń! Gadali mi, że on nas szpieguje, ale gdzie tam!

– Tak ci się zdaje? – rzekł Szkielet, wymieniając znaczące spojrzenie z Mikołajem i Barbillionem.

– Jestem pewien! Zresztą niedługo będzie szpiclował, dadzą mu osobną celę.

– Kiedy? – zawołał Szkielet.

– Jutro z rana.

– Więc widzisz – szepnął Szkielet Mikołajowi – trzeba go sprzątnąć, nie mamy czasu do stracenia; jutro będzie późno.

– Tak – rzekł Mikołaj w odpowiedzi. I dodał głośno: – A mnie się zdaje, że on nami pogardza.

– Ale, skąd! – odparł Pique-Vinaigre. – On nie śmie podejść do was. W porównaniu z wami ma siebie za ostatniego z ostatnich. Wiecie, co mi teraz mówił? „Szczęśliwy jesteś, Pique-Vinaigre”, powiada, „że możesz rozmawiać z takim zuchem jak Szkielet! Chciałbym go poznać, ale nie mam odwagi”.

– Naprawdę ci tak powiedział? – zapytał Szkielet, udając, że bardzo mu pochlebia mniemane poważanie. – No to zgoda z nami. Barbillion chciał z nim szukać zaczepki, ale lepiej zrobi, jak mu da pokój.

– O, pewnie, że lepiej! – przytaknął Pique-Vinaigre, przekonany, że odwrócił niebezpieczeństwo od Germaine'a. – Zresztą niełatwo by go wciągnąć w bójkę, odważny jak zajac.

– Ale trochę mi szkoda – rzekł Szkielet. – Myślałem, że się zabawimy przy tej awanturze.

– No więc co będziemy robić? – spytał Mikołaj.

– Niech Pique-Vinaigre opowie nam bajkę – podchwycił Barbillion – to ja nie będę zaczepiał Germaine'a.

– Dobrze, to pierwszy mój warunek, ale stawiam drugi. Żeby szanowne towarzystwo, pełne kapitalistów – wołał Pique-Vinaigre tonem jarmarcznego kuglarza – raczyło złożyć się i zapłacić mi cokolwiek. Żądam dwudziestu sous, panowie, za zaszczyt słyszenia sławnego Pique-Vinaigre'a, który miał honor opowiadać bajki przed najznakomitszymi rabusiami Francji i Nwarry, a który zabawi tu krótko, gdyż wybiera się w drogę do Brestu lub Tulu.

– Zgoda, założymy się, dostaniesz dwadzieścia sous.

– Potem? Nie, pieniądze z góry.

Co ty sobie myślisz – rzekł Szkielet oburzony – że ci skręcimy dwadzieścia sous?

– Bynajmniej, zaszczytam godne towarzystwo zupełnym zaufaniem i żądam pieniędzy z góry tylko dlatego, żeby was nie narażać na większy wydatek. Bo po mojej bajce będziecie tak zadowoleni, że zechcecie mi dać nie dwadzieścia sous, ale dwadzieścia franków. Więc zgoda? Opowiem wam bajkę o Rzeziłbie, ale dacie mi dwadzieścia sous, a Barbillion zostawi w spokoju Germaina.

– Zgoda, zgoda – odpowiedział Szkielet.

– A więc otwórzcie uszy, a usłyszycie dziwy nie lada. O, ale i deszcz zaczyna padać, publiczność zbierze się sama na sali.

Deszcz zagnał do sali i więźniów, i dozorcę. Pośrodku, przy piecu, umieścił się Szkielet, Mikołaj, Barbillion i Pique-Vinaigre. Na skinienie kapitana Koślawiec przyłączył się do tej grupy. Pograżony w słodkim rozmarzeniu, jeden z ostatnich wszedł Germain i swoim zwyczajem siadł daleko od pieca.

Mówiliśmy już, że wśród więźniów może piętnastu wiedziało, o co obwiniają Germaina i jak chcą się z nim rozprawić. Tylko Germain, Pique-Vinaigre i dozorca nie podejrzewali niczego.

– Tylko dwadzieścia sous, panowie! – krzyknął bazarz. – Pół darmo! Więcej niż pół darmo!

– Daję dwa sous – rzekł Szkielet i rzucił pieniądz.

Kilka monet spadło z rozmaitych stron ku niemałej radości Pique-Vinaigre'a, który zbierając składkę, myślał o siostrze.

– Brak tylko siedmiu sous do dwudziestu, siedem sous, taka bagatelka. Jak to, panowie, pozwolicie, żeby powiedziano, że towarzystwo z Jaskini Lwów nie mogło wygrzebać jeszcze siedmiu sous?

Przenikliwy głos Pique-Vinaigre'a obudził Germaina z zadumania. Chcąc się zastosować do rad Rigoletty, wstał i rzucił bazarzowi pół franka. Ten, wskazując Germaina, zawołał:

– Dziesięć sous, panowie! Sami widzicie, mówiłem o kapitalistach. Uszanowanie dla jegomości, co się znalazł jak bankier, żeby zrobić przyjemność szlachetnemu zgromadzeniu.

– No, nie gadaj tyle i zaczynaj – rzekł Szkielet.

– Zaraz, panowie – odparł Pique-Vinaigre. – Sama sprawiedliwość każe, żeby kapitalista, co dał dziesięć sous, zajął lepsze miejsce, rozumie się – po naszym kapitanie.

Ta propozycja tak odpowiadała zamiarom Szkieleta, iż natychmiast się zgodził.

– Widzisz, młodzieńcze – rzekł Pique-Vinaigre do Germaina – twoja szlachetność została nagrodzona, zacne towarzystwo uznaje, iż masz prawo do pierwszego miejsca.

Sądząc, iż tym małym datkiem istotnie zyskał niejaką życzliwość, Germain opuścił swoje ulubione miejsce w kącie i zbliżył się do bazarza.

Pique-Vinaigre, stojąc przy piecu, chce zacząć opowiadanie. Obok stoi Szkielet, nie spuszcza oka z Germaina, gotów rzucić się na niego, skoro tylko dozorca opuści salę. W pewnym oddaleniu od Germaina siedzą: Mikołaj, Barbillion, Cardillac i inni więźniowie, a w ich liczbie mężczyzna w szarej bluzie i niebieskiej czapce. Pozajmowali ostatnie ławki. Reszta więźniów siedziała na kamiennej posadzce, inni oparli się o ścianę. Dozorca, którego odejście miało być hasłem do wszczęcia awantury, oparł się w na wpół otwartych drzwiach.

– Można zaczynać? – zapytał Pique-Vinaigre.

Szkielet zawołał:

– Milczeć, słyszycie! A ty zaczynaj.

Wszystko umilkło.

XXXIX

Gringalet i Rzeziłeb

Pique-Vinaigre zaczął swą historię wśród najgłębszej ciszy słuchaczy.

– Historia, którą opowiem szlachetnemu zgromadzeniu, zdarzyła się dawno, dawno temu. W owym czasie na miejscu, które dziś zajmują ulice du Rocher i de la Pepinière, stały drewniane domki. Cité, dobrze znane słuchaczom, nie składa się, jak wiadomo, z pałaców, a jednak w porównaniu z miejscem, o którym mówię, mogłoby się nazywać siedliskiem wspaniałości i przepychu. Był to kąt miasta niezmiernie brudny i niezmiernie ludny. Mieszkało tu mnóstwo katarynkarzy, pajaców i pokazujących różne zwierzęta. Między właścicielami takich zwierząt był jeden, sławny ze swej złośliwości, nade wszystko zły dla dzieci. Nazywał się Rzeziłeb, bo podobno kiedyś w gniewie uciął siekierą głowę młodemu Sabaudczykowi.

Gdy Pique-Vinaigre domawiał tych słów, zegar więzienny wybił kwadrans na czwartą. Ponieważ więźniowie o czwartej odchodzili do sypialni, należało więc zamierzonej zbrodni dokonać przed tym czasem.

– Do pioruna! – szepnął cicho Szkielet Koślawcowi. – Dozorca nie rusza się z miejsca.

– Bądź spokojny, niech tylko bajarz się dobrze rozgada.

Pique-Vinaigre ciągnął dalej:

– Nikt nie wiedział, skąd się wziął Rzeziłeb; jedni mówili, że jest Włochem, inni brali go za Turka. Powiadali, że jest czarnoksiężnikiem, bo wszędzie prowadził ze sobą wielką, rudą małpę, która nazywała się Gargussa, a była tak psotna i zła, jakby sam diabeł w niej siedział. Co się tyczy Rzeziłba, odmaluję państwu jego fizjonomię: miał cerę żółtą jak marchew, włosy rude, oczy zielone, a język... (otóż właśnie dlaczego razem z babami wierzę, iż musiał być czarnoksiężnikiem) ...język czarny.

– Czarny język? – przerwał Barbillon. – A to skąd?

– Bo matka jego, będąc brzemienna, zapewne musiała mówić o Murzynie – objaśnił Pique-Vinaigre ze skromną powagą. – Prócz tych wdzięków Rzeziłeb posiadał jeszcze niezliczoną ilość żółwi, małp, świnek morskich, białych myszy i lisów, i tyłuż małych Sabaudczyków, opuszczonych sierot. Co dzień rano Rzeziłeb dawał każdemu dziecku jedno zwierzę, kawał razowego chleba i marsz w drogę na zarobek! Jeżeli które przyniosło wieczorem do domu mniej niż piętnaście sous, było bite tak niemiłosiernie, że krzyk dzieci słyszano aż na trzeciej ulicy. Trzeba wam wiedzieć, że owa kupa drewnianych domków miała swojego dziekana, który, najpierw zamieszkawszy w tej części miasta, był tu jakby burmistrzem, merem, sędzią pokoju, a raczej wojny, bo na jego dziedzińcu (miał szynk) i w jego obecności odbywały się bójki, kiedy wyczerpano inne sposoby porozumienia się. Dziekan, choć już stary, był silny jak byk i wszyscy się go bali. Kiedy powiedział, że coś jest dobrze, wszyscy powtarzali: bardzo dobrze! Kiedy powiedział: źle, wszyscy mówili: źle. W gruncie rzeczy był to najlepszy człowiek w świecie, tylko czasem straszny, mianowicie kiedy widział, że mocniejsi uciskają słabszych. Będąc sąsiadem Rzeziłba, słyszał krzyki bitych dzieci i powiedział mu: „Jeżeli jeszcze usłyszę, że dzieci krzyczą, tak ci dołożę, że i ty pokrzyczysz, a że masz głos mocniejszy od nich, więc i ja będę mocniej walić”.

– Ale mu dobrze powiedział! To mi się podoba! – przerwał więzień w niebieskiej czapce.

– I mnie też – dodał dozorca, zbliżając się.

Szkielet zatrząsł się z gniewu i niecierpliwości.

– Dzięki groźbom dziekana – mówił dalej Pique-Vinagre – krzyki dzieci odtąd umilkły, ale biedactwa nie mniej były męczone, bo jeśli nie krzyczały, to tylko ze strachu, że je Rzeziłeb jeszcze mocniej obije. Dzieci i zwierzęta spały pokotem na jednej słomie na poddaszu, dokąd wchodziło się po drabinie; kiedy cały komplet już się zebrał na strychu, Rzeziłeb zabierał drabinę i zamykał drzwi na klucz. Sam sypiał w izbie pod nimi, mając wielką małpę Gargusę przywiązaną do łóżka.

Zawsze miewał z piętnaścioro dzieciaków na usługach, a niektóre z nich przynosiły mu czasem do dwudziestu sous dziennie; zarabiał więc około czterech do pięciu franków, a za te pieniądze upijał się, bo był to pijak co się zowie, a mówił, że to robi dla zdrowia.

Pomiędzy dziećmi Rzeziłba – mówił Pique-Vinagre – było biedne i drobne stworzenie, nazywało się Gringalet. Bez ojca i matki, bez brata i siostry, bez przytułku, bez schronienia, jeden na świecie, chłopak ten nie miał nikogo, co by się nim zajął; nędzny, chudy, chorowity, wyglądał na siedem lat, a miał już trzynaście; jadał zwykle tylko raz na dwa dni, i jeszcze tak mało, że dziwne, iż wyglądał na siedem lat...

– Biedny berbeć, zdaje mi się, że go widzę – rzekł więzień w niebieskiej czapce – tyle jest w Paryżu podobnych dzieci, co mrą z głodu.

– Przekłety gaduło! – krzyknął Szkielet. – Długo nas tu będziesz trzymał?

– Już mówię – odparł Pique-Vinagre. – Pewnego dnia Rzeziłeb zabrał Gringaleta z ulicy, kiedy dziecko było półmartwe z głodu i zimna. Gringalet, będąc słaby, był tchórzem, a że był tchórzem, więc stał się pośmiewiskiem i ofiarą innych chłopców; kiedy go bardzo męczyli, on mówił z płaczem: „Gdybym był duży i mocny, broniłbym słabych przeciw silniejszym, bo ja jestem słaby, a cierpiałem od silnych”. Tymczasem, nie mając jeszcze dosyć siły, żeby bronić słabych, a nawet samego siebie, zaczął od tego, że nie pozwalał większym zwierzętom pożerać mniejszych...

– Zabawny pomysł! – zawołał więzień w niebieskiej czapce.

W tej chwili zegar uderzył wpół do czwartej. Szkielet z gniewem spojrział na Koślawca. Czas uciekał, dozorca nie odchodził, a niektórzy z więźniów zapomnieli już prawie o zbrodniczych projektach przeciw Germainowi i zwrócili całą uwagę na opowiadanie.

– Powiedziałem – podjął Pique-Vinagre – że Gringalet nie pozwalał wielkim zwierzętom pożerać małych, ale nie trzeba przez to rozumieć, że się mieszał w sprawy naszych tygrysów, lwów lub wilków, albo nawet lisów i małp, będących w menażerii Rzeziłba, na to był zbyt wielkim tchórzem; ale kiedy zobaczył na przykład pająka czatującego na muchę, kijem rozdzierał pajęczynę, oswobadzał muchę i bohatercko zgniatał pająka. Dlatego też Gringalet, kiedy dla uratowania muchy przezwyciężał strach, jaki w nim wzbudzały pająki, okazywał się...

– ...okazywał się takim chwatem, jak kto inny, co by się rzucił na wilka, żeby mu wyrwać owcę z paszczy – wtrącił więzień w niebieskiej czapce.

– Albo jak człowiek, co by się porwał na Rzeziłba, żeby mu wydrzeć ze szponów biednego Gringaleta – dodał Barbillon.

– Właśnie to chciałem powiedzieć – podchwycił Pique-Vinagre. – Otóż po takich cudach waleczności Gringalet, co się nigdy nie śmiał, uśmiechał się, śpiewał i skakał.

Lecz szanowne zgromadzenie gotowe zapytać: „Pique-Vinagre, przyjacielu, jaką przyjemność znajdował Gringalet, którego wszyscy bili, w ratowaniu much, w zabijaniu pajaków? Jego wszyscy krzywdzili, czemuż się nie mścił, szkodząc innym i krzywdząc ich w miarę sił i możliwości?” Otóż Gringalet mówił sobie: „Rzeziłeb jest moim pająkiem; może kiedyś ktoś zrobi dla mnie to samo, co ja robię dla much: przerwie pajęczynę, w którą mnie uwikłał, i uwolni mnie z jego pazurów”. Kiedyś Rzeziłeb wytlukł chłopaka tak mocno, że Gringalet dłużej nie wytrzymał; kiedy Rzeziłeb karmił menażerię i drzwi poddasza były otwarte, spuścił się po drabinie i chciał uciec. Na nieszczęście Rzeziłeb dostrzegł go, chwycił za czuprynę i znowu zawlókł na poddasze. Tym razem Gringalet na samą myśl, co go czeka, drżał jak liść.

Tu jednak muszę panom wspomnieć o Gargussie, wielkiej małpie, ulubienicy Rzeziłba. Rzeziłeb nie wysyłał jej z domu na pokazywanie po ulicach, jak resztę swojej menażerii, bo małpa była tak zła, a przy tym silna, że rzucała się na ludzi i kasała do krwi. Nienawidziła chłopców i Rzeziłeb nie wysyłał jej na miasto.

– No, czas iść na obiad – rzekł dozorca, podnosząc się.

– Nareszcie idzie! – szepnął Szkielet Barbillonowi.

– A – zawołał Pique-Vinaigre, zadraśnięty do żywego – proszę pana, zaklinam cię, zostań do końca, to najwyżej na kwadrans! I tak już obiad ostygł.

– Niech ci będzie, zostanę, tylko gadaj prędzej.

Szkielet drżał z wściekłości. Tracił prawie nadzieję, że mu się uda dokonać zbrodni. Skoro wybijie czwarta i więźniowie odejdą do sypialni, Germain będzie ocalony, bo nie spał w izbie będącej pod rozkazami Szkieleta, a nazajutrz miał dostać osobną celę.

– Niechaj zacne zgromadzenie – odezwał się Pique-Vinaigre – samo osądzi, czy moja powieść głupia i nudna! Zaraz się dowiecie, co wymyślił Rzeziłeb, żeby ukarać Gringaleta za ucieczkę. Wziął go za czuprynę, zamknął z powrotem i mówi: „Jutro rano, kiedy inne chłopaki wyjdą na miasto, wezmę się do ciebie. Zobaczysz, co ja robię takim, którzy chcą uciekać ode mnie”. Łatwo sobie wyobrazić, jak straszną noc spędził nieborak Gringalet! Ciągłe myślał nad tym, co też Rzeziłeb z nim zrobi. Myślał i wreszcie zasnął. Nad rankiem upadł na kolana, płakał gorzkimi łzami i błagał towarzyszy, żeby mu pomogli przebłagać Rzeziłba albo uciec, jeśli to możliwe. Ale gdzie tam! Jedni ze strachu, inni znów ze złości odmówili mu pomocy.

– O, łajdaki! – oburzył się więzień w niebieskiej czapce. – Nie mieli ani litości, ani odwagi!

– Będiesz ty cicho? – krzyknął Szkielet, ledwo mogąc się pohamować. – Nie kazałem wszystkim wam milczeć?

Zamiast odpowiedzi więzień w niebieskiej czapce spojrział Szkieletowi w oczy i zrobił drwiący gest, dobrze znany ulicznikom.

Na ten widok jedni z więźniów roześmieli się na całe gardło, inni osłupieli, nie pojmując zuchwałości przybysza. Szkielet pogroził mu pięścią i rzekł, zgrzytając zębami:

– Porachujemy się jutro.

– Dobrze, jutro wyliczę ci siedemnaście kułaków na łeb, nie będę skąpił!

Nie chcąc przeciągać sprawy. Szkielet odpowiedział spokojnie:

– Ja mam pilnować porządku w sali i trzeba mnie słuchać, prawda, panie dozorczo?

– Tak, tak – odparł dozorca. – Nie przerywajcie. A ty, Pique-Vinaigre, gadaj dalej, tylko spiesz się.

– Dzień zaświtał – podjął opowiadający. – Rzeziłeb otworzył drzwi poddasza i przywołał dzieci po jednym: stanęły w szeregu i każde dostało po kawale chleba. Kiedy wszyscy poszli, Rzeziłeb, stojąc na dole drabiny, zawołał grubym głosem:

„Gringalet! Gringalet!” „Jestem, panie”. „Zejdź zaraz albo przyjdę po ciebie”, krzyknął Rzeziłeb. Gringalet pomyślał, że nadeszła dlań ostatnia godzina. Ledwie postawił stopę na drabinie. Rzeziłeb, chwytając go za nogę, ściągnął na dół tak gwałtownie, że dzieciak zleciał i całą twarz obtarł sobie o drabinę. Rzeziłeb złapał dzieciaka i zaniósł do swojej izby, gdzie trzymał małpę uwiązaną przy łóżku. Szkaradne zwierzę, jak tylko zobaczyło chłopaka, zaczęło skakać, zgrzytać zębami i szarpać się na łańcuchu, jakby chciało zjeść Gringaleta.

W tej chwili na zegarze więziennym wybiło trzy kwadransy na czwartą. Szkielet, coraz bardziej obawiając się straty czasu, zawołał:

– Prędzej, prędzej! Czy ty nigdy nie skończysz?!

Pique-Vinaigre mówił dalej:

– Gdy pomyślicie, że najsilniejsi chłopcy drżeli na samo imię Gargussy, łatwo sobie wyobrazić strach Gringaleta, kiedy gospodarz rzucił go o dwa kroki od strasznej małpy. „Zlituj

się, panie!”, wołał biedaczek i dzwonił zębami jak w febrze. Ale Rzeziłeb, nie zważając na to, popchnął go bliżej do Gargussy. Małpa schwyciła chłopca...

Więźniowie słuchali powieści z coraz pilniejszą uwagą. Tu prawie wszyscy zadrżeli.

– Dobrze zrobiłem, że nie poszedłem – rzekł dozorca, zbliżając się znowu na środek sali.

– Gringalet, poczuwszy dotknięcie zimnych i włochatych łap małpy, która go schwyciła za szyję i za głowę, już myślał, że go zjadła, ze strachu pomieszało mu się w głowie i zaczął krzyczeć, z jękami, co by zmiękczyły serce tygrysa: „To pająk, co mi się śnił, pająk! O Boże! Muszko, ratuj! Ratuj!” A Rzeziłeb, kopiąc go, mówił ze złością: „Cicho! Cicho bądź!”, bo się bał, żeby ludzie nie słyszeli krzyku dziecka. Tymczasem małpa biła chłopca, targała za włosy i drapała, a Rzeziłeb śmiał się.

– O! Przekłęta małpa! – zawołał więzień w niebieskiej czapce.

– Obrzydłe zwierzę! Tyle złości!

– Tak mówisz? – odparł Pique-Vinaigre. – Zobaczysz, że Rzeziłeb był gorszy od niej. Odczepił od łożka łańcuch Gargussy, bardzo długi, na chwilę odebrał jej chłopca z rąk i przywiązał go w pasie do drugiego końca; tak więc Gringalet i Gargussa byli przyczepieni do jednego łańcucha, o półtora łokcia jedno od drugiego.

– Ach, okrutnik! Gorszy od dzikiego zwierzęcia.

– To zrobiwszy, powiedział małpie, która zdawało się, że go rozumie: „Bacność, Gargusso! Ciebie pokazywali, teraz ty będziesz pokazywała Gringaleta, on będzie twoją małpą. No, smarkaczu, skocz na nogi albo każę Gargussie, żeby cię podniosła”. To mówiąc, uderzył kilka razy chłopczynę pięścią, a potem oddał pięść małpie: wiadomo, jak te stworzenia zręcznie naśladują wszystko, co zobaczą.

Po jakimś czasie Rzeziłeb odesłał chłopca z powrotem na strych. „O Boże! Zginałem!”, wołał nieszczęśliwy Gringalet. Płakał z dobrą godzinę, gdy usłyszał gruby głos Rzeziłba. Zbiegł po drabinie; Rzeziłeb porwał go i zaniósł do swej izby, potykając się co krok, bo się upił jak bela; ledwie stał na nogach. Małpa była uwiązana przy łożku. Na środku izby stał stołek. „Siądź tu”, rzekł Rzeziłeb do chłopca. Gringalet usiadł, a Rzeziłeb, nic nie mówiąc, przywiązał go sznurem do stołka.

– O! Teraz to już po nim! – przerwał jeden z więźniów.

– Szkoda mikrusa! Co z nim będzie?

– Kiedy już Gringalet był uwiązany do stołka, gospodarz wyjął z kieszeni dobrze wyostrzoną brzytwę, otworzył ją; chwycił chłopca za włosy.

Więźniowie zaszemrali ze zgrozy i oburzenia. Gdy ucichło, Pique-Vinaigre kontynuował:

– Zobaczywszy brzytwę, nieborak zaczął błagać o litość. „Krzycz, krzycz”, odpowiedział Rzeziłeb, „niedługo będziesz krzyczeć!” „Muszko! Muszko, ratuj!” wołał nieszczęśliwy Gringalet, odchodząc prawie od zmysłów i przypominając sobie swój sen. „Pająk chce mnie zabić!” „Dalej, Gargusso! Patrz, zrób mu oto tak!”, mówił Rzeziłeb, trzymając ciągle chłopca za włosy i przeciągnął mu kilka razy grzbietem brzytwy po gardle. Małpa, złośliwa i sprytna, wnet zrozumiała, czego pan od niej żąda, i jakby mu chciała okazać, że dobrze pojmuje, wzięła się za brodę lewą łapą, przechyliła głowę w tył i udała, że prawą łapą podrzyna sobie gardło. „Tak, tak, Gargusso, umiesz!”, powiedział Rzeziłeb, jękając się i przymrużając oczy, a przy tym tak mocno się zataczał, że o mało nie przewrócił Gringaleta ze stołkiem. „Tak, Gargusso, ja cię od... odwiążę, a ty go pokrój!” Małpa zapiszczała i wyciągnęła łapę po brzytwę. „Muszko, ratuj!”, wołał Gringalet, widząc przed sobą śmierć prawie niechybną. I w tej chwili widzi, jak przez otwarte okno wlatuje zielonozłotawa mucha. Lata w kółko i w momencie, kiedy Rzeziłeb podawał małpie brzytwę, muszka wpadła zbrodniarzowi w samo oko. Mucha w oku to niewielka bieda, ale w pierwszej chwili to pali jak ukłucie szpilką; Rzeziłeb, który ledwie trzymał się na nogach, złapał się ręką za oko, zatoczył się, upadł i zwałił jak kłoda przy łożku, do którego była przywiązana Gargussa. „Muszko, ocaliłaś mnie!”, zawołał Gringalet.

– Brawo, muszka! – krzyknął więzień w niebieskiej czapce, a za nim kilku powtórzyło to samo.

– Zaczekajcie – rzekł bazarz – koniec historii jest najlepszy. Rzeziłeb padł na ziemię jak długi; był tak pijany, że nie mógł ruszyć ręką ani nogą i nie wiedział, co się z nim dzieje; padając, omal nie zgniótł Gargussy. Wiecie już, jaka ta zła bestia była mściwa; miała jeszcze w łapie brzytwę, którą jej dał gospodarz. Cóż więc robi małpa? Skacze mu na piersi, jedną łapą podtrzymuje mu szyję, a drugą, mach! Przecina gardło od ucha do ucha, właśnie tak, jak Rzeziłeb uczył ją, żeby zrobiła nieszczęsnemu malcowi.

– Brawo! Świetnie, dobrze zrobiła Gargussa! – wołali więźniowie.

Tu opowieść bazarza została przerwana.

– Hej, Roussel! – zawołał ktoś z dziedzińca. – Czemu nie idziesz na obiad? Zaraz czwarta!

– No – rzekł dozorca – historia skończyła się, idę jeść. Ładną bajkę dziś opowiedziałeś. Idę, a wy zachowujcie się jak należy – dodał odchodząc.

Szkielet szepnął na ucho Koślawcowi! – Idź za nim, a jak wyjdzie z dziedzińca, krzyknij: „Gargussa!” Wtedy ja zrobię koniec z barankiem.

Koślawiec poszedł za dozorcą.

– Gargussa! – krzyknął po chwili.

– Hej, Germain, ja będę twoim pajakiem! – zawołał jednocześnie prawie Szkielet i rzucił się tak nagle na Germaina, że ten nie miał czasu ani się ruszyć, ani krzyknąć. Głos mu zamarł pod uściskiem żelaznych palców Szkieleta.

XL

Przyjaciel w potrzebie

– Jeśli ty będziesz pajakiem, ja będę muchą! – zawołał więzień w niebieskiej czapce, widząc, że bandyta, powaliwszy Germaina na ławkę, przydusił mu piersi kolanem i dusił go żyłastymi łapami. Rzucił się na Szkieleta, sypiąc mu na czaszkę i między oczy grad kulaków, tak gęstych jak bicie młota na kowadło.

– Tak mi skuł głowę pan Rudolf przy pierwszej znajomości, od niego się nauczyłem – mówił, przyspieszając uderzenia. Po tych słowach czytelnicy poznali w nim zapewne Szurynera.

Reszta więźniów, zdziwiona tą napaścią, stała w osłupieniu; nie ujmowali się ani za Szurynerem, ani za Szkieletem. Szkielet zaś, z początku ogłuszony, zataczając się jak wół pod obuchem rzeźnika, puścił swoją ofiarę.

– Czego on chce? – krzyknął Koślawiec, przyskoczywszy do Szurynera. Chciał go chwycić z tyłu za ręce, ale obrońca Germaina kopnął grubasa tak mocno, że ten upadł na ziemię o kilka kroków obok. Germain, zsiniały, na pół uduszony, półkłęzcząc, oparł się o ławkę, nie pojmując, co się wkoło niego dzieje. Nareszcie Szkielet zdołał wyrwać się z rąk Szurynera i stanął na nogi. Zadyszany, zięjący wściekłością, z twarzą trupioblądą i pokrwawioną, zawołał głosem drżącym z gniewu:

– Zakatrupić go, rozbójnika! Tchórze, pozwalacie napadać na mnie. Zakatrupić go!

W czasie tego chwilowego zawieszenia broni Szuryner podniósł Germaina i złożył w kącie przy ścianie; tam, zabezpieczywszy się od tyłu, mógł dosyć długo bronić się przeciw więźniom, na których herkulesowa siła, jakiej dał dowody, wywarła duże wrażenie. Szkielet, widząc wahanie większości współników, krzyknął:

– Dalej! Wykończymy obu! Dużego i małego.

– Strzeż się! – odpowiedział Szuryner. – Strzeż się, Szkielecie! Zrobię jak Gargussa! Skręcę ci szyję.

– Dalej na niego! – zawołał Koślawiec, podnosząc się.

– Brawo, Szkielet, śmierć niebieskiej czapce – wołali stronnicy Szkieleta.

– Nie damy niebieskiej czapki, śmierć Szkieletowi – wołała partia Szurynera.

– Brawo, chłopcy! – zawołał Szuryner, zwracając się do więźniów, którzy trzymali jego stronę. – Jesteście zuchy, nie chcielibyście dobić człowieka na pół umarłego!

Siła, energia i prostota Szurynera musiały zrobić wrażenie na więźniach, których wielu przeszło na jego stronę, gdy inni cisnęli się koło Szkieleta. Bójka wydawała się już nieuchronna, kiedy na dziedzińcu rozległ się miarowy odgłos kroków piechoty, która zawsze trzyma wartę przy więzieniu. Pique-Vinagre, korzystając z zamieszania, pobiegł do otworu zawiadomić dozorców, co się dzieje się w celi, i nadejście strażników położyło kres tej scenie.

Germaina, Szkieleta i Szurynera wezwano do dyrektora więzienia La Foree. Skoro Germain przyszedł do siebie, pierwsza jego myśl była przy człowieku, co go wybawił od pewnej śmierci.

– Gdzie ten, co mnie uratował? – zapytał dozorca.

– W gabinecie dyrektora.

– Już bym nie żył, panie; powiedz, kto to jest?

– Nazywają go Szurynerem; kiedyś był na galerach.

– Ale teraz chyba nie siedzi tu za nic poważnego?

– Owszem, to poważna sprawa; kradzież nocą w zamkniętym domu; pewno dostanie to samo co Pique-Vinaigre: piętnaście do dwudziestu lat ciężkich robót.

– Ach, to okropne! A jednak ten człowiek, nie znając mnie, stanął w mojej obronie. Co za odwaga. Zabiliby mnie, gdyby nie on!

– Jutro będzie pan miał osobną celę i nie będzie się pan niczego obawiał.

– Chciałbym podziękować memu wybawcy.

– O! Właśnie wychodzi od dyrektora. Na pewno dostanie jaką nagrodę za to, co dla pana uczynił. Coś mi się zdaje, że go wyznaczą kapitanem Jaskini Lwów zamiast Szkieleta, który odtąd będzie trzymany w ścisłym zamknięciu.

W chwilę po odejściu dozorczy wszedł rozradowany Szuryner.

– Do pioruna! – zawołał. – Jaki jestem zadowolony, że pana uratowałem! –I podał rękę Germainowi.

Ten, powodowany mimowolnym wstrętem, cofnął się nieco zamiast ująć wyciągniętą rękę Szurynera, natychmiast jednak chciał wynagrodzić to pierwsze nieopatrzne poruszenie. Ale Szuryner dostrzegł je i rzekł z gorzką radością:

– A! Zapomniałem, przepraszam pana.

– To ja powinienem przepraszać – zawołał Germain – czy nie jestem tak samo więźniem? Powinienem pamiętać jedynie o wyświadczonej usłudze, uratowałeś mi życie, daj rękę!

– Dziękuję, teraz już nie trzeba, w pierwszym momencie chciałem ci uścisnąć rękę, ale masz rację, tak być powinno. Spełniłem miły obowiązek, bo ja pana znam. A gdybym nie znał, pewnie nie siedziałbym tu w więzieniu.

– Nie rozumiem – rzekł German zdziwiony. – Jak to, dlatego że mnie znasz...

– Dlatego właśnie tu się dostałem.

– Chciałbym ci wierzyć, ale... nie pojmuję, jaki może zachodzić związek między mną a występkiem, za który cię tu wsadzili. Jesteś oskarżony...

– Tak, tak! – zawołał Szuryner. – O kradzież, kradzież z włamaniem! Zuchwały cynizm Szurynera przykro zaskoczył Germaina. Rzekł:

– Jak człowiek tak dobry, tak szlachetny jest w stanie mówić coś podobnego? Czy wiesz, jak za to karzą?

–Dwadzieścia lat galery z wystawieniem pod pręgierz! Wiem! Wiem! Pana dziwi, że nie bardzo dbam o to? Bo już przywykłem! Kto by jednak powiedział – dodał Szuryner, wzdychając z drwiącą miną – że to pan, panie Germain, jesteś przyczyną mego nieszczęścia!

– Nie rozumiem, o co ci chodzi, ale jestem pewny, że cię niesłusznie oskarżają.

– Co do tego, to się pan najzupełniej myli – odpowiedział Szuryner z taką szczerością, iż Germain musiał uwierzyć. – Przysięgam na imię mego dobroczyńcy – tu Szuryner zdjął czapkę – że popełniłem kradzież nocą, z włamaniem okiennicy i zostałem schwytany na gorącym uczynku.

– Pewno zrobiłeś to z głodu?

– Z głodu? Ale skąd! Kiedy mnie złapali, miałem w kieszeni sto dziesięć franków, moich własnych, a oprócz tego mój dobroczyńca, który nie wie, że tu jestem, nie zostawiłby mnie bez pomocy. Kradłem, żeby mu się przysłużyć, a z jego łaski pan został ocalony.

– Ale kto to jest?

– Opiekuje się panem pan Rudolf. Bo, mówię: „pan Rudolf”, ale powinien bym mówić: „Książę Rudolf”, bo on jest księciem.

– To pomyłka, ja nie znam żadnego księcia.

– Może być, ale on pana zna, ma takie swoje sposoby. Skoro się dowie, że jakiś uczciwy człowiek jest w biedzie, zaraz niespodzianie daje mu pomoc.

– Doprawdy nic nie pojmuję.

– Wyobraź pan sobie, że niedawno ów dobroczyńca, niby w nagrodę za coś, dał mi możliwość zrobienia majątku i posłał mnie do Algieru. Ale jak tylko się z nim rozstałem, zacząłem

tęsknić, zgłupiałem jak pies, co zgubi pana, bo widzisz, pan Rudolf zrobił ze mnie człowieka, powiedziawszy dwa słowa.

– Co ci powiedział?

– Że mam serce i honor. Chociaż byłem na galerach, i to nie za kradzież, gorzej! Za zabójstwo. Dwoma słowami mnie wydzwignął. Przysiągłem sobie, że odtąd zawsze, na każdym kroku postąpię jak człowiek, co ma serce i honor.

Nie spostrzegając zdziwienia Germaina, Szuryner ciągnął:

– Powiadam panu, przywiązałem się za to do pana Rudolfa jak pies. Kiedy trzeba było wsiąść na okręt, opuścić Francję i pana Rudolfa, zabrakło mi odwagi. Wróciłem do Paryża. Idę do jego przyjaciela, pana Murfa. Ten przyjął mnie łaskawie i powiedział, że pan Rudolf natychmiast chce mnie widzieć. Panie! Kiedym go zobaczył, rozplakałem się i słowa wy dobyć nie mogłem. Pan Rudolf spytał mnie: „Więc wróciłeś, mój chłopcze?” „Tak jest, racz mi pan wybaczyć, jeżeli to co złego”. „O! Nie gniewam się”, pan Rudolf na to „właśnie jesteś mi potrzebny. Uczciwy i dobry młodzieniec, niesprawiedliwie oskarżony o kradzież, siedzi w więzieniu La Force, nazywa się Germain; jest skromny i cichy; zbrodniarze, przez których jest otoczony, zniechęcili go i grożą mu. Ty, na szczęście, znasz więzienne życie, znałeś wielu więźniów; czy nie mógłbyś tam zobaczyć się z nimi i obietnicą pieniędzy skłonić ich, żeby zaopiekowali się Germainem?”

– Kim jest ten szlachetny człowiek, który się mną tak opiekuje? – zapytał Germain.

– Może się pan kiedy i o tym dowiesz. Otóż, wracając do mojej rozmowy z panem Rudolfem, który mnie pytał, czy nie mam znajomych w więzieniu, przyszła mi myśl tak zabawna, że się roześmiałem głośno. „Co ci się stało”, zapytał. „Śmieję się, ponieważ mam sposób, żeby go zasłonić od napaści, ale trzeba na to pieniędzy”. „Wiele?” „Tysiąc franków”. „Masz?”. „Dziękuję; za dwa dni doniosę, jak się sprawilem; najniższy sługa!” I wyszedłem, aby pana obronić.

– Ale ta kradzież? Ta kradzież? Jeśli jej nie popełniłeś, to za co tu siedzisz?

– Słuchajże pan, jakiego figla spletałem. Dostawszy tysiąc franków, kupuję czarną perukę, strzygę bokobrody, wkładam zielone okulary, pakuję sobie poduszkę na plecy pod surdut, żeby udąć garbusa, i tak wystrojony, idę wynająć mieszkanie. Znajduję pokój przy ulicy Provence, płacę za miesiąc z góry i powiadam, że się nazywam Gregoire. Nazajutrz w Temple kupuję meble, odsyłam do mieszkania, a po drodze kupiłem jeszcze pół tuzina srebrnych łyżek. Wszędzie te sprawunki robię w ubraniu pana Gregoire. Urządziwszy mieszkanie, powiadam stróżowi, że dopiero nazajutrz będę spać u siebie, i odchodzę, zabrawszy klucz ze sobą. Gdy nadeszła noc, zrzucam perukę, garb i okulary i posyłam to wszystko w zawiniątku do pana Murfa z prośbą o przechowanie; kupuję tę oto bluzę, niebieską czapkę, sztabę żelazną, długą na łokieć, i o pierwszej po północy biegnę na ulicę Provence; kręcę się koło mego mieszkania i czekam, póki nie ukaze się patrol.

Tu Szuryner roześmiał się głośno. Germain zawołał:

– Ach, teraz rozumiem!

– Jak na złość żadnego patrolu nie widać, mógłbym okraść siebie ze dwadzieścia razy. No, ale nareszcie słyszę kroki żołnierzy. Odchylam okiennicę, wybijam z łoskotem kilka szyb, wskakuję do pokoju, biorę pudełko z łyżkami. Patrol usłyszał brzęk szyb i złapał mnie, jak wyłaziłem oknem. Posyłają po komisarza, stróż powiada mu, że kwatery najął garbus w czarnej peruce i zielonych okularach. Wypytują mnie, wsadzają do więzienia i przybywam właśnie w porę, aby uratować tego, o kim pan Rudolf mi powiedział, że go kocha jak własnego syna.

– O! Jak się panu odwdzięczę za tyle poświęceń!

– Nic mi pan nie jesteś winien; wszystko zawdzięczasz pan Rudolfowi.

– Ale narażasz się na niebezpieczeństwo!

– Na nic się nie narażam. Kiedy będę miał iść przed sąd, poślę po zawiniątko do pana Murfa, włożę czarną perukę, zielone okulary i w postaci garbusa Gregoire pokażę się stróżowi domu, gdzie wynająłem mieszkanie. Cóż, u diabła, zrobią, kiedy się wyjaśni, że okradłem sam siebie?

W tej chwili wbiegł dozorca.

– Panie Germain, chodź pan prędko do dyrektora, chce zaraz mówić z panem. Germain wszedł do gabinetu dyrektora. Jakież było jego zdziwienie! Zastał tam Rigolettę, bladą, wzruszoną, a jednak uśmiechającą się przez łzy.

– Muszę panu oznajmić dobrą nowinę – rzekł dyrektor – proces przeciw panu został umorzony. Otrzymałem rozkaz zwolnić pana natychmiast.

– Co słyszę!... Czy to możliwe?

Rigoletta chciała coś powiedzieć, ale nadmiar wzruszenia nie pozwolił jej wydobyć głosu.

– Ta pani – dodał dyrektor – przyszła w kilka minut po rozkazie zwolnienia pana. List polecający od pewnej znakomitej osoby powiadomił mnie o tkliwym poświęceniu, jakiego panu dała dowody, gdy byłeś w więzieniu.

– Ach, to sen! – rzekł Germain. – Radość nie daje mi dziękować!

– I ja także nie umiałam powiedzieć słowa, panie Germain – dodała Rigoletta. – Wyobraź sobie moje szczęście; rozstając się z tobą, spotkałam przyjaciela pana Rudolfa, który mnie oczekiwał.

– Znowu pan Rudolf – przerwał Germain zdziwiony.

– Tak, teraz mogę ci już powiedzieć, dowiesz się o wszystkim. Pan Murf więc powiada do mnie: „Germain zostaje zwolniony, oto list do dyrektora, który już będzie miał w ręku rozkaz wypuszczenia go z więzienia, idź do niego”. Więc prędko biorę fiakra, przyjeżdżam tu i... chodź, czeka tam na nas na ulicy!...

XLI

Kara

Zajrzyjmy znowu do kancelarii notariusza Ferrand i podsłuchajmy rozmowę kancelistów.

– Założę się, że nasz stary umrze w ciągu miesiąca!

– Prawda, od czasu, jak uciekła od niego służąca, chodzi jak nie ten sam – dodał drugi kancelista.

– Musiał się w niej zakochać.

– Nie, teraz daleko częściej niż wpiery widuje się z księdzem. Wczoraj ten poczciwina ksiądz powiedział: „Pan Ferrand jest ideałem dobroczynności i szlachetności”.

– Dziwne rzeczy! Słyszałem od starszego dependenta, że... ale to sekret... Pan Ferrand sprzedaje swój urząd...

– Co mówisz? Nie może być!

– Powiadam, że sprzedaje i podobno dostanie za niego milion franków.

– Bagatelka! A do tego chodzą plotki, że nasz stary z panem Karolem Robertem puszczał się w sekrecie na spekulacje i zbił masę pieniędzy.

– Przy tym żył zawsze jak sknera.

– Jednakże dziwi mnie ten przyjaciel, co spadł panu Ferrand jak z nieba i nie odstępował go. Ciągłe ze starym siedzi, razem jedzą obiad i ani kroku jeden bez drugiego nie robi.

– A czy zauważyłeś, że co dwie godziny przychodzi do odźwiernego wysoki mężczyzna z jasnymi wąsikami i wywołuje do siebie rudego przyjaciela, rudy wychodzi do niego, rozmawiają chwilę i wysoki odchodzi, żeby znów przyjść po dwóch godzinach.

– Tak, i ja to spostrzegłem, zdawało mi się jeszcze, że na ulicy widuję jakichś obcych ludzi, co się ciągle kręcą koło naszego domu.

– Starszy sekretarz wie o wszystkim, ale się z niczym me zdradzi. Gdzież się teraz podział?

– Pojechał do hrabiny Mac-Gregor, tej samej, którą niedawno napadli mordercy. Przyszyła po Ferranda, ale on nie pojechał, posłał sekretarza.

– Ale, ale, wiecie o tym? Pan Ferrand oświadczył sądownie, że się pomylił w rachunku i znalazł u siebie pieniądze, o skradzenie których posądzal Germaina.

– Teraz stary powinien go wziąć za kasjera.

– Tak by należało, ale Germain pewno nie zechce. Mieszka teraz na folwarku Bouqueval u jakiejś pani George.

– Panowie! Powóz zajechał!... A, wysiada z niego nasz czcigodny ksiądz.

– Dalejże! Do pióra! Do roboty!

Kanceliści zaczęli skrobać piórkami po papierze z udaną gorliwością. Wszedł ksiądz. Ten dobroduszny starzec jeszcze nie poznał się na głębokiej i zręcznej hipokryzji Ferranda i dotąd wierzył w jego cnotę.

Jeden z młodzieńców wstał, uklonił się nisko i przeprowadził księdza do gabinetu notariusza, gdzie znajdowali się Ferrand i Polidori. Ferrand zmienił się nie do poznania: twarz mu straszliwie schudła, a chorobliwy rumieniec przebijał przez szerniałą, prawie zieloną cerę.

– I cóż, szanowny panie Ferrand – rzekł kapłan z troskliwością – czy czujesz się zdrowszy?

– Nie widzę żadnej różnicy – odparł notariusz – gorączka mnie nie odstępowała, bezsenność mnie zabija. Niech się dzieje wola boża!

– Sam widzisz, księże – dodał Polidori – jak mój przyjaciel zdaje się na wolę niebios. Dobre uczynki sprawiają mu niejaka ulgę w cierpieniach.

– Nie zasługuję na pochwały, proszę mnie nimi nie raczyć – przerwał notariusz, z trudem powstrzymując wybuch nienawiści – jestem tylko grzesznikiem.

– Wszyscyśmy grzeszni – odpowiedział ksiądz ze słodyczą – ale nie wszyscy, drogi przyjacielu, odznaczają się taką jak ty dobroczynnością. Czy ciągle trwasz w postanowieniu sprzedania swego urzędu, żeby mieć więcej czasu na dobre uczynki?

– Już przedwczoraj go sprzedałem i odebrałem należną zapłatę; sumę tę przeznaczam na zakład, o którym księdzu wspomniałem i dla którego przygotowałem już reguły.

– Ach, przyjacielu! – zawołał kapłan ze zdziwieniem. – Ileż czynisz dobrego i z jaką skromnością! Powtarzam, że ludzi podobnych do ciebie rzadko się spotyka!

– Właśnie, właśnie – wtrącił Polidori – bo rzadko kto łączy, jak mój Jakub, bogactwa z dobrocią, rozum z dobroczynnością.

Notariusz znowu zatrząsł się konwulsyjnie, ale opanował się. Człowiek przenikliwszy od księdza dostrzegłby tajoną wściekłość w głosie Ferranda; bo nie potrzeba chyba mówić czytelnikowi, że to cudza wola – wola Rudolfa – kazała notariuszowi mówić i działać wbrew jego naturze.

– Niestety! – mówił dalej Polidori. – Nasz drogi Ferrand zaniedbuje swoje nieocenione zdrowie. Racz mu powiedzieć, księże, razem ze mną, że ma obowiązek, powinność oszczędzać się.

– Dosyć!... Dosyć!... – bąknął głucho notariusz. – Prosiłem tu księdza nie po to, żeby wysłuchiwał śmiesznych pochwał mojego przyjaciela!

– Ode mnie, Jakubie, czy chcesz, czy nie chcesz, wszystko musisz przyjąć – rzekł Polidori. – Czy ksiądz zauważył, że pierwsze symptomy nerwowej choroby Jakuba wystąpiły wkrótce po gorszącym zdarzeniu z Ludwiką Morel?

Ferrand zadrzał.

– Więc pan wie o zbrodni tej nieszczęśliwej dziewczyny? – zapytał ksiądz.

– Tak, Jakub mi wszystko opowiedział, jak to przyjacielowi; według niego wstrząs nerwowy, na który cierpi, ma za przyczynę odrazę, jaką go przejęła zbrodnia Ludwiki...

– A pani Seraphin? – przerwał ksiądz. – Dowiedziałem się o jej tragicznym zgonie i podzielam żmartwienie pana Ferranda.

– Księże... proszę... nie wspominaj o mnie.

– A któż doceni twoje cnoty? Kto je pochwali?... Czy ty sam? – przerwał Polidori z udaną tklivością. – I cóż dopiero powiesz, księże, gdy się dowiesz, co uczynił dla swojej ostatniej służącej Cecylii...

Notariusz krzyknął:

– Milcz! Milcz!... Ani słowa! Zabraniam ci!

– Uspokójże się – rzekł ksiądz z dobrotliwą powagą.

– Więc wszystko opowiem, chociaż skromność jego na to się oburza – rzekł Polidori z uśmiechem.

Ferrand zamilkł, zasłoniwszy twarz rękoma.

– Tak mnie głowa boli... – ocierał zimny pot z czoła.

Polidori roześmiał się i rzekł:

– Niech ksiądz zauważy, że Jakub zawsze jest w takim stanie, gdy idzie o wyjawienie jakiegoś dobrego uczynku, którego dokonał w tajemnicy; chciałby, żeby nikt o tym nie wiedział... ale ja na to nie pozwolę; muszę mu oddać sprawiedliwość. A więc co do tej Cecylii. Otóż Jakub dał jej ojcowskie błogosławieństwo i odesłał do rodzinnego kraju, opatrzywszy ją odpowiednią sumką.

– A, to bardzo piękne! – zawołał ksiądz rozrzuwniony.

– Proszę – wtrącił Ferrand głuchym, urywanym głosem – przestańmy mówić o mnie.

– Rozumiem – rzekł ksiądz – pochwały z ust przyjaciela obrażają twoją skromność; przystąpmy więc do interesu. Stosownie do pańskiego polecenia, panie Ferrand, zdeponowałem w banku, pod moim imieniem, sto tysięcy talarów, przeznaczonych na restytucję, która ma być uskuteczniiona przez moje ręce.

– Stosuję się w tym względzie – odpowiedział Ferrand – do życzenia pewnej nieznanym osobie, która tej restauracji dopełnia i która mi poleciła oddać księdzu tę sumę, abyś wręczył ją baronowej Ferment. – Tu głos Ferranda nieco zadrżał.

– Wykonałem to z radością – rzekł ksiądz.

– To niewiarygodne! – zawołał Polidori. – Sto tysięcy talarów zwrócić od razu to rzadki wypadek. – A to jeszcze nie wszystko, księżo – dodał, spojrzawszy ironicznie na Ferranda – nasz drogi Jakub nie poprzestał na tym, że poruszył sumienie nieznanego, który baronowej Ferment zwraca tak znaczną sumę; uczynił jeszcze więcej...

– Co chcesz powiedzieć? – podchwycił notariusz.

– A Morelowie?

– A tak, prawda – odezwał się notariusz z udaną skromnością, wściekając się w duszy, że go zmuszają do takiej roli – wie ksiądz o tym, że stary Morel dostał pomieszania zmysłów, dowiedziawszy się o haniebnym występku córki. Jego liczna rodzina umierała z głodu, straciwszy w ojcu jedyną podporę. Otóż osoba, która dopełnia dobrowolnej restytucji względem pani Ferment, prosiła mnie, abym jej wskazał jaką ubogą rodzinę potrzebującą wsparcia i zasługującą na nie. Wymieniłem Morełów i otrzymałem kapitał, który panu wręczone, dostateczny dla zapewnienia Morelowi, a po jego śmierci jego żonie i dzieciom, pensji dożywotniej dwóch tysięcy franków rocznie.

– Przyjmuję chętnie i to zlecenie – rzekł ksiądz.

– Teraz zaś, proszę księdza – dodał Polidori – zobaczymy, ile zrobił dla ludzkości nasz Jakub, ustanawiając zakład dobroczynny, o którym już mówiliśmy. Przeczytam panu jego plan.

– Sam go wyluszcze – przerwał Ferrand, nie mogąc dłużej znieść szyderczych pochwał Polidoriego. – Doszedłem do wniosku, że byłoby dowodem próżności nadać temu zakładowi moje imię.

– O! To zbyt duża pokora! – zawołał ksiądz.

– Wolę jednak, księżo, aby o moim imieniu nie wiadano, postanowienie moje w tym względzie jest nieodwołalne. Spodziewam się więc, że raczy ksiądz mnie zastąpić i z zachowaniem największej tajemnicy dopełnić ostatnich formalności oraz wybrać osoby mające zarządzać zakładem.

– A teraz Jakub przeczyta panu ostateczny plan.

Polidori, od dawna wspólnik Jakuba Ferrand, znał zbrodnie, znał tajne myśli tego nędznika i nie mógł się powstrzymać od uśmiechu, słysząc, jak notariusz czyta następujący plan, ułożony przez Rudolfa:

PROJEKT BANKU DLA RZEMIEŚLNIKÓW POZBAWIONYCH PRACY

„Miłujcie się społecznie”, powiedział Chrystus. Słowa te zawierają zaród wszystkich obowiązków, wszystkich cnót, wszelkiej dobroczynności. One to przyświecały fundatorowi banku. Ograniczony w środkach, fundator pragnął, aby możliwie największa liczba miała udział w ofiarowywanej przezeń pomocy i w tym celu zwraca się do rzemieślników, uczciwych, pracowitych i obarczonych rodzinami, których brak roboty często przywodzi do ostateczności. Jako gwarancje udzielanych z zakładu pożyczek, fundator żąda tylko zobowiązania się dłużnika pod słowem honoru i solidnego zapewnienia. Przeznacza dwanaście tysięcy franków rocznego dochodu na udzielanie pożyczek bezprocentowych, w kwotach od dwudziestu do czterdziestu franków, rzemieślnikom żonatym, zostającym bez pracy, zamieszkałym w siódmym okręgu Paryża. Obrął zaś tę dzielnicę miasta, bo znajduje się tam najwięcej rzemieślni-

ków. Zakładając Bank, fundator nade wszystko miał na celu: Nie poniżać człowieka przez jałmużnę! Nie zachęcać do lenistwa przez bezużyteczne dary. Natomiast: gruntować uczucie honoru w klasie pracującej; nieść braterską pomoc rzemieślnikom, którzy w okresie bezrobocia muszą jednak żywić swą rodzinę.

– Jakież to dobroczynny pomysł! – zawołał ksiądz rozrzuwniony.

Głos Ferranda drżał; nie starczyło mu już cierpliwości i odwagi; ale był pod dozorem Polidorigo; nie mógł i nie śmiał sprzeciwić się rozkazom Rudolfa.

– Nieprawda, proszę księdza, że to wspaniały pomysł?

– Ach, panie, ja, który znam nędzę lepiej niż kto inny, mogę osądzić, jak ważną pomocą dla robotników pozbawionych chwilowo pracy będzie pożyczka, na pozór niewiele znacząca! I jak skrupulatnie będą ją spłacać! Żaden nie zrobi panu zawodu. Święty dług, kiedy zaciągnięty dla żony i dzieci.

– Jak miłe muszą być twemu sercu, Jakubie, te szczerze pochwały. Lecz co dopiero powie nasz czcigodny kapłan, gdy pozna twoją fundację bezpłatnego lombardu!

– Czy być może? – zawołał ksiądz zdziwiony.

– Czytaj dalej, Jakubie – rzekł Polidori.

Notariusz zaczął czytać z pośpiechem, bo scena była dlań straszliwie męcząca:

Powyższe pożyczki bezprocentowe przeznaczone są jedynie na pomoc dla rzemieślników będących chwilowo bez pracy. Lecz trzeba wziąć pod uwagę przypadki dotkliwego niedostatku, kiedy dla koniecznego wypoczynku po nadmiernej pracy, dla pielęgnowania chorej żony lub dziecka, dla przeniesienia się na nowe mieszkanie dzień, dwa lub więcej robotnik pozbawiony jest codziennego zarobku. Pragnąc ile możności pomoc ubogim braciom, fundator przewiduje dwadzieścia pięć tysięcy franków rocznego dochodu na pożyczki, mające być udzielane na zastawy; poszczególna pożyczka nie będzie przewyższać sumy dziesięciu franków. Pożyczający nie będą opłacać procentów ani ponosić żadnych kosztów; winni tylko złożyć świadectwo dobrego prowadzenia się. Administracja Banku znajdować się będzie przy ulicy Temple, pod numerem 17, w domu umyślnie kupionym na ten cel, a samym środkiem tej ludnej dzielnicy miasta. Na koszty i utrzymanie administracji przewiduje się sto tysięcy franków rocznie. Dyrektorem dożywotnim Banku będzie...

Polidori przerwał notariuszowi i rzekł do księdza;

– Wybór dyrektora przekona księdza, jak nasz Jakub umie wynagradzać krzywdę, której dopuścił się mimowolnie. Wiadomo panu, że przez pomyłkę oskarżył swego kasjera o zabranie sumy, która się potem znalazła. Otóż temu kasjerowi, zacnemu młodzieńcowi nazwiskiem Germain, Jakub powierza dożywotnie dyrektorstwo banku z pensją czterech tysięcy franków. Wszak to z jego strony bardzo szlachetnie. nieprawdaż?

– Poświęcić cały swój majątek na tak dobroczynne cele! To czyn rzadkiej cnoty!

– Przeszło milion! – dodał Polidori. – Przeszło milionowy majątek, zebrany oszczędnością, pracą i nieskazitelną prawością! I pomyśleć, że znaleźli się nędznicy, co go obwinili o sknerstwo.

– Odpowiedziałbym im – zawołał ksiądz – odpowiedziałbym potwarcom: „Piętnaście lat żył jak nędzarz, aby móc potem świetnie wesprzeć nędzarzy!”

– No, Jakubie – rzekł Polidori, trącając lekko notariusza – doczytaj do końca.

Notariusz zadrżał i dotknął ręką spoconego czoła: Czytał dalej:

Dyrektorem dożywotnim Banku będzie pan Franciszek Germain, a odźwiernym – obecny odźwierny tego domu, Alfred Pipelet. Fundator powtarza, że nie przyznaje sobie żadnej zasługi w tym dziele; pomysł jego jest echem tej boskiej myśli: „Miłujcie się!”

– Zajmiesz wysokie miejsce w rzędzie dobroczyńców ludzkości – zawołał ksiądz, serdecznie ściskając rękę Ferranda. – Ale co panu jest? Bledniesz! Słabo ci? Może doktora?

– Ach nie, to nic poważnego... – rzekł Ferrand, padając na krzesło.

– Ja sam jestem lekarzem, proszę księdza – rzekł Polidori. – Stan Jakuba wymaga wielkiej troskliwości i poświęcam mu wszelkie moje starania.

Notariusz zadrżał.

Ksiądz napisał rewers na odebraną sumę, a wręczając go Ferrandowi, dodał:

– Żegnam pana, jutro przyjdę cię odwiedzić, żegnam, szanowny przyjacielu. Ksiądz wyszedł. Polidori z Ferrandem zostali sami.

XLII *Wspólnicy*

Zaledwie książd się oddalił, Ferrand zaklął głośno.

– O! Piekło! – krzyknął. – Mój cały majątek pochłonięty przez te głupie dobre uczynki! Ja, co gardzę ludźmi, com ich całe życie grabił i oszukiwał, teraz muszę fundować zakłady dobroczynne, zniewolony piekielnymi środkami. Ten twój pan to chyba szatan?! – zawołał z wściekłością, stając nagle przed Polidorim.

– Nie mam pana – odpowiedział Włoch spokojnie – mam tylko sędziego, podobnie jak ty.

– Być posłusznym jak głupiec najmniejszym skinieniom tego człowieka! – odezwał się znowu Ferrand ze zdwojoną złością. – I zawsze być pod tym przymusem, zawsze!

– Albo... pójść na szafot – wtrącił Polidori.

– O! Nie mieć możności uwolnić się od piekielnej władzy. Wszak więcej niż milion poświęciłem, zostaje mi ledwie sto tysięcy franków. Czego mogą jeszcze chcieć ode mnie?

– To jeszcze nie koniec. Książę wie, że wycisnąłeś znaczną sumę od hrabiego Saint-Remy za jego fałszywe weksle, hrabia pożyczył na to pieniądze u pewnej wielkiej damy. Przypuszczam, że będziesz musiał zwrócić i to.

– Przekleństwo! Jestem związany! A ty moim stróżem, nędzniku!

– Cóż robić? Książę karze występki występkiem, zbrodniarza przez jego wspólnika. Kazał mi nie odstępować ciębie, więc idę za tobą jak cień. Zasłużyłem na śmierć podobnie jak ty. Niepodobna było wynaleźć ci stróża wierniejszego ode mnie, uciec nie możemy, schwytaliby nas ludzie, co dzień i noc stoją na warcie pod domem.

– Wiem o tym, wiem, do czarta!

– A więc znoś cierpliwie to, czego nie zmienisz. Jak będziesz posłuszny, to przynajmniej nie utną nam głowy. Cierpliwości zatem, cierpliwości!

– Przestań przynajmniej szydzić!

– Wolisz, żebym cię obarczał wyrzutami? Kto z nas winien wszystkiemu? Ty! Czemu nie zniszczyłeś listu, w którym cię zawiadaniałem o zamordowaniu brata baronowej Fermont, o tym zabójstwie, które tak zręcznie potrafiłszy wykierować na samobójstwo?

– Dlaczego, nędzniku? Dlatego, że zapłaciwszy ci pięćdziesiąt tysięcy franków za udział w zbrodni, kazałem ci napisać ten list, żeby mieć broń na ciebie.

– Pomysł całkiem zręczny, ale ta twoja przezorność nas zgubiła. Jak mogłeś być tak słaby, tak ograniczony, żeby tę straszną broń przeciw sobie oddać w ręce piekielnicy Cecylii?

– Milcz! Nie wymawiaj jej imienia! – krzyknął Ferrand. – Ale jakim prawem ten jakiś książę mnie karze?

– Słuchaj, Jakubie, lepiej mówmy o prawie. Książę, odbierając ci majątek zamiast życia, zapewnił los Morela i jego rodziny, i Ludwika, twojej ofiary; baronowa Fermont, siostra mniemanego samobójcy z Renneville, odzyskała swój majątek; Germain, którego niewinnie oskarżyłeś o kradzież, otrzyma zaszczytną posadę; na koniec Książę zmusza cię do założenia banku dla rzemieślników nie mających roboty, abyś tym sposobem okupił krzywdy wyrządzone społeczeństwu.

– I to właśnie doprowadza mnie do wściekłości. Choć to jeszcze nie wszystko!

– Książę wie o tym. Co względem nas dalej postanowi? Nie wiem. A ta Cecylia, bodaj ją piorun spalił.

– Powtarzam, milcz! Nie mów o niej!...

– Ona nas zgubiła! Nasze głowy siedziałyby bezpiecznie na karkach, gdybyś się po głupiemu nie zakochał w tej dziewczce.

Zamiast wybuchnąć gniewem Ferrard spytał smutnie:

– Czy ty ją znasz?... Powiedz, czy ty ją kiedykolwiek widziałeś?

– Nigdy. Powiadają, że jest piękna.

– Piękna! – odparł notariusz, wzruszając ramionami. – Wiesz co – dodał z gorzką rozpaczą – milcz... nie mów o tym, czego nie znasz... Nie potępiaj mnie... ty byś zrobił na moim miejscu to samo co ja... Gdyby mi powiedziano przed miesiącem: „Oddaj życie albo majątek”, oddałbym życie.

– Nie rozumiem cię – rzekł Polidori. – Więc czemu ulegasz człowiekowi, który jednym słowem może cię postać na szafot? Czemu przeniosłeś życie nad skarby, skoro bez nich wydaje ci się ono tak nieznośne?

– Bo widzisz – odparł notariusz cicho – umrzeć to znaczy przestać myśleć. A Cecylia?

– Przecież nigdy jej nie zobaczysz, ona cię zgubiła!

– Ale kocham ją zawsze i więcej niż kiedykolwiek! – wykrzyknął Ferrard. – Nie chcę umierać... chcę spłonąć od ognia, co mnie pożera. Bo ty nie wiesz, ta noc, kiedy ją widział, tak piękną, tak namiętną, tak czarującą, ta noc nie przestaje trwać dla mnie; ciągle czuję jej oddech na mojej twarzy, słyszę jej głos.

– Jakubie – rzekł Polidori poważnym tonem, bez śladu ironii – widziałem wiele cierpień, ale podobnych męczarni jak twoje jeszcze nie znam. Księżę Rudolf nie mógł cię ukarać straszliwiej: skazał cię na życie albo raczej na wyglądanie śmierci wśród mąk piekielnych.

– Uczynię, co każesz, byleby żyć, bo nie chcę umierać. Potępieńcy w piekle mniej cierpią ode mnie! Torturuje mnie zarazem i namiętność, i chciwość, obie jednakowo mnie dręczą. Utrata majątku wydaje mi się straszną rzeczą, ale utrata życia byłaby jeszcze straszniejsza.

– Pozostaje ci przynajmniej ta pociecha – rzekł Polidori szyderczo – że możesz myśleć o dobrych uczynkach, którymi okupujesz swoje zbrodnie.

– Tak, natrząsaj się ze mnie, przewracaj mnie na rozżarzonych węglach! Wiesz dobrze, nędzniku, że nienawidzę ludzi; a te moje dobre uczynki przejmują mnie wściekłością przeciw tym, co z nich będą korzystać.

Ferrard wycieńczony upadł na krzesło, jęcząc i załamując ręce.

Nagle zapukano do drzwi gabinetu.

– Jakubie – rzekł Polidori – opanuj się, ktoś przyszedł. Notariusz nie słyszał go. Polidori otworzył drzwi i zobaczył przed sobą starszego kancelistę, który zawołał:

– Muszę natychmiast pomówić z panem Ferrandem!

– Cicho, w tej chwili nie można widzieć się z panem notariuszem. Ale co się stało?

– Z polecenia pana Ferranda byłem u hrabiny Mac-Gregor, aby ją zawiadomić, że pan notariusz z powodu słabości nie może się stawić na jej wezwanie.

– I co dalej?

– Hrabina, która już przychodzi do zdrowia, kazała mnie zawołać do siebie i skoro wszedłem, rzekła groźnie: „Powiedz ode mnie Ferrandowi, że jeżeli nie stawi się tu za kwadrans, dziś wieczorem zostanie uwięziony. Dziecko, które podał za umarłe, żyje; wiem, komu oddał tę nieszczęsną i gdzie się ona teraz znajduje”.

– Choroba musiała osłabić jej władze umysłowe, chorzy wierzą wszystkiemu, co się im zamarzy.

– Muszę jeszcze panu powiedzieć, że kiedy miałem odchodzić, do pokoju hrabiny wbiegła służąca i powiedziała, że za godzinę przyjdzie Księżę. Nie wiem, co to za Księżę.

„Zapewne Rudolf”, pomyślał Polidori, „odwiedza Sarę, której postanowił już nigdy nie widzieć! Nie wiem dlaczego, ale mi się to nie podoba. Może to pogorszyć nasze położenie”. – A zwracając się do sekretarza, dodał głośno:

– Wszystko to są głupstwa, brednie chorej głowy. Zresztą zawiadomię o tym pana Ferranda.

XLIII

Rudolf i Sara

Hrabina Sara Mac-Gregor po wielu dniach śmiertelnego niebezpieczeństwa zaczęła wreszcie przychodzić do siebie.

Zmierzchało. Sara, siedząc w dużym fotelu, oparta na rękę brata, uważnie przeglądała się w zwierciadle, które trzymała przed nią służąca. Była blada jak marmur.

– Diadem, prędzej, prędzej! – zawołała Sara niecierpliwie i biorąc go, sama włożyła go sobie na czoło. – Zawiążcie z tyłu, tak, a teraz odejdźcie. Jak przyjdzie notariusz Ferrand, niech zaczeka w niebieskiej salce, a księcia Rudolfa Gerolstein, skoro przyjdzie, zaraz tu wprowadzić. – Domawiając ostatnich słów, zaledwie mogła ukryć dumną radość. – Nareszcie – zawołała, zostawszy sam na sam z bratem – nareszcie zbliżam się do celu! Wróżba się spełni.

– Saro, zachowuj się spokojniej – odparł brat surowo – jeszcze wczoraj wąpiliśmy, czy będziesz żyć. Zawiedziona nadzieja zadałaby ci śmiertelny cios.

– Masz słuszość, Tomie; to by mnie zabiło, bo nigdy moje nadzieje nie były tak bliskie spełnienia!

Jestem pewna, że tylko dlatego nie umarłam; dodawała mi sił myśl, że zdołam skorzystać z wiadomości, jakiej mi udzieliła zbrodniarka, zanim mnie pchnęła nożem. Ta jedna myśl utrzymywała mnie przy życiu. Co za nadzieja! Być żoną księcia udzielnego, prawie królową!

– Powtarzam, Saro, wystrzegaj się nierozsądnych marzeń, przebudzenie byłoby straszliwe.

– Nierozsądne marzenia! Jak to? Przecież kiedy Rudolf się dowie, że dziewczyna znajdująca się dziś u Świętego Łazarza jest naszą córką, czy myślisz, że wtedy...

– Myślę – przerwał Tom z goryczą – że księżęta powodują się raczej względami politycznymi niż uczuciami.

– Tak mało liczysz na moją zręczność?

– Księżę nie jest już namiętym młodzieńcem, którego niegdyś usidliłaś, te czasy dawno minęły dla niego, minęły i dla ciebie.

Sara uśmiechnęła się i rzekła:

– Widzisz? Włożyłam diadem i białą suknię. Bowiem pierwszy raz, kiedy mnie Rudolf widział u dworu w Gerolstein. byłam w białej sukni i miałam na głowie ten sam diadem.

– Co? – zawołał Tom zdziwiony. – Chcesz przywoływać wspomnienia? Nie lękasz się ich wpływu?

– Znam Rudolfa lepiej niż ty. Bez wątpienia moja twarz, dziś zmieniona wiekiem i cierpieniem, to już nie buzia młodej, szesnastoletniej dziewczyny, którą tak kochał. Alaj byłam jego pierwszą miłością, a ta zawsze zostawia w sercu niezatarte ślady.

– Ale z tym miłym wspomnieniem łączą się i straszne. Zapomniałaś o smutnym końcu waszego romansu?

– Litość zajęła miejsce nienawiści. Od czasu, jak wie, że byłam bliska śmierci, co dzień przysyła barona de Graun, żeby dowiedział się o moje zdrowie.

– Wie, że jesteś umierająca, że ma się z tobą pożegnać na zawsze. Źle zrobiłaś, nie zawiadamiając go w swoim liście o nowinie, którą mu chcesz oznajmić.

– Wiem, co robię. To odkrycie przejmie go zdziwieniem, radością, a ja... ja skorzystam z pierwszej chwili wzruszenia. Albo dziś, albo nigdy powie: „Trzeba małżeństwem uprawnić urodzenie naszego dziecka”. Jeśli tak powie, święcie dotrzyma słowa i nadzieja całego mego życia spełniona.

– Tak, jeżeli to powie...

– I żeby go do tego skłonić, niczego nie powinnam zaniedbać. Znam Rudolfa. Jeżeli będzie pewny, że odzyska córkę, przewycięży swoją nienawiść i nie ułęknie się żadnej ofiary, żeby dziecku zapewnić los najbardziej godny zazdrości. Żałuję, że mnie dziś nie wpuszczono do Świętego Łazarza, gdzie jak ci wiadomo, ma się znajdować nasza córka; mimo nalegań i prośb nie otrzymałam żadnych objaśnień, nie mając listu do dyrektora więzienia. Napisałam już do prefekta w twoim imieniu, ale dopiero jutro dostanę odpowiedź, a Księżę niedługo przybędzie.

– Jakież dowody przedstawiś Rudolfowi?

– Uwierzy, jak przeczyta zeznanie, które mi dyktowała ta zbrodniarka. Zobaczy twoją korespondencję z notariuszem i panią Seraphin aż do mniemanej śmierci dziecięcia. Usłyszy wyznanie notariusza, który, zatrwożony moimi groźbami, zaraz tu będzie. Uwierzy, kiedy zobaczy portret mojej córki. Te wszystkie dowody przekonają go, że mówię prawdę, i obudzą uczucia, skutkiem których ja zostanę udzielną księżną.

Pojazd zaturkotał na dziedzińcu.

– To on, Rudolf! – zawołała Sara.

Tom podeszedł do okna i odpowiedział:

– Tak, to on. Wysiada z powozu.

– Więc odejdz teraz, słyszę Rudolfa, odejdz! – powtórzyła tak rozkazującym tonem, że brat nie śmiał się opierać.

Zaledwie Tom wyszedł bocznymi drzwiami, gdy ukazał się Rudolf. W jego spojrzeniu, kiedy przestępował próg, malowała się litość, ale gdy ujrzał Sarę siedzącą, prawie wystrojoną, cofnął się zdziwiony, z ponurym niedowierzaniem. Hrabina, odgadując jego myśl, rzekła z omdlewającą słodyczą:

– Księżę sądził, że mnie znajdzie umierającą. Przyszedłeś pożegnać się ze mną.

– Ostatnią wolę umierających zawsze poczytywałem za świętą, ale tu widzę niegodny podstęp.

– Uspokój się, Księżę – odpowiedziała Sara – nie zawiodłam cię; podobno mam przed sobą już tylko kilka godzin życia, chciałam ci oszczędzić ponurego widoku, co zwykle otacza konających, chciałam umrzeć tak ubrana, jak byłam przy pierwszym naszym spotkaniu. Niestety! Po dziesięciu latach rozłąki widzę cię nareszcie. Dzięki ci! Ale ty również dziękuj Bogu, iż cię natchnął myślą wysłuchania mojej ostatniej prośby. Gdybyś jej odmówił, zaniósłabym ze sobą do grobu tajemnicę, która będzie radością i szczęściem twego życia.

– Cóż to znaczy? – zapytał Księżę zdziwiony.

– Tak, Rudolfie, gdybyś nie przyszedł, ta tajemnica byłaby moją zemstą... ach, nic, nie miałabym dosyć odwagi, żeby cię tak ukarać! Chociaż wiele przez ciebie cierpiałam, podzieliłabym jednak z tobą to ostatnie szczęście, którym cieszyć się będziesz długo, dłużej ode mnie. Rudolfie! Córka nasza... żyje!

– Nasza córka!

Te słowa, pełen szczerości ton, jakim zostały powiedziane, poruszyły Księcia do głębi.

– Moja córka! – krzyknął w osłupieniu. – Czy to możliwe? Żyje! – Lecz nagle, zastanowiwszy się nad niepodobieństwem takiego trafu i lękając się nowego podstępu Sary, dodał: – Nie, nie, to sen! Zwodzisz mnie! To kłamstwo, niegodny podstęp! Znam twoją ambicję, wiem, do czego jesteś zdolna, odgaduję cel twego nowego kłamstwa!

– To prawda, jestem zdolna do wszystkiego. Chciałam cię oszukać i właśnie w tej chwili, kiedy układałam ten świętokradzki zamysł. Bóg dopuścił, że zostałam śmiertelnie raniona.

– Zaklinam cię, wytłumacz wszystko. Chyba bredzisz w gorączce?

– Nie bredzę, Rudolfie. W tej szkatułce prócz dokumentów i portretu znajdziesz papier zbryzgany moją krwią. Kobieta, od której dowiedziałam się, że nasza córka żyje, dyktowała mi swoje zeznania, gdy zostałam uderzona sztyletem.

– Co to za kobieta? Skąd wiedziała?
 – Bo to taż sama niewiasta, której oddano nasze dziecko, podając je za umarłe.
 – Jak się ta kobieta nazywa? Czy można jej wierzyć?
 – Znam ją. Przed kilku miesiącami, Rudolfie, znalazłeś biedną dziewczynę i odesłałeś ją na wieś. Powodowana zazdrością i nienawiścią, porwałam ją stamtąd przy pomocy kobiety, o której ci mówię. Dziewczynę osadzono u Świętego Łazarza.
 – Już jej tam nie ma! O! Jaką krzywdę jej zrobiłaś!
 – Nie ma jej w więzieniu! – zawołała Sara ze strachem. – Co za nieszczęście!
 – Potwór chciwości zapragnął jej śmierci! Utopili ją.
 – Moja córka! – krzyknęła Sara i stanęła prosto bez ruchu jak statua. – Moja córka! – powtórzyła z rozpaczą. – Utopili moją córkę!
 – Gualeza, twoja córka!
 – Gualeza, tak ją nazywała ta kobieta przezwana Puchaczką, utopili... utopili... – mówiła Sara, tracąc przytomność.
 – Saro – rzekł Rudolf, równie błądy i przerażony jak hrabina – przyjdź do siebie, odpowiedz mi: Gualeza, ta młoda dziewczyna, którą kazałaś porwać z folwarku Bouqueval, była...
 – Naszą córką!
 – O nie! Jesteś w gorączce, nieprzytomna, to być nie może! Nie wiesz, jakie by to było okropne...

Po chwili milczenia Sara zebrała myśli i słabym głosem zaczęła mówić:

– Dowiedziawszy się o twoim małżeństwie i sama mając zamiar wyjść za mąż, nie mogłam naszej córki zostawić przy sobie; miała wtedy cztery lata. Chciałam zemścić się za lekceważenie i dlatego nie oddałam ci córki, to było niegodne. Ale wysłuchaj mnie, czuję, że mnie życie opuszcza, ten ostatni cios mnie dobił!

– Nie! Nie! Nie wierzę! Nie mogę uwierzyć. Gualeza moją córką! Wielki Boże! Do tego nie dopuścisz!

– Posłuchaj mnie, Książę. Miała cztery lata, kiedy mój brat oddał ją na wychowanie pani Seraphin, wdowie po jego dawnym służącym. Pieniądze przeznaczone na zapewnienie dziecku przyszłości zostały wręczone znanemu z uczciwości notariuszowi. Po roku zaczęli mi donosić, że dziewczynka zapada na zdrowiu, a w osiem miesięcy później otrzymałam wiadomość, że umarła, co stwierdzono aktem zejścia. Wtedy to właśnie pani Seraphin została gospodynią Jakuba Ferrand. Naszą córkę oddała Puchaczce za pośrednictwem zbrodniarza znajdującego się teraz na galerach w Rochefort. Puchaczka, dyktując to zeznanie, przebiła mnie nożem. Weź szkatułkę! Tam są dokumenty i portret naszej córki, namalowany, kiedy miała cztery lata.

Po tych słowach, które wyczerpały jej siły, Sara, zemdlona, padła na krzesło. Rudolf stał jak piorunem rażony. Są nieszczęścia tak nieprzewidziane, tak groźne, że staramy się nie wierzyć im, póki nieprzewyciężona rzeczywistość nie zmusi nas do tego. Rudolf, przeświadczony o śmierci Marii, miał tylko jedną, ostatnią nadzieję: że się okaże, iż to nie jego córka. Zbliżył się do stołu, otworzył szkatułkę, zaczął czytać listy i rozpatrywać dołączone do nich papiery.

Z coraz wzrastającą niewypowiedzianą boleścią utwierdzał się w przekonaniu, że Gualeza była jego córką i że nie żyje. Wszystko zdawało się to potwierdzać. Powszechnie mówiono, że zabili ją Martialowie, Nadmienimy tu, że Gualeza mimo starań doktora Griffona, hrabiego Saint-Remy i Wilczycy, długo znajdując się w stanie nie zostawiającym nadziei jej ocalenia, była tak osłabiona, że dotąd nie mogła zawiadomić ani pani George, ani Rudolfa.

Skutkiem takiego zbiegu okoliczności nie zostawał Księciu nawet cień nadziei. Czekwała go jeszcze ostatnia próba. Rzucił okiem na portret, na który dotąd nie śmiał spojrzeć.

W ślicznej, dziecięcej buzi znalazł uderzające podobieństwo z rysami Gualezy. Na widok portretu gwałtowny i wzburzony gniew Rudolfa rozpląnął się we łzach. Upadł na krzesło i zakrył twarz rękoma.

XLIV

Zemsta

Podczas gdy Rudolf rozpaczał, rysy twarzy Sary wyraźnie się zmieniły. W chwili gdy marzenie całego jej życia zdawało się spełniać, traciła całą nadzieję, która ją podtrzymywała dotychczas. Ten cios był ponad jej siły. Z trwogą czekała, co powie Rudolf. Znając jego gwałtowność, wiedziała, że po łzach bóleści nastąpi wybuch zapalczego uniesienia.

Nagle Rudolf podniósł głowę, wstał, otarł łzy i zbliżając się do Sary, groźny i nieubłagany, patrzył na nią w milczeniu. Potem rzekł głucho:

– Trzeba, żebyś się dowiedziała o wszystkich nieszczęściach, których powodem stała się twoja nienasycona ambicja, twój kamienny egoizm. Słyszysz, kobieto bez serca i wiary?

– Zlituj się, Rudolfie.

– Nie ma litości dla ciebie, co dawniej, chcąc dogodzić swoim ambicjom, z zimnym wyrachowaniem korzystałaś z mojej miłości, udając, że ją podzielasz. Uzbroiłaś syna przeciw ojcu, oddałaś córkę w obce ręce, żeby ci nie przeszkadzała nasycić chciwości i zawrzeć związku z bogaczem. Teraz spowodowałaś jej śmierć. Nie ma łaski dla ciebie!

– Ach, odejdz, odejdz, okrutny!

– Masz mnie wysłuchać! Przypominasz sobie, że ostatniego dnia, gdyśmy się widzieli, przed siedemnastu laty, nie mogłaś dłużej ukrywać skutków naszego tajemnego małżeństwa. Ojciec wpadł w gniew, nie wierzył naszemu związkowi i zakazał mi wspominać o tym. Kochałem cię wtedy do szaleństwa. Odpowiedziałem ojcu, że nigdy nic będę mieć innej żony prócz ciebie. Jego gniew przekroczył wszelkie granice. Zniósłbym wyrzuty, ale kiedy zaczął ci ubliżać, kiedy powiedział, że każe cię postawić pod pręgierzem, ja, wiedziony ślełą namiętnością, śmiałem zażądać, aby nie obrażał mojej żony. Dobyłem szpady, rzuciłem się na niego. Gdyby nie Murf, który odparował cios, zostałbym ojcobójcą! Słyszysz?... Ojcobójcą! Dla ciebie!

– Niestety, nie wiedziałam o tym...

– Wydawało mi się, że odkupiłem potem ten postępek. Niestety, to, co dziś na mnie spadło, to kara.

– A czyż ja także nie cierpiałam?

– Przystaniesz się dziwić odrazie, jaką mnie przejmujesz, kiedy dowiesz się reszty. Po moim targnięciu się na ojca wzięto mnie pod straż; Polidori również został uwięziony; jego staraniem to małżeństwo doszło do skutku. Potwierdził on, że ślub był nieprawy, że oszukał mnie, ciebie i twojego brata, kazawszy obrządku dopełnić osobie przebranej za duchownego. Co więcej, dostarczył ojcu twój list pisany do brata, który był w podróży; list ten Polidori przejął.

– Nieba! Czy podobna?

– Odsłaniałaś tam z oburzającą bezczelnością twoje ambitne plany.

– O! Nieszczęśliwa! Teraz rozumiem wszystko!

– A ja, stając w twojej obronie, śmiałem się targnąć na ojca! Wkrótce potem wyjechałem z domu, podróżowałem długo. Wtedy ślubowałem odkupić swoją winę pracą całego życia; nagradzać dobro, ścigać zło, nieść ulgę cierpiącym, zgłębiać wszystkie rany ludzkości, żeby choć kilka dusz zachować od zguby. Oto praca, którą sobie nazaczyłem. Niedawno przyjechałem do Francji. Zawsze niosąc pomoc nieszczęśliwym, ale uczciwym ludziom, chciałem tym razem poznać także i tych, których nędza prowadzi na drogę rozbewstwienia i zepsucia.

Wiedziałem, że wsparcie udzielone w porę, słowo szlachetne i pocieszające często wystarcza, aby zatrzymać nieszczęśliwego nad przepaścią. Chcąc dotrzeć wszędzie, sam przyjąłem strój i język tej klasy, którą chciałem poznać. W czasie tych wycieczek po raz pierwszy spotkałem... Nie... – dodał po chwili wahania – nie mam odwagi...

– Czegóż się jeszcze dowiem, o Boże! – zawołała Sara.

– Dowiesz się pani aż nadto wcześnie. Dowiedziawszy się, że wyszłaś za hrabiego MacGregor, zażądałem oddania córki; mimo usilnych starań nie mogłem wykryć, dokąd odesłałaś dziecko. Dopiero po dziesięciu latach napisałaś mi, że nasza córka nie żyje. Niestety! Gdyby wtedy umarła, nie zaznałbym przynajmniej nieukojonej bolesti, co odtąd będzie rozpaczą mego życia.

– Teraz – rzekła Sara słabym głosem – nie dziwię się twojej nienawiści. Czuję, że nie przeżyję tego ostatniego ciosu.

– O, wiem, ty płaczesz nie nad śmiercią córki, ale nad utratą dostojeństwa, do którego tak uparcie się pięłaś. Niech to będzie twoja ostatnia kara.

– Ostatnia, nie przeżyję tego!

– Ale nim umrzesz, dowiesz się, jakie było życie twojej córki.

– Ach biedna; czy była bardzo nieszczęśliwa?

– Czy pamiętasz – rzekł Rudolf z przerażającym spokojem – czy pamiętasz tę noc, kiedy szukaliśmy mnie z bratem w szynku w Cité?

– Pamiętam; czemu pytasz?

– Idąc do tej jaskini łotrów, widzieliście na rogach ulic nieszczęsne istoty, które...

– Tak, widziałam. Ohyda...

– A może dostrzegłaś szesnastoletnią dziewczynę, piękną jak anioł. Biedne dziecko, które wśród złodziei i zbójców zachowało wyraz niewinności na twarzy. Widziałaś ją? Powiedz, czuła matko!

– Nie, nie zwróciłam na nią uwagi – odparła Sara, którą zaczął ogarniać strach.

– Doprawdy? – krzyknął Rudolf, śmiejąc się zjadliwie. – A to dziwne. A ja zwróciłem uwagę. I powiem pani, dzięki jakiemu przypadkowi; tylko słuchaj dobrze. Otóż jakiś człowiek rzucił się na nią, ja ją obroniłem. No, nie zgadłaś, co to za dziewczyna?

– Nie, nie wiem. O! Zostaw mnie w spokoju!

– To była Gualeza! Gualeza, twoja córka! – krzyknął Rudolf rozzwierającym głosem.

– Umieram przeklęta, potępiona – jęknęła Sara.

– Tak, pani hrabino, podczas gdy ty wśród bogactw marzyłaś o mitrze księżęcej, twoja córka w łachmanach chodziła wieczorem żebrac po ulicy, zносиła głód i zimno, w mroźne noce marzyła na słomie, a okrutna baba pastwiła się nad nią.

– Chcę już umrzeć! Co za straszne konanie!

– Słuchaj dalej: kiedy wreszcie uciekła od Puchaczki, wsadzili ją do więzienia. Ach, to był najpomysłniejszy okres w życiu twojej córki, pani hrabino! W więzieniu co wieczór dziękowała Bogu, że już nie cierpi głodu, nie marznie, nie jest bita. Tam spędziła najpiękniejsze lata młodości. Nieszczęśliwa, opuszczona, bez oparcia, narażona była na wszystkie koleje nędzy i błędu. Nawet ty byś zapłakała, słuchając opowiadań twojej córki. Natura obdarzyła ją czarującym wdziękiem, najlepszymi skłonnościami, ale pewnego dnia, kiedy nie miała już pieniędzy, spotkały ją, wycieńczoną głodem, obrzydłe kobiety, upiły ją i... – Rudolf nie mógł skończyć.

– Przekleństwo na mnie! – mówiła cichym głosem Sara.

– Tak! – zawołał Rudolf. – Jesteś sprawczynią wszystkich nieszczęść naszego dziecka. Kiedy, wydzwignawszy z błota, umieściłem ją u poczciwych ludzi, kazałaś ją stamtąd porwać. To porwanie oddało ją w ręce Jakuba Ferrand.

Wymówiwszy nazwisko notariusza, Rudolf umilkł nagle. Oniemiały, nieporuszony, stał jak rażony piorunem na myśl, że zabójca jego córki jeszcze żyje.

Sara mimo wzrastającego osłabienia spostrzegła w Rudolfie zmianę i zlekła się o siebie.

- Na Boga, co ci jest? – spytała drżąc.
- To moją córkę wydał ten potwór na tortury głodu i nędzy, na wstyd, na hańbę! Moją córkę kazał zamordować! Zabiję go! – zawołał Rudolf, biegnąc ku drzwiom.
- Gdzie idziesz? Nie opuszczaj mnie! – błagała Sara, wyciągając ku niemu rękę. – Nie zostawiaj mnie samej. Ja konam...
- Nie będziesz sama, zostawiam cię z cieniem córki. Sara w rozpaczy z krzykiem padła na kolana.
- Litości! Umieram!...
- Umieraj i bądź przeklęta! – wykrzyknął Rudolf. – Teraz muszę wyrzucić życie twemu wspólnikowi.

XLV

Furens amoris

Zapadła noc, kiedy Rudolf pojechał do notariusza. Skrzydło domu, w którym mieszkał Jakub Ferrand, pogrążone było w zupełnej ciemności.

W słabo oświetlonej sypialni leżał Ferrand; zawinięty rękaw koszuli, ślady krwi i obandażowane ramię wskazywały, że Polidori niedawno puszczał mu krew.

Włoch, stojąc w głowach łóżka, niespokojnie przypatrywał się swemu współnikowi.

Trudno sobie wyobrazić coś bardziej odrażającego od twarzy Jakuba Ferranda, pogrążonego w sennym odrętwieniu, jakie następuje zwykle po gwałtownych przesileniach choroby; twarz ta jest sinoblada, wychudzona do ostateczności, spuchnięte powieki nabiegły krwią; wyglądają jak dwa czerwone płatki wśród trupiej bledości lica.

– Jeszcze jeden taki atak, a będzie zgubiony – rzekł Polidori do siebie. – Areteusz mówi, że większość ludzi dotkniętych tą dziwną i straszną chorobą umiera prawie zawsze siódmego dnia, a dziś mija szósty, odkąd piekielna Kreolka zapaliła w tym człowieku płomień, co go pożera. Straszna choroba, straszna! W każdym z organów kolejno powoduje najdziwniejsze zmiany, których nauka nie umie wytłumaczyć. Na przykład tylko co słuch Ferranda był tak nie do uwierzenia czuły, że każdy mój najcichszy szept rozdzierał mu ucho. Skarżąc się, mówił, że czaszka jego jest dzwonem.

Polidori, ów zuchwały zbrodniarz, był jednak przesądny; ogarniały go czarne przeczucia. Chcąc odegnąć ponure myśli, pochylał się nad chorym.

– Teraz – zauważył – powieki nabiegają mu krwią, powiedziałbyś, że to spalona krew napływa do nich i tu się zbiera. Jak niedawno słuch, tak teraz organ wzrokowy okaże jakieś niezwykłe dolegliwości. Co za męczarnie! Jak długo trwają.

Na dworze wznagał się wicher.

– Idzie burza! – rzekł Polidori, padając na krzesło i zakrywając twarz rękami. – Co za noc, co za noc. – Pod długim milczeniu podjął: – Nie wiem, czy Księżę, świadomy piekielnej potęgi wdzięków Cecylii i gwałtownych namiętności Jakuba, przewidział, że w człowieku o tak silnej woli i tak silnej budowie nie zaspokojona namiętność wywoła chorobę, ale takiego skutku należało się spodziewać, to nieuniknione. Ileż to się zdarzyło ostatnio. Spodziewałem się zniewieścić Księcia i zrobić z niego narzędzie posłuszne mojej woli, z nauczyciela miałem zostać ministrem. I w końcu zostałem stróżem więzienia mojego współnika. – Polidori zadumał się. Po chwili wspomniawszy Rudolfa, rzekł do siebie: – Lękam się Księcia i nienawidzę go, ale muszę chylić czoło przed jego wyobraźnią, przed jego silną wolą, która zawsze wybiega poza granice dróg znanych. O tak. Księżę jest nieubłagany. Tysiąc razy lepiej byłoby dla Ferranda, gdyby poszedł na rusztowanie; mniej by cierpiał, gdyby go spalili żywcem, zmiażdżyli kołem. Widząc jego męki, zaczynam się lękać końca, jaki mnie czeka. Co się ze mną stanie, co przeznaczono mnie, współnikowi Jakuba.

Burza srożyła się na dworze z całą wściekłością. Stary, popękany komin, przewrócony przez wiatr, zwałił się na dach, a potem na dziedziniec z hukiem grzmotu.

Jakub Ferrand, nagle zbudzony z sennego odrętwienia, poruszył się na łóżku.

Mimowolny strach coraz bardziej ogarniał Polidoriego.

– Nie wierzę w żadne przeznaczenia – rzekł – ale ta noc zdaje się wróżyć jakieś nieszczęście.

Głuchy jęk notariusza zwrócił uwagę Włocha.

– Polidori – szepnął Ferrand, nie otwierając oczu – Polidori, co to za hałas?
– To komin się zawalił – odpowiedział Polidori cicho, bojąc się urazić słuch chorego – straszny huragan wstrząsa całym domem, to okropna noc.
– Teraz twój głos dochodzi do moich uszu i nie sprawia mi bólu... przedtem przy najmniejszym szmerze zdawało mi się, że to piorun bije w mojej czaszce, a jednak wśród tego hałasu, wśród tych niewypowiedzianych cierpień rozróżniałem namiętny głos Cecylii, który mnie przyzywał.
– Ach, szalony człowieku, powiadam ci, to właśnie te myśli są przyczyną twoich cierpień. Twoja choroba to nic innego, jak rozdrażniona do najwyższego stopnia namiętność. Raz jeszcze powtarzam ci: odsuń od siebie te obrazy rozkoszy albo umrzesz!
– Odepchnąć te obrazy! – zawołał notariusz. – O, nigdy! Nigdy! Boję się tylko tego, że moja wyobraźnia, znużona wreszcie, nie zdoła ich więcej wywołać. Cecylia, szatan, którego kocham i przeklinam, ukazuje mi się przed oczyma.
– Jakubie! Słuchaj, słuchaj mnie! Miej litość nad sobą – zawołał Polidori zalekniiony. – Przed chwilą zdawało ci się także, że słyszysz rozkoszny śpiew kobiety, i słuch twój nagle dotknięty został straszliwym bólem. Strzeż się!
– Daj mi spokój – wykrzyknął notariusz niecierpliwie i gniewnie. – Po co mi słuch, jeśli nie po to, żeby ją słyszeć, a wzrok, żeby ją widzieć?
– Ale tortury, jakie potem musisz znosić, nędzny szaleńcze!
– Narażę się na tortury dla cienia, jak narażałem się na śmierć dla rzeczywistości. Zresztą ten płomienny obraz starcza mi za rzeczywistość. O, Cecylio! Jakaś ty piękna, wiesz dobrze, piekielnico, że mnie oczarowujesz, po cóż ta szatańska zalotność, co mnie rozżarza, czarownico! Chcesz, żebym umarł? – wołał notariusz. Nagle krzyknął z bólu.
– Co ci jest? – zapytał Polidori zdziwiony.
– Zgaś to światło, jego blask jest za mocny, nie mogę go znieść, razi mnie.
– Co mówisz? – rzekł Polidori ze wzrastającym zdziwieniem. – Jest tu tylko jedna lampa, i to z abażurem, ledwo świeci.
– Oślepiłem! To światło przenika mi przez powieki, pali mnie! Zgaś lampę, co za piekielny blask!
– Tak, to niewątpliwe – rzekł Polidori – jego wzrok nabył teraz tej nienormalnej czułości, jaką miał niedawno zmysł słuchu. Jest skończony. Puszczanie krwi w tym stanie zabiłoby go natychmiast. Nie ma ratunku.
Znowu straszliwy ostry krzyk Jakuba rozległ się w pokoju.
– Okrutniku! Zgaś wreszcie lampę; to światło przechodzi mi przez ręce! Ach, co za męki!
Polidori, przestraszony gwałtownością ataku, prędko zgasił lampę. Znaleźli się w zupełnej ciemności.
Wtem na ulicy zaturkotał powóz i stanął pod bramą.

XLVI

Zjawy

Gdy zupełna ciemność objęła pokój, w którym znajdowali się notariusz z Polidorim, cierpienia Ferranda uśmierzyły się powoli.

– Dlaczego tak długo ociagałeś się ze zgaszeniem lampy? – spytał notariusz. – Chciałeś, żebym wycierpiał piekielne męczarnie? Co za ból, o Boże! Co za ból!

– Teraz ci lżej?

– Jeszcze niezupełnie, ale to nic w porównaniu z tym, co czułem przed chwilą.

– Powiedziałem ci już: skoro tylko wspomnienie tej kobiety pobudzi którykolwiek z twoich zmysłów, prawie natychmiast zmysł ten dozna strasznych zaburzeń. A ponieważ tak bardzo chcesz żyć, powtarzam ci więc: skończysz podczas jednego z tych ataków jeżeli go jeszcze wywołasz.

– Chcę żyć, bo moim życiem jest wspomnienie Cecylii.

– Dokąd idziesz? – rzekł nagle Polidori, słysząc, że Ferrand wstaje.

– Do Cecylii.

– Nie pójdziesz, trzymam cię, nie puszcę – rzekł Polidori, chwytając notariusza za ramię.

– Ona jest na górze, czeka na mnie, poszedłbym przez ogień, żeby się do niej dostać. Puszczaj! Powiedziała mi, że jestem jej tygrysem, strzeż się, mam ostre pazury!

– Nie wyjdiesz stąd, raczej cię przywiążę do łóżka jak obłąkanego.

– Polidori, słuchaj, nie jestem szalony, wiem dobrze, że Cecylii tam nie ma materialnie, ale dla mnie zmory wyobraźni znaczą tyle co rzeczywistość.

– Nie wyjdiesz stąd, muszę cię pilnować, własne bezpieczeństwo nie pozwala mi cię wypuścić.

– Nie dajesz mi iść do Cecylii? Umrzesz!

Polidori krzyknął.

– Zbrodniarzu, zraniłeś mnie w rękę, ale jesteś osłabiony, to tylko lekka rana, nie wyjdiesz stąd.

– Rana jest śmiertelna, to zatruty sztylet Cecylii, zawsze go noszę przy sobie. Poczekaj, aż trucizna zacznie działać. A! Puszczasz mnie jednak. I po co mnie zatrzymywałeś? Umrzesz, a ja pójdę do Cecylii – dodał Ferrand, szukając w ciemności drzwi.

– O! – wyszeptał Polidori. – Ramię mi drętwieje, śmiertelny chłód mnie chwyta. Ratunku! – wołał resztkami sił. – Ratunku, umieram!... – I padł na ziemię.

Trzask szklanych drzwi, otwartych tak gwałtownie, że kilka szyb wyleciało, donośny głos Rudolfa i spieszne kroki kilku osób zdawały się odpowiadać rozpaczliwemu krzykowi Polidoriego.

Jakub Ferrand, znalazłszy na koniec wśród ciemności drzwi prowadzące do przyległego pokoju, otworzył je i wpadł tam, trzymając w rękę niebezpieczny sztylet.

W tejże chwili z przeciwnej strony wbiegł Rudolf, pałający gniewem i zemstą.

– Potworze! – krzyknął, zbliżając się do Ferranda. – Zabiłeś moją córkę! Teraz... – Książę nie skończył, cofnął się przerażony.

Wydawało się, że jego słowa raziły Ferranda jak piorun.

Rzucając sztylet i obiema dłońmi zakrywając oczy, nędznik padł twarzą na ziemię z krzykiem, w którym nie było nic ludzkiego.

W ciemnościach bóle wzroku uśmierzyły się, ale gdy tylko wszedł do jasno oświetlonego pokoju, wróciły cierpienia, trudne do wytrzymania.

Przerazający był widok konającego człowieka, co wijąc się w gwałtownych konwulsjach, szarpał paznokciami posadzkę, wyglądał, jakby chciał w niej wydrapać dziurę, aby się skryć przed męką, jaką mu sprawiało działanie światła.

Rudolf, jego służący i odźwierny domu stanęli w osłupieniu.

Pomimo słusznej nienawiści Księżę doznał przez chwilę litości dla niesłychanych cierpień notariusza. Kazał go zanieść na sofę.

Umierający przypominał sobie ciągle, że Cecylia nazwała go swoim tygrysem. Wyobrażał sobie, że jest tygrysem; wściekłe, chrapliwe krzyki, zgrzytanie zębów, konwulsyjne skurcze mięśni na twarzy nadawały mu niekiedy jakby przelotne podobieństwo do tego dzikiego zwierzęcia.

– Tygrys, jestem tygrys – powtarzał głosem przerywanym, skulony w kącie pokoju – jestem tygrys. Ile krwi! Poszarpane trupy w mojej jaskini! Gualeza, brat tej wdowy...

Rudolf i inni świadkowie tej sceny stali nieporuszeni, w milczeniu, jakby zostawali pod brzemieniem okropnego snu.

Zbrodniarz konał wśród ciągłych widziadeł, szepcząc:

– Ciemno, widma, ogniste szkielety... obejmują mnie, chwytają, palę się! Cecylio! Takie były ostatnie słowa Jakuba Ferrand.

Rudolf wyszedł, przejęty strachem.

XLVII

Szpital

Czytelnik nie zapomniał, że Gualeza, uratowana przez Wilczycę, została przeniesiona do domu doktora Griffon.

Uczony ten lekarz dostał przy pomocy wysoko postawionych osób oddział w jednym ze szpitali Paryża. Tam na ubogich chorych próbował nowych sposobów leczenia, potem stosował je w najpierwszych domach stolicy.

W pojęciu tego „księcia nauki”, jak to się dziś mówi, chorzy ze szpitala byli tylko materiałem dla doświadczeń, a kiedy z tych prób wynikało czasem coś użytecznego, nowe odkrycia, wtedy doktor cieszył się tak serdecznie, tak szczerze triumfował, jak generał po zwycięstwie, które kosztowało go dużo żołnierzy.

Pacjent, który się dostał do oddziału doktora Griffon, stawał się ciałem i duszą własnością nauki. Nikt – ani przyjaciele, ani obojętny przechodzień – nie słyszał jego skarg.

Choremu oznajmiano wprost, że będąc przyjętym do szpitala z litości, stanowi część pracowni naukowej doktora i odtąd on i jego choroba powinny być przedmiotem badań, doświadczeń, prób doktora Griffon i jego uczniów.

Kobiety i dziewczęta nieraz musiały zadawać gwałt wszelkim odruchom wstydu i opowiadać o sprawach najbardziej intymnych, narażać się na niesłychanie przykre badania wobec licznych widzów, prawie zawsze te ciężkie próby pogarszały stan chorych.

Trudno wyobrazić sobie smutniejszy widok niż sala szpitalna w nocy.

W jednym z końców tej sali ciemność była prawie zupełna. Nagle wszczął się jakiś hałas, biegania, otwierano i zamykano drzwi; siostra miłosierdzia ze świecą w ręku zbliżyła się do jednego z ostatnich łóżek. Po chwili przykryto prześcieradłem całe łóżko.

To umarła jedna z chorych.

Wśród kobiet, co nie spały i były świadkami tej sceny, znajdowały się trzy, o których wspomnieliśmy już w naszej powieści:

Baronówna Fermont, córka nieszczęśliwej wdowy, ofiary chciwości Jakuba Ferrand; uboga praczka, której Gualeza dała niegdyś resztę swoich pieniędzy, i wreszcie Joanna Duport, siostra Pique-Vinaigre'a, bazarza więzienia La Force.

Baronównę i Joannę Duport znamy. Praczka zaś, którą teraz widzimy pierwszy raz, była kobietą dwudziestokilkuletnią, miała suchoty w ostatnim stadium. Wiedziała, że nie ma dla niej ratunku, i gasła powoli.

Łóżka ich stały tak blisko siebie, że mogły rozmawiać ze sobą po cichu, nie będąc słyszane przez pielęgniarki.

– Znowu jedna umarła – odezwała się praczka półgłosem, myśląc o kobiecie, która tylko co skonała. – Przestała cierpieć, szczęśliwa!

– Szczęśliwa, jeżeli nie ma dzieci – dodała Joanna.

– Ja miałam tylko jedną córkę – podjęła praczka – umarła jako niemowlę; żal mi jej, ale dla niej to lepiej, że umarła: smutny los by ją czekał, zbyt młodo zostałaby sierotą, bo ja już niedługo pożyję. Muszę umrzeć jak ta aktorka, która teraz skończyła.

– Więc to była aktorka?

– Tak. I popatrz, jaki ją los spotkał. Była kiedyś piękna jak słońce, miała dużo pieniędzy, powozów, klejnotów, ale na nieszczęście zeszpeciła ją ospa; przyszedł niedostatek, potem bieda, nędza, no i w końcu umarła w szpitalu. Nigdy nikt jej nie odwiedzał, mimo to cztery

czy pięć dni temu napisała do jednego pana, którego znała za dobrych czasów i który ją bardzo kochał. Prosiła go, żeby zajął się jej pogrzebem, dręczyła ją myśl, że jej ciało po śmierci pokroją w kawałki.

– A ten pan nie przyszedł!...

– Nie – odparła praczka. – Skoro już o tym mówimy – podjęła po chwili nieśmiało – prosiłabym cię o jedną przysługę.

– Mów, proszę.

– Gdybym umarła, nim stąd wyjdiesz, o czym nie wątpię prawie, chciałabym, żebyś się upomniała o moje ciało. Dręczy mnie ten sam lęk. Schowałam tu trochę pieniędzy, wystarczy na pogrzeb.

– Moja kochana, wybij sobie z głowy te myśli.

– Niejedna z tych, co tu leżą – rzekła praczka – była daleko bogatsza od niej. Wczoraj wieczorem, na krótko przed tobą, przywieźli tu młodą dziewczynę, najwyżej piętnastoletnią. Była tak osłabiona, że sama nie mogła zrobić kroku. Zakonnica mówiła mi, że ta dziewczyna i jej matka to jakieś znakomite osoby, ale straciły majątek.

– Więc i jej matka tu jest?

– Nie ma jej, była tak chora, że nie mogli ją zabrać. Biedne dziecko nie chciało w żaden sposób opuścić matki. Zemdloną wynieśli z mieszkania. Zakonnica opowiada, że gospodarz domu z obawy, żeby u niego nie pomarli, doniósł o, ich stanie komisarzowi.

– Gdzie leży ta dziewczynka?

– A tam, w tym łóżku naprzeciwko ciebie.

– I ma dopiero piętnaście lat?

– W jednych latach z moją starszą córką – rzekła Joanna, nie mogąc wstrzymać się od łez na myśl o córce.

– A twój mąż? – spytała praczka.

– Skoro już zaprzyjaźniłyśmy się, opowiem ci wszystkie moje nieszczęścia, to mi ulży. Mój mąż był z początku dobrym rzemieślnikiem, ale potem się rozpuścił i w końcu zostawił mnie z dziećmi sprzedawszy wszystko, cośmy mieli. Trzy dni temu siedziałam z dziećmi przy robocie; wtem wchodzi mąż, zaraz z twarzy poznałam, że pijany. „Przyszedłem po Katarzynę”, mówi. Cała krew zagotowała się we mnie, bo wyobraź sobie, ta kobieta, co jest teraz z moim mężem, wpadła na pomysł, żeby skorzystać z młodości Katarzyny.

– O! Niegodziwa!

– „Za nic w świecie nie puszcę córki z tobą”, powiedziała mężowi, „wiem, co chcecie z nią zrobić”. Wtedy wpadł we wściekłość, oderwał córkę ode mnie, uderzył mnie pięścią w piersi tak mocno, że padłam. Krew rzuciła mi się z ust, byłam na pół nieżywa, nie mogłam się ruszyć, ale wołam Katarzynę: „Nie idź z nim, lepiej niech mnie zabije”. W końcu straciłam przytomność. Gdy przyszłam do siebie, mój synek płakał.

– A córka?

– Zabrał ją ze sobą! – odpowiedziała ze łzami biedna matka. – Wybił i gwałtem wyciągnął z domu.

– Nie lękaj się o córkę, przecież cię kocha.

– Ach, moja droga, to jeszcze dziecko, czy to potrafi oprzeć się namowom, strachowi, złym radom, złym przykładom? Biedna moja Katarzyna, taka słodka, tak do mnie przywiązana!

– O, widzę, że dużo wycierpiałaś! A ja się tu skarżyłam – rzekła praczka, ocierając oczy. – A reszta twoich dzieci?

– Właśnie dla nich nie chciałam iść do szpitala, czekałam do ostatniej chwili, ale co dzień po kilka razy pluję krwią, gorączka mnie pali, nie mogę się ruszyć, a tym bardziej pracować. Ja tu leżę, a kto tam o nich pomyśli, kto ich wyżywi?

– Ach, to okropne! A nie masz dobrych sąsiadów?

– Są tak samo biedni jak ja, a mają pięcioro dzieci. Dwoje więcej to ciężar... obiecali mi jednak, że moim dadzą jeść, choć trochę przynajmniej przez tydzień, Poznałam jedną dobrą panią, pannę Rigolettą, posyłałam do niej, ale mi powiedzieli, że wyjechała na wieś i wychodzi za mąż.

Tymczasem zrobił się dzień. Niezwykły ruch oznajmił przybycie doktora Griffon, który wkrótce wszedł na salę w towarzystwie starego hrabiego Saint-Remy – przyjaciela pani Fermont i jej córki, który zresztą wcale się nie spodziewał, że nieszczęśliwą dziewczynkę znajdzie w szpitalu.

Gdy doktor wszedł na salę, jego zimna i surowa twarz rozjaśniła się; rzucił wkoło spojrzenie pełne powagi i dumy, skinieniem głowy odpowiedział na uprzejme ukłony zakonnicy.

Hrabia Saint-Remy był ponury. Daremne poszukiwania baronowej Fermont, haniebnym postępkiem Florestana, który przeniósł sromotne życie nad śmierć, napęliły mu serce goryczą.

– Doprawdy – rzekł – nie wiem, doktorze, dlaczego dałem się namówić, żeby tu przyjść. Nic bardziej nie smuci niż widok tych sal.

– Ba! Ba! Za kwadrans ci przejdzie smutek. Jako filozof, znajdziesz tu obszerne pole do spostrzeżeń, a jako przyjaciel, nie znasz jeszcze teatru mojej sławy. Jestem dumny ze swego zawodu, czy masz mi to za złe?

– Nie, zaiste; i po tylu staraniach, które okazałeś Marii, kiedy ją uratowałeś od śmierci, niczego ci nie mogłem odmówić... Wilczyca, która ją pielęgnuje z niewypowiedzianą troskliwością, powiedziała mi, że Maria spała bardzo dobrze... Czy dziś można pozwolić jej pisać?

Po krótkim namyśle doktor powiedział:

– Można... Póki nie przyszła jeszcze zupełnie do zdrowia, obawiałem się najmniejszego wysiłku... Ale teraz nie widzę powodu, żeby jej tego bronić.

– Przynajmniej będzie mogła zawiadomić osoby, co się nią zajmują. Tymczasem do sali weszło mnóstwo studentów; Griffon bowiem przyszedł nieco wcześniej niż zawsze.

– Czy wszyscy ci młodzieńcy podchodzą razem do łóżka każdej chorej? – zapytał Saint-Remy. – Obecność tylu mężczyzn musi być nadzwyczaj przykra dla tych kobiet.

– Co znowu! Chorzy nie mają płci.

– Słuchaj, doktorze, jesteś najlepszym, najgodniejszym człowiekiem, winienem ci życie, uznaję, że posiadasz rzadkie zalety, ale nawyk i zamiłowanie w nauce sprawiają, że na pewne kwestie zapatrujesz się w sposób, który mnie oburza. Odchodzę... – dodał Saint-Remy, zwracając się ku drzwiom.

– Ależ to dziecinne skrupuły! No dobrze, zgoda, zmęczyłbyś się, chodząc od łóżka do łóżka, przyznaję. Zostań więc tutaj, zawołam cię tylko do dwóch czy trzech ciekawszych przypadków.

– Niech będzie, skoro chcesz koniecznie...

Wybiło pół do ósmej.

– Zaczynamy, panowie – rzekł doktor Griffon i na czele licznego grona słuchaczy rozpoczął oględziny chorych.

Podszedł do pierwszego łóżka z prawej strony, którego firanki były zasunięte; zakonnica oznajmiła mu:

– Numer pierwszy umarł dzisiaj o godzinie pół do czwartej.

– Tak późno? To mnie dziwi; wczoraj rano byłem prawie pewien, że skończy do wieczora.

– Co to za ludzie chodzą za doktorem? – spytała Joanna Duport praczki.

– To asystenci i studenci.

– Ach, mój Boże, i ci wszyscy mężczyźni będą przy tym, kiedy mnie doktor będzie badał?

– Niestety, będą... Uczą się na nas. Cóż chcesz?... My tylko dlatego tu jesteśmy, po to przyjmują nas do szpitala.

– Rozumiem – rzekła Joanna Duport z goryczą – nic darmo! Ale przecież są wypadki, kiedy nie powinno się tak robić.

- Psst, cicho, nic nie mów – szepnęła praczka. – Gdyby nas słyszała ta biedna dziewczynka naprzeciwko, co może nigdy nie zrobiła kroku bez matki. Pomyśl tylko, co to z nią będzie!
- Ach, prawda, mój Boże! Nieszczęśliwe dziecko!
- Cyt, Joanno, doktor się zbliża – rzekła praczka.

XLVIII

Baronówna Fermont

Po spieszonym zbadaniu kilku chorych, których dolegliwości nie nastęrczały żadnych ciekawych spostrzeżeń, doktor Griffon stanął wreszcie przy Joannie Duport. Na widok cisnącego się naokoło łóżka tłumu uczniów chcących widzieć i wiedzieć nieszczęśliwa kobieta, drżąc ze strachu i wstydu, zasłoniła się kołdrą.

– Nowy numer! – rzekł doktor, patrząc na arkusz, na którym było wypisane nazwisko i choroba pacjentki. Potem utkwiał w niej długie, badawcze spojrzenie.

– Jak się pani nazywa?

– Joanna Duport – odpowiedziała z westchnieniem przełęczniona pacjentka.

– Ile lat?

– Trzydzieści siedem.

– Jest pani mężatka?

– Niestety, panie – rzekła z cicha Joanna.

– Ma pani dzieci?

– Dwóch chłopców i szesnastoletnią córkę.

Nastąpiło jeszcze kilka pytań, których powtórzyć niepodobna i na które Joanna, rumieniąc się, ledwie wyjąkała odpowiedzi wobec tłumu słuchaczy.

– Więc mąż panią popchnął? Chyba nie tylko popchnął. Musiał kopnąć w brzuch?

– Ach, panie, wierz mi, był pijany, inaczej by się tak ze mną nie obszedł.

– Pijany czy nie, moja kochana, mnie nic do tego, nie jestem żadnym sędzią i chcę tylko wiedzieć, co zaszło. Więc rzucił panią o ziemię i deptał nogami, nieprawdaz?

– Tak! – rzekła Joanna, zalewając się łzami.

– Musi mieć pani bóleści w brzuchu? – przerwał doktor. – Doznaje pani ociężałości, znużenia, mdłości?

– Tak, panie. Przyszłam tu dopiero, kiedy już zupełnie opadłam z sił; inaczej nie opuściłabym dzieci, nikogo nie mają prócz mnie.

– Twarz blada, zupełne wycieńczenie; przy tym jednak puls dosyć mocny, twardy i czysty – rzekł niewzruszony doktor, przerywając Joannie. – Zauważcie, panowie: ucisk, palenie w nadbrzuszu, te symptomy zapowiadają nam *hematomesin*, skomplikowaną może *cum hepatitis*, czego się każe domyślać żółty kolor białka ocznego – tu chora otrzymała silne uderzenie w żołądek i nadbrzusze – krwawe wymioty są zapewne skutkiem jakiegoś uszkodzenia organicznego. – I szybkim ruchem doktor Griffon odrzucając kołdrę na bok, prawie zupełnie odkrył Joannę.

Biedaczka musiała znieść publiczne badanie, trwające bardzo długo. Ta okrutna scena tak nią wstrząsnęła, że dostała ataku nerwowego, na który doktor Griffon zapisał osobne lekarstwo.

Oględziny trwały dalej.

Doktor przyszedł do łóżka Klary Ferment. Po nocy spędzonej w bóleściach dziewczynka wpadła w gorączkową senność, jeszcze przed przyjściem doktora, i dotąd nie obudziła się.

– Nowy przypadek, panowie – rzekł książę nauki, przebiegając oczyma arkusz podany przez ucznia. – Rodzaj choroby. Tam do kata! – zawołał z wyraźnym zadowoleniem. – Jeżeli dyżurny nie pomylił się w diagnozie, to znaleźliśmy chorobę bardzo ciekawą. Starożytność

dobrze ją znała, jakoż pisma Hipokratesa nie pozostawiają w tym względzie najmniejszej wątpliwości. – Doktor trącił w ramię pannę Ferment, żeby ją zbudzić.

Chora otworzyła duże, głęboko zapadłe oczy.

Kto wyrazi jej osłupienie, przestrasz?

Gdy młodzi ludzie otoczyli łóżko, doktor wsunął dłoń pod kołdrę, żeby wziąć chorą za rękę i zbadać puls.

Klara, zbierając wszystkie siły w jednym krzyku rozpaczony, zawołała:

–Mamo! Ratu! Mamo!

W chwili gdy na krzyk biednego dziecka stary hrabia Saint-Remy, poznając ten głos, zerwał się z krzesła, drzwi sali otworzyły się i weszła młoda kobieta w żałobie w towarzystwie dyrektora szpitala.

Była to markiza d'Harville.

– Zaklinam pana – rzekła z przejęciem do dyrektora – zaprowadź mnie pan do łóżka panny Ferment.

– Pani będzie łaskawa pójść za mną – odpowiedział dyrektor z ukłonem. – Panna Ferment leży właśnie w tej sali, pod numerem 17.

– Nieszczęśliwa! Ona tutaj – zawołała pani d'Harville, ocierając łzy. – Ach, to okropne!

I markiza, spiesząc za dyrektorem, zbliżyła się do grona osób zebranych przy łóżku panny Ferment. Wtem dały się słyszeć pełne oburzenia słowa:

– Powiadam panu, że to prawdziwe zabójstwo.

– Ale, kochany hrabio, posłuchaj tylko.

– Powtarzam, doktorze, że twoje postępowanie jest nieludzkie. Uważam pannę Ferment za własną córkę. Zabraniam ci zbliżać się do niej i natychmiast każę ją stąd zabrać.

– Ależ, drogi przyjacielu, to jest niezwykle rzadki wypadek, to była jedyna sposobność.

Klemencja słuchała tej rozmowy ze wzrastającym niepokojem, ale tłum uczniów tak się cisnął koło łóżka, że nie mogła się przez niego przedrzeć. W końcu dyrektor powiedział głośno:

– Panowie, proszę zrobić miejsce, pani markiza d'Harville przychodzi odwiedzić numer 17.

Uczniowie, widząc kobietę w całym blasku piękności, usunęli się z uszanowaniem.

– Pani d'Harville! – zawołał hrabia Saint-Remy, odpychając doktora i biegnąc do Klemencji. – Ach, sam Bóg panią tu zesłał. Zechciej ją zobaczyć, a wy, panowie, zaklinam was w imię waszych sióstr, zlitujcie się nad biedną dziewczyną, zostawcie ją samą z panią markizą i zakonnicami. Gdy przyjdzie do siebie, każę ją zaraz stąd wynieść.

– Dobrze, wypiszę ją ze szpitala – rzekł doktor – ale nie puszcę jej z rąk, muszę ją leczyć. Czy chcesz, czy nie, będę ją leczył, jak kiedyś ciebie, niewdzięczniku, bo jej choroba jest równie ciekawa, jak ta, którą ty miałeś niegdyś.

– U diabła, czemu jesteś tak uczony! – rzekł hrabia, wiedząc, że w samej rzeczy nie może powierzyć panny Ferment doświadczonemu lekarzowi.

– Panowie! – rzekł książę nauki. – Klinika nasza pozbawiona została niezmiernie ważnego przykładu praktycznego, ale będę was codziennie powiadamiał o przebiegu choroby. – Po czym doktor Griffon wraz ze słuchaczami zajął się następną chorą, zostawiając hrabiego Saint-Remy i panią d'Harville przy baronównie.

XLIX

Maria

Tymczasem Klemencja i dwie zakonnice cucity zemdloną Klarę.

Hrabia Saint-Remy, głęboko wzruszony, spoglądał na tę rozczulającą scenę, gdy wtem przyszła mu do głowy okropna myśl: zbliżył się do Klemencji i rzekł do niej cicho:

– Pani, a matka tej nieszczęśliwej?

Markiza odpowiedziała mu z głębokim smutkiem:

– Biedne dziecko... nie ma już matki.

– Wielki Boże! Umarła!

– Wczoraj wieczorem. Dopiero po powrocie dowiedziałam się adresu pani Fermont i o tym, że jest ciężko chora. O pierwszej po północy byłam u niej z lekarzem. Ach, panie! Co za nędza! Nędza najokropniejsza! I żadnej nadziei ocalenia umierającej!

– Oby Bóg pani nagroził tyle dobroci – rzekł Saint-Remy. – Przepraszam panią, że się dotąd nie przedstawiłem, ale smutek, wzruszenie... Jestem hrabia Saint-Remy, mąż pani Fermont był moim najbliższym przyjacielem.

– Ach, panie, nie wie pan jeszcze wszystkiego, pani Fermont została niegodnie ograbiona.

– Może przez notariusza? Miałem tego człowieka w podejrzeniu.

– Niestety, to nie jedyna jego zbrodnia. Szczęściem jednak niegodziwiec został ukarany i mogłam zamknąć oczy pani Fermont, upewniwszy ją co do przyszłości córki, która odzyska swój majątek.

– Odzyska! Jak to?... Notariusz?

– Musiał zwrócić wszystko, co sobie przywłaszczył w wyniku ohydnej zbrodni: bo kazał zamordować brata pani Fermont i rozgłosił, że ów nieszczęśliwy skończył samobójstwem, strwoniwszy fortunę siostry.

– Ach, to okropne! Nie chce mi się wierzyć! Popułnił dwa zabójstwa. Spowodował śmierć pani Fermont i chorobę jej córki.

– Jest sprawcą jeszcze jednego mordu, równie strasznego – przerwała markiza.

– Co słyszę!

– Przed kilkoma dniami pozbył się biednej dziewczyny: kazał ją utopić... Saint-Remy spojrział zdziwiony na markizę d'Harville i wspomniawszy Gualezę, zawołał:

– Boże! Pani, jakież dziwne zbiegi okoliczności... kazał ją utopić, gdzie?

– W Sekwanie, pod Asnières, jak mi mówiono.

– To ona, to ona!...

– O kim pan mówi!

– O dziewczynie, którą ten zbrodniarz chciał uśmiercić.

– Maria?...

– Pani ją zna?

– Biedna... tak ją polubiłam. Ach, gdyby pan wiedział, jaka była wzruszająca, jaka śliczna. Ale skąd pan wie o niej?

– Doktor Griffon udzielił jej pierwszej pomocy.

– Co pan mówi?

– Pewna poczciwa kobieta z narażeniem własnego życia uratowała ją w naszych oczach.

– Dzięki ci, Boże! – Zawołała Klemencja ze łzami. – Mogę więc zawiadomić go, że Maria jeszcze żyje. Ach, gdyby pan wiedział, jaka jestem szczęśliwa... A gdzie ona jest teraz?

– Pod Asnières, w domu pana Griffon, mego przyjaciela. Od dwóch dni wyszła z niebezpieczeństwa. Doktor pozwolił jej dziś napisać do opiekunów.

– O, panie, ja, ja sama chcę mieć szczęście powrócić ją osobom, które mniemana strata dziecka pograżyła w rozpacz.

A zwracając się do zakonnicy, która zajmowała się Klarą Fermont, zapytała: – I cóż, siostrze, czy panienka przychodzi do siebie?

– Jeszcze nie. Biedna, zaledwie można wyczuć bicie jej pulsu.

– Zaczekam, żeby ją zabrać, skoro tylko będzie się lepiej czuła. Ale niech mi siostra powie, może wśród tych kobiet, co tu leżą, któraś szczególnie zasługuje na pomoc? Może bym mogła się czym przysłużyć, nim wyjdę ze szpitala?

– Ach, pani. Bóg panią zsyła – rzekła zakonnica – jest tu – dodała, wskazując na łóżko, gdzie leżała siostra Pique-Vinaigre'a – ciężko chora kobieta, zaiste godna litości.

Joanna Dupont, zaledwie ocucona po gwałtownym ataku nerwowym, którego dostała przy badaniu doktora Griffon, nie spostrzegła dotąd pani d'Harville. Jakież więc było jej zdziwienie, gdy markiza, podchodząc do łóżka, rzekła do niej łagodnie:

– Moja kochana, nie martw się o dzieci, zajmę się nimi. Myśl tylko o tym, żebyś prędzej przyszła do zdrowia i mogła do nich wrócić. Uspokój się, powtarzam: nie martw się o dzieci, a jeśli chcesz, każę cię dzisiaj odwieźć do domu, będziesz się leczyć u siebie, niczego ci nie zabraknie i będziesz razem z nimi.

– O, mój Boże! Cóż ja słyszę! – zawołała Joanna. – Skąd tyle łaski dla mnie? Czym na nią zasłużyłam?

– Za to wszystko błogosław jedną osobę – przerwała Klemencja rumieniąc się lekko na wspomnienie o Rudolffie – osobę, która nauczyła mnie litować się nad nieszczęśliwymi.

W pół godziny potem markiza d'Harville, której towarzyszył hrabia Saint-Remy, odwiozła do siebie sierotę, nie wiedzącą jeszcze o śmierci matki.

Tegoż dnia zaufany sługa pani d'Harville wynajął dwa schludne pokoiki i umeblował je sprzętami kupionymi w Temple. Wieczorem znajdowała się tam już Joanna razem z dziećmi i specjalnie sprowadzona pielęgniarka.

Markiza z hrabią Saint-Remy niezwłocznie wyjechali do Asnières, aby zabrać Marię i zawięzić ją do Rudolffa.

L *Nadzieja*

Nadeszły pierwsze dni wiosny, słońce zaczynało mocniej przygrzewać, niebo było czyste. Maria, oparta na ramieniu Wilczycy, próbowała swoich sił, przechadzając się po ogródku przy domu doktora Griffon.

Ruch i ożywcze ciepło słońca wywołały rumieniec na białych policzkach Gualezy.

– Żeby już wrócił hrabia Saint-Remy – rzekła Gualeza, gdy usiadły; na chwilę. – Może mi przyniesie pozwolenie od doktora; będę mogła napisać do pani George. Jak ona musi się niepokoić. I pan Rudolf pewno też. Może myślą, że już nie żyję?

– Tak zapewne myślą i ci, co kazali cię utopić.

– Więc tobie się ciągle zdaje, że to nie przypadek?

– Przypadek? Tak, Martialowie nazywają to przypadkiem... oczywiście nie mówię o moim Martialu, on nie należy do nich.

– Poczekaj, powiem o was panu Rudolfowi. Jakże ci się odwdzięczę? Ocalałaś mi życie, pilnowałaś mnie podczas choroby.

– Słyszysz? – przerwała Wilczyca, wstając. – To powóz zbliża się, stanął przy furtce.

– Ach, Boże! – zawołała Maria. – Zdaje mi się, że poznaję tę młodą, piękną damę, którą widziałam u Świętego Łazarza. Była taka łaskawa dla mnie!

Niemal w tej samej chwili nadszedł hrabia Saint-Remy z markizą. Pani d'Harville wołała, czule ściskając Gualezę:

– Drogie, kochane dziecko! Ach, uratowana, cudem uratowana od strasznej śmierci! Jaka jestem szczęśliwa, że cię znalazłam! Wszyscy twoi przyjaciele już gorzko oplakali twoją śmierć.

– I ja jestem szczęśliwa, że panią widzę; nie zapomniałam, ile mi pani okazała dobroci i ła-ski – rzekła Maria ze skromnością.

– Nie mamy ani chwili do stracenia – podjęła markiza – zabieram cię z sobą, Mario. Mam w powozie szal, ciepły płaszcz. Chodź, chodź, dziecko. Pan zaś, panie hrabio, bądź tak dobry dać Wilczycy mój adres, aby mogła przyjść jutro pożegnać się z Marią.

W kilka minut potem pani d'Harville z Gualezą odjechały do Paryża.

Rudolf po śmierci Jakuba Ferranda, tak strasznie ukaranego za zbrodnie, wrócił do siebie. Trudno wyrazić, co się działo w jego duszy. Po bezsennej nocy wezwał do siebie sir Waltera Murfa, aby staremu, doświadczonemu przyjacielowi udzielić okropnej wieści dotyczącej Gualezy. Poczciwy Murf wydawał się rażony piorunem; lepiej niż ktokolwiek inny był w stanie ocenić ogrom żalu Księcia.

– Odwagi – rzekł na koniec, ocierając oczy. – Tak, trzeba męstwa, wiele męstwa! Tu nie ma miejsca na zdawkowe pocieszenia. Ten ból musi pozostać nie wyleczony...

– Masz rację, to co czułem wczoraj, jest niczym w porównaniu z tym, co dziś czuję...

– Wczoraj cios był świeży. Jego skutki będą co dzień dotkliwsze. Uzbrój się, Książę, w odwagę, przyszłość nie będzie wesoła.

– Nie zostanę tu dłużej, nienawidzę Paryża, wyjadę...

– Dobrze, Mości Książę.

– Jutro wstąpimy do Bouqueval. Zamknę się na kilka godzin w pokoju, gdzie moja córka przepędziła jedyne szczęśliwe dni życia, zabiorę wszystko, co po niej zostało, książki, które

czytała, jej sukienki, sprzęty. A w Gerolstein przy grobowcu mego ojca każę postawić domek i w nim urządzić taki sam pokój. Tam będę opłakiwał córkę. Tak, jutro rano jedziemy.

– Książę zapominasz – wtrącił Murf – że jutro w Bouqueval odbędzie się ślub Rigoletty z synem pani George. Zapewniłeś los Germaina, dałeś Rigoletcie posag, ale oprócz tego obiecałeś być na ich weselu.

– Nie, nie, smutek lubi samotność, ty pojedziesz zamiast mnie. Poproś panią George, żeby zebrała wszystko, co było własnością mojej córki, i żeby kazała odrysować dla mnie jej pokój.

– I Książę wyjedzie, nie zobaczywszy się nawet z markizą d'Harville? Słyszac to imię, Rudolf zdrzął. Pałał ku niej głęboką miłością, czuł, że tylko jej przywiązanie może słodzić jego cierpienia, lecz wyrzucał sobie tę myśl, jako niegodną uczuć ojca.

– Wyjadę, nie zobaczywszy się z markizą – odpowiedział. – Pisałem do niej. Ona wie, jakim ciosem była dla mnie śmierć Marii. Gdy się dowie, że Maria była moją córką, sama zrozumie, że tak wielkie nieszczęście trzeba znosić samotnie.

Wtem zastukano do drzwi i wywołano Murfa. Wrócił po chwili tak blady, że Rudolf zapytał:

– Cóż się stało?

– Markiza d'Harville...

– O Boże! Czy znowu jakieś nieszczęście?

– Nie, nie, ona tu jest, w salonie...

– Poproś ją, choćbym miał umrzeć na miejscu! – rzekł Rudolf, opierając się o krzesło, bo nogi pod nim drżały.

Niespodziewana, niezwykła wizyta markizy obudziła w Murfie i Rudolfie też same niepewne i nieprawdopodobne nadzieje, ale i jednemu, i drugiemu zdawały się do tego stopnia nieuzasadnione, że nie śmieli się do nich przyznać.

Murf wprowadził markizę do gabinetu.

LI

Ojciec i córka

Klemencja d'Harville nie wiedziała, że Maria jest córką Rudolfa, dlatego też nie uważała za konieczne przygotowywać go na wiadomość, że ta, którą miał za umarłą, żyje. Zostawiła ją jednak w powozie, nie będąc pewna, czy Rudolf zechce dać się poznać Marii i przyjąć ją u siebie. Ale spostrzegając głęboką rozpacz, wrytą na twarzy i Rudolfa, widząc ślady łez w jego oczach, pomyślała, że dotknęło go jakieś nieszczęście, boleśnieszce niż śmierć Gualazy, zapomniawszy więc o powodzie swego przybycia, zawołała:

– Wielki Boże! ... Mości Książę, co się stało?

– To pani nie wiesz? Więc daremnie spodziewałem się, że... Pośpiech pani, chęć rozmowy ze mną...

– O! Proszę, nie mówmy o tym, co mnie tu sprowadza. Mości Książę, w imię mojego ojca, któremu ocaliłeś życie, mam niejakię prawo pytać o przyczynę twego i smutku.

– A więc powiem pani – rzekł nareszcie Rudolf przerywanym głosem – od czasu, jak pani donosiłem o śmierci Marii, dowiedziałem się, że to była moja córka.

– Maria? – zawołała markiza.

– Tak, i przed chwilą, gdy pani mi kazała powiedzieć, że chcesz się widzieć ze mną natychmiast, myślałem, że... ale nie, widzę, że się omyliłem – i Rudolf padł na krzesło, zakrywając twarz rękami.

Pani d'Harville stała w osłupieniu, nieporuszona, ledwie śmiała odetchnąć. Wreszcie, uniesiona religijną wdzięcznością, zapomniawszy o obecności Rudolfa i Murfa, przyklękła i wyszeptała:

– Dzięki ci, o Boże! To mnie wybrałeś, abym mu oznajmiła, że jego córka żyje. Słowa te, chociaż wymówione szeptem, doszły do uszu Rudolfa i Murfa. Książę podniósł głowę i spojrział na markizę.

– Żyje... gdzież ona jest? – spytał, drżąc cały jak liść.

– Na dole, w moim powozie.

Gdyby go Murf nie zatrzymał, Rudolf wybiegłby na ulicę.

– Książę! Zabijesz ją! – rzekł Murf.

– Od wczoraj dopiero zaczyna wracać do zdrowia – dodała Klemencja.

– Tak, macie rację, poczekam – rzekł Rudolf, opanowując się z trudem. I zwracając się do markizy, zawołał z niewypowiedzianą wdzięcznością: – A więc zostały mi darowane moje winy... A pani jest aniołem odkupienia.

– Wróciłeś mi ojca. Bóg pozwala mi zwrócić ci córkę – odpowiedziała Klemencja.

– Jak ją uratowano? Kto ją ocalił? – zawołał Rudolf. – Patrzcie, jaki ze mnie niewdzięcznik, jeszcze o to nie spytałem.

– Wyciągnęła ją z wody pewna dzielna kobieta.

– Pani ją zna?

– Znam. Jutro do mnie przyjdzie.

– Winienem jej wiele – rzekł Książę – ale potrafię się odwdziaczyć. Teraz – dodał, uspokoiwszy się nieco – teraz jestem panem siebie. Murfie, idź, przyprowadź moją córkę.

– Czy Książę jest pewny siebie? – spytała Klemencja. – Nie zdradzisz się?

– O, bądź pani spokojna, wiem, na jakie bym ją naraził niebezpieczeństwo. Murfie, idź, idź, proszę cię.

– Tak, Książę, ale daj chwilę czasu, przecież człowiek nie z żelaza – rzekł poczciwy Anglik, ocierając ślady łez – nie trzeba, żeby widziała, że płakałem.

– Zaczny człowieku! – zawołał Rudolf, ściskając mu dłoń. Murf poszedł ku drzwiom, ale stanął w pół drogi i spytał:

– Mości Książę, a co jej powiem?

– Właśnie, co on jej powie? – zapytał Książę Klemencję.

– Że pan Rudolf życzy ją widzieć, nic więcej.

– Tak, tak: że pan Rudolf pragnie ją widzieć, to wystarczy. No, idź. Murf jednak nie ruszył się z miejsca.

– Sir Walterze – rzekła doń Klemencja – boisz się.

– Prawda, pani, nie przeczę.

– Więc, przyjacielu – wtrącił Rudolf – miej się na ostrożności; zaczekaj raczej chwilę, jeżeli nie jesteś pewny siebie.

– No, teraz już ręczę za siebie – rzekł Anglik, pociągnawszy herkulesową dłonią po oczach – w moim wieku takie wzruszenie to zupełnie śmieszne. Nie bój się. Książę, niczego. – I wyszedł zdecydowanym krokiem, z twarzą nieprzeniknioną.

Na chwilę zapadło milczenie. Klemencja, rumieniąc się, uświadomiła sobie, że jest u Rudolfa, sam na sam z nim. Książę zbliżył się do niej i rzekł niemal z obawą:

– Jeżeli wybrałem ten dzień, tę chwilę, żeby pani coś wyznać, to jedynie dlatego, że powaga chwili powinna temu wyznaniu nadać głębsze znaczenie. Odkąd panią ujrzałem, kocham cię. Dopóki powinność kazała mi ukrywać miłość, ukrywałem ją. Dziś pani jest wolna. Zwróciłaś mi córkę... czy chcesz być jej matką?

– Ja, Mości Książę! – zawołała markiza.

– Błagam panią, nie odrzucaj mej prośby, niechaj ten dzień rozstrzygnie o szczęście całego mojego życia – dodał Rudolf.

Klemencja również kochała Księcia; od dawna i namiętnie. Zdawało jej się, że to sen. To proste i szczere wyznanie Rudolfa, tak poważne i czułe, napełniało jej duszę niewymowną radością. Odpowiedziała jednak z wahaniem:

– Mości Książę, czuję się w obowiązku przypomnieć, jaki między nami przedział...

– Pozwól mi, pani – przerwał Rudolf – myśleć przede wszystkim o moim sercu i o mojej córce drogiej. Unieszczęśliwisz nas oboje. Przed chwilą byłem samotny, bez rodziny, niechże teraz mogę powiedzieć: „moja żona, moja córka”. Niech wreszcie to biedne dziecko, które nie miało rodziny, znajdzie ojca, matkę i siostrę, bo pani masz córkę, która będzie także moją córką.

– Ach, Książę, na tak szlachetne słowa można odpowiedzieć tylko łzami wdzięczności – zawołała Klemencja. – Ale ktoś idzie, to twoja córka.

– Nie opieraj się dłużej – rzekł Rudolf wzruszony – proszę, powiedz: „nasza córka”.

– Tak, nasza córka – szepnęła Klemencja w chwili, gdy Murf, otwierając drzwi, wprowadził Marię.

Maria, wysiadłszy z powozu markizy, przeszła przez przedpokój napełniony służbą w bogatej liberii, jeden salon, drugi salon, gdzie był szambelan z adiutantami Księcia. Jakież było zdziwienie biednej Gualazy, nie znającej dotąd nic wspanialszego nad dom folwarczny w Bouqueval: oglądała pokoje błyszczące od złota, jedwabiów, zwierciadeł i malowideł. Skoro weszła, pani d'Harville podbiegła ku niej i obejmując ją jedną ręką, zaprowadziła ją do Rudolfa, który oparty na kominku, nie był w stanie zrobić kroku. Murf co prędzej stanął przy oknie i skrył się za firanką; nie czuł się zbyt pewnie.

Na widok swego dobroczyńcy, swojego zbawcy, który patrzył na nią w milczeniu, Maria, już i tak mocno zmieszana, zaczęła drżeć.

– Uspokój się, dziecko – rzekła pani d'Harville – twój przyjaciel, pan Rudolf, czekał cię niecierpliwie, był bardzo niespokojny o ciebie.

– O, bardzo, bardzo niespokojny – wyjąkał Rudolf, nie ruszając się z miejsca, a serce zalewało mu się krwią na widok słodkiej, bladej twarzy córki. Mimo całej mocy charakteru musiał się na moment odwrócić, aby nie zdradzić wzruszenia.

Wreszcie na skinienie markizy Rudolf zbliżył się do córki i rzekł:

– Nareszcie jesteś razem z przyjaciółmi! Nie opuścisz nas już. A przede wszystkim musisz na zawsze zapamiętać, ile wycierpiałaś.

– Tak, kochanie – dodała Klemencja – dasz nam najlepszy dowód przywiązania, zapominając o przeszłości.

– Panie Rudolfie! A pani George, która mi pozwoliła nazywać się matką? Czy zdrowa?

– Jak najzdrowsza, moje dziecko. Ale mam ci udzielić ważnych wiadomości.

– Mnie, panie Rudolfie?

– Od czasu, jak cię widziałem ostatni raz, zrobiłem ważne odkrycie; dowiedziałem się, kim są twoi rodzice.

– Moi rodzice?...

– Znam twojego ojca.

W głosie Księcia odzywało się tłumione łkanie. Maria, głęboko wzruszona, żywo zwróciła się ku niemu; na szczęście miał czas odwrócić głowę.

Pocziwy Murf, ciągle ukryty za firanką, ocierał nos z hałasem grzmotu, a płakał jak dziecko.

– Tak, droga Mario – dodała spieszenie Klemencja – twój ojciec żyje i jest człowiekiem wysoko postawionym, znakomitym.

– Mój ojciec! – zawołała Maria z akcentem radości, który męstwo Rudolfa wystawił na nową próbę.

– Jakże go pokochasz, kiedy go poznasz! – rzekła markiza.

– Od tego dnia zaczniesz się dla siebie nowe życie, nieprawdaż, Mario? — dodał Książę.

– O, nie, panie Rudolfie – odparła Gualeza z prostotą. – Nowe życie zaczęło się dla mnie od dnia, w którym się pan nade mną ulitował. Wtedy, kiedy zawiozłeś mnie na folwark.

– Ale twój ojciec cię kocha! – rzekł Książę.

– Ja go nie znam. A panu zawdzięczam wszystko, panie Rudolfie.

– Więc kochasz mnie jak ojca?

– Kocham, czczę i błogosławię pana nad wszystkich ludzi! – odpowiedziała Maria z zapalem. Lekki rumieniec wystąpił jej na twarz. Zapadło krótkie milczenie.

– Widzę, moja droga – rzekł wreszcie Rudolf, ledwie mogąc ukryć radość – że w twoim sercu zajmę miejsce ojca.

– To nie moja wina, panie Rudolfie. Może to źle, ale pana znam, a ojca nigdy nie widziałam. Ojciec nie zna mojej przeszłości, może będzie żałował, że mnie odnalazł, a ponieważ, jak pan mówi, jest wysokiego rodu, bez wątpienia będzie się mnie wstydził.

– Wstydzić się ciebie! O! Jaki jestem szczęśliwy, że mogę cię wnieść równie wysoko, jak wielkie było twoje poniżenie! Czy słyszysz? Moje najdroższe dziecko... córeczko... To ja jestem twoim ojcem!

– Boże! – krzyknęła Maria, składając ręce. – Wolno mi więc było kochać mego dobroczyńcę tak, jak go kochałam. To mój ojciec! Mogę go kochać. Boże!... Dzięki. – Nie mogła skończyć. Wstrząs był zbyt silny. Zemdlała w ramionach Księcia.

Murf podbiegł do drzwi; wszedł doktor Dawid.

– Dawidzie! – zawołał Rudolf. – Moja córka umiera. Uratowałem ci życie, ratuj ją, ratuj mi dziecko.

Chociaż zaskoczony słowami Księcia, Dawid podbiegł do Marii, wziął ją za puls, przyłożył rękę do jej czoła i zwracając się do Rudolfa, rzekł:

– Nie ma najmniejszego niebezpieczeństwa. Mości Książę.

– Na pewno? Żadnego?

– Żadnego, kilka kropli eteru, a przyjdzie do siebie..

– Ach, dziękuję ci, Dawidzie! – zawołał Książę z tkliwością. I zwracając się ku Klemencji, dodał: – Żyje, nasza córka będzie żyć.

Tymczasem Murf spojrział na papier, który Dawid podał mu przy wejściu. Zadrżał i z przerażeniem spojrział na Księcia.

– Tak, przyjacielu – rzekł do niego Rudolf – wkrótce córka moja będzie mogła panią d'Harville nazywać matką.

– Książę – odezwał się Murf z drżeniem – wczorajsza wiadomość była fałszywa.

– Co mówisz?

– Gwałtowne przesilenie choroby i długotrwałe omdlenie były powodem mniemania, że hrabina Sara umarła. Teraz spodziewają się ją uratować.

W tej chwili Dawid oświadczył, że trzeba przenieść chorą do ogrodu, aby miała więcej powietrza.

Murf natychmiast otworzył drzwi do ogrodu i razem z Dawidem wytoczyli fotel, na którym spoczywała Gualeza.

Rudolf i markiza zostali sami.

– Klemencjo – rzekł Rudolf – pani nie wie, kim jest hrabina Sara Mac-Gregor? To matka mojej córki! Myślałem, że ona nie żyje. Markiza zbladła, serce w niej zamierało.

– Oszukała mnie i pozbyła się dziecka, kiedy się jej trafił mąż.

– Rozumiem teraz, dlaczego Książę tak jej nienawidzi.

– I nie umarła...

– Czy możesz, Książę, zalić się na to? – rzekła Klemencja. – Masz względem niej poważny obowiązek. Sam powiedziałeś, że Marię o tyle wywyższysz, o ile dotąd była poniżona. Książę powinien uznać ją za córkę, a co za tym idzie, musisz wziąć ślub z hrabiną.

– Nagradzać krzywoprzysięstwo, kamienny egoizm, okrutną ambicję wyrodnej matki. Nie! Uznam Marię za córkę, pani przyjmie ją jak swoje dziecko, w tobie znajdzie prawdziwą matkę. Chcę podzielić życie moje między panią i między moją córką. Tylko was dwie kochałem i kocham.

– Zostaje ci córka. Książę! Niewdzięcznością byłoby nie ocenić tego szczęścia tak jak tego godne.

– Klemencjo, nie kochasz mnie tak jak ja ciebie... Gdybyś mnie kochała, cierpiałabyś tak okrutnie jak ja. I co ci teraz zostanie?

– Miłosierdzie, Książę. Wszystko, co czynię dobrego, jest twoim dziełem, każdą dobrą myśl winnam tobie. Odwagi, Książę. Trzeba wywieźć Marię do Gerolstein, ona tam odżyje, przeszłość będzie dla niej tylko przykrym snem.

– A pani?... A pani?

– Ja? Teraz mogę Księciu wszystko powiedzieć; moja miłość będzie mnie strzegła, wszystkie moje dobre uczynki będą z niej wypływały. Co dzień będę pisać do Księcia. I spodziewam się odbierać wiadomości od tej, którą przez chwilę nazywałam moją córką. Gdy przyjdzie starość, gdy nam wolno będzie nie kryć się dłużej z miłością, przyjadę do Niemiec, będę mieszkała w tym samym mieście co ty i tak dojdziemy do końca życia.

– Książę! – rzekł Murf, wchodząc do pokoju. – Twoja córka już przyszła do siebie i pragnie widzieć się z ojcem.

W kilka minut później markiza odjechała, a Rudolf z Murfem, baronem de Graun i adiutantem pośpieszyli do hrabiny Sary Mac-Gregor.

LII

Ślub

Kiedy Sara dowiedziała się od Rudolfa o zamordowaniu Marii, dręczona niweczącym wszystkim jej nadzieje odkryciem i spóźnionymi wyrzutami sumienia, wpadła w straszliwą gorączkę. Na pół zagojona rana otworzyła się znowu i długie zemdlenie dało nawet powód do pogłosek, że rozstała się ze światem.

Teraz nie czuła sil ani chęci do życia, które nie mogło zaspokoić jej ambitnych planów.

Tomasz Seyton wszedł do pokoju, z trudem ukrywając głębokie wzruszenie. Skinieniem ręki oddalił dwie służące.

– Jak się masz? – rzekł do siostry.

– Czuję się osłabiona, mam duszności. Dlaczego Bóg nie zabrał mnie ze świata przy ostatnim ataku?

– Saro – rzekł Tom Seyton po chwili milczenia – jesteś między życiem i śmiercią, mocne wzruszenie mogłoby cię zarówno zabić jak ocalić.

– Nic mnie już nie zdoła wzruszyć. Okropne wyrzuty Księcia zabiły we mnie ambicje, na myśl o tym, co musiało przecierpieć moje dziecko, obudził się we mnie instynkt macierzyński.

– A jednak – rzekł Seyton z wahaniem, ważąc każde słowo – przypuścimy rzecz zupełnie nieprawdopodobną, cud... Gdybyś się dowiedziała, że twoja córka żyje, jak byś zniosła takie odkrycie?

– Na jej widok umarłabym ze wstydu i rozpacz.

– Nieprawda, upoiłabyś się triumfem. Bo przecież, gdyby ta dziewczyna żyła, Księżę ożeniłby się z tobą, sam ci to powiedział.

Tom miał przed sobą trudne zadanie. Z polecenia Rudolfa, czekającego w przyległym pokoju, miał zawiadomić Sarę o odnalezieniu Marii, a nie wiedział, jak do tego przystąpić. Stan hrabiny był taki, że lada chwila należało się obawiać jej zgonu, nie można więc było odkładać obrzędu ślubnego, który miał uprawnić urodzenie Marii. Księżę w tym celu przywiózł nawet księdza; Murfa i barona Graun zabrał jako świadków. Księżę Lucenay i lord Douglas, uprzedzeni przez Toma, mieli być świadkami hrabiny i właśnie przyjechali.

– Sostro – rzekł Tom poważnym i uroczystym tonem – jestem w niezwykle trudnym położeniu... Jedno moje słowo może cię uzdrowić, ale może też zabić.

– Powiedziałaś ci już. Tomie, że nic mnie nie zdoła wzruszyć.

– A zatem: istotnie twoja córka żyje...

– Moja córka?

– Żyje, powiadam, Księżę czeka już z księdzem. Twoje marzenia spełniają się, będziesz małżonką wielkiego księcia.

Tom wymówił te słowa, zatapiając w siostrze wzrok pełen obawy; szukał w jej twarzy oznak wzruszenia. Ku jego zdziwieniu rysy chorej pozostały niemal obojętne.

– Co ci jest? – spytał Tom.

– Nic, zdziwienie, niespodziana radość! Wreszcie jestem u celu pragnień.

„Nie omyliłem się”, pomyślał Tom Seyton. „Ambicja wzięła górę, jest ocalona!” A odwracając się do siostry, dodał:

– Wyglądasz dziwnie ponuro.

- Chciałbyś, żebym się teraz śmiała? Sądzisz, że nasycona ambicja nadaje twarzy wyraz słodczy i tkliwości? Poproś Księcia, Tomie! Wszedł Rudolf.
- Brat wszystko pani powiedział? – zapytał Książę.
- Jedno słowo, Mości Książę.
- Mów, pani.
- Pragnęłabym zobaczyć córkę.
- Niepodobna. Dopiero wraca do zdrowia. Gwałtowny wstrząs groziłby jej śmiercią.
- Ale przynajmniej uściśnie matkę.
- Na co to? Przecież została już pani księżną.
- Nie jestem nią i nie będę, dopóki nie ucałuję córki. Rudolf spojrział na hrabinę z najszerszym zdziwieniem.
- Więc jednak nad zaspokojenie ambicji wyżej cenisz...
- Zaspokojenie uczuć macierzyńskich. To Księcia dziwi?
- Tak, niestety!
- Strzeż się, Książę. Minuty mego życia są może policzone. Wstrząs, jakiego doznałam, może mnie ocalić, ale może i zabić. W tej chwili zbieram wszystkie siły, całą energię, żeby zwalczyć wzruszenie. Chcę widzieć córkę. W przeciwnym razie nie zgodzę się na małżeństwo i urodzenie dziecka nie zostanie uprawnione.
- Marii tu nie ma. Trzeba po nią posłać do pałacu.
- Więc pošlij, Książę, natychmiast, a na wszystko się zgodzę. Może mi już pozostaje niewiele życia, więc niech tymczasem, zanim Maria przyjdzie, odbędzie się ślub.
- Zobaczysz Marię. Napiszę do niej.
- Pisz, Książę, tu, przy biurku, gdzie mnie raniono.
- Napisawszy list, Rudolf wstał i rzekł do hrabiny:
- Poślę ten bilet córce, może tu być za pół godziny. Czy mogę teraz wprowadzić księdza i świadków?
- Możesz, albo raczej błagam, nie zostawiaj mnie samej!
- Rudolf zadzwonił, weszła jedna ze służących Sary.
- Poprosić sir Waltera Murfa.
- Służebna oddaliła się.
- Smutny to związek, Rudolfie – odezwała się hrabina z goryczą. – Dla mnie smutny, dla ciebie będzie szczęśliwy.
- Wszedł Murf.
- Przyjacielu – rzekł Książę – pošlij ten list natychmiast, niech adiutant weźmie mój powóz i niezwłocznie wraca tu z Marią. Poproś księdza i świadków do przyległej sali.
- O Boże! – wyszeptwała Sara. – Daj mi sił, abym ją mogła widzieć przed śmiercią.
- Czemu zawsze nie byłaś tak dobrą matką?
- Dzięki tobie nauczyłam się przynajmniej żałować za błędy.
- Więc nie zostało w tobie ani śladu nieubłaganej ambicji, co cię zgubiła!? Czemu tak późno!
- Późno, Rudolfie, ale mój żal jest głęboki, szczerzy, przysięgam.
- Saro! Przez litość...
- Rudolfie, moja ostatnia prośba, daj rękę...
- Ach! Masz ręce jak lód! – zawołał Rudolf.
- Tak, czuję, że umieram.
- Uspokój się, Bóg ci przebaczy, przyjmie twoją szczerą skruchę.
- A ty, Rudolfie, czy mi przebaczysz? Powiedz. Za chwilę, gdy będzie tu nasza córka, nie będziesz mi mógł tego powiedzieć. Nie można jej mówić prawdy w jej obecności. Skoro umrę, co ci szkodzi, że mnie kochać będzie?
- Bądź spokojna, o niczym się nie dowie.

– Rudolfie! Przebaczenia! Przebaczenia! Nie masz litości! Czy nie jestem dosyć nieszczęśliwa?

– Niechaj ci Bóg wybaczy, jak ja wybaczam.

– Przebaczasz mi z całego serca?

– Z całego serca! – powtórzył Księżę wzruszony.

Hrabina z radością i wdzięcznością przycisnęła rękę Rudolfa do ust i rzekła:

– Poproś księdza, mój drogi.

Na znak dany przez Rudolfa wszedł duchowny, a za nim świadkowie i wreszcie Tom Seyton. Baron Graun odczytał intercyzę, świadkowie podpisali, a gdy skończono smutny i uroczysty obrzęd, wszyscy skłonili się w milczeniu i odeszli.

Zostawszy sam na sam z Rudolfem, Sara odezwała się słabym głosem:

– Nie starcza mi już sił, czuję, że umieram, nie zobaczę jej!

– Zaraz tu będzie, uspokój się, Saro.

– Nie mam nadziei, ten przymus... O! Trzeba było nadludzkiej siły. Ciemność zachodzi mi na oczy.

– Saro, słuchaj, słuchaj! Zdaje mi się, że jedzie, to ona! Ona, twoja córka!

– Rudolfie... nie powiesz jej... że byłam złą matką...

Turkot pojazdu rozległ się na bruku dziedzińca. Hrabina nie słyszała go. Wymawiała już tylko wyrazy bez związku. Rudolf schylił się ku niej, przejęty boleścią, ale go nie widziała.

– Przebacz mi, córeczko... Pochowajcie z honorami...

Takie były ostatnie słowa ambitnej kobiety.

Zjawił się Murf.

– Mości Księżę, księżniczka Maria...

– Nie! – zawołał żywo Rudolf. – Niechaj nie wchodzi. Powiedz Seytonowi, żeby przyszedł z księdzem. Bóg nie udzielił jej tej ostatniej pociechy, żeby choć raz uścisnęła swoje dziecko.

W pół godziny potem hrabina Sara Mac-Gregor przestała żyć.

LIII

Bicêtre

Dwa tygodnie minęło od czasu, kiedy Rudolf przez zawarcie małżeństwa z konającą Sarą uprawnił urodzenie Marii.

Nadeszła wilia śródpościa. W tym właśnie dniu zaprowadzimy czytelnika do Bicêtre.

Ogromny gmach, przeznaczony na szpital dla wariatów, jest także przytuliskiem dla blisko osiemdziesięciu staruszków, którzy, aby się tam dostać, powinni mieć najmniej siedemdziesiąt lat i być dotknięci ciężkim kalectwem. W epoce, o której mówimy, osadzano tam także skazanych na śmierć winowajców po wydaniu na nich wyroku. W jednej więc z dolnych izb gmachu wdowa Martial z córką Tykwą czekały dnia, w którym miały ponieść zasłużoną karę. Ani matka, ani córka nie chciały założyć apelacji od wyroku ani prośby o ulaskawienie. Mikołaj, Szkielet i jeszcze kilku zbrodniarzy zdołali uciec z więzienia La Force w wilię dnia, w którym mieli być przywiezieni do Bicêtre.

Dzień był pogodny. Wybiła jedenasta, gdy dwa fiakry stanęły przed gmachem. Z pierwszego wysiadła pani George z synem Germainem i Rigolettą, z drugiego Ludwika Morel z matką.

Germain i Rigoletta pobrali się dwa tygodnie temu. Czytelnik łatwo sobie wyobrazi, jak żywą wesołością, jakim szczęściem jaśniała twarz małej gryzетки.

Pani George napawała się widokiem syna i synowej.

Ludwika Morel, po dokładnym śledztwie uznana za niewinną, została zwolniona. Jej piękna twarz wyrażała łagodną rezygnację. Dzięki dobrodziejstwu Rudolfa i matka Ludwika, towarzysząca jej teraz, odzyskała zdrowie.

Pani George oświadczyła odźwiernemu, że główny lekarz zakładu wezwał ją, aby przybyła przed południem ze wszystkimi znajomymi; wpuszczono ich zatem na wielki dziedziniec wysadzony drzewami. Pani George, opierając się na rękę syna, poszła naprzód. Za nią postępowała Rigoletta z Ludwiką.

– Jak się cieszę, że cię widzę, kochana Ludwiko! – rzekła gryzетка.

– Ach, panno Rigoletto, zawsze miałaś dobre serce!

– Przede wszystkim, moja droga, trzeba ci wiedzieć, że już nie jestem panną Rigolettą, ale panią Germain.

– Słyszałam, że wyszłaś za męża...

– Wszelako bez wątpienia nie wiadomo ci – przerwała znowu pani Germain – że wyszłam za męża dzięki tej osobie, która była dla nas wszystkich dobroczyńcą: twoim, twojej rodziny, moim, Germaina, jego matki!

– O, pan Rudolf. Błogosławimy go co dzień. Adwokat powiedział mi, że dzięki panu Rudolfowi notariusz Ferrand, aby nagrodzić swoje okrucieństwa, zapisał pensję dożywotnią mnie i memu biednemu ojcu. Nieszczęśliwy! Ciągle tu jeszcze zostaje, ale podobno ma się lepiej.

– I dziś wróci z nami do Paryża, jeżeli nadzieje lekarza się sprawdzą.

– Dałby to Bóg!

– Pewna jestem, że go ze sobą zabierzemy. Doktor jest zdania, że trzeba mu teraz silnego wstrząsu i że widok osób, które twój ojciec widywał prawie co dzień, może przyspieszyć jego wyzdrowienie.

– Nie śmiem w to wierzyć.

– Zobaczysz, wszystko pójdzie dobrze. Ale posłuchaj jeszcze o panu Rudolfie. Jako prezent ślubny dostałam od niego dużą skrzynię z różanego drzewa, a na wierzchu, na porcelanowej tabliczce, napisano złotymi literami: „Praca i dobre postępowanie, miłość i szczęście”.

Otwieram i cóż znajduję? Czepeczki, materiały na suknie, kolczyki, rękawiczki, chustki, słowem całą wyprawę.

– Szczęście ci sprzyjało, bo zawsze byłaś dobra!

– To jeszcze nie wszystko. Na dnie skrzyni leżał pugilaresik, na którym były wyryte słowa: „Sąsiad ofiarowuje sąsiadce”. Otwieram. Znajduję w nim dwie koperty, jedną z adresem Germaina, drugą z moim: w kopercie dla Germaina była dla niego nominacja na dyrektora Banku Ubogich z roczną pensją czterech tysięcy franków. W kopercie pod moim adresem bilety bankowe na czterysta tysięcy franków: posąg dla mnie.

– Co za szczęście, że tak wielkie bogactwa dostały się w udziale człowiekowi tak dobremu jak pan Rudolf!

– Zapewne, jest bogaty, ale czy to na tym koniec!... Moja Ludwiko, dowiedzieliśmy się, że dobroczyńca twój, nasz, jest... zgadnij, kto to jest? To ksiązę!

– Książę!

– Powiadam ci: książę. A ja mu mówiłam, że kiedyś będzie mi froterował podłogę! Wyobrażasz sobie moje zakłopotanie. Widząc, że to taki pan, nie śmiałam odmawiać przyjęcia posagu... Przywitawszy panią George z największą dobrocią i ścisnąwszy za rękę Germaina, Książę powiedział: „No i cóż, sąsiadko, jak się mają twoje kanarki? Pewien jestem, że teraz wesoło śpiewasz na wyścigi z nimi”. Aha, zapomniałam ci jeszcze powiedzieć, że na folwaraku Bouqueval mieszkała przede mną jedna z moich towarzyszek więzienia, Gualeza.

– Ha, tym lepiej – rzekła Ludwika z goryczą – więc i ona także szczęśliwa.

– Droga Ludwiko, przyjdą i dla ciebie lepsze czasy. Ale kogóż to tam widzę? Popatrz, to pan Pipelet z żoną, ale jaki rozpromieniony!...

Rzeczywiście, pan Pipelet z szanowną małżonką zbliżał się dosyć szybkim krokiem. Alfred, jak zawsze w spiczastym kapeluszu, miał na sobie nowy, zielony surdut, kołnierz od koszuli zakrywał mu połowę twarzy. Anastazja wystroiła się w nową suknię z amarantowego merynosu. Fizjonomia Alfreda, zwykle poważna i zadumana, jaśniała teraz radością. Z daleka spostrzegł Ludwikę i Rigolettę, podbiegł do nich i wykrzyknął głębokim basem:

– Wyjechał! Nie ma go!

– Mój Boże, panie Pipelet, co ci się stało?

– Wyjechał! Cabrion!!!... – wykrzyknął Pipelet, oddychając z niewypowiedzianą radością, jakby mu ciężar spadł z piersi. – Wynosi się z Francji na zawsze, na wieki! Wyjechał!

– Skąd wiecie o jego wyjeździe? – spytała Rigoletta.

– Powiedział nam o tym przyjaciel pana Rudolfa. Ale, ale, pani nie wie? Dzięki rekomendacji mojej perły lokatorów Alfred został odźwiernym lombardu w Banku Ubogich, który zakładają w naszym domu – rzekła Anastazja.

– A to się świetnie składa – rzecze Rigoletta – bo mąż mój z łaski pana Rudolfa jest dyrektorem tego banku.

– I nareszcie – przerwał Pipelet – w momencie, gdy konie ruszyły, Cabrion widzi mnie, poznaje, odwraca się i krzyczy: „Odjeżdżam na zawsze! Twój dozgonny przyjaciel!” Szczęściem trąbka pocztowa zagłuszyła jego ostatnie słowa i to nieprzyzwoite mówienie mi ty. No, ale Bogu dzięki, wyjechał!

– I więcej nie wróci – rzekła Rigoletta, wstrzymując się od śmiechu. – A czego nie wiesz, panie Pipelet, i co cię bardzo zadziwi, to że pan Rudolf był...

– No, no?

– Był przebrany księciem.

– Gdzież znowu, żartujesz pani! – zawołała Anastazja. Alfred, wbrew swemu zwyczajowi, zdjął spiczasty kapelusz i nisko się uklonił, wołając:

– Książę!... Książę!...

Wtem pani George zawołała Rigolettę.

– Moje dziecko, przyszedł doktor – rzekła.

LIV

Bakalarz

Doktor Herbin – mężczyzna w średnim wieku – miał fizjonomię przenikliwą, a zarazem pełną dobroci. Jego głos nabierał niezwykle słodczy, gdy mówił do obłąkanych. Był to jeden z owych lekarzy, którzy najwcześniej w leczeniu chorób umysłowych przyjęli metodę dobrego obchodzenia się z pacjentami zamiast brutalnego przymusu.

Doświadczenie wykazało, że odosobnienie jest dla obłąkanych równie zgubne jak dla zbrodniarzy zbawienne.

– Wydawało mi się – rzekła pani George do doktora Herbin – że nie robię źle, towarzysząc memu synowi i synowej, chociaż nie znam pana Morela. Położenie tego człowieka tak mnie obchodzi, że nie mogłam się oprzeć i przyjechałam, aby być świadkiem, jak zupełnie wróci do zdrowych zmysłów.

– Chociaż – odpowiedział doktor – nie mogę ręczyć za skutek środka, którego mam zamiar użyć, spodziewam się jednak, że widok córki i innych bliskich znajomych będzie miał pomyślny wpływ. Jeżeli się pani nie boi widoku obłąkanych, przejdziemy kilka dziedzińców i udamy się do jednego z wewnętrznych budynków, dokąd odesłałem Morela. Bo dziś nie każę prowadzić go na folwark jak zwykle.

– Na folwark? – spytała pani George.

– Istotnie, wydaje się to dziwne. Tak, mamy tu folwark, którego płody są znaczną pomocą dla zakładu, a w którym pracują obłąkani.

Na znak dany przez doktora furta się otworzyła. Z pięćdziesięciu mężczyzn, ubranych w jednakową odzież szarego koloru, przechadzało się, rozmawiało albo siedziało w zamyśleniu, grzejąc się na słońcu. Były między nimi twarze, na których tylko wprawne oko dostrzegłoby pewne oznaki pomieszania. Na widok doktora wielu z nich zbiegło się do niego, wyciągając ręce z wyrazem zaufania i wdzięczności; on też witał ich uprzejmie i po przyjacielsku.

– Dzień dobry, przyjaciele – mówił do nich Germain, podając im rękę z największą dobrocią.

– Proszę pana – spytała po cichu pani Germain – czy to są wariaci?

– Tak, i to z małymi wyjątkami najniebezpieczniejsi z całego zakładu.

Nagle goście towarzyszący pani George cofnęli się przerażeni na widok Bakalarza. Przebywał w zakładzie. Nie będąc obłąkanym, udawał wariata i niemowę. Zamordował Puchaczkę nie w ataku szaleństwa, ale w napadzie gorączkowej wściekłości.

Aresztowany w szynku na Polach Elizejskich, gdy ochłonął z chwilowego szału, przyszedł do siebie w jednej z cel więzienia Conciergerie.

Spodziewał się zatem pozostać na zawsze w Bicêtre jako wariat i niemowa. Tak jest, na zawsze, gdyż takie było wtedy jego życzenie, bo w samotnym lochu u Czerwonego Janka, gdy zostawał sam na sam ze wspomnieniem o swych zbrodniach, wyrzuty sumienia ogarniały jego żelazną duszę.

Tak więc człowiek ten, w sile wieku, atletycznej budowy, człowiek, co bez wątpienia miał jeszcze żyć długie lata, zdrowy na umyśle, miał spędzić wszystkie swoje dni wśród obłąkanych, w zupełnej ciemności. Gdyby go odkryto, poszedłby na szafot albo został skazany na dożywotnie więzienie wśród zbrodniarzy, którymi się teraz tym więcej brzydził, im bardziej żałował swych występków.

– O Boże, mamo – szepnął Germain matce – serce mi się ściska, boli mnie ten widok!

Bakałarz na te słowa zadrzał. Twarz mu zbladła pod bliznami. Podniósł żywo głowę i tak nagle odwrócił się w stronę pani George, że ta krzyknęła ze strachu. Bakałarz poznał ją: był to głos żony. A z jej słów domyślił się, że rozmawia z synem.

– Jak się masz, przyjacielu – rzekł doktor do Bakałarza.

Bakałarz milczał.

– Nie słyszysz mnie? – spytał znowu doktor, uderzając go z lekka po ramieniu.

Bakałarz nie odpowiedział; spuścił głowę, po chwili z jego pociemniałych oczu spadła łza.

– Płacze – rzekł doktor.

– Cóż to za nieszczęśliwy człowiek! – zawołał Germain przerażony.

Bakałarz zadrzał; słyszał jak syn lituje się nad nim.

– Co cię tak dręczy? – pytał doktor.

Bakałarz, nic nie odpowiadając, ciągle zakrywał twarz.

– Niczego się od niego nie dowiemy – rzekł doktor.

I spostrzegłszy przykre wrażenie, jakie ta scena wywarła na pani George, zwrócił się do niej:

– Zaraz będziemy u Morela i jeżeli sprawdzą się moje przewidywania, pociesz się pani widokiem poczciwego człowieka przywróconego zacnej żonie i zacnej córce

I doktor odszedł wraz z całą grupą gości.

Bakałarz został sam. Z głęboką rozpaczą myślał, że nigdy nie usłyszy głosu żony ani syna. Nie mogąc wątpić o słusznym obrzydzeniu, jakie dla niego czuli, o nieszczęściu, wstydzie, strachu, w jakie pograżyłyby ich wyjawienie jego nazwiska, wolał raczej zostać skazany na śmierć niż przyznać się do nich. Jedna tylko, ostatnia została mu pociecha, że choć na chwilę wzbudził cień litości w sercu syna. I mimo woli przypomniał sobie słowa, jakie powiedział mu Rudolf przed wymierzeniem strasznej kary: „Zbrodniarzu, nadużyłeś swej siły, ja ją zniszczę. Dziś masz serce zamknięte dla skruchy, kiedyś będziesz płakał nad swymi ofiarami. Z człowieka stałeś się dzikim zwierzęciem, nie szanowałeś nawet żony i dziecka. Kiedyś twoja ostatnia prośba do Boga będzie o to, abys umarł przy żonie i synu”.

LV

Szlifierz Morel

- Staliśmy na miejscu – rzekł doktor, zatrzymując się – Tu znajdziemy Morela.
- Jaki jest rodzaj jego obłądu? – zapytała po cichu pani George.
- Wyobraża sobie, że jeżeli w ciągu dnia nie zarobi tysiąca trzystu franków, aby spłacić dług zaciągnięty u notariusza Ferranda, Ludwika będzie musiała umrzeć na szafocie za zbrodnię dzieciobójstwa.
- Ach, panie, ten notariusz był potworem! – zawołała pani George.
- Zechciej pani poczekać tu z resztą towarzystwa. Pójdę zobaczyć, jak się ma Morel. Ludwiko, uważaj dobrze. Skoro zawołam: „Wejź”, ukaż się natychmiast, ale sama. Gdy powiem: „Wejdźcie”, niech wejdą pozostali.
- Ach, panie, serce we mnie zamiera – rzekła Ludwika, ocierając łzy – biedny ojciec, jeżeli ta próba zostanie bez skutku!...
- Doktor wszedł do pokoju z zakratowanym oknem, wychodzącym na ogród.
- Dzięki spoczynkowi, zdrowym pokarmom, wygodzie Morel nie był już tak blady i wynędzniały. Gdy doktor wszedł, szlifierz, siedząc zgarbiony, jakby obracał kamień, mówił:
- Tysiąc trzysta franków, trzeba pracować... pracować.
- Doktor wyjął z kieszeni sakiewkę, wysypał złoto na dłoń i rzekł zniętnie:
- Kochany Morelu, dosyć pracowałeś, zarobiłeś nareszcie na tysiąc trzysta franków. Oto one... – I rzucił złoto na stół.
- Ludwika ocalona! – krzyknął obłąkany, zgarniając złoto. – Biegnę do notariusza!
- Wejź! – krzyknął doktor.
- We drzwiach stanęła Ludwika. Osłupiały Morel cofnął się i wypuścił złoto z ręki. Przez kilka minut z największym zdziwieniem patrzył na Ludwikę, nie poznając jej jeszcze. Zdało się jednak, że usiłuje coś sobie przypomnieć. Potem, zbliżając się do córki, spojrzał na nią z niespokojną i trwożną ciekawością.
- Dobrze... dobrze – szepnął doktor Ludwice – to dobry znak. Kiedy powiem: „Wejdźcie”, rzuć mu się na szyję, nazywając go ojcem.
- Twarz Morela wyrażała bolesną niepewność; zamiast wlepić oczy w córkę starał się raczej unikać jej wzroku. Mówił do siebie po cichu, przerywanym głosem.
- Nie!... Nie!... To sen!... To nie ona.
- Wejdźcie! – rzekł doktor głośno.
- Ojciec!... Poznajesz mnie! Jestem Ludwika, twoja córka – zawołała dziewczyna, z płaczem rzucając się w jego objęcia. W tej chwili weszła żona Morela, Rigoletta, pani Gerorge, Germain i Pipelet z żoną.
- O Boże! – zawołał Morel wśród tkliwych pieszczot córki. Nagle zamilkł, ujął w dłonie jej głowę i wpatrywał się w nią uważnie. Po kilku chwilach napięcia krzyknął: – Ludwiko!
- Teraz będzie zdrów – rzekł doktor.
- Mężu! Drogi mężu! – zawołała żona, całując go.
- Żona! – rzekł Morel. – Żona i córka!
- I ja także, panie Morel – powiedziała Rigoletta.
- Wszyscy tu jesteśmy – dodał Germain.
- Panna Rigoletta, pan Germain! – mówił szlifierz, poznając każdego z gości z nowym zdziwieniem.

– A starzy przyjaciele z dołu? – wtrąciła Anastazja, zbliżając się wraz z Alfredem.
– Pan Pipelet, jego żona, tyle ludzi koło mnie, zdaje mi się, że tak długo... Ale ty, ty. Ludwiko! To ty jesteś, prawda? – zawołał, przyciskając córkę do serca.
– Mój biedny tato, tak, to ja! I mama, i nasi przyjaciele.
– Czekajcie jeszcze, czekajcie, pamięć mi wraca. – I z przerażeniem spytał: –A notariusz?
– Umarł – odparła Ludwika.
– Umarł? Więc teraz wierzę, że jeszcze możemy być szczęśliwi! Ale skąd się tu wziąłem? Dlaczego tu jestem?

Doktor posłał po fiakra.

W kilka minut później Morel z żoną i córką wyjechał z Bicêtre, nie domyślając się nawet, w jakim to miejscu dotąd się znajdował.

Następnego dnia zajaśniało pogodne słońce.

Był to dzień śródpościa.

O czwartej z rana oddział piechoty i kawalerii otoczył Bicêtre.

LVI

Toaleta

Wdowa po Martialu i Tykwa siedziały w ciemnej celi, do której światło dochodziło tylko przez okienko we drzwiach.

Wdowa ma na sobie koszulę, której zaszyto rękawy; takie koszule, w kształcie worka, kładą skazanym na śmierć, aby nie mogli się targnąć na własne życie. Stara siedzi na brzegu łóżka, spojrzenie utkwiła w córce.

Przy drzwiach pod okienkiem łysy weteran z siwymi wąsami pełni wartę przy dwóch kobietach skazanych na śmierć.

– Jak tu zimno! A mimo to oczy mnie palą i pić się chce – odezwała się Tykwa. Stary żołnierz wstał, nalał wody w szklanę, podszedł do skazanej i napoił ją, bo zaszyte rękawy koszuli kępowały jej ruchy.

Wypiła chciwie i rzekła:

– Dziękuję panu...

– Pani też chce się napić? – spytał weteran wdowy.

Ta nawet nie odpowiedziała.

– Która godzina? – spytała Tykwa.

– Dochodzi wpół do piątej – odparł starzec.

– Za trzy godziny! – szepnęła Tykwa ze smutnym uśmiechem.

Wdowa wzruszyła ramionami.

– Jesteś śmielsza ode mnie, matko... nigdy się nie boisz...

– Za trzy godziny umrzesz jak prawdziwa córka Martiałów. Tylko tyle. A więc śmiało.

– Lepiej by było, żebyś jej pozwoliła pomówić z księdzem – rzekł żołnierz.

– Śmiało, moja córko! Pokażemy, że kobiety mają więcej odwagi niż mężczyźni razem z ich księżmi.

– Major Leblond był najwaleczniejszym oficerem trzeciego pułku strzelców. Widziałem, jak przy szturmie Saragossy, śmiertelnie raniony, wyzionął ducha. Zanim skończył, przeżegnał się.

Tykwa popatrzyła uważnie na ogorzałą twarz weterana; głęboka blizna przecinała mu lewą szczękę i ginęła pod białym wąsem. Jego proste słowa wywarły głębokie wrażenie na córce wdowy.

– Czemu nie miałabym wysłuchać księdza? – krzyknęła.

– Znów to samo? – zapytała wdowa pogardliwie. W tej chwili zaskrzypiał ciężki tygiel i otwarto drzwi.

– Już! – wrzasnęła Tykwa i odruchowo zerwała się z miejsca. – O Boże! Zmienili godzinę! Oszukali nas!

– Tym lepiej – rzekła wdowa ponuro.

– Pani – rzekł, wchodząc, urzędnik więzienny – przyszedł twój syn, czy chcesz się z nim widzieć?

– Wpuść go pan – odparła wdowa.

Wszedł Martial.

Był równie błydy jak matka, na jego twarzy malował się strach i rozpacz, nogi mu drżały. Przyszedł, bo wdowa posłała po niego, a uważał za swój obowiązek wypełnić ostatni rozkaz matki.

Wdowa rzuciła na niego przenikliwe spojrzenie i rzekła:

- Widzisz, co mają zamiar zrobić z twoją matką i siostrą?
- To straszne, matko! Ale przecież mówiłem ci...
- Zabijają nas, jak zabili twego ojca.
- Boże wielki, cóż ja wam teraz pomogę?
- Cieszysz się teraz. Odtąd będziesz mógł mówić, że twoja matka już nie żyje.
- Gdybym był złym synem, nie przyszedłbym wcale.
- O! Gdybym ciebie słuchała, a nie jej, nie dostałabym się tu! – zawołała Tykwa rozdzielającym głosem. – To twoja wina matko, przeklinam cię!
- Widzisz jej skrucę, cieszysz się, co?

Martial podszedł do Tykwy.

- Biedna siostrze, teraz już za późno!...
- Ale nie za późno, żeby się zhańbić tchórzostwem – przerwała wdowa. – Na szczęście Mikołaj uciekł, a Franciszek i Amandyna już są zepsuci, nędza ich douczy.
- Na nic twoje nadzieje – odparł Martial z gniewem – ani ja, ani dzieci nie boimy się teraz nędzy. Wilczyca uratowała tę dziewczynę, którą Mikołaj chciał utopić. Jej rodzice dali nam grunta w Algierze. Jutro wyruszamy w drogę z dziećmi i nigdy nie wrócimy do Europy.
- Czy to prawda, co mówisz? – spytała wdowa.
- Ja nigdy nie zmyślam – odparł Martial.
- Teraz kłamiesz mnie na złość, ty tchórze!

Na korytarzu dały się słyszeć ciężkie kroki. Strażnicy wnieśli dwa krzesła, a urzędnik rzekł do wdowy:

- Czas, pani...

Wdowa wstała. Tykwa jęknęła.

Weszło czterech ludzi. Trzej trzymali w ręku po kłębku szpagatu. Czwarty, w czarnym ubraniu, z białą chustką na szyi, podał urzędnikowi papier. Był to kat.

Rozpacz Tykwy zamieniła się w strach odbierający przytomność. Patrzyła mętnymi oczyma, ale nie widziała nic.

Wdowa pozostała wierna sobie; sama pomogła zdejmować z siebie koszulę, krępującą dotąd jej ruchy.

- Gdzie mam usiąść? – spytała mocnym głosem.
- Tu – odpowiedział kat, wskazując na krzesło.

Martial, przejęty strachem i bólem, wyszedł za weteranem.

Dwaj pachołkowie kata posadzili na krzesła Tykwę. Jeden ją trzymał, a drugi wiązał jej ręce i nogi szpagatami, tak szybko i zręcznie, jak pająk wysnutą z siebie nicią wikła swą zdobycz. Inni pachołcy uczynili toż samo wdowie.

- Toalety skończone, wybieramy się... czy chce pani się czymś posilić? – spytał kat grzecznie.
- Obejdzie się... dzisiaj najem się ziemi.

Wstała z krzesła; ręce miała związane z tyłu. Więzy na nogach pozwalały jej stawiać małe kroki. Kat chciał ją podtrzymać, lecz wdowa rzekła twardo:

- Nie dotykajcie mnie... mam dobre nogi, dobre oko... pod gilotyńską przekonasz się, że mam i dobry głos.

Słońce świeciło, dzień był wiosenny, pogodny, cudny... Wsadzono wdowę z córką do zamkniętego fiakra. Woźnica spał; kat zbudził go.

- Przepraszam – rzekł woźnica – sklepiły mi się oczy, całą noc wozilem maski.
- No to ruszaj. Do rogatki Świętego Jakuba.
- A, tam?... Jak to się dziwnie plecie! Tamtych wiozłem na bal, tych na rusztowanie!

Pojazd ruszył, otoczony oddziałem żandarmów.

LVII

Martial i Szuryner

Pora teraz w kilku słowach napomknąć o przyjaźni Martiala z Szurynerem.

Skoro Germaina wypuszczono z więzienia, Szuryner bez trudu dowiódł sędziom, że okradł sam siebie, wyjaśnił powody, które skłoniły go do tak dziwnego postępuku, i został zwolniony.

Pragnąc wynagrodzić Szurynera za tę nową przysługę, Rudolf pozwolił mu mieszkać w pałacu i obiecał, że weźmie go z sobą do Niemiec.

Lecz kiedy Księżę odzyskał córkę, wszystko uległo zmianie. Mimo szczerzej wdzięczności dla człowieka, co mu ocalił życie, Rudolf nie mógł brać ze sobą do Niemiec świadka poniżenia Gualezy.

Ofiarował Szurynerowi wspaniałą nagrodę: pieniądze, ziemię w Algierze, wszystko, co zechce. Szuryner, głęboko dotknięty, odmówił i pierwszy raz w życiu... zapłakał. Rudolf musiał nalegać, żeby go zniewolić do przyjęcia darów.

Nazajutrz Księżę wezwał Wilczycę i Martiala. Nie mówiąc im, że Gualeza jest jego córką, zapytał, co może dla nich zrobić. Widząc ich wahanie, a przypomniawszy sobie, co mówiła mu Maria o ich pragnieniach, ofiarował im dość znaczną sumę pieniędzy i grunta stykające się z gruntami Szurynera.

Martial i Wilczyca przyjęli łaskę z radością, a wkrótce też zawarli z Szurynerem znajomość, która zamieniła się w serdeczną przyjaźń.

Szuryner zmienił się zupełnie. Zuchowaty wyraz jego męskiej twarzy ustąpił ponuremu przygnębieniu. Cierpienie moralne, którego dotąd nie znał, złamało jego energię.

Spoglądał na Martiala ze współczuciem.

– Odwagi! – mówił do niego. – Zrobiłeś wszystko, co mogłeś. Pomyśl teraz o żonie, pamiętaj o dzieciach, którym masz zastąpić ojca. Zresztą niedługo wyjedziemy z Paryża...

– Tak, Szurynerze, ale zawsze to matka... siostra... No, ale ja też powinienem cię pocieszać. Ciągłe cię coś dręczy. Jak opuścimy Paryż, to ci przejdzie...

– Tak... jeśli wyjadę z Paryża... – rzekł Szuryner i zdawało się, że zadrżał. – Słuchaj, Martialu, wyśmiejesz mnie... ale chcę ci coś powiedzieć... Jeśli mi się dzisiaj coś stanie, to przekonasz się, że się nie omyliłem.

– Co to ma znaczyć?

– Widzisz, kiedyś często pokazywał mi się we śnie sierżant, którego zabiłem... Dawno już nie miałem tego snu... a dzisiejszej nocy... znowu go widziałem.

– Przypadek!... Smutek z powodu rozstania z dobroczyńcą; myśl, że będziesz mnie musiał odwiedzić do Bicêtre, wszystko to cię wzburzyło... stąd te sny. Szuryner ponuro potrząsnął głową.

– Miałem ten sam sen w przeddzień odjazdu pana Rudolfa... a dziś wyjeżdża, dowiedziałem się o tym. O jedenastej rano, przez rogatkę Charenton... Pójdę tam... zobaczę go ostatni raz...

– Jest taki dobry, że się nie dziwię, że go kochasz...

– Kocham!... Widzisz, Martialu, to jest tak: choćby spać na gołej ziemi, jeść czarny chleb, być jego psem, ale być przy nim. Nic więcej bym nie chciał. Ale on się nie zgadza.

– Kiedy opuścimy Francję, zapomnisz. Będziemy pracowali, może będziemy strzelać, walczyć z Arabami...

– O, jak mowa o strzelaniu, to już moja sprawa. Służyłem w wojsku. Ty masz żonę, masz brata i siostrę, a ja mam tylko pilnować własnej skóry. A skoro nie przydała się panu Rudolfowi, to niech tam. Dawaj mi tu Arabów!

– Smutek cię nie zabije. Zestarzemy się w Algierze i co wieczór będziemy sobie mówić: „Bracie, składaj dzięki panu Rudolfowi!” To będzie nasza modlitwa za niego.

– Wiesz, Martialu, zagrzałeś mi krew.

– Ano to dobrze. Już nie myślisz o snach?

– Postaram się zapomnieć.

– A więc przyjeźdź po nas o czwartej; dylizans odjeżdża o piątej.

– Przyjadę... No, jesteśmy w Paryżu. Pójdę na roгатkę i zaczekam na pana Rudolfa.

Fiakr stanął. Szuryner wysiadł.

– Pamiętaj, Szurynerze, o czwartej.

– Punkt o czwartej będę!

Szuryner zapomniał, że był to dzień śródpościa. Toteż zdziwił się strasznym i niezwykłym widokiem, jakie przedstawił się jego oczom, gdy przechodził po bulwarze, idąc w stronę roгатki Charenton.

LVIII

Ręka Opatrzności

Uniósł go tłum pospólstwa, które wychodząc z podmiejskich szynków, skupiało się przy rogatce Charenton, aby potem rozsypać się po bulwarze Świętego Jakuba, gdzie miała się odbyć egzekucja. Chociaż był już jasny dzień, z dala słychać było jeszcze dźwięki orkiestr.

Trzeba by tu pędzła Callota, Rembrandta albo Goi, żeby oddać dziwaczny, a odrażający niemal, nierzeczywisty obraz tej tłuszczy. Prawie wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci byli w starych strojach maskaradowych; ci, których nie stać było na taki przepych, ponaczepiali sobie do ubrań jaskrawych łachmanów. Kilku chłopaków ubrało się w suknie kobiece, podarte i zabłocone. A wszystkie twarze spodłone rozpustą i występkiem, pijane, błyszcząły dziką radością na myśl, że po nocnych orgiach będą świadkami ścięcia dwóch kobiet, dla których przygotowano już rusztowanie.

Szuryner, popychany, unoszony przez tłum, oparł się o ścianę jakiegoś szynku i przez otwarte okno, za którym brzmiała ogluszająca muzyka, ujrzał dziwaczną scenę...

W sali na parterze stały wzdłuż muru ławy i stoły, zarzucone resztkami biesiady wszędzie potłuczone talerze, powywracane butelki; na środku kilka zamaskowanych par tańczyło zapamiętałe. Szuryner zwrócił uwagę na dwóch tancerzy, wyróżniających się szaloną, wściekłą wesołością. Jeden przebrany był za niedźwiedzia; całą twarz miał zakrytą włochatym kapturem ze skóry czarnej owcy; dziury, wycięte na oczy, i szeroka szpara przy ustach pozwalały mu widzieć, mówić i oddychać. Był to Mikołaj Martial, zbiegły z więzienia syn wdowy i brat Tykwy, dla których rusztowanie wznosiło się o kilka kroków... Wciągnięty do zabawy przez towarzysza, również zbiegłego bandytę, nędznik ze zwierzęcą nieczułością korzystał z ostatnich chwil karnawału.

Naprzeciw niego tańczył chudy, wysoki mężczyzna. Sadzą usmolił sobie twarz, a jedno oko zasłonił szerokim, czarnym plastrem; cały dół twarzy owinął czerwoną chustką. Był to Szkielet.

Znana nam gospodyni szynku „Pod Białym Królikiem” siedziała na ławie, pilnując chustek i salop tancerek. Kulas, syn Czerwonego Janka, wypuszczony z więzienia i na żądanie ojca oddany do starego Micou, którego uwiezieni zbrodniarze nie wydali, także znajdował się wśród tańczących.

Wkrótce dla rozognionych winem, ruchem, krzykiem ludzi sala stała się za ciasna. Szkielet zawołał:

– Hej tam, odsunąć się od drzwi! Wyjdziemy na bulwar. Śmierć tchórzom! Niech żyją doliniarze i włamywacze.

Krzyki, śmiech i nieprzyzwoite śpiewki wzmogły się jeszcze, kiedy banda Szkieleta wypadłszy z szynku, wdarła się gwałtownie w sam środek ściśniętego tłumu.

Nagle tumult powiększył się.

Na rogu bulwaru ukazał się otoczony oddziałem jazdy wóz, w którym siedziała wdowa z córką. Masa pospólstwa rzuciła się w tę stronę, wydając dzikie krzyki uciechy. W tej samej chwili z przeciwnej strony nadjechał kurier śpieszący do rogatki Charenton. Miał galową liberię, na guzikach herb księstwa Gerolstein, na ramieniu zaś zawiązaną krepę, znak żałoby z powodu śmierci Sary.

Kurier wstrzymał konia i zaczął jechać stępą, ale coraz trudniej było mu torować sobie drogę; po chwili nie mógł już ani się cofnąć, ani posunąć dalej, zewsząd otaczał go tłum.

– Rozprujemy ci brzuch, przeklęty sługusie! – zawołał Szkielet i chwycił konia za cugle.

Kurier, mężczyzna silny i śmiały, rzekł do Szkieleta, zamierzając się biczem:

– Jak nie puścisz konia, dostaniesz po gębie. Pojazd mojego pana jedzie za mną, już słyszę trzask batów, puszczaj.

– Twojego pana? – powtórzył Szkielet. – A co mnie do tego, że on twój pan! Zabiję go, jak mi się tak spodoba.

Kulas podsunął się do kuriera, złapał go za nogę i z całej siły uwiesił się na niej. Jeździec zachwiał się na siodle i trzonkiem bata uderzył Kulasa po głowie.

Natychmiast wściekła tłuszcza rzuciła się na kuriera. Zrzucony z konia, powalony na ziemię wśród złorzeczeń i wrzasków, zostałby może poszarpany na sztuki, gdyby przybycie Rudolfa nie nadało innego kierunku zwierzęcej zajadłości rozhukanego motłochu.

Rudolf – w żałobie, podobnie jak Maria – trzymał w dłoniach rękę córki i napawał się jej widokiem. Śliczna buzia Marii pod czarnym, owiniętym krepą kapeluszem wydawała się jeszcze bielsza i świeższa.

– Nie masz mi za złe, że cię zbudziłem tak rano i przyspieszyłem nasz wyjazd? – zapytał Rudolf z uśmiechem.

– O! Nie, ojcze, taki cudny ranek...

Maria nachyliła się do niego, ojciec ucałował ją czule.

W tej chwili pojazd, wjechawszy w tłum, zaczął posuwać się bardzo wolno. Rudolf zdziwiony spuścił okno i po niemiecku spytał sługę idącego przy drzwiczkach:

– Co tam, Franz? Co za tumult?

– Mości Książę, taka ciżba, że konie nie mogą dalej iść.

– Czemu tu takie zbiegowisko?

– Podobno tu niedaleko mają gilotynować jakieś kobiety.

– Każ poczytlionom zawrócić.

Sługa nie mógł dalej mówić. Tłum, rozjuszony krwawymi przechwałkami Szkieleta i Mikołaja, nagle otoczył pojazd. Mimo gróźb i wysiłków poczytlionów zatrzymano konie i Rudolf ujrzał otaczające go ze wszech stron straszne, dzikie twarze.

– Ojcze, strzeż się! – zawołała Maria.

– To ty jesteś ten wielki pan – zapytał Szkielet, wsunąwszy ohydny łeb do powozu. Rudolf odpowiedział oziębło:

– Czemu zatrzymujecie powóz?

– Bo nam się tak podoba – odparł Szkielet, kładąc kościste ręce na drzwiczkach – wczoraj ty gniołeś pospólstwo, dziś pospólstwo ciebie zgniecie, jak tylko się ruszysz.

– Zginęliśmy – szepnęła Maria.

Cierpliwość Rudolfa wyczerpała się. Niespokojny o Marię, której przestraszona wzdęta z każdą chwilą, wiedząc, że śmiałością ukroci zuchwalstwo nędznika, wyskoczył z powozu, chcąc schwycić Szkieleta za gardło. Bandyta cofnął się, wyciągnął z kieszeni długi nóż i rzucił się na Rudolfa.

Maria, widząc ojca w niebezpieczeństwie, krzyknęła, wyskoczyła również i obejmując Rudolfa, zasłoniła go sobą.

Oboje zginęliby bez ratunku, gdyby nie Szuryner, który, od razu poznawszy liberię Księcia, zdołał po nadludzkich wysiłkach zbliżyć się do Szkieleta.

W chwili gdy ten zamierzał się nożem na Rudolfa, Szuryner jedną ręką zatrzymał ramię bandyty, a drugą chwycił go za kołnierz i przechylił do tyłu.

Chociaż napadnięty niespodziewanie i z tyłu. Szkielet potrafił się odwrócić. Poznał Szurynera i wrzasnął:

– A! Stary znajomy! Teraz mi nie ujdiesz!

I rzucając się na niego, zatopił mu nóż w piersi.

Szuryner zatoczył się, ale nie upadł, otaczający tłum podtrzymał go.

– Żandarmi, żandarmi idą! – zawołało kilka głosów.

Na ten okrzyk, na widok zamordowanego cała tłuszcza w strachu przed policją rozbiegła się na wszystkie strony.

Gdy nadeszli żandarmi, na miejscu zbrodni znaleźli tylko Rudolfa, jego córkę i rannego Szurynera.

Służący Księcia posadzili go i oparli o drzewo.

Księżę, blady i przejęty, trzymał w objęciach omdlewającą Marię, podczas gdy służący naprawiali zaprzęgi, porwane przez tłum.

– Przenieście tego nieszczęśliwca tu do szynku – rzekł Rudolf do swoich ludzi – ty zaś – zwrócił się do kuriera – wsiądź na kozioł i wracaj z wozem do pałacu, jedź po doktora Dawida, znajdziesz go jeszcze.

W szynku przewiązano ranę Szurynera serwetami. Kobiety, a w ich liczbie gospodyni szynku „Pod Białym Królikiem”, pomagały, krzątając się koło umierającego.

Szuryner otworzył oczy, gdy wchodził Rudolf. Na widok Księcia jego trupioblada twarz ożywiła się nieco, uśmiechnął się i rzekł słabym głosem:

– Panie Rudolfie, że ja tam byłem!

– Mężny i pełen poświęcenia jak zawsze! – odpowiedział Księżę, głęboko wzruszony. – Powtórnie ocalasz mi życie!

– Kwita między nami, panie Rudolfie. Powiedziałeś, że mam serce i honor, a to słowo. O! Duszę się. Jedna łaska: daj mi, Księżę, rękę, czuję, że umieram.

– Będziesz żył – zawołał Rudolf, schylając się nad Szurynerem i ściskając jego zimne dłonie.

– Widzisz, Księżę, jest sprawiedliwość tam, na górze. Kiedyś zabiłem nożem, teraz ginę od noża...

Wtem Szuryner spostrzegł Marię, której dotąd nie zauważył. Zdziwienie odmalowało się na twarzy konającego, rzekł:

– Ach, Boże... Gualeza...

– Tak, to moja córka. Błogosławi cię, żeś jej uratował ojca. W tej chwili wszedł Murf z Dawidem.

– Dawidzie – rzekł Księżę, ocierając łzy – czy jest jakaś nadzieja?

– Żadnej, już nie żyje – odpowiedział doktor, zbadawszy ranionego.

Tymczasem straszna niema scena zaszła między Gualeza a gospodynią spod „Białego Królika”.

Kiedy Szuryner wymówił imię Gualezy, baba podniosła głowę i poznała Marię. Poznała też Rudolfa. Mówili do niego: „Księżę”, a on Marię nazywał córką. Zdziwiona taką przemianą, stara wiedźma utkwiała wzrok w swojej dawnej ofierze.

Maria, blada i przerażona, znieruchomiała pod tym spojrzeniem. Wydawało jej się, że dotknęło ją jakieś straszne przeczucie.

Wkrótce potem Rudolf z córką na zawsze opuścił Paryż.

EPILOG

I List

Książę Henryk Herkausen Oldenzaal do hrabiego Maksymiliana Kaminetz:

Oldenzaal, 25 sierpnia 1840.

Wróciłem teraz z Gerolstein, gdzie spędziłem trzy miesiące z Księciem i jego rodziną. Chyba nigdy nie czułem większej potrzeby otwarcia przed Tobą serca, Maksymilianie, mój wierny przyjacielu.

Od trzech miesięcy nastąpiła we mnie nadzwyczajna zmiana. Zbliżam się do jednej z owych chwil, które rozstrzygają o całym życiu człowieka. Zaklinam cię, przyjeżdżaj; potrzeba mi pociechy, a sam nie mogę się stąd oddalić; mój ojciec, który coraz bardziej zapada na zdrowiu, wzywa mnie do siebie.

Mam Ci wiele do powiedzenia, to okres najpełniejszy, najbardziej romantyczny w moim życiu. Dziwnym i smutnym trafem w tym właśnie okresie byliśmy z sobą rozłączeni, my, dwaj przyjaciele, dwaj bracia!

Od trzech miesięcy serce moje napętnia zarazem niezwykłą słodyczą i smutek nie do opisania. Czy pamiętasz, jakeśmy w zeszłym roku snuli marzenia na zwaliskach Oppenfeldu?

Było to trzy dni przed krwawym pojedynkiem, w którym w kłótni o karty mój sekundant zabił młodego Francuza Saint-Remy. Ale, ale, czy wiesz, co się stało z ową niebezpieczną syreną Cecylią, którą Saint-Remy przywiózł do Oppenfeld?

Otrzymawszy sześciomiesięczny urlop, opuściłem Wiedeń i przez pewien czas bawiłem tu przy ojcu. Był wtedy zupełnie zdrowy. Na jego prośbę pojechałem odwiedzić moją ciotkę, księżniczkę Julianę, ksienię klasztoru w Gerolstein. Wiesz, że moja babka była cioteczną siostrą dziada panującego dzisiaj księcia Gerolstein, a Gustaw Rudolf dotąd uprzejmiem nazywa ojca mego i mnie kuzynami. Wiesz także, że wyjeżdżając na długi czas do Francji, rządy księstwa poruczył memu ojcu.

Nad ranem dowiedzieliśmy się, że Książę Rudolf spotkał się we Francji z hrabiną MacGregor i poślubił ją *in extremis*, aby uprawnić córkę, zrodzoną z pierwszego, potajemnego małżeństwa, rozwiązanego później z woli nieboszczyka księcia Gerolstein. O tej to księżniczce Amelii opowiadał nam lord Dudley w Wiedniu. I któż by wtedy pomyślał... Dziwny przypadek!

Klasztor Świętej Hermenegildy, w którym jest ksienią moja ciotka, leży blisko samego Gerolstein.

W dniu, kiedy przyjechałem, powiedziała mi, iż nazajutrz będzie wielkie przyjęcie u dworu i Książę ogłosił swe bliskie małżeństwo z markizą d'Harville, która niedawno przybyła do Gerolstein z ojcem, hrabią d'Orbigny.

„Mój kochany”, rzekła ciotka, „jutro zobaczysz perłę Gerolsteinu”.

„O kim to mówisz, ciotko?”

„O księżniczce Amelii”. „O córce Księcia? Lord Dudley mówił o niej w Wiedniu z takim zachwytem, żeśmy to uznali za przesadę”.

„W moim wieku, przy moim charakterze i w moim położeniu trudno o przesadę! Możesz więc uwierzyć w bezstronność mojego sądu. W życiu nie widziałam bardziej uroczonego stworzenia niż księżniczka Amelia. Znasz dumną księżnę Zofię?”

„Tak, znam... jej straszna ironia... Wszyscy boją się jej jak ognia”.

„Zofia przyjechała tu przedwczoraj z przytułku, który pozostaje pod opieką Amelii. «Czy wiesz», rzekła do mnie, « lubię upatrywać we wszystkim rzeczy śmieszne i godne szyderstwa, ale gdybym dłużej mieszkała z córką Księcia, stałabym się bezbronna...»”

„Ależ to jakaś czarodziejka?”, zauważyłem z uśmiechem.

„Największy jej powab tkwi w połączeniu łagodności, skromności i powagi. A co dziwniejsze, że księżniczka Amelia od niedawnego czasu zaczęła korzystać ze swoich książęcych praw. Przedtem pozostawała przy swojej matce, hrabinie Mac-Gregor”.

„A czy w rozmowach z ciotką księżniczka nie wspominała swego dawnego życia ?”

„Nigdy. Ale to prawdziwy anioł. Na jej prośbę Książę założył przytułek dla szesnastoletnich dziewcząt, sierot, które w tym wieku nie mogą się ustrzec od ponęt występku albo od musu nędzy. Odwiedzając je często, widzę, jak kochają księżniczkę. Codziennie spędza tam kilka godzin”.

„Jeżeli to istotnie tak niezwykła istota”, rzekłem, „będę się czuł mocno zakłopotany, gdy ją jutro zobaczę. Wiesz, ciotko, jaki jestem nieśmiały. Wydam się księżniczce prostakiem i niezgrabiaszem!”

„Nie bój się”, odpowiedziała ciotka z uśmiechem, „tym bardziej, że jesteś jej starym znajomym. Czy przypominasz sobie? Kiedy wyjeżdżałeś w podróż do Rosji i Anglii, mając lat szesnaście, kazałam namalować twój portret w stroju, który miałeś na pierwszym kostiumowym balu u nieboszczki księżnej”.

„Tak, w kostiumie pazia z szesnastego wieku”.

„Nasz znakomity malarz Fritz Mokker zrobił ten portret i nadał mu koloryt staroświeckich obrazów. Przybywszy do Niemiec, księżniczka Amelia odwiedziła mnie razem ze swoim ojcem, a na widok twego portretu zapytała naiwnie, co to za urocza twarz z minionych wieków. Jej ojciec uśmiechnął się, dał mi znak, abym milczała, i rzekł: «To portret jednego z naszych kuzynów; miałby teraz, jak widzisz, kochana Amelio, blisko trzysta lat; już w młodym wieku okazywał dobre serce i niepospolitą odwagę ».

„Księżniczka Amelia”, mówiła dalej ciotka, „uwierzywszy niewinnemu żarcikowi, zgodziła się z ojcem co do wyrazu dobroci i odwagi, malującego się na twarzy pazia, i długo przypatrywała się portretowi. Potem, kiedy przyjechałam do Gerolstein, zapytała z uśmiechem, co porabia «jej starodawny kuzynek». Wtedy opowiedziałem jej wszystko; że pięknym paziem jest mój siostrzeniec, książę Henryk Oldenzaal, liczący dwadzieścia jeden lat, kapitan gwardii Cesarsko-Austriackiej; i że portret, z wyjątkiem stroju, jest nadzwyczaj podobny do oryginału. Na te słowa księżniczka Amelia zarumieniła się i spoważniała. Widzisz więc, że nie będziesz kimś obcym dla swojej kuzynki. Uspokój się i trzymaj honor swego portretu”, dodała ciotka, śmiejąc się.

Zostawszy sam w domu, zastanawiałem się nad tą rozmową. Nie mogłem bez tajemnej radości pomyśleć o tym, że księżniczka Amelia zwróciła uwagę na mój portret.

Przyznaję, byłoby największym nierozsądkiem opierać jakiegokolwiek nadzieje na tak dziwnej okoliczności. Ale zawsze byłem względem ciebie szczery. Wyznam Ci więc, że obudziło to we mnie nadzieje tak płochę, że dzisiaj, spokojnie oceniając przeszłość, pytam sam siebie, jak mogłem oddawać się marzeniom, które wyraźnie wiodły mnie ku przepaści.

Dom nasz jest stary, ale ubogi w porównaniu z ogromnymi posiadłościami Księcia, jednego z najbogatszych książąt Związku Niemieckiego. Nadto mam zaledwie dwudziesty pierwszy rok, jestem zaledwie kapitanem gwardii. Książę nigdy nie wybrałby mnie dla swojej córki.

Osobliwa i niewytłumaczona sprzeczność! Wiesz, jak skromnego zdania jestem o sobie... A przecież byłem dumny, że mój portret zrobił wrażenie na księżniczce... Miałem dosyć rozsądku, aby pojąć, ile nas dzieli.

Nie widziałeś pałacu w Gerolstein? Wszyscy podróżnicy twierdzą, że to najwspanialszy pałac w Europie, wyjąwszy Wersalski. Dziwię się teraz, że mi zaraz na myśl nie przyszła

moja nicość, Amelia bowiem jest córką Księcia, pana tego pałacu, tej straży, tych nieprzeliczonych skarbów!

Adiutant wprowadził mnie na salę w chwili, kiedy słynny Liszt zasiadał do fortepianu. W tym dniu bowiem był koncert u dworu. Głębokie milczenie zapadło po lekkim gwarze rozmów. Czekając końca utworu, który Liszt wykonywał z właściwą sobie maestrią, stanąłem we drzwiach.

Wtedy pierwszy raz ujrzałem księżniczkę Amelię.

Nie trzeba Ci mówić, że wyróżnia się ona spośród wszystkich piękną i wdziękami.

Miała na sobie białą suknię i wstęgę orderową. Przepaska z pereł ślicznie odbijała od jasnych włosów; policzki okrywał lekki rumieniec.

Nagle przypadkiem odwróciła wzrok w tę stronę, gdzie ja stałem.

Wiesz, jak ściśle przestrzega się u nas etykiety. Ze względu na mój tytuł i pokrewieństwo z Księciem, osoby, pośród których stanąłem, powoli zaczęły się usuwać i w końcu zastałem sam jeden w pierwszym rzędzie przy drzwiach prowadzących do galerii.

Księżniczka Amelia spostrzegła mnie i poznała: na jej twarzy ukazało się zdziwienie i mocno się zarumieniła.

Spuściłem oczy i przez kilka minut nie śmiałem ich podnieść na księżniczkę; kiedy spojrzałem na nią, rozmawiała z księżną Zofią.

Kiedy Liszt przestał grać, Książę zbliżył się ku memu i nader grzecznymi słowami wyraził wrażenie, jakiego doznał. Wracając na swoje miejsce, Książę Rudolf spostrzegł mnie, uprzejmie skinął głową i powiedział coś księżniczce Amelii, wskazując na mnie. Ta, spojrzawszy w moją stronę, odpowiedziała Księciu, który się uśmiechnął.

Byłem jak na torturach.

Wreszcie koncert się skończył i Książę przedstawił mnie swojej córce.

Nigdy nie słyszałem takiego głosu; słodki, świeży, dźwięczny, przenikający wprost do duszy.

„Nazywajcie się po prostu kuzynem i kuzynką, według starego naszego zwyczaju”, rzekł Książę wesoło, „między krewnymi nie ma tytułów”.

„Czy kuzynka pozwoli prosić się do kontredansa?”, spytałem.

„Dobrze, kuzynie”, odpowiedziała księżniczka Amelia.

Nie mogę Ci wyrazić, drogi przyjacielu, jak mnie uszczęśliwiła, a zarazem zasmuciła oj-cowska uprzejmość Księcia, jego względy, dobroć, wezwanie, abyśmy etykietalne tytuły zamienili na rodzinną poufalskość, wszystko to budziło we mnie najwyższą wdzięczność, ale tym bardziej wyrzucałem sobie niefortunne uczucie, które nie mogło się spotkać z uznaniem Księcia Rudolfa.

Dałem sobie słowo (i dotrzymałem go), że wobec kuzynki nie zrobię najmniejszej wzmianki o mojej miłości. Bałem się tylko, że mnie zdradzi moje wzruszenie i mój wzrok. Uczucie to wszakże, choć milczące i ukrywane, zdawało mi się występkiem.

Przypomniawszy sobie portret, spodziewałem się, że księżniczka Amelia będzie równie zakłopotana jak ja. I nie omyliłem się; pamiętam dokładnie naszą pierwszą rozmowę.

„Co za szkoda, że jestem tak samo mało podobny do moralnego portretu, skreślonego przez Księcia, jak i do paza z szesnastego wieku!”

„Mylisz się, kuzynie”, przerwała z miłą prostotą, „podczas koncertu spojrzałam w tę stronę, gdzie stałeś, i natychmiast cię poznałam, chociaż masz na sobie inny strój”. Potem, chcąc zapewne zmienić przedmiot rozmowy, rzekła:

„Popatrz, kuzynie, na mego ojca, jaki on piękny! Z jaką miłością wszyscy patrzą na niego. Zdaje mi się, że bardziej kochają, niż poważają”.

„O, tak, a wszyscy Jego poddani cieszą się jego szczęściem. Powszechny szacunek dla markizy d'Harville świadczy i o szczęśliwym wyborze Księcia, i o zaletach przyszłej jego małżonki”.

„Markiza to najgodniejsza żona dla mego ojca, nie umiem pochwalić jej lepiej”.

„A możesz, kuzynko, ocenić ją z największą sprawiedliwością. Na pewno znałaś ją we Francji?”

Zaledwie to powiedziałem, księżniczka spuściła oczy i tak posmutniała, że nie wiedziałem, co mam począć.

Nazajutrz był ślub księcia z margrabiną d'Harville. Nigdy księżniczka Amelia nie była tak szczęśliwa i wesoła. Patrzyła na ojca i macochę z pobożnym uniesieniem, które jej dodawało jeszcze więcej uroku.

Gdy wyszliśmy na przechadzkę do ogrodu, rzekła do mnie:

„Zdaje mi się, że szczęście tych, których kochamy, droższe jest dla nas niż nasze własne szczęście; bo w kosztowaniu własnego szczęścia zawsze jest jakiś cień egoizmu”.

Przytaczam to zdanie z tysiąca innych, żebyś mógł poznać serce tej zachwycającej istoty.

W kilka dni później miałem długą rozmowę z Księciem. Powiedział mi wtedy, że ponieważ minęła pora wojen powszechnych, powinienem korzystać z mojego urodzenia, stosunków, wychowania i przyjaźni ojca z Księciem, wejść na drogę kariery dyplomatycznej. Dodał przy tym, że wszystkie przedmioty wielkiej wagi, rozstrzygane dawniej na polu bitwy, teraz rozstrzygiwane będą na kongresach. Oświadczył nawet, że wstawi się za mną, gdzie będzie trzeba.

Rozumiesz sam, że Księżę nie namawiałby mnie do tego rodzaju kariery, gdyby miał względem mnie jakieś projekty. Dziękowałem mu z najwyższą wdzięcznością, dodając, że oceniam w całej pełni wartość jego rad i zastosuję się do nich.

Na początku rzadko bywałem w Gerolstein, potem, na usilne żądanie Księcia, odwiedzałem go co dzień, o godzinie trzeciej po południu. W życiu domowym panuje tu urocza prostota. Kiedy była pogoda, jeździliśmy konno, w deszcz zabawialiśmy się muzyką. Ja śpiewałem z księżną i kuzynką; głos Amelii jest tak czysty i słodki, że nie mogłem jej słuchać bez głębokiego wzruszenia.

Kuzynka powoli zaczęła mnie traktować jak brata. Cóż mam Ci jeszcze powiedzieć? Brat i siostra, spotka wszy się po długiej rozłące, nie żyliby w większej przyjaźni.

Zdawało mi się nawet, że księżniczka nie wie o mojej gwałtownej namiętności. Jedna okoliczność zachwiała we mnie to przekonanie; opowiem Ci o tym.

Gdyby braterska przyjaźń mogła trwać wiecznie, może by mi wystarczyła. Ale napawając się jej słodyczą, wiedziałem, że wkrótce obowiązki służby odwołają mnie do Wiednia, przewidywałem też, że wkrótce Księżę zechce wydać córkę za mąż.

Im bardziej zbliżała się chwila mego odjazdu, tym mocniej mnie to dręczyło. Kuzynka spostrzegła, że się zmieniłem. Na dzień przed moim odjazdem powiedziała mi, że od niejakiego czasu widzi mnie smutnym, zadumany. Przypisałem mój smutek jakimś nastrojom, nie mającym przyczyny.

„Nie wierzę!” rzekła. „Mój ojciec obchodzi się z tobą jak z synem, wszyscy cię kochają. Uważać się za nieszczęśliwego, to znaczy być niewdzięcznym”.

„Prawda, uczucia nie zmieniają się”, mówiłem „ale zmienia się położenie. Kiedy wrócę po kilku latach, czy nasza przyjaźń jeszcze będzie trwać?”

„Dlaczego nie?”

„Bo wtedy będziesz już pewno mężatką, kuzynko, będziesz mieć inne obowiązki i zapomnisz zupełnie o swoim biednym bracie”.

Nie wiem, co się z nią stało: zamilkła nagle, a potem wstała i blada, zmieszana, pośpiesznie odeszła.

Tegoż dnia wieczorem dostałem list od ojca; wzywał mnie, abym natychmiast przyjeżdżał.

Na drugi dzień udałem się do pałacu pożegnać Księcia. Księżę oznajmił, że kuzynka moja jest słaba i że on w jej imieniu pożegna się ze mną. Uściskał mnie serdecznie, powtórzył dobre rady i dodał, że zawsze z radością będzie mnie widział w Gerolstein.

Powróciwszy tu, zastałem ojca w trochę lepszym stanie; jeszcze jest osłabiony, ale niebezpieczeństwo minęło. Wczoraj w nocy siedziałem sam przy jego łóżku, sądziłem, że zasnął; łzy mi płynęły na wspomnienie szczęśliwych dni spędzonych w Gerolstein. Ojciec spostrzegł, że płacę. Zaczął mnie wypytywać. Powiedziałem, że niepokoję się o jego zdrowie, ale nie dał się oszukać.

Teraz wiesz o wszystkim, Maksymilianie; powiedz, czy nie powinienem wpaść w rozpacz! Co zrobić? Co postanowić?

Jak Ci opisać moje cierpienia? O Boże! Wszystko stracone...

Kończyłem ten list; tymczasem ojciec wstał z łóżka i przyszedł do gabinetu.

„Do kogo piszesz?”, zapytał.

„Czytaj, ojcze!”

„Myślę, że kochasz namiętnie”, rzekł po przeczytaniu, „a namiętność prędzej czy później staje się złym doradcą. Lepiej iść prostą drogą. Trzeba spróbować szczęścia”.

„Nie rozumiem cię, ojcze”, odparłem.

„A więc mówmy wyraźniej. Dziś jeszcze napiszę do Księcia”.

„Napiszesz do Księcia?”

„Napiszę, że kochasz się do szaleństwa w jego córce”.

„Na miłość Boga, nie pisz!”

„Kochasz swoją kuzynkę?”

„Kocham, ale...”

„A więc będę prosił Księcia o jej rękę dla ciebie”.

„Ależ podobna nadzieja byłaby nierozsądkiem z mojej strony!”

Wiesz, że mój ojciec jest najlepszym z ludzi. Ale jest nieugięty, kiedy coś postanowi. Rozumiesz teraz mój niepokój. Jak przyjmie Księżę nasze oświadczenia? Czy się nie obrazi? Czy księżniczka Amelia się nie rozgniewa?

Ach! Lituj się nade mną, przyjacielu!... Sam nie wiem, co mam zrobić! Zdaje mi się, że stoję nad przepaścią.

Wkrótce napiszę do Ciebie. Bądź zdrow. Twój na zawsze

Henryk O.H.

II

Księżniczka Amelia

Pokoje w pałacu Gerolstein, zajmowane przez Marię, dzięki staraniom Rudolfa zostały urządzone z największą wytwornością i przepychem. Z balkonu jej kapliczki był widok na klasztor Świętej Hermenegildy. Jego mury otaczała zwarta masa zieleni, a nad nimi wznosiły się porośle lasem wzgórze.

W piękny letni poranek Maria obserwowała ten wspaniały widok.

Nieruchome spojrzenie dziewczyny i gorzki uśmiech zdradzały, że coś ją gnębi.

W tej chwili weszła do pokoju dama w średnim wieku. Zakaszła lekko, chcąc zwrócić uwagę Marii.

– Cóż takiego, droga hrabino? – zapytała Maria.

– Idzie mi o pewną biedną sierotę... Opuściła ona Gerolstein, zanim został tu nałożony przytułek dla dziewcząt sierot. Ojciec jej wyjechał do Ameryki, porzuciwszy żonę i córkę. Matka wkrótce umarła; córka (miała podówczas tylko szesnaście lat) wyjechała do Wiednia ze swym uwodzicielem, który ją wkrótce opuścił. Pierwszy krok na drodze występku doprowadził nieszczęsną do ostateczności; zeszła na ulicę.

Maria spuściła oczy, zarumieniła się i zadrżała. Nie uszło to uwagi hrabiny: pomyślała, że obraziła księżniczkę, mówiąc o sprawach tak odrażających. Dodała przeto zmieszana:

– Proszę mi wybaczyć... obraziłam zapewne Waszą Wysokość, zwracając uwagę na tę nieszczęśliwą...

– Ależ nie, hrabino... proszę mówić dalej – rzekła Maria – wszelkie błędy są godne politowania, skoro po nich następuje żal.

– Dwa lata spędziła nieszczęśliwa w tej ohydzie, aż spóźniony żal przywiódł ją tutaj. Prosi o przyjęcie do klasztoru. Przekonana jestem o jej szczerości, bo ani potrzeba, ani wiek nie są tego powodem. Ma zaledwie osiemnaście lat, jest piękna i ma pieniądze, które chce rozdać między zakłady dobroczynne, jeżeli zostanie przyjęta do klasztoru.

– Biorę ją pod swoją opiekę – rzekła Maria, bardzo zmieszana.

Wtem wszedł Rudolf z dużym bukietem w ręku.

Hrabina odeszła.

Maria rzuciła się w objęcia ojca i oparła głowę o jego ramię.

– Dzień dobry, moja córeczko – rzekł Rudolf, całując ją. – Patrz, ile róż. Nigdy jeszcze nie przyniosłem ci takiego bukietu... Weź...

Odsunął się i spojrzał na córkę: płakała... Rzucił bukiet na stół i zapytał:

– Płaczesz! Mój Boże!... Co się stało?

– Nic... Nic... – odpowiedziała, ocierając łzy.

– Dziecko! – przerwał Rudolf, patrząc na córkę z niepokojem. – Ty coś ukrywasz przede mną... Zaklinam cię, powiedz prawdę!

– O! Wiesz, jak ja lubię kwiaty... Zawsze je lubiłam, pamiętasz, jak chowałam zeschnięte listki...

Na to okrutne wspomnienie Rudolf zawołał:

– Biedactwo! Więc słusznie podejrzewałem. Wśród blasku i przepychu ciągle myślisz o przeszłości?...

– Przebacz, ojczy, zmartwiłam cię.

– Tak, martwi mnie to, bo takie wspomnienia muszą być dla ciebie okropne... zatrują ci życie, jeżeli im ulegniesz.

– Jakiś ty dobry dla mnie!

– Cóż mam robić?... Moje położenie jest trudne... Nie mówiłem ci słowa, ale ciągle myślałem o tobie. Żeniąc się, miałem nadzieję, że to zapewni spokój. Klemencja знаła ciebie w nieszczęściu; wszyscy ją poważają i jeżeli ona przyjęła ciebie za córkę, za siostrę, to możesz być przekonana, że wszystkie twoje mimowolne błędy zostały sownie okupione nieszczęściami. Byłaś tylko ofiarą. Wszystko odkupiłaś dobrem, jakie tu wyświadczasz.

– Ojczy!...

– Pozwól, niech powiem wszystko... Poświęciłbym dla twego spokoju miłość Klemencji, przyjaźń Murfa, gdybym mógł przypuszczać, że ich obecność tutaj przypomina ci o przeszłości...

– Czy możesz tak myśleć, ojczy? To prawda, oni wiedzą, czym ja byłam, ale przecież kochają mnie; czy to nie jest dowód, że zapomnieli i przebaczyli? Chciałbyś poświęcić dla mnie żonę i Murfa? Czym zasłużyłam na taką ofiarę?

– Czym, moje biedne dziecko!... Aż do chwili, kiedy zostałaś mi przywrócona, nie znałaś nic prócz nędzy, goryczy i poniżenia... Wyrzucam sobie wszystkie twoje cierpienia, jakbym był ich przyczyną; za to kiedy widzę, że jesteś wesółą, myślę, że już uzyskałem przebaczenie... Mój jedyny cel, jedyne życzenie – to dać ci tyle szczęścia, ile cierpień zniosłaś. Zdaje mi się, że ostatnie ślady przeszłości znikają, kiedy ci okazują szacunek osoby najznakomitsze, najczcigodniejsze.

– Nie mnie okazują szacunek, ale mojemu stanowisku.

– Nie, to ciebie kochają, tylko ciebie!... Za twoją skromność, twoje zalety, dobroć.

Wtem drzwi się otworzyły i weszła księżna Gerolstein z listem w ręku.

– List do ciebie z Francji – rzekła mężowi. – Sama go przyniosłam, żeby powiedzieć dzień dobry mojej leniwej córce, której dziś jeszcze nie widziałam – dodała z czułością, całując Marię.

– List bardzo w porę – rzekł wesół Rudolf, przebiegłszy go oczyma – rozmawialiśmy o przeszłości, o tym potworze, z którym bez ustanku musimy walczyć, bo zagraża szczęściu naszej córki.

– A więc od kogo ten list, Rudolfie? – spytała Klemencja.

– Od miłej Rigoletty, żony Germaina!

– Od Rigoletty! – zawołała Maria. – Jak się cieszę, dowiemy się, co się z nią dzieje.

– Mój drogi – szepnęła Klemencja Rudolfowi – czy ten list nie obudzi w niej przykrych wspomnień?

– Właśnie te wspomnienia chcę zniszczyć... Pewien jestem, że w liście Rigoletty znajdę przeciwko nim najlepszą broń. Ona kochała i umiała cenić naszą córkę.

Rudolf głośno przeczytał list:

Bouqueval, 15 sierpnia 1841

Jaśnie Oświecony Książę!

Ośmielam się pisać do Waszej Wysokości, ażeby donieść o nowym szczęściu, jakie nas spotkało, i prosić o nową łaskę.

Cóż więc się stało? Otóż od dziesięciu dni jestem jak szalona z radości: urodziła mi się córka. Ja widzę w niej żywy portret Germaina; on utrzymuje, że to druga ja, a mama twierdzi, że dziewczynka podobna do nas obojga. W rzeczywistości ma śliczne, błękitne oczy, jak Germain, i czarne, kędzierzawe włosy, jak ja. Mój mąż, wbrew swojemu zwyczajowi, jest bardzo niesprawiedliwy, ciągle ją chce trzymać na kolanach u siebie, a to ja właśnie mam do tego prawo, nieprawdaż, Mości Książę?

- Poczcwi ludzie! Jacy muszą być szczęśliwi! – rzekł Rudolf. – Co za dobrana para!
- I jak Rigoletta zasługuje na to szczęście! – dodała Maria.
- Ja też błogosławiłem zawsze los, że mi nastreczył sposobność poznania jej – odparł Rudolf i czytał dalej:

Przepraszam, że zajmuję Cię, Książę, naszymi drobnymi sprzeczkami, które zwykle kończą się pocałunkiem. Zresztą często Ci musi dzwonić w ucho, bo my co dzień powtarzamy z Germainem: „jacyśmy szczęśliwi” i zaraz po tych słowach następuje Pańskie imię... Oj, przepraszam za tę plamę, napisałam „pan Rudolf” według dawnego zwyczaju, ale zamazałam. Spodziewam się, że Książę zwrócił uwagę na mój postęp w pisaniu i ortografii; Germain mnie uczy, i teraz już piszę nie takimi dużymi laskami jak wtedy, kiedy temperowałeś mi pióra.

- Trzeba przyznać – rzekł Rudolf z uśmiechem – że moja Rigoletta trochę się przechwała. Zapewne Germain częściej całuje jej rączkę, niż uczy ortografii...
- Nie, jesteś niesprawiedliwy – przerwała Klemencja. – Litery trochę za duże, ale czytelne.
- Słusznie, to znaczy postęp. Dawniej nie zmieściłaby na ośmiu stronicach tego, co teraz napisała na dwóch – uśmiechnął się Rudolf i czytał dalej:

Tak, Mości Książę, temperowałeś mi pióra. Kiedy Germain i ja wspominamy te czasy. to aż się wstydzimy, że byłeś względem nas tak mało wyniosły. Ale ja znowu nie o tym mówię, co chciałam. Mąż mój także Pana o to prosi, a to rzecz bardzo ważna!

Racz, Książę, wybrać imię dla naszej córki. Tak już ułożyliśmy z rodzicami chrzestnymi. A czy wiecie, kim są ? To ludzie, którzy, podobnie jak my, szczęście swoje zawdzięczają Księżciu i pani d'Harville... Słowem Jest to Morel i Joanna Duport, siostra biednego Pique-Vinaigre'a; spotkałam się z nią w więzieniu, odwiedzając Germaina, a później pani markiza zabrała ją ze szpitala.

Muszę Ci teraz wyjaśnić. Książę, dlaczego zaprosiliśmy w kumy Morela i Joannę Duport. Bo zaprosić w kumy ludzi poczcwiyh, którzy zawdzięczają swoje szczęście panu Rudolfowi i pani d'Harville, znaczy okazać Wam raz jeszcze naszą wdzięczność.

- Jestem pewien, że w liście Rigoletty znajdę broń przeciwko naszemu nieprzyjacielowi, smutkowi – rzekł Rudolf, zwracając się do córki. – Czy słyszysz, jak się wyraża zdrowy rozsądek tej poczcwiwej i prawej duszy? Mówi dalej o Ludwice:

Była ona bardzo nieszczęśliwa, ale nie występna; a jej narzeczony jest tak szlachetny, że to rozumie. Powiem Ci jeszcze. Mości Książę, że Joanna Duport z łaski markizy uzyskała separację z mężem, wzięła do siebie starszą córkę i założyła sklep. Handel jej idzie bardzo pomyslnie. Są to ludzie najszczęśliwsi, a wszystko z łaski Twojej, Książę, i z łaski markizy. Germain będzie pisać do Was jak zwykle przy końcu miesiąca o Banku. Przepraszam, że mój list taki długi; ale myślałam, że nie będziesz gniewał się za wiadomość o ludziach, których uszczęśliwiłeś. Piszę z Bouqucval; od początku wiosny tu mieszkam, na zimę powrócimy do Paryża. Ale mówiąc o Bouqueval, wiesz zapewne. Mości Książę, gdzie się teraz obraca dobra Gualeza; przy okazji racz jej oświadczyć, że tu wspominają ją jak najlepszą dziewczynę, a ja zawsze myślę: „Pan Rudolf się nią opiekuje, więc i ona musi być szczęśliwa jak my”, a na tę myśl szczęście moje wydaje mi się jeszcze słodsze.

Książę, spodziewam się, że nie odmówisz naszej prośbie?

Żegnam Cię, Mości Książę! Kiedy nasza córka zacznie sylabizować, najpierw przeczyta imię „Rudolf”.

Mam honor zostawać z najwyższym szacunkiem i wdzięcznością.

Rigoletta Germain

III

Wspomnienie

- Kochana Rigoletta! – rzekła Klemencja, rozrzewniona listem.
- Nie mogliśmy wybrać ludzi godniejszych opieki! – odpowiedział Rudolf. Zwrócił się do Marii, a widząc jej bladość i smutek, zawołał:
- Ale co ci jest?
- Ojczce! Nie zarzucaj mi niewdzięczności... Ale mimo twego przywiązania, pomimo czułości mojej drugiej matki, mimo blasku i znaczenia... moja hańba jest nie do usprawiedliwienia... Nikt nie zdoła zniszczyć przeszłości... Jeszcze raz przebac mi. Ukrywałam to dotąd przed tobą. Wspomnienie mojej dawnej hańby doprowadza mnie do rozpacz i zabija...
- Czy słyszysz, Klemencjo? – zawołał Rudolf zrozpaczony.
- Klemencja, czule ująwszy rękę Marii, rzekła:
- Czy nasze przywiązanie, miłość wszystkich, którzy cię otaczają, a której jesteś godna, nie przekonywa cię, że przeszłość powinna być dla ciebie tylko snem? Nie traćmy nadziei, znamy teraz przyczynę twego smutku i zwyciężymy go. Mamy za sobą rozsądek, słusność i miłość!
- Po długim milczeniu Maria odezwała się drżącym głosem:
- Pamiętasz, ojczce, tę straszną scenę, kiedy wyjeżdżaliśmy z Paryża? Zatrzymano karetę przy rogatkach...
- Pamiętam – odpowiedział Rudolf ze smutkiem. – Biedny Szuryner! Drugi raz ocalił mi życie i umarł w moich oczach, powtarzając: „Jest sprawiedliwość: zabiłem nożem i ginę od noża.”
- I wiesz, kogo zobaczyłam w tej chwili – podjęła Maria. – Przyglądała mi się... Och, to jej spojrzenie, nie mogę go zapomnieć.
- Czyje spojrzenie? O kim ty mówisz? – zawołał Rudolf.
- O szynkarce spod „Białego Królika” – odparła cicho Maria. – Spotkanie z tą kobietą w chwili, kiedy Szuryner mówił: „Bóg jest sprawiedliwy!”, zdawało mi się wyrzutem losu za to, że pełna pychy, zapomniałam o przeszłości, którą powinnam okupić pokorą i żalem.
- Ależ ciebie zmuszano do tego! – zawołała Klemencja.
- Mimo to jednak wiodłam życie wśród hańby – odpowiedziała Maria – i nic w świecie nie zdoła zniszczyć pamięci o tym. Ściga mnie ona nawet w objęciach ojca... Ciągłe sobie powtarzam ze wstydem: „Tu mnie poważają najdostojniejsze osoby, a ja w Paryżu żyłam w plugawym, ze złodziejami i zbójcami. Starcy mi się kłaniają, szlachetne i znakomite damy ubiegają się o moje towarzystwo. A gdyby się dowiedzieli, czym ja byłam, jak by mną pogardzali! Co za sprawiedliwa i okropna kara!”
- Ale my, ja i twoja matka, znamy twoją przeszłość, a przecież cię kochamy.
- Miłość rodzicielska was zaślepia.
- A twoje dobre uczynki? A przytułek dla sierot? Czy tym nie okupu jesz błędów, których nie popełniłaś dobrowolnie?
- W tej chwili Murf przyniósł list do Rudolfa. Był to list od ojca Henryka, który prosił o rękę księżniczki Amelii dla swego syna.

IV

Wyznanie

Przeczytawszy list, Rudolf zamyślił się smutno, nagle promień nadziei rozjaśnił mu czoło i znowu zbliżył się do córki.

- Co takiego, mój ojczy? – zapytała.
- Nowe powody obawy o ciebie. Wyznałaś przed nami połowę tylko twoich cierpień.
- Nie rozumiem cię – przerwała Maria, zarumieniwszy się.
- Teraz mogę mówić. Przedtem nie mogłem, bo nie wiedziałem, że straciłaś wszelką nadzieję na przyszłość. Chcesz wstąpić do klasztoru?
- Jeżeli pozwolisz, ojczy!
- Chcesz nas opuścić! – zawołała Klemencja.
- Klasztor Świętej Hermenegildy jest niedaleko, będę was widywać.
- Pamiętaj, że te śluby są wieczne. Masz dopiero osiemnaście lat i może kiedyś... Po czym utkwivszy wzrok w córce, Rudolf zapytał:
 - Co myślisz o księciu Henryku, twoim kuzynie?
- Maria zadrżała i zarumieniła się.
- Kochasz go?
- Nigdy o to nie pytałaś, ojczy! – odpowiedziała, ocierając łzy.
- Jak myślisz? Czy Henryk wie o twojej miłości?
- O Boże, nie, nie sądzę, aby wiedział! – zawołała Maria przerażona.
- A on, jak myślisz, czy kocha ciebie?
- Nie, nie! Spodziewam się, że nie. Byłby zbyt nieszczęśliwy...
- Skąd się wzięła ta miłość, moje dziecko?
- Sama nie wiem! Pamiętasz, ojczy, portret pazia?
- W klasztorze, portret Henryka... Kochałaś więc, jeszcze go nie widząc?
- Nie kochałam, ale czułam ku niemu pociąg, miałam to sobie za złe, ale cieszyła mnie myśl, że nikt się nie dowie o tej mojej smutnej tajemnicy. Ja, ja śmiałabym kochać! Kiedy ujrzałam Henryka na koncercie, natychmiast go poznałam. Jak się męczyłam, kiedy mnie wypytywał o moje dzieciństwo, o przeszłość. Kłamać, ciągle kłamać, ciągle się lękać, oszukiwać, drzeć przed spojrzeniem tego, kogo się kocha, jak zbrodniarz przed nieubłaganym wzrokiem sędziego! Odjazd Henryka przekonał mnie, że kocham go więcej, niż sobie wyobrażałam! Ta fatalna miłość przepelnia miarę moich cierpień. Teraz wiesz o wszystkim, ojczy, powiedz, co mi zostaje oprócz klasztoru?
 - A więc posłuchaj mnie teraz – rzekł Rudolf – twoja miłość do Henryka nie uszła mej uwagi. Przekonałem się, że on cię też kocha.
 - Nie, nie, ojczy, to niemożliwe!
 - Kocha cię namiętnie, do szaleństwa!
 - O Boże! Mój Boże!
 - Słuchaj dalej. Ojciec Henryka w tym liście prosi mnie o twoją rękę dla syna.
 - O, mogłabym być taka szczęśliwa! – zawołała Maria, zakrywając twarz rękami.
 - Jeśli chcesz, będziesz szczęśliwa – rzekł Rudolf z czułością.
 - Nigdy! Nigdy! Czy zapomnialeś?
 - Pamiętam o wszystkim. Możecie wziąć ślub potajemnie, świadkami będą Murf i Graun. Potem wyjedziecie do Szwajcarii lub Włoch, będziecie żyć nie znani nikomu. A wiesz, dla-

czego chcę, żebyście byli na ustroniu? Bo jestem pewny, że w samotnym szczęściu zapomnisz o przeszłości.

– Rudolf ma rację – zawołała Klemencja.

– A więc idę odpisać, że zgadzam się na twoje małżeństwo z Henrykiem – rzekł Rudolf, ściskając Marię z niewypowiedzianą radością – rozłączymy się nie na długo.

Zapomnisz o wszystkim, zwłaszcza kiedy zostaniesz matką.

– Ach! – krzyknęła Maria z największym przerażeniem, bo słowo „matka” wyrwało ją z rozkosznych marzeń. – Nie jestem tego godna!

Maria podniosła się nagle:

– Ojczy! Ale zapomnieliśmy, że przed ślubem Henryk powinien poznać moją przeszłość.

– Nie zapomniałem. Tak, powinien wiedzieć i dowie się o wszystkim.

– Chcesz, żebym umarła, będąc tak poniżona w jego oczach?

– Ale dowie się też, jaka fatalność pograżyła cię w nieszczęściu.

– I zrozumie, że może cię nazwać żoną, skoro ja nazywam cię córką – dodała

Klemencja, ściskając Marię.

– Ale ja za bardzo kocham i szanuję księcia Henryka, żebym mu miała oddać rękę, której dotykali paryscy bandyci!...

Wkrótce potem czytano w Gerolsteińskiej Gazecie Rządowej:

Wczoraj w opactwie Świętej Hermenegildy w obecności Księcia Jegomości i całego dworu odbyty się obłóczyny Jej Wysokości Amelii księżniczki Gerolstein.

Nabożeństwo odprawił Jaśnie Oświecony Książę Karol Maksym, Arcybiskup Książę Oppenheimu; zaś Jaśnie Oświecony Annibal Andrzej Montano, biskup Ceuty, nuncjusz apostolski, udzielił błogosławieństwa w imieniu Papieża. Kazanie miał przewielebny ksiądz Piotr von Asfeld, kanonik Koloński, hrabia Świętego Państwa Rzymskiego.

V *Rudolf do Klemencji*

Gerolstein, 12 stycznia 1842

Uspokoiwszy mnie co do zdrowia Twego ojca, czynisz mi nadzieję, droga Klemencjo, że go przywieziesz pod koniec bieżącego tygodnia. Śpiesz się z powrotem. Boję się, żeby ta niespodziewana podróż nie odbiła się na Twoim zdrowiu.

Ceremonia przyjęcia naszego dziecka do klasztoru jest oznaczona na 13 stycznia! Fatalny dzień!... To właśnie 13 stycznia rzuciłem się ze szpadą na ojca!

Ach! Zbyt wcześnie sądziłem, że uzyskałem przebaczenie!

Nadeszła chwila kary, odkąd nieszczęśliwa córka odkryła przed nami podwójne tortury swego serca: nieuleczalny wstyd przeszłości i nieszczęśliwą miłość dla Henryka. Te dwa gorzkie, palące uczucia zniewoliły ją do wstąpienia do zakonu...

Widziałem ją dziś rano; mniej blada niż zwykle, mówi, że czuje się dobrze, ale jej zdrowie niepokoi mnie śmiertelnie. Maria nie wie jeszcze, że księżniczka Julianna zrzekła się na jej rzecz godności ksieni. Jutro nasza córka zostanie wybrana ksienią klasztoru za jednomyślną zgodą wszystkich zakonnic.

Od czasu jak Maria znajduje się w klasztorze, wszyscy jednomyślnie wychwalają jej pobożność, sumienność w wypełnianiu reguły zakonnej... W klasztorze zdobyła taki wpływ, jaki wywierała wszędzie.

Dzisiejsza rozmowa z nią przekonała mnie o tym, czego się już domyślałem. W samotności klasztornej, wśród surowych ćwiczeń żywota zakonnego, nie znalazła spokoju ani zapomnienia; nie żałuje swego postanowienia, ale cierpi. Mówiła mi:

„Wyrzucam sobie, że nie mogę nie myśleć o szczęśliwym życiu z wami, z ukochanym mężem. Błagam Boga, aby mnie wybawił od tych pokus, ale moje prośby nie zostały wysłuchane... pewno jestem niegodna Jego łaski, bo się zaprzęgam ziemskimi rzeczami”.

Zabłysła mi nadzieja i rzekłem:

„Skoro tak, to jeszcze jest czas... wyrzeknij się surowego, ciężkiego życia, skoro nie przynosi pociechy, jakiej oczekiwałaś. Jeżeli trzeba cierpieć, to cierp w naszych objęciach; nasze przywiązanie zmniejszy twój ból...”

Potrząsnęła głową. „Nie... nie ma dla mnie innego miejsca prócz klasztoru... Jeżeli jutro się dowiedzą, z jakiego morza nieczystości mnie wydzwignąłeś, może mi wybaczą, widząc mnie pod krzyżem jako pokutnicę... A nikt mnie nie usprawiedliwi, gdy ujrzy mnie w pałacu, wśród blasku i przepychu”.

I cóż mogłem na to odpowiedzieć?... Wyszedłem z zakrwawionym sercem. Przyjeżdżaj prędko, sercem i duszą najukochańsza.

Twój R.

P.S. Zapomniałem dodać, że zdrowie Henryka nieco się polepszyło; nie ma już niebezpieczeństwa.

Klasztor Świętej Hermenegildy o godzinie czwartej z rana.

Nie trwóż się, Klemencjo, chociaż godzina, o której piszę ten list, i miejsce, skąd go wysyłam, przestraszą Cię zapewne.

Dzięki Bogu niebezpieczeństwo minęło, lecz przesilenie było okropne. Wczoraj, kończąc list do Ciebie, dręczony jakimś przecuciem, przypomniałem sobie, że Maria musi

spędzić całą noc w zimnym kościele, i posłałem Murfa z doktorem Dawidem do klasztoru na wszelki wypadek, gdyby zabrakło jej sił. O pierwszej po północy usłyszałem głos Murfa i zadrzałem... Nadbiegł co tchu z klasztoru.

Nasza córka mimo odwagi i silnej woli nie zdołała znieść ciężkiej próby. O godzinie ósmej wieczorem uklękła i modliła się aż do północy; wtedy, zwyciężona słabością i wzruszeniem, padła bez zmysłów. Wezwano natychmiast Dawida, Murf przyjechał do mnie. Pośpieszyłem do klasztoru. Księżniczka Julianna uspokoiła mnie, zapewniając, że nie ma niebezpieczeństwa. Dawid wkrótce przyszedł i oznajmił, że Maria poczuła się lepiej i wróciła do kościoła... Chciałem, aby ją zatrzymano, lecz Dawid poradził, żeby w podobnym napięciu nerwowym nie sprzeciwiać się jej żądaniom.

Udałem się do kościoła i usiadłem na naszym zwykłym miejscu, skąd widać chór. Klęczała w słabo oświetlonym kościele i gorąco się modliła.

Ja także ukląknę i zacząłem się modlić.

Wybiła trzecia. Dwie zakonnice zbliżyły się do niej, mówiąc coś półgłosem. Przeżegnała się, wstała i wyszła z nimi dość pewnym krokiem, ale tak blada jak jej welon.

Nie idę do niej: niech odpocznie. Zostaję w opactwie, żeby być obecnym przy obrzędzie. Nie posyłam Ci teraz tego listu; zaczekam do końca ceremonii. Ból mnie przytłacza.

Trzynasty stycznia –podwójnie ponura rocznica!

Straciliśmy córkę... na zawsze! Wszystko się skończyło... wszystko! Posłuchaj!

Wczoraj ubolewałem, że Ciebie tu nie ma... dziś cieszę się... bo za bardzo byś cierpiała! Z rana obudził mnie głos dzwonu. Wydał mi się dzwonem na pogrzeb. Nasza córka umarła dla nas. W mogile czy klasztorze – to dla nas wszystko jedno. Umarła.

Obrzęd odbył się w południe, bardzo uroczyście.

Byłem przy tym obecny. Smutek ciążył nad ludem zgromadzonym w kościele. Widziałem dwóch podoficerów z mojej gwardii. Starzy żołnierze płakali...

Po skończonej ceremonii wśród powszechnego milczenia księżniczka Julianna wstała i poważnym, uroczystym głosem rzekła: „Podeszły wiek każe mi zrezygnować z mego stanowiska, mam na to pozwolenie Ojca Świętego. Przedstawię błogosławionemu Jaśnie Oświeconemu Arcybiskupowi Oppenheimskiemu, tudzież zatwierdzeniu Jego Wysokości Księciu Panu naszemu tę spomiędzy was, która wybieriecie na moje miejsce.

Maria nie wiedziała, że będzie wybrana. Gdy ksieni ogłosiła, że wybór padł na siostrę Amelię, za życia księżniczkę Gerolsteinu, radość była powszechna, tylko Maria jeszcze bardziej zbladła i upadła na kolana. Księżniczka Julianna chciała ją podnieść, lecz ona odpowiedziała:

„Nie mogę przyjąć tego dostojęstwa... Niech wyznam, kim jestem; wtedy przyznacie, że jestem niegodna”.

Szepnąłem do niej z przerażeniem:

„Córko, zaklinam cię!...”

Zrozumiała mnie, zamilkła i spuściła głowę.

„Córko”, podchwyciła ksieni, „twoja skromność źle ci radzi. Jednomyślność wyboru przekonywa, że jesteś godna zająć moje miejsce... Dla nas życie twoje zaczęło się od tej chwili, kiedyś wstąpiła w dom boży. Gdy byś na wet była występna, twoja próba złagodziłaby wszystkie twe winy”.

„Teraz mogę przyjąć tę godność”, odpowiedziała Maria, „lecz pozwólcie odłożyć obrzęd na inny dzień, czuję się bardzo słaba”.

Zaledwie posadzono ją w krzesło przełożonej, zemdląca. Wystaw sobie moje przerażenie... Zanieśliśmy ją do pokojów ksieni. Dawid udzielił jej pośpiesznej pomocy i zapewnił mnie, że choroba była skutkiem znużenia i bezsenności.

Zostałem sam z córką.

„Ojcze! Przebacz... zapomnij, że chciałam wszystko wyznać. Przebacz mi...”

Zamiast odpowiedzi ucałowałam ją, poczuła, że płakałam.

Całowała mi rękę, mówiąc:

„Teraz mi lepiej... ale umarłam dla świata i pragnę rozdzielić niektóre rzeczy pomiędzy moich przyjaciół. Czy pozwolisz, ojcze? Poślijcie pani George kałamarz... ona mnie nauczyła pisać, kiedy mieszkałam na wsi. Proboszczowi w Bouqueval, który mnie uczył religii, proszę oddać krucyfiks”.

„Dobrze, dziecinko!”

„Perły oddajcie Rigoletcie, a złoty krzyżyk z emalią żonie Martiala”.

„Dobrze... Nie zapomniałaś o kimś?”

„Zdaje się, że nie”.

„Przypomnij sobie, jest człowiek równie nieszczęśliwy jak ja”.

Zrozumiała mnie, ścisnęła mi rękę.

*„Już mu lepiej – rzekłem – niebezpieczeństwo od rany, którą sobie zadał, minęło... Co je-
mu przeznacysz na pamiątkę?”*

*„Mój klęcznik... Jak często oblewałam go Izami, błagając nieba o udzielenie mi sił, abym
mogła zapomnieć Henryka, bo nie czułam się godna jego miłości”.*

W tym miejscu list Rudolfa kończył się słowami, które można odczytać:

Murf dokończy ten list... Myśli mi się mąca... Odchodzę od zmysłów...

Przypisek Murfa był następujący:

Z rozkazu Księcia winienem oznajmić fatalną wiadomość. Przed trzema godzinami, kiedy pisał ten list, przysłała księżniczka Julianna i powiedziała, że księżniczce się pogorszyło. Księżę zastał już konającą! Trzymała na piersiach suche płatki swojej róży. Padł na kolana przy jej łóżku i zapłakał. Księżniczka Amelia spojrzała na niego, uśmiechnęła się z wysiłkiem i rzekła gasnącym głosem:

„Ojcze, przebacz... i Henryk... dobra matko... przebaczcie!” Takie byty jej ostatnie słowa. Godzinę trwało spokojne konanie. Kiedy umarła, Księżę nie wyrzekł słowa. Zamknął zmarłej oczy, pocałował ją jeszcze kilka razy, wziął płatki róży i wyszedł z celi. Gdy wrócił do siebie, pokazał mi zaczęty list, mówiąc: „Nie mogę pisać... Napisz do księżnej, że nie mam już córki!”

Posłowie

Dziwna książka, prawda? Śmiesz i drażni swoją naiwnością i patosem. Ci poczciwi przestępcy, którzy kryją w głębinach duszy nieprzebrane skarby dobroci i tylko czekają, żeby szlachetny filantrop, książę Rudolf, pokazał im drogę cnoty, są chyba najmniej prawdopodobnymi postaciami literackimi, jakie istnieją. Tak samo zresztą zakamieniali zbrodniarze, których czarne jak piekło charaktery nie poddają się wpływowi dobra – ci wyglądają już wprost na karykatury. Czytając tę książkę, czujemy się jak na jakimś filmie w rodzaju *Czerwonej oberży*, gdzie scenarzysta i reżyser zabawiali widza romantyczną makabrą doprowadzoną do absurdu. Czasami mamy wrażenie, że się ocieramy o *Komedie ludzką* Balzaka, a jeszcze częściej przychodzi nam na myśl *Nędznicy* – arcydzieło Wiktora Hugo tak by zapewne wyglądało, gdyby wyszło spod pióra pisarza o dużo mniejszym talencie. Czy w ogóle można mówić o talencie Eugeniusza Sue, który miał odwagę puścić w świat postać tak nieznośnie cukierkową jak Maria i w dodatku jeszcze poczęstować czytelnika tak potwornie ckliwym epilogiem? Niewątpliwie, książka irytująca i śmieszna, a jednak nie można się od niej oderwać!

Czy po jej przeczytaniu warto się w ogóle nad nią zastanawiać? Na pierwszy rzut oka, nic bliższego nie wiedząc o autorze, można ją łatwo określić jako starą powieść sensacyjną, obliczoną na szerokie kręgi czytelników, dziś bardzo wypłowiałą, ale dającą się jeszcze czytać z przyjemnością, zwłaszcza w niektórych partiach. Byłby to jednak sąd powierzchowny i krzywdzący Eugeniusza Sue, chociaż przejęty przez wiele podręczników historii literatury. *Tajemnice Paryża* to dużo więcej niż naiwne romansidło, do którego lektury kulturalny czytelnik przyznaje się z uśmiechem zażenowania. Ta książka jest jednym z największych i najtrwalszych odkryć w literaturze dziewiętnastego wieku. Zasluguje na uwagę tak samo jak najbardziej uznane arcydzieła, z których znajomości jesteśmy dumni.

Życie autora *Tajemnic Paryża* było, z wyjątkiem kilku lat trochę chudszych i nie licząc melancholijnego finału na wygnaniu, usłane różami. Już tym różni się Sue od swoich wielkich współczesnych i rywali na polu literatury, którzy prawie bez wyjątku musieli walczyć z trudnościami materialnymi. Urodził się w roku 1804, w Paryżu, ale rodzina pochodziła z Prowansji. Jego ojciec, doktor Józef Sue, naczelny lekarz gwardii Napoleona, był w swoim fachu znakomitością i posiadał znaczny majątek. W latach dzieciństwa i młodości przyszły powieściopisarz zdradzał tylko jedno wyraźne zamiłowanie: do korzystania z uciech życia. Nie chciał się uczyć, wypijał stare wina z ojcowskiej piwnicy, bardzo wczesnie zaczął tracić pieniądze w luksusowych restauracjach i romansować z aktorkami. Jego wybryki stały się tak niepokojące, że doktor Sue wysłał go w 1823 r. jako pomocnika felczera wojskowego do Hiszpanii, gdzie armia francuska przywracała monarchię absolutną. Po powrocie do Paryża młodzieniec znowu szalał po swoim i ojciec umieścił go w szpitalu wojskowym w Tulonie, a następnie w marynarce królewskiej – wciąż jako felczera. Pływanie po morzu bardzo mu później ułatwiło start literacki. Również jego kontakt z medycyną – dość powierzchowny – odezwał się na niektórych stronach *Tajemnic Paryża*. W każdym razie służba zdrowia nie była jego powołaniem, o czym świadczy urocza anegdotka zachowana w jednym ze współczesnych pamiętników. Sue wracał kiedyś z wesołej kolacyjki w towarzystwie przyjaciela, który, wsiadając do dorożki, potknął się i skaleczył mocno nogę. Odwiózł go więc do domu i fachową ręką założył opatrunek. Odwiedziwszy chorego nazajutrz, stwierdził, że przez omyłkę obandażował mu zdrową nogę... Od zajęcia tak przeciwnego jego naturze uwolnił go nie-

spodziewanie spadek zapisany przez dziadka ze strony matki. Uniezależniony dzięki temu od ojca, mógł się Sue urządzić samodzielnie i bez przeszkód prowadzić życie paryskiego eleganta. W 1830 r. śmierć doktora Sue uczyniła go człowiekiem bogatym. Przed byłym felczerem marynarki królewskiej, który nawet nie przeczuwał wtedy, że będzie piewą nędzy, stały otworem drzwi do najświetniejszych salonów.

Jednocześnie zaczął Sue publikować od razu z powodzeniem. Były to pierwsze we Francji powieści marynistyczne i obok nich powieści romantyczne spod znaku Byrona. Cała ta jego wczesna twórczość stanowiła jednak tylko efektowny dodatek do kariery dandysa. Eugeniusz Sue błyszczał przede wszystkim wśród gwiazd wykwintnego Paryża. Był stałym i lubianym gościem najbardziej arystokratycznych salonów na Faubourg Saint-Germain, należał do ekskluzywnego Jockey-Clubu, przyjaźnił się ze słynnym arbitrem elegancji hrabią d'Orsay i wieloma innymi arystokratami francuskimi i angielskimi, miał wspaniałe powozy, konie kupował w Londynie, dobrze jeździł wierzchem, uczył się boksu, był oczywiście ubrany nieskazitelnie, mieszkał w pięknym domu z ogrodem i dodatkowym sekretnym wejściem, meble miał obite na czerwono ze złotem, sypialnię niebieską, salon w stylu rokoko, mnóstwo kosztownych bibelotów – jednym słowem życie, o jakim w *Ojcu Goriot* marzył Rastignac. „Eugeniusz Sue to poczciwy i miły młody człowiek, który pozuje na rozpustnika, jest zrozpaczony, że się nazywa Sue, żyje luksusowo, żeby wyglądać na wielkiego pana, ale poza tym, chociaż trochę zużyty, sam jest wart więcej niż jego dzieła”, pisał Balzak do pani Hańskiej w 1833 r. W tej szczęśliwej egzystencji była rzeczywiście jedna bolesna skaza, która mimo wszystko odróżniała Suego od Rastignaka: plebejskie pochodzenie wspaniałego dandysa. Już jego nazwisko, fatalnie kojarzące się z jakże niearystokratycznym czasownikiem *suer* – „pocić się”, wznosiło barierę między nim a hrabiami i lordami, wśród których się obracał. W 1837 r. doszło do katastrofy. Sue nagle przestał bywać na Faubourg Saint-Germain. Utytułowane towarzystwo rozpowszechniało nawet wiadomości, że nigdy go nie traktowano poważnie, że był przyjmowany dla zabawy, jako postać niezmiernie uciechna przez swoje parweniuszostwo. Różnie mówiono o przyczynach tego zerwania. Sue właśnie wydał powieść historyczną *Latreaumont*, w której przedstawił Ludwika XIV jako antypatycznego tyrana. To, rzecz jasna, nie mogło się podobać. Mówiono też, że chciał wprowadzić do tych salonów swoją bardzo mieszczańską siostrę, i co więcej, że myślał o małżeństwie z przedstawicielką jednego ze starych rodów. W każdym razie cios dla jego snobizmu był bolesny. Niewielką, ale rzetelną satysfakcję sprawił sobie Sue, wydając powieść *Matylida*, gdzie bez tkliwości sportretował swoje niedawne przyjaciółki i protektorki.

Literatura zresztą przestała teraz być dla niego zabawką. Spadek po doktorze Sue zniknął bez śladu i trzeba było zacząć zarabiać piórem. W tym podwójnie ciężkim dla jego samopoczucia okresie fortuna znowu się odwróciła dzięki *Tajemnicom Paryża*. Okoliczności, które towarzyszyły ich powstaniu, nie są całkiem jasne. Georges Jarbinet, autor doskonałej pracy poświęconej tej powieści, tak je rekonstruuje. W 1841 r. wydawca Gosselin zaproponował dandysowi wygnanemu z Faubourg Saint-Germain przedsięwzięcie dosyć dziwne dla takiego człowieka – napisanie książki o świecie przestępczym Paryża. Przebrany za malarza pokojowego, Sue obejrzał najprzód w lokalach rozrywkowych i na ulicach środowisko, którym miał się zająć. Następnie zaczął pisać, z myślą raczej o egzotyce obyczajowej niż o powieści społecznej. Przed wydaniem w książce *Tajemnice Paryża* były drukowane w latach 1842–1843 jako felieton dziennika „Journal des Debats”. Dopiero w trakcie tej publikacji, przyjętej z pochwałami przez fourierystów, zainteresował się Sue socjalizmem utopijnym Fouriera i został jego wyznawcą. „Zaczawszy pisać powieść na zamówienie, uległ swojej własnej książce i zrobił z niej to, co mu dyktował talent oraz współcześnie rozpowszechnione poglądy. Tak ujmując, lepiej rozumiemy jego socjalizm: odruch współczucia i odwet wzięty na arystokracji za doznaną wzdargę. Wszystko razem ubrane w system Fouriera”. W ten sposób charakteryzuje złożoną genezę tej powieści Armand Lanoux.

Powodzenie *Tajemnic Paryża* było fantastyczne. „Journal des Debats“ stał się pismem rozrywającym. Nie istniała wtedy sprzedaż pojedynczych numerów i poza prenumeratą dzienniki były dostępne tylko w czytelniach, które teraz podnosiły opłaty i robiły znakomite interesy: w ogonku do tej gazety ludzie stali po cztery godziny. Autor otrzymywał z Paryża, z prowincji i zagranicy stopy listów, które zawierały komplementy, wyznania, prośby o wskazówki życiowe. Prawnicy zasięgaliby jego zdania. Ktoś donosił, że w Polsce odcinki jego powieści są oczekiwane tak niecierpliwie jak niegdyś biuletyny armii napoleońskiej. Książę Maksymilian Bawarski zabiegał o audiencję. Większość tych listów, przechowywanych do dzisiaj w bibliotece przy paryskim muzeum Carnavalet, pochodziła jednak od ludzi prostych. Ton tej korespondencji świadczy o zbiorowym entuzjazmie, który opanował wszystkie sfery we Francji i graniczył z histerią. W autorze widziano sprawiedliwego prawodawcę, opiekuna cierpiących, odkupiciela ludzkości. Domorośli poeci pisali do niego wiersze. Pewnego dnia w przedpokojach jego luksusowego mieszkania – pod nieobecność pisarza – powiesił się jakiś biedny człowiek, który pozostawił kartkę: – „Odbieram sobie życie z rozpaczyny? Myślę, że śmierć będzie dla mnie mniej bolesna, jeżeli umrę pod dachem człowieka, który nas kocha i broni”. Oporni byli jedynie koledzy po piórze, ale i wśród nich znaleźli się entuzjaści. George Sand pisała o Marii: „Zadna nowoczesna bohaterka nie wydała mi się tak oryginalna, tak odważna, tak wzruszająca i poetyczna”. Beranger, najpopularniejszy poeta Francji, oświadczył: „Sue to wielki wynalazca i jego postaci; będą trwały tak jak postaci Szekspira”. Ale najpiękniejszy sukces odniósł autor u marszałka Soult, ministra wojny. Nie dopełniwszy obywatelskiego obowiązku jako gwardzista narodowy, został pewnego dnia aresztowany i przerwał pisanie powieści, którą tworzył z dnia na dzień. Minister, namiętny czytelnik *Tajemnic Paryża*, wzburzony nie ukazaniem się kolejnego odcinka, polecił natychmiast wypuścić go z aresztu.

Zawrotna popularność tej powieści miała podłoże znacznie bardziej skomplikowane niż hołdy, które w naszych czasach spotykają sławnych aktorów filmowych, nawet tak głęboko działających na uczucia szerokich mas jak Charlie Chaplin. Sue, nie wiedząc jak i kiedy, stał się potęgą polityczną, wyrazicielem tęsknot swoich drobnomieszczańskich i ludowych czytelników, którzy nigdy jeszcze nie widzieli najbliższej im problematyki społecznej w ujęciu tak żywo przemawiającym do wyobraźni. Maxime Leroy, wybitny badacz doktryn społecznych we Francji, stwierdza, że autor *Tajemnic Paryża* sam jeden odegrał w przygotowaniu rewolucji 1848 r. rolę nie mniejszą niż wszyscy zorganizowani socjaliści francuscy. Wejście na gorący teren ówczesnych walk politycznych znacznie zradycalizowało jego następne dzieła: *Żyda wiecznego tułacza* (1844), *Siedem grzechów głównych* (1847), *Tajemnice ludu* (1849). W czasie rewolucji został Sue wybrany do izby deputowanych, ale niczym się tam nie odznaczył. Bardzo zdecydowanie i odważnie wystąpił natomiast przeciwko zamachowi stanu Ludwika Napoleona i po klęsce republiki udał się na emigrację do Sabaudii (wówczas niezależnej od Francji), gdzie zmarł w 1857 r.

Tajemnice Paryża są więc także dokumentem politycznym, dzisiaj oczywiście najzupełniej przebrzmiałym, ale mającym swoje miejsce w historii. Łatwość, z jaką w duszy Szurynera czy Wilczycy dokonuje się przełom w kierunku dobra, cudowne efekty ekonomiczne fermy w Bouqueval i wiele innych rzeczy, które bylibyśmy skłonni przypisywać po prostu naiwności autora, są ściśle związane z jego koncepcjami politycznymi i właściwie wynikają z nich bardzo logicznie. Stojąc, jak Sue, na gruncie socjalizmu utopijnego, nie można było nie uprościć w sposób aż karykaturalny praw rządzących psychiką ludzką i stosunkami społecznymi. Jako wyznawca teorii Fouriera, autor *Tajemnic Paryża* wierzył w możliwość zniesienia nędzy, krzywdy i wyzysku przez działanie perswazją, propagandą, przykładem. Aby myśleć o stworzeniu szczęśliwego społeczeństwa w tak łagodny sposób, trzeba też było wyobrazić sobie pojednanie klas oparte na zasadzie, że bogacz, jeżeli tylko ma wrażliwe serce i stosuje się do przykazania o miłości bliźniego, jest naturalnym i najlepszym opiekunem biedaka, który go

za to powinien uwielbiać. Z tego punktu widzenia trzeba nawet pochwalić konsekwencję Suego, choć dla realizmu jego powieści jest ona mordercza. Księcia Rudolfa nigdy nie było w historii Niemiec ani Europy, Szurynerów też się nie spotyka, ale urojone istnienie tych postaci i wszystkich innych świetlanych sylwetek *Tajemnic Paryża* jest konieczne, choćby na przekór rzeczywistości, kiedy chce się patrzeć na świat przez okulary utopijnego socjalizmu.

Program reformy społecznej wyłożony w *Tajemnicach Paryża* znalazł szczególnie żarliwego komentatora w Niemczech. Był nim publicysta o polskim nazwisku Franz von Žychliński, który pod pseudonimem Szeliga napisał w 1844 r. artykuł przedstawiający powieść Suego jako ewangelię dziewiętnastego wieku. Temu artykułowi zawdzięczamy bardzo ciekawą i szczegółową wypowiedź polemiczną Marksa – najdłuższy jego tekst poświęcony literaturze – zawartą w opublikowanej przez niego w 1845 r. wspólnie z Engelsem książce *Święta rodzina*. Analizując jednocześnie powieść i artykuł, Marks zwraca uwagę, jak idee społeczne i ekonomiczne Suego są powierzchowne i nieżyciowe (a czasem nawet okrutne, np. gdy księżę wpada na niesamowity pomysł, żeby za karę oślepić Bakalarza). Wzorowe gospodarstwo w Bouqueval, jak i cała działalność filantropijna Rudolfa, ma przecież realną podstawę tylko w zasobach finansowych władcy Gerolsteinu. „Pan Rudolf”, mówi Marks, „uprawia dobroczynność i rozrzutność niczym kalif bagdadzki z *Tysiąca i jednej nocy*. Prowadząc taki tryb życia musi on jak wampir wysysać do ostatniej kropli swe małe niemieckie księstwko”. Przeniesiony w świat rzeczywistych stosunków społecznych Sue–reformator nie robi zatem ani jednego kroku naprzód.

Ale jak istotne znaczenie socjalizmu utopijnego polega na krytyce współczesnych stosunków, a nie na praktycznych wskazaniach, tak u Suego obraz rzeczywistości nieskończenie przewyższa głoszony przez niego program społeczny. „Głośna powieść Eugeniusza Sue *Tajemnice Paryża* silnie oddziaływała na opinię publiczną, zwłaszcza w Niemczech”, mówi Engels, „przejmujący sposób, w jaki ta powieść odmalowuje nędzę i demoralizację, które są udziałem niższych klas ludności wielkomiejskiej, nie mógł nie skierować uwagi na problem nędzy w ogóle”. W świetle tego, co wiadomo o niesłychanej popularności jego dzieła, nie jest zatem rzeczą dziwną, że po wypadkach 1848 r. Sue, osobiście uznający tylko politykę reform, był atakowany jako pisarz wywrotowy. „Kiedy 24 czerwca 1848 r. społeczeństwo musiało się bronić przeciwko najstraszliwшему z powstań, co mówili ci nieszczęśnicy, którzy je atakowali z nieludzką odwagą?”, pytał patetycznie w 1852 r. Menche de Loisne, wysoki urzędnik policji w Lyonie. „Mówili i myśleli to, co przedtem mówił i myślał pan Sue. Obracali w czyn jego powieści. Mając już dość cierpień i pracy, przyszli z bronią w rękę żądać swojego udziału w przyjemnościach i szczęściu. Czyż bowiem według pana Sue Bóg nie stworzył człowieka po to, żeby był szczęśliwy, a jeżeli nie jest szczęśliwy, to czy nie z winy społeczeństwa?” Rzeczywiście, w najbardziej ugodowych i łzawych sformułowaniach utopijnego socjalizmu tkwi ta właśnie myśl krytyczna. Sugestywność *Tajemnic Paryża* zapewniła jej niezmiernie silny rezonans.

Tę sugestywność, która na czytelników z połowy dziewiętnastego wieku działała piorunująco, a nas już tylko bawi i rozrzewnia, osiągnął Sue dzięki odkryciu nowego kontynentu literackiego, jakim jest wielkie miasto, oglądane od strony dołów społecznych. Wielu pisarzy docierało przed nim do tego kontynentu, ale nie zapuszczając się w głąb. Każdy miłośnik *Komedii ludzkiej* pamięta piękny wstęp do Ferragusa, gdzie Balzak obejmuje spojrzeniem pejzaż paryski. „Istnieją w Paryżu pewne ulice odarte z czci niby człowiek; istnieją ulice szlachetne; dalej ulice po prostu uczciwe... Ciasne, obrócone na północ, gdzie słońce zagląda ledwie kilka razy do roku, to ulice mordercze, które zabijają bezkarnie... Pan Benoiston de Chateauneuf dowiódł, że śmiertelność tych ulic dwukrotnie przewyższa inne”. Wszyscy czytelnicy Balzaka wiedzą jednak, że akcja jego powieści toczy się w ulicach mniej lub bardziej szlachetnych i uczciwych, ale zawsze dosyć bogatych. Tak samo jest ze wszystkimi powieściami realistów europejskich sprzed 1842 r. Sue był pierwszym pisarzem, który zmienił pro-

porcje, odważnie wszedł w dzielnice ludowe i miasto nędzy wysunął przed miasto dostatku. Ten krok miał dla literatury znaczenie ogromne.

Nędznicy Wiktora Hugo – dzieło opublikowane dopiero w dwadzieścia lat po *Tajemnicach Paryża* – są najważniejszym przykładem oddziaływania Suego. Hugo zaczął myśleć o swojej powieści znacznie wcześniej, ale jej koncepcję wykrystalizował dopiero pod wpływem *Tajemnic*. Pierwsza redakcja *Nędzników* – później już tylko rozbudowana i uzupełniona – powstała w 1845 r. Ta data mówi sama za siebie. Aż dotąd *Nędznicy* byli co najmniej przez dziesięć lat nieokreśloną mgławicą, która wreszcie zapożyczyła kształt od powieści Suego. Długość dzieła, mnogość wątków splecionych w akcję pełną napięcia, wielka liczba postaci o psychice bardzo uproszczonej i wyjaskrawionej w jednym kierunku, romantyczne opisy zaułków i spelunek Paryża, długie dygresje o charakterze ideologicznym – to są wszystko rysy przejęte. *Nędznicy* powstałoby prawdopodobnie i bez Eugeniusza Sue, ale byłaby to na pewno powieść zupełnie inna, bardziej podobna do *Katedry Panny Marii* albo do *Człowieka Śmiechu*. Rozterka, jaką u twórców musiała wywołać metoda Suego, natychmiast znalazła wyraz w krytyce literackiej. Jednym z pierwszych recenzentów *Tajemnic Paryża* był Wisarion Bieliński. W obszernym artykule z roku 1844 wyraził on aprobatę dla demokratycznych sympatii francuskiego powieściopisarza, zwracając jednocześnie uwagę, jak nierealna jest jego koncepcja reformy społecznej i nierealistyczny sposób przedstawiania psychiki ludzkiej i konstruowania akcji. Mimo wszystko, stwierdził w konkluzji Bieliński, Sue właśnie przez to, że nie wznosił się na poziom powieściopisarstwa bardziej wymagającego, zdobył szerokie audytorium, do którego aktualna problematyka społeczna w innej formie nie przemówiłaby tak skutecznie. Ze stanowiska współczesnego realizmu angielskiego poddał ostrej krytyce tę powieść W.M. Thackeray, o rok wcześniej niż Bieliński. I on pod koniec swej recenzji złagodził zarzuty, w zasadniczych punktach bliskie temu, co niebawem miał napisać Marks. Oświadczył bowiem: „Wbrew kryteriom prawdopodobieństwa, zasadom moralności i zdrowemu rozsądkowi, mamy przed sobą sześć tomów, które każdy czytelnik literatury powieściowej, gdy tylko rozpocznie lekturę, musi przeczytać do końca. Jakkolwiek wiemy, że autor jest szarlatanem, nie można odmówić mu zręczności; jakkolwiek opowiada historię całkiem absurdalną, nie można twierdzić, że nie jest ona bardzo interesująca; nawet gdyby miała wypełnić sześć dalszych tomów, przeczytamy wszystkie”. Co więcej. Thackeray – w którym już dojrzywało jego arcydzieło *Targowisko próżności* – zaczął tłumaczyć *Tajemnice Paryża* i tylko wskutek zatargu finansowego z wydawcą pracę tę przerwał. Sukces powieści był trwały, o czym świadczy choćby wielokrotne naśladowanie tytułu. Jeszcze pierwsza powieść Zoli była zatytułowana *Tajemnice Marsylii*.

Nieoczekiwanych argumentów na rzecz tego, co można jednak nazwać realizmem u Suego, dostarczył wybitny demograf Louis Chevalier w książce *Classes laborieuses et classes dangereuses* (1958). Wykorzystując studia demograficzne nad Paryżem okresu monarchii lipcowej stwierdził on, że Sue, tak jak później Hugo, ukazali pogranicze ówczesnego mieszczaństwa, proletariatu i marginesu społecznego inną metodą niż balzakowska, ale lepiej. W przypadku Suego Chevalier podkreślił, jak bardzo powieściopisarzem kierowały nie tylko bezpośrednie obserwacje improwizowanego socjologa, lecz również uwagi, protesty i wskazówki płynące do niego od czytelników podczas pisania kolejnych odcinków. „Znaczenie *Tajemnic Paryża* dla historii społecznej – powiada demograf – polega na tym, że dzięki tej przemożnej interwencji ludowej i temu kolektywnemu przymusowi, któremu autor poddaje się biernie, jego powieść pozwala nam stwierdzić, jakie rysy fizyczne i psychiczne doły społeczeństwa same dostrzegały w sobie”. I to już wystarczy, żeby zdać sobie sprawę, ile historia literatury winna jest *Tajemnicom Paryża*. Właściwie można by się nawet zastanowić, co było większą sztuką: napisać *Nędzników*, mając geniusz Wiktora Hugo i wzór w postaci *Tajemnic Paryża*, czy też napisać *Tajemnice*, będąc pisarzem średniego lotu i nie rozporządzając w gruncie rzeczy podobnymi wzorami? Tak, Beranger miał rację. Sue to wielki wynalazca.

Maciej Żurowski

Spis rozdziałów

TOM I

- I Wstęp
- II Garkuchnia.
- III Historia Gualezy
- IV Historia Szurynera
- V Uwięzienie
- VI Tom i Sara
- VII Pieniądze albo życie
- VIII Przejażdżka
- IX Niespodziewany wypadek
- X Folwark
- XI Marzenia
- XII W Bouqueval.
- XIII Murf i Rudolf.
- XIV Pożegnanie
- XV Schadzka
- XVI Przygotowania
- XVII „Krwawe Serce”
- XVIII Piwnica.
- XIX Nowy sługa
- XX Opowiadanie Szurynera
- XXI Kara
- XXII Rzeźnik Francoeur
- XXIII Nagroda
- XXIV Wyjazd
- XXV Poszukiwania
- XXVI Markiz d'Harville
- XXVII Dom przy ulicy Temple
- XXVIII Pan Pipelet
- XXIX Tom i Sara
- XXX Murf i Polidori
- XXXI Pierwsza miłość
- XXXII Bal
- XXXIII „Jak późno przychodzisz, mój aniele!”
- XXXIV Bilecik
- XXXV Miłosierdzie
- XXXVI Sielanka. Niepokój
- XXXVII Zasadzka
- XXXVIII Plebania
- XXXIX. Spotkanie
- XL Wiejska wieczerza
- XLI Gościnność
- XLII Noc
- XLIII List. Dawna znajomość
- XLIV Mleczarka
- XLV Rozmowa. Porwanie
- XLVI Markiza d'Harville
- XL VII Nędza. Dług

XLVIII	Ludwika
XLIX	Rigoletta
L	Budżet Rigoletty
LI	Temple. Odkrycie
LII	Widmo. Uwięzienie
LIII	Wyznanie
LIV	Jakub Ferrand i jego kancelaria
LV	Pan de Saint-Remy
LVI	Testament
LVII	Hrabina Mac-Gregor

Tom II

I	Karol Robert
II	Oskarżenie
III	Zasadzka
IV	Zamiary na przyszłość
V	Kawalerskie śniadanie
VI	Więzienie Świętego Łazarza
VII	Joaska
VIII	Wilczyca i Gualaza
IX	Protektorka
X	Przyjaciół pana Pipelet
XI	Cecylia
XII	Pierwsze zmartwienie Rigoletty
XIII	Przyjaźń
XIV	Testament
XV	Wyspa Grabieżnika
XVI	Franciszek i Amandyna
XVII	Stary Micou
XVIII	Ofiary oszustwa
XIX	Ulica Chaillot
XX	Hrabia de Saint-Remy
XXI	Rozmowa.
XXII	Wizyta
XXIII	Pożegnanie
XXIV	Wspomnienia
XXV	Łódka
XXVI	Wilczyca
XXVII	Portret
XXVIII	Policjant
XXIX	Puchaczka
XXX	Nowa służąca notariusza
XXXI	Sąsiad i sąsiadka
XXXII	Murf i Polidori
XXXIII	Kancelaria notariusza.
XXXIV	Więzienie La Force
XXXV	Pan Boulard
XXXVI	Germain
XXXVII	Jaskinia Lwów
XXXVIII	Bajarz

XXXIX	Gringalet i Rzeziłeb.
XL	Przyjaciel w potrzebie
XLI	Kara
XLII	Wspólnicy
XLIII	Rudolf i Sara
XLIV	Zemsta
XLV	Furens amoris
XLVI	Zjawy
XLVII	Szpital
XLVIII	Baronówna Fermont
XLIX	Maria
L	Nadzieja
LI	Ojciec i córka
LII	Ślub
LIII	Bicetre
LIV	Bakałarz
LV	Szlifierz Morel
LVI	Toaleta
LVII	Martial i Szuryner
LVIII	Ręka Opatrzności

EPILOG

I	List.
II	Księżniczka Amelia.
III	Wspomnienie.
IV	Wyznanie.
V	Rudolf do Klemencji

Posłowie